

Robbins Harold

Kobieta samotna

CZESC I
MIASTECZKO

ROZDZIAŁ I

Siedzi na szczycie schodów i płacze.

Kiedy się obudziła z narkozy, zobaczyła małą, płaczącą dziewczynkę, z buzią ukrytą w dłoniach i długimi, złotobrazowymi włosami. Od śmierci ojca tysiące razy widziała w ułamku chwili na granicy między snem i jawą ten obraz samej siebie.

Wizja zniknęła. Lekarz pochylił się nad nią z uśmiechem na twarzy.

— Wszystko w porządku, JeriLee — powiedział. Rozejrzała się po pokoju. Obok leżało na wózkach kilka kobiet.

Lekarz uprzedził jej pytanie.

— Jesteś na sali pooperacyjnej — wyjaśnił.

— Co to było? — zapytała. — Chłopiec czy dziewczynka?

— Jakie to ma teraz znaczenie?

— Dla mnie ma.

— Było za wcześnie, żeby to stwierdzić — skłamał. W kącikach jej oczu błysnęły łzy.

— Przejść przez to wszystko i nawet nie wiedzieć, co to mogłoby być...

— Tak jest lepiej — zapewnił ją. — Spróbuj trochę odpocząć.

— Kiedy będę mogła stąd wyjść?

— Dziś po południu. Gdy tylko dostanę wyniki badań.

— Jakich badań?

— To normalne postępowanie — wytłumaczył lekarz. — Sądzymy, że może ci grozić konflikt serologiczny. Jeśli tak, damy ci zastrzyk, żeby w następnej ciąży nie było żadnych powikłań.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Czy byłyby w tej?

— Możliwe.

— Więc może to dobrze, że miałam zabieg.

— Prawdopodobnie. Na przyszłość jednak postaraj się bardziej uważać.

— Nie będzie drugiego zabiegu — odparła stanowczo. — Następne zatrzymam. Mam gdzieś, co ludzie powiedzą. A jeśli jego ojcu się to nie spodoba, może się wypchać.

— Planujesz dziecko? — zapytał zaskoczony?

Nie. Ale ty z powodu zakrzepów nie przepiszesz mi pigułki, spirali nie udaje mi się utrzymać, a chodząc cały czas z kapturkiem i tubą Delfenu w torebce czuję się głupio.

— Nie musisz iść do łóżka z każdym mężczyzną, którego spotkasz, JeriLee — zauważył lekarz. — Niczego w ten sposób nie udowodnisz.

— Nie idę do łóżka z każdym mężczyzną — odrzekła. — Tylko z tymi, z którymi chcę.

Lekarz pokręcił głową.

— Nie rozumiem cię, JeriLee. Myślałem, że jesteś za mądra, żeby się wpakować w coś takiego.

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

— To jedno z niebezpieczeństw, jakie wynikają z bycia kobietą. Mężczyzna pieprzy się ile chce i nic mu nie grozi. A kobieta może wpaść. To ona musi być ostrożna. Sądziłam, że pigułka zlikwiduje tę niesprawiedliwość. Tymczasem taki już mój pech, że nie mogę jej brać.

Lekarz skinął na pielęgniarkę.

— Mam jedną pigułkę, którą możesz zażyć — powiedział, wypisując pospiesznie zlecenie. — To ci pomoże zasnąć.

— Czy będę mogła jutro pracować? — zapytała.

— Wolałbym, żebyś poczekała kilka dni — odparł. — Nie zaszkodzi, jeśli odpoczniesz trochę dłużej. Możesz solidnie krwawić. Pielęgniarka zabierze cię teraz z powrotem do twojego pokoju. Zobaczymy się później, przy wypisie.

Pielęgniarka wzięła zlecenie i zaczęła pchać wózek.

— Chwileczkę — powstrzymała ją JeriLee. Pielęgniarka przystanęła.

— Jim.

Lekarz odwrócił się.

— Tak?

— Dzięki — szepnęła.

Skinął głową. Pielęgniarka przepchnęła wózek przez wahadłowe drzwi i skierowała się korytarzem do windy.

Nacisnąwszy guzik, spojrzała na JeriLee z zawodowym uśmiechem na ustach.

— To nie było wcale takie straszne, prawda, kochanie? JeriLee zmierzyła ją wzrokiem.

— To było piekło — powiedziała i oczy napelniły jej się łzami. — Właśnie zabiłam swoje dziecko.

— Dlaczego płaczesz, JeriLee? — zapytała ciotka, gdy wyszedłszy z pokoju matki zobaczyła dziewczynkę na schodach.

Dziecko odwróciło ku niej mokrą od łez buzię.

— Tatuś nie żyje, prawda? Ciotka nie odpowiedziała.

— Już nie wróci?

Kobieta nachyliła się, podniosła ją i przytuliła.

— Nie — odparła miękko. — Nie wróci. Łzy przestały płynąć.

— Więc mama skłamała — zauważyła JeriLee oskarżycielskim tonem.

Głos ciotki był łagodny.

— Matka chciała ci oszczędzić bólu, kochanie.

— Ale mnie uczyła czego innego. Powiedziała, że zawsze muszę mówić prawdę, żeby nie wiem co.

— Chodź, umyję ci buzię zimną wodą — zaproponowała ciotka. — Poczujesz się lepiej.

JeriLee posłusznie poszła za nią do łazienki.

— Czy mama powie Bobby'emu? — zapytała podczas mycia.

— Twój brat ma dopiero cztery lata. Myślę, że nie jest dostatecznie duży, aby to zrozumieć.

— Mam mu powiedzieć sama?

Ciotka napotkała pytający wzrok dziewczynki.

— A jak ci się wydaje, JeriLee, co powinnaś zrobić? JeriLee zobaczyła w jej oczach współczucie.

— Chyba mu nie powiem — stwierdziła po namyśle. — Jest jeszcze za mały.

Ciotka uśmiechnęła się i pocałowała ją w policzek.

— Bardzo mądrze, JeriLee. Jak na ośmiolatkę to bardzo dorosła decyzja.

JeriLee ucieszyła się z gorącej pochwały. W następnych latach jednak dziwnie czegoś żałowała. Jej pierwsza dorosła decyzja była kompromisem.

Później tamtej nocy, kiedy leżała w łóżku jeszcze nie śpiąc, usłyszała, jak matka idzie po schodach i wchodzi do sypialni. Czekala na znajomy odgłos kroków ojca, podążającego za matką po wygaszeniu światła na dole. Kiedy nastąpiła cisza, zrozumiała, że nie usłyszy ich już nigdy. Wtuliła twarz w poduszkę i rozplakała się.

Miała niewiele ponad trzy lata w dniu, kiedy matka ubrała ją starannie w białą, wykrochmaloną bawełnianą sukienkę i uczesała złotobrzazowe loczki otaczające jej buzię.

— Uważaj na sukienkę. Chcę, żebyś wyglądała dzisiaj bardzo ładnie. Tata wraca do domu. Wychodzimy po niego na pociąg.

— Czy wojna się skończyła, mamó?

— Nie. Ale tata nie jest już w wojsku. Został zwolniony.

— Dlaczego, mamó? Czy był ranny?

— Lekko. Nic poważnego — odparła matka. — Był ranny w nogę i trochę utyka. Nie wolno ci jednak o tym wspominać. Udawaj, że niczego nie zauważyłaś.

— Dobrze — obiecała JeriLee.

Odwróciła się i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

— Jak myślisz, czy tata mnie pozna? Teraz jestem już zupełnie dorosła.

— Na pewno — odrzekła matka wesoło.

W takim miasteczku jak Port Clare powrót pierwszego żołnierza nie mógł przejść niezauważony. Przybył z tej okazji burmistrz, rada miejska i orkiestra szkoły średniej. Na fasadzie niewielkiego budynku stacji kolejowej zawisł duży transparent z napisem wykonanym czerwonymi i niebieskimi literami.

WITAJ W DOMU, BOBBY.

Robert Gerraghty zachował się w zwykły sobie sposób — zamiast wysiąść z pociągu na peron, wyskoczył na drugą stronę, aby mieć bliżej do domu.

Jak szalony, tłum szukał na stacji zaginionego bohatera.

— Jest pani pewna, że miał przyjechać tym pociągiem? — zapytał burmistrz z rosnącym niepokojem.

Matka JeriLee była bliska łez.

— Tak napisał w liście.

W tej samej chwili na drugim końcu peronu rozległ się okrzyk:

— Jest tam!

Robert Gerraghty był już prawie przecnicę od nich i żwawym krokiem oddalał się od stacji. Usłyszawszy krzyk, postawił torbę na ziemi, zdjął wojskową czapkę i podrapał się w głowę.

Orkiestra szkolna pospiesznie zaintonowała „Witaj, zwycięski bohaterze”, a burmistrz, zapominając o powadze swego stanowiska, niezgrabnie przeszedł przez tory.

Bezlądny tłum podążył za nim i burmistrz, zrezygnowawszy z zaplanowanego ceremoniału powitania, zaczął wygłaszać mowę na środku zakurzonej ulicy.

— Zebraliśmy się tutaj, aby uczcić powrót jednego z mieszkańców Port Clare, prawdziwego bohatera rannego w służbie krajowi, starszego szeregowca Roberta F. Gerraghty'ego...

Orkiestra robiła taki hałas, że był zmuszony przerwać.

Ojciec trzymał JeriLee na rękę, a wolnym ramieniem obejmował jej matkę. JeriLee nie przestawała szarpać go za rękaw.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

— O co chodzi, JeriLee?

— Postrzelili cię w nogę? — zapytała. Roześmiał się.

— Nie, kochanie.

— Mama mówi, że byłeś ranny i kulejesz.

— To prawda — skinął głową. — Ale nie raniono mnie w akcji. — Zobaczył jej stropioną minę. — Twój tata jest takim gapią, że dał się przejechać ciężarówce.

— Więc nie jesteś bohaterem — stwierdziła z rozczarowaniem.

Zbliżył twarz do jej buzi i, uśmiechając się, położył palec na ustach.

— Nikomu o tym nie powiem, jeśli ty też nie powiesz. Wybuchnęła śmiechem.

— Nie powiem nikomu — obiecała. Zastanawiała się przez chwilę. — Czy mogę powiedzieć mamie?

Wykrzywił się zabawnie i pocałował ją.

— Myślę, że mama już wie. — Popatrzył na córkę. — Czy

ktoś ci kiedyś mówił, że wyglądasz dokładnie jak Shirley Tempie?

Uśmiechnęła się. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

— Wszyscy tak mówią, tatusiu — oznajmiła z dumą. — A mama uważa, że śpiewam i tańczę lepiej niż ona.

Czy zaśpiewasz i zatańczysz dla mnie, kiedy przyjdziemy do domu?

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Tak, tatusiu.

— Nie ruszajcie się! — zawołał fotograf. — Chcę to mieć dla gazety.

JeriLee przybrała swój najbardziej promienny uśmiech a la Shirley Tempie, ale jakimś sposobem głowa burmistrza znalazła się przed nią i kiedy zdjęcie ukazało się na pierwszej stronie *Weekly Bulletin*, widać było tylko ramiona dziewczynki, otaczające szyję ojca.

Kiedy pielęgniarka przyniosła lunch, JeriLee drzemała. Przeszłość była tak żywa w jej myślach, że nagle wtargnięcie terażniejszości stanowiło wstrząs. Ojciec był wyjątkowym człowiekiem. Śmiał się ze wszystkiego wokół, z Port Clare i całej jego obłudy.

— Nic już nie ma sensu, JeriLee — powiedział jej kiedyś. — Pewnego dnia odkryją, że wojna naprawdę zmieniła świat. Pojęcie wolności dotyczy nie tylko narodów. Tak naprawdę to sprawa osobista.

Wtedy nie rozumiała, o co mu chodzi. Wiedziała tylko, że matka jest bez przerwy na niego zła i często odgrywa się na córce. Jej bratu, który urodził się w niespełna rok po jego powrocie, udało się tego uniknąć. Ona jednak dorastała i, jak stale powtarzała matka, była coraz bardziej podobna do ojca.

Pielęgniarka podała jej jadłospis.

— Doktor powiedział, że może pani jeść wszystko, na co ma pani ochotę, byle z umiarem.

— Nie jestem głodna — odparła.

— Musi pani coś zjeść — nalegała pielęgniarka. — To polecenie lekarza.

JeriLee rzuciła okiem na menu.

— Gorąca kanapka z wołowiną. Bez sosu. Galaretka i kawa.

Pielęgniarka skinęła głową.

— Dobrze. A teraz proszę się obrócić i pozwolić mi zrobić zastrzyk.

JeriLee spojrzała na igłę.

— Na co to?

— Doktor pani nie powiedział? Na czynnik Rh. Gdyby ponownie zaszła pani w ciążę, nie będzie żadnych kłopotów z dzieckiem.

JeriLee położyła się na boku. Pielęgniarka była szybka i zręczna. Pacjentka prawie nie poczuła ukłucia.

— Nie mam zamiaru znowu zachodzić w ciążę — zaprotestowała.

Pielęgniarka roześmiała się.

— Wszystkie tak mówią, kochanie. I wszystkie do nas wracają.

JeriLee odprowadziła ją wzrokiem do drzwi. Zarozumiała dziwka. Włoży białą kiel i myśli, że wszystko wie.

Opadła na poduszki. Czowała się zmęczona, ale nie aż tak osłabiona, jak się spodziewała. Co takiego jej mówiono na temat przerywania ciąży? Że dzisiaj jest to równie łatwe jak leczenie grypy. Może to prawda.

Wyjrzała przez okno. Typowy dla Los Angeles poranny smog rozwiął się. Dzień był jasny i słoneczny. Żałowała, że nie pomyślała o tym, aby poprosić o pokój z telefonem. Powiedziano jej jednak, że spędzi tu tylko kilka godzin.

Tymczasem jakieś idiotyczne Rh zatrzyma ją w klinice prawie cały dzień.

Zastanawiała się, jak przebiega spotkanie. Jej agent powinien w tej chwili rozmawiać z producentem. Bardzo chciała sama napisać scenariusz na podstawie swojej książki. Scenarzysta, którego wynajęto, kompletnie go skopał. W końcu zwrócili się do niej.

Agent był dobrej myśli. Wiedział, że producent ma nóż na gardle i chciał go przycisnąć. Zamierzał zażądać stu tysięcy dolarów. JeriLee uważała, że zwariował. Było to więcej, niż zapłacono jej za prawo do ekranizacji, a scenariusz chętnie napisałaby nawet za darmo.

— Zostaw to mnie — powiedział stary uspokajająco. —

To moja praca. Znam się na niej. Poza tym zawsze możemy opuścić.

W końcu z ociąganiem wyraziła zgodę.

— Dobrze. Tylko nie spieprz sprawy.

— Nie spieprzę — obiecał i patrząc na nią zapytał — Gdzie będziesz jutro po południu, gdybym się musiał z tobą skontaktować?

— Prawdopodobnie w domu.

— A jeśli nie?

— W klinice.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Po co tam idziesz?

— Na zabieg.

— Ty?

Był wyraźnie wstrząśnięty.

— Czemu nie? — odparowała. — Przecież jestem kobietą. Kobiety czasami zachodzą w ciążę. Nawet w dzisiejszych czasach.

Zaniepokoił się.

— Masz wszystko, czego potrzebujesz? Mogę cię zawieźć...

— Jesteś kochany, Mike — przerwała mu. — Ale to już załatwione. O nic się nie martw.

— Zadzwoń do mnie, kiedy będzie po wszystkim? — Jak tylko wrócę do domu.

Podniósł się z krzesła i odprowadził ją do drzwi. — Uważaj na siebie.

— Dobrze — obiecała.

Wolność to sprawa bardzo osobista, powiedział ojciec. Zastanawiała się, co by pomyślał, gdyby wiedział, co się dzisiaj stało. Prawdopodobnie pragnąłby się tylko upewnić, że zrobiła to, co chciała. Ze sama dokonała wyboru.

Według niego na tym polegała wolność.

Świat nie nadążał jednak za jego sposobem myślenia. Matka się nie zmieniła. Byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała. Podobnie jak wiele innych osób. Nawet dla niektórych tak zwanych wyzwolonych przyjaciół JeriLee aborcja była w dalszym ciągu czymś nieprzyzwoitym.

Popatrzyła na tacę z lunchem. Wołowina wyglądała blado, anemicznie i szpitalnie. Bez przekonania zaczęła kroić gumowe

mięso i po chwili z niesmakiem odłożyła sztucce. Zresztą naprawdę nie była głodna. Wyrzuciła przez okno na jasny kalifornijski dzień. Ani trochę nie przypominał Port Clare w styczniu. Na wspomnienie pewnego poranka, kiedy od Cieśniny wiał lodowaty wiatr, a ona szła drogą, aby złapać autobus do szkoły, wstrząsnął ją dreszcz. Poprzedniego wieczoru spadł śnieg i chrzęścił teraz pod podeszwami jej botków. Pługi pracowały całą noc i zgarnęły go porządnie na pobocze. Przeszła przez zaspę na jezdnię, gdzie śnieg robił się brudnoszary od kół samochodów i zobaczyła nadjeżdżający autobus. Miała wrażenie, że zdarzyło się to tak dawno. W innym stuleciu. I w pewnym sensie tak było.

ROZDZIAŁ 2

- Prawie zawsze się umiera — stwierdził mężczyzna.

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego. Jeździła tym autobusem do szkoły od trzech miesięcy i ten człowiek zawsze siedział obok niej. Tego dnia pierwszy raz się odezwał.

— Tak — przyznała i niespodziewanie oczy napęłniły jej się łzami.

Utkwił wzrok w oknie.

— Śnieg. Dlaczego zawsze ten cholerny śnieg? — zapytał sam siebie. — Umrę — ciągnął rzeczowym tonem.

— Mój ojciec umarł — wtrąciła.

Po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę. W jego głosie zabrzmiało zakłopotanie.

— Przepraszam — powiedział. — Nie zdawałem sobie sprawy, że mówię głośno.

— Nic nie szkodzi.

— Nie chciałem cię doprowadzić do płaczu.

— Nie płaczę — zaprzeczyła.

— Jasne — odparł pośpiesznie.

Poczuła dziwny ucisk w żołądku. Uświadomiła sobie ze wstydem, że już dawno nie myślała o ojcu. Usunięcie go w cień przyszło ojcymowi niemal zbyt łatwo.

Twarz mężczyzny była chuda i znękana.

— Chodzisz do szkoły?

— Tak.

— Do której klasy?

— Do drugiej.

— Wyglądasz na starszą — powiedział. — Myślałem, że jesteś w ostatniej klasie.

Na jego blade policzki wystąpił lekki rumieniec.

— Mam nadzieję, że... Chodzi o to... Nie chciałem cię urazić. Po prostu nie wiem zbyt wiele o młodych dziewczynach.

— Wszystko w porządku — odparła. — Ludzie zawsze biorą mnie za starszą.

Uśmiechnął się, zrozumiawszy, że sprawił jej przyjemność.

— Tak czy owak, przepraszam — ciągnął. — Nazywam się Walter Thornton.

Otworzyła szeroko oczy.

— Jest pan tym...

Nie pozwolił jej skończyć.

— Jestem tym Walterem Thorntonem — powiedział szybko.

— Przecież — zawahała się — codziennie jeździ pan tym autobusem.

Roześmiał się.

— Znasz lepszy sposób, żeby się dostać na stację?

Ale na Broadwayu idą dwie pańskie sztuki i film jednocześnie.

— Nie prowadzę samochodu. — Popatrzył na nią. — Skąd tyle o mnie wiesz? — zapytał z ciekawością.

— Wszyscy pana znają.

— Nie dzieciaki ze szkoły. One interesują się aktorami, a nie pisarzami.

— Zamierzam zostać pisarką — wyjaśniła.

— Dlaczego nie aktorką? Jesteś dostatecznie ładna. Zarumieniła się.

— Czy coś w tym złego, że chcę zostać pisarką?

— Nie — odrzekł. — Tylko to niezwykle. Większość

dziewcząt chce jechać do Hollywood i zostać gwiazdami filmowymi.

— Może to także zrobię — odparła z zadumą. Autobus zaczął zwalniać. Dojechali do stacji kolejowej.

Mężczyzna wstał i uśmiechnął się do JeriLee.

— Do zobaczenia jutro. Jeszcze porozmawiamy.

— Dobrze — zgodziła się.

Obserwowała przez okno jak wysoka, szczupła postać w powiewającym płaszczu znika w stojącym na stacji ekspresie do Nowego Jorku.

Jej chłopak, Bernie Murphy, czekał na nią pod szkołą.

— Wiesz, kogo dziś spotkałam w autobusie? — zawołała podniecona. — Waltera Thorntona! Wyobrażasz sobie?

Przez trzy miesiące siedziałam obok niego i nawet nie wiedziałam, że to on.

— Kto to jest Walter Thornton? — zapytał Bernie.

— Kto to jest Mickey Mantle?¹) — odcięła się z oburzeniem.

Kiedy JeriLee skończyła dziesięć lat, zdarzyły się dwie rzeczy, które miały zmienić jej życie. Po pierwsze, jej matka powtórnie wyszła za mąż. Po drugie, napisała opowiadanie, które następnie wystawiła jako sztukę na zakończenie roku szkolnego.

Zatytułowała ją „Krwawa baśń”. I taka właśnie była. Zanim kurtyna opadła, wszyscy na scenie nie żyli.

Będąc autorką, producentem i reżyserem, obsadziła się w podwójnej roli. Grała kucharza, który zostaje skazany przez króla na śmierć i wstaje z grobu jako szukająca zemsty czarownica.

JeriLee uwielbiała poczucie władzy. Podczas tego krótkiego okresu była najważniejszą dziewczynką w piątej klasie.

Po raz pierwszy odkryła, jaki ma wpływ na innych ludzi i intuicyjnie wyczuwała, że źródłem tej uderzającej do głowy władzy są słowa, które napisała.

Później, ściskając nagrodę za najlepszą próbę literacką, z twarzą wciąż jeszcze pobrudzoną czarną jak sadza charak-

¹ **Znany baseballista amerykański lat 50. i 60. (przyp. dum.)**

teryzacją czarownicy, podeszła do matki i oznajmiła swoją decyzję.

— Zostanę pisarką, mamó.

Ta, siedząca obok pana Johna Randalla z Farmer's Bank, uśmiechnęła się niepewnie. Prawie nie patrzyła na przedstawienie. Była zbyt pochłonięta myślami o niedawnych oświadczeniach Johna.

— To miło, kochanie — powiedziała. — Myślałam jednak, że chcesz być aktorką.

— Chciałam — odparła JeriLee. — Ale zmieniłam zdanie.

— Uważam, że wyglądałaś pięknie na scenie — pochwaliła ją matka. — A ty, John?

— Była najpiękniejszą dziewczynką — chętnie zgodził się Randall.

JeriLee patrzyła na nich w osłupieniu. Byli chyba ślepi. W charakteryzacji chodziło o to, aby wyglądała wstrętnie jak czarownica.

Mój makijaż był okropny — zaprotestowała. Matka uśmiechnęła się.

— Nie martw się, kochanie — uspokoiła córkę. — Naszym zdaniem wyglądałaś uroczo.

Poszli potem na kolację przy świecach do Port Clare Inn, restauracji z widokiem na Cieśninę.

— Mamy ci coś ważnego do powiedzenia — oznajmiła matka przy deserze.

JeriLee nawet na nią nie spojrzała. Za bardzo pochłaniała ją obserwacja pijanej pary, która pieściła się otwarcie przy narożnym stole.

JeriLee! — odezwała się ostro matka.

Dziewczynka odwróciła się do niej.

— Mówiłam, że mamy ci coś ważnego do powiedzenia. JeriLee przybrała pozę posłusznego dziecka.

— Tak, mamó.

Matka ciągnęła z zakłopotaniem.

— Odkąd umarł twój ojciec... Wiesz przecież, jak trudno mi było zajmować się tobą i twoim bratem, jednocześnie chodząc codziennie do pracy.

JeriLee milczała. Zaczynała rozumieć. Nie wiedziała jednak, czy podoba jej się to, co ma nastąpić.

Matka spojrzała na pana Randalla, szukając u niego pomocy. Skinął głową, aby dodać jej odwagi. Pod stołem ręka kobiety poszukała jego dłoni.

— Pomyśleliśmy, że byłoby miło, gdybyście znowu mieli ojca — powiedziała matka i szybko dodała — Bobby niedługo skończy sześć lat. Chłopiec powinien mieć ojca, który robiłby z nim różne rzeczy. Wiesz, grał w piłkę, chodził na ryby i tak dalej.

JeriLee popatrzyła najpierw na matkę, potem na pana Randalla.

— Chcesz powiedzieć, że masz zamiar za niego wyjść? W jej głosie brzmiała nuta niedowierzania. Pan Randall i ojciec byli zupełnie do siebie niepodobni. Tata stale się śmiał i żartował, a pan Randall prawie wcale się nie uśmiechał.

Matka zamilkła. Po raz pierwszy odezwał się pan Randall. Mówił tonem uspokajającym, jakby rozmawiał z klientem, który zauważył błąd w wyciągu o stanie swojego konta.

— Byłbym dla was obydwójga bardzo dobrym ojcem. Jesteś uroczą dziewczynką i ogromnie lubię twojego brata.

— A mnie pan nie lubi? — zapytała z bezbłędną dziecięcą logiką.

— Oczywiście, że cię lubię — odparł pospiesznie. — Sądziłem, że wyrażam się jasno.

— Nie powiedział pan tego.

— JeriLee! — głos matki był znowu ostry. — Nie masz prawa odzywać się do pana Randalla w ten sposób.

— Nic się nie stało, Weroniko — uspokoił ją. — Bardzo cię lubię, JeriLee i byłbym dumny, gdybyś zechciała, żebym został twoim ojcem.

JeriLee spojrzała mu w oczy i po raz pierwszy zobaczyła ukryte w nich ciepło i życzliwość. To ją przekonało, nie wiedziała jednak, co odpowiedzieć.

— Wiem, że nigdy nie zajmę miejsca waszego prawdziwego ojca, ale kocham waszą matkę i będę dla was wszystkich bardzo dobry — dodał poważnie Randall.

JeriLee uśmiechnęła się.

— Czy mogę być *flower girl*¹ na waszym ślubie?

¹ **Dziewczynka, która niesie kwiaty w orszaku ślubnym lub rozrzuca je przed młodą parą. (przyp. tłum.)**

Roześmiał się z ulgą.

— Możesz być kim tylko chcesz — odparł, ujmując dłoń jej matki — oprócz panny młodej.

W rok po ślubie John formalnie adoptował dzieci i odtąd JeriLee nazywała się Randall. Kiedy po raz pierwszy pisała swoje nowe nazwisko, ogarnął ją dziwny smutek. Teraz nie zostało już prawie nic, co przypominałoby jej o ojcu.

Bobby, który tak naprawdę wcale go nie znał, już o nim nie pamiętał.' Zastanawiała się, czy za jakiś czas ona także zapomni.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy córka zeszła na śniadanie, John Randall spojrzął na nią znad nowojorskiego *Timesu*. Szybko okrążyła stół i pocałowała ojczyrna w policzek. Gdy siadała na swoim krześle, doleciał go delikatny zapach perfum.

W jej głosie dźwięczało tłumione podniecenie.

— Dzień dobry, tato.

Patrząc na nią uśmiechnął się. Naprawdę mu się podobała. Nie nuała regularnych rysów. Nos był trochę za długi, usta za szerokie, a ciemnoniebieskie oczy nad wysokimi kośćmi policzkowymi zbyt duże w stosunku do twarzy. Całość robiła jednak nieprawdopodobne wrażenie. Kiedy raz się spojrzało na JeriLee, nie można jej było zapomnieć. Była piękna.

Zauważył, że tego dnia zadbała o swój wygląd wyjątkowo. Jej włosy wyglądały jeszcze bardziej jedwabiście niż zwykle, a skóra lśniła czystością. Był zadowolony, że się nie maluje, co robiło wiele dziewcząt.

— Coś się musi dzieć — stwierdził.

Spojrzała na niego znad butelki mleka, którym zalewała płatki kukurydziane.

— Mówiłeś coś, tato?

— Powiedziałem, że coś się dzieje.

— Nic nadzwyczajnego.

— Daj spokój — zaprotestował łagodnie. — Czy do twojej klasy przyszedł nowy chłopak?

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Nic z tych rzeczy.

— Dalej Bernie?

Zarumieniła się, ale nie odpowiedziała.

— Musi coś być.

— Tato — zapytała z wyrzutem — dlaczego to zawsze ma być jakiś chłopak?

— Bo jesteś dziewczyną.

— To nic w tym rodzaju, ale rzeczywiście kogoś wczoraj poznałam. W autobusie.

— W autobusie? — powtórzył zaskoczony. Skinęła głową.

— Usiadł koło mnie. Wyobrażasz sobie, tato? Siadał obok przez trzy miesiące, a ja nawet nie wiedziałam, że to on.

— On? — teraz był naprawdę zaintrygowany. — Kto?

— Walter Thornton — wyjaśniła. — Zawsze myślałam, że spędza tu tylko lato. Nie miałam pojęcia, że mieszka w Port Clare na stałe.

— Walter Thornton? — powtórzył John z nutą dezaprobaty w głosie.

— Tak. Największy amerykański pisarz. Ton dezaprobaty pogłębił się.

— Przecież to komunista.

— Kto tak powiedział? — zapytała zaczepnie.

— Senator McCarthy, ponad dwa lata temu. Thornton powołał się przed Komisją¹ na piątą poprawkę². Wszyscy wiedzą, co to oznacza. Kiedy wiadomość się rozeszła, bank poważnie się zastanawiał, czy nie poprosić go, żeby ulokował oszczędności gdzie indziej.

— Dlaczego tego nie zrobiliście?

— Nie wiem — odparł. — Chyba było nam go żal. Jesteśmy przecież jedynym bankiem w Port Clare. Musiałby

¹ **Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej, której w latach 1950—55 przewodniczył John McCarthy. (przyp. tłum.)**

² **Piąta poprawka do Konstytucji USA daje obywatelowi prawo do odmówienia zeznań, jeśli mogłyby one świadczyć przeciwko niemu. W oczach wielu ludzi powołanie się na mą dowodziło winy przesłuchiwanego, (przyp. tłum.)**

załatwiać swoje sprawy poza miastem, co byłoby dla niego uciążliwe.

JeriLee słyszała wystarczająco dużo rozmów na temat bankowości, aby zrozumieć, jak się prowadzi interesy.

— Czy miał dużo na koncie? — zapytała przebiegle. Randall zaczerwienił się. Trafiła w dziesiątkę. Musieli pamiętać o tym, że ten człowiek miał saldo większe niż jakikolwiek inny klient banku. Jego tygodniowy dochód był fantastyczny.

— Tak — przyznał.

Udowodniwszy to, co chciała, JeriLee zamilkła. John przyglądał się córce. Nie przypominała innych dziewcząt, ani nawet innych kobiet, które znał. Z pewnością jej matka nie miała takiej umiejętności docierania do sedna. JeriLee w wielu sytuacjach zdawała się rozumować jak mężczyzna. A jednocześnie była tak bardzo kobieca.

Jaki on jest? — zapytał z ciekawością.

— Jaki jest kto? — wtrąciła Weronika, która przyniosła z kuchni jajka na bekonie.

— Walter Thornton. JeriLee spotkała go wczoraj w autobusie.

— Ach, on. Czytałam w gazetach, że przeprowadza rozwód. Podeszła do drzwi jadalni i zawołała:

— Bobby! Masz w tej chwili zejść na śniadanie. Inaczej spóźnisz się do szkoły.

Zza drzwi doleciał stłumiony głos chłopca.

— To nie moja wina, mamó. JeriLee całe rano zajmowała łazienkę.

Weronika wróciła do pokoju i usiadła przy stole.

— Nie wiem, co mam z nim zrobić. Codziennie wymyśla inną wymówkę.

John spojrział na siedzącą naprzeciw córkę i uśmiechnął się. Spłonęła rumieńcem.

— Nie denerwuj się — uspokoił żonę. — To się czasem zdarza. Mogę go przecież podrzucić do szkoły w drodze do banku.

Weronika zwróciła się do córki.

— Jaki on jest? — zapytała. — Pan Smith mówi, że ile razy pani Thornton przychodziła do jego sklepu, załatwywało

od niej alkoholem. Czasami podejrzewał nawet, że jest pijana. Wszyscy współczuli jej mężowi. JeriLee wzruszyła ramionami.

— Wydawał mi się miły. Spokojny. Nie zgadlibyście, że jest tym, kim jest.

--Powiedziałaś mu, że chcesz zostać pisarką? — dopytywała się matka.

JeriLee skinęła głową.

— I co on na to?

— Uważa, że to dobry pomysł. Był bardzo uprzejmy.

— Może rzuciłby okiem na twoje rzeczy? Mógłby ci coś doradzić.

— Mamo! — zawołała JeriLee. — Człowiek taki jak on nie będzie sobie zawracał głowy czytaniem prac uczennicy.

— Czy ja wiem? Nigdy nie...

— Moim zdaniem nie powinna go fatygować — wtrącił się John. — JeriLee ma rację. Ten człowiek jest profesjonalistą. Nie wypada go prosić. Na pewno ma ważniejsze sprawy.

— Ale... — zaczęła Weronika. Znowu jej przerwał.

— Poza tym on nie należy do ludzi, z którymi JeriLee powinna się stykać. Bardzo się od nas różni. Wyznaje inne zasady. Wszyscy wiedzą, że komuniści mają swobodne obyczaje.

— Thornton jest komunistą? — zapytała Weronika. John skinął głową.

— Pan Carson mówi, że bank musi być bardzo ostrożny w interesach z nim. Nie chcemy, żeby ktokolwiek nabrał o nas błędnego mniemania.

Pan Carson był prezesem banku, liderem partii republikańskiej i najważniejszą osobistością w Port Clare. Przez ostatnie dwadzieścia lat wybierał burmistrza. Był jednak zbyt skromny, by samemu objąć ten urząd.

To zrobiło na Weronice wrażenie.

— Skoro pan Carson tak sądzi...

— Moim zdaniem to niesprawiedliwe! — wybuchnęła JeriLee. — Wielu ludzi uważa, że senator McCarthy był gorszy niż komuniści.

— Senator McCarthy jest prawdziwym Amerykaninem. Tylko on bronił nas przed komunistami. Zważywszy na

postępowanie Trumana, to naprawdę szczęście, że nie oddaliśmy im całego kraju — stwierdził John z przekonaniem. — Ojciec ma rację, kochanie — przyznała Weronika. — Im mniej będziesz miała z tym panem do czynienia, tym lepiej

JeriLee była bliska łez.

— Przecież ja nic nie robię, mam. On po prostu siedzi obok mnie w autobusie.

— W porządku, JeriLee — uspokoiła ją matka. — Tylko uważaj, aby ludzie za często nie widzieli, że z nim rozmawiasz.

Bobby wpadł do jadalni, przysunął krzesło do stołu i zaczął sobie nakładać jajka na bekonie.

— Co to ma znaczyć? — zapytała ostro Weronika. — Zapomniałeś o dobrych manierach? Nawet nie powiedziałaś „dzień dobry”.

— Dzień dobry — mruknął Bobby z pełnymi ustami. Spojrzał na JeriLee. — Zresztą to jej wina. Gdyby nie siedziała tyle czasu w łazience, nie spóźniłbym się.

— Nie przejmuj się — powiedział John. — Podrzucę cię do szkoły.

Bobby uśmiechnął się triumfująco.

— Fajnie, tato. Dzięki.

JeriLee ukłuło żądło nienawiści. Zazdrościła bratu jego męskiego porozumienia z ojcem. Może tak być musi. Jest przecież dziewczyną. To jednak niczego nie usprawiedliwia. To me jest dostateczny powód, aby czuła się wyłączona z ich świata.

Wstała od stołu.

— Wychodzę.

— Dobrze, kochanie — odrzekła Weronika i zaczęła zbierać talerze.

JeriLee obeszła stół i posłusznie pocałowała rodziców. Potem wzięła podręczniki, wyszła na ulicę i ruszyła w stronę przystanku.

Pana Thorntona nie było w autobusie ani tego ani następnego ranka. Ani jeszcze następnego. Kilka dni później przeczytała, że wyjechał do Hollywood na plan swojego najnowszego filmu. Potem wybierał się do Londynu, gdzie wystawiano jedną z jego sztuk. Zobaczyła go ponownie dopiero następnego lata, dzień po swoich szesnastych urodzinach. Do tego czasu przestała być dziewczyną. Stała się kobietą.

Fizycznie dojrzała dużo wcześniej. Piersi zaczęły jej się rozwijać, kiedy skończyła jedenaście lat. Zanim skończyła dwanaście, już miesiączkowała. W wieku lat piętnastu jej twarz nosiła jeszcze ślady dziecięcej pulchności, ale zniknęły one podczas tej zimy i policzki JeriLee stały się interesująco pociągłe. Zauważyła, że gęstnieją jej włosy pod pachami i na wzgórku łonowym. Jak wszystkie jej rówieśnice zaczęła się golić pod pachami i używać dezodorantu. Uświadamiała sobie także inne zmiany, które w niej zachodziły.

Miało to początek wiosną, kiedy jako członkini dziewczęcego zespołu zagrzewaczek wyszła na boisko, gdzie trenowała drużyna baseballowa. Jak pozostałe dziewczęta, była ubrana w luźną koszulkę gimnastyczną z pomarańczowo-czarnymi literami PC na białym tle i bardzo krótką, ledwo zakrywającą pośladki spódniczkę. Zająły miejsce przed trybunami. Panna Carruthers, nauczycielka gimnastyki, ustawiła dziewczęta w szereg, tyłem do graczy. Ponieważ JeriLee należała do zespołu w roku poprzednim, kazała jej stanąć obok siebie, aby przećwiczyła z koleżankami różne okrzyki.

Po mniej więcej piętnastu minutach do nauczycielki zbliżył się pan Loring, trener baseballistów.

— Czy mógłbym z panią zamienić kilka słów?

— Oczywiście.

Stała, czekając, aż zacznie mówić. Loring odchrząknął.

— Na osobności.

Skinęła głową i podeszła za nim do ławki rezerwowych. Rozejrzawszy się uważnie dookoła, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy, trener zwrócił się do nauczycielki.

— Co pani usiłuje zrobić z moją drużyną — warknął.

— Nie... nie rozumiem — wybąkała z zakłopotaniem.

— Nie widzi pani? — syknął. — W ciągu tych piętnastu minut odkąd tu jesteście, moi chłopcy zmarnowali dwa dobre rzuty, jeden z graczy potknął się o jakąś dziurę, a drugi dostał piłką w żołądek.

Dalej nie rozumiała.

— Co to ma wspólnego ze mną? Trener był bliski wybuchu.

— Musi pani zabrać stąd te dziewczuchy, bo inaczej

nic nie zostanie z mojej drużyny jeszcze przed początkiem sezonu.

Proszę pana! — wykrzyknęła z oburzeniem. — Moje dziewczęta w żaden sposób nie przeszkadzają pańskim zawodnikom. One tylko robią swoje.

— Mają zagrzewać chłopców do gry — burknął Loring. — A nie podniecać ich. Niech pani spojrzy na tę tam. Wszystko jej sterczy.

— Chodzi panu o JeriLee?

Tak, o nią! — potwierdził gniewnie. — To nie guziki wystają z przodu jej koszulki!

Panna Carruthers milczała przez chwilę, przyglądając się JeriLee. Niewątpliwie było w niej coś samiczego. Jej twarde sutki rysowały się wyraźnie nawet pod luźnym wdziankiem.

— Rozumiem, co pan ma na myśli — powiedziała w zamyśleniu.

— Musi pani coś z nią zrobić — upierał się trener. — Kazać nosić stanik, czy coś.

Wszystkie moje dziewczęta noszą staniki — odparła.

— Więc niech pani znajdzie taki, który będzie pasował! — warknął Loring.

W tej samej chwili na drugim końcu boiska rozległ się głośny trzask. Jeden z graczy wpadł w pełnym biegu na bandę i runął na ziemię. Natychmiast zebrali się wokół niego pozostali zawodnicy. Trener pospieszył na boisko. Gdy dotarł na miejsce, chłopak siadał niepewnie.

— Do cholery, Bernie! — powiedział ze złością Loring. — Co ty wyprawiasz? Chcesz się zabić?

— Nie, proszę pana. Próbowałem złapać piłkę, ale oślepiło mnie słońce.

Loring spojrzał do góry.

— Słońce? Jakie słońce? — krzyknął. — Niebo jest zachmurzone.

Popatrzył na koniec boiska i zobaczył JeriLee. Nawet z tej odległości mógł dostrzec, jak poruszają jej się piersi. Miał już tego dość.

— Niech pani zabiera te dziewczyny z boiska! — wrzasnął.

Bernie czekał na JeriLee po treningu. Kiedy szli na przystanek autobusowy, starał się dostosować swoje tempo do jej kroku.

— Nic sobie nie zrobiłeś, Bernie? — zapytała. Potrząsnął głową.

— Nieźle wyrznąłeś w ten płot. Powinieneś uważać, jak biegiesz.

— Patrzyłem na ciebie — przyznał.

— To głupie. Nie wolno ci spuszczać oka z piłki.

— Wiem. To samo powiedział trener.

— Więc dlaczego patrzyłeś na mnie?

— Naprawdę nie wiesz?

— Nie — odparła z irytacją. — Nie wiem.

— Urosłaś od zeszłego roku.

— Oczywiście, że urosłam, głuptasie. Ty również.

— Nie chodzi mi o to — zaczął, podnosząc rękę nad głowę, — Tylko o to... — Rozłożył obie dłonie przed swoją klatkę piersiową.

— Chodzi ci o... Skinął głową.

— Zupełnie jak Marilyn Monroe. Wszystkie chłopaki to mówią.

Zaczerwieniła się i mimowolnie spojrzała w dół.

— Są głupi — powiedziała, ale jednocześnie poczuła, że twardnieją jej sutki i oblewa ją gorąco.

ROZDZIAŁ 4

Beach Club na Przylądku otwierano w połowie maja, kiedy zaczynał się sezon. Letnicy przyjeżdżali z Nowego Jorku najpierw na weekendy, a potem, gdy skończyła się szkoła, zostawali dłużej. Wówczas w tygodniu klub roił się od dzieci, a w soboty i niedziele wygrzewali się na słońcu ojcowie, wyczerpani zbyt dużą dawką tenisa lub golfa.

Każdego

sobotniego wieczoru urządzano zimny bufet i tańce dla członków.

Praca w klubie była dla miejscowej młodzieży atrakcyjnym zajęciem. Bernie pierwszy podsunął JeriLee myśl, że powinna się o nią starać.

— Będę tego lata pracował w klubie — oznajmił.

— Jako kto?

— Jako ratownik.

— Przecież nie pływasz za dobrze. Nawet ja jestem lepsza od ciebie.

Uśmiechnął się do niej.

— Oni o tym wiedzą.

— I mimo to cię przyjęli? Przytaknął.

— Uznali, że jestem wyrośnięty. Dzieciaki będą się mnie słuchać.

Pokiwała głową. W wieku siedemnastu lat miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona i muskularną sylwetkę.

Poza tym zatrudnili już dwóch pierwszorzędnych pływaków do pilnowania plaży. Tam ich naprawdę potrzebują. Ja będę pracował na basenie. To łatwe.

— Na basenie kręci się najwięcej dziewczyn z miasta — powiedziała, poczuwszy dziwne ukłucie zazdrości. — Będzie ci się nieźle powodziło.

Zaczerwienił się.

— Tylko bez takich, JeriLee. Wiesz przecież, że nie zwracam uwagi na inne dziewczyny.

— Nawet kiedy chodzą w dwuczęściowych kostiumach, no wiesz, tych francuskich, które nazywają się bikini?

— I tak nie będą tobą — odrzekł z zakłopotaniem. — Dlaczego ty się nie postarasz o pracę tutaj? — zapytał po chwili.

— Co miałabym robić?

— Słyszałem, jak pan Corcoran mówił komuś, że szukają kelnerek. To nieźle zajęcie. Tylko kilka godzin w porze lunchu i kolacji. W przerwie masz czas dla siebie. Moglibyśmy się wtedy często widywać.

Czy ja wiem? — odparła niezdecydowanie. — Wątpię, żeby ojcu się to spodobało. Wiesz, co sądzi o letnikach.

— Poproś go.

— Dlaczego uważasz, że dostanę tę pracę?

— Pan Corcoran powiedział, że większość dziewcząt, z którymi rozmawiał, nie była wystarczająco ładna. A dla klubu to bardzo ważne, żeby personel dobrze się prezentował. — Spojrzał na nią. — Nie miałabyś najmniejszego problemu.

Uśmiechnęła się.

— Naprawdę tak myślisz? Skinął głową.

— Więc może poproszę ojca.

Ojciec uznał, że to dobry pomysł. Zauważył, że się rozwinęła i nagle zaczęła wzbudzać zainteresowanie chłopców. Niepokoił się, że kiedy nadejdą wakacje, nie będzie dostatecznie zajęta. Gdy już wyraził zgodę i umówił się na rozmowę z panem Corcoranem, miała posadę zapewnioną, ponieważ bank prolongował spłatę ciężącego na klubie długu hipotecznego.

Do końca roku szkolnego pracowała tylko w soboty i niedziele. W południe podawała lunch przy basenie. W sobotnie wieczory obsługiwała gości w sali restauracyjnej klubu.

Lunch nie stanowił problemu, ponieważ menu było proste: głównie hamburgery, hot-dogi i kanapki, plus dodatki — sałatka z surowej kapusty lub ziemniaków i frytki. Po lunchu, który kończył się około wpół do czwartej, miała wolne do szóstej. Potem zgłaszała się do restauracji, aby pomagać w nakrywaniu stolików.

Trzy inne dziewczyny, z którymi pracowała na sali, spędziły już w klubie dwa sezony i potrafiły się ustawić. W związku z tym na JeriLee spadała cała brudna robota. Pracę utrudniało także to, że kierownik restauracji i kucharz, dwaj Włosi będący braćmi, stwarzali atmosferę paniki, krzycząc na siebie po włosku, a na wszystkich pozostałych w łamanej angielszczyźnie.

Kiedy skończyła się szkoła i całe rodziny zjechały na lato, w każdą sobotę urządzano wieczorki taneczne, na które sprowadzano z miasta małe orkiestry. Po zamknięciu restauracji JeriLee i inne dziewczyny przenosiły się do baru, gdzie znajdował się parkiet do tańca. Siadały na tarasie i słuchały muzyki, przyglądając się tańczącym gościom. Bernie był jednym z dwóch chłopców, którzy pomagali kelnerom obsługiwać

rozstawione wokół parkietu stoliki. JeriLee czekała na niego, aby odwiózł ją do domu, co następowało zwykle koło pierwszej w nocy.

Ojciec pomógł mu kupić limuzynę plymouth belveder, rocznik 1949, i spłaty pochłaniały prawie całe zarobki Berniego. Wydawało się, że tego lata, na skutek obowiązków związanych z pracą i utrzymaniem samochodu, razem z ciemną opalenizną i rozjaśnionym od słońca kolorem włosów, Bernie nabrał także dojrzałości. Przestał już być chłopcem.

Miały na to wpływ również dziewczęta z klubu. Jako ratownik na basenie należał do nielicznych mężczyzn, którzy byli stale na miejscu. Było więc nieuniknione, że zechcą wypróbować na nim swoje wdzięki.

JeriLee była tego świadkiem, kiedy przebrawszy się w kostium kąpielowy szła po południu na basen, aby się ochłodzić. Dziewczęta bez przerwy posyłały Berniego po colę, papierosy czy ręcznik albo prosiły go, żeby uczył je pływać czy nurkować. Kłuiła ją zazdrość, gdy widziała, jak chłopak promienieje wśród tego zainteresowania. Nigdy jednak nie powiedziała nic, co wskazywałoby, że coś zauważyła.

Zamiast tego zsuwała się do wody i pływała tam i z powrotem, dopóki ramiona nie zaczynały jej ciążyć jak ołów. Wówczas wychodziła na brzeg na drugim końcu basenu, daleko od krzesła ratownika i wyciągnawszy się na ręczniku na betonowym ocembrowaniu, czytała książkę. Kiedy zbliżała się pora powrotu do pracy, zbierała rzeczy i opuszczała basen nie oglądając się za siebie.

Po jakimś czasie zaczęło to do Berniego docierać i pewnego wieczoru w drodze do domu zapytał:

Dlaczego nie odzywasz się do mnie, kiedy przychodzisz po południu na basen?

Patrz na szosę — odpowiedziała, ignorując pytanie.

— Gniewasz się o coś?

— Nie — odparła krótko. — Znasz przepisy. Pan Corcoran nie życzy sobie, żeby personel rozmawiał między sobą przy gościach.

— Nie wygłupiaj się. Nikt nie zwraca na to uwagi i dobrze o tym wiesz.

— Poza tym zawsze jesteś zbyt zajęty. — Przybrała nowojo-

rski akcent. — „Bernie, czy moje pociągnięcia nie są za krótkie? Bernie, mam ochotę na colę. Bernie, mógłbyś mi podać ogień?”

— Mówisz tak, jakbyś była zazdrosna.

— Nie jestem zazdrosna!

— To należy do moich obowiązków — powiedział tonem usprawiedliwienia.

— Oczywiście — odparła z nutą złośliwości w głosie. Bernie w milczeniu jechał szosą prowadzącą na Przylądek. Skręcił na parking z widokiem na Cieśninę i wyłączył motor. Stało tam tylko kilka samochodów, wszystkie ze zgaszonymi silnikami i światłami. Z któregoś dolatywały słabe dźwięki muzyki. Było jeszcze wcześniej. Kiedy o drugiej w nocy kluby i bary zostaną zamknięte, parking się zapełni.

Odwrócił się do JeriLee i spróbował ją objąć. Odepchnęła jego rękę.

— Jestem zmęczona, Bernie. Chcę wrócić do domu.

— Jesteś zazdrosna.

— Po prostu nie podoba mi się to, że robisz z siebie idiotę, to wszystko.

— Nie robię z siebie idioty — zaprotestował szybko. — Muszę być miły dla gości.

— Jasne.

— Poza tym żadna z tych dziewczyn nie umywa się do ciebie, JeriLee. Wszystkie są takie fałszywe i sztuczne.

— Naprawdę tak uważasz? Skinął głową.

— Nawet Marian Daley?

Marian Daley, siedemnastoletnia blondynka rozpieszczana przez zaślepionych rodziców, nosiła najskąpsze bikini w całym klubie i mówiono, że jest jeszcze bardziej zdemoralizowana niż dziewczęta nowojorskie.

— Ona jest najbardziej fałszywa ze wszystkich — odrzekł. — Chłopaki wiedzą, że to największa flirciara w okolicy.

Nieświadomie powiedział dokładnie to, co trzeba. JeriLee złagodniała.

— Zaczynałam się zastanawiać... Ona ani przez chwilę nie daje ci spokoju.

— Ona nie daje spokoju żadnemu facetowi — stwierdził Bernie, ucinając w ten sposób dyskusję.

Ponownie spróbował ją objąć. Przysunęła się do niego i podniosła usta do pocałunku. Jego wargi były ciepłe i miękkie. Po chwili położyła mu głowę na ramieniu.

— Tak tu cicho — szepnęła.

— To prawda — odparł.

Podniósł jej twarz ku swojej i znów ją pocałował. Tym razem jego usta były twardsze i bardziej chciwe.

Była świadoma jego podniecenia i własnej reakcji. Serce biło jej jak młotem. Rozchyliła lekko wargi i język Berniego znalazł się w jej ustach. Przebiegła ją fala ciepła, poczuła dziwną słabość. Przytuliła się do niego mocniej. Dłonie chłopca ześliznęły się z ramion dziewczyny na jej piersi. Poczul, że twardziej jej sutki.

— Boże! — jęknął cicho, manipulując przy guzikach jej bluzki.

Chwyliła jego dłoń, aby go powstrzymać.

— Nie, Bernie — rzekła miękko. — Nie psuj wszystkiego.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa, JeriLee — wyszeptał. — Chcę ich tylko dotknąć, nic więcej.

— Nie można. Wiesz, że to prowadzi do innych rzeczy.

— Cholera! — zaklął, wpadłszy nagle w złość. Cofnął ręce. — Jesteś jeszcze gorsza niż Marian Daley. Ona przynajmniej pozwala facetowi pomacać swoje cycki.

— Więc robiłeś to z nią — stwierdziła oskarżycielskim tonem.

— Nie robiłem! — zaprotestował, zapalając papierosa.

— Sądziłam, że nie wolno ci palić.

— Nie jestem na treningu — warknął.

— Jeśli z nią tego nie robiłeś, skąd o tym wiesz?

— Znam kilku chłopaków, którzy robili. I ja też mógłbym.

— Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Skoro właśnie tego chcesz.

— Nie chcę jej. Chcę ciebie. Ty jesteś moją dziewczyną. Nie potrzebuję żadnej innej.

Zobaczyła na jego twarzy urazę i zakłopotanie.

— Bernie, jesteśmy o wiele za młodzi na te rzeczy — zauważyła łagodnie.

Już wtedy wiedziała jednak, że wewnętrzne prądy niosą ją coraz bliżej i bliżej brzegu jej własnej seksualnej świadomości.

ROZDZIAŁ 5

- jesteś tu nowa, prawda?

Leżała na brzuchu obok basenu i pierwszą rzeczą, którą zobaczyła otworzywszy oczy, były jego białe stopy mieszczaucha. Przekreśliła się na bok i mrużąc powieki od słońca popatrzyła w górę.

Chłopak był wysoki. Nie tak wysoki i szeroki w ramionach jak Bernie, ale również dobrze zbudowany, z kręconymi czarnymi włosami. Uśmiechnął się.

— Postawię ci colę. Usiadła.

— Nie, dziękuję — odmówiła uprzejmie.

— Nie wygłupiaj się — zaoponował. — Tutaj wszyscy jesteśmy kumplami.

Potrząsnęła głową.

— Ja tu pracuję. To wbrew przepisom.

— Idiotyczne przepisy.

Wykrzywił się w uśmiechu i wyciągnął rękę.

— Mam na imię Walt.

— JeriLee.

Uścisnęła jego dłoń i, zanim się zorientowała, postawił ją na nogi.

— I tak zafunduję ci colę — powiedział. — Chciałbym zobaczyć, jak próbują mi w tym przeszkodzić.

— Nie, proszę. Nie rób zamieszania. — Podniosła ręcznik. — Poza tym muszę nakryć stoliki do kolacji.

Odwróciła się, aby odejść.

— Może spotkamy się później, na tańcach.

— Tego też nam nie wolno.

— Więc chodźmy do jakiejś knajpy z szafą grającą.

— Będzie już zbyt późno. Będę musiała iść do domu.

— Mam przeczucie, że nie chcesz się ze mną umówić. Nie odpowiedziała. Odeszła szybkim krokiem, czując w dołku dziwny ucisk, przyprawiający o drżenie nóg.

Zobaczyła go ponownie tego samego wieczoru, w grupie

dziewcząt i chłopców siedzących w restauracji. Zajmował miejsce obok Marian Daley i robił wrażenie pochłoniętego rozmową. Kiedy podniósł wzrok i zauważył, że przechodzi obok, skinął głową i uśmiechnął się. Weszła do kuchni przez wahadłowe drzwi, znów czując tę dziwną słabość. Była zadowolona, że nie siedzi przy którymś z jej stolików.

— Zostajesz na tańce? — zapytała Lisa, jedna z kelnerek, gdy chowały ostatnie talerze.

JeriLee wytarła ręce do sucha.

— Raczej nie. Chyba wrócę do domu.

Podobno solista w nowej orkiestrze śpiewa jak Sinatra.

— Jestem za bardzo zmęczona. Jeżeli zobaczysz Berniego, powiedz mu, że pojechałam do domu. Powinam jeszcze zdążyć na autobus o jedenastej trzydzieści.

— A więc do jutra.

— Cześć — odparła JeriLee. — Baw się dobrze. Mijając klub słyszała słabe dźwięki muzyki. W myślach zobaczyła parkiet.

Walt tańczy z Marian Daley, która przytula się do niego mocno. Jej pełne piersi wychylają się z dekoltu sukienki.

Uśmiecha się wilgotnymi wargami. On patrzy na nią i zaczynają tańczyć jeszcze bliżej siebie. Potem szepcze jej coś do ucha. Ona śmieje się i kiwa głową. Chwilę później schodzą z parkietu i idą do jego samochodu.

Wszystko wydawało się tak rzeczywiste. Przez moment spodziewała się nawet, że spotka ich na parkingu. Przyspieszyła kroku, aby tego uniknąć i natychmiast stanęła jak wryta.

JeriLee, powiedziała do siebie. Co się z tobą dzieje? Chyba oszalałaś!

— Idziesz na przystanek, JeriLee? — zapytał z tyłu jakiś głos.

Odwróciła się. Był to Martin Finnegan, jeden z chłopców pracujących na plaży, który w sobotnie wieczory pomagał kelnerom w restauracji. Wszyscy uważali go za dziwaka, ponieważ prawie z nikim nie rozmawiał.

— Tak, Martin.

— Mogę iść z tobą?

— Dobrze.

W milczeniu dostosował swoje tempo do jej kroku. Doszli już niemal do przecznicy, zanim się odezwał.

— Pokłóciłaś się z Berniem?

— Nie. Dlaczego tak myślisz?

— Nigdy dotąd nie widziałem, żebyś wracała autobusem.

— Po prostu byłam dziś zbyt zmęczona, żeby zostać na tańce. Ty nigdy nie zostajesz, prawda?

— Nie.

— Nie lubisz tańczyć?

— Jasne, że lubię.

— Więc dlaczego?

— Muszę wstawać wcześniej, żeby iść do pracy.

— Zaczynasz na plaży dopiero o wpół do jedenastej.

— W niedzielę pracuję u Lassky'ego i muszę być o piątej rano na stacji, żeby odebrać nowojorskie gazety. —

Spojrzał na nią. — W tygodniu dostajecie codziennie *Herald Tribune*, a w niedzielę także *Timesu*.

— Skąd o tym wiesz?

— Przygotowuję prasę do rozwożenia. Dokładnie wiem, co kto czyta.

— To interesujące.

— Naprawdę. Zdziwiałem, ile można się dowiedzieć o ludziach tylko na podstawie tego, jakie gazety czytają. Na przykład szef twojego ojca, pan Carson. Jego ulubiony dziennik to *Daily Mirror*.

— *Daily Mirror*? Ciekawe dlaczego. Uśmiechnął się.

— Powiem ci, dlaczego. Tylko ta gazeta drukuje pełne wyniki gonitw ze wszystkich torów w kraju. Często się zastanawiam, co by ludzie pomyśleli, gdyby wiedzieli, że prezes jedyne banku w mieście gra na wyścigach.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Lassky nazywa *Daily Mirror* tajnym totalizatorem graczy. To prawdziwa gazeta wyścigowa.

Byli już prawie na przystanku.

— Czy chodzisz z Berniem na stałe? — zapytał.

— Bernie to mój dobry kolega.

— On twierdzi, że jesteś jego dziewczyną.

— Lubię Berniego, ale on nie ma prawa tak mówić.

— Umówiłabyś się z innym chłopakiem, gdyby cię poprosił?

— Może.

— Umówiłabyś się ze mną? Nie odpowiedziała.

— Nie mam tyle pieniędzy, co Bernie, ani samochodu, ale gdybyś chciała, mógłbym ci któregoś wieczoru postawić kino i colę.

W jego głosie wyczuwało się niepewność.

— Możemy się gdzieś kiedyś wybrać — odparła łagodnie. — Ale pod warunkiem, że każde płaci za siebie.

— Nie trzeba. Stać mnie na to. Naprawdę.

— Wiem, ale tak właśnie robimy z Berniem.

— Poważnie?

— Tak.

W takim razie zgoda — powiedział, uśmiechając się. Jezu, to świetnie. Już dawno chciałem się z tobą umówić, ale zawsze się bałem.

Wybuchnęła śmiechem.

— Nie było to wcale takie trudne, prawda?

— Nie — przyznał. — W przyszłym tygodniu?

— Dobrze.

i Autobus zatrzymał się przy nich z piskiem opon. Otworzyły się drzwi. Martin nalegał, że za nią zapłaci, a ponieważ bilet kosztował tylko dziesięć centów, pozwoliła mu.

— J^{ezu}> JeriLee. Jesteś naprawdę bardzo miła.

— Pan też nie jest najgorszy, panie Finnegan. Zauważyła, że niesie książkę.

— Co czytasz?

— „Wiek męski młodego Studsa Lonigana" Jamesa T. Farrella.

— Nigdy o tym nie słyszałam. Dobrze?

Według mnie tak. W pewnym sensie przypomina mi moją rodzinę. To o Irlandczykach z South Side w Chicago.

— Pożyczysz mi, kiedy skończysz?

— Wypożyczyłem tę książkę z biblioteki. Przedłużę ją i dam ci w przyszłym tygodniu.

Wyrzała przez okno. Dojeżdżali na jej przystanek.

— Wsiadam tutaj.

Wstał razem z nią.

— Odprowadzę cię do domu.

— Nie trzeba. Nic mi się nie stanie.

— Już prawie północ — powiedział stanowczo. — Odprowadzę cię.

— Będziesz musiał czekać pół godziny na następny autobus.

— Nie szkodzi.

Na progu odwróciła się do niego.

— Bardzo ci dziękuję, Martin. Uścisnął jej rękę.

— Dziękuję, JeriLee. Nie zapomnij, obiecałaś, że pójdziemy do kina.

— Nie zapomnę.

— A ja będę pamiętał, żeby dać ci książkę. Dobranoc.

— Dobranoc, Martin.

Patrzyła, jak schodzi po stopniach ganku, a potem odwróciła się i otworzyła drzwi.

Rodzice oglądali telewizję w salonie. Spojrzeli na córkę, gdy weszła.

— Nie słyszałam samochodu Berniego — powiedziała matka.

— Wróciłam autobusem. Nie zostałam na tańcach.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — zapytała Weronika.

— Tak, mam. Jestem tylko trochę zmęczona, to wszystko.

— Wracałaś sama? — odezwał się John. — Wcale mi się to nie podoba. Tak późno w nocy. Następnym razem zadzwoń, to przyjadę po ciebie.

— Wracałam z kimś. Martin Finnegan odprowadził mnie pod same drzwi.

Zauważyła zmianę w wyrazie twarzy ojca.

— Był bardzo miły. Bardzo uprzejmy — dodała.

— On może i jest taki, ale ta rodzina ma złą opinię. Jego ojciec nie pracuje od lat i razem z żoną spędza większość czasu w barach. Nie mam pojęcia, z czego żyją.

— Martin jest inny. Czy wiesz, że oprócz Beach Club pracuje codziennie rano u Lassky'ego?

— Bardzo ładnie, ale mimo to wolałbym, żebyś się z nim

za często nie widywała. Nie chcę, aby ludzie pomyśleli, że to pochwalam.

— Nie rozumiem, co komu do tego, z kim się widujemy. Kiedy jest się bankierem, ludzi interesuje wszystko, co się robi. Jak inaczej twoim zdaniem można zdobyć ich zaufanie?

Pomyślała o panu Carsonie i o tym, co powiedział jej Martin. Przez chwilę kusilo ją, aby powtórzyć to ojcu. Milczała jednak.

— Jestem zmęczona — stwierdziła. — Wezmę gorącą kąpiel i pójdę do łóżka.

Pocałowała rodziców na dobranoc i poszła na górę do swojego pokoju. Puściła wodę do wanny i zaczęła się rozbierać. Pomyślała o Martinie, a potem o Walcie. Znow przebiegła ją fala ciepła i poczuła dziwną miękkość w nogach.

Patrzyła na odbicie swego nagiego ciała w wiszącym nad toaletką lustrze. Biel piersi kontrastowała z opalenizną. Sutki bolały ją i miała wrażenie, że próbują wystrzelić z piersi. Dotknęła ich z ciekawością. Przeszył ją dreszcz podniecenia, zakończony przyływem gorąca do wzgórka łonowego. Musiała się oprzeć o toaletkę.

Zanurzyła się w ciepłej kąpiel. Czuła ból w łonie i kłucie w piersiach, jakiego nigdy dotąd nie doznała. Woda działała kojąco. Powoli zaczęła się namydlać. Jej ręka sunęła w dół ciała, zwiększając bolesną przyjemność. Jakby we śnie, dotknęła wzgórka łonowego. Mydło zapieniło się na włosach. Oparła się o wannę i zamknęła oczy.

Wzbierało w niej podniecenie. Ruchy dłoni stały się niemal automatyczne.

Gdy pojawiła się przed nią twarz Walta, wszystkie mięśnie w jej łonie rozluźniły się, a potem skurczyły w ostrym, rozzierającym błysku białego ognia. Prawie krzyknęła w rozkoszy swego pierwszego orgazmu. Kiedy minął, czuła się osłabiona, zadowolona, a jednak dziwnie pusta.

Czy naprawdę na tym polega miłość? — zastanawiała się. I leżąc bezsennie w łóżku długo w nocy nie potrafiła przestać o tym myśleć.

ROZDZIAŁ 6

Nagle zaczęła zauważać to wszędzie. W czasopismach, gazetach i książkach, które czytała. W filmach, które oglądała. W ogłoszeniach i reklamówkach telewizyjnych. W rozmowach przyjaciół. I wszystko zaostrzało rosnącą świadomość jej własnego seksualizmu.

Wyglądało to tak, jakby Walt wyzwolił reakcję prowadzącą na drogę, co do której nie była przekonana, czy pragnie się na niej znaleźć. Niepewna tych nowych uczuć, walczyła z chęcią odkrywania, gdyż nie wiedziała, co właściwie chce odkryć.

Jej sny były pełne seksualnych fantazji z udziałem wszystkich osób, jakie знаła, nawet rodziców i brata. Rano budziła się zmęczona, walcząc z sennością.

Zacząła się regularnie masturbować. Najpierw tylko w kąpieli, potem także w łóżku. Bardzo szybko przestało jej to jednak wystarczać. Dzień między przebudzeniem i zaśnięciem był o wiele za długi. Osiągnęła już taką perfekcję w samoza-spokajaniu, że potrafiła się rozładować w ciągu dosłownie paru chwil. Podczas pracy znikła w toalecie kilka razy dziennie i dokładnie zamykała drzwi. Jak szalona podciągała sukienkę, zsuwała majtki i, oparta o sedes, oddawała się słodkim doznanom, których dostarczały jej własne palce. Po paru minutach wracała do pracy jak gdyby nigdy nic.

W tym okresie wewnętrznego zamętu, zewnętrznie wydawała się prawie nie zmieniona. Może tylko była bardziej niż dotąd sztywna w stosunkach z chłopcami, ponieważ nie ufała sobie. Zaczęła unikać kontaktów z nimi, nawet z Bernie, o ile było to możliwe. Nie czekała już na niego, aby odwiózł ją do domu. Wychodziła wcześniej, żeby poszukać schronienia w swoim łóżku.

W końcu pewnego dnia Bernie ją zaczepił.

— Co się stało, JeriLee? Czy zrobiłem coś złego? Zaczerwieniła się.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Nic się nie stało.

Już od ponad dwóch tygodni nie byliśmy ze sobą sami. Nie pozwalasz się odwozić do domu. Jestem po prostu zbyt zmęczona, żeby czekać, aż skończysz pracę, to wszystko.

— Na pewno?

— Tak.

— Więc zaczekasz na mnie dzisiaj?

Wahała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

— Dobrze.

Ze ściśniętym gardłem, bliska łez, weszła do sali restauracyjnej i zaczęła nakrywać stoły do kolacji. Skręcił na parking na Przylądku.

— Nie zatrzymuj się, Bernie — poprosiła z napięciem w głosie. — Naprawdę jestem bardzo zmęczona.

Chcę tylko z tobą porozmawiać, nic więcej — odparł, wyłączając silnik.

Muzyka z samochodowego radia popłynęła w nocne powietrze. Wyjął papierosa i zapalił go.

— Wciąż palisz?

— Tak.

Spojrzał na nią z ukosa. Siedziała tuż przy drzwiach, tak daleko od niego, jak tylko mogła.

— Nie lubisz mnie już, JeriLee?

— Lubię cię tak samo jak dawniej.

— Czy jest ktoś inny? — zapytał. — Wiem, że parę tygodni temu poszłaś do kina z Martinem.

Potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem — powiedział z zakłopotaniem.

— Zawieź mnie do domu, Bernie.

— Kocham cię, JeriLee.

To przerwało tamę. Rozpłakała się. Ukrywszy twarz w dłoniach trzęsła się od łkań.

Pochylił się i przyciągnął ją do siebie.

— Co się stało, JeriLee? — zapytał miękko.

— Nie wiem — odparła. Ramię Berniego tłumilo jej głos. — Chyba oszaleję. Mam takie zwariowane myśli.

— Jakie myśli?

— Nie potrafię o tym mówić. To zbyt straszne. — Odzyskała panowanie nad sobą. — Przepraszam.

— Nie masz za co przepraszać. Chciałbym ci pomóc.

— Nikt nie może mi pomóc. Muszę sobie z tym poradzić sama.

Ujął w dłoń jej podbródek, podniósł twarz dziewczyny ku swojej i pocałował ją delikatnie. Początkowo jej wargi były miękkie i drżące. Potem nagle wsunęła mu język do ust.

Przez chwilę był zaskoczony, szybko jednak udzieliło mu się jej podniecenie. Brutalnie przyciągnął JeriLee do siebie, zgniatając jej piersi.

Niepewnie objął jedną z nich dłonią. Słyszał, że dziewczyna oddycha szybciej, ale nie odepchnęła go, jak to zwykle robiła. Ośmielony brakiem oporu, wsunął rękę pod jej sukienkę i stanik. Poczł ciepło ciała i twardniejącą mu pod palcami sutkę. Gdy JeriLee jęknęła i zaczęła drżeć, sam doznał uczucia bolesnego napięcia w ciasnych spodniach.

— JeriLee!

Popchnął ją do tyłu na siedzenie, niemal przykrywając własnym ciałem. Manipulował przy jej sukience i jedna pierś uwolniła się ze stanika. Pochylił twarz i wziął w usta sterczącą sutkę. Kiedy przywarł do dziewczyny, jego twardość wbiła się w jej łono przez materiał ubrania.

To doznanie było zbyt silne. Orgazm całkowicie go zaskoczył. Zadygotał spazmatycznie i niekontrolowany wytrysk zmoczył mu spodnie.

— Jezu! — jęknął i zamarł.

Ona poruszała się jeszcze przez chwilę z zaciśniętymi mocno powiekami. Potem także znieruchomiała i otworzyła oczy.

Spojrzał w nie. Było w ich wyrazie coś, czego nigdy dotąd nie widział. Patrzyły tak, jakby JeriLee znalazła potwierdzenie czegoś, o czym zawsze wiedziała. Usiadł prosto i zerknął na nią. Sperma przesiąknęła przez spodnie na jej sukienkę.

— Przepraszam — powiedział.

— Wszystko w porządku — odezwała się spokojnie.

— Straciłem głowę. Poplamiałem ci sukienkę. Powoli usiadła. Robiła wrażenie bardzo opanowanej.

— Nie martw się — odrzekła.

— To się więcej nie powtórzy. Obiecuję.

— Wiem — odparła. — Odwieszysz mnie teraz do domu?

— Nie gniewasz się na mnie?

— Nie, Bernie. Nie gniewam się na ciebie — powiedziała miękko i szybko pocałowała go w policzek. — Dziękuję.

— Za co?

— Za to, że pomogłeś mi zrozumieć.

Odwiózł ją do domu, nie wiedząc, co miała na myśli.

O dziwo po tym wszystkim było jej łatwiej. Znalazłszy potwierdzenie swych najgorszych przeczuć co do samej siebie, zaczęła akceptować swój seksualizm. Niestety, nie miała z kim o tym porozmawiać. Matka była ostatnią osobą, której mogłaby się zwierzyć.

Weronika należała do przedwojennego pokolenia wyznającego zasady surowe i proste. Porządne dziewczęta tego nie robią, a te inne albo spotyka jakaś kara, albo zachodzą w ciążę. Była zawsze powściągliwa w łóżku. Nawet przy pierwszym mężu, ojcu JeriLee, który potrafił podniecić ją do takiego stopnia, że niemal traciła kontrolę nad sobą, udawało jej się opanować, zanim osiągnęła orgazm. I nigdy nie odczuwała jego braku. Przyzwoita kobieta ma zbyt wiele rzeczy na głowie. Seks to sprawa marginesowa, ważniejsze jest dobre prowadzenie domu i należyte wychowanie dzieci. Miała szczęście, że jej drugi mąż był równie konserwatywny jak ona.

Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu John Randall nie poszedł na wojnę. Kilkakrotnie zgłaszał się na ochotnika, ale zawsze go odrzucano. Tak więc gdy inni służyli w wojsku, on pracował dalej w banku i, należąc do nielicznych młodych ludzi, którzy tam pozostali, niemal automatycznie otrzymywał awans za awansem. Weronika Gerraghty po raz pierwszy podjęła pracę w banku w czasie wojny, kiedy jej mąż był na froncie. I już wówczas wywarła na Johnie ogromne wrażenie.

Ani trochę nie przypominała innych młodych kobiet, które opowiadały, jak bardzo tęsknią za mężami, a jednocześnie przymawiały się o spotkania i obiecywały różne rzeczy. Ona była cicha i uprzejma, uśmiechała się często, ale był to uśmiech koleżeński, a nie zaproszenie. Odkąd jej mąż wrócił do domu, John widywał Weronikę tylko wtedy, gdy przychodziła do banku, aby wpłacić lub podjąć pieniądze. Wówczas zawsze

zatrzymywała się przy jego biurku i pytała, jak się ma. I zawsze była miła.

Potem wydarzyła się tragedia. Jej mąż zginął w wypadku samochodowym, który miał miejsce późnym wieczorem na szosie pod miastem. O wypadku krążyły plotki. Bob zawsze był narwany. Tego wieczoru pił i widziano go z kobietą znaną ze złej reputacji. Żaden z tych faktów nie znalazł się jednak w notatce prasowej o śmierci pierwszego bohatera wojennego Port Clare.

John Randall pamiętał sprawdzanie papierów zmarłego. Jak na człowieka tak ekscentrycznego, Bob Gerraghty utrzymywał swoje sprawy w nadzwyczajnym porządku. John pomyślał wówczas, że to zasługa pani Gerraghty. Na ich wspólnym rachunku oszczędnościowym było około jedenastu tysięcy dolarów, a na rachunku bieżącym siedemset. Dokumenty wykazywały, że posiadał obligacje wojenne warte ponad dwa tysiące dolarów w dniu płatności. Hipoteka domu, wysokości dwudziestu pięciu tysięcy, została całkowicie spłacona z polisy ubezpieczeniowej, podobnie jak drobna pożyczka w wysokości tysiąca dolarów, którą wziął zaledwie miesiąc wcześniej. Było także ubezpieczenie wojskowe na dziesięć tysięcy, przekształcone w polisę cywilną. John słyszał również o kilku innych małych polisach, na sumę, której nie znał. Ponadto wdowie przysługiwała renta z ubezpieczenia społecznego dla niej samej i na dzieci. Wszystko to oznaczało, że powodziło jej się lepiej, niż sądziła większość ludzi.

John Randall posłał Weronice kondolencje i otrzymał uprzejme podziękowanie. Kilka tygodni po pogrzebie pojawiła się w banku i pomógł jej przepisać rachunki z męża na siebie. Zobaczył ją ponownie dopiero dwa miesiące później, gdy przyszła zapytać, czy nie znalazłaby się dla niej praca. Wyjaśniła, że chociaż nie ma kłopotów finansowych, czułaby się lepiej wiedząc, że sama zarabia na swoje utrzymanie. Pomyślał, że wykazuje dużo zdrowego rozsądku. Gdyby więcej kobiet było do niej podobnych, bank miałby mniej problemów. Szczęśliwym trafem akurat zwolniła się posada i w następnym tygodniu Weronika zaczęła pracować jako kasjerka w okienku rachunków oszczędnościowych.

Pracowała tam niewiele ponad trzy miesiące, gdy zaproponował jej spotkanie.

Zawahała się.

Czy ja wiem? Chyba jeszcze za wcześnie. Ludziom może się to nie spodobać.

Skinął głową ze zrozumieniem. Wiedział, o co jej chodzi. Pan Carson, prezes banku, był surowym prezbiterianinem i miał własne zdanie na temat tego, jak powinni się zachowywać jego pracownicy. Bez przerwy narzekał na destrukcyjny wpływ nowoczesnego myślenia na moralność.

— Zaczekam jeszcze trochę — obiecał Randall.

— Dziękuję — odrzekła.

Minęły jeszcze trzy miesiące, zanim poszli na pierwszą randkę: do kina i na kolację. Weronika wróciła do domu przed jedenastą, a on powiedział jej dobranoc pod drzwiami. Idąc do samochodu pokiwał głową. Był to uroczy mały domek — schludny, dobrze utrzymany i w dobrym sąsiedztwie. A ona sama nadawałaby się na żonę nawet dla przyszedłego prezesa banku.

Na miesiąc miodowy pojechali do Niagara Falls. Pierwszej nocy John stał przy oknie w nowej piżamie i jedwabnym szlafroku. W wiaderku chłodziła się gratisowa butelka szampana, jaką hotel dawał w prezencie wszystkim nowożeńcom. Prospekty obiecywały widok na wodospad, ale nie wspominały, że widoczny jest tylko niewielki fragment między dwoma hotelami. Patrząc z ukosa na zachmurzone niebo, usłyszał, że Weronika wchodzi do pokoju.

Miała na sobie jedwabną koszulę nocną z koronkową wstawką na piersiach i przezroczysty peniuar. Jej twarz przybrała lekko przestraszony wyraz.

— Napijesz się szampana? — zapytał. Skinęła głową.

Niezgrabnie otworzył butelkę. Korek wystrzelił i odbił się od sufitu. John wybuchnął śmiechem.

— W ten sposób można odróżnić dobry szampan od złego. Korek powinien wystrzelić.

Roześmiała się. Napełnił kieliszki i podał jej jeden.

— Toast — powiedział. — Za nas. Wypili.

— Smakuje mi — stwierdziła.

— Chodź tutaj i wyjrzyj przez okno — zachęcał.

Popatrzyła mu w oczy i potrząsnęła głową.

— Chyba się położę. Jestem zmęczona po tej długiej jeździe.

Przyglądał się, jak kładzie peniuar na krzesło, wchodzi do łóżka i zaciska powieki.

— Przeszkadza ci światło, kochanie? — zapytał. Skinęła głową nie otwierając oczu.

Nacisnął kontakt na ścianie i podszedł do łóżka z drugiej strony. Słyszał delikatny oddech Weroniki. Nieśmiało wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Nie poruszyła się.

Odwrócił jej twarz ku swojej. W słabym świetle zobaczył, że ma otwarte oczy.

— Będiesz musiała mi pomóc — odezwał się z zakłopotaniem. — Ja nigdy... no wiesz... — głos go zawiódł.

— Chcesz powiedzieć, że... — zaczęła.

— Tak — odparł. — Przypuszczam, że mogłem, ale wiedziałem, że nie potrafiłbym się na to zdobyć z nikim oprócz mojej żony.

— Uważam, że to piękne — odrzekła.

Jej obawa nagle pierzchła. Przynajmniej nie będzie taki jak Bob, który zawsze porównywał ją z innymi kobietami i upierał się, że nie jest w porządku, jeśli ona nic z tego nie ma. Dokonała właściwego wyboru. John Randall będzie dobrym mężem.

— John — szepnęła.

— Tak?

Wyciągnęła do niego ramiona.

— Po pierwsze chodź tutaj i pocałuj mnie.

Powoli wtajemniczała go w sekrety swego ciała, aż drżące w Johnie pragnienie stało się dlań niemal nie do zniesienia. Wówczas otoczyła dłonią jego pulsujący członek i wprowadziła go w siebie.

Z mimowolnym jękiem, prawie natychmiast osiągnął długi, spazmatyczny orgazm. Włożyła rękę między jego uda i, jak nauczył ją Bob, zaczęła delikatnie uciskać jądra, aby je całkowicie opróżnić. Jęknął ponownie pod jej dotykiem.

Potem umilkł i oddychał ciężko. Wysunęła się spod niego.

Ze zdumieniem dotknął jej twarzy.

— Nigdy nie czułem czegoś takiego.

Nie odpowiedziała.

— Czy było ci dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Słyszałem, że jeśli mężczyzna kończy za szybko, kobieta nic z tego nie ma.

Uśmiechnęła się.

— To nieprawda. Może pewien rodzaj kobiet. Ale nie te, które są normalne. Ja nie chcę niczego więcej.

— Może tylko tak mówisz? — zapytał z niepokojem.

— Mówię poważnie. Nigdy nie było mi tak dobrze. Nawet z Bobem. Jestem bardzo zadowolona.

— Cieszę się — wyszeptał. Pochyliła się i pocałowała go.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham. — W jego głosie pojawiła się nuta zdziwienia. — Wiesz... Chyba... Znowu się podniecam.

— Spróbuj o tym nie myśleć. Więcej niż raz jednej nocy może spowodować poważne nadwyrężenie. Mógłbyś sobie zrobić krzywdę.

— Dotknij mnie — powiedział. — Znów jestem twardy. Pozwoliła mu położyć na nim swoją rękę. Był jak wykuty w skale. Zdumiała się. Nawet Bob nigdy tak szybko nie odzyskiwał sprawności.

— Chyba ten jeden raz to mi nie zaszkodzi — zdecydował. — Włóż mnie do środka.

Niechętnie wprowadziła go w siebie ponownie. Teraz wytrwał trochę dłużej, niemniej jednak eksplodował po kilku minutach. Gdy prawie puste jądra z wysiłkiem wydalają nasienie, jęczał w dziwnym pomieszaniu przyjemności i bólu.

Przewrócił się na bok i spojrzał na żonę. W dalszym ciągu oddychał ciężko.

— Wiesz, chyba masz rację — stwierdził.

— Mam rację — odparła. Pocałowała go w policzek. — Spróbuj zasnąć — powiedziała łagodnie. — Jutro wszystko będzie dobrze.

I od tej chwili właśnie tak było.

ROZDZIAŁ 7

Zobaczywszy ją, Bernie zszedł z wieżyczki ratownika ustawionej przy głębszej części basenu i podszedł do miejsca, gdzie rozłożyła ręcznik.

— Nie gniewasz się na mnie za wczorajszy wieczór, JeriLee? — zapytał.

Uśmiechnęła się.

— A powinnam?

— Nie chciałem...

— Wszystko w porządku — wtrąciła szybko. — Naprawdę nic się nie stało. Poza tym mnie też się to podobało.

— JeriLee!

— Czy coś w tym złego? Nie było ci dobrze? Nie odpowiedział.

— Dlaczego nie miałoby mi się podobać? — zapytała. — Nie tylko chłopcy coś czują.

— Ale, JeriLee, dziewczęta powinny być inne — zaprotestował.

Roześmiała się.

— Jeżeli są inne, strasznie dużo dziewczyn robi coś, czego nie lubi.

— Nie rozumiem cię, JeriLee. Raz jesteś taka, raz inna.

— Przynajmniej tym nie różnię się od reszty — stwierdziła. — Podobno dziewczęta są zmienne. — Znowu wybuchnęła śmiechem. — Zniszczyłeś mi sukienkę. Powiedziałam matce, że wylałam coś na nią w kuchni.

— To wcale nie jest zabawne. Całą noc czułem się okropnie winny.

— Nie ma powodu. Po prostu następnym razem bardziej uważaj.

— Nie będzie następnego razu, JeriLee. Już nie stracę głowy. Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Mówię poważnie. Za bardzo cię szanuję.

— Chcesz powiedzieć, że nie zrobisz tego nawet jeśli ja będę chciała?

— Nie będziesz chciała, JeriLee — odparł z przekonaniem.

— Skoro tak uważasz, to dlaczego pozwoliłam ci na to?

— Ponieważ ty też straciłaś głowę.

— Nie, Bernie. Powód był inny. Pozwoliłam ci to zrobić, ponieważ tego chciałam. Nagle odkryłam, dlaczego czuję się tak dziwnie, dlaczego stale jestem podenerwowana i niespokojna. Dlatego, że próbowałam uciec przed uczuciami, które są we mnie.

— Sama nie wiesz, co mówisz, JeriLee.

— Jestem szczerą, Bernie. Nie udaję przed sobą, że nie chciałam tego, ani że mi się to nie podobało. Może teraz znajdę sposób, żeby sobie z tym poradzić.

— JeriLee, porządne dziewczęta tak się nie czują. — Zaniepokoił się. — Może powinnaś z kimś o tym porozmawiać.

— Z kim? Z moją matką? — zapytała ironicznie. — Nie mogę jej o tym opowiedzieć. Nie zrozumiałaby.

— Więc co masz zamiar zrobić?

— To samo, co robisz ty. Może za jakiś czas dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

Bez słowa wrócił na swoje stanowisko. Obserwował ją przez całe popołudnie. Wszystko się popsuło. Żałował, że w ogóle zaczął z nią całą tę historię.

— Skończyłaś ją? — zapytał Martin, kiedy zwróciła mu książkę.

— Tak.

— Co o niej sądzisz?

— Niektórych fragmentów nie rozumiałam. Przeważnie było mi ich wszystkich żal. Wydawali się tacy zagubieni i nieszczęśliwi, cokolwiek by robili.

— Czego nie rozumiałaś?

— Powiedziałaś, że przypominali ci twoją własną rodzinę. A przecież nie jesteś ani trochę podobny do Studsa Lońigana.

— Byłbym, gdybym zaczął pić tak jak on — odparł Martin. — A moi starzy są takimi samymi hipokrytami jak jego rodzice. Stale prawią mi kazania, ale nie żyją tak, jak ich zdaniem ja powinienem.

— Czy kiedykolwiek robiłeś z dziewczyną to co on? Martin zaczerwienił się.

— Nie.

— Czy robisz coś innego?

— Ja... nie wiem, o co ci chodzi — wyjąkał.

— Myślę, że wiesz.

Oblał się płomiennym rumieńcem.

— Chryste, JeriLee, nie zadaje się takich pytań.

— Rumienisz się — zauważyła. — Lubisz to robić? Nie odpowiedział.

— Jak często to robisz?

— Tak nie można, JeriLee. Jakbyś się czuła, gdybym ja zadał ci takie pytanie?

— Może masz rację — odezwała się po chwili. — Poszłam do biblioteki i sama wypożyczyłam jeszcze dwie książki Jamesa Farrella. Wiesz, lubię go. Przynajmniej jest szczery.

— To dobry pisarz — przyznał Martin. — Próbowałem namówić ojca, żeby go czytał, ale nie chciał. Powiedział, że słyszał o nim w kościele od ojca Donlana. Podobno Farrell został ekskomunikowany z powodu używania w swoich książkach brzydkich wyrazów.

JeriLee skinęła głową.

— Wiem. Kiedy brałam książki, bibliotekarka dziwnie na mnie popatrzyła. Powiedziała, że jej zdaniem jestem za młoda na Jamesa Farrella.

Roześmiał się.

— Czasami zastanawiam się, kim według nich jesteśmy. Dziećmi?

JeriLee stała na tarasie, słuchając muzyki dobiegającej z otwartych drzwi sali. Murzyńska orkiestra grała w klubie od kilku tygodni. Początkowo niektórzy goście protestowali. Mówili, że pan Corcoran wynajął ją tylko dlatego, że była tańsza niż białe zespoły. Jednak już pierwszego wieczoru wszyscy oprócz zatwardziałych konserwatystów przyznali, że to najlepsza orkiestra, jaką kiedykolwiek miał Beach Club.

JeriLee i Lisa siedziały na balustradzie, kiedy muzyka umilkła i członkowie zespołu wyszli na taras. Stanęli opodal, rozmawiając między sobą. Po kilku chwilach solista podszedł do barierki i zatrzymał się, patrząc na wodę.

— Ostatni kawałek był bardzo piękny — odezwała się do niego JeriLee. — Śpiewałeś jak Nat King Cole.
— Dziękuję.
Miała niejasne wrażenie, że nie spodobał mu się jej komplement.
— Założę się, że wszyscy tak mówią. Musisz mieć już tego powyżej uszu.
Odwrócił się i przyjrzał się jej.
— Ludzie chcą słuchać takiej muzyki — powiedział z miękkim akcentem.
Wyczuła w jego głosie lekko nieprzyjazny ton.
— To miał być komplement — usprawiedliwiła się. — Przepraszam.
Rozluźnił się.
— Musimy dać ludziom to, czego chcą.
— Nie ma w tym nic złego.
— Chyba nie — przyznał.
— Nazywam się JeriLee Randall — powiedziała. — Pracuję tutaj.
— Nazywam się John Smith. Też tu pracuję. Roześmieli się oboje.
— John Smith. Naprawdę tak się nazywasz? Jego oczy rozbłyły.
— Nie. Ale mój ojczulek zawsze mnie ostrzegał, żebym nie podawał białym swojego prawdziwego nazwiska.
— Więc jak się nazywasz?
— Fred Lafayette.
— Miło mi cię poznać, Fred — stwierdziła, wyciągając rękę. Uścisnął podaną dłoń i spojrzał jej w oczy.
— Miło mi cię poznać, JeriLee.
— Naprawdę podoba mi się twój śpiew.
— Dziękuję.
Teraz się uśmiechnął. Orkiestra wracała na salę.
— Muszę już iść. Na razie.
— On nawet wygląda jak Nat King Cole — szepnęła Lisa, gdy chłopak wszedł do środka.
— Tak — odparła JeriLee w zamyśleniu.
Ogarnęło ją gorące podniecenie, a w dłoni czuła jeszcze mrowienie od dotyku Freda. Zastanawiała się, czy tak będzie

z każdym chłopcem, którego spotka, czy też jest to kwestia jakiejś wyjątkowej atrakcyjności. Zwróciła się do koleżanki.

— Lisa, odpowiesz szczerze, jeśli cię o coś zapytam?

— Jasne.

— Czy jesteś dziewicą?

— JeriLee! Co za pytanie!

— Jesteś?

— Oczywiście — odrzekła z oburzeniem.

— Więc nie będziesz wiedziała.

— Czego?

— Jak to jest.

— Nie — odparła Lisa krótko.

— Nigdy się nie zastanawiasz?

— Czasami.

— Pytałaś kiedyś kogoś o to?

— Nie — odpowiedziała Lisa. — Kogo miałabym zapytać?

— Rozumiem, co masz na myśli.

— To jest chyba coś, co każda dziewczyna musi odkryć sama — stwierdziła Lisa.

JeriLee pomyślała, że jej koleżanka na swój sposób dobrze to ujęła.

ROZDZIAŁ 8

Słońce prażyło, rozgrzewając swoim ciepłem całe jej ciało. Drzemała z głową opartą na ramionach, zasłaniając oczy przed światłem. Rozpoznała ten głos, gdy tylko się odezwał, chociaż słyszała go zaledwie raz i od tego czasu upłynął już prawie miesiąc.

— Cześć, JeriLee. Wróciłem i nadal chcę ci postawić colę. Spojrzała najpierw na jego stopy. Były teraz opalone na brąz.

— Gdzie byłeś? — zapytała.

— W Kalifornii, w odwiedzinach u matki — odparł. —

Są rozwiedzeni. — Milczał przez chwilę. — W dalszym ciągu przejmujesz się przepisami?

Potrząsnęła głową. Z czasem przepisy zabraniające personelowi kontaktów z gośćmi uległy rozluźnieniu. Wiedziała od Lisy, że tak samo działo się co roku. Podniosła się. Był wyższy niż pamiętała.

Gdy szli do baru, wziął ją niedbale pod rękę. Miała wrażenie, że przez jego dłoń przebiega prąd elektryczny, powodujący mrowienie w miejscu, gdzie jej dotykał. Poczula lekką słabość w nogach i ucisk w żołądku.

Zastanawiała się, dlaczego z nim te sensacje są silniejsze niż z innymi.

Wskazał jeden z małych stolików pod parasolami.

— Usiądź tutaj — powiedział. — Tu jest chłodniej niż w barze. Przyniosę coś do picia.

— Dla mnie wiśniowa cola — poprosiła.

Wrócił po chwili z colą dla niej i puszką piwa dla siebie. Usiadł naprzeciwko i uśmiechnął się.

— Na zdrowie — rzucił i pociągnął z puszki duży łyk. Sączyła colę przez słomkę. Był starszy niż myślała. Żeby dostać piwo musiał mieć skończone osiemnaście lat.

— Wszystko gra? — zapytał. Skinęła głową.

— Jak tu było do tej pory?

— W porządku.

— Chodzi mi o pogodę.

— Wiem.

Zapadła niezręczna cisza. Po kilku minutach odezwał się znowu.

— Jesteś pierwszą osobą, której szukałem po powrocie. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Dlaczego? Uśmiechnął się.

— Może dlatego, że jesteś taka ładna.

— Są ładniejsze.

Nie była to ani kokieteria, ani fałszywa skromność. Po prostu stwierdzenie faktu.

— To kwestia gustu — odparł z uśmiechem. — Widzisz, nie zapomniałem twojego imienia. Założę się, że ty nie pamiętasz mojego.

— Walt.
— A dalej?
— Nie powiedziałaś mi, jak jest dalej.
— Walter Thornton młodszy. A jak ty masz na nazwisko?
— Randall — odrzekła. — Czy twój ojciec to...
— Tak. Znasz go?
— Właściwie nie. Po prostu codziennie rano siedział koło mnie w autobusie. Roześmiał się.
— Zgadza się, to mój ojciec. Nie prowadzi samochodu.
— Jest teraz tutaj? — zapytała. — Słyszałam, że pojechał do Europy.
— Wrócił wczoraj. Przyleciałem z Los Angeles, żeby się z nim zobaczyć.
— Nie miałam pojęcia, że jest członkiem Beach Club stwierdziła. — Nigdy go tu nie widziałam.
— Nie przychodzi do klubu. Chyba nigdy tu nie był. Wykupił członkostwo dla mojej matki. Skarżyła się, że nie ma co robić, kiedy on wyjeżdża. — Och — westchnęła z rozczarowaniem w głosie. — Myślałam, że będę się mogła z nim zobaczyć. Chcę zostać pisarką i uważam, że on jest naprawdę dobry.
— Mogę poprosić ojca, żeby z tobą porozmawiał.
— Dziękuję — odparła.
— A teraz może porozmawiałabyś ze mną.
— Przecież rozmawiam z tobą.
— Niezupełnie. Tylko odpowiadasz na pytania.
— Nie wiem, o czym mówić.
— Przynajmniej jesteś szczerą — roześmiał się. — Czym się interesujesz?
— Powiedziałam ci. Chcę zostać pisarką.
— A poza tym? Lubisz uprawiać sport? Tańczyć?
— Tak.
— Niezbyt wyczerpująca odpowiedź.
— Chyba nie jestem interesującą osobą. Nie jestem taka jak inne dziewczyny, które znasz.
— Skąd wiesz?
— One potrafią się bawić. A ja nie. Nie jest zbyt ciekawie dorastać w takim miejscu jak Port Clare. Niewiele się tu dzieje.

— Przyjdiesz dziś wieczorem na tańce? — zapytał. Skinęła głową.

— Spotkamy się tam?

— Zgoda. Podniosła się.

— Muszę już iść. Dzięki za colę.

— Do zobaczenia.

Obserwował ją, gdy szła do klubu. Nie myliła się co do jednego. Nie przypominała innych dziewczyn, które znał. W ten czy inny sposób, wszystkie były flirtierami, a miał dziwne przeczucie, że ona się w to nie bawi.

Gdy wracała do klubu, napięcie mięśni brzucha ustąpiło. To zdumiewające, jak on na nią działa: nagły przebłysk samoświadomości i wzrost popędu seksualnego. Kiedy z nim była, przez cały czas czuła wilgoć między nogami.

Weszła do przebieralni, zdarła z siebie kostium kąpielowy i stanęła pod zimnym prysznicem. To jednak nie pomogło. Namydlając się, dotknęła wzdórka łonowego i niemal osunęła się na kolana pod wpływem intensywności niespodziewanego orgazmu.

Po chwili odzyskała panowanie nad sobą i oparła głowę o zimne kafelki kabiny. Coś było z nią nie w porządku.

Naprawdę nie w porządku. I była pewna, że żadna ze znanych jej dziewcząt nie przechodzi tego, co ona.

Wygląda na to, że stracisz swoją przyjaciółkę, Fred— powiedział Jack, perkusista, pokazując palczką na parkiet.

JeriLee i Walt przesuwali się obok w rytmicznym slow-foxie. On trzymał ją blisko. Zbyt blisko, pomyślał Fred. Na twarzy dziewczyny malował się wyraz, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział, napięcie, które instynktownie wyczuwał.

Raptownie zmienił tempo na szybsze. Orkiestra zgubiła na chwilę rytm, a potem dołączyła do niego.

Jack wykrzywił się w uśmiechu.

— To nic nie pomoże. Za wolno to rozgrywałeś, chłopie.

— Ona nie jest taka — wyszeptał Fred wściekle. — To porządna dziewczyna.

— Nie będę się spierał. Ona jest porządna, zgoda. Ale jest też gotowa. Ta słodka mała biała cipka już dojrzała i prosi się,

żeby ją wziąć.

— Skąd z ciebie taki ekspert? — zapytał Fred ze złością.

— Bo interesują mnie tylko dwie rzeczy, chłopie. Perkusja i cipki. Kiedy nie myślę o jednym, myślę o drugim. — Roześmiał się. — Lepiej mi uwierz.

Fred ponownie spojrzał na parkiet, ale JeriLee i Walt zniknęli.

Gdy tylko znalazła się na parkiecie w jego ramionach, poczuł przez cienką koszulę nacisk jej piersi. Nie nosiła stanika. Był tego pewien. Natychmiast sam zaczął twardnieć i usiłował odsunąć od niej biodra, aby się nie zorientowała. Ona przysunęła się jednak z powrotem, cicho westchnęła i położyła mu głowę na ramieniu.

— Hej — odezwał się. Uniosła twarz.

— Zawsze tańczysz w ten sposób?

— Nie wiem. Po prostu pozwalam się prowadzić odparła.

— Czy wiesz, co ty ze mną wyprawiasz? — zapytał. Podniecasz mnie.

Jej oczy były nieruchome.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że to robię. Myślałam, że to ty tak działasz na mnie.

— Chcesz powiedzieć, że też jesteś podniecona?

— Gdybyś mnie puścił, chyba bym upadła. Mam takie miękkie nogi.

Utkwił w niej zdumiony wzrok. Pomylił się. Cały czas myślał, że jest niewinną małą dziewczynką. Nagle orkiestra przyspieszyła tempo. Przystanął.

— JeriLee, chodźmy stąd.

— Dobrze — zgodziła się i wyszła za nim przez otwarte drzwi tarasu.

Przecięli trawnik obok parkingu. Odezwała się dopiero, gdy otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

— Dokąd jedziemy?

— Gdzieś, gdzie będziemy mogli być sami — odparł. Skinęła głową, jakby wiedziała, że właśnie to powie i wsiadła do samochodu. Po dziesięciu minutach zatrzymali się na podjeździe małego domku położonego tuż przy plaży.

Walt wyłączył silnik i zerknął na JeriLee.

W domu nie ma nikogo. Ojciec wraca z Nowego Jorku dopiero jutro, a gospodyni już wyszła.

Spojrzała na niego bez słowa.

— Nie masz nic do powiedzenia?

Popatrzyła na swoje dłonie złożone na kolanach, a potem znów na niego.

— Trochę się boję.

— Czego?

— Nie wiem.

Nie bój się — odrzekł, nie znając rzeczywistego powodu jej obaw. — Nikt się nie dowie, że tu jesteś. Najbliższy sąsiad mieszka pół mili stąd. Nie odpowiedziała.

— Na tyłach domu jest ogrzewany basen — ciągnął. — W nocy wspaniale się pływa. Miałabyś ochotę?

Skinęła głową.

— Ale nie mam kostiumu. Uśmiechnął się.

To jedna z zalet pływania w nocy. Jest ciemno. Wsiadł z samochodu i obszedł go, aby otworzyć jej drzwi.

— Idziesz?

Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.

— Czemu nie?

— Z czego się śmiejesz?

— Nie zrozumiałbyś tego.

Po raz pierwszy od miesiąca zaczynała czuć się lepiej. Było tak, jakby zawsze wiedziała, że to się stanie właśnie w ten sposób.

Przeszli przez dom do tylnych drzwi wychodzących na basen. Wskazał małą kabinę.

— Możesz tam zostawić rzeczy.

— Dobrze — powiedziała i ruszyła w jej stronę. — Gdzie idziesz? — zapytała, widząc, że zmierza z powrotem ku domowi.

— Zaraz wracam — odparł. — Przyniosę tylko coś zimnego do picia.

Po wejściu do kabiny JeriLee spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze wiszącym nad toaletką. Malujący się na jej twarzy spokój zaskoczył ją, gdyż nie odzwierciedlał wzbierającego w niej podniecenia. Szybko rozpięła bluzkę, uwalniając piersi. Sutki były nabrzmiałe. Dotknęła ich delikatnie. Wciąż bolały. Właśnie dlatego nie nosiła stanika. Za bardzo uwierał. Dotknięcie było jednak przyjemne. Ponownie lekko przycisnęła piersi i poczuła rozkosz biegnącą do krocza. Wyślizgnęła się ze spódnicy. Miała wilgotno w majtkach i przez mokry nylon wyraźnie widziała ciemne owłosienie łonowe. Powoli zdjęła majtki i rozłożyła je starannie na ławce, aby wyschły.

Zastanawiała się, co myśli Walt. Pamiętała, jaki był twardy, kiedy tańczyli. Tak twardy, że aż bolało, gdy przyciskał się do jej łona. Dwukrotnie potknęła się i niemal upadła, szczytując podczas tańca. Za każdym razem niepokoiła się, że zauważył, co się stało, nic na to jednak nie wskazywało. Usłyszała jego wołanie.

— Już jestem. Wychodzisz?

Nacisnęła kontakt. Kabina pogrążyła się w ciemnościach. Otworzyła drzwi. Rozkładał ręczniki na dużych leżakach stojących przy drugim końcu basenu. Był wciąż w ubraniu i stał do niej tyłem. Cicho zsunęła się do wody. Miał rację: była ciepła i przyjemna.

Odwrócił się.

— To nieuczciwe. Weszłaś do wody, zanim zdążyłem ci się przyjrzeć.

Roześmiała się.

— To ty nie jesteś uczciwy. Jeszcze się nawet nie rozebrałeś.

Pochylił się nad stołem i włączył radio tranzystorowe, które ze sobą przyniósł. Nad basenem popłynęła przyciszona muzyka. Nadal stojąc plecami do JeriLee, szybko zdjął ubranie, rzucając części garderoby na ziemię. Potem błyskawicznie odwrócił się i, zanim zdążyła cokolwiek zobaczyć, skoczył do wody. Wypłynął po drugiej stronie basenu.

— Jak ci się to podoba? — zapytał. — Czy woda jest dostatecznie ciepła?

— Podoba mi się. Pierwszy raz kąpię się na waleta. To przyjemne uczucie. Przyjemniejsze, niż kiedy ma się na sobie kostium.

— To samo mówi ojciec. Powiedział raz, że gdyby noszenie przez ludzi ubrań leżało w zamiarach natury, urodziłibyśmy się w nich.

— Twój ojciec ma chyba rację. Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

— Ojciec ma mnóstwo dziwnych pomysłów. Dotyczą wszystkiego. Mówi na przykład, że gdyby ludzie nauczyli się szczerości wobec samych siebie, byłby to koniec większości problemów na świecie.

— A ty jesteś ze sobą szczerzy?

— Staram się.

— Jak myślisz, mógłbyś być szczerzy ze mną?

— Chyba tak.

— Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

— Chciałem być z tobą sam na sam. Dlaczego zgodziłaś się przyjechać?

Nie odpowiedziała. Odpłynęła na głębszą część basenu. Popłynął za nią. Nagle zanurkowała i wynurzyła się z drugiej strony. Roześmiał się i dogonił ją na płyciźnie.

Chwycił ją za ramię.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Spojrzała mu w oczy.

— Bo nie byłeś ze mną szczerzy.

— Dlaczego według ciebie przywiozłem cię tutaj? — zapytał.

— Sądziłam, że... — wahała się przez chwilę, a potem, nie potrafiąc inaczej wyrazić tego, co ma na myśli, dokończyła — ...że chciałeś się ze mną pieprzyć.

Był wstrząśnięty.

— Dlaczego przyjechałaś, skoro tak myślałaś?

— Bo chciałam się z tobą pieprzyć.

Raptownie puścił jej ramię i wyszedł z wody. Podniósł ręcznik i owinąwszy się nim w pasie nalał sobie rumu z colą. Pił bez słowa.

Oparła ręce na brzegu basenu.

— Gniewasz się na mnie? Czy powiedziałam coś złego?

Pociągnął kolejny łyk.

_ Chryste, JeriLee. wyrażasz się niestosownie, wulgarnie.

— Przepraszam. Ja tylko próbowałam być szczerą. Czułam cię, kiedy tańczyliśmy i sądziłam, że właśnie tego chcesz.

'— Ale dziewczęta tak się nie zachowują — zaprotestował. — Nie możesz robić tego z każdym facetem, któremu przy tobie staje.

— Nie robię tego.

_ Ale wyrażasz się tak, jakbyś robiła. Co facet może sobie pomyśleć?

— Czy ty tak myślisz?

_ Nie wiem, co mam myśleć. Nigdy dotąd żadna dziewczyna nie rozmawiała ze mną w taki sposób.

Podniecenie nagle ją opuściło i była niebezpiecznie bliska łez. Zamilkła na chwilę. Kiedy się odezwała, jej głos był spokojny. — Robi się późno, Walt. Lepiej odwieź mnie do domu. Rodzice będą się zastanawiać, co się ze mną stało. Wysadził ją pod domem, ale nie zrobił żadnego gestu, aby samemu wysiąść.

— Dobranoc, Walt — powiedziała.

— Dobranoc — odparł szorstko.

Potem wrzucił bieg i odjechał, zostawiając ją na chodniku. Powoli ruszyła w stronę domu.

Gdy weszła, ojciec oderwał wzrok od telewizora. Pocałowała go w policzek.

— Gdzie mama?

— Była zmęczona i poszła do łóżka — odrzekł. Wcześniej wróciłaś. Kto cię odwiózł?

— Jeden chłopak. Ma na imię Walt. Jest członkiem klubu.

— Miły?

— Tak.

Idąc do drzwi przystanęła.

— Tato?

— Słucham.

— Czy można być zbyt szczerym?

— To dziwne pytanie, skarbie. Dlaczego o to pytasz?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że ile razy jestem szczerą, moi znajomi gniewają się na mnie.

Popatrzył na nią uważnie.

— Czasami ludzie nie chcą usłyszeć prawdy. Wolą żyć złudzeniami.

— Czy zawsze tak jest?

— W pewnym sensie chyba tak. Staram się być z ludźmi szczerą, gdy tylko mogę. Są jednak sytuacje, w których to nie jest możliwe.

— Jesteś szczerą ze mną?

— Mam nadzieję, że tak.

— Kochasz mnie?

Sięgnął do telewizora i wyłączył go. Potem odwrócił się i wyciągnął do niej rękę.

— Wiesz, że tak.

Uklękła przy jego fotelu i położyła mu głowę na piersi. Objął ją ramionami i delikatnie przytulił do siebie. Milczeli przez dłuższą chwilę.

W końcu odezwała się słabym, zdławionym, pełnym bólu głosem.

— Wiesz tato, nie jest łatwo stawać się kobietą. Pocałował córkę i poczuł słoną wilgoć na jej policzkach.

Ogarnął go dziwny smutek.

— Wiem, kochanie — odparł łagodnie. — Myślę, że w ogóle nie jest łatwo stawać się kimś.

ROZDZIAŁ 9

Przypominało to burzę, która ucichła. Przez całe tygodnie pragnienie poznania i zrozumienia istoty swojej seksualnej natury nie dawało jej spokoju. Aż pewnego ranka, gdy się obudziła, paląca konieczność zniknęła.

Wiedziała, że nie wie jeszcze wszystkiego. Nie odczuwała już jednak potrzeby zdobycia tej wiedzy za wszelką cenę.

To,

co czuła, było częścią jej rosnącej świadomości i w niejasny sposób rozumiała, że doświadczy tego w swoim czasie. Stała się bardziej swobodna, bardziej zdolna do tego, by zwyczajnie cieszyć się z towarzystwa innych ludzi. Znowu mogli być z Berniem przyjaciółmi. Gdy pieścili się teraz w zaparkowanym na Przylądku samochodzie, pożądanie nie popychało jej już coraz dalej i dalej. Seks przestał wypełniać każdą jej myśl. Wiedziała, że przyjdzie we właściwym momencie, kiedy będzie odpowiednio przygotowana, aby poradzić sobie z nim jako częścią całej swojej natury.

Spotykała się nie tylko z Berniem. Również Martin był jej dobrym kolegą. Przesiadali godzinami na ganku, dyskutując o przeczytanych książkach a także o różnych ludziach z miasteczka. Często śmiali się wspólnie z zabawnych póz, jakie niektórzy z nich przybierają, żeby wydać się ważnymi. Kiedyś pozwoliła nawet Martinowi przeczytać opowiadanie, które napisała.

Było o burmistrzu małego miasta, który podczas wojny wpadł w przygnębienie, ponieważ wszystkie okoliczne miejscowości miały swoich bohaterów, a jego miasteczko nie. Postanowił więc zrobić bohaterem pierwszego powracającego do domu żołnierza. Tak się złożyło, że był to mężczyzna, którego zwolniono ze służby z powodu złego stanu zdrowia i który nigdy nie znalazł się nawet w pobliżu frontu. Niemniej urządzono mu ceremonię powitalną, podczas której wszystko poszło źle. W pewnym sensie przypominało to historię jej ojca, ale w akcji następował nieoczekiwany zwrot. W trakcie uroczystości pojawiali się dwaj żandarmi i zabierali bohatera, ponieważ okazało się, że sfalszował zwolnienie ze szpitala psychiatrycznego.

— Jest świetne, JeriLee — powiedział Martin z entuzjazmem, gdy przeczytał opowiadanie. — Rozpoznałem prawie wszystkie osoby. Powinnaś to posłać do jakiegoś pisma.

Potrząsnęła głową.

— Nie jestem jeszcze gotowa. Ciągle czuję, że zbyt dużo jest tu nie tak jak powinno. Poza tym pracuję nad następnym, które moim zdaniem może być lepsze.

— O czym ono jest?

— O dziewczynie takiej jak ja. O dorastaniu w miasteczku takim jak to.

— Dasz mi je przeczytać, kiedy skończysz?

— Jeszcze długo nie będzie gotowe. Zbyt wielu rzeczy muszę się dowiedzieć, zanim będę mogła zacząć o nich pisać.

— Rozumiem — stwierdził Martin. — Hemingway powiedział, że literatura wywodzi się z prawdziwych przeżyć.

— Nie lubię Hemingwaya. On nic nie wie o kobietach. Robi wrażenie, jakby w ogóle go nie obchodziły.

— Kogo lubisz?

— Fitzgeralda. Przynajmniej wczuwa się w kobiece postaci w swoich książkach tak samo jak w męskie.

— Mnie wszyscy jego mężczyźni wydają się dziwni, jacyś tacy słabi — powiedział Martin po chwili. — Jakby bali się kobiet.

— Zabawne. Ja tak myślę właśnie o Hemingwayu. Zawsze mam wrażenie, że jego mężczyźni muszą się bać kobiet, skoro stale próbują dowieść swojej męskości.

— Przemyślę to — odparł wstając. — Teraz powinienem iść do domu.

— Wszystko już jest w porządku? — zapytała.

Dawno zrezygnowali z udawania i bez ogródek dopytywała się o jego kłopoty z rodzicami.

— Trochę lepiej — odrzekł. — Odkąd tata dostał pracę na stacji benzynowej przynajmniej nie piją tyle co dawniej.

— Cieszę się. — Podniosła się z krzesła. — Dobranoc. Martin stał bez ruchu, patrząc na nią. Z zakłopotaniem dotknęła policzka.

— Czy coś się stało?

— Nie.

— Więc na co tak patrzysz?

— Wiesz, nigdy dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Naprawdę jesteś bardzo piękna.

W innej sytuacji prawdopodobnie roześmiałaby się, ale w jego głosie brzmiała szczerłość, która ją wzruszyła.

— Dziękuję — powiedziała po prostu.

— Bardzo piękna — powtórzył, a potem uśmiechnął się i zbiegł po schodkach. — Dobranoc, JeriLee — zawołał.

Stopniowo popularność JeriLee rosła. Było w niej coś, co zjednywało jej przyjaciół. Zarówno chłopców, jak i dziewczęta. Może działało się tak dlatego, że do każdego miała indywidualne

podejście. Jednocześnie sama była skryta. Tak więc wszyscy lubili z nią rozmawiać, ponieważ czuli, że naprawdę słucha.

Kiedy nadeszła pełnia sezonu, klub pozostawał otwarty na kolację co wieczór, a tańce urządzano nie tylko w piątki i soboty, lecz także w środy. Ponieważ nie było sensu, aby muzycy codziennie wracali do miasta, pan Corcoran ulokował ich w małym domku na tyłach kortów tenisowych. Tylne drzwi wychodziły na parking, więc żeby dostać się na estradę, nie musieli przechodzić przez klub.

JeriLee, która pracowała teraz w środy do późna w nocy, siedziała na balustradzie tarasu, sącząc colę i rozmawiając z Fredem w przerwie między jego występami, kiedy w drzwiach pojawił się Walt.

— JeriLee — powiedział, całkowicie ignorując Freda. Od owego wieczoru w jego domu minął już ponad miesiąc. Teraz odezwał się do niej po raz pierwszy od tamtej pory.

— Tak?

— Przyjechali do mnie koledzy ze szkoły i robimy prywatkę na plaży. Pomyślałem, że może chciałabyś się do nas przyłączyć.

JeriLee spojrzała na Freda. Jego twarz niczego nie wyrażała. Odwróciła się do Walta.

— Znasz Freda?

— Tak. Cześć, Fred.

— Cześć, Walter.

*Głos Freda był tak samo pozbawiony wyrazu jak jego twarz.

— Będzie fajnie — ciągnął Walt. — A gdyby Cieśnina okazała się za zimna, zawsze mamy jeszcze basen.

— Raczej nie — odparła. — Muszę jutro wcześniej wstać. Pracuję podczas lunchu.

— Daj spokój, JeriLee. Nie będziemy siedzieć do późna. Napijemy się, pośmiejemy i to wszystko.

— Nie, dziękuję — odrzekła uprzejmie. — Prawdę mówiąc miałam zamiar wyjść wcześniej. Jeszcze zdążę na autobus o jedenastej trzydzieści.

— Nie ma potrzeby. Możemy cię podrzucić do domu.

— Nie chcę wam sprawiać kłopotu. To nie po drodze.

— Trzeba tylko trochę zboczyć. To żaden kłopot.

— Zgoda.

— Pójdę po chłopaków — powiedział Walt i wrócił do baru.

Fred popatrzył na nią.

— Podoba ci się ten facet? JeriLee zastanawiała się przez chwilę.

— Myślałam, że mi się podoba, ale już mi przeszło.

— On jest na ciebie zły — stwierdził Fred. Była zaskoczona.

— Skąd wiesz?

— Wyczuwam to. Ale mogę się mylić. Za mną też nie przepada. Może dlatego, że w ogóle nie lubi czarnych.

— Mam nadzieję, że się mylisz. Może jest trochę zepsuty, nie myślałabym o nim jednak w ten sposób.

Orkiestra musiała wracać do pracy. Fred spojrzął na JeriLee.

— Zobaczymy się w pod koniec tygodnia?

— Jasne — skinęła głową. — Śpiewaj ludziom ładnie. Uśmiechnął się.

— Zawsze ładnie śpiewam.

— Dobranoc, Fred.

— Dobranoc, JeriLee.

Dźwięki muzyki zaczynały właśnie napływać przez drzwi, kiedy pojawił się Walt.

— W porządku, JeriLee. Chodźmy. Ruszył w dół po schodach tarasu.

— Możemy iść na parking na skróty.

— Gdzie twoi koledzy?

— Poszli już do samochodu razem z Marian Daley. Przecięli korty tenisowe i znaleźli się na parkingu. JeriLee usłyszała dobiegający z samochodu śmiech.

— Na pewno nie będę w niczym przeszkadzać? — zapytała. — Jeszcze zdążę na autobus. Nie robi mi to różnicy.

— Przecież powiedziałem, że nie ma problemu — odparł Walt z irytacją w głosie.

— Dobrze — odrzekła.

Resztę drogi do samochodu przebyli w milczeniu. Był to otwarty kabriolet. Marian Daley i dwaj chłopcy siedzieli już z tyłu.

— Dlaczego to tak długo trwało? — zawołał jeden z nich, gdy JeriLee i Walt podeszli bliżej.

— Musiałem wypisać czek w barze — wyjaśnił Walt. — Chłopaki, to jest JeriLee. JeriLee, to Joe i Mike Herronowie. Są braćmi. Marian znasz.

JeriLee skinęła głową. _ Cześć.

Marian była chłodna, ale obydwaj chłopcy uśmiechnęli się, a jeden podał JeriLee butelkę.

— Przyłącz się do zabawy — zachęcił. — Napij się.

— Nie, dziękuję — odparła.

— Ja się napiję — stwierdził Walt.

Wziął butelkę i podniósł ją do ust. Pociągnął solidny łyk i oddał alkohol koledze.

— Dobry rum.

— Musi być dobry — roześmiał się chłopak. — iwoj ojciec ma tylko to, co najlepsze.

Walt usiadł za kierownicą i zamknął drzwi. Włączył silnik i wyprowadził samochód z parkingu. Zamiast jednak skrócić w stronę domu JeriLee, pojechał w przeciwnym kierunku.

Spojrzała na niego.

— Złe jedziemy.

— Pomyślałem, że podrzucę ich na plażę, zanim cię odwiozę — wyjaśnił.

Nie odpowiedziała. Z tylnego siedzenia dobiegł ją śmiech. Obejrzała się. Obydwaj chłopcy próbowali rozpiąć Marian bluzkę. Dziewczyna chichotała, bijąc ich po rękach.

— To nie w porządku — parsknęła śmiechem. — Dwóch na jedną.

JeriLee odwróciła się i zerknęła na szybkościomierz.

Strzałka pokazywała siedemdziesiąt mil na godzinę.

— Lepiej zwolnij — ostrzegła. — Patrol jest dziś na drodze.

— Poradzę sobie z nimi — odparł Walt wojowniczo. Z tyłu nie dochodził już żaden dźwięk. Rzuciła okiem w lusterko. Marian gdzieś zniknęła. Mimo woli odwróciła się i spojrzała na tylne siedzenie. Głowa Marian spoczywała na kolanach Joego. Minęła chwila, zanim JeriLee uświadomiła sobie, co dziewczyna robi. Trzymała w dłoni członek chłopaka i brała go w usta.

Odwróciła się szybko. Zemdlilo ją. Intuicyjnie czuła, że to me powinno odbywać się w ten sposób. Wiedziała co dziewczęta i chłopcy robią w samochodach, ale zupełnie inaczej to sobie wyobrażała. Nie mogła się doczekać, żeby Walt wysadził tamtych i odwiózł ją do domu.

Walt zatrzymał kabriolet na podjeździe i wyłączył silnik.

— Dobra — mruknął. — Wyskakujcie. Otworzył drzwi i obszedł samochód.

— Powiedziałeś, że mnie odwieziesz.

— Odwiozę — odparł. — O co tyle hałasu? Ostatnim razem ci się nie spieszyło.

— Ostatnim razem było inaczej. Ty byłeś inny. Marian i dwaj chłopcy już wysiedli.

— Daj spokój — roześmiała się Marian. — Nie psuj nam zabawy.

- Napijemy się i odwiozę cię. Obiecuję — powiedział

Niechętnie wysiadła z samochodu i weszła za nimi do domu. Skierowali się prosto do basenu. Z głośnym okrzykiem chłopcy zrzucili ubrania i skoczyli do wody.

— Jest świetnie — zawołał Mike. — Chodźcie tu! Odwróciła się, szukając wzrokiem Walta. Zobaczyła że w domu zapala się światło. Wszedł do kuchni. Po chwili ze stojącego na stoliku tranzystora popłynęła muzyka.

Marian tańczyła solo.

Walt wrócił z tacą coli i wiaderkiem lodu. Podniósł ze stolika butelkę rumu i szybko przygotował drinki. Podał jeden Marian. Wzięła szklanekę i zaczęła pić duszkiem. Drugi podsunął JenLee.

— Nie, dziękuję.

Nie ma z tobą żadnej zabawy.

— Przepraszam. Powiedziałam ci, że chcę jechać prosto do domu.

— Możesz chyba do cholery poczekać, aż się napiję — odparł ze złością, podnosząc szklanekę do ust.

— Nie wygłupiaj się, JeriLee — wtrąciła Marian. — Nie bądź taką nudziarą. Jesteś wśród przyjaciół.

— Nie, dziękuję — powtórzyła, ruszając w stronę domu. Walt położył jej rękę na ramieniu.

— Dokąd to się wybierasz?

— Mogę złapać autobus na szosie — odrzekła spokojnie.

— Powiedziałem, że cię odwiozę — warknął. — Moje słowo ci nie wystarczy?

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, poczuła, że czyjeś ręce chwytają ją za kostki, stopy odrywają się od ziemi i ktoś wciąga ją do basenu. Wynurzyła się rozzłoszczona, plując wodą i bijąc stojącego najbliżej chłopaka.

— Chce się bawić — usłyszała głos jednego z nich. Potem dwie pary rąk złapały ją za ramiona i ponownie wepchnęły do wody. Usiłowała się wyrwać i poczuła, że drze się jej sukienka. Znow znalazła się pod wodą.

Wyplłynawszy chwyciła powietrze i przytrzymała się brzegu basenu.

Spojrzała na Walta oczami pełnymi łez.

— Proszę, odwieź mnie do domu — zawołała.

— Odwiozę — odparł, podnosząc szklanekę do ust.

Kiedy wyschnie ci ubranie.

ROZDZIAŁ 10

Bernie podszedł do siedzącego na tarasie Freda.

— Jest tu gdzieś JeriLee?

— Nie.

— Jeżeli ją zobaczysz, powiedz jej, że dzwonił ojciec.

Prosi, żeby przywiozła do domu lody.

Ruszył z powrotem, ale Fred go zatrzymał.

— Kiedy on dzwonił?

— Przed chwilą. Odebrałem telefon w barze.

— To dziwne. Ile czasu potrzeba, żeby dostać się stąd do jej domu?

— Około dziesięciu minut samochodem, poł godziny autobusem. .

— Więc powinna już tam być. Wyszła ponad godzinę

temu. — Ogarnął go dziwny lęk. — Wiesz, gdzie mieszka ten Thornton?

— Z drugiej strony Przylądka. Dlaczego?

— Miał ją podrzucić do domu. Był nieźle wstawiony i jego dwaj kumple tak samo. Widziałem ich w barze. Ciągnęli rum z colą jak wodę. Proponował, żeby przyłączyła się do zabawy na plaży, ale ona powiedziała, że chce wrócić do domu.

Bernie utkwiał w nim wzrok.

— Widziałem, jak Marian Daley wychodzi z tymi dwoma chłopakami. Usiłowała namówić jakąś dziewczynę, żeby z nimi pojechała, ale tamta nie chciała.

— Nie podoba mi się to. JeriLee powinna już być w domu. Spojrzał na Berniego. — Masz samochód?

Popatrzyli na siebie.

— Pójdę po kluczyki. Spotkamy się na parkingu — powiedział Bernie.

Leżała skulona i naga na trawie obok basenu i płacząc usiłowała się czymś przykryć. Wyczuła jakieś poruszenie i spojrzała w górę.

Pochylił się nad nią Joe.

— Przestań wrzeszczeć — powiedział z irytacją w głosie. Tak jakbyś nigdy tego nie robiła.

— Ja nie...

— Robiłaś to — stwierdził z przekonaniem. — Walt opowiedział nam, jak tu z nim przyjechałaś.

— Nic między nami nie zaszło — zawołała. — Naprawdę nic...

— Przestanieś wreszcie kłamać? Odwrócił się i krzyknął do Walta:

— Chodź tutaj i zrób coś z tą pizdą, zanim ją stłukę. Walt podszedł do nich zataczając się. Nadal trzymał w dłoni szklanekę.

- Daj spokój, JeriLee — powiedział pojednawczo — Chcemy się tylko trochę zabawić. Napij się. To ci dobrze zrobi

— Nie.

Z przeciwległej strony basenu dochodził jakiś dźwięk. Joe odwrócił się.

— Spójrzcie no tam — roześmiał się.

Popatrzyła na drugi brzeg. Marian i brat Joego spółkowali na ziemi. Widziała gwałtowne ruchy chłopca. Jęki, jakie wydawali, rozchodziły się echem w nocnej ciszy.

— Ładnie, prawda? — zapytał Joe. — Oni to robią. Może wreszcie przestaniesz zadzierać nosa i zaczniemy prawdziwą zabawę?

Nie odpowiedziała. Joe wpadł w złość.

— Po jaką cholere tu przyjechałaś, ty pieprzona dziwko? — krzyknął.

— Ja nie chciałam! — zawołała, uświadomiwszy sobie

nagle, że Walt nie powiedział im, że ona jedzie do domu i wcale nie zamierzał jej odwiedzić. Zwróciła się do niego. —

Wytłumacz mu, proszę. Ja nie chciałam...

Joe- ukłękął przy niej i, chwyciwszy za włosy, pociągnął jej głowę do tyłu.

— Daj mi drinka — warknął.

Wziął od Walta szklanke. Przechyliwszy głowę dziewczyny, siłą otworzył jej usta i zaczął wlewać alkohol do gardła. Zakrztusiła się i usiłowała złapać powietrze. Lepka, słodka ciecz spływała jej po policzkach, rozlewała się na ramiona i piersi. Joe przestał dopiero wtedy, gdy szklanka była pusta. Wówczas ją odrzucił. JeriLee usłyszała brzęk szkła na betonie.

Zbliżył do niej twarz.

— Będiesz teraz posłuszna i miła, czy mam się zrobić nieprzyjemny?

Patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma. Próbowwała wstrzymać oddech.

— Proszę, puść mnie. Proszę.

Gwałtownie rzucił się na dziewczynę, całym ciężarem przygniatając ją do ziemi. Wpił palce w jej piersi i usiłował ją pocałować. Walczyła zaciekle, starając się do tego nie dopuścić. Przypadkiem uderzyła go kolanem w krocze.

Wyrwał mu się okrzyk bólu.

— Ty dziwko! — wrzasnął i ze złością uderzył ją w twarz

otwartą dłonią. — Przytrzymaj ją — zawołał do Walta. — Żadna dziwka nie będzie mnie kopać w jaja. Nie ujdzie ci to na sucho.

Walt stał niezdecydowanie.

— Przytrzymaj ją! — warknął Joe. — Już czas, żeby dostała to, co się jej należy.

Walt przyklęknął na jedno kolano i przygwoździł ramiona JeriLee do ziemi. Nagle poczuła ostry ból na piersi. Krzyknęła. Joe uniósł zapalonego papierosa. Uśmiechnął się.

— Nie podobało ci się, co?

Utkwiła w nim wzrok. Nie była w stanie się odezwać. Zrobił szybki ruch. Piekący ból sparzył jej drugą pierś. Znow krzyknęła.

— Wrzeszcz sobie ile wlezie. Nikt cię nie usłyszy. Joe podniósł papierosa do ust i zaciągnął się.

Walt, proszę, powstrzymaj go! — błagała.

— Może rzeczywiście... — zaczął. Joe przerwał mu ostro.

— Ty się do tego nie wtrącaj. To sprawa między mną a nią. Kiedy skończę, nie będzie już nikogo wodzić za fiuta. Rozsunął kolanami nogi dziewczyny i brutalnie położył rękę w kroku. Otworzył ją palcami. Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

— Czyż to nie urocza różowa cipeczka?

Pochylił się i ugryzł ją w łono. Usiłowała się poruszyć, ale nie mogła. Wyprostował się i wybuchnął śmiechem.

— Niezła. Trochę siuśkowata, ale niezła. Powoli przysuwał ku niej papierosa.

Teraz spróbujesz czegoś naprawdę gorącego. Jak zahipnotyzowana, jakby obserwowała węża, śledziła wzrokiem zbliżający się do niej rozżarzony czubek papierosa. Nagle poczuła jego ciepło i mocno zacisnęła powieki.

Gdy samochód zatrzymał się na podjeździe, usłyszeli jej krzyk. Wskoczyli z wozu, zanim jeszcze zgasł silnik, i pobiegli przez dom.

Bernie pierwszy wypadł z rozsuwanych drzwi. Zamarł na chwilę, przerażony tym, co zobaczył. Dwaj chłopcy przytrzymywali leżącą na trawie JeriLee. Jej usta były nadal otwarte w krzyku.

— Co...? — zaczął.

Fred zareagował jak ktoś zaprawiony w bójkach ulicznych.

Zrobił krok i kopnął Joego w skroń, a potem podniósł go z ziemi i rzucił na betonowy chodnik. Walt usiłował się podnieść, ale Fred nie dał mu szansy. Waląc z furją pięścią, trafił go w nos i usta. Poczul chrupnięcie kości i zębów. Walt upadł do tyłu jak uderzony młotem.

Fred uklękł obok JeriLee i podłożył ręce pod jej głowę. Dziewczyna płakała z bólu.

— Nie róbcie mi krzywdy, proszę. Nie róbcie mi krzywdy. Powieki miała mocno zaciśnięte.

— Już dobrze, kochanie — odparł łagodnie. — Już nikt nie zrobi ci nic złego.

— Fred! — zawołał ostro Bernie.

Odwróciwszy się zobaczył, że zbliża się do niego inny chłopak i zaczął wstawać. Bernie zastopował napastnika jak na boisku. Upadli w zwarcu i poturlali się po ziemi. Teraz nadchodził Joe, trzymając w dłoni coś, co wyglądało na kamień.

Fred zerwał się i szybkim jak błyskawica ruchem sięgnął pod nogawkę spodni. Wyciągnął nóż, naciskając jednocześnie przycisk. Wystrzeliło ostrze.

— Jeden ruch, biały chłopcze — powiedział spokojnie, trzymając nóż płasko przed sobą — a odetnę ci jaja.

Joe zamarł ze wzrokiem utkwionym w przeciwnika. Jego ręka zawisła w powietrzu. W dłoni miał nie kamień, lecz tranzystorowe radio. Fred cofnął się na ugiętych nogach, aby widzieć wszystkich.

— Poszukaj czegoś, żeby ją przykryć — polecił Berniemu.

— I zabierajmy się stąd.

Usłyszał jakiś dźwięk z drugiej strony basenu. Chodnikiem szła Marian, zataczając się, z butelką rumu w ręku.

— Już się nie bawimy? — zapytała.

— Zabawa skończona, skarbie — odparł z pogardą w głosie.

Udało im się okryć JeriLee resztkami jej sukienki oraz ręcznikiem i wsadzić do samochodu. Siedziała między nimi z głową opartą na piersi Freda, drżąc, płacząc i jęcząc z bólu. Bernie prowadził. Wciąż płakała, gdy samochód zatrzymał się pod jej domem.

Kiedy Fred próbował pomóc jej wysiąść, nie chciała się ruszyć.

— Boję się — wyszeptała.

— Nie ma się już czego bać, JeriLee — powiedział uspokajająco. — Jesteś teraz bezpieczna. Jesteś w domu. Intuicyjnie czuła jednak, że to dopiero początek koszmaru. I nie myliła się.

RODZIAŁ II

Litery napisano pospiesznie węglem na białym parkanie: JERILEE DOBRA DUPA. JERILEE CIĄGNIE DRUTA. John w milczeniu patrzył na napis. Obok niego stał Bobby i chociaż krwotok już ustał, nadal przykładał do nosa mokrą, zakrwawioną chusteczkę.

Zobaczyłem, jak to robią, kiedy wyszedłem z za rogu, tato. Kto to był? — zapytał John z uczuciem obrzydzenia.

— To były duże chłopaki — odparł dwunastolatek. — Nigdy przedtem ich nie widziałem. Kiedy podszedłem, żeby ich powstrzymać, uderzyli mnie.

John odwrócił się do syna.

— W garażu jest puszka białej farby — powiedział. — Przynieś ją. Może zdążymy to zamalować, zanim twoja matka i JeriLee wrócą z zakupów.

Dobrze, tato. Ale dlaczego oni wypisują takie rzeczy o mojej siostrze?

— Niektórzy ludzie po prostu się nudzą, Bobby. I są głupi.

— To okropne. Chciałem ich zabić.

John spojrzał na syna. Na twarzy dziecka malowała się zawziętość.

— Przynieś farbę — powtórzył łagodnie.

Chłopiec pobiegł przez trawnik w stronę garażu. John odwrócił się, aby popatrzeć na ulicę. Nikogo nie było widać. Sięgnął do kieszeni po papierosa. Nie minął jeszcze miesiąc od tamtej nocy. Nocy, kiedy otworzywszy drzwi zobaczył dwóch chłopców podtrzymujących przerażoną i pobitą JeriLee.

Wieczorny program dobiegał już końca, gdy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. John wstał z fotela, na którym drzemał przed telewizorem, i rzucił okiem na zegarek. Była pierwsza. .

— To na pewno JeriLee — stwierdził. — Musiała zapomnieć kluczy.

Weronika była pochłonięta filmem.

_ Powiedz jej, żeby na przyszłość nie była taka zapominalska. Mogliśmy już spać.

Wyszedł do małego przedpokoju prowadzącego do frontowych drzwi. Dzwonek odezwał się ponownie.

— Już idę, kochanie — zawołał i odsunął zasuwę. Drzwi otworzyły się same. Na chwilę sparaliżowało go to, co zobaczył. JeriLee stała w podartym ubraniu pomiędzy dwoma chłopcami. Krew spływała jej po policzku niemal do szczytu odsłoniętych piersi. Bernie obejmował ją ramieniem w talii, żeby nie upadła.

Gdy podniosła ku niemu twarz, zobaczył w jej oczach przerażenie.

— Tatusiu — powiedziała słabym głosem, robiąc w jego stronę niepewny krok.

Złapał ją, zanim się osunęła. Przytuliwszy ją mocno, poczuł przez koszulę przestraszone trzepotanie jej serca.

— Boże! — zawołał. — Co się stało?

Czarny chłopak, którego nigdy przedtem nie widział, odezwał się pierwszy.

— Powiemy panu, co się stało — zaczął. — Ale niech pan lepiej wezwie najpierw lekarza. JeriLee jest solidnie poturbowana.

Weronika stanęła za nimi. Zobaczywszy córkę, wydała lekki okrzyk.

— John!

JeriLee odwróciła ku niej twarz.

— Mamo, ja...

W głosie matki pojawił się ton gniewu i strachu.

— W jakie tarapaty wpakowałaś się tym razem, JeriLee?

— Ronnie! — upomniał ją surowo John. — Zadzwoń do doktora Bakera i poproś go, żeby natychmiast przyszedł! Nie czekając na odpowiedź, wziął JeriLee na ręce i zaniósł na górę do jej pokoju, gdzie delikatnie ułożył córkę na łóżku.

Jęknęła cicho. Strzępy sukienki, które przylegały do jej piersi, opadły odsłaniając zaognione oparzenia tworzące pręgi na ciele.

— Boję się, tatusiu.

— Nie ma się już czego bać. Jesteś w domu. Jesteś bezpieczna.

— Ale wszystko mnie boli.

— Już dobrze — odparł łagodnie. — Doktor Baker jest w drodze. On coś poradzi.

Zaraz tu będzie — zakomunikowała Weronika, wchodząc do pokoju. Spojrzała na JeriLee. — Co się stało?

— Walt powiedział, że odwiezie mnie do domu... Matka nie pozwoliła jej skończyć.

— Walt? — zapytała gniewnie. — Kto to jest Walt? Ten kolorowy na dole? Masz chyba dość oleju w głowie, żeby się nie zadawać z takimi ludźmi!

Nie. — JeriLee z wysiłkiem potrząsnęła głową. — To nie jest Walt. To Fred. Przyjechał po mnie z Berniem.

Weronika znów jej przerwała. ǫ

Po ciebie? Dokąd pojechałaś? Powinnaś być w pracy. John zauważył, że w oczach córki pojawił się strach.

Ronnie! — powiedział ostro. — Dość tych pytań. Spróbujmy ulżyć jej trochę, zanim przyjdzie lekarz. Przynieś ręcznik i ciepłą wodę.

Już dobrze, kochanie — odezwał się, gdy Weronika wyszła z pokoju.

— Nie chcę obudzić Bobby'ego — wyszeptała. — Nie chcę, żeby mnie zobaczył w takim stanie.

— Nie martw się — uspokoił ją. — Twojego braciszka nie obudziłoby nawet trzęsienie ziemi.

Na dole zadzwonił dzwonek.

— To na pewno lekarz. — Odgarnął jej włosy z czoła. — Zaraz poczujesz się lepiej.

— Mama będzie na mnie zła.

— Nie będzie. Jest po prostu zdenerwowana.

Doktor Baker pracował w miasteczku od dawna. Po czterdziestu latach praktyki nie musiał czekać na wyjaśnienia.

Bez słowa otworzył swoją czarną torbę i szybko zrobił zastrzyk.

— To uśmierzy ból, JeriLee — powiedział, po czym

zwrócił się do Randallów. — Idźcie na dół i zostańcie tam, dopóki jej nie zbadam.

— Nic jej nie będzie? — zapytał John.

— Nic jej nie będzie — odparł lekarz. Zeszli do salonu, gdzie czekali Fred i Bernie.

— Jak ona się czuje? — zapytał Bernie.

— Doktor Baker mówi, że nic jej nie będzie — odrzekł John. — A teraz powiedzcie mi, co się wydarzyło.

— Była zmęczona i chciała wcześniej wrócić do domu — zaczął Bernie. — Walt powiedział, że ją odwiezie. Byli z nim koledzy. Kiedy pan zadzwonił i okazało się, że jeszcze jej nie ma, Fred doszedł do wniosku, że coś jest nie w porządku. Wtedy po nią pojechaliśmy.

— Dlaczego tak pomyślałeś? — zwrócił się do Freda John.

— Walt i jego koledzy ostro pili. Bałem się, że mogą się zachować paskudnie.

— Kim jest ten Walt, o którym mówicie? — wtrąciła się Weronika. — Nigdy nie słyszałam, żeby JeriLee o nim wspominała.

— Walt Thornton — wyjaśnił Bernie. — Mieszka w willi na Przylądku.

— Syn tego pisarza? — zapytał John.

— Tak.

— Co się tam działo, kiedy przyjechaliście? Tym razem odezwał się Fred.

— JeriLee leżała na ziemi. Walt ją przytrzymał, a drugi chłopak coś z nią robił. Krzyczała tak głośno, że słyszeliśmy ją z drugiej strony domu.

Twarz Johna stężała. Podniósł słuchawkę telefonu.

— Co robisz? — zapytała Weronika.

— Wzywam policję — odparł zduszonym głosem.

— Zaczekaj — powiedziała, wyjmując mu słuchawkę z ręki. Odłożyła ją na widełki. — Jeszcze nie wiemy, czy coś jej zrobili.

John wbił wzrok w żonę.

— Zobaczyłaś, co zrobili. Zachowali się jak zwierzęta. Męczyli ją. To ci nie wystarczy?

— Czy widziałaś, żeby robili coś jeszcze? — zapytała spokojnie Freda.

Twarz czarnego chłopca przybrała kamienny wyraz.

— Nie wiem, o co pani chodzi. Zarumieniła się.

— Czy widziałeś, żeby mieli z nią stosunek?

— Nie, proszę pani — głos Freda był bezbarwny. — Nie sądzę, by posunęli się aż tak daleko.

Widzisz? — zwróciła się do męża. — Nic jej nie zrobili.

— Zrobili dosyć — odparł John ze złością.

— Jeśli wezwiesz policję, całe miasto się dowie, co się stało — zauważyła. — Wątpię, żeby to się spodobało panu Carsonowi.

Nie obchodzi mnie, co się podoba panu Carsonowi.

— Poza tym nie wiemy, czy JeriLee ich nie sprowokowała.

— Chyba nie wierzysz w to, co mówisz!

— To pierwsza rzecz, jaka przyjdzie ludziom do głowy. Znam to miasto i ty także je znasz.

John milczał przez chwilę.

Dobrze, zaczekam, aż doktor zejdzie na dół. Zobaczymy, co powie. — Zwrócił się do chłopców. — Nie wiem, jak wam dziękować za to, co zrobiliście. Gdyby nie wy... — głos mu się załamał.

Stali z zakłopotanymi minami.

Napijcie się kawy albo czegoś innego? — zapytała Weronika.

Fred potrząsnął głową.

— Nie, dziękujemy pani. Muszę wracać do klubu. Będą się zastanawiać, gdzie przepadłem. Zaczekam tylko, żeby usłyszeć, co powie lekarz.

Nie musicie czekać — wtrąciła pospiesznie. Nagle zapragnęła, żeby już wyszli. Jeśli JeriLee przydarzyło się coś jeszcze, nie chciała, aby się o tym dowiedzieli. — Zadzwoń do was z samego rana.

Bernie zawahał się. Zerknął na Freda i skinął głową.

— Dobrze — odrzekł z ociąganiem. Ruszyli w stronę drzwi. Weronika odchrząknęła.

— Byłabym wam wdzięczna, gdybyście zachowali to dla siebie — powiedziała. — To małe miasto. Wiecie, jak ludzie potrafią gadać, nawet jeśli nie ma o czym.

Bernie skinął głową.

— Proszę się nie martwić. Nic nie powiemy.

Zamknawszy drzwi za chłopcami, John wrócił do żony.

— Doktor jest na górze bardzo długo.

— Dopiero piętnaście minut.

Rzuciła okiem na schody, a potem na męża.

— Nie rozumiem, jak JeriLee mogła się wpakować w coś takiego.

— Słyszałaś, co mówili chłopcy — odparł John. — Tamci mieli ją odwieźć do domu.

— Wierzysz w to? — zapytała. Napotkał jej wzrok.

— Tak — powiedział po prostu.

— A ja nie — odrzekła stanowczym tonem. — Znam JeriLee. Jest podobna do ojca bardziej niż się wydaje. On nigdy nie zastanawiał się nad konsekwencjami i ona tak samo. Myślę, że świetnie wiedziała, co robi.

— Jesteś dla niej niesprawiedliwa — stwierdził gniewnie.

— JeriLee to porządna dziewczyna. Jaki on naiwny, pomyślała.

— Zobaczmy, co powie doktor — odparła wymijająco.

— Zrobię kawę.

Właśnie postawiła dzbanek na stole, kiedy lekarz zszedł na dół.

— Wszystko w porządku — zakomunikował. — Śpi. Dałem jej zastrzyk.

— Kawy, doktorze? — zapytała Weronika. Skinął głową ze znużeniem.

— Dziękuję.

Napełniła filiżankę i podała mu ją. Następnie naląła kawy Johnowi i sobie.

— Czy oni...? — zapytała. Lekarz popatrzył na nią.

— Nie — odparł.

— Nadal jest dziewicą?

— Jeśli tylko to panią niepokoi — powiedział ostro — tak, nadal jest dziewicą.

— Więc nic się nie stało — stwierdziła z ulgą w głosie.

— Nic się nie stało — odrzekł sarkastycznie. — Nie licząc ciężkiego pobicia, oparzeń trzeciego stopnia na piersiach i narządach płciowych, złamania nosa oraz śladów zębów, które wyglądają tak, jakby zrobiło je dzikie zwierzę.

— Dzwonię na policję — zdecydował John. — Nie można pozwolić, żeby coś takiego uszło im na sucho.

— Nie — zaprotestowała Weronika stanowczo. — Najlepiej będzie o wszystkim zapomnieć. Dalej nie wiemy, czy ich nie sprowokowała. A jeśli nawet nic nie zrobiła, wiesz, co pomyślą ludzie. To zawsze wina dziewczyny.

— Czy pan się z tym zgadza, doktorze? — zapytał John. Lekarz zawahał się. Rozumiał, co czuje John. Gdyby chodziło o jego córkę, czułby to samo. Weronika miała jednak rację. Lepiej było tego nie rozgłaszać.

— Obawiam się, że słuszność jest po stronie twojej żony, John — odrzekł. — Ludzie są w tych sprawach dziwni. John zacisnął usta.

— Więc pozwoliliby pan, żeby uszło im to na sucho.

— Może moglibyście porozmawiać o tym prywatnie z ich rodzicami — podsunął lekarz.

— Co by to dało? — zapytał John. — Jestem pewien, że te chłopaki znalazłyby sposób, aby zrzucić całą winę na JeriLee.

— Właśnie o to mi chodzi — wtrąciła pospiesznie Weronika. — Tak czy inaczej rozniosłoby się to po mieście. Po prostu zapomnijmy o wszystkim, tak jak powiedziałam.

John spojrzął na żonę. Miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Rozumowała chłodniej niż kiedykolwiek przypuszczał.

— Może my będziemy potrafili o tym zapomnieć — powiedział głosem pełnym bólu. — Ale co z JeriLee? Sądzisz, że ona zapomni?

ROZDZIAŁ 12

-Ty i te twoje pieprzone wielkopańskie maniery — mruknął Jack, zaczynając wrzucać ze złością ubranie do poobijanej walizki.

Fred bez słowa zapalił papierosa. Jack wyprostował się.

— Lepiej pakuj manatki. Facet kazał się nam wynieść do południa.

Fred wstał.

— Wychodzę — powiedział.

Zamrugnął powiekami, gdy poranne słońce ukuło go w oczy. Niebo było jasne. Zanosiło się na upalny dzień.

Przeszedł przez parking na plażę i spojrzął na Cieśninę.

Woda migotała niebiesko-zielono, małe, białogrzywe fale wcinały się w piasek pustej plaży. Podwinął do kolan nogawki spodni, zdjął buty, i trzymając je w jednym ręku zaczął iść wzdłuż brzegu. Odetchnął głęboko wspaniałym morskim powietrzem. Jack miał rację. Świat jest piękny — jeśli jest się białym. W Harlemie nie było czegoś takiego. Od tamtej nocy nie minął jeszcze tydzień. Pierwszy dzień upływał spokojnie. JeriLee nie przyszła do pracy, i ani Walt, ani jego koledzy nie pokazali się w klubie. Nie pojawiła się nawet Marian. Aż nagle, po południu, zaczęły krążyć pogłoski.

Jeden z chłopców, którzy odwiedzili Walta Thorntona, znalazł się w szpitalu w Jefferson, około trzydziestu mil od Port Clare. Miał złamaną kość policzkową i kilka żeber oraz pękniętą szczękę. Zgłoszono to jako wypadek, skutek niefortunnego upadku. Być może rzecz uszłaby uwagi, gdyby nie fakt, że również Walt miał siniaki i szramy. To wystarczyło, aby wzbudzić wątpliwości.

Tymczasem pani Daley szukała córki po wszystkich znajomych w mieście. Marian nie wróciła na noc. Nad ranem matka zaczęła się niepokoić. Skierowano ją do domu Walta. Ponieważ nikt nie odbierał telefonu, postanowiła tam pojechać.

Nikt nie odpowiedział również na dzwonek. Stwierdziła jednak, że drzwi są otwarte i weszła do środka. Nie znalazłszy nikogo na parterze, wyszła przez rozsuwane drzwi do ogrodu. Panował tam nieopisany bałagan: przewracane leżaki, stłuczone butelki. Postąpiła chwilę, wróciła do domu i podniosła słuchawkę, aby wezwać policję. Wtedy usłyszała jakiś dźwięk dochodzący z jednej z sypialni.

Dotarła na szczyt schodów w tym samym momencie, gdy z pokoju wyszła Marian. Była zupełnie naga. Kiedy tak stały patrząc na siebie, osłupiały ze zdumienia, w drzwiach za jej córką pojawił się jakiś nieznany jej chłopak. On również był nagi.

Pierwsza odzyskała głos pani Daley.

— Ubieraj się, Marian, i chodź ze mną.

Potem odwróciła się i poszła do samochodu, nie czekając na odpowiedź.

Po kilku minutach Marian wyszła na dwór i usiadła w samochodzie obok matki. Ta bez słowa włączyła silnik i wyjechała z podjazdu. Odezwała się dopiero na ulicy.

— Tym razem naprawdę się doigrałaś, Marian. Nie wiem, co zrobi ojciec, kiedy się o wszystkim dowie.

Marian zaczęła płakać. Wypaplanie własnej wersji wydarzeń zajęło jej tylko dwie minuty. Matka nie przerywała. Na koniec spojrzęła na córkę.

— Mówisz, że JeriLee pojechała z wami?

Tak — odparła Marian pospiesznie. — Mieliśmy zamiar tylko popływać. Potem nagle pojawili się Bernie i Fred.

Była okropna bijatyka i zabrali ze sobą JeriLee.

— Gdzie jest Walt i ten drugi chłopiec? — zapytała matka.

— Był tak ciężko ranny, że Walt zawiózł go do szpitala w Jefferson — wyjaśniła Marian.

— Co tam robił ten czarny? — indagowała pani Daley.

— Nie wiem — odpowiedziała szybko Marian. — Ale JeriLee jest z nim bardzo zaprzyjaźniona. W klubie są nierozłączni.

Pani Daley zacisnęła usta.

— Mówiłam panu Corcoranowi, kiedy ich wynajął, że nie można ufać czarnuchom. Oni nie mają dla ludzi żadnego szacunku.

— Co powiesz tacie? — zapytała Marian cieniem głosem.

— Jeszcze nie wiem — odparła matka. — Oszaleje, jeśli się dowie, że jakiś czarny widział cię w takim stanie.

Najlepiej będzie, jeżeli porozmawiam najpierw z matką JeriLee i przekonam się, czy ona wie, co robiła jej córka.

Potem mam zamiar pogadać z Corcoranem. Jeśli nie chce, żeby klub stracił członków, niech lepiej znajdzie sposób, aby się pozbyć tych czarnuchów.

Telefon na biurku zadzwonił w chwili, gdy John wrócił z lunchu. Podniósł słuchawkę.

— Tu Randall.

— John?

Weronika była najwyraźniej zdenerwowana. Chwycił go nagły lęk.

— Czy JeriLee czuje się dobrze? — zapytał szybko.

— Tak, ale właśnie dzwoniła do mnie pani Daley. Powiedziała, że ten chłopak jest w szpitalu w Jefferson. Tak ciężko został pobity.

— Jakże mi go żal — odparł John sarkastycznie. —

Gdybym ja tam był, zabiłbym go.

— Nie o to chodzi. Ona powiedziała także, że JeriLee jest bardzo zaprzyjaźniona z tym kolorowym, że prowadzają się ze sobą i że przyjechał po nią, bo był zazdrosny.

— To idiotyczne!

— Mówi, że Marian tam była i twierdzi, że JeriLee pojechała z nimi z własnej woli. Nie było mowy o odwożeniu jej do domu.

— Ta smarkuła kłamie! — wybuchnął John.

— Pani Daley zapytała mnie, czy JeriLee wróciła do domu bez problemów.

— Co jej odpowiedziałaś?

— Że tak. Chciała się dowiedzieć, kto ją odwiózł. Powiedziałam jej. Odparła, że idzie do klubu porozmawiać z panem Corcoranem na temat pozbycia się orkiestry, i że powinnam być bardziej surowa dla JeriLee i nie pozwalać jej się zadawać z takimi ludźmi.

— Nie możemy do tego dopuścić — stwierdził John. Ten chłopak zasługuje na medal. Zadzwoń do niej i opowiedz jej dokładnie, co się wydarzyło.

— Nie mogę. Zresztą i tak by mi nie uwierzyła. Myśli, że JeriLee pojechała tam z jej córką. A gdyby nawet uwierzyła, ta historia rozniesie się po mieście lotem błyskawicy.

— Lepsze to, niż żeby chłopak stracił pracę z powodu czegoś, za co nie jest odpowiedzialny.

— Nikt nam nie uwierzy. Wszyscy pomyślą, że to вина JeriLee. Nie będziemy mogli spojrzeć ludziom w oczy. Poza tym znasz stosunek pana Carsona do pracowników banku. Jedno złe słowo i są skończeni.

— Uwierzy mi, jeśli powiem mu prawdę — odparł John. — Lepiej pójdę z nim porozmawiać, zanim to się rozejdzie.

— Moim zdaniem powinieneś trzymać się od tej sprawy z daleka.

— Już w niej tkwię po uszy. Nie mogę pozwolić, żeby ten chłopak ucierpiał przez to, że uratował moją córkę przed gwałtem.

Odłożył słuchawkę, poszedł na zaplecze i zapukał do szklanych drzwi gabinetu pana Carsona. Dobiegł zza nich głos prezesa.

— Proszę.

John otworzył drzwi i zrobił pół kroku naprzód.

— Panie prezesie — odezwał się uprzejmie, nadal stojąc w progu. — Czy znalazłby pan dla mnie chwilę czasu?

Carson podniósł wzrok.

— Oczywiście, John — odparł tonem w stylu „miły facet”. — Kiedy tylko sobie życzysz. Wiesz, że moje drzwi są zawsze otwarte.

John skinął głową, chociaż nie było to prawdą, i starannie zamknął za sobą drzwi.

— To sprawa osobista, panie prezesie — wyjaśnił.

— Żadnych podwyżek — odrzekł pospiesznie Carson. — Znasz naszą politykę. Weryfikację płac przeprowadzamy raz do roku.

— Wiem, panie prezesie. Nie o to chodzi. Jestem całkowicie zadowolony ze swojego wynagrodzenia.

Carson uśmiechnął się szeroko.

Miło mi to słyszeć. Dzisiaj ludzie nie są z niczego zadowoleni.

Wskazał ręką krzesło naprzeciw biurka.

— Siadaj, siadaj. O czym chcesz ze mną rozmawiać?

— Chciałbym pana prosić o dyskrecję.

— Nie musisz mi tego mówić, John. Ani jedno słowo, które tu pada, nie wychodzi poza te cztery ściany.

— Dziękuję, panie prezesie. Przyszedłem w sprawie mojej córki, JeriLee.

Carson westchnął.

— Nie musisz mi mówić, John — powtórzył. — Ja też mam dzieci. Kłopoty, wiecznie kłopoty.

John stracił cierpliwość.

— Zeszłej nocy została pobita i niemal zgwałcona! — wybuchnął.

- Mój Boże! — Carson był naprawdę wstrząśnięty. —

Jak ona się czuje?

— Dobrze. Doktor Baker zajął się nią. Powiedział, że nic jej nie będzie.

Carson wyjął chusteczkę i wytarł sobie czoło.

— Bogu dzięki. Co za szczęście. — Odłożył chustkę na biurko. — Nie wiem, dokąd zmierza ten świat. Mam nadzieję, że złapałeś drania, który to zrobił.

— Na tym właśnie polega problem — odparł John. Weronika uważa, że nie powinniśmy poruszać tej sprawy, bo narazimy tylko JeriLee na publiczny wstyd.

_ W tym, co mówi twoja żona, jest trochę racji

zgodził się Carson. — Nie można jednak pozwolić, aby ktoś taki spokojnie chodził po ulicach. Nie wiadomo, kogo zaatakuje następnym razem.

— Jestem tego samego zdania. Ale chodzi o coś jeszcze gorszego. Jeden z chłopców, którzy uratowali JeriLee, może stracić pracę dlatego, że próbował jej pomóc.

Carson nie był całkiem głupi i intuicja mówiła mu, że powinien się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co zaszło.

— Lepiej opowiedz mi całą tę historię od początku. Słuchał spokojnie, gdy John relacjonował mu przebieg wypadków.

— Nie rozumiem, co ma z tym wspólnego ta dziewczyna Daleyów — powiedział, kiedy John skończył.

— Najwyraźniej była tam, gdy to się stało. JeriLee mówi, że została u Thorntona, kiedy odjechali.

— Czy coś jej zrobili?

— Nie wiem.

— Jak dowiedziała się o tym jej matka? John wzruszył ramionami.

Carson zamilkł. Sprawa byłaby prosta, gdyby John me pracował w jego banku.

— Rozmawiałeś z policją? — zapytał.

— Miałem zamiar, ale Weronika poradziła mi, żebym zaczekał. Teraz jednak chyba to zrobię.

- Nie - wtrącił Carson pospiesznie. — Moim zdaniem takie rzeczy lepiej załatwiać nieoficjalnie.

— Jak mam to zrobić? — zapytał John. — Nie mogę tak

po prostu iść do Thorntona i powiedzieć: „Pański syn usiłował zgwałcić moją córkę”, ani do Daleya i poinformować go, że jego córka kłamie.

— Nie — przyznał w zamyśleniu Carson.

— Tymczasem ten biedny chłopak straci pracę. Normalnie bym tego nie powiedział, ale uważam, że byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdybyś posłuchał rady żony i zostawił rzecz własnemu biegowi. Będąc pracownikiem banku, musisz sobie zdawać sprawę, że pan Thornton ma tutaj pokaźne konto, a pan Daley, jako przedsiębiorca budowlany, przysparza nam licznych klientów. Coś takiego mogłoby ich skłonić do ulokowania pieniędzy gdzie indziej.

— To byłoby głupie z ich strony.

— Oczywiście, że byłoby głupie — zgodził się Carson. — Ale znasz klientów. Traciliśmy ich już z błahszych powodów. A ci dwaj są dla nas ważni.

— Więc co będzie z chłopcem?

Porozmawiam po cichu z Corcoranem i zobaczę, co się da zrobić.

Carson podniósł się, obszedł biurko i położył Johnowi rękę na ramieniu.

Rozumiem, co czujesz, ale uwierz mi na słowo. Są sprawy, które lepiej zostawić w spokoju. Chłopak przyjechał tu tylko na kilka tygodni. A my musimy dalej żyć w tym mieście.

John nie odpowiedział. Carson zdjął rękę z jego ramienia i przybrał bardziej urzędowy ton.

A propos, słyszałem pogłoski, że kontrolerzy z banku stanowego mogą nam złożyć niespodziewaną wizytę.

Chciałbym, żebyś przejrzał wszystkie konta i upewnił się, że są porządku.

John wstał.

Natychmiast się tym zajmę, panie prezesie.

— Znakomicie — odparł Carson. — Najważniejsze, że twoja córka czuje się dobrze. O nic więcej się nie martw.

Problemy często rozwiązują się same.

— Dziękuję, panie prezesie — odrzekł John.

Wrócił do swojego biurka i usiadł przy nim z poczuciem

bezsilności. Carson nic nie robi. Wiedział o tym. Zostało to wyraźnie powiedziane. Dobro banku stoi na pierwszym miejscu. Jak zwykle.

Tylko cztery dni zajęło pani Daley załatwienie zwolnienia Freda.

ROZDZIAŁ 13

JeriLee siedziała na ganku, kiedy nadszedł doktor Baker. Patrząc na nią pomyślał, że siły regeneracyjne młodego organizmu nigdy nie przestaną go zadziwiać. Opuchlizna wokół jej nosa prawie ustąpiła, a czarnoniebieski obrzęk pod oczami zniknął całkowicie. .

— Nie spodziewałem się, że zastanę cię tutaj — powiedział.

— Miałam dosyć siedzenia w pokoju. Wszedł po schodach.

— Jak się czujesz?

— Dużo lepiej. Czy zostaną mi blizny na...? — nie dokończyła pytania.

— Nie. Przez jakiś czas będziesz miała białe siady tam, gdzie cię poparzano, ale one też w końcu znikną.

— To dobrze — odparła z ulgą w głosie. — Zaczynałam się martwić. Wyglądają tak okropnie.

— Dochodzisz do siebie.

Roześmiał się. Przyjemnie było widzieć, że znów interesuje się swoim wyglądem.

— Wejdźmy do środka i pozwól, że rzucę na ciebie okiem.

Poszli do jej pokoju. Rozebrała się szybko, bez skrupowania i owinęła się ręcznikiem. Założył swój reflektor chociaż w rzeczywistości wcale go nie potrzebował. Czuł jednak, że dzięki niemu badanie nabierze bardziej oficjalnego charakteru. Gdy wyciągnęła się na łóżku, zdjął opatrunki, ostrożnie wytarł maść i przyjrzał się oparzeniom. Po chwili z zadowoleniem pokiwał głową.

— Goi się ładnie. Myślę, że możemy już zrezygnować z opatrunków. Nie noś tylko niczego, co by to podrażniało.

— Chodzi panu o stanik? Skinął głową.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Nikt nic nie dojrzy przez bluzkę.

— Nie w tym rzecz — powiedziała. — Za bardzo mi podskakują. To krępujące.

Parsknął śmiechem.

— Chodź wolniej, a wszystko będzie w porządku. Podniósł się.

— Nie muszę już tu przychodzić. Wpadnij do mnie do gabinetu za jakiś tydzień, to zobaczymy, czy robisz postępy.

— Dobrze — odparła siadając. — Czy mogę wrócić do pracy?

— A chcesz?

— Tak.

— Mogłabyś się tam natknąć na tych chłopaków.

— Nie boję się ich. Nic mi już nie zrobią. Poza tym nie mogę cały czas siedzieć w domu.

— Możesz wrócić do pracy, jeśli chcesz — odrzekł. — Nie spiesz się jednak. Jeszcze nie odzyskałaś sił.

— Pomyślałam, że zaczekam do poniedziałku. Na początku tygodnia jest łatwiej.

— Zgoda — powiedział. — Ale przychodź do mnie śmiało, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

— Dziękuję, panie doktorze.

Patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi, a potem wstała z łóżka. Czowała niejasny niepokój. Dotąd Bernie i Fred dzwonili do niej co rano, a tego dnia nie było żadnych telefonów. Włożyła szlafrok, zeszła na dół i wiedzona przeczuciem postanowiła zadzwonić do Berniego do domu.

— Właśnie miałem do ciebie dzwonić — powiedział, podniósłszy słuchawkę.

Spojrzała na zegarek. Było po jedenastej.

— Dlaczego nie jesteś w pracy? — zapytała.

— Corcoran nas wyrzucił.

Ciebie i Freda? — Ze zdumieniem podniosła głos. — Za co?

— Nie mam pojęcia. Pani Daley narobiła smrodu. Bóg jeden wie, jaką historię opowiedziała jej Marian.

— Gdzie jest Fred?

— W klubie. Pakuje się. Wylali cały zespół.

— Muszę się z nim zobaczyć — zdecydowała. — Podrzucisz mnie?

Wahał się przez chwilę.

— Jest solidnie wkurzony.

— Ja też — odparła. — Więc?

— Zgoda. Kiedy?

— Zaraz. Będę gotowa za dziesięć minut.

— Fred! Fred! — wiatr niósł jej głos po wydmach. Stała na szczycie niewielkiego pagórka, który oddzielał plażę od klubu. Podniósł rękę, pomachał do niej i czekał, aż zbiegnie na dół. Pomyślał, że w jej sposobie poruszania się jest coś naturalnego i jakby zwierzęcego. Wyszedł z wody i spotkał się z nią na plaży.

Bez słowa wzięła go za rękę. Przez chwilę stał nieruchomo, czując ciepło jej palców. Potem, nadal trzymając się za rękę, zaczęli iść wzdłuż brzegu.

— To niesprawiedliwe — odezwała się w końcu.

— Nic nie jest sprawiedliwe, moja mała dziewczynko odparł miękko.

— Dlaczego mnie tak nazywasz?

— Bo tym właśnie jesteś. Małą dziewczynką, która dorasta. Przymierza się do bycia kobietą.

— Może masz rację. Czasami tak się czuję. Zamilkli na kilka minut, aż ona przemówiła.

— Nie mogą ci tego zrobić. Uśmiechnął się.

— Już zrobili.

— Nie robią, jeśli dowiedzą się prawdy — odrzekła. — Nie mam pojęcia, czego nagadała panu Corcoranowi matka Marian, ale kiedy mu powiem, co się stało, przyjmie cię z powrotem. Zobaczysz.

— Nie powiesz temu draniowi ani słowa! — krzyknął niemal wściekle.

Popatrzyła nań, przerażona jego tonem.

Nie miał zamiaru jej przestraszyć. Ona nie słyszała jednak historii rozpowiadanych przez panią Daley i Corcorana. Nieoczekiwanie JeriLee stała się czarnym charakterem, podczas gdy Marian chodziła w aureoli.

— Znajdę inną pracę — powiedział łagodnie. Przystanąła.

— Ale gdzie ja znajdę takiego przyjaciela?

Jej słowa chwyciły go za serce i nagle łzy zakręciły mu się w oczach.

— Jesteś uroczą dziewczyną, JeriLee. Znajdziesz jeszcze w życiu wielu przyjaciół.

Odwrócił się i utkwiał wzrok gdzieś ponad wodą, obawiając się, że gdyby spojrzął na nią, wzięłby ją w ramiona i stracił coś, czego nigdy tak naprawdę nie miał.

— Pięknie tu — szepnął. — Tak spokojnie. Nie odzywała się.

— Tego będzie mi chyba brakowało. Porannych spacerów boso po plaży, zanim ktokolwiek się obudzi, kiedy nie ma tu nikogo, kto mógłby wszystko zepsuć. — Rozmyślnie przeszedł na gwarę murzyńską. — Czarnuchy nie mająm czegoś takiego w Harlemie.

— Nie przyjedziesz, żeby się ze mną zobaczyć? Puścił jej rękę.

— Nic tu po mnie. Poza tym będę zajęty. Przez całe lato praca, a we wrześniu z powrotem do szkoły.

— Musisz mieć czasem wolny dzień. Jego głos był pełen bólu.

— Zostaw mnie, JeriLee.

Zobaczył, że jej oczy zachodzą nagle łzami, ale nie zbliżył się do niej.

— Muszę wracać i skończyć pakowanie, bo spóźnimy się na autobus do Nowego Jorku.

Skinęła głową, odzyskując panowanie nad sobą.

— Odprowadzę cię.

Nie widzieli policjantów, dopóki nie weszli na szczyt wydmy. Dwóch umundurowanych mężczyzn stanęło przed nimi. Wyższy spojrzął na Freda.

— Fred Lafayette?

Fred zerknął na JeriLee, zanim się odezwał.

— Tak.

Policjant wyjął z kieszeni jakiś papier.

— Mam nakaz aresztowania.

Fred wziął dokument nie patrząc nań.

— Za co?

— Czynna napaść z bronią w ręku na osobę niejakiego Josepha Herrona, w nocy dziesiątego lipca. Pójdiesz spokojnie, czy mamy ci założyć kajdanki?

— Nie sprawię wam kłopotu — odparł Fred.

— Grzeczny chłopiec. — Policjant odetchnął z ulgą. — Chodźmy.

JeriLee odzyskała głos.

— Dokąd go zabieracie?

— Do więzienia okręgowego w Jefferson.

— Znam szeryfa Roberta — powiedziała. — Czy mogę z nim porozmawiać?

— Możesz sobie rozmawiać z kim chcesz, panienko, ale on nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Jesteśmy z biura szeryfa okręgowego.

— Nic się nie martw, Fred. Pomówię z ojcem. On wyjaśni to nieporozumienie.

— Trzymaj się od tego z daleka, JeriLee. Poradzę sobie.

— Jak mogę się trzymać z daleka? — zapytała. — Już w tym siedzę.

ROZDZIAŁ 14

Sędzia Winsted spojrział na duży, staroświecki, złoty zegarek kieszonkowy, który ojciec podarował mu, kiedy przed pięćdziesięcioma laty objął swój urząd.

— Jest dwunasta czterdzieści pięć — oznajmił, zatraskując kopertę i chowając zegarek do kieszeni. — To pierwszy przypadek od czasu wojny, żeby Carson się spóźnił.

Artur Daley skinął głową.

— Musiało go zatrzymać coś ważnego. Comiesięczny lunch stał się już rytuałem. W każdy trzeci piątek miesiąca ci trzej mężczyźni spotykali się i robili przegląd spraw miasta. Nie można było niczego dokonać bez ich aprobaty i chociaż żaden z nich nigdy nie został wybrany do władz miejskich, wszyscy, nawet politycy, rozumieli, że jedynym sposobem, aby coś załatwić w Port Clare, było skorzystanie z ich pośrednictwa.

— Jeszcze jednego? — zapytał sędzia.

— Nie, dziękuję. Muszę być o drugiej na budowie i chcę mieć jasną głowę.

— Ja się napiję.

Sędzia dał znak kelnerowi.

— Jak ci idzie?

— Dobrze. Pierwsze dziesięć domów powinno być gotowe do września.

— Nieźle.

— Ale władze okręgowe nie zatwierdziły jeszcze planów wodociągów.

— Miasto się zgadza? Daley skinął głową.

— Więc nie ma problemu — stwierdził sędzia. — Poruszę tę sprawę w stanowym Departamencie Wodociągów i Kanalizacji.

— To by pomogło.

— A co z kredytami? — zapytał sędzia.

— Jeszcze nie wiem. Chciałbym o tym porozmawiać z Carsonem. Trzydzieści tysięcy to dużo jak na własny wkład. Jeśli jednak wy cenię domy niżej, nie kupią ich tacy ludzie, jakich chcielibyśmy tu widzieć.

— Nie możemy na to pozwolić. Odpowiadamy przed społecznością za utrzymanie poziomu.

— Tak — odparł sucho Daley.

Obydwaj rozumieli, że najskuteczniejszym sposobem niedopuszczania niepożądanego elementu było wyparcie go z rynku polityką cen.

Sędzia podniósł wzrok.

— Oto i on.

Carson zmierzał szybko w ich stronę. Twarz miał zaczerwienioną i błyszczącą. Opadł na krzesło bez słowa przeprosin.

— Muszę się napić — powiedział.

Tamci roztropnie czekali. Carson pociągnął spory łyk szkockiej i odstawił szklanekę na stół.

— Mamy problem — oznajmił. — Twoja żona wywołała cholerny skandal, Daley — ciągnął gniewnie, nie czekając na ich pytania. — Dlaczego nie porozumiałeś się ze mną, zanim pozwoliłeś, żeby się wyrwała jak filip z konopi?

Daley popatrzył na niego z niekłamanym zdumieniem.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— O tym, co się wydarzyło w domu Thorntona w ostatnią środę.

— A co takiego się wydarzyło?

— Nie wiesz?

Daley potrząsnął głową.

— Twoja córka i JeriLee Randall pojechały tam z klubu. Dwóch chłopaków najwyraźniej usiłowało zgwałcić JeriLee. Bili ją, kiedy pojawili się jej dwaj koledzy. Dzieciak Mur-phy'ego i jakiś czarny z klubowej orkiestry.

Czarnuch posłał jednego z chłopaków do szpitala w Jefferson.

— Nie rozumiem, co może mieć z tym wspólnego moja żona.

— Najwidoczniej twoja żona dowiedziała się o wszystkim i postanowiła dobrać się temu czarnemu do skóry. Nie ustąpiła, dopóki nie zmusiła Corcorana, żeby wylał jego i małego Murphy'ego. Gdyby na tym poprzestała, nie byłoby jeszcze tak źle. Mógłbym opanować sytuację. Już przekonałem Randalla, żeby nic w tej sprawie nie robił. Ona jednak nakłoniła rodziców chłopaka do wniesienia przeciwko czarnemu skargi o pobicie. Policja okręgowa zabrała go dziś rano. Teraz JeriLee mówi, że pójdzie do sądu i zaskarży młodego Thorntona i jego dwóch kolegów. Mówi też, że będzie zeznawać w obronie czarnego. Jeśli to zrobi, Port Clare zyska tego rodzaju rozgłos, jakiego z pewnością nie szukamy. Nic nie nadaje się lepiej na nagłówki w gazetach, niż soczyste oskarżenie o usiłowanie gwałtu, wysunięte przeciwko synowi jednego z najlepszych pisarzy w kraju.

Czy nie można jej tego jakoś wyperswadować? Może jej ojciec...

Carson przerwał sędziemu.

— Nie. Jest równie wyprowadzony z równowagi jak ona. Gdybym mu tego nie wybił z głowy, wniósłby skargę już następnego dnia. Usłyszał krążące po mieście plotki, które robią z jego córki latawicę, i aż się gotuje z wściekłości.

— Spojrzał na Daleya. — Nie wiedziałeś, że twoja córka tam była?

Nie — odparł ten stanowczo. — Żona nic mi nie powiedziała.

- Jesteś chyba jedynym człowiekiem w mieście, do którego to nie dotarło. — Zwrócił się do sędziego. — A ty?

— Coś niecoś słyszałem.

— Co teraz zrobimy?

Sędzia zastanawiał się przez chwilę.

Gdyby skargi wycofano, prawdopodobnie moglibyśmy uciszyć sprawę bez większych trudności. Ktoś będzie jednak musiał porozmawiać z rodzicami chłopca i z Randallem.

— Randalla biorę na siebie — odrzekł Carson. — Tylko niech ktoś pogada z rodzicami. — Zwrócił się do Daleya:

Twoja żona nas w to wpakowała, może mogłaby nas wyciągnąć.

— Nie mam pojęcia jak — zaprotestował Daley. — Skoro chłopak naprawdę był ranny...

Lepiej znajdź jakiś sposób. Nie zapominaj, że twoja córka też jest w to zamieszana.

— Ona nie miała z tym nic wspólnego.

— Skąd ta pewność? — zapytał chłodno Carson. — Ona i chłopaki byli pijani, kiedy tamtego wieczora wychodzili z klubu. Gdy następnego dnia rano twoja żona pojechała jej szukać, zastała ją nago z jednym z nich.

— Chryste! — jęknął Daley. — Wciąż powtarzam Sally, że pozwala dziewczynie na zbyt wiele.

Carson popatrzył na niego zimno.

— Może mimo wszystko masz szczęście. To mogło się skończyć jeszcze gorzej.

Daley zerwał się na równe nogi.

Lepiej daruję sobie lunch i pójde do domu porozmawiać z Sally.

Carson przyglądał się, jak przedsiębiorca budowlany wychodzi z restauracji, a następnie zwrócił się do sędziego.

— Skontaktuj się z prokuratorem okręgowym w Jefferson i powiedz mu, żeby się wstrzymał, bo doszły cię słuchy, że skargi zostaną wycofane.

— A jeśli już zwołał ławę przysięgłych na rozprawę wstępną?

— Każ mu się jakoś wykręcić.

— Zgoda — powiedział sędzia.

— Posłucha cię — stwierdził Carson z przekonaniem. — Bez głosów z Port Clare nigdy by go nie wybrano. Będzie o tym pamiętał.

— Dlaczego mi, do cholery, nie powiedziałaś, co się dzieje? — wrzeszczał Daley. — Czułem się jak ostatni idiota. Byłem jedynym człowiekiem w mieście, który o tym nie słyszał.

— Nie chciałam cię niepokoić, Arturze — odparła Sally pojednawczo. — Masz dość zmartwień z nową budową.

— Do diabła, kobieto, ile razy mam ci powtarzać, żebyś się do mnie zwracała, jeżeli są jakieś problemy? Czy kiedykolwiek nie chciałem z tobą rozmawiać?

Milczała.

— Teraz naprawdę mamy kłopoty. Nie dość, że nasza córka pieprzyła się z tymi chłopakami jak królicą, to jeszcze ta historia trafi do wszystkich gazet.

— Nikt nie uwierzy w wersję JeriLee. Kto da wiarę słowom jej i jakiegoś czarnego wobec zeznać Marian i tych chłopców?

— Wystarczająco dużo ludzi. Zwłaszcza jeśli powołają na świadka doktora Bakera i ten opowie, jak ciężko JeriLee została pobita.

— O tym nie wiedziałam.

— Oczywiście, nie wiedziałaś — odparł z przekąsem. — Powinnaś była mieć więcej oleju w głowie, kiedy znalazłaś Marian z gołą dupą z tym chłopakiem. Przedobrzyłaś sprawę. Nie wystarczyło ci, że wylali czarnego? Dlaczego namówiłaś rodziców chłopaka, aby wnieśli skargę?

— Nie namawiałam ich — zaprotestowała. — Co im miałam powiedzieć, gdy zadzwonili do mnie, aby sprawdzić,

czy ich syn mówi prawdę? Zwłaszcza po tym, jak zrobiłam awanturę Corcoranowi, żeby wyrzucił tamtego.

— Ale powiedziałaś, że poprosz ich skargę.

— Nie miałam wyboru. Albo to, albo przyznać się, że wiem, co zrobiła Marian. Nie myślałam, że sprawy zajdą aż tak daleko.

— O to właśnie chodzi. Nie myślałaś. Ty nigdy nie myślisz. Jesteś idiotką.

Rozpłakała się.

— Przestań ryczeć — warknął. — To nic nie pomoże. — Zamilkł na chwilę. — Gdzie oni teraz są?

— Kto?

Pociągnęła nosem.

— A o kim, do cholery, według ciebie mówię? Rodzice tego gówniarza. Gdzie oni są?

— Zatrzymali się u Thorntona.

— Zadzwoń do nich i powiedz, że musimy się z nimi zobaczyć. To ważne.

— Nie mogę tego zrobić. Nie znam ich na tyle dobrze.

— Chryste! — jęknął, tracąc cierpliwość. — Powiedz, że twoja córka pieprzyła się z jednym z ich synów, a może z obydwoma, więc praktycznie jesteśmy teściami. To powinno wystarczyć.

— Dlaczego zawsze musisz robić to, co ci każe Carson? Czy nie możesz choć raz zrobić czegoś sam?

— Bo jestem mu winien dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów pożyczki budowlanej, dlatego. Gdyby nie on, nadal byłbym cieślą budującym pojedyncze domy. Załatw teraz ten telefon. — Podszedł do drzwi. — Nie obchodzi mnie, co im powiesz. Masz się z nimi umówić.

— Gdzie idziesz?

— Na górę. Zobaczyć się z tą małą pizdą, którą nazywamy naszą córką — odparł szorstko. — Jeśli nie powie mi prawdy o tamtej nocy, wyduszę to z niej.

Gwałtownie trzasnął drzwiami. Sięgając po słuchawkę słyszała jego ciężkie kroki na schodach. Zaczęła wykręcać numer, przestała jednak, gdy dobiegł ją krzyk bólu. Palce zamarły jej na tarczy aparatu. Kiedy z góry nie dochodził już żaden dźwięk, powoli zaczęła kręcić od nowa.

Nacisnąwszy dzwonek, Daley machinalnie powiódł po posiadłości taksującym spojrzeniem. Grunt przybrzeżny pierwszej klasy. Co najmniej czterdzieści tysięcy za akr. Dom też był wart dobre siedemdziesiąt tysięcy.

Drzwi otworzył szczupły, wyglądający na zmęczonego mężczyzna około pięćdziesiątki.

— Walter Thornton — przedstawił się. — Proszę wejść. Gość wyciągnął rękę.

— Artur Daley — powiedział. — Moja żona i moja córka Marian.

Thornton uściskał mu dłoń i uklonił się kobietom.

— Państwo Herronowie są w bibliotece.

— Przepraszam za to najście — usprawiedliwił się Daley, gdy przedstawiono go Herronom. — Wydaje mi się jednak, że mamy coś ważnego do omówienia. Dotyczy to nas wszystkich.

— Moim zdaniem sprawa została załatwiona — odrzekł Herron. — Ten chłopak jest w areszcie policyjnym.

— Obawiam się, że postąpiliśmy nieco pochopnie.

— Nie jestem pewien, czy pana rozumiem — wtrącił Thornton.

— Chodzi mi o to, że... — Daley zawahał się. Do jego głosu wkradło się zakłopotanie. — Nie poznaliśmy całej prawdy o wydarzeniach tamtej nocy.

— Mój syn został ciężko pobity — odparła pani Herron. — Nic więcej nie muszę wiedzieć.

— Proszę pani, to, co powiem, może się pani nie spodobać, ale czy nie przyszło pani na myśl, że chłopak mógł być sam sobie winien? Może robił coś, czego nie powinien?

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Thornton wyglądał na zaskoczonego.

— To na pewno sędzia Winsted i John Randall — wyjaśnił pospiesznie Daley. — Pozwoliłem sobie zaprosić ich tutaj. — John wie o tej sprawie więcej niż ktokolwiek z nas, a sędzia jest moim dobrym znajomym. Możemy potrzebować jego rady.

Thornton poszedł do drzwi i po chwili wrócił z dwoma mężczyznami.

— Teraz — zwrócił się do Daleya — może pan chyba kontynuować.

— Poprosiłem Johna Randalla, żeby tu przyszedł, ponieważ ta sprawa dotyczy jego córki.

Głos pani Herron był chłodny.

— Oczywiście, że dotyczy. To jej przyjaciel napadł mojego syna.

John podniósł się powoli. Przemówił tonem spokojnym, ale w środku cały się trząsał.

— Powiem to raz i nie mam zamiaru niczego powtarzać. Pani syn, proszę pani, i syn pana Thorntona, próbowali zgwałcić moją córkę. Ciężko ją pobili oraz bestialsko poparzyli jej piersi i całe ciało papierosem, przywiózłszy ją tutaj pod pretekstem odwiezienia do domu po pracy. Znajomi przekonali nas, żebyśmy, ze względu na dobro publiczne, nie wnosili skargi. Nie możemy jednak stać z założonymi rękami i przyglądać się, jak chłopiec, który uratował moją córkę, idzie do więzienia. Chociaż wszyscy wolelibyśmy uniknąć rozgłosu, córka i ja zamierzamy wnieść oskarżenie przeciwko waszym synom jutro z samego rana.

Thornton pierwszy przerwał grobową ciszę.

— Oczywiście musi pan wierzyć w tę historię — zwrócił się do Daleya — skoro sprowadził pan tutaj pana Randalla. Nie rozumiem jednak, dlaczego jest pan przekonany, że to prawda.

Artur odchrząknął.

— Moja córka tam była. Potwierdza relację JeriLee.

— Obydwie kłamią! — wybuchnęła pani Herron. — Co robiła, kiedy to się działo? Stała beczynn timer z boku?

— Powiedz, Marian — polecił Artur szorstko. Marian rozplakała się.

— Powiedz! — powtórzył.

— Kiedy Joe i Walt byli z JeriLee, Mike i ja robiliśmy to ze sobą z drugiej strony basenu.

Pociągnęła nosem.

— Widzieliście, co się dzieje? — zapytał Thornton.

— Po ciemku nie było widać za dobrze. Poza tym myśleliśmy, że oni tylko z nią żartują. Chwilę przedtem wepchnęli ją w ubranie do basenu.

— Nadal wam nie wierzę — stwierdziła kategorycznie pani Herron. — Żaden z moich chłopców nie zrobiłby czegoś takiego.

— Sally — wtrącił Artur. — Opowiedz pani Herron, co zobaczyłaś, kiedy następnego dnia rano przyjechałaś po Marian.

— Oboje wyszli z sypialni na piętrze. Byli nadzy — odparła pani Daley przyciszonym głosem. Thornton podszedł do drzwi prowadzących na tyły domu.

— Walt — zawołał. — Czy Mike jest tam z tobą? — Nie czekając na odpowiedź dodał: — Natychmiast obydwaj tu przyjdźcie.

Po chwili chłopcy weszli do pokoju i przystanęli, zobaczywszy Marian i pozostałych.

— Nie powiedziałaś mi wszystkiego o tym, co próbowaliście zrobić JeriLee tamtej nocy? — zapytał Thornton syna. W jego głosie słychać było ból.

Chłopak wbił wzrok w podłogę.

— Nie chcieliśmy zrobić jej krzywdy, tato. — Głos mu się załamał. — To miał być tylko żart.

— Wygląda na to, że popełniono straszliwą pomyłkę — przyznał Thornton. — Jak możemy ją teraz naprawić?

— Właśnie dlatego poprosiłem o przybycie sędziego — wyjaśnił Daley. — On powie nam, co robić.

ROZDZIAŁ 15

Jack i jakiś starszy mężczyzna, którego Fred nigdy przedtem nie widział, czekali w biurze szeryfa, kiedy policjant przyprowadził go z celi.

— Jesteś wolny, chłopcze — oznajmił szeryf. — Oskarżenie wycofano.

Wyjął z szuflady ciężką, szarą kopertę i podał mu ją.

— Tu są twoje rzeczy. Sprawdź, czy niczego nie brakuje. Fred otworzył kopertę i wysypał jej zawartość na biurko. Timex za dziesięć dolarów był na swoim miejscu, jak również mały złoty sygnet, który podarowała mu matka, kiedy skończył szkołę średnią, i prezent od siostry — bransoletka ze srebrną

blaszką, na której wygrawerowano jego imię i nazwisko. Dwa pogniecione banknoty jednodolarowe i siedemdziesiąt centów drobnymi uzupełniały zawartość koperty. Włożył zegarek, pierścionek i bransoletkę, a pieniądze wsunął do kieszeni.

— Wszystko się zgadza, chłopcze? — zapytał szeryf.

— Tak.

Podał mu jakiś papier.

— Podpisz tutaj. To pokwitowanie odbioru twojej własności.

Fred wziął długopis i szybko podpisał dokument.

— Teraz wszystko jest w porządku — stwierdził szeryf. — Możesz iść.

Jack z radością potrząsnął rękę kolegi.

— Cieszę się, że cię wypuścili. Właśnie rozmawiałem z agentem. Załatwił nam kontrakt w Westport.

Zauważył, że Fred patrzy pytająco na starszego mężczyznę z siwymi włosami i wąsami.

— Sędzia Winsted — przedstawił go pospiesznie. — On wyjaśnił to nieporozumienie.

Sędzia wyciągnął rękę.

— Miło mi cię poznać, Fred.

— Dziękuję, panie sędzio. Winsted zwrócił się do szeryfa.

— Peck, macie tu jakieś pomieszczenie, gdzie mógłbym porozmawiać z klientem?

— Oczywiście, panie sędzio — odparł szeryf, pokazując drzwi. — Tędy proszę. Nie ma tam nikogo.

Fred i Jack poszli za sędzią do drugiego pokoju. Winsted przysunął krzesło do małego stołu i opadł na nie ciężko.

— Im jestem starszy, tym robi się goręcej. Ciekawe, czy to coś oznacza.

Gestem polecił im usiąść.

— Na wypadek gdybyście się zastanawiali, co tu robię — zaczął — reprezentuję JeriLee i jej ojca.

Fred skinął głową.

— Gdy przyszedłem dziś do mnie wczesnym popołudniem, zrozumiałem, że może zajść straszna pomyłka sądowa. Nie mogłem do czegoś takiego dopuścić.

— Na szczęście — odparł Fred. — Mieli zamiar zażądać mojej głowy.

— Nie doszłoby do tego — powiedział sędzia stanowczo. — Przyznaję, że czasami sprawy się gmatwiają, ale ostatecznie zwycięża sprawiedliwość.

Fred wierzył w to nie bardziej niż jego zdaniem sędzia, nie odezwał się jednak ani słowem.

— Masz w JeriLee prawdziwą przyjaciółkę. Wiesz o tym. Chociaż na pewno ciężko by to przeżyła, była gotowa wystąpić w sądzie, żeby dowieść twojej niewinności.

— JeriLee to wyjątkowa dziewczyna.

— Z całą pewnością — zgodził się sędzia. — Ma o wiele więcej rozsądku niż większość dziewcząt w jej wieku. Tak czy inaczej, gdy tylko usłyszałem jej opowieść, natychmiast spotkałem się z rodzicami tego chłopaka. Przekonanie ich, że popełnili omyłkę, nie zajęło mi dużo czasu. Potem poszedłem do klubu porozmawiać z Corcoranem, ale było za późno, żeby go nakłonić do przyjęcia was z powrotem. Wynajął już inną orkiestrę. Według mnie to nie w porządku, ponieważ tracisz pieniądze, które zarobiłbyś pracując tam nadal. Nie tak nagradza się bohatera.

— Cieszę się, że wyszedłem z więzienia — powiedział Fred. — Nie dbam o tę pracę. Ani o pieniądze.

— Mimo wszystko to nie w porządku. Powinno się zmusić kogoś do zapłacenia za to, co przeszedłeś.

— Tak — przyznał Jack. — Biedak tyle przeszedł za to, że zachował się jak trzeba.

— Byłem dokładnie tego samego zdania. Przeprowadziłem kolejną rozmowę z zainteresowanymi stronami i zgodzono się zrekompensować ci utratę zatrudnienia. Obliczając, że wszystkim wam przepadło wynagrodzenie za pięć tygodni pracy w klubie, po dwieście dolarów tygodniowo, plus utrzymanie wartości następnych dwustu, uzyskaliśmy sumę dwóch tysięcy dolarów.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kopertę i wyjąwszy z niej plik banknotów, rozłożył je przed Fredem jak wachlarz.

Chłopak popatrzył na dwadzieścia studolarówek.

— Nie chcę od nich żadnej cholерnej jałmużny! — warknął.

— To nie jałmużna. To sprawiedliwość.

— Chłopie, sędzia ma rację — wtrącił Jack. — Po czterysta dolarów dla każdego z nas. Bierz je. To czysty zysk.

— Wiedziałeś o tym?

— Oczywiście. Te pieniądze są dla nas wszystkich. Straciliśmy pracę razem z tobą.

— Weź je, synu — poradził sędzia. — Postąpisz właściwie. Ostatecznie, dlaczego twoi koledzy mieliby ucierpieć z powodu tego, co się wydarzyło.

Fred zastanawiał się przez chwilę. W końcu skinął głową.

— Zgoda — powiedział. Sędzia uśmiechnął się.

— Oto słuszna decyzja.

Wyjął z kieszeni jakiś papier i położył go na stole przed Fredem.

— Ta kartka papieru to oświadczenie, że ty i osoby, które wniosły skargę, zobowiązujecie się, że nie będziecie wysuwać wobec siebie żadnych dalszych roszczeń. To zwykła formalność. Kiedy podpiszesz, pieniądze są twoje.

Fred podpisał dokument nawet go nie przeczytawszy.

— Muszę wracać do Port Clare — oznajmił sędzia, chowając papiery do kieszeni. — Miło mi było cię poznać. Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

Fred uścisnął mu rękę.

— Dziękuję, panie sędzio. Proszę nie myśleć, że nie doceniam tego, co pan zrobił. Jestem panu bardzo wdzięczny. Kiedy za sędzią zamknęły się drzwi, Fred odwrócił się do Jacka. Perkusista śmiał się od ucha do ucha.

— Co jest, Jack?

— Ten sędzia to najbardziej zasrany typ, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Miał zamiar cię namówić, żebyś podpisał ten świstek za sto dolarów. Ale ja wiedziałem, że masz ich w garści.

Wziął pieniądze i z lubością przesunął je w palcach.

— Czy to nie wspaniałe? Najłatwiejsza forsa, jaką kiedykolwiek zgarnęliśmy.

Gdy wyszedł z budynku, czekała u stóp schodów. Nagle zdał sobie sprawę, że podświadomie się jej spodziewał. Przystanął na ostatnim stopniu.

— JeriLee — powiedział miękko. Spojrzała mu w oczy.

— Nic ci nie jest?

— Czuję się świetnie. Byli dla mnie bardzo mili. To najlepsze więzienie, w jakim siedziałem.

Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie. — Siedziałeś już w więzieniu?

— Nie — roześmiał się. — Tylko żartowałem. Niepotrzebnie jechałaś taki kawał drogi. Zadzwoiłbym do ciebie.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Naprawdę. Musiałem ci podziękować za to, co zrobiłaś. Jack chwycił go za ramię.

— Już prawie siódma, Fred. Ruszmy się, bo nie złapiemy ostatniego autobusu do miasta.

— Masz jak wrócić do Port Clare, JeriLee?

— Tak. Bernie pożyczył mi swój samochód. Dziś wieczorem pracuje.

— Corcoran przyjął go z powrotem?

— Tak.

— A ty wracasz do pracy?

— Miałam zamiar, ale teraz myślę, że nie.

— Co będziesz robić?

— Nie wiem. Odrobę zaległości w czytaniu. Może spróbuję dokończyć opowiadanie, które pisałam.

— Chłopie, pospieszmy się — wtrącił Jack.

— Idź już, Jack. Dogonię cię.

— Wiesz, gdzie jest dworzec autobusowy?

— Znajdę go.

— Autobus odchodzi o siódmej trzydzieści.

— Będę na pewno.

Patrzyli, jak Jack oddala się pospiesznie.

— Gdzie zaparkowałaś, JeriLee? Odprowadzę cię.

— Niedaleko. Na następnej ulicy — odparła. — A co ty

będziesz robił?

— Jack nagrał nam nową pracę w Westport.

— Cieszę się — odrzekła. — Bernie prosił, żeby cię od niego pozdrowić i życzyć powodzenia.

— Masz fajnego chłopaka.

— On nie jest tak naprawdę moim chłopakiem. Po prostu dorastaliśmy razem.

— To zawsze tak się kończy.

— Masz dziewczynę?

— Tak — skłamał.

— Czy jest ładna?

— Chyba tak.

— To ma być odpowiedź?

— Trudno mi to ocenić. Widzisz, dorastaliśmy razem. Przez chwilę patrzyła na niego dziwnie.

— To zawsze tak się kończy — odparła w końcu z udawaną powagą.

Roześmieli się obydwójce.

— Mój wóz — powiedziała. — Podrzucę cię na dworzec. Kilka minut później zatrzymała samochód przed dworcem autobusowym i spojrzała na Freda.

— Chciałabym, żebyśmy byli przyjaciółmi.

— Przecież jesteśmy.

— Chodzi mi o to... żebyśmy się znów zobaczyli.

— Nie, JeriLee — odrzekł po chwili milczenia. Otworzył drzwi, by wysiąść. Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Dziękuję ci, Fred — powiedziała miękko. — Za wszystko.

— JeriLee.

— Tak?

— Skłamałem, JeriLee. Nie mam żadnej dziewczyny. Uśmiechnęła się.

— Nie musiałeś mi tego mówić. Wiedziałam.

— Do widzenia, JeriLee.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył szybko w stronę dworca. Obejrzał się za siebie dopiero, gdy znalazł się w budynku. Ale wówczas już jej nie było widać.

ROZDZIAŁ 16

Wyszła ze sklepu, dotarła do rogu i przystanęła, czekając na zmianę świateł. Jakiś samochód zatrzymał się przy krawężniku.

— Może cię podwieźć, JeriLee? Był to doktor Baker.

— Myślałem, że przyjdiesz do gabinetu — odezwał się, gdy wsiadła.

— Czułam się dobrze. Nie chciałam robić panu kłopotu.

— To żaden kłopot. Jestem twoim lekarzem. Kiedy nie odpowiedziała, mówił dalej.

— Sądziłem, że wracasz do pracy.

— Zmieniłam zdanie — odrzekła krótko. Stanął na światłach i odwrócił się do niej.

— Co się stało, JeriLee?

— Nic.

Światła się zmieniły i samochód ruszył.

— Papierosa? — zapytał, podsuwając jej paczkę, gdy zatrzymali się pod jej domem.

Potrząsnęła głową, ale nie zrobiła żadnego ruchu, by wsiąść.

— Mnie możesz powiedzieć — stwierdził, zapalając papierosa.

Odwróciła się do niego tyłem. Wyciągnął rękę, obrócił jej twarz ku sobie i zobaczył, że ma łzy w oczach.

— Mnie możesz powiedzieć — powtórzył łagodnie. — Ja też słyszałem te plotki.

Wtedy się rozplakała. Łkała bezgłośnie, tylko łzy płynęły jej po policzkach. Otworzył schowek, wyjął chusteczkę higieniczną i podał dziewczynie.

— Nie wie pan, jak oni na mnie patrzą. Bez słowa zaciągnął się papierosem.

— Czasami żałuję, że po prostu nie pozwoliłam tym chłopakom zrobić tego, co chcieli. Wtedy nikt by nic nie powiedział.

— To nieprawda i wiesz o tym — odparł.
— Wszyscy uważają, że coś zaszło — ciągnęła. — I że tego chciałam.
— Nikt, kto cię zna, JeriLee, tak nie myśli. Roześmiała się gorzko.
— Nie uwierzyliby, gdybym im powiedziała prawdę. Nie rozumiem tego. — Spojrzała na niego. — Co ja mam robić?
— Nie zwracać uwagi. To minie. Jutro znajdą sobie nowy temat do rozmów.
— Chciałabym w to uwierzyć.
— Możesz mi wierzyć — odrzekł z przekonaniem. — Znam to miasto. Tak będzie.
— Mama mówi, że jeśli pan Thornton zabierze z banku swoje oszczędności, tata może stracić pracę. Powiedziała, że właśnie dlatego nie chciała, żebym cokolwiek robiła.
— Czy pan Thornton o czymś takim wspominał?
— Nie wiem. Słyszałam tylko, że od tamtej pory nie był w banku.
— To o niczym nie świadczy.
— Tata się martwi — stwierdziła. — Widzę to. Wygląda mizernie. I co wieczór pracuje do późna.
— Może z innego powodu — odparł lekarz. — Pytałaś go o to?
— Nie. Nawet gdybym zapytała, nie powiedziałby mi.
— Dziś już o tym nie myśl — poradził. — A jutro przyjdź do gabinetu. Chcę zbadać te poparzenia. Wtedy jeszcze porozmawiamy.
— Dobrze. — Otworzyła drzwi. — Dziękuję, panie doktorze.
Uśmiechnął się.
— Jutro. Nie zapomnij.
— Nie zapomnę.
Zanim wrzucił bieg, przyglądał się, jak idzie w stronę domu. Odjechał w zamyśleniu. Złośliwość i głupota ludzi wciąż nie przestawały go zadziwiać. Mając do wyboru, czy myśleć dobrze czy źle o swoich bliźnich, zawsze wybierali to drugie..

— Może pójdziemy na lody z wodą sodową? — zaproponował Martin, gdy wyszli z kina.

— Nie mam ochoty — odrzekła.

— Nie wygłupiaj się — ciągnął. — Może być fajnie. Będzie tam cała paczka.

— Nie.

— Co się z tobą dzieje, JeriLee? — zapytał. — Zmieniłaś się.

Nie odpowiedziała.

— Chodźmy — nalegał. — Postawię ci. Tym razem nie musisz płacić za siebie.

Wymuszony uśmiech wystąpił na jej usta.

— Uważaj, Marty. Robisz się rozrzutny. Roześmiał się.

— Jeszcze mnie nie znasz. Tu dziesiątka, tam dwadzieścia centów. — Strzelił palcami.

Przez chwilę wyglądała na pogrążoną w myślach.

— Zgoda — powiedziała w końcu.

Martin miał rację. W lodziarni Popa panował ścisk. W kącie dudniła szafa grająca. Udało im się jednak wypatrzeć z tyłu wolny stolik. JeriLee szła przez tłum z oczami utkwionymi prosto przed siebie.

Kiedy zobaczyli, że jest tam tylko jeden stół, Martin sięgnął po krzesło stojące przy sąsiednim, zatłoczonym stoliku.

— Ktoś tu siedzi?

— Nie.

Chłopcy spojrzeli na niego, a potem na JeriLee. Zapadła długa cisza. Następnie jeden z nich pochylił się i szepnął coś do pozostałych. Wszyscy się roześmieli i popatrzyli na dziewczynę.

Poczuła, że się rumieni pod ich spojrzeniami i gdy podszedł kelner, ukryła twarz w karcie. Był to pryszczaty chłopak, którego знаła ze szkoły.

— Co podać? — zapytał, a zobaczywszy ją dodał: — Cześć, JeriLee. Nie pokazywałaś się tu ostatnio.

Usłyszała wybuch śmiechu przy sąsiednim stoliku i zachrypnięty głos jednego z chłopców.

— Pokazywała się gdzieś indziej. Popatrzyła na Martina.

— Naprawdę nie mam na nic ochoty.

— Zamów coś — nalegał. — Może lody czekoladowe z ananasem?

— Nie — odrzekła.

Przy stoliku obok rozległ się kolejny wybuch śmiechu. Nie słyszała, co mówią, ale doskonale zdawała sobie sprawę z ich spojrzeń.

Lepiej już pójdę — stwierdziła, wstając nagle. — Nie czuję się zbyt dobrze.

Nie dając Martinowi szansy odpowiedzi, niemal biegiem opuściła lodziarnię. Dogonił ją w połowie ulicy i w milczeniu dostosował swoje tempo do jej kroku. Odezwała się dopiero, gdy skręcili za róg.

— Przepraszam, Martin.

— Nic się nie stało — odrzekł. — Ale źle to rozgrywasz.

— Nie... nie rozumiem, o ci chodzi.

Przystanął pod latarnią i odwrócił się do dziewczyny.

— Mogę się nie znać na wielu rzeczach — zaczął. — Jestem jednak największym światowym specjalistą od ludzkiego gadania. Wychowałem się na nim.

Nie odezwała się.

Kiedy ma się takich rodziców jak moi, ludzie nie przestają gadać. Nie jest łatwo być dzieckiem miejscowych pijaków.

Zdławiło mu głos i nagle zamilkł.

— Przykro mi, Martin — powiedziała. Potrząsnął głową, mrugając powiekami.

— Już kiedy byłem mały, nauczyłem się, jak sobie z tym radzić. Wiesz, kim jesteś i musisz nosić głowę wysoko bez względu na to, co mówią ludzie. Zawsze tak właśnie robiłem. Po jakimś czasie ich opinia przestała mieć dla mnie znaczenie. Ja wiedziałem, że postępuję słusznie.

— Jest inaczej, kiedy jest się dziewczyną — odrzekła. — Nikt nie mówi ci nic w oczy. Nie dają ci szansy, żeby się odciąć.

— Ze mną jest tak samo — zaprzeczył. — Czy myślisz, że ktokolwiek powie wprost: słuchaj, twój ojciec jest pijakiem? Wcale nie. Tylko szepczą i przyglądają ci się, aż chciałbyś, żeby ci to powiedzieli w oczy, żebyś mógł coś odpowiedzieć, zamiast siedzieć i udawać, że nic się nie dzieje.

Skinęła głową, przypomniawszy sobie, jak matka mówiła, kiedy pierwszy raz do niej przyszedł, że pochodzi ze złego środowiska.

— Nie mogę się do tego przyzwyczać — westchnęła. — Stale mam wrażenie, że przeszywają mnie wzrokiem. Po prostu wiem, co sobie myślą.

— Ale ty wiesz, co zrobiłaś. To jest ważniejsze.

— Nic nie zrobiłam. Dlatego to takie okropne.

— Nie — odparł, mądrze jak na swój wiek. — Właśnie dlatego ty masz rację, a wszyscy pozostali się mylą. A kiedy już o tym wiesz, nikt nie może zrobić nic, żeby ci to odebrać.

Skręciła na rogu do drogerii. Stojący przy drzwiach chłopcy nagle zamilkli, ale rozstąpili się, by ją przepuścić. Idąc do lady, czuła na sobie ich spojrzenia.

Doc Mayhew wyszedł z zaplecza.

— Dzień dobry, JeriLee — powiedział. — Czym mogę służyć?

— Proszę pastę do zębów, płyn do płukania ust i dezodorant — odparła.

Skinął głową i szybko położył przed nią opakowania.

— Mamy jednocentową wyprzedaż kosmetyków firmy Love-Glo — oznajmił. — Kup jedną szminkę, a dostaniesz drugą za centa.

Potrząsnęła głową.

— Dziękuję, nie.

— Są bardzo dobre — zachęcał. — Powinnaś spróbować. Równie dobre jak Revlonu albo Heleny Rubinstein, czy innych modnych firm.

— Może innym razem — odrzekła, wyjmując listę zakupów. — Poproszę jeszcze aspirynę.

Wziął buteleczkę z półki za sobą.

— Love-Glo ma też cienie do oczu i lakier do paznokci. Zasady sprzedaży są te same.

Skinęła głową.

— Wspomnę o tym matce. Może ona będzie coś chciała.

— Zrób to — zachęcił ją uprzejmie. — Dopisać do rachunku czy gotówką?

— Do rachunku proszę.

Gdy wypisywał rachunek, podeszła do stojaka z prasą i wzięła jakieś pismo hollywoodzkie ze zdjęciem Clarka Gable'a na okładce. Kartkując je z roztargnieniem, kątem oka zauważyła, że stojący na zewnątrz chłopcy nadal ją obserwują.

— Gotowe, JeriLee — powiedział sprzedawca. Odłożyła pismo na stojak i wzięła paczki z lady. Chłopcy ponownie rozstąpili się, aby ją przepuścić. Zachowywała się tak, jakby ich nie widziała. Doszła już prawie do rogu, zanim ją dogonili.

— JeriLee — odezwał się jeden z nich. Przystanęła i popatrzyła na niego chłodno.

— Jak się masz, JeriLee? — zapytał. ^

— W porządku, Carl — odparła krótko.

— Nie pracujesz już w klubie?

— Nie.

— To dobrze — uśmiechnął się. — Może będziesz miała teraz trochę czasu i dasz szansę miejscowym chłopakom. Nie odwzajemniła jego uśmiechu.

— Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego wszystkie dziewczyny latają za tymi facetami z miasta.

— Nie widzę, żeby którakolwiek za nimi latała — odrzekła.

— Daj spokój, JeriLee. Wiesz, o co mi chodzi. Jej wzrok był nieruchomy.

— Nie. Nie wiem.

— Nie tylko oni potrafią się zabawić. My też nie jesteśmy tacy najgorsi, prawda, chłopaki?

Pozostali chłopcy przyznali mu rację zgodnym chórem. Popatrzył na nich z uśmiechem i ośmielony tym poparciem ponownie zwrócił się do dziewczyny.

— Co ty na to, JeriLee? Może poszlibyśmy któregoś wieczoru do kina, a potem przejechali się na Przylądek? Mam cztery kółka.

— Nie — odparła stanowczo. Gapił się na nią, zbity nagle z tropu.

— Dlaczego?

— Bo mi się nie podobasz, ot co! — odrzekła lodowatym tonem.

Rozzłościł się.

— O co chodzi, JeriLee? Wolisz czarnuchów? Policzek, który mu wymierzyła, zaskoczył go. Ze złością złapał ją za rękę i ścisnął tak mocno, że poczuła ból promieniujący do ramienia.

— Nie musisz zgrywać takiej damy, JeriLee. Wszystko o tobie wiemy.

Z pobladłą twarzą utkwiała wzrok w jego oczach.

— Puść mnie! — wycedziła przez zęby. Gwałtownie puścił jej dłoń.

— Jeszcze pożałujesz — powiedział.

Przepchnęła się między nimi i udało się jej trzymać głowę wysoko, dopóki nie skręciła za róg. Wówczas poczuła, że drży. Oparła się ręką o ścianę budynku, aby odzyskać równowagę. Chwilę później odetchnęła głęboko i ruszyła dalej. Ledwo jednak wiedziała, gdzie idzie. Łzy oślepiły ją niemal całkowicie.

Następnego dnia na płotach i murach wokół jej domu zaczęły się pojawiać napisy: JERILEE DOBRA DUPA.

JERILEE CIĄGNIE DRUTA.

ROZDZIAŁ 17

JeriLee i jej matka wjechały na podjazd w chwili, gdy ojciec i brat dziewczyny skończyli malowanie płotu. Wsiadły z samochodu. Weronika spojrzała na męża.

— Płot nie wymagał odnawiania — zauważyła.

— Jacyś chłopcy napisali na nim brzydkie słowa, mamó — wyjaśnił Bobby.

Weronika popatrzyła na Johna. Nie odezwał się. Zmrużył oczy od słońca. Usłyszała, że staje za nią JeriLee.

— Wejźmy do środka — zaproponowała pospiesznie. — Zrobię kawę.

John skinął głową.

— Bobby, odnieś farbę do garażu — polecił. — I nie zapomnij wypłukać pędzla.

— Dobrze, tatku.

Chłopiec wziął puszkę i ruszył przez trawnik w stronę garażu. — Co się stało? — zapytała JeriLee.

— Nic — odparł John.

Spojrzała na płot. Farba jeszcze nie wyschła i litery pod spodem były nadal widoczne. Jej twarz stężała.

— Chodź do domu, kochanie — powiedziała matka. JeriLee wpatrywała się w płot.

— Widzieliście, kto to zrobił? — zapytała z napięciem w głosie.

— Nie — odrzekł John. — Na szczęście dla nich. — Ujął ją pod ramię. — Filiżanka kawy nam nie zaszkodzi.

W milczeniu poszła za nimi do domu.

— Nie chcę żadnej kawy — stwierdziła nagle i popatrzyła na ojca. — Czy mogę wziąć na chwilę samochód?

Zerknął na żonę.

— Oczywiście — odparł.

— Zostawiłam kluczyki w stacyjce — powiedziała Weronika. — Uważaj. Na drodze jest dziś dużo wariatów.

— Będę ostrożna, mamó. — Podeszła do drzwi. — Chcę się tylko przejechać na plażę.

Usłyszeli, jak samochód rusza z podjazdu. John spojrzał na żonę.

— Zadręczą ją.

Weronika nie odpowiedziała. Postawiła kawę na stole i usiadła naprzeciwko męża.

— Już nie wiem, co robić — westchnął.

— Nie możesz nic zrobić. Nikt nie może nic zrobić. To musi minąć samo.

— Gdybyśmy chociaż raz ich na tym przyłapali. Moglibyśmy ich ukarać dla przykładu.

— Cokolwiek zrobisz, tylko pogorszy sprawę — odrzekła. — Po prostu musimy być cierpliwi.

— Ja mogę czekać. Ty możesz czekać. Ale co z JeriLee? Ile jeszcze według ciebie będzie w stanie znieść, zanim się kompletnie załamie? Już przestała się widywać z przyjaciółmi. Nie chce nigdzie wychodzić, nie chce nic robić.

Bernie mówi,

że nie chce nawet pójść z nim do kina. Za cztery tygodnie zaczyna się szkoła. Jak myślisz, co się wtedy będzie działo?

— Do tego czasu to powinno się skończyć — odparła Weronika.

— A jeśli nie?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Obydwoje pili w milczeniu kawę.

Zatrzymała samochód na samym końcu Przylądka i zeszła na plażę. Był to pusty, skalisty odcinek, zbyt niebezpieczny do kąpieli. Usiadła na kamieniu tuż przy brzegu i zapatrzyła się w morze.

Jakaś żaglówka halsowała na wietrze, jej śnieżnobiały żagiel falował na tle błękitnej wody. Leniwie powiodła za nią wzrokiem, aż zniknęła za Przylądkiem.

— Pięknie, prawda?

Podskoczyła na dźwięk głosu, który dobiegł ją z tyłu. Odwróciła się.

— Nie chciałem cię przestraszyć — powiedział mężczyzna. Zamilkł, utkwiwszy w niej wzrok. — Czy ja cię znam? Wyglądasz znajomo.

— Spotkaliśmy się kiedyś — odparła. — W autobusie.

— Ach, tak. — Thornton strzelił palcami, przypomniawszy ją sobie. — Jesteś tą dziewczyną, która chciała zostać pisarką.

Uśmiechnęła się. Naprawdę ją pamiętał.

— Nadal jeździsz tym autobusem? — zapytał. — Nie widziałem cię ostatnio.

— Nie ma szkoły — wyjaśniła. — Teraz są wakacje.

— Rzeczywiście. — Popatrzył na nią. — Jak ci idzie pisanie?

— Niewiele ostatnio pracowałam.

— Ja też nie.

Uśmiechnął się. Spojrzał na wodę.

— Często tu przychodzisz?

— Czasami. Kiedy chcę pomyśleć.

— To dobre miejsce do myślenia — przyznał. — Zwykle nie ma tu nikogo.

Sięgnął do kieszeni po papierosy i wyjął jednego, nie częstując jej. Zapalił, zaciągnął się głęboko, zakaszłał i wyrzucił papierosa.

— Usiłuję rzucić palenie — powiedział tonem usprawiedliwienia.

— Robi to pan w zabawny sposób — zauważyła.

— Kiedy zapalam papierosa i zaciągam się bardzo głęboko, zaczynam kaszleć. To mi uświadamia, jak palenie szkodzi i wyrzucam go.

Roześmiała się.

— Muszę powiedzieć ojcu, żeby tego spróbował.

— Dużo pali?

— Za dużo.

— Co robi?

— Pracuje w banku.

Skinął głową z roztargnieniem, patrząc ponad nią na morze. Odwróciła się, podążając za jego wzrokiem. Żaglówka wracała do brzegu.

— Walter!

Wiatr niósł wołanie. Obejrżeli się. Na skraju drogi wiodącej szczytem wznoszącego się nad plażą wzgórza stała jakaś kobieta. Machała ręką. Zamachał w odpowiedzi.

— Moja sekretarka — wyjaśnił przez ramię. — O co chodzi? — zawołał.

— Dzwoni Londyn — odkrzyknęła kobieta. — Przyjechałam po ciebie samochodem.

— W porządku. Odwrócił się do JeriLee.

— Muszę iść. Przyjdiesz tu jeszcze kiedyś?

— Pewnie tak.

— Może się spotkamy.

— Być może.

Popatrzył na nią jakoś dziwnie.

— Mam nadzieję — powiedział i zawahał się. — Coś mi się wydaje, że zakłóciłem twoje rozmyślenia. Że chciałaś być sama.

— Nic nie szkodzi — odparła. — Cieszę się, że pana zobaczyłam.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Do widzenia. Jego dłoń była twarda i ciepła.

— Do widzenia panu.

Odwrócił się i ruszył wydumą pod górę w stronę drogi. Nagle przystanął i obejrzał się.

— Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz. Podniosła na niego wzrok.

— JeriLee. JeriLee Randall.

Stał nieruchomo długą chwilę, próbując sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko.

— Przekaż im, że zadzwonię później — krzyknął do sekretarki, a potem zawrócił i zszedł na plażę.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, kim jesteś?

— Nie pytał pan.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Nie musi pan nic mówić.

— Nie gniewasz się na mnie?

— Nie.

— To, co zrobił mój syn, jest niewybaczalne — stwierdził.

— Przykro mi. Milczała.

— Jeżeli nie będziesz chciała ze mną rozmawiać — ciągnął

— zrozumiem to.

— Pan nie miał z tym nic wspólnego — odrzekła. Poza tym lubię z panem rozmawiać. Jest pan jedynym prawdziwym pisarzem, jakiego znam.

Wyjął papierosa i zapalił go.

— Naprawdę chcesz zostać pisarką?

- Tak odparła. Spojrzała na niego. — Tym razem nie wyrzucił go pan. Zerknął na papierosa.

— Zgadza się. Ale tym razem nie zakaszlałem.

— To nic nie da — zauważyła. — Nie rzuci pan palenia.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się.

— Wiem. Usiadł na brzegu skały.

— Powiedziałaś, że przychodzisz tutaj, żeby pomyśleć.

O czym?

— O różnych rzeczach.

— A dzisiaj? Popatrzyła na niego.

— O wyjeździe.

— Dokąd?

— Nie wiem — odrzekła. Przeniosła wzrok na morze. — Dokądkolwiek. Byle daleko stąd.

— Zawsze miałaś na to ochotę?

— Nie.

— Tylko odkąd... odkąd to się stało? Zastanawiała się przez chwilę.

Tak. — Spojrzała mu w oczy. — Port Clare to dziwne miasto. Nie można tego zrozumieć, jeśli się tu nie dorastało.

Widzi pan, wszyscy plotkują.

— O tobie? Skinęła głową.

— Uważają, że ja... Nie dokończyła.

Przykro mi — odezwał się po chwili milczenia. Odwróciła wzrok, ale dostrzegł łzy na jej policzkach. Wziął ją za rękę.

— JeriLee. Podniosła głowę.

Chcę być twoim przyjacielem — powiedział. — Możesz ze mną porozmawiać.

Łzy płynęły nieprzerwanym strumieniem.

— Nie — zaoponowała. — Nie mogę z nikim rozmawiać. Nikt nie jest w stanie mi pomóc.

Chciałbym chociaż spróbować — odrzekł poważnie. Chociaż tyle jestem ci winien za to, co zrobił mój syn.

— Nic mi pan nie jest winien.

Porozmawiaj ze mną, JeriLee. Może to coś pomoże. W milczeniu potrząsnęła głową. Nadal trzymając ją za rękę, podniósł się i przyciągnął dziewczynę do siebie.

Chodź, dziecko — powiedział miękko, kładąc sobie jej głowę na piersi.

Poczuł, jak wstrząsa nią łkanie. Stał długą chwilę, obejmując ją. Po jakimś czasie łzy przestały płynąć. Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

— Miły z pana człowiek — stwierdziła.

Bez słowa wyjął paczkę papierosów. Tym razem ją poczęstował. Wzięła jednego, a on podał jej ogień. Zaciągnął się z przyjemnością.

— Naprawdę lubię palić — przyznał. — Chyba rzucę to rzucanie.

Roześmiała się.

— Jest pan zabawny. Uśmiechnął się do niej.

— Wcale nie. Po prostu jestem realistą.

— Rzeczywiście chce mi pan pomóc? — zapytała. Skinął głową.

— Przecież ci powiedziałem.

— Czy przeczytałby pan coś, co napisałam, gdybym to panu dała?

_ Tak.

— I powie mi pan prawdę? To znaczy, jeśli okaże się złe? Nie będzie pan udawał przez grzeczność?

— Za bardzo szanuję pisanie, żeby cokolwiek udawać. Jeśli okaże się do niczego, powiem ci. Ale jeśli będzie dobre, też ci powiem.

Milczała przez chwilę.

— Mógłby pan zrobić coś jeszcze.

— Co takiego?

_ Oczywiście jeśli znajdzie pan czas — ciągnęła niepewnie, _ Byłoby uprzejmie z pana strony, gdyby poszedł pan do banku i pokazał im, że nie gniewa się pan na nich z powodu mojego ojca. . . _ Tak uważają? — zapytał z wyraźnym zdumieniem w głosie.

Skinęła głową.

— To naprawdę idiotyczne!

— Mówiłam panu, że nie można zrozumieć tego miasta, jesk się tu nie dorastało — odrzekła. — Tak właśnie myślą. Matka się martwi, że tata straci pracę, jeśli wycofa pan swoje oszczędności. To dlatego nie chciała nic zrobić w mojej sprawie. Tata był zły. Miał zamiar wnieść oskarżenie, ale mu to wyperswadowała.

— Więc co sprawiło, że jednak zabrał głos?

— Nie mogliśmy pozwolić, żeby Fred poszedł do więzienia za coś, co nie było jego winą — wyjaśniła.

Z powagą pokiwał głową. Zaczynał sobie uświadamiać, że dziewczyna ma rację. Tego miasta nie można zrozumieć, jeśli się w nim nie dorastało.

— Czy twój ojciec pochodzi stąd?

— Nie.

Znów pokiwał głową. To wszystko tłumaczyło.

Znajdę czas, żeby pójść do banku — powiedział. Jej twarz się rozjaśniła.

— Dziękuję.

Nagle zapragnął ponownie zobaczyć jej ojca.

— Chciałbym zaprosić go na lunch, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— To zależy od pana. Wystarczy, jeśli po prostu pójdzie pan do banku.

— Chciałbym go lepiej poznać — odparł. — Musi być miłym człowiekiem.

Spojrzała mu w oczy. Jej słowa płynęły z głębi serca. To najszlachetniejszy i najlepszy człowiek na świecie.

ROZDZIAŁ 18

jeszcze przed końcem lata Port Clare miało nowy temat do rozmów. JeriLee i Walter Thornton. Najpierw spotykali się na plaży. Przesiadali tam i rozmawiali godzinami. Fascynowała go jej ciekawość świata i umiejętność oceny ludzi. Kierując się intuicją odgadywała motywy ich postępowania z niezwykłą w jej wieku przenikliwością.

Kiedy zrobiło się za zimno na plażę, zaczęła raz lub dwa w tygodniu przyjeżdżać do niego do domu. Czytał jej prace i udzielał rad. Wprowadzała zmiany, a on wyjaśniał, co się jej udało, a co nie. Pewnego dnia dał jej do przeczytania egzemplarz sztuki, którą pisał.

Zapytała, czy może ją przeczytać, gdy będzie sama i zgodził się, aby zabrała maszynopis ze sobą, kiedy wychodziła.
Nie

miał od niej wiadomości przez trzy dni, aż późnym popołudniem, po szkole, pojawiła się ze sztuką pod pachą. Oddała mu maszynopis bez słowa.

— Co o tym sądzisz? — zapytał.

Nagle stało się dla niego ważne, aby sztuka jej się spodobała.

_ Nie wiem — odparła powoli. — Przeczytałam to dwa razy, ale chyba nie wszystko rozumiem.

— W jakim sensie?

_ Chodzi mi głównie o tę dziewczynę. Nie udała się panu. Myślę, że starał się pan, aby była podobna do mnie, tymczasem ona wcale mnie nie przypomina. Ja nie jestem taka sprytna. A ona jest zbyt sprytna, żeby mogła być taka naiwna.

Słyszając te słowa poczuł, że jego szacunek dla niej] wzrasta. Ostatnią rzeczą, o jaką ją podejrzewał, była świadomość własnej naiwności.

_ Gdyby nie manipulowała ludźmi, cała historia nie miałaby sensu — zaprotestował.

— Bo może i nie ma — stwierdziła bez ogródek. — Nie rozumiem, jak mężczyzna tak inteligentny jak Jackson mógł się zakochać w dziewczynie trzykrotnie młodszej od siebie. Oprócz młodości nie ma w niej nic, co mogłoby go pociągać.

— Uważasz, że to za mało?

— Sama atrakcyjność fizyczna nie wystarczy — odparła.

— A już na pewno nie spryt. To by go odrzuciło. Musiałoby być coś więcej. Gdyby była kobietą, prawdziwą kobietą, mogłabym to zrozumieć. Ale ona nią nie jest.

— Co według ciebie zrobiliby z niej prawdziwą kobietę?

— zapytał. Spojrzała na niego.

— Czas. Czas i doświadczenie. Tylko w taki sposób się dorasta. I ja też tak dorosnę.

— Nie sądzisz, że on mógł się zakochać w tym, czym ona będzie?

— Nie przyszło mi to do głowy — odrzekła. Muszę się zastanowić.

Milczała przez kilka minut, a potem skinęła głową.

— Tak, to możliwe. Trzeba by jednak wyraźniej dać do

zrozumienia, kim ona może się stać. Dodać coś, co pozwoliłoby publiczności czuć, że jest w niej coś więcej niż widzą.

Wiem, co masz na myśli — powiedział. — Przyjrzę się temu jeszcze raz.

— Czuję się głupio. Zachowuję się jak dziecko, które próbuje uczyć chodzić dorosłego.

— Moglibyśmy się dużo nauczyć od dzieci — odparł. — Gdybyśmy ich tylko słuchali.

Nie gniewa się pan na mnie za to, co powiedziałam? Nie. Jestem ci wdzięczny. Dzięki tobie zauważyłem coś, co mogłoby pozbawić sensu całą sztukę. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— Naprawdę panu pomogłam?

— ^{Tak} — potwierdził z uśmiechem. — Naprawdę. Sięgnął po papierosa.

Kucharka ma dziś wieczorem wolne. Jak myślisz, czy twoi rodzice mieliby coś przeciwko temu, żebym cię zabrał na kolację?

Zamilkła nagle, a na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— Co się stało? — zapytał.

— Nie sądzę, żeby rodzice się sprzeciwili. Ojciec lubi pana i szanuje. Ale czy uważa pan, że to rozsądne?

— Chodzi ci o... Skinęła głową.

— To jest Port Clare. Ludzie będą gadać. Popatrzył na nią.

Masz rację. Nie chcę ci przysparzać więcej zmartwień. Napotkała jego wzrok.

— Nie chodzi o mnie — odparła pośpiesznie. — Chodzi

o pana. Według nich istnieje tylko jeden powód, dla którego mężczyzna taki jak pan może się spotykać z dziewczyną taką jak ja.

Uśmiechnął się.

To mi pochlebia. Nie wiedziałem, że mają o mnie takie zdanie.

Jest pan obcy — wyjaśniła. — Jest pan bogaty. Jest pan rozwiedziony. Jeździ pan do Hollywood i Europy i wszystkich tych siedlisk rozpusty. Bóg jeden wie, co się tam dzieje i co pan robi.

Wybuchnął śmiechem.

— Szkoda, że nie wiedzą, jakie to w rzeczywistości nudne. Jeżdżę tam po prostu po to, żeby pracować.

— Taka może być prawda — przyznała. — Nigdy pan ich jednak nie przekona, żeby w nią uwierzyli.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu — odrzekł

chciałbym podjąć to ryzyko.

Przyglądała mu się przez długą chwilę, a potem skinęła

głową.

— Zgoda — powiedziała. — Tylko najpierw zapytam w domu.

Poszli na kolację do Port Clare Inn. Następnego ranka, dokładnie tak, jak przewidziała JeriLee, wiadomość rozeszła się po całym mieście. I po raz pierwszy, odkąd przestali być dziećmi, ona i Bernie ostro się pokłócili.

Bernie nie pracował tego wieczoru i poszli do kina. Po filmie wsiedli do samochodu i pojechali na Przylądek.

Włączył radio. Rozległa się muzyka. Odwrócił się do JeriLee i chciał ją objąć. Odsunęła się, odpychając jego rękę.

— Nie, Bernie. Nie jestem teraz w nastroju.

Spojrzał na nią. Wpatrywała się w błyszczące w świetle księżyca morze. Sięgnął po papierosa. Nie odzywali się do siebie. Gdy skończył palić, cisnął niedopałek przez okno i uruchomił silnik.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Dokąd jedziemy?

— Odwożę cię do domu — odparł ponuro.

— Dlaczego?

— Wiesz dlaczego.

— Bo nie jestem w nastroju do pieszczot?

— Nie tylko.

— Więc dlaczego jeszcze?

Rzucił na nią okiem i powiedział z urazą w głosie:

— Zeszłej nocy, kiedy wracałem z klubu po pracy, widziałem cię z panem Thorntonem. Ty prowadziłaś samochód.

Uśmiechnęła się.

— Oczywiście. On nie prowadzi.

— Trzymał rękę na oparciu twojego fotela. Śmiałaś się. Przy mnie już się nie śmiejesz.

— Pewnie mówił coś zabawnego.

— Chodzi nie tylko o to. Widziałem, jak na niego patrzyłaś. Naprawdę seksownie.

— Och, Bernie.

Nagle poczuła, że się rumieni. Miała nadzieję, że po ciemku chłopak tego nie zauważy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaka była wtedy podniecona. Pamiętała, że nie mogła zasnąć, dopóki się nie rozładowała, ale nie kojarzyła tego z panem Thorntonem.

— Nie chcę więcej słyszeć tego pieprzonego „Och, Bernie” — odparł z irytacją.

Jesteś zazdrosny — stwierdziła. — Nie masz powodu. Pan Thornton i ja jesteśmy dobrymi znajomymi. Pomaga mi w moim pisaniu.

— Pewnie. Człowiek taki jak on będzie sobie zawracał głowę pisaniną jakiejś smarkuli.

To prawda — potwierdziła z zapalem. — Uważa, że jestem niezła. A nawet rozmawia ze mną o swojej pracy.

Czy opowiada ci również o tych wszystkich orgiach w Hollywood?

On nie chodzi na żadne orgie — zaprotestowała. — Jeździ tam po prostu do pracy.

— Czyżby?

Nie odpowiedziała.

— Mogłem się tego spodziewać — ciągnął z goryczą. — Najpierw napaliłaś się na syna, a teraz na starego. A może to o niego cały czas ci chodziło? Pamiętam, jak spotkałaś go w autobusie. Już wtedy miałaś mokro w majtkach.

— Nie miałam!

— Miałaś! — upierał się. — Szkoda, że wówczas nie wiedziałem tego co teraz. Może ludzie wcale nie są tacy pomyleni. Całe miasto widzi, jak prowokujesz wszystkich naokoło — nie nosisz stanika i tak dalej. W pewnym sensie nie winię Walta za to, co sobie pomyślał.

Teraz ona wpadła w złość.

— Czy dlatego się ze mną spotykasz?

— Jeśli tak myślisz, przestanę.

— Bardzo dobrze — warknęła.

— Świetnie — odburknął.

Zatrzymał samochód pod jej domem. Wsiadła bez słowa i zatrzasnęła drzwi.

— JeriLee! — zawołał za nią.

Ona jednak weszła do domu, nie oglądając się za siebie. Ojciec oderwał wzrok od telewizora.

— Czy to był Bernie? — zapytał.

— Tak.

Zobaczył wyraz jej twarzy.

— Czy coś się stało?

— Nie. Po prostu jest głupi, to wszystko. Nie będę się już z nim spotykać.

Przyglądał się, jak idzie po schodach do swojego pokoju, a potem odwrócił się do telewizora. Nocny program nie przykuwał jednak jego uwagi. Musiał rozwiązać poważny problem. Kontrolerzy z banku stanowego mogli się zjawić lada dzień, tymczasem gdzieś w labiryncie rachunków brakowało prawie trzystu tysięcy dolarów, w większości z konta Waltera Thorntona.

ROZDZIAŁ 19

Pan Carson wpatrywał się w kartkę papieru, którą trzymał przed sobą.

— Sprawdziłeś wszystkie dowody przelewów?

— Tak, proszę pana — odparł John.

— Co z przekazami telegraficznymi?

— Zgadzą się. Przesłano nam wszystkie pokwitowania.

— Nie rozumiem tego — stwierdził prezes banku.

. — Ja też nie — odrzekł John. — Jestem chory ze zmartwienia, odkąd to odkryłem.

— Kiedy to było?

— Kilka dni temu.

— Dlaczego nie przyszedłeś do mnie od razu?

— Myślałem, że popełniłem jakiś błąd — wyjaśnił John.

— Więc jeszcze raz wszystko sprawdziłem. Wynik jest jednak taki sam.

Carson podniósł na niego wzrok.

— Nic nikomu nie mów. Na kilka dni zostaw to mnie. Muszę się nad tym zastanowić.

— Dobrze, proszę pana. A jeżeli przyjdą rewidenci... Carson nie pozwolił mu skończyć.

— Wiem, wiem — powiedział z rozdrażnieniem. — Chcę sam sprawdzić obliczenia, zanim cokolwiek z tym zrobimy.

Zaczekawszy, aż za kasjerem zamkną się drzwi, sięgnął do telefonu i wykręcił numer. W słuchawce odezwał się czujny głos.

— Halo?

— Proszę z panem Gennutrim. Mówi Carson. Głos stał się mniej ostrożny.

— Tu Pete, proszę pana. Czym możemy służyć?

— Nie wiem — odrzekł Carson. — Jak stoimy?

— Wczoraj poszło panu dobrze. Za tę klacz płacili dziesięć do sześciu. Wisi pan u mnie już tylko na jedenaście patyków.

— Co z tamtymi dwoma?

— Przegrały — odparł bukmacher współczującym głosem. — Nie miały prawa. Byłem pewien, że trafi mnie pan na dużą sumę.

Carson milczał przez chwilę.

— Mam kłopoty, Pete — powiedział. — Potrzebuję pieniędzy.

— Jest pan dobrym klientem. Mogę panu pożyczyć dziesięć patyków.

— Potrzebuję więcej — wyjaśnił bankier. — Dużych pieniędzy.

— Ile?

— Około trzystu tysięcy. Bukmacher gwizdnął.

— To interes nie dla mnie. Musi się pan z tym zwrócić do grubych ryb.

— Możesz do nich dotrzeć?

Może. — W głosie Gennutriego znów wyczuwało się ostrożność. — Co mógłby im pan dać za te pieniądze?

— Chodzi ci o zastaw?

- Chyba tak to nazywacie wy, bankierzy.
- Nic, co można łatwo upłynnić. Mój dom. Moje udziały w banku.
- Udziały w banku — powtórzył Gennutri. — Ile są warte?
- Pięćset, może sześćset tysięcy — odrzekł Carson. Ale nie dadzą się spieniężyć.
- To znaczy, że nie można ich sprzedać?
- Tylko za zgodą zarządu banku.
- Miałby pan jakieś problemy z nakłonieniem ich do tego?
- Musiałbym im powiedzieć dlaczego — wyjaśnił Carson. — A tego zrobić nie mogę.
- Więc nie będzie to łatwe.
- Zrobiłbyś to dla mnie? Byłbym ci wdzięczny.
- Spróbuję, panie Carson — odparł bukmacher. Wzrok prezesa padł na gazetę, leżącą na biurku obok raportu. Była otwarta na programie wyścigów.
- Pete — powiedział.
- Tak.
- Postaw za mnie tysiąc na Czerwoną Rzekę w piątej gonitwie w Belmont.
- Zrobione.

Carson odłożył słuchawkę, przeklinając się w myślach. Postąpił głupio i wiedział o tym. Nie mógł się jednak powstrzymać. Koń miał pewne szanse, a za fuksa dobrze płacili. Wpatrywał się w gazetę, żołądek podchodził mu do gardła. Tak się składało, że żeby nie wiadomo jak obiecująco wyglądały, nigdy nie wygrywały wtedy, gdy się tego potrzebowało. Przynurzył się, że jeśli jeszcze tym razem wybrnie z kłopotów, już nigdy nie wpadnie w tę pułapkę. JeriLee wyszła z ogrzewanego basenu. Walter odłożył gazetę, podniósł duży kąpielowy ręcznik i udrapował go jej na ramionach.

— Dzięki.

Uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech.

— Październikowe powietrze bywa zdradliwe. Popatrzyła na niego.

— W pewnym sensie żałuję, że idzie zima. Nie będziemy mieli co robić.
— Zawsze możesz tu wpaść i posiedzieć przy kominku.
— To byłoby przyjemne. — Zawahała się. — Ale pan wkrótce wyjeżdża. Za kilka tygodni zaczynają się próby.
— Tak — powiedział. — To znaczy, jeśli uda się nam znaleźć obsadę.
— Myślałam, że wszystkie role są już obsadzone.
— Owszem. Z wyjątkiem roli dziewczyny. — Spojrzał na nią — Znasz jakąś siedemnastoletnią aktorkę, która potrafiłaby zagrać dziecko tak, jakby była kobietą?
— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Myślę, że jest ich trochę.
— Wcale nie — odparł. — Reżyser powinien tu być lada chwila, żeby o tym porozmawiać. Rozpatrujemy różne kandydaty.
— Więc wycieram się i uciekam, żeby wam nie przeszkadzać — stwierdziła.
— Nie ma pośpiechu — powstrzymał ją. — Nie będziesz nam przeszkadzać.
— Na pewno?
— Nie mówiłbym tego, gdyby tak nie było.
— Więc zdejmę chociaż ten mokry kostium. Odprowadził ją wzrokiem do kabiny, po czym sięgnął po gazetę, ale nie zaczął czytać. Rozmyślał. Sztuka to jedno. Tutaj całkowicie panował nad sytuacją. Bohaterowie robili tylko to, na co im pozwalał. W życiu było jednak inaczej. Zupełnie inaczej.
Usłyszawszy, że otwierają się drzwi kabiny, podniósł głowę. Miała na sobie spłowiałe dżinsy i obszerny sweter. Pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.
— Przynieść panu coś do picia?
Tak, proszę — powiedział i nagle coś ścisnęło go w dołku. — Szkocką z wodą.
— Dobrze.
Patrzył, jak znika w domu. Przyptyw uczucia niemal przyprawił go o drżenie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że się w niej zakochał.

— W porządku, Guy — powiedział. — Jeśli nie znajdziemy dziewczyny, nie zaczynamy prób w listopadzie. Zaczekamy do wiosny.

— To niemożliwe — odrzekł reżyser.

Był to szczupły, kościsty mężczyzna robiący wrażenie pewnego siebie. Nosił okulary w rogowej oprawie.

— Jeśli będziemy czekać, stracimy Beau Drake'a. Ma zobowiązania filmowe na maj. A bez niego musielibyśmy zaczynać wszystko od początku. Trzeba będzie po prostu zaryzykować i wziąć tę dziewczynę, którą uznamy za najlepszą.

Walter potrząsnął głową.

— Sztuka już i tak jest ryzykowna. Jeżeli dziewczyna zawiedzie, zrobimy klapę.

— Jeszcze nigdy nie doradziłem ci źle, Walterze. A na tę postać są sposoby.

— Nie wprowadzę żadnych zmian — upierał się Walter. — Gdybym chciał, żeby sztuka była inna, inaczej bym ją napisał.

Guy rozłożył ręce w geście bezsilności.

— To twoje dziecko, Walterze.

Zerknął na zewnątrz przez szklane rozsuwane drzwi. JeriLee siedziała obok basenu czytając gazetę. Odwrócił się do Waltera.

— Kim jest ta dziewczyna? Koleżanka Juniora? Walter poczuł, że się rumieni.

— W pewnym sensie. Guy był czujny.

— Dziwna odpowiedź — indagował dalej. — Chyba nie jest twoją przyjaciółką?

— Daj spokój, Guy. To jeszcze dziecko.

— Ile ma lat? — Próbował zgadnąć. — Siedemnaście? Walter utkwiał w nim wzrok.

— Potrafi grać? — dopytywał się Guy.

— Oszalałeś! To dzieciak ze szkoły. Chce zostać pisarką.

— Ma talent?

— Myślę, że tak. Jest w niej coś niezwykłego. Jeżeli będzie nadal szła tą drogą, kiedyś do czegoś dojdzie.

— Masz wątpliwości? — zapytał Guy przenikliwie.

— Tylko jedna rzecz może jej przeszkodzić.

— Co takiego?

— Jest dziewczyną i jest w niej coś bardzo fizycznego. Nie zdaje sobie z tego sprawy, ale mam przeczucie, że siedzi w niej tygrysica, czekająca, aż ktoś ją spuści z uwięzi.

— Właśnie podałeś mi dokładny opis naszej bohaterki — stwierdził Guy. — Gdyby tak jeszcze potrafiła grać. Walter milczał.

— Poproś ją, żeby tu przyszła.

Gdy stanęła w drzwiach, Guy zagrał intuicyjnie. Nie czekając, aż Walter ich sobie przedstawi, odezwał się pierwszymi linijkami tekstu.

— Właśnie dzwonił twój ojciec. Chce, żebyś natychmiast wróciła do domu i nie życzy sobie, żebym się z tobą spotykał.

Przeczucie go nie zawiodło. JeriLee czytała sztukę. Odpowiedziała kwestią z roli.

— Ojciec postradał zmysły. Ponieważ sam nie może mnie mieć, nie chce, żeby miał mnie ktoś inny.

— Anno! Jak możesz tak mówić o własnym ojcu! Spojrzała na niego z przesadnie niewinnym uśmiechem.

— Niech pan nie udaje takiego zgorzonego. Nigdy nie miał pan kazirodczych myśli na temat swojej córki?

Guy zwrócił się do Waltera, który przyglądał się scenie z zafascynowaniem.

— Co o tym sądzisz? Walter patrzył na JeriLee.

— Oto właściwa dziewczyna, Walterze — stwierdził reżyser. JeriLee była zdezorientowana.

— O czym on mówi? Walter odzyskał głos.

— Chce, żebyś zagrała dziewczynę.

— Przecież nie jestem aktorką. Guy uśmiechnął się do niej.

— Żeby zostać aktorką, wystarczy tylko zacząć grać.

— To nie takie łatwe — zaprzeczyła. — Nie licząc kilku szkolnych przedstawień, nigdy dotąd nie byłam na scenie.

Guy zwrócił się do Waltera.

— Do ciebie należy, żeby ją przekonać.

Walter milczał, przypatrując się JeriLee z dziwnym wyrazem twarzy. Guy podszedł do drzwi.

— Wracam do miasta. Zadzwoń do mnie, kiedy zdecydujesz, co chcesz robić.

Walter nie odpowiedział. JeriLee zauważyła, że na nią patrzy.

— Gniewa się pan na mnie? Potrząsnął głową.

— Więc o co chodzi? Odzyskał głos.

— Nagle odkryłem, że przypominam ojca z mojej własnej sztuki. Jestem o ciebie zazdrosny.

Carson popatrzył na zegarek. Była czwarta. Powinni już mieć wyniki piątej gonitwy. Wykręcił numer bukmachera.

Gennutri jak zwykle odezwał się ostrożnym tonem.

— Halo?

— Pete? Jak tam było w piątej?

— Pech, proszę pana. Pański koń przepadł. Carson milczał przez chwilę.

— Skontaktowałeś się ze swoimi znajomymi? — zapytał.

— Tak. — Głos Gennutriego był pozbawiony wyrazu. — Nie są zainteresowani.

— Przecież z pewnością rozumieją, że nie jestem pierwszym lepszym klientem. Zwrócę im pieniądze.

— Osobiście nie mają nic przeciwko panu, ale właśnie tak powiedzieli.

Spojrzał na leżącą nadal na jego biurku gazetę. W ósmej gonitwie biegł koń, który mógłby mu pomóc wybrnąć z sytuacji.

— W porządku, Pete — powiedział. — Postaw za mnie dwa tysiące na Ludojada w ósmej.

— Nie mogę tego zrobić — odparł chłodno Gennutri. — W tej chwili wisi pan u mnie na dwanaście patyków. Nie mogę dać panu więcej na kreskę, dopóki nie wyjdzie pan na czysto.

— Przecież bywałem ci już dłużny więcej — zaprotestował.

— Wiem — odrzekł spokojnie bukmacher. — Ale wtedy sprawy stały inaczej. Nie miał pan kłopotów.

— Więc chociaż tysiąc — nalegał Carson. — Musisz mi dać szansę się odegrać.

— Przykro mi. Gennutri rozłączył się.

Carson wpatrywał się przez chwilę w trzymaną w dłoni słuchawkę, a potem odłożył ją powoli. Siedział tak prawie godzinę, dopóki nie był pewien, że wszyscy poszli do domu. Wtedy otworzył małą dolną szufladę biurka. Wyjął pistolet i włożył sobie lufę do ust. Jego mózg rozprysnął się na całej ścianie pod portretem prezydenta Eisenhowera.

ROZDZIAŁ 20

John Randall zerknął ze znużeniem na duży zegar ścienny. Trzecia. Strażnik popatrzył na niego. John podniósł rękę, strażnik skinął głową i odwrócił się, aby zamknąć drzwi. W tym samym momencie dwaj kasjerzy zasunęli okienka, zamykając swoje stanowiska.

Zawiedziony tłum ludzi stojących nadal przy kasach ruszył falą ku niemu. John wstał. Wiadomość o samobójstwie Carsona spadła na Port Clare jak grom z jasnego nieba.

Obejrzał się przez ramię. Drzwi biura prezesa były zamknięte. Za nimi rewidenci stanowią w dalszym ciągu przeglądali akta. Odkryto kolejne poważne niezgodności, ale nie oszacowano jeszcze całości strat. Carson pracował dokładnie. Pokwitowania przelewów były pieczołowicie podrabiane. Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego tym razem się poślizgnął.

— Kiedy dostaniemy nasze pieniądze? — krzyknął z tłumu zirytowany klient. — Dlaczego zamykacie nam drzwi przed nosem?

— To urzędowa godzina zamknięcia — wyjaśnił cierpliwie John. — Dostaniecie swoje pieniądze. Ubezpieczenie całkowicie pokrywa wszelkie straty.

— Skąd możemy wiedzieć? — zawołał inny klient. — Pamiętam, że kiedy w trzydziestym drugim zbankrutował Bank Stanów Zjednoczonych, powiedziano nam to samo.

— W tamtych czasach sprawy wyglądały inaczej tłumaczył John. — Teraz rachunki oszczędnościowe są chronione do wysokości dziesięciu tysięcy dolarów przez Depozyt Federalny. Bank jest ubezpieczony na wypadek defraudacji i kradzieży. Zwrócimy wszystko co do centa.

— Tak pan twierdzi — odparł mężczyzna. — Nie ma pan jednak gotówki, żeby wypłacić nam nasze oszczędności w tej chwili.

— Nie — odpowiedział John. — Żaden bank nie ma na podorędziu całej gotówki do zwrotu klientom. Z bankami jest tak samo jak z ludźmi. Gotówka cały czas wpływa i wypływa. Kiedy spłaca pan swoje zadłużenie, mamy pieniądze na pożyczkę lub kredyt dla kogoś innego. Proszę to pomnożyć sto razy, a zrozumie pan, jak działamy. To naprawdę kwestia zwyczajnego zdrowego rozsądku.

— Nie jestem głupi — odrzekł mężczyzna. — Jeśli nie będę spłacał rat, bank zabierze mi dom. Jeżeli jednak bank nie wypłaci nam pieniędzy, co możemy zrobić?

— Bank wypłaci wam pieniądze.

— A jeśli was zamkną?

— Nie zamkną — powtórzył John z uporem. — Mamy dość aktywów, aby pokryć wszystkie nasze obciążenia. Potrzebujemy tylko czasu na ich konwersję. Jeśli dacie nam ten czas, obiecuję, że nikt z was nie poniesie strat.

— Dlaczego po tym, co się stało, mielibyśmy panu wierzyć?

John spojrział mężczyźnie prosto w oczy. Zaczął mówić wolno i wyraźnie, aby wszyscy go słyszeli.

— Ponieważ tak samo jak pan całe życie pracuję na swoje utrzymanie. Każdego centa, jakiego udało mi się zaoszczędzić, mam w tym banku. I nie martwię się o te pieniądze.

Mężczyzna milczał przez chwilę, a następnie zwrócił się do pozostałych.

— Jestem z panem Randallem. A wy?

Przez tłum przeszedł szmer. Wrogość topniała. To było coś, co do nich przemawiało. Słowo pojedynczego człowieka.

— My też! — krzyknął ktoś z tyłu. Mężczyzna wyciągnął do Johna rękę.

— Dotrzyma pan obietnicy?

John skinął głową. Nie ufał własnemu głosowi. Jeszcze paru ludzi uścisnęło mu dłoń, a potem strażnik otworzył drzwi i tłum w ciszy opuścił bank.

Wróciwszy do swojego biurka, John zobaczył, że Artur Daley i kilku innych członków zarządu wyszło z gabinetu prezesa, gdzie konferowali z rewidentami. Patrzyli na niego. Daley kiwnął głową i wycofali się do biura.

Trzy dni później John został wybrany prezesem National Farmer's Bank w Port Clare.

Gdy JeriLee weszła do jadalni, John podniósł głowę znad śniadania.

— Wczesnie wstałaś — powiedział. — W taki dzień. Co w tym niezwykłego? Zawsze wstaję wczesnie.

— W soboty? Kiedy nie ma szkoły? Zaczerwieniła się.

— Chcę pochodzić po sklepach. Podniósł brwi.

— Ty? Wydawało mi się, że nie znosisz robienia zakupów.

— Jutro są urodziny pana Thorntona — wyjaśniła. — Chciałabym mu coś kupić.

— Ile lat kończy?

— Czterdzieści osiem.

W głosie Johna pojawiło się zdumienie.

— Myślałem, że jest starszy.

— Wielu ludzi tak myśli. Chyba dlatego, że jego pierwszą sztukę wystawiono na Broadwayu, kiedy miał zaledwie dwadzieścia trzy lata.

— Jest jednak starszy ode mnie — stwierdził John, który miał czterdzieści trzy lata.

— Niewiele — odparła JeriLee. — Najśmieszniejsze jest to, że on wcale nie wydaje się stary. — Spojrzała na ojca.

— Wiesz, o co mi chodzi.

John skinął głową. Podniósł filiżankę kawy.

— Był wczoraj w banku. Odbyliśmy długą rozmowę. Nalała sobie kawy i usiadła.

— O czym?

— Głównie o interesach — odrzekł John. — Zachował się bardzo ładnie. Gdyby chciał, mógłby nam narobić poważnych kłopotów. Gdyby wycofał swoje oszczędności, mogłoby to zapoczątkować pęd, który doprowadziłby do zamknięcia banku.

— Ale tego nie zrobił.

— Nie — przyznał John.

To ciekawe, jak potoczyły się wypadki. Zastanawiał się, czy JeriLee wie, że gdyby nie Walter Thornton, może nigdy nie zostałby prezesem banku.

Zdarzyło się to tego wieczoru, gdy rewidenci skończyli kontrolę. Zarząd udał się na spotkanie z panem Thorntonem. Spośród klientów indywidualnych on stracił najwięcej. Ponad dwieście tysięcy dolarów. Poprosili go, aby dał im czas na uzupełnienie strat i okazał bankowi zaufanie nie wycofując swoich oszczędności.

Wyraził zgodę natychmiast, ale pod pewnym warunkiem. Później Artur Daley dokładnie powtórzył Johnowi jego słowa.

— Pozostanę waszym klientem pod jednym warunkiem. Jeżeli wybieriecie na prezesa banku Johna Randalla.

Jak określił to Artur, zarząd odetchnął z ulgą. Powzięli już taką decyzję sami, więc łatwo było im się zgodzić.

Przyglądał się, jak JeriLee bierze grzanekę i smaruje ją masłem.

— Rozmawialiśmy także o tobie — dodał.

— Tak? — Przełknęła kęs, a potem zapytała: — Co mówił o mnie?

— Powiedział, że naprawdę potrafisz pisać. I że powinnaś bardzo starannie wybrać college, do którego pójdziesz po skończeniu szkoły.

— Mnie też to mówił.

— Rzeczywiście chcesz zostać pisarką? — zapytał John z ciekawością. — A jeśli wyjdiesz za mąż i będziesz miała dzieci?

— Och, tato! — Zarumieniła się. — Do tego jeszcze daleko. Dotąd nie spotkałam chłopca, z którym chciałabym się związać. Zresztą można pisać niezależnie od tego. Wiele pisarek ma mężów i dzieci.

— Pan Thornton radzi, żebyś zaczęła się ubiegać o przyjęcie do college'u już teraz. Przecież wkrótce kończysz szkołę.

— Obiecał, że zdobędzie dla mnie informacje. Wtedy będę się mogła zdecydować.

— O tym także napomknął. Powiedział, że pozostanie z nami w kontakcie.

— W kontakcie? John skinął głową.

— Ma zamiar wyjechać na długo. Hollywood, Europa, potem znowu Hollywood.

Milczała przez chwilę.

— Czy mówił coś o sztuce na Broadwayu?

— Nie — odparł ojciec. — O niczym takim nie wspominał.

Nacisnęła dzwonek. Wewnątrz rozległo się ciche brzęczenie. Drzwi otworzyła sekretarka.

— Och, JeriLee! — zawołała. — Nie spodziewałam się ciebie. Trafiłaś na sam środek pakowania. Powiem mu, że przyszałaś.

Kobieta zniknęła w bibliotece, zamykając za sobą drzwi. Zaczekawszy chwilę w przedpokoju, JeriLee przeszła przez salon na taras. Basen zakryto już na zimę, a od Cieśniny wiał zimny, listopadowy wiatr. Zadrżała i otuliła się kurtką.

— JeriLee — dobiegł ją od drzwi jego głos. Odwróciła się.

— Naprawdę robi się zimno — zauważyła.

— ^{Tak} — odparł. — Wracaj do środka. Tu jest ciepło. Weszła za nim do salonu.

— Nie spodziewałem się, że cię dzisiaj zobaczę.

— Jutro są pana urodziny — wyjaśniła, wręczając mu małą paczkę zawiniętą w ozdobny papier. — Chciałam to panu dać.

Niezgrabnie wziął paczuszkę.

— Niech pan otworzy — poprosiła. — Mam nadzieję, że się panu spodoba.

Szybko rozwinął papier. Był to kieszonkowy notesik ze

skorowidzem telefonicznym, oprawiony w czarną groszkowaną skórę. W pętelce tkwił mały złoty ołówek.

— Urocze — stwierdził. — Jak na to wpadłaś?

— Stale szuka pan numerów telefonów. Skinął głową.

— Wszystkiego najlepszego — dodała.

— Dziękuję. — Zmusił się do uśmiechu. — Starzeję się.

— Pan nigdy się nie zestarzeje — zaprotestowała. — To, co pan napisał, zapewni panu wieczną młodość.

Ścisnęło mu się serce.

— Dziękuję ci. Naprawdę dziękuję. To najmiłsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziano.

Przez chwilę stała zakłopotana, a potem odezwała się.

— Chyba już pójdę, proszę pana. Czekają na mnie z obiadem.

— JeriLee — powiedział, nie ruszając się z miejsca.

— Tak.

Utkwił wzrok w jej twarzy.

— Jutro wyjeżdżam.

— Wiem. Ojciec mi mówił.

— Nie będzie mnie długo.

— To też mi powiedział.

— Wycofałem sztukę. Moim zdaniem nie jest jeszcze gotowa. Milczała. Uśmiechnął się.

— Jesteś pisarką — zauważył. — Sama zobaczysz, że to się czasem zdarza.

Skinęła głową.

— Schodzisz na niewłaściwe tory i nagle stwierdzasz, że nie wiesz, o czym mówisz.

— Albo, że wiesz za dużo. I nie chcesz tego powiedzieć.

Spuścił oczy.

— Przykro mi, JeriLee. Głos jej się nagle załamał.

— Mnie także — szepnęła i wyszła.

Podszedł do okna, skąd mógł się przyglądać, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

Sekretarka zawołała z biblioteki:

— Walter, chcesz, żebym zabrała notatki do tego opowiadania o Chicago?

Nie odpowiedział. Powstrzymywane łzy paliły go pod powiekami. Samochód JeriLee był już na rogu i znikał mu z oczu.

— Walter, czy chcesz...

— Zaraz przyjdę — odrzekł.

ROZDZIAŁ 21

- Było to tak dawno temu, choć przecież wcale nie tak znów dawno. Siedemnaście lat. Połowa jej życia. Tyle się od tamtej pory wydarzyło, a jednak, jeśli nacisnęła odpowiedni guzik w banku pamięci, wszystko wracało.

Zerknęła na wiszący nad łóżkiem zegar. Dochodziła czwarta i reszta kobiet już dawno poszła do domu. Ona była jedyną pacjentką, która została.

Lekarz stanął przy łóżku, popatrzył na nią zza okularów, uśmiechnął się.

— Jak się czujesz?

— Znudzona — odparła. — Kiedy stąd wyjdę?

— Zaraz. Podpiszę wypis.

Wziął kartę zawieszoną w nogach łóżka, zanotował coś i nacisnął dzwonek wzywający pielęgniarkę. Weszła postawna Murzynka.

— Słucham, panie doktorze.

— Panna Randall może już iść — oznajmił. — Proszę jej pomóc się ubrać.

— Tak jest, panie doktorze. Zwróciła się do JeriLee.

Od dwunastej czeka na panią w recepcji jakiś pan.

— Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

— Powiedział, że poczeka. Nie chciał pani niepokoić. Pielęgniarka podeszła do małej szafki, wyjęła ubranie JeriLee i położyła je na krześle przy łóżku.

— Proszę pozwolić, że pomogę pani wstać, kochanie.

— Dam sobie radę — odparła JeriLee.

Kiedy stanęła na nogach, poczuła się jednak dziwnie słabo i chwyciła wyciągniętą do niej rękę pielęgniarki.

— Dziękuję.

Tamta uśmiechnęła się.

— Za parę minut wszystko będzie w porządku. Potrzeba chwili, żeby odzyskać władzę w nogach.

Kiedy JeriLee wyszła z łazienki, lekarz nadal był w pokoju.

— Chcę cię zobaczyć za tydzień. Skinęła głową.

— I żadnego seksu dopóki cię nie zbadam — dodał. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. To była ostatnia rzecz, jaka by jej przyszła do głowy.

— A co z miłością francuską? — zapytała. Wybuchnął śmiechem.

— To nie moja działka — odrzekł. — Poradź się swojego dentysty.

— Dobrze, doktorze.

— Uważaj na siebie przez parę dni. Nie spiesz się do pracy.

— Dobrze. Dziękuję.

Gdy wyszedł, zaczęła się ubierać. Zanim skończyła, pielęgniarka wróciła z fotelem na kółkach. JeriLee popatrzyła na nią pytająco.

— Muszę tym jechać?

— Przepisy. Do samych drzwi.

— Pozwoli pani, że pomaluję sobie najpierw usta — powiedziała JeriLee.

Przejrzała się w lustrze. Trochę różu na policzki również by nie zaszkodziło. Szpitalna bladość szybko powleka twarz.

W pierwszej chwili go nie poznała. Ciemne lustrzane okulary, fałszywe brązowe wąsy i peruka ukrywały wygoloną zwykle gładko twarz i czarne, kręcone włosy. Ledwo się powstrzymała od śmiechu. Wyglądał tak komicznie.

— Jak się czujesz, JeriLee? — odezwał się piskliwie, usiłując zamaskować swój niski głos.

— Świetnie.

— Na zewnątrz czeka samochód, siostro. Pielęgniarka skinęła głową i pchnęła fotel do wyjścia na parking, a potem w dół rampy. Wynajął continentalą, zamiast

przyjechać własnym kabrioletem marki corniche. Otworzył drzwiczki i Murzynka pomogła JeriLee usiąść na przednim siedzeniu.

— Do widzenia — powiedziała JeriLee. — Dziękuję.

— Nie ma za co, skarbie. Powodzenia.

Wyjął banknot dwudziestodolarowy i wręczył go pielęgniarce.

— Dziękuję, siostrze.

Pielęgniarka popatrzyła najpierw na pieniądze, potem na niego, a jej lśniąca czarna twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Dziękuję, panie Ballantine.

Stał przez moment z otwartymi ustami, a następnie odwrócił się do JeriLee.

— Jakim cudem mnie rozpoznała? JeriLee zachichotała.

— Może jesteś gwiazdą, George — zauważyła. — Nie masz jednak zielonego pojęcia o charakteryzacji.

Obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

— Nie chciałem, żeby ktoś mnie poznał.

— Nie przejmuj się. Widziała już niejednego. Przychodzą i odchodzą. Nic nie powie.

— Nie mogę sobie pozwolić na żadne plotki — stwierdził, uruchamiając silnik. — I bez tego wytwórnia siedzi mi na karku.

— Nie martw się. Spojrzał na nią.

— Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Tylko dobrze?

— Tak.

— Nie poczułaś się lepiej, kiedy jest już po wszystkim? — zapytał.

Popatrzyła na niego.

— A ty?

— Dużo lepiej. To była słuszna decyzja. Sięgnęła po papierosy.

— Ty tak nie uważasz?

— Skoro tak sądzisz... Wyciągnął rękę i poklepał jej dłoń.

— Mam rację. Zobaczysz. Kiedy obudzisz się jutro rano, zrozumiesz, że miałem rację.

— Jutro rano obudzę się tak nieprzytomna, że nie będę nawet pamiętać, co się dzisiaj stało.

— Co z tobą, JeriLee? Czego ty ode mnie chcesz?

— Niczego — odparła. — Absolutnie niczego.

Skuliła się na siedzeniu. Dlaczego mężczyznom zawsze się wydaje, że chce się od nich czegoś, czego nie są w stanie dać? Zwłaszcza kiedy nie prosi się o nic i niczego nie chce. Tego już zupełnie nie mogą zrozumieć.

Tylko dwaj mężczyźni w jej życiu nie myśleli w ten sposób. Ojciec i Walter Thornton. Chcieli tylko dawać. I może właśnie dlatego ich zawiodła. Nie umiała brać.

— On jest za stary — stwierdziła matka. — Jest starszy od twojego ojca. I co z jego synem? Będiesz go musiała widywać.

— Nie, nie będę musiała. Przeprowadził się z matką do Anglii — odparła JeriLee. — Zresztą to nie ma znaczenia. Kocham go.

Weronika spojrzała na nią.

— Co ty wiesz o miłości? Jesteś jeszcze dzieckiem. Nie masz nawet osiemnastu lat.

— A czym jest miłość, mamo? — zapytała. — Lubię go, podziwiam i szanuję. Chcę z nim iść do łóżka.

— JeriLee!

— Jeśli to nie jest miłość, to powiedz mi co — ciągnęła JeriLee.

— To nie jest tak, jak myślisz. To nie seks — odrzekła Weronika. — Widziałaś, do czego mogło dojść z tamtymi chłopakami.

— Czy dlatego mam się bać miłości?

— Nie o tym mówię — odparła matka i zwróciła się po pomoc do męża. — Powiedz coś, John. Zrób coś, żeby zrozumiała.

John potrząsnął głową.

— Nie potrafię — westchnął. — Miłość jest tym, za co ją ktoś uważa, za co uważają ją wspólnie dwie osoby. I dla każdego, kto kocha, jest to coś innego.

- Przecież ona jest jeszcze dzieckiem — powtórzyła Weronika.
- Więc nie znasz własnej córki. JeriLee już dawno przestała nim być.
- Będzie miał pięćdziesiąt lat, zanim ona skończy osiemnaście — wysunęła kolejny argument.
- Jeśli okaże się to problemem, będzie to ich własny problem. Jestem pewien, że obydwójce to przemyśleli i potrafią sobie z tym poradzić.
- Potrzebuje jeszcze mojego podpisu na pozwoleniu na ślub — upierała się Weronika. — A ja nie podpiszę.
- Wielka szkoda. Bo ja to zrobię. Weronika wpadła w złość.
- Nie możesz. Ona nie jest twoją córką.
- JeriLee zobaczyła na twarzy ojca grymas bólu. Odpowiedział jednak spokojnie i cicho.
- Jest moją córką. W równej mierze jak swojego prawdziwego ojca. Kocham ją i adoptowałem ją. To wystarczy, aby zadośćuczynić wymogom prawa.
- Więc jesteś gotów pozwolić, aby wszyscy się przekonali, że to, co przez cały czas mówili, jest prawdą?
- Nie dbam o to, co ludzie mówią czy myślą, ani w co wierzą. Obchodzi mnie wyłącznie szczęście mojej córki.
- Chociaż wiesz, że na dłuższą metę popełnia błąd?
- Tego nie wiem i ty też nie. Ale jeśli nawet popełnia błąd, będę ją nadal kochał i spróbuję jej pomóc.
- Weronika zwróciła się do córki.
- JeriLee, proszę, posłuchaj mnie ostatni raz. Znajdą się młodszy mężczyźni, bliżsi ci wiekiem. Będziecie mogli razem dorastać, razem się zestarzeć, mieć ze sobą dzieci. To są rzeczy, których z nim nie przeżyjesz.
- Na miłość boską, mamó — zawołała JeriLee, wyprowadzona z równowagi. — On nie jest kaleką! Poszłam z nim już do łóżka i jest cudownym kochankiem.
- Więc to tak. Więc plotki były prawdą. Łzy trysnęły JeriLee z oczu.
- Nie. Tylko jeśli w nie wierzysz. Odwróciła się i wybiegła z domu. John popatrzył na żonę ze znużeniem.

— Weroniko — powiedział z rozpaczą w głosie. — Czasami zastanawiam się, co ja w tobie widziałem. Jesteś taką cholerną idiotką!

George zatrzymał kontinental na podjeździe jej domu.

— Wstąpisz na drinka? — zapytała. Potrząsnął głową.

— Obiecałem agentowi, że spotkam się z nim o piątej w Polo Lounge.

— W porządku. — Otworzyła drzwi i wysiadła. — Dzięki, że po mnie przyjechałeś.

— Nie ma za co. Przykro mi. Nie chciałem, żeby wynikła z tego taka wielka draka.

— To nic wielkiego — odrzekła. — Nie słyszałeś? To łatwiejsze niż leczenie grypy.

Przeszła na drugą stronę samochodu.

— Na pewno nie chcesz wejść? — zapytała, bawiąc się jego fałszywymi wąsami. — Nie możemy się pieprzyć, ale mogę ci obciągnąć. Lekarz tak powiedział. A ty stale powtarzasz, że obciążam najlepiej w całym mieście.

— No cóż — zawahał się. — Czemu nie. Zawsze mogę się spóźnić pół godziny. Agent nie będzie miał o to pretensji.

Roześmiała się, oderwała mu wąsy znad górnej wargi i przykleiła mu je pośrodku czoła.

— Och, George — westchnęła. — Dlaczego musisz być takim zerem?

Potem odwróciła się i, na wpół płacząc, na wpół się śmiejąc, ruszyła w stronę domu. Zamknąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie i pozwoliła łzom płynąć po policzkach. Co takiego w niej jest, że wciąż przyciąga zera?

Nie zawsze tak było. Walter nie był zerem. Absolutnie nie. Był po prostu słaby. Potrzebował poczucia bezpieczeństwa jeszcze bardziej niż ona.

Poszła do sypialni i w ubraniu padła na łóżko. Wpatrywała się w sufit suchymi już oczami. Zaczął dzwonić telefon, leżała jednak nie robiąc żadnego ruchu w jego kierunku. Po trzech dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka.

Sięgnęła do stojącego obok łóżka pudełka z papierosami

i wyjęła skręta z marihuany. Powoli zapaliła go i zaciągnęła się głęboko. Słodkie odrętwienie spłynęło jej do płuc i rozeszło się po całym ciele. Nacisnęła guzik, włączył się magnetofon i muzyka wypełniła pokój. Zaciągnęła się jeszcze dwa razy, potem odłożyła skręta do popielniczki, przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w dłoniach. Znowu przesunął jej się przed oczami obraz małej dziewczynki, która siedzi na szczycie schodów i płacze. Potem zniknął. Gwałtownie usiadła na łóżku. Nie była już tą małą dziewczynką. Nie była nią od bardzo, bardzo dawna. Od dnia, kiedy ona i Walter wzięli ślub i on zabrał ją najpierw do Nowego Jorku, a potem windą do mieszkania na ostatnim piętrze budynku, skąd rozciągał się widok na miasto.

CZESC II
MIASTO

ROZDZIAŁ I

W Nowym Jorku była wiosna. Świeża zieleń młodych liści na drzewach w Central Parku trzepotała lekko na wietrze, dzieci bawiły się w pierwszym przyptywie majowego ciepła. Mijaliśmy ławki, które obsiedli nie mający nic do roboty bywalcy. Nie rozmawialiśmy ze sobą ani nie patrzyliśmy na siebie; razem, a jednak osobno, każde pochłonięte własnymi myślami.

Odezwał się dopiero gdy wyszliśmy z Avenue of the Americas na Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę. Staliśmy czekając na zmianę świateł. Ruch na obydwu ulicach odbywał się jak zwykle powoli.

— Możesz się nie spieszyć z przeprowadzką — stwierdził. — Lecę dziś o dziesiątej wieczorem do Londynu i wracam dopiero za miesiąc.

— Nie ma problemu. Powiedziano mi, że mieszkanie jest gotowe.

Gdy skręcająca ciężarówka podjechała niebezpiecznie blisko, chwycił moje ramię, a potem równie szybko je puścił.

— Chciałem się tylko upewnić.

— Dzięki, Walterze, ale jadę na weekend do domu. Jestem pewna, że do poniedziałku wszystko będzie na miejscu.

Portier, który otworzył nam drzwi, popatrzył na nas dziwnie.

— Dzień dobry państwu — powiedział.

— Dzień dobry, Joe — odparłam.

Byłam przekonana, że wie. Do tej pory musiał już wiedzieć cały świat. Pisały o tym wszystkie gazety. Thorntonowie się rozwodzili.

Nie odzywając się do siebie, wjechaliśmy windą do apartamentu na ostatnim piętrze i wyszliśmy na korytarz.

— Mam swój klucz — powiedział Walter.

Jego bagaże były już spakowane i czekały w przedpokoju. Zamknął drzwi i stał przez chwilę w milczeniu.

— Chyba przydałoby mi się coś do picia — stwierdził w końcu.
— Przygotuję ci drinka — odrzekłam, ruszając automatycznie w stronę baru w salonie.
— Mogę to zrobić sam.
— Nie mam nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, ja też się chętnie napiję.
Wrzuciłam trochę lodu do szklanek i nalałam szkockiej. Staliśmy naprzeciwko siebie, przedzieleni barem.
— Na zdrowie — powiedział.
— Na zdrowie.
Pociągnął długi łyk, ja upiłam tylko trochę.
— Sześć lat — odezwał się. — Nie mogę w to uwierzyć. Milczałam.
— Tak szybko minęły. Co się z nimi stało?
— Nie wiem.
— Czy pamiętasz pierwszy raz, kiedy cię tu przywiozłem? Tamtej nocy padał śnieg i park był taki biały w ciemności.
— Byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Dzieckiem w ciele kobiety.
W jego oczach pojawiło się zdziwienie.
— Kiedy dorostaś, JeriLee?
— To się dokonywało codziennie po trochu, Walterze.
— Nie zauważałem tego.
— Wiem — odparłam łagodnie.
Właśnie o to chodziło, bardziej niż o cokolwiek innego. Dla Waltera zawsze byłabym jego dziecięcą panną młodą.
Skończył drinka i odstawił pustą szklanę na bar.
— Pójdę na górę i spróbuję się zdrzemnąć. Nigdy nie mogę spać podczas tych nocnych lotów.
— Dobrze.
— Samochód przyjeżdża po mnie o ósmej trzydzięci. Będiesz tutaj, kiedy zejdem na dół?
— Tak.
— Nie chciałbym wyjechać bez pożegnania.
— Ja też bym tego nie chciała.
Pękła zapała i łzy napłynęły mi do oczu.
— Walterze, tak mi przykro.
Jego dłoń przelotnie dotknęła mojej.

— Nic się nie stało — rzucił pospiesznie. — Wszystko w porządku. Rozumiem.

— Kochałam cię, Walterze. Wiesz o tym.

— Tak.

Cóż więcej można było powiedzieć? Wyszedł z pokoju i usłyszałam jego kroki na schodach do sypialni. Chwilę później dźwięk zamykania drzwi odbił się echem w cichych wnętrzach. Wytarłam oczy chusteczką higieniczną, podeszłam do okna i spojrzałam na park.

Liście były nadal zielone, dzieci wciąż się bawiły, a słońce świeciło. Była wiosna. Cholera! Jeśli tak, to dlaczego drżałam z zimna?

Po jego wyjeździe mieszkanie dziwnie opustoszało. Szłam do kuchni, żeby zrobić sobie coś do jedzenia, kiedy zadzwonił telefon.

Był to Guy.

— Co robisz?

— „Nic. Właśnie miałam zamiar naszykować sobie jakąś kolację.

— Walter wyjechał?

— Tak.

— Nie powinnaś być dzisiaj sama — zdecydował. Zabiorę cię gdzieś.

— To miło z twojej strony.

Mówiłam szczerze. Guy był przyjacielem nas obydwójga. Reżyserował pierwszą sztukę, w której grałam — sztukę Waltera, tę, którą pisał, gdy się poznaliśmy.

— Może przełożymy to na kiedy indziej? Naprawdę nie czuję się na siłach.

— To ci dobrze zrobi.

— Nie, dziękuję.

— Więc pozwól chociaż, żebym ci przywiózł jakieś kanapki. Wpadnę do „The Stage” — zaproponował szybko. Zawahałam się.

— Poza tym mam parę pomysłów poprawek do twojej sztuki — dodał. — Będziemy mogli pogadać.

— Zgoda.

— Tak już lepiej. Przyniosę butelkę wina i trochę trawki. Spędzimy przyjemny, spokojny wieczór. Za pół godziny, dobrze?

— Świetnie.

Odłożyłam słuchawkę i poszłam do sypialni. Podchodziłam do szafy, żeby wyjąć dzinsy, kiedy telefon znowu zadzwonił. Była to moja matka.

— JeriLee?

— Tak, mamó.

— Kiedy wróciłaś?

— Dziś po południu.

— Mogłaś do mnie zadzwonić — powiedziała z irytacją w głosie.

— Nie miałam czasu, mamó. Prosto z lotniska poszłam do kancelarii adwokata. Walter i ja musieliśmy jeszcze podpisać trochę papierów.

— Więc rozstaliście się ostatecznie — stwierdziła z dezaprobatą. — Nie sądziłam, że meksykańskie rozwody są ważne w Nowym Jorku.

— Są ważne.

Powinnaś była do mnie zadzwonić. Jestem twoją matką. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

— Przecież wiesz, co się stało. Wyjaśniłam ci to, zanim pojechałam do Juarez. Poza tym będę w domu przez cały weekend i opowiem ci wszystkie krwiste szczegóły.

— Nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz — odrzekła lodowatym tonem.

Usiłowałam się opanować, żeby nie wpaść w złość. Nie wiem, na czym to polegało, ale zawsze potrafiła zepchnąć mnie do defensywy. Rozejrzałam się za papierosami, nie mogłam ich jednak znaleźć.

— Chblera — mruknęłam.

— Co powiedziałaś?

— Nie wiem, gdzie są te cholerne papierosy.

— Nie musisz przeklinać — skarciła mnie. — I za dużo palisz.

— Tak, mamó.

W końcu znalazłam papierosa i zapaliłam.

— O której tu będziesz?

— Jakoś z rana.

— Przygotuję dla ciebie lunch. Nie jedz za dużo na śniadanie.

— Tak, mam. — Zmieniłam temat. — Jest tam gdzieś tata?

— Tak. Chcesz z nim porozmawiać?

— Proszę.

Usłyszałam w słuchawce jego ciepły i łagodny głos.

— Jak się czuje moja mała dziewczynka?

To wystarczyło. Poczulałam, że łzy znów napływają mi do oczu.

— Duża i obolała — odrzekłam.

Całe współczucie świata zmieściło się w jednym słowie.

— Ciężko?

— Tak.

— Głowa do góry. Masz jeszcze nas.

— Wiem.

— Będzie dobrze. Trzeba tylko na to trochę czasu. Na wszystko trzeba czasu.

— Już się opanowałam.

— Porozmawiamy jutro. Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć.

Ledwo zdążyłam wziąć prysznic i ubrać się, kiedy przyszedł Guy.

Stał w drzwiach z głupawym uśmiechem na ustach, torbą z zakupami w jednej ręce i bukietem kwiatów w drugiej.

Wepchnął mi kwiaty i pocałował mnie w policzek. Jeszcze zanim się odezwał, poznałam po jego oddechu, że jest wstawiony. — Wszystkiego najlepszego — powiedział.

— Zwariowałaś — odparłam. — Po co te kwiaty?

— Świętujemy — wyjaśnił. — Nie codziennie rozwodzą się nasi najbliżsi przyjaciele.

— Moim zdaniem to wcale nie jest zabawne.

— Co chcesz, żebym robił? Płakał? Nie odezwałam się.

— Płakałam na waszym ślubie — ciągnął. — I nic nie pomogło. Teraz rozwiedliście się i obydwójecie jesteście szczęśliwi. Chyba warto to uczcić.

— Wszystko robisz odwrotnie.

— Co za różnica? — zapytał. — Tak też jest dobrze. Wszedł do salonu i wyjął z torby butelkę szampana.

— Przynieś szkło — polecił. — Dom Perignon. Tylko to, co najlepsze.

Podnosząc kieliszek powiedział:

— Wypijmy za lepsze czasy.

Pociągnęłam łyk. Bąbelki poślaskotały mnie w nos.

— Do dna.

Opróżniłam kieliszek, a on napełnił go ponownie.

— Jeszcze raz.

— Próbujesz mnie upić.

— Zgadza się. — Skinął głową. — To nie będzie ani trochę bolało.

Poszło gładko, tak, jak szampan powinien. Zrobiło mi się ciepło.

— Naprawdę zwariowałeś — powtórzyłam.

Popatrzył na mnie swymi bladoniebieskimi oczami i nagle zdałam sobie sprawę, że nie jest aż tak pijany, jak sądziłam.

— Lepiej się czujesz?

— Tak.

— Dobrze. Więc zjedzmy coś. Umieram z głodu. Zaczął wykladać zawartość torby na bar. Po chwili owionęły mnie cudowne zapachy gorącej wołowiny, *pastrami* i pikh z czosnkiem. Ślina napłynęła mi do ust.

— Nakryję do stołu.

— Po co?

Wziął kanapkę, ugryzł ją i wymamrotał z pełnymi ustami:

— Nie musisz na nikim robić wrażenia.

Utkwiłam w nim wzrok. Przy Walterze wszystko musiało być na swoim miejscu. Ani razu nie jedliśmy w kuchni.

Napełnił mój kieliszek.

— Jedz, pij i baw się.

Podniosłam kanapkę do ust. Niespodziewanie zwilgotniały mi oczy. Natychmiast to zauważył.

— Nie, proszę, nie.

Miałam ściśnięte gardło. Nie mogłam przełknąć. Nie mogłam się odezwać.

— Nie płacz — powiedział. — Kocham cię.
Potem uśmiechnął się i jego twarz przybrała figlarny wyraz.
— To znaczy, kocham cię tak, jak pedał może kochać dziewczynę.

ROZDZIAŁ 2

Byłam trochę wstawiona, trochę najarana i przyjemnie szumiało mi w głowie. Rozłożyłam się na kanapie i spojrzałam na leżącego na podłodze u moich stóp Guya.

— Może byś tak wstał — powiedziałam.

Przekreślił się na plecy i sięgnął po skręta, którego trzymałam w palcach.

— Nie wiem, czy dam radę — odparł, zaciągając się.

— Spróbuj. Pomogę ci.

— Po co? Dobrze mi tutaj.

— Jak chcesz. O czym mówiliśmy?

— Nie pamiętam.

— O sztuce. Miałaś pomysły poprawek.

— Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Za dobrze się czuję. Popatrzyłam w okno. Nocne niebo nad Central Parkiem było szare od odbitych świateł.

— Jak myślisz, czy samolot już wystartował?

— Która godzina?

— Prawie północ.

— Dawno odleciał.

Wstałam i podeszłam do okna. Podniosłam rękę i pomachałam niebu.

— Do widzenia, Walterze. Do widzenia. — Zaczęłam płakać. — Miłego lotu.

Guy z trudem wstał i zbliżył się do mnie chwiejnym krokiem.

— Hej, mieliśmy przecież świętować — szepnął. — Nie płacz.

— Nie mogę się powstrzymać. Jestem sama.

— Nie jesteś sama — powiedział, obejmując mnie ramieniem. — Ja tutaj jestem.

— Dziękuję. To bardzo miłe. Zaprowadził mnie z powrotem na kanapę.

— Napij się jeszcze szampana.

Pociągnęłam łyk z kieliszka, który mi włożył do ręki. Niespodziewanie szampan przestał mi smakować.

Trzeźwiałam. Odstawiłam kieliszek na stolik. Zostawił na wypolerowanym blacie małe, mokre kółko. Gapiłam się na nie. Dawniej natychmiast bym je wytarła i postawiła kieliszek na podstawce. Walter nienawidził plam po alkoholu na swoich cennych antykach. Teraz miałam to gdzieś.

— Chyba pójde do łóżka — oznajmiłam.

— Jeszcze wcześniej — zaprotestował Guy.

— Ale jestem zmęczona — odrzekłam. — To był długi dzień. O ósmej trzydzieści rano byłam w meksykańskim sądzie, a o jedenastej siedziałam w samolocie w drodze powrotnej. Od dwóch dni nie miałam chwili odpoczynku.

— Co zrobiłaś z obrączką? — zapytał.

— Noszę ją.

Wyciągnęłam rękę. Cienki złoty pasek zamigotał w świetle lampy. Guy poważnie potrząsnął głową.

— Niedobrze. Musisz się jej pozbyć.

— Dlaczego?

— To symbol. Nie będziesz wolna, dopóki się jej nie pozbędziesz. — Strzelił palcami. — Już mam. W Reno jest mały mostek nad strumieniem. Kiedy kobiety wychodzą z gmachu sądu, stają na nim i wrzucają obrączki do wody. To właśnie musimy zrobić.

— Przecież nie jesteśmy w Reno.

— Nie szkodzi. Znam odpowiednie miejsce. Bierz płaszcz. Kilka minut później wsiadaliśmy na dole do taksówki.

— Nad jezioro w Central Parku — powiedział Guy do kierowcy. — Dok przy przystani.

— Oszałał pan? — zapytał taksówkarz. — W nocy nie wypożyczają się łódki.

— Jedźcie, dobry człowieku — polecił Guy z lordowskim gestem ręki i opadł na siedzenie.

Taksówka gwałtownie ruszyła, zawróciła i wjechała do parku od strony Avenue of the Americas. Guy wsunął rękę do kieszeni, wyjął skręta, natychmiast go zapalił i zadowoleniem wydmuchnął dym.

Samochód raptownie zwolnił. Kierowca odwrócił się do nas.

— Niech pan to lepiej zgasi — powiedział ostrzegawczym tonem. — Chce pan, żeby nas wszystkich przymknęli?

Guy uśmiechnął się i podał mu papierosa.

— Odpręż się. Weź macha. Ciesz się życiem. Taksówkarz sięgnął po skręta. Zaciągnął się porządnie dwa razy i oddał go nam.

— Dobra trawa, proszę pana. Kupuje ją pan tutaj?

— Przywieziona w zeszłym tygodniu z Kalifornii. Tu się czegoś takiego nie dostanie. — Podał mi skręta. — Masz, skarbie.

Pociągnęłam. Naprawdę dobrze mi to robiło. Walter nie pochwalał palenia trawy, chyba że byliśmy sami, chociaż i tak nigdy nie zaprawiłam się trawą bardziej niż on whisky.

Taksówka zwolniła i zatrzymała się.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił kierowca.

— Nie kasuj licznika — polecił, otwierając drzwi. — My tylko na minutkę.

— Tu nie jest bezpiecznie w nocy — zauważył taksówkarz. Guy podał mu skręta.

— Pociągnij sobie. Zaraz wracamy.

Kierowca wziął papierosa jedną ręką, a drugą podniósł z podłogi żelazny łom.

— Dobrze — odparł. — Ale niech Bóg ma w swojej opiece każdego portorykańca albo czarnucha, który się tu zbliży.

Poszliśmy chodnikiem do doku. Tam przystanęliśmy i oparliśmy się o poręcz, aby popatrzeć na wodę. Była zupełnie gładka, ani jedna zmarszczka nie mąciła jej powierzchni.

— Zdejmij obręczkę — polecił Guy.

Nawet nie drgnęła. Spuchły mi palce. Spojrzałam na niego bezradnie.

— Co teraz zrobimy? — zapytałam.

— Zostaw to mnie.

Przyłożył dłoń do ust i krzyknął do taksówkarza:

— Masz jakiś pilnik?

W nocnej ciszy jego wołanie wstrząsnęło powietrzem jak wybuch. Odpowiedział mu głos kierowcy:

— Co ja do diabła pana zdaniem prowadzę? Warsztat ślusarski?

Guy odwrócił się do mnie.

— Taksiarze nie są już tacy jak dawniej — zauważył. Wziął mnie za rękę i sprowadził z pomostu na brzeg jeziora.

— Włóż dłoń do wody — polecił.

Ukłękałam na wilgotnej ziemi i wyciągnęłam rękę. Podniosłam wzrok na Guya.

— Nie mogę dosięgnąć.

— Daj mi rękę. Przytrzymam cię.

Chwytał mnie mocno. Pochyliłam się i poczułam palcami zimną wodę.

— W porządku?

— W porządku.

Po kilku minutach palce zaczęły mi drętwieć.

— Ta woda jest lodowata — stwierdziłam.

— Dobrze. To powinno pomóc — odparł i puścił moją dłoń. Nie było tam głęboko, ale mokro i zimno. Kiedy wstałam, woda sięgała mi do kolan. Złapałam Guya za rękę i wyszłam na brzeg.

Przepraszał mnie całą drogę do taksówki. Byłam tak wściekła, że nie mogłam mówić.

Gdy Guy otworzył drzwi, kierowca wlepił w nas wzrok.

— W takim stanie nie wpuszczę was do wozu.

— Dziesięć dolarów ekstra.

— Macie więcej tej trawy?

— Parę skrętów.

— Dziesięć dolców i trawa — powiedział szybko taksówkarz.

— Zgoda.

Wsiadliśmy do samochodu i odjechaliśmy z rykiem silnika.

— Lepiej wyskakujcie — stwierdził kierowca, zatrzymując się pod domem. — Przyskrzynią was za kąpiel w jeziorze.

Guy zdjął marynarkę i zarzucił mi ją na ramiona. Spojrzałam na swoją dłoń. Obrączka nadal była na swoim miejscu.

Nagle zaczęłam się śmiać jak szalona, aż łzy napłynęły mi do oczu.

Guy nie zrozumiał.

— Co w tym takiego zabawnego? Możesz złapać zapalenie płuc.

Nie mogłam się opanować.

— Mieliśmy wrzucić do wody obrączkę, a nie mnie. Wyszłam z sypialni owinięta grubym, aksamitnym szlafrokiem.

Guy siedział na brzegu kanapy. Na mój widok wstał.

— Dobrze się czujesz?

— Świetnie. — Popatrzyłam na bar. — Zostały jakieś kanapki? Po kąpieli zawsze jestem głodna.

— Mnóstwo. Zrobiłem też kawę. Obydwoje byliśmy już trzeźwi.

— Przepraszam — powiedział.

— Nie ma za co — odparłam. — Doskonale się bawiłam. Gdybyś nie przyszedł, prawdopodobnie spędziłabym tę noc rozczulając się nad sobą.

Uśmiechnął się i podniósł do ust filiżankę kawy.

— To dobrze. Przyglądał mi się z zadumą.

— O czym myślisz?

— O tobie — odrzekł. — O tym, jak wszystko się teraz zmieni.

Milczałam.

— Wiesz, że się zmieni, prawda?

— Chyba tak, ale nie wiem, w jaki sposób.

— Po pierwsze — zaczął — nie jesteś już panią Thornton. A to wielka różnica. Drzwi nie będą się tak łatwo przed tobą otwierać.

Skinęłam głową.

— Coś w tym rodzaju przyszło mi na myśl. Zawsze się zastanawiałam, czy ludzie lubią mnie dla mnie samej, czy dlatego, że jestem żoną Waltera.

— I jedno i drugie — odparł. — Ale bycie żoną Waltera wiele ułatwiało.

— Jestem wciąż tą samą osobą — zaprotestowałam. — Mam takie same zdolności jak wtedy, gdy byliśmy małżeństwem.

— To prawda.

— Próbujesz mi coś powiedzieć — zauważyłam. — Co to takiego?

Nie odezwał się. Nagle mnie oświeciło.

— Fannonowi nadal podoba się moja sztuka. Kupuje do niej prawa, czyż nie?

— Nadal mu się podoba, ale nie kupi praw, dopóki nie wprowadzisz poprawek.

Zamilkłam na chwilę. Wcześniej w tym tygodniu Fannon już prawie wciskał mi do rąk czek. Teraz sytuacja była inna. W porannej prasie pisano o rozwodzie.

— Czy on myślał, że Walter poprawi sztukę za mnie?

— Może nie aż tak, ale prawdopodobnie sądził, że jeśli zajdzie potrzeba, Walter ci pomoże.

Poczułam, że wzbiera we mnie oburzenie.

— Cholera! Nie dostanie sztuki, nawet gdyby chciał.

— Posłuchaj mnie, bo jestem twoim przyjacielem i kocham cię. Tak się składa, że również w ciebie wierzę. A więc lekcja numer jeden. Przypadkiem Fannon jest dla twojej sztuki najlepszym producentem w mieście i jeśli będzie chciał, dasz mu ją.

— To obleśny staruch. Rozbiera mnie wzrokiem za każdym razem, kiedy się spotykamy.

— Lekcja numer dwa. Jesteś w interesie, którym rządzą obleśne staruchy i pedały. Będziesz musiała żyć z nimi w zgodzie.

— Nie ma czegoś pośrodku? — zapytałam.

— Bridgeport — odparł.

— Byłam tam.

— Więc wiesz, o co mi chodzi. To jest Miasto. Jeśli powiesz ci się tutaj, uda ci się i gdzie indziej.

— Zaczynam się bać — powiedziałam. — Z Walterem wszystko wydawało się takie łatwe.

Wziął mnie za rękę.

— Nie bój się. Uda ci się. Masz talent. Tylko musisz walczyć.

— Nie umiem — odrzekłam. — Nigdy dotąd nie musiałam. Prosto z rodzinnego domu przyszłam do Waltera. A on nie chciał mi pozwolić dorosnąć.

— Na tym zawsze polegał problem Waltera — przyznał Guy. — Próbował poprawiać życie tak, jak swoje maszynopisy. Ale sprawy jakoś mu się wymykały i nigdy nie potrafił zrozumieć dlaczego tak się dzieje. Oto dowód. Mimo wszystko jednak dorosłaś, prawda?

— Teraz nie jestem taka pewna.

— Ja jestem — stwierdził, podnosząc się. — Już po trzeciej. Lepiej dam ci się trochę przespać.

Odprowadziłam go do drzwi.

— Wpadnij do mnie do biura we wtorek o dziesiątej. Przejrzymy sztukę, a potem pójdziemy na lunch.

— Dziękuję, ale nie musisz mnie zabierać na lunch, jeśli masz coś ważniejszego do roboty.

— Lekcja numer trzy. Kiedy reżyser albo producent zaprasza cię na lunch, odpowiadasz „Dobrze, proszę pana”.

— Dobrze, proszę pana.

Roześmiał się i pocałował mnie w policzek. Zamknęłam za nim drzwi, wróciłam do mieszkania i rozejrzałam się po salonie. Wszystko wydawało mi się teraz dziwne i obce. Nagle uświadomiłam sobie dlaczego.

Już tu nie mieszkałam.

ROZDZIAŁ 3

Samochód ojca blokował podjazd, więc zaparkowałam na ulicy. Właśnie zgasiałam silnik, gdy z domu wyszedł mój brat i ruszył ku mnie. Przez chwilę trudno mi było uwierzyć, że to Bobby.

Był szczupły i wysoki, miał ponad sześć stóp wzrostu. Szaroniebieski mundur Sił Powietrznych sprawiał, że wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Obszedł samochód i otworzył drzwiczki.

— A niech to! — zawołał, gdy wsadziwszy głowę do środka zobaczył wyłożoną drewnem deskę rozdzielczą jaguara.

— Mógłbyś się najpierw przywitać.

— Siostra jest tylko siostrą, a nowy wóz to zawsze radocha — powiedział, całując mnie w policzek.

— Co robisz w tym mundurze? Armia prowadzi teraz ćwiczenia w domach? — zapytałam, kiedy wysiadłam z samochodu.

— Nie — odparł. — Jestem w wojsku. Przyjęli mnie na kurs dla pilotów, więc się zdecydowałem. Na co miałem czekać? Gdybym się namyślał, wojna mogłaby się skończyć, zanim ja skończę szkołę. W poniedziałek wyjeżdżam do San Antonio.

— Co na to mama?

— Znasz ją. — Wykrzywił się. — Narobiła krzyku.

— Tym razem miała rację — stwierdziłam, otwierając bagażnik.

Bobby wyjął moją małą walizkę.

— Chociaż ty nie zaczynaj — poprosił. — Już dość się nasłuchałem.

Zatrzasnęłam klapę bagażnika i ruszyłam za Bobbym w stronę domu.

— Nie mamy w Wietnamie nic do roboty — powiedziałam. — Dopóki jednak udaje im się wysłać tam takich smarkaczy jak ty, to się nigdy nie skończy.

— Zaczynasz mówić jak te wszystkie nowojorskie komuchy.

— Do cholery, Bobby, po prostu nie podoba mi się pomysł, że mojemu braciszкови mogą odstrzelić głowę w jakiejś głupiej dżungli.

— O to bym się nie martwił — odrzekł. — Prezydent powiedział, że do Bożego Narodzenia będzie po wszystkim, a moje szkolenie trwa dwa lata, więc prawdopodobnie i tak mnie to ominie.

Przystanął na stopniach ganku i odwrócił się, aby popatrzeć na samochód.

— Nie wiedziałem, że masz nowy wóz.

— Ma już prawie rok.

— Wygląda jak nowy.

— W mieście nie jeździ się dużo.

— Niezły — stwierdził. — Drogo kosztował?

- Pięć tysięcy. Gwizdnął.
 - Czyj jest? Twój czy Waltera?
 - Mój. *Zapłaciłam* za niego z własnych pieniędzy. Walter uważa, że nie warto kupować niczego oprócz cadillaca.
 - To znaczy, że możesz go zatrzymać.
 - Oczywiście. Spojrzał na mnie.
 - Przykro mi, że się rozwiedliście. Lubiłem Waltera. Napotkałam jego wzrok.
 - Ja również. Po prostu nie układało się między nami. Rozwód był najlepszym rozwiązaniem dla nas obojga. Bobby otworzył drzwi.
 - Wychodzisz gdzieś wieczorem? Wiedziałam, do czego zmierza.
 - Chcesz pożyczyć samochód? Skinął głową.
 - Mam dziś ważną randkę. Coś w rodzaju pożegnania. Podałam mu kluczyki.
 - Tylko bądź ostrożny. To ostry wóz.
- Uśmiech przemknął mu przez twarz i przez chwilę widziałam małego chłopca, którego zawsze znałam.
- Dzięki, siostrzyczko. Będę się z nim obchodził jak z jajkiem.
- Matka wsiadła na mnie dopiero po kolacji, kiedy wyszła ze mną na ganek.
- Milczałyśmy, gdy zapalałam papierosa. Zobaczyłam w jej oczach dezaprobatę.
- Czy twoje mieszkanie jest gotowe? — zapytała w końcu.
 - Tak. Wprowadzam się w poniedziałek.
 - Mam nadzieję, że to bezpieczny budynek. Codziennie czytam w gazecie o tym, co się dzieje.
 - Jest bezpieczny.
 - Masz portiera?
 - Nie. Domy z portierem są za drogie. Nie stać mnie na to.
 - Dziwię się, że Walter pozwolił ci na coś takiego.

- Nie miał nic do gadania. Rozwiedliśmy się, nie pamiętasz?
- Jestem pewna, że dałby ci pieniądze, gdybyś go poprosiła.
Zrozumiałam, do czego zmierza.
- Dlaczego nie powiesz wprost o co ci chodzi, mamó? Chcesz wiedzieć, jakie alimenty Walter mi płaci?
- Nie musisz mi mówić. To naprawdę nie moja sprawa.
- Mogę ci powiedzieć — odrzekłam. — Nie płaci mi ani grosza.
- Ani grosza? — powtórzyła jak echo z niedowierzaniem w głosie. — Jak on mógł coś takiego zrobić? Moim zdaniem to okropne.
- A moim nie. Niczego nie chciałam.
- Przecież mówiłaś, że posyła pieniądze swojej pierwszej żonie. Dlaczego ty miałabyś nic nie dostać?
- Powiedziałam ci, mamó, że tego nie chciałam.
- Przecież byliście małżeństwem przez sześć lat — zaprotestowała. — Jak masz zamiar zarobić na życie?
- Mogę pracować, mamó. Napisałam sztukę, która może zostać wystawiona i jestem kandydatką do kilku ról w teatrze.
- A jeśli nic z tego nie wyjdzie? Z czego będziesz żyła?
- Mam trochę pieniędzy. Walter nie pozwolił mi tknąć ani centa z tego, co zarabiałam. Wszystko jest w banku. Milczała wyczekująco.
- Chciałabyś wiedzieć, ile mam?
- Nie musisz mi mówić. To naprawdę...
- Wiem, mamó — wtrąciłam złośliwie. — To naprawdę nie twoja sprawa, ale tak czy inaczej ci powiem. Powinam mieć około jedenastu tysięcy dolarów.
- Tylko tyle? Wydawało mi się, że kiedy grałaś w sztuce, dostawałaś siedemset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Co się stało z tymi pieniędzmi?
- Dużą część zabrały podatki. Walter świetnie zarabia, a zeznania o dochodach składaliśmy wspólnie. Reszta poszła na samochód, ubranie i meble.
- Może powinnaś sprzedać samochód. Nie rozumiem, po co ci wóz w mieście. Zwłaszcza taki drogi.
- Podoba mi się. Inaczej bym go nie kupiła.

— Szkoda, że nie porozmawiałaś z ojcem i ze mną, zanim cokolwiek zrobiłaś.

Milczałam.

— Walter to dobry człowiek. Nie powinnaś była tak go zostawić.

— Odkryłam, że już go nie kocham, mamó. Nie byłoby w porządku, gdybym z nim została, wiedząc o tym.

— Jesteś zakochana w kimś innym?

— Nie.

— Więc nie powinnaś była odchodzić od Waltera — stwierdziła stanowczo. — Nie zrywa się dobrego małżeństwa dla jakiegoś kaprysu.

— To nie był kaprys — tłumaczyłam cierpliwie. — Gdybym z nim została, skończyłoby się na tym, że znienawidzilibyśmy się nawzajem. A tak nadal jesteśmy przyjaciółmi.

— Obawiam się, że nigdy cię nie zrozumiem, JeriLee. Czy ty wiesz, czego szukasz?

— Tak. Siebie.

To ją naprawdę wprowadziło w zdumienie.

— Cóż to za odpowiedź?

Byłam zmęczona i poszłam wcześniej do łóżka, ale gdy tylko się położyłam, odechciało mi się spać. Wstałam i usiadłam z papierosem przy oknie. Nie myślałam o niczym. Pamiętałam, jak siadywałam przy tym oknie, patrząc na tę samą ulicę, kiedy byłam mała.

Przed oczyma przesunął mi się obraz. Mała dziewczynka siedzi na szczycie schodów i płacze. Tą małą dziewczynką jestem ja. Nie byłam już jednak małą dziewczynką, więc dlaczego płakałam?

Rozległo się ciche pukanie.

— Nie śpisz jeszcze, skarbie? — szepnął ojciec. Otworzyłam drzwi. Jego twarz, obramowana światłem z przedpokoju, była trochę szczuplejsza i trochę bardziej pobrużdżona niż pamiętałam.

— Nie możesz usnąć? — zapytał. Potrząsnęłam głową.

— Przyniosę ci gorącego mleka.

— Nie trzeba.

— Mam nadzieję, że mama cię nie zdenerwowała. Ona po prostu niepokoi się o ciebie.

— Wiem. Nic się nie stało.

— Ma teraz dużo zmartwień. Przejęła się wstąpieniem Bobby'ego do wojska bardziej niż się do tego przyznaje.

— A teraz jeszcze ja. To jej nie ułatwia sprawy.

— Damy sobie radę. Chcemy tylko, żeby wam obydwójgu dobrze się działo. — Wahał się przez moment. — Wiesz, że jeśli będziesz czegoś potrzebować, wystarczy, że nam o tym powiesz.

Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Delikatnie pogłaskał mnie po włosach.

— Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

— To moja wina — odrzekłam. — I muszę sobie z tym poradzić sama. Ale teraz, kiedy mam tę szansę, wszystko będzie dobrze.

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, a potem skinął głową.

— Na pewno — przyznał. — Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałeś, był następny ojciec.

Zobaczył zdziwienie w moich oczach. Nie czekał, aż się odezwę.

— Walter miał ten sam problem, co ja. Żaden z nas nie chciał uwierzyć, że dorastasz. — Niespodziewanie uśmiech rozjaśnił mu twarz. — Zrozumiałem to w chwili, gdy zobaczyłem cię w jego sztuce. Niczego nie pragnął bardziej niż tego, abyś pozostała tą dziewczyną na zawsze. Jest jednak różnica między życiem a sztuką teatralną. Życie się zmienia, a sztuka nie. Dziewczyna ze sztuki jest dziś w takim samym wieku, co pięć lat temu. A ty nie.

Poczułam, że po policzkach płyną mi łzy. Przytulił moją głowę do piersi. W jego głosie pojawił się ton zadumy.

— Nie miej do siebie pretensji, JeriLee. Mogło być gorzej. Niektórzy ludzie w ogóle nie dorastają.

ROZDZIAŁ 4

Zanim zamknęłam drzwi, przyglądałam się, jak ojciec idzie do swojej sypialni. Potem zapaliłam następnego papierosa i wróciłam do okna.

Dziewczyna ze sztuki nigdy nie dorosła. Ale to ja byłam dziewczyną ze sztuki. Czy nadal nią jestem? Czy miałam tylko złudzenie, że dorastam? Wciąż pamiętałam to popołudnie w drugim tygodniu prób, kiedy moje dorastanie się zaczęło.

Nie chciałam tego robić. Bez przerwy powtarzałam, że nie jestem aktorką, ale Walter i Guy nie przestawali naciskać, więc w końcu ustąpiłam. Początkowo czułam się dziwnie i niezręcznie. Amatorka wśród profesjonalistów.

Stopniowo jednak uczyłam się. Pod koniec pierwszego tygodnia słyszano mnie już na balkonie. Wszyscy byli tacy mili, tacy delikatni. Zaczęłam czuć się lepiej, pewniej. Aż do tego popołudnia, gdy ni stąd ni zowąd wszystko runęło. Beau Drake przyjechał z Hollywood, aby wystąpić na nowojorskiej scenie po raz pierwszy od swego wyjazdu przed piętnastu laty. Był gwiazdą i wiedział o tym. Nikomu, a zwłaszcza mnie, nie pozwalał zapomnieć, że jest zawodowcem. Znał i stosował wszystkie możliwe sztuczki. Stwierdziłam, że przez większość czasu albo gram tyłem do widowni, albo Beau zasłania mnie swoimi szerokimi ramionami i spycha w głąb sceny, tak że uwaga publiczności kieruje się na niego.

Początkowo nie docierało to do mnie na tyle, abym się przejmowała. Kiedy jednak zdałam sobie sprawę, co on robi, wpadłam w złość. Nie chciałam, żeby moja rola była ważniejsza niż przewidywała sztuka, ale zauważyłam, że mam prawo wymagać tego, co mi się należy. Podjęłam walkę w jedyny dostępny mi sposób. Zorientowałam się już, że Beau kurczowo trzyma się tekstu. Najmniejsza zmiana zbijała go z tropu. Zaczęłam więc mówić napisane przez Waltera kwestie własnymi słowami.

Była to druga próba tego popołudnia. Doszliśmy do

punktu kulminacyjnego drugiego aktu, do ostatniej sceny przed zapadnięciem kurtyny, kiedy Beau wybuchnął.

— Do jasnej cholery! — ryknął nagle.

Zamarliśmy. Dan Keith, który grał mojego ojca, spojrział najpierw na niego, potem na mnie. Jane Carter, czekająca za kulisami na swoje wejście, stała z otwartymi ustami. Beau wmaszerował gniewnie na środek sceny i pochylił się nad rampą.

— Nie płaciecie mi aż tyle, żebym się bawił w Stanisławskiego — krzyknął do Guya i Waltera. — Gdybym chciał prowadzić kursy gry aktorskiej dla kopniętych na punkcie teatru panienek, Hollywood lepiej się do tego nadaje. Jeśli nie potraficie skłonić pani Thornton, aby trzymała się tekstu, który został dla niej napisany, znajdźcie sobie do mojej roli innego aktora. Wychodzę!

Odwrócił się i majestatycznie zszedł ze sceny. Nikt się nie odezwał ani nie poruszył, dopóki nie usłyszeliśmy za kulisami trzasku drzwi jego garderoby. Wtedy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

— Cisza!

Głos Guya był stanowczy. Reżyser wszedł na scenę, a Walter za nim. Spojrzął na Dana i Jarie. Robimy pół godziny przerwy. Skinęli głowami i wyszli bez słowa. Guy i Walter patrzyli na mnie w milczeniu. Pamiętam, że czułam się w tym momencie jak dziecko, które sprzeciwiło się rodzicom.

Widzieliście, co on wyprawia — powiedziałam. — To nie było w porządku. Robił wszystko, żebym wyszła na głupią. — Nie miałam nic więcej do powiedzenia, więc się rozplakałam. — W porządku. Nigdy nie twierdziłam, że jestem aktorką. Odejdę.

Guy odezwał się spokojnym tonem.

Nie. O tym ja decyduję. Ja jestem reżyserem.

— Tak będzie najlepiej dla sztuki — szlochałam. — On mnie nienawidzi. Z inną dziewczyną nie będziecie mieli problemów.

— Beau ma rację — odrzekł Guy. — Zmieniłaś tekst. Dlaczego?

— Nie miał prawa robić tego, co robił.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

_ To ty nie odpowiedziałeś na moje — odparowałam.

— Nie muszę. To nie ja przerabiałem kwestie napisane przez autora.

— Skoro miałeś coś przeciwko temu, dlaczego się nie odezwałeś? - Bo nie był to odpowiedni moment. Chcę wiedzieć, dlaczego to robiłaś.

— Tylko w ten sposób mogłam go zmusić, żeby pozwolił mi grać moją rolę.

Guy i Walter wymienili spojrzenia.

— To nie jest wystarczający powód — odparł Guy. Onieśmienie nagle mnie opuściło.

_ Więc co powiesz na inny? W żaden sposób nie mogę mówić tego tekstu i pozostać siedemnastoletnią dziewczyną, którą mam być. To są dialogi napisane dla trzydziestoletniej kobiety. Nie znam żadnych młodych ludzi, którzy by się tak wyrażali.

Przez chwilę panowała cisza, a potem zobaczyłam znieruchomiałą twarz Waltera.

_ Och, Walterze, przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ja...

— Nic się nie stało — odparł sucho, odwrócił się gwałtownie i zszedł ze sceny.

Ruszyłam za nim, ale Guy mnie powstrzymał.

— Zostaw go.

— O co ci chodzi? To mój mąż.

— To nie jest twój mąż. To autor sztuki.

— Zraniłam go. Pójdę do niego.

_ Nigdzie nie pójdziesz. Jest zawodowcem i poradzi sobie z tym.

— Nie rozumiem.

— Ktoś musiał mu to powiedzieć. Tekst jest zły. Z każdym dniem stawało się to bardziej widoczne. Gdyby dialogi były dobre, Beau nie miałby szans robić tego, co robił. Byłby zbyt zajęty pracą nad swoją rolą.

Ponad ramieniem Guya zobaczyłam Beau wychodzącego zza kulis. Gdy do nas podszedł, wyglądał na odprężonego.

— Wszystko w porządku? — spytał od niechcenia.

— Świetnie — odparł Guy, jak gdyby nic nie zaszło. Nagle wszystko zrozumiałam i poczułam, że ogarnia mnie gniew.

— Wrobiliście mnie w to — oskarżyłam ich — bo nikt z was nie miał dość odwagi, żeby powiedzieć mu prawdę. Tylko od ciebie mógł to przyjąć — odrzekł Guy. — Teraz wróci do pracy i będzie poprawiał tekst, dopóki dialogi nie będą dobre.

— Jesteś draniem — warknęłam.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem święty.

Czy nikt z was nie potrafi mówić prawdy? — westchnęłam. — Czy zawsze musicie posługiwać się innymi, żeby odwalali za was brudną robotę, kiedy o wiele prościej byłoby powiedzieć prawdę?

— Tak to jest w show businessie — odparł gładko Guy.

— Nie podoba mi się to.

— Lepiej do tego przywyknij, jeśli masz zamiar w nim pozostać.

— Nie mam takiego zamiaru.

Jeśli zamierzasz jednak nadal być żoną Waltera, przyzwyczaisz się do tego, czy ci się to podoba, czy nie. Bo on będzie w tym siedział jeszcze długo. To jedyne życie, jakie zna i jakiego pragnie. — Ruszył w stronę kulis, nie czekając na odpowiedź. — Próba jutro o drugiej — zawołał przez ramię.

Beau i ja zostaliśmy na scenie sami. Po chwili się uśmiechnął.

— Tylko ty i ja, kochanie.

Moim zdaniem to wcale nie jest zabawne.

— Przepraszam. Nie chciałem, żeby to wyszło tak ostro. Kiedy nie odpowiedziałam, na jego twarzy odmalowała się skrucha.

— Nie mogłem się powstrzymać. Chyba jestem lepszym aktorem niż sądziłem.

To przełamało lody. Uśmiechnęłam się.

— Jesteś niezły — odparłam. — Ale kutas z ciebie. Wykrzywił się w uśmiechu.

— Nazywano mnie już gorzej. Tym razem jednak to w słusznej sprawie. Czy mogę ci postawić drinka, aby udowodnić, że nie mam do ciebie pretensji?

— Nie piję — odrzekłam. — Ale możesz mi postawić kawę.

Wszystko poszło dokładnie tak, jak sobie zaplanowali. Kiedy tamtego wieczoru wróciłam do domu, Walter pracował nad poprawkami. W ogóle nie kładł się do łóżka, a gdy następnego ranka zeszłam na śniadanie, na stole leżała kartka. Najdroższa,

Poszedłem do Guya, żeby omówić nowe dialogi. Do zobaczenia na próbie. Całuję,

Walter

PS Proszę, wybacz mi, ale musiałem wykorzystać twoje kwestie. Były lepsze niż wszystko, co potrafiłem wymyślić.

Wyczułam w jego słowach gorącą pochwałę, a potem na próbie zauważyłam, że zmiany zostały już wprowadzone.

Po raz pierwszy byliśmy wszyscy razem.

Dopiero dużo później zdałam sobie sprawę, czym zapłaciłam za to popołudnie. Odebraliśmy już wtedy z Beau nasze Tony za najlepszą rolę męską i najlepszą drugoplanową rolę kobiecą, chociaż nagrodę za najlepszą sztukę otrzymał inny pisarz. Zdarzyło się to w tym samym tygodniu, gdy przedstawienie po roku grania zeszło z Broadwayu.

Chciałam podsunąć Walterowi pewne sugestie w związku z jego nową sztuką i weszłam do gabinetu, aby mu o tym powiedzieć. Słuchał mnie z kamienną twarzą. Kiedy skończyłam, sięgnął po maszynopis, który wciąż trzymałam w ręku.

— Nie powinnaś była tego czytać — stwierdził.

— Nie wiedziałam, Walterze. Znalazłam maszynopis w sypialni.

— Zapomniałem go zabrać.

— Chciałam ci tylko pomóc.

— Jeśli będę potrzebował pomocy, poproszę o nią. Dopiero wtedy ostatecznie uwierzyłam, że znaleźli jedyny sposób, aby zmusić Waltera do wprowadzenia zmian. Prawda go nie obchodziła, podobnie jak innych ludzi w tym środowisku. Naprawdę interesowało ich wszystkich wyłącznie własne ego.

— Przepraszam — odrzekłam sucho. — To się więcej nie powtórzy.

— Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak szorstko. Nikt jednak nie rozumie, jak to jest, dopóki sam nie zacznie tego robić. A ty masz przecież pewne pojęcie o tym, jakie to trudne. Kiedyś próbowałaś pisać.

— Więc dowiem się, jak to jest — odrzekłam. — Teraz, kiedy sztuka zesłała z afisza i mam wolny czas, chciałabym wypróbować jeden własny pomysł.

Świetnie. Gdybyś miała jakieś problemy, możesz ze mną porozmawiać.

Nie odpowiedziałam, ale kiedy opuszczałam pokój, byłam już zdecydowana. Był ostatnią osobą, do której zwróciłabym się o pomoc.

Zdarzyło się to cztery lata temu i było początkiem końca naszego małżeństwa. Potem na tysiące sposobów przekonywałam się, że Walter traktuje mnie jak rywalkę. Teraz to się skończyło. Miałam nadzieję, że przestał się czuć zagrożony.

Usłyszałam, że na dole dzwoni telefon i zerknęłam na zegarek. Było już po drugiej w nocy. Siedziałam przy oknie ponad godzinę. Coś mnie pchnęło, aby zejść na dół i odebrać telefon. Moi rodzice byli tak staroświeccy, że uważali drugi aparat za zbędną ekstrawagancję.

Głos w słuchawce był ostry i dziwnie znajomy.

— Weronika?

— Nie. Tu JeriLee.

— JeriLee, nie wiedziałam, że jesteś w domu. Mówi szeryf Roberts. Masz niebieskiego jaguara?

Serce zaczęło mi bić szybciej, starałam się jednak panować nad głosem.

— Tak.

— Zdarzył się wypadek.

— Och, nie!

Nagle pojawili się za mną rodzice. Ojciec wyjął mi słuchawkę z ręki.

— Tu John Randall.

Słuchał przez chwilę, a potem twarz mu pobladła.

— Ubierajmy się — polecił, odkładając słuchawkę.--

Bobby miał wypadek i jest w szpitalu w Jefferson.

ROZDZIAŁ 5

Moj brat nie pojechał do Wietnamu. Samochód wyleciał z szosy na tym samym zakręcie, na którym piętnaście lat wcześniej zginął nasz ojciec. Bobby'emu starczyło życia tylko na to, aby przeprosić matkę.

— Przykro mi, mamó — wyszeptał przez labirynt rurek podłączonych do jego ciała. — Chyba za dużo wypilem. Potem odwrócił się i zasnął. Już się nie obudził.

Matka była jak skamieniała. Po raz drugi przeżywała ten sam koszmar. Nie reagowała na nic, co mówiliśmy albo próbowaliśmy robić. Zadała tylko jedno pytanie, z którym zwróciła się do szeryfa Roberta.

— Czy był sam w samochodzie?

— Tak, Weroniko. Wysadził Annę pod jej domem piętnaście minut wcześniej. Powiedziała mi, że prosiła, aby wstąpił na kawę, ale odparł, że chce odprowadzić wóz, żeby JeriLee się nie niepokoiła.

Matka bez słowa skinęła głową.

— Anna powiedziała też, że mieli zamiar się pobrać, zanim Bobby wyjedzie na obóz szkoleniowy — ciągnął szeryf.

— Wiedziałaś, że jest w ciąży?

Matka wytrzeszczyła oczy.

— Bobby nic nam o tym nie mówił — odrzekł ojciec.

— Ona twierdzi, że zamierzał wam powiedzieć dziś rano.

— Rozmawiałeś z nią? — zapytał ojciec. Szeryf skinął głową.

— Radio Jefferson podało informację o wypadku w wiadomościach o pierwszej. Anna zadzwoniła na posterunek i rozmawiałem z nią. Jest kompletnie załamana.

— Biedna mała — wtrąciłam. — Musi być śmiertelnie przerażona.

Matka skoczyła na mnie ze złością.

— Nie żałuj tej flądry. Ostrzegałam Bobby'ego, że ona zrobi wszystko, aby go złapać.

Nie znam tej dziewczyny — odparłam. — Ale przecież nie można...

Ja ją znam — przerwała mi matka lodowatym tonem.

I niemal się cieszę, że Bobby znalazł się poza jej zasięgiem.

Ścisnęło mi się serce i poczułam, że się duszę. Nagle uświadomiłam sobie coś, na co dotąd nie zwróciłam uwagi.

Nigdy nie widziałam, żeby matka płakała. Nawet teraz. Słowa same wyrwały mi się z ust.

— Czy ty nie umiesz płakać, mamó?

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem zwróciła się do ojca. Jej ton był prawie normalny. Jakbym nic nie powiedziała.

— Musimy się zająć pogrzebem, John...

Nie mogłam tego znieść. Wepchnęłam się między nich dwoje i spojrzałam jej głęboko w oczy. Łzy płynęły mi po policzkach.

— Mamó, Bobby umarł. Twój jedyny syn nie żyje. Nie uronisz nad nim ani jednej łzy?

Głos matki był spokojny i chłodny.

— Nie masz prawa tak mówić, JeriLee. To wszystko twoja wina. Nie powinnaś mu była pożyczać samochodu.

Tego było już dla mnie za wiele. Cała we łzach, odwróciłam się, zbiegłam krótkimi schodami na parter i wyszłam na zewnątrz.

Na wschodzie zaczynało świtać. Poranne powietrze było zimne, ale nie dlatego drżałam. Wyjęłam z torebki papierosa i właśnie miałam go sobie przypalić, gdy duża, stwardniała dłoń podsunęła mi zapaloną zapałkę. Był to szeryf Roberts.

— Przykro mi, JeriLee — odezwał się ze szczerym współczuciem w głosie.

— Wiem.

— Wybacz, że cię niepokoję w takiej chwili, ale pewne pytania wymagają odpowiedzi.

— Rozumiem. Niech pan pyta.

Samochód był zarejestrowany i ubezpieczony na ciebie?

— Tak.

Będziesz musiała powiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe. Polecilem, żeby odholowano wóz do warsztatu Clancy'ego przy Main Street. Popatrzyłam na Roberta.

- Jest do kasacji. Nic się z nim nie da zrobić. Milczałam.
- Wpadnę do was później i wtedy podpiszesz protokół wypadku. Nie musisz przychodzić na posterunek.
- Dziękuję... Szeryfie! — zawołałam, gdy się odwrócił.
- Tak?
- Ta dziewczyna, Anna... Skinął głową.
- Proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła. Może będę jej mogła w czymś pomóc.
- Dobrze, JeriLee — odparł. — Znam ją równie długo jak ciebie. Od dziecka. To porządna, miła dziewczyna.
- Musi być taka, skoro mój brat ją kochał. Roberts ponownie pokiwał głową i popatrzył w niebo.
- Będzie dziś ładnie.
- Tak — przyznałam.

Obserwowałam oddalającą się krepą sylwetkę w jasnoniebieskim uniformie. Ma rację, pomyślałam, podniósłszy wzrok. Zanosilo się na pogodny dzień. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

Pogrzeb odbył się we wtorek. Walter przysłał z Londynu kwiaty, a Guy przyjechał, aby mnie prowadzić za trumną. Kiedy wróciliśmy do domu, matka poszła prosto do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

- Chyba się spakuję — powiedziałam do ojca. — Guy może mnie odwieźć do miasta.
- Jak uważasz — odparł.

Wyglądał na zmęczonego. To wszystko nie było dla niego łatwe. On też kochał Bobby'ego.

- Jeśli chcesz, żebym została, to powiedz.
- Nie. Nic się nam nie stanie. Damy sobie radę.
- Ale czy ty dasz sobie radę? — zapytałam. Uchwycił tę różnicę.
- Na pewno. — wahał się przez chwilę. — Nie bądź zła na matkę. Wiele przeszła.
- Nie jestem zła. Po prostu nie rozumiem.
- Okaż jej życzliwość. Nie odtrącaj jej. Ty jedna jej zostałeś.

— Nie potrafię do niej dotrzeć, tato — odrzekłam. — Wiesz przecież, ile razy próbowałam. W niczym się nie zgadzamy.

— Próbuje dalej. Na tym polega miłość. Podeszłam do ojca i objęłam go ramionami.

— Ty nigdy nie przestaniesz próbować, prawda tato? Musisz ją bardzo kochać.

— Tak. Widzę jej wady, ale nie mają one dla mnie znaczenia, bo dostrzegam także jej zalety. Siłę i odwagę, jakie wykazała, kiedy po śmierci twojego ojca została sama z dwójką dzieci. Czy wiesz, że powiedziała, że nie wyjdzie za mnie, jeżeli ty się nie zgodzisz? Że nigdy nie zrobi nic, co by cię unieszczęśliwiło?

— Nie wiedziałam o tym.

— Twoja ciotka i wuj chcieli zabrać was obydwójce do siebie, żeby mogła sobie na nowo ułożyć życie. Nie zgodziła się. Powiedziała im, że jesteście jej dziećmi, odpowiada za was i będzie się wami opiekować. Mój stosunek do was był pierwszą rzeczą, o którą zapytała, kiedy się jej oświadczyłem.

Pocałowałam go w policzek. Był cudowny. I naiwny. Ale kochał ją. Sam to przyznał. Jak więc mogłam od niego oczekiwać, aby zrozumiał, że mówiła i robiła te wszystkie piękne rzeczy nie z miłości, lecz dlatego, że jej zdaniem tak wypadało? Ucałowałam go ponownie.

— Postaram się pamiętać o tym, co powiedziałaś, tato. Zadzwoił telefon. Ojciec odebrał i po chwili oddał mi słuchawkę.

— Do ciebie. Podeszłam do aparatu.

— Zrób Guyowi drinka, tato. Mam przeczucie, że umiera z pragnienia.

— Nie trzeba — zaprotestował pospiesznie Guy. Ojciec ujął go za ramię i wyprowadził do salonu.

— Chyba mnie też przydałaby się whisky — stwierdził.

— Słucham — powiedziałam do telefonu.

Głos w słuchawce był łagodny, młody i zmęczony.

— Pani Thornton?

— Tak.

— Anna Laren. Szeryf Roberts przekazał mi wiadomość od pani. Dzwonię, żeby pani podziękować.

— Mówiłam poważnie. Jeżeli mogę coś dla ciebie zrobić...

— Nie — przerwała mi. — Nic. — Wahała się przez chwilę. — Wszystko dobrze wypadło? Czy moje kwiaty dotarły na miejsce?

— Tak. Były śliczne.

Pamiętałam je. Wiązanka z żółtych róż, jedynie z małym bilecikiem z jej imieniem.

— Chciałam przyjść, ale lekarz nie pozwolił mi wstać z łóżka.

— Dobrze się czujesz?

— Teraz już tak. — Znow moment wahania. — Straciłam dziecko.

— Przykro mi.

— Może tak jest lepiej — ciągnęła. — W każdym razie wszyscy tak mówią.

— Chyba tak — przyznałam. Zaczęła cichutko płakać.

— Ale ja pragnęłam tego dziecka. Naprawdę kochałam Bobby'ego.

— Wiem.

Uspokoila się. Wyczułam w jej głosie opanowanie.

— Przepraszam. Już i tak pani ciężko, a ja jeszcze to pogarszam. Chciałam tylko pani podziękować.

— Anno — odparłam — kiedy poczujesz się lepiej, zadzwoń do mnie i przyjedź do miasta. Zjemy razem lunch. Bardzo chciałabym cię poznać.

— Z przyjemnością — odrzekła. — Zadzwoń. Kiedy odkładałam słuchawkę, matka stała u stóp schodów.

— Z kim rozmawiałaś? — zapytała.

— Z Anną. Lekko zacisnęła usta.

— Podziękowałaś jej za kwiaty?

— Myślałam, że ty to zrobisz.

— Jeżeli go kochała tak bardzo, jak twierdzi, dlaczego nie przyszła na pogrzeb?

— Czemu jej nie zaprosiłaś? Nasze oczy spotkały się.

— Dzwoniłam do niej. Nie chciała ze mną rozmawiać. Pewnie za bardzo wstydzi się tego, co zrobiła.

— Nie to było powodem, mamó.

— Więc co?

— Prawdopodobnie zbyt źle się czuła. Straciła dziecko. Matka nagle pobladła i zachwiała się. Wyciągnęłam rękę, aby ją podtrzymać.

— Przykro mi, JeriLee. Naprawdę mi przykro.

Nie odezwałam się. Widziałam, jak powoli wracają jej rumieńce. Moja matka była silną kobietą.

— Teraz już naprawdę odszedł — stwierdziła. Patrzyłyśmy na siebie długą chwilę, a potem matka zrobiła niepewny krok w moją stronę. Otworzyłam ramiona. Wpadła w nie jak dziecko. I w końcu popłynęły łzy.

ROZDZIAŁ 6

- Była środa, dzień popołudniowych przedstawień, i restaurację Sardiego wypełniał tłum kobiet z przedmieścia.

Również w barze panował ścisk, ale siedzieli tam przeważnie stali bywalcy. Skinęłam głową kilku z nich. Podeszedł do mnie szef sali.

~ Witam panią. — Ukłonił się. — Miło panią znowu widzieć. Pan Fannon oczekuje pani.

Poszłam za nim do stałego stolika Fannona, usytuowanego w najważniejszym punkcie lokalu, przy ścianie oddzielającej salę restauracyjną od Małego Baru. Każdy, kto wchodził lub wychodził, widział siedzące przy nim osoby i był przez nie widziany. Słyszałam, że Fannon od piętnastu lat nie opuścił tu ani jednego lunchu. Chyba że leżał w szpitalu, ale i wówczas przynoszono mu posiłki z restauracji.

Siedział na wyściełanej ławie pod ścianą. Usiłował się podnieść, kiedy podeszłam, ale wystający brzuch, napierając na

stolik, zmusił go do pozostania w skulonej pozycji dopóki nie usiadłam. Z westchnieniem ulgi opadł na ławę i pocałował mnie w policzek.

— Pięknie wyglądasz, moja droga — odezwał się swoim schrypniętym głosem.

— Dziękuję panu.

— Adolfie, kochanie — poprawił mnie. — Mów mi po imieniu. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi.

Kiwnęłam głową. Zналиśmy się prawie dwa lata. Na Broadwayu było to długo.

— Dziękuję, Adolfie.

— Koktajl z szampanem dla pani Thornton.

Kelner odszedł, a Fannon odwrócił się do mnie rozpromieniony.

— Dla ciebie tylko to, co najlepsze.

Lubiłam szampana, ale koktajle przyprawiły mnie o mdłości. Uśmiechnęłam się jednak.

— Dziękuję, Adolfie.

— Spróbuj — ponaglił mnie, gdy kelner przyniósł koktajl. Podniosłam szklanekę do ust.

— Zaczekaj, musimy wznieść toast.

Wziął swoją, której zawartość miała wyglądać na czystą z lodem. Wszyscy wiedzieli jednak, że jest to tylko woda.

Wrzody odebrały mu licencję na alkohol.

— Za twoją sztukę — powiedział.

Skinęłam głową i pociągnęłam łyżek. Zemdliło mnie od słodyczy, ale udało mi się uśmiechnąć.

— Bardzo dobre — stwierdziłam. Twarz Fannona przybrała poważny wyraz.

— Mam ci coś bardzo istotnego do zakomunikowania — oznajmił, kładąc mi rękę na kolanie.

— Słucham, Adolfie — odparłam, utkwivszy w nim wzrok.

— Postanowiłem wystawić twoją sztukę. Jego dłoń była już na moim udzie.

— W sierpniu zaczynamy próby. Chciałbym przywieźć ją do Nowego Jorku w październiku.

Natychmiast zapomniałam o tym, gdzie trzyma rękę.

— Mówisz poważnie?

Po poprawkach ogromnie mi się podoba. Już posłałem egzemplarz Anne Bancroft.

— Myślisz, że zechce zagrać?

Powinna. Nigdy nie znajdzie lepszej roli. Poza tym zawsze chciała robić sztukę z Guyem.

— On będzie reżyserował?

— Tak. Dziś rano dzwoniłem do niego do Kalifornii i zgodził się.

Dłoń Fannona pokonała resztę drogi w górę.

— Adolfie, nigdy nie znałam nikogo, kto działałby tak szybko — zauważyłam dwuznacznie.

Odchrząknął.

Kiedy coś mi się podoba, to mi się podoba. Nie lubię tracić czasu.

Ja też nie — odparłam, patrząc mu w oczy. — Ale jestem już cała mokra i jeżeli nie zabierzesz ręki, zaraz dojdę.

Zarumienił się i położył dłoń na stole.

— Przepraszam. Zapomniałem się w zapale.

Nic się nie stało. Po prostu łatwo się podniecam. Poza tym nigdy nie znałam takiego mężczyzny jak ty.

Nie? — zapytał z niedowierzaniem w głosie.

— Jesteś kimś wyjątkowym. W biznesie pełnym mięczaków ty jeden masz charakter.

— Potrafię podejmować decyzje — odrzekł z zadowoloną miną. — Jak już mówiłem, wiem, czego chcę.

— Właśnie to w tobie podziwiam.

— Będziemy się często widywać. Nie należę do tych producentów, którzy zostawiają wszystko reżyserowi. Bardzo się angażuję w swoje sztuki.

— Wiem. Dlatego cieszę się, że będziesz robił moją. Trzeba jeszcze popracować nad tekstem. Musimy zacząć jak najszybciej. Chciałbym ci przedstawić moje pomysły, zanim Guy wróci z Zachodniego Wybrzeża.

— Daj mi znać kiedy. Jestem do twojej dyspozycji. Dobrze — odparł, wyraźnie zachwycony przebiegiem sprawy.

Z rozmysłem powiedziałam mu wszystko to, co chciał usłyszeć. Jego dłoń znów znalazła się na moim kolanie.

— Moje biuro sporządzi umowę. Sądzę, że dziesięć tysięcy

dolarów zaliczki to uczciwa suma. Innym daję za pierwszą sztukę dwa razy mniej.

Wierzyłam mu. Guy i mój agent uprzedzali mnie, żebym nie liczyła na więcej niż trzy i pół tysiąca.

— To bardzo dużo. Dziękuję ci, Adolfie.

— Zaslugujesz na to — odparł z uśmiechem. — Poza tym z tego, co słyszałem, wynika, że przydadzą ci się te pieniądze. Jeśli dobrze rozumiem, Walter nie płaci ci alimentów.

— Nie chciałam żadnych — wyjaśniłam pośpiesznie.

— Większość dziewczyn w tym biznesie nie ma takich skrupułów.

— To ich sprawa. Ja mogę pracować. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

Ręka Fannona na nowo podjęła wędrówkę.

— Właśnie to w tobie szanuję.

— Robię się głodna — powiedziałam, aby odwrócić jego uwagę. — Nie jadłam śniadania.

— Więc zamówmy coś.

Zanim jednak zdążył zawołać kelnera, do restauracji wszedł Earl Wilson z nowojorskiego *Postu*. Zauważył nas i na jego okrągłą twarz wypłynął uśmiech.

— Adolf, JeriLee, co wy tu we dwójkę kombinujecie?

— Mam dla ciebie sensację, Earl. Wystawiam nową sztukę JeriLee.

— Jaką rolę grasz tym razem, JeriLee?

— Ona w niej nie występuje, Earl — wyjaśnił Fannon. — Ona ją napisała.

Earl gwizdnął entuzjastycznie.

— To rzeczywiście bomba. — Uśmiechnął się do mnie. — Pomagał ci twój eks?

— Walter nie miał z tym nic wspólnego — wtrącił pośpiesznie Fannon. — JeriLee była pisarką, zanim jeszcze została aktorką. Wstąpiła na scenę tylko dlatego, że Walter chciał, aby zagrała w jego sztuce.

— Kogo chcesz obsadzić w głównej roli? — zapytał dziennikarz.

— Anne Bancroft. Earl popatrzył na mnie.

— I co ty na to?

— Jestem bardzo przejęta — odparłam i, jakby na poparcie tych słów, niemal wyskoczyłam z siedzenia. Ręka Fannona znów znalazła się na mojej cipie.

Następnego dnia ta historia była w *New York Post* wiadomością numer jeden.

Adolf Fannon, znany broadwayowski producent, wyjawiał nam wczoraj u Sardiego, że w nadchodzącym sezonie zamierza wystawić na Broadwayu sztukę byłej żony Waltera Thorntona. Powiedział również, że w głównej roli chce obsadzić Anne Bancroft. Właśnie tak. Była żona Waltera Thorntona. Chociaż od rozvodu minęły już dwa miesiące, nawet nie wymieniono mojego imienia.

Odłożyłam gazetę na stół kuchenny i weszłam do salonu dokładnie w chwili, gdy zabrzączał telefon. To Guy oddzwaniał do mnie z Kalifornii.

— Gratulacje — powiedział.

Chciałam ci podziękować. Gdyby nie cała twoja praca nad sztuką, Fannon nigdy by jej nie kupił.

— Ja tylko podsunąłem ci kilka pomysłów. To ty ją napisałaś.

— Cieszę się, że będziesz reżyserował.

— Ja także.

— Fannon posłał egzemplarz Anne Bancroft.

— Tak ci powiedział?

W głosie Guya dźwięczała nuta niedowierzania.

— Powiedział o tym nawet Earlowi Wilsonowi, który podał tę informację w dzisiejszej gazecie.

Guy roześmiał się.

— Nie wierz w to. Stawiam dziesięć do jednego, że ona go nie dostała.

— Więc dlaczego miałby mówić coś takiego?

— To blef. Fannon jest sprytny. Zakłada, że Bancroft dowie się o tym i będzie na tyle ciekawa, że poleci swojemu agentowi, aby zdobył dla niej egzemplarz. W ten sposób to ona prosi jego, a nie on ją.

— Chryste — jęknęłam.

— Widziałaś umowę?

— Dziś rano dzwonił mój agent. Już ją ma. A propos, dostaję dziesięć tysięcy zaliczki.

— To świetnie. Jak są rozłożone wypłaty?

— Nie wiem. Dlaczego?

— Fannon nigdy nie płaci więcej niż trzy i pół tysiąca, dopóki sztuka nie wejdzie na Broadway. Prawdopodobnie da ci tysiąc po podpisaniu kontraktu, tysiąc, gdy zaczniemy próby, półtora, kiedy ruszymy w trasę, a resztę gdy, jeśli w ogóle, zaczniemy grać w Nowym Jorku. Nie wydaj tych pieniędzy, zanim je zarobisz.

— Nie rozumiem — odparłam. — Mówił o dziesięciu tysiącach zaliczki.

— Wszystko, co się dostaje przed premierą sztuki na Broadwayu, jest uważane za zaliczkę — wyjaśnił Guy. Zapytaj agenta.

— Dobrze — zapewniłam. — Kiedy wracasz?

— Powinienem się stąd zwinąć za jakiś miesiąc.

— Pośpiesz się, proszę. Brakuje mi ciebie.

Kiedy się rozłączył, zadzwoniłam do agenta. Rozkład wypłat był dokładnie taki, jak powiedział Guy. Najwyraźniej musiałam się jeszcze dużo nauczyć.

Usiadłam przy kuchennym stole i wyjęłam książeczkę czekową. Nawet z trzema tysiącami, które firma ubezpieczeniowa dała mi za samochód, miałam tylko około czterech tysięcy dolarów. Urządzenie mieszkania pochłonęło o wiele więcej pieniędzy niż się spodziewałam.

Dokonałam szybkich obliczeń. Mieszkanie kosztowało mnie około tysiąca stu dolarów miesięcznie, wliczając w to rachunki za gaz, elektryczność i telefon oraz pensję przychodzącej dwa razy w tygodniu sprzątaczkii. Na jedzenie, ubrania i taksówki wydawałam jeszcze co najmniej czterysta. Mając przed sobą pięć miesięcy do premiery nowojorskiej, spłuczę się prawie do czysta. A jeśli przedstawienie nie wejdzie na Broadway, zostanę bez grosza. Nie było się co oszukiwać. Nie mogłam siedzieć i czekać na premierę sztuki. Aby przeżyć lato, potrzebowałam jakiejś pracy. I to od zaraz.

ROZDZIAŁ 7

Na umówione spotkanie w biurze George'a Foxa przyszedłam punktualnie o dziesiątej i wprowadzono mnie do jego gabinetu prawie natychmiast. George pełnił funkcję starszego wiceprezesa Artists Alliance Inc., a Walter był jego osobistym klientem.

Był niskim, wytwornym mężczyzną o siwych włosach i swobodnym uśmiechu. Wyszedł zza biurka i pocałował mnie w policzek.

— Gratuluję — powiedział. — Fannon rozplywa się nad twoją sztuką.

Dziękuję — odparłam, siadając naprzeciw niego. — Jestem jednak rozczarowana rozłożeniem zaliczki. Miałam nadzieję, że dostanę wszystko z góry.

— Tego się nie praktykuje — odrzekł pospiesznie. — Wierz mi, osobiście przejrzałem twój kontrakt. Jak na pierwszą sztukę to bardzo korzystna umowa. A co ważniejsze, masz najlepszego producenta w mieście.

Wiem o tym. Ale mam też kłopoty finansowe. Jeśli chcę dotrzeć do premiery, muszę znaleźć jakąś pracę.

— Mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy — zaproponował szybko.

— Nie trzeba. Daję sobie radę. Potrzebuję tylko pracy.

— Masz coś konkretnego na myśli?

Raczej nie. Zastanawiałam się, czy nie znalazłaby się dla mnie jakaś rola w letnim repertuarze. Mina George'a wyrażała powątpiewanie.

— Nie sądzę. Wszystkie przedstawienia mają już pełną obsadę. Zaczyna się ją kompletować w styczniu.

Więc może coś związanego z pisaniem? — podsunęłam, wiedząc, że kręci się teraz program telewizyjny na jesień.

— Na to też trochę za późno — odparł. — Oni także są zwykle gotowi już w styczniu.

— Może mogłabym zagrać w którymś z pilotów. Mam

przecież doświadczenie sceniczne. W *Variety* z zeszłego tygodnia czytałam, że telewizja szuka nowych twarzy. — Zawsze tak mówią, ale gdy tylko to możliwe, biorą ludzi sprawdzonych. Wolą iść na pewniaka. Poza tym wszystkie seriale kręci się na Zachodnim Wybrzeżu i nie zwróca ci za bilet, nawet jeśli cię zaangażują. W dodatku płacą grosze.

— Gdybym miała szansę na jakąś rolę, sama opłaciłabym podróż.

— Czy ja wiem. Naprawdę nie jestem na bieżąco. — Zastanawiał się przez chwilę. — Poznam cię z pewnym młodym człowiekiem z naszego biura, który zajmuje się tymi sprawami. Jestem przekonany, że znajdzie coś dla ciebie. — Podniósł słuchawkę telefonu. — Poproś tu Harry'ego Gregga.

Po kilku minutach Harry Gregg wszedł do gabinetu. Był to wysoki i szczupły mężczyzna z potarganymi włosami.

Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat, a zachowywał się z typową dla agentów rezerwą.

— Harry, pozwól, że cię przedstawię największemu nowemu talentowi agencji, jak również mojej bliskiej znajomej, JeriLee Thornton... hmm Randall. JeriLee, to Gregg, jeden z naszych naj bystrzej szych, szybko pnących się do góry młodych ludzi z przyszłością.

Harry uśmiechnął się i uściśnił sobie dłonie.

— Chcę, żebyś zrobił dla JeriLee wszystko, co się da — ciągnął George. — Osobiście za to odpowiadasz. Mamy już umowę z Fannonem na wystawienie sztuki, którą napisała, ale zbadaj inne rejony, w których moglibyśmy być jej pomocni.

Zanim się zorientowałam, wyszłam z gabinetu George'a i siedziałam w maleńkim pokoiku Harry'ego.

— Chcesz kawy? — zapytał, przesuwając stertę papierów na jedną stronę biurka.

Skinęłam głową.

— Dwie kawy — powiedział do telefonu. — Jaką pijesz?

— Czarną. Bez cukru.

Po chwili weszła sekretarka, niosąc dwa plastikowe kubeczki. Bardzo różniło się to od sposobu podawania w gabinecie George'a, gdzie używano srebrnego dzbanuszka do śmietanki i autentycznych filiżanek Wedgewooda.

— Czy to George załatwił ci kontrakt z Fannonem? — zapytał Harry.

— Nie. Sama nad tym pracowałam, ale przede wszystkim to zasługa Guya Jacksona. Bez niego umowa nie doszłaby do skutku.

— Tak sądziłem.

— Co masz na myśli?

— George nie prowadzi pertraktacji. Przychodzi na gotowe. — Upił łyk kawy. — Czy Guy będzie reżyserował?

— Tak.

— To dobrze. Lubię go — stwierdził. — Jesteś w dobrych stosunkach ze swoim eks?
Zobaczywszy mój wyraz twarzy dodał:

— Nie chcę się wtrącać w twoje prywatne sprawy, ale muszę wiedzieć, na czym stoimy. To ważne.

— Dlaczego?

— Walter jest jednym z naszych najpoważniejszych klientów. Jeśli on ma coś do ciebie, agencja cię wykiwa, choćby nie wiem jaki kit ci wciskali.

Nagle poczułam sympatię do tego człowieka. Przynajmniej był szczery.

— Jesteśmy w dobrych stosunkach — odrzekłam.

— Czy George o tym wie?

— Nie mam pojęcia.

— Dobrze by było, gdyby wiedział. Ułatwiłoby mi to pracę. W tej chwili on się prawdopodobnie nie orientuje w waszych układach.

Czy dlatego odesłał mnie do ciebie?

Nie powołuj się na moje słowa, ale... tak.

— Rozumiem. — Podniosłam się. — Czy w takim razie nasza rozmowa ma jakiś sens?

Siadaj, siadaj — powiedział szybko. — Po co się tak spieszysz? Masz już u nas sztukę, więc równie dobrze możemy ciągnąć to dalej. A nuż dopisze nam szczęście.

Wróciłam na krzesło i wypiliśmy łyk kawy. Nigdy nie znosiłam jej smaku w plastikowych kubkach.

— Czego szukasz? — zapytał.

— Pracy — odparłam. — Jakiegokolwiek. Granie. Pisanie.

— Dlaczego?

— Muszę się sama utrzymywać.

Milczał przez chwilę. Nie wiedziałam, czy mi wierzy.

— Dobrze — odezwał się rzeczowym tonem. — Od czegoś trzeba zacząć. Masz jakieś zdjęcia?

— Jakies. — Wyjęłam z aktówki brązową kopertę. — Ale niezbyt dobre. Zrobiono je, kiedy grałam w tamtej sztuce, cztery lub pięć lat temu.

Harry przerzucił fotografie.

— Będą nam potrzebne nowe. Wyglądałaś wtedy jak dziecko.

— Taką miałam rolę.

— Potrzebuję zdjęć całej sylwetki. Musi być widać twarz, piersi, nogi. Masz fotografa?

— Nie, ale znam paru.

— Myślisz, że któryś z nich by ci to załatwił?

— Nie wiem. Mogę zapytać.

— Jeśli nie, znam bardzo dobrego faceta, który zrobiłby dokładnie to, o co nam chodzi, za dwie stówy. A gdybyś się zgodziła na rozkładówkę, nic by cię to nie kosztowało i jeszcze zarobiłabyś parę dolarów.

— Jaką rozkładówkę?

— No wiesz. Jak w *Playboyu*. Dostałabyś półtora tysiąca.

— Musiałabym się zastanowić — odparłam. — Czy coś takiego nie spieszyłoby mi kariery?

— Wiem tyle samo co i ty. Poglądy się zmieniają. Wytwórnice nie są już takie pruderyjne jak kiedyś.

— Czy on zrobi mi serię zdjęć za dwieście, nawet jeżeli nie pójdę na ten interes z rozkładówką?

— Tak.

— Więc weźmy go. Stać mnie.

— Dobrze. Załatwię to. A teraz, czy masz egzemplarz sztuki, żebym mógł ją przeczytać?

Wyjęłam maszynopis i podałam mu go.

— Jest tu rola dla ciebie? — zapytał.

— Rola główna. Fannon chce jednak Anne Bancroft.

— Przejrzę to sobie. Da mi to jakieś pojęcie o tym, jak piszesz.

— Powiedziałam George'owi, że mogę jechać na Zachodnie

Wybrzeże, jeśli nagrasz mi parę gościnnych występów w pilotach seriali.

W tym momencie zadzwonił telefon.

— Przełącz go — polecił po chwili Harry. — Cześć, Tony. — Milczał przez mniej więcej dwie minuty, po czym zapytał: — Ile lat powinna według ciebie mieć ta dziewczyna?

Na końcu linii zatrzeszczał czyjś głos.

— Chyba mamy fart, Tony — odparł Harry. — Właśnie poderwałem nową klientkę. Pamiętasz JeriLee Randall? Była żona Waltera Thorntona. Występowała przez rok na Broadwayu w jego sztuce i jest w odpowiednim wieku. Dwadzieścia trzy lata, zgadza się. Wygląda rewelacyjnie. Jest tylko jeden problem. Nie wiem, czy będzie chciała zagrać taką rolę. To prawdziwa dama.

Słuchał jeszcze przez chwilę, a potem przerwał swojemu rozmówcy.

— Prześlij mi scenariusz, Tony. Porozmawiam z nią i zobaczę, co się da zrobić.

— Nie, Tony — podjął po chwili. — Powiedziałem ci, że to prawdziwa dama. Ona nie umawia się z producentami na drinka. To nie w jej stylu. — Zawahał się i obrzucił mnie wzrokiem. — Jak wygląda? — powtórzył. — Rewelacyjnie. Nie uwierzyłbyś, jaką ma figurę. Pierwsza klasa. Połączenie Avy Gardner z Grace Kelly. To ten rodzaj dziewczyny, że kiedy wchodzi do twojego biura, masz się ochotę pochylić i z czystego szacunku ucałować jej cipkę. Więc prześlij mi scenariusz, a ja natychmiast się tym zajmę.

Odłożył słuchawkę.

Przepraszam, ale musiałem z nim w ten sposób rozmawiać — wytłumaczył się. — To jedyny język, jaki ten skurwysyn rozumie. Myśli, że może przelecieć każdą aktorkę, która pojawia się w jego biurze.

— Kto to taki?

— Tony Styles. Ma nieobsadzoną rolę w filmie, który w przyszłym tygodniu zaczyna kręcić w Nowym Jorku. Dziewczyna, na którą liczył, dostała pracę na Zachodnim Wybrzeżu.

Słyszałam o nim. Chyba go kiedyś nawet spotkałam na jakimś przyjęciu w Hollywood, gdzie byłam z Walterem.

Ordynarny kurdupel z niewyparzoną gębą. Ale on i jego brat kręcili filmy, które robiły kasę. Bracia Styles.

— Co to za rola?

— Robota na dwa tygodnie. Luksusowa cali girl biega po ekranie na przemian zdejmując i zakładając ciuchy. Tony twierdzi, że dialogi są dobre. Będę wiedział więcej, kiedy zobaczę scenariusz. On ma nóż na gardle i może się zgodzić nawet na dwa i pół tysiąca.

— Będę mogła przeczytać po tobie? — zapytałam.

— Jasne. — Spojrzał na zegarek. — Mój Boże, pora na lunch. Jesteś umówiona?

— Jestem wolna.

— Dobrze. Postawię ci coś do jedzenia i jeszcze porozmawiamy.

Lunch też był inny. Zjedliśmy kanapki w pokoju Harry ego.

ROZDZIAŁ 8

Patrząc na nich trudno było uwierzyć, że są bliźniakami. Tony Styles miał pięć stóp i cztery cale wzrostu, był krepy i pospolity, natomiast jego brat John mierzył ponad sześć stóp i wyglądał elegancko i skromnie. Najlepiej podsumował to chyba sam Tony: „John robi w rodzinie za artystę. On ma wszystko — gust, maniery i klasę. A ja jestem naganiaczem. Ale pasujemy do siebie. Ja kręcę forszę, a John filmy.”

Usiadłam na kanapie w jego biurze, a Harry obok mnie. Tony siedział naprzeciwko nas za biurkiem. John stał oparty o ścianę. Nie powiedział dotąd ani słowa, ale obserwował mnie uważnie.

— Co myślicie o scenariuszu? — zapytał Tony.

— JeriLee była zachwycona — odparł szybko Harry. John odezwał się po raz pierwszy.

— Doprawdy?

Nie podobał mi jego ton. Zabrzmiało to tak, jakby wątpił,

że scenariusz mógł przypaść do gustu komukolwiek, kto ma dobry smak. Niestety, miał rację. Napotkałam jego wzrok.

— Niezupełnie. Harry milczał.

— Co naprawdę o nim sądzisz? — zapytał John. Pocieszyłam się myślą, że i tak nie dostałabym tej pracy.

To kupa gówna, które się pewnie dobrze sprzedaje, ale niemniej jest gównem.

Tony spojrział na brata z triumfalnym uśmiechem.

— Widzisz? Mówiłem ci, że się jej spodoba. Wybuchnęłam śmiechem. Musiał zupełnie zwariować.

Zauważyłam, że Johnowi śmieją się oczy. Tony zwrócił się do mnie.

— Myślisz, że potrafiłabyś zagrać tę rolę?

Skinęłam głową. Mogłaby to zrobić każda dziewczyna z dobrym ciałem.

— Możemy dopisać trochę dialogów. Rozumiesz, żebyś miała coś do grania, zrobiła z tego coś ciekawego.

— To miło z waszej strony.

— Mogłabyś wstać? Podniosłam się.

— Zdejmij buty.

Miały niskie obcasy, ale zrzuciłam je. Tony zwrócił się do brata.

— Jak myślisz, nie za wysoka? John potrząsnął głową.

— Te cycki są prawdziwe? — ciągnął Tony. — Nie nosisz sztucznego biustu?

— Nie noszę stanika.

Tony bez uśmiechu spojrział mi w oczy.

— Rozumiesz, że musiałem o to zapytać.

— Rozumiem.

Mój podstawowy kostium do tego filmu składał się z biustonosza i majtek.

— Masz przy sobie bikini? Skinęłam głową.

— Możesz się przebrać tam — powiedział, pokazując nieduże drzwi na drugim końcu biura.

Była to maleńka ubikacja. Przebrałam się szybko i wróciłam

do gabinetu. Przeszłam przed biurkiem Tony'ego. Przyglądał mi się. Powoli zrobiłam obrót i znieruchomiałam.
— W porządku — stwierdził. — Jeszcze jedno. Kręcimy kilka scen oddzielnie, do wersji zagranicznej. Oni nie są tacy zacofani jak my, Amerykanie. Miałabyś coś przeciwko odrobinie nagości?

Patrzyłam na niego w milczeniu.

— Nic wulgarnego — dodał szybko. — Dyskretnie. W dobrym guście. Ale sexy. No wiesz, jak Bardot i Lollobrigida. Z klasą.

Harry zerwał się na równe nogi.

— To wykluczone — powiedział i zwrócił się do mnie: — Ubieraj się, JeriLee. Wychodzimy.

Poszłam do toalety. Przez zamknięte drzwi słyszałam protesty Tony'ego. Zanim wróciłam do pokoju, wszystko się uspokoiło.

— Już dobrze — oznajmił Harry. — Nie musisz kręcić rozbieranych scen.

— Zmieniłam zdanie — odparłam. — W ogóle nie chcę kręcić tego filmu.

Harry gapił się na mnie z otwartymi ustami. Spojrzałam na Tony'ego.

— Miło mi było was poznać. Powodzenia. Wzięłam torebkę i wyszłam.

Harry dogonił mnie przy windzie.

— Nic nie kapuję — westchnął ze zdumieniem. — Ja ci załatwiam kontrakt za trzy i pół tysiąca, a ty sobie wychodzisz.

— Nie jestem sztuką mięsa — odrzekłam. — Jeśli tego szuka, niech idzie do najbliższego rzeźnika.

Otworzyły się drzwi i weszliśmy do windy.

— W porządku. Co teraz zrobimy?

— Ty mi powiedz — odparłam. — To ty jesteś agentem.

— Spróbuję coś wymyślić.

Wróciwszy do domu zastałam wiadomość w automatycznej sekretarce. Zadzwoń do Johna Stylesa. Po chwili wahania wykręciłam numer. Odebrał telefon osobiście.

— Mówi JeriLee Randall — zaczęłam. — Prosił pan, żebym zadzwoniła.

Jego głos był cichy.

— Przykro mi, że mój brat panią zdenerwował. Chciałbym, aby zagrała pani tę rolę. Proszę się jeszcze zastanowić.

— Po co? Zna pan moje zdanie o scenariuszu.

— To tylko scenariusz. Film leży w gestii reżysera. Scenariusz można zmienić, a reżyserem jestem ja.

— Chce pan powiedzieć, że dla mnie wprowadzi pan poprawki? — zapytałam z niedowierzaniem.

— Nie, nie dla pani — odrzekł łagodnym głosem. — Dla siebie.

— Przecież moja rola nie jest aż tak ważna.

— Owszem. Może to jednak wyjść na dobre całemu filmowi. A pani jest jedyną osobą, która potrafiłaby tego dokonać.

— Czy mam czas do namysłu?

— Niewiele. Musimy dostać odpowiedź do jutra rana. W poniedziałek zaczynamy zdjęcia.

— Dam panu znać.

— Dziękuję pani.

— Dziękuję panu.

Rozłączywszy się, wykręciłam bezpośredni numer Harry'ego.

— Właśnie dzwonił do mnie John Styles — oznajmiłam. ;— Wiem. Zadzwonił najpierw do mnie. Pozwoliłem się namówić na danie mu twojego telefonu.

— Dlaczego?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze — teraz to już pięć patyków za dwa tygodnie pracy. Po drugie — John twierdzi, że będziesz odpowiednio traktowana i ja mu wierzę. Ma dobrą opinię.

— Więc co robimy?

— Bierzemy tę robotę.

— Zgoda — odparłam. I wzięliśmy ją.

John Styles nadał szczególny charakter tej zapowiadającej się stereotypowo roli. Nieoczekiwanie prostytutka przeobraziła się w przestraszoną i zdesperowaną dziewczynę, która próbuje przetrwać, wykorzystując jedyne zdolności, jakie posiada. Nadal była to jednak mała rólka, więc nie miałam wiele do roboty i dużo czasu spędzałam kręcąc się po planie.

John był dobry. Z charakterystycznym dla siebie spokojem panował nad sytuacją i sprawiał, że wszystko się kręciło. Nie było zamieszania, paniki, napięcia. Po prostu, ujęcie za ujęciem, robił film.

Kiedy skończyłam swoją ostatnią scenę, podszedł do mnie.

— Byłaś bardzo dobra, JeriLee. Dziękuję.

— Wyłącznie dzięki tobie — odparłam. — To ja dziękuję. Uśmiechnął się.

— Idealnie nadawałaś się do tej roli. Nie mogłem pozwolić, żeby mój brat cię odstraszył.

— Cieszę się, że do tego nie doszło.

— Może poszlibyśmy wieczorem na kolację? — zaproponował. — Jutro nie ma zdjęć.

— Dobrze — odrzekłam zaskoczona. Dotąd nie zdradzał żadnych objawów zainteresowania moją osobą.

— Przyjadę po ciebie koło ósmej.

— Świetnie.

— Twenty One, zgoda? — zapytał, gdy wsiadałam do taksówki.

— Znakomicie.

Nie byłam tam na kolacji od czasu rozvodu. W drzwiach przywitał nas Chuck.

— Dobry wieczór panu — zaczął. Potem zobaczył mnie i szeroko otworzył oczy. — Witam panią. — Skinął na starszego kelnera. — Mamy stolik dla pana Stylesa w głównej sali na piętrze.

— Przecież zrobiłem rezerwację w barze — zaprotestował John.

Chuck zarumienił się z zakłopotania.

— Tam jest trochę tłoczno — wyjaśnił pospiesznie. — Będzie państwu wygodniej na górze.

— W porządku, Chuck — wtrąciłam się. — O co chodzi?

— Pani eks tam siedzi, proszę pani. A jedyny wolny stolik jest dokładnie naprzeciwko niego.

John spojrział na mnie.

— Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie też nie — powiedziałam.

W barze panował ścisk. Poszliśmy za kelnerem do naszego stolika. Walter był w towarzystwie George'a Foxa. Nie zauważył nas, dopóki nie usiedliśmy. Wówczas wstał i podszedł do mnie.

Podstawiłam mu policzek do ucałowania, a potem przedstawiłam go Johnowi. Uścisnęli sobie ręce, wykazując charakterystyczne dla ludzi pracujących w show businessie opanowanie. Mnie jednak drżały nogi.

Walter uśmiechnął się.

— George opowiedział mi, jak świetnie sobie radzisz. Cieszę się.

— Mam szczęście.

— Masz talent. Zawsze to mówiłem. — Popatrzył na Johna. — Jak tam film?

— Dobrze. Zwijamy się stąd i w czasie weekendu przenosimy się na Zachodnie Wybrzeże.

— Ty też jedziesz, JeriLee?

— Nie. Ja skończyłam dzisiaj.

Więc może poszlibyśmy na lunch któregoś dnia w przyszłym tygodniu?

— Z przyjemnością.

— Zadzwoń do ciebie. — Znów się uśmiechnął. — Miłego wieczoru.

Przyglądając mu się, gdy wracał do swojego stolika, pomyślałam, że wygląda na zmęczonego. Z drugiej strony jednak on zawsze był zmęczony. Tak jakby nie potrafił inaczej.

— Dlaczego nie? — głos Johna przerwał moje rozmyślenia.

— Co dlaczego?

— Dlaczego nie pojedziesz z nami na Wybrzeże?

— To absurd. Po jakie licha?

— Żeby się stąd wyrwać. Moim zdaniem dobrze by ci zrobiła zmiana otoczenia.

— Być może. Ale nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę tu zostać i poszukać nowego zajęcia.

— Tam też jest praca.

— Mój agent uważa, że mam większe szanse tutaj. Nie chce, żebym wyjeżdżała, chyba że dostanę rolę w filmie.

— Agenci lubią krótko trzymać swoich klientów.

— To żaden argument.
— Dobrze. Więc co powiesz na to, że chcę, abyś pojechała? Patrzyłam na niego w milczeniu.
— Bez zobowiązań — dodał szybko. — Nie jestem taki jak mój brat.
Potrzęsnęłam głową.
— Jeszcze nie teraz.
Nagle zaschło mi w gardle. Wypiłam łyk wody.
— Może później. Kiedy będę pewna, że potrafię dać sobie radę.
— Z czym?
— Ze sobą.
— Według mnie robisz to doskonale.
— Nie jestem pewna.
— Chuck jest mądrzejszy niż my — zauważył John. — Byłoby lepiej, gdybyśmy poszli na górę.
Poczułam, że łzy cisną mi się do oczu, ale zdobyłam się na uśmiech.
— Wiesz co? Masz całkowitą rację.
Obydwoje roześmieliśmy się i potem nie było wcale tak źle.

ROZDZIAŁ 9

Było koło pierwszej w nocy, kiedy zadzwonił telefon. Dopiero co się położyłam i podniosłam słuchawkę wyrwana z pierwszego snu.
— Jesteś sama?
Był to Walter. Oprzytomniałam.
— Tak.
— Musiałem do ciebie zadzwonić.
Zamilkł na chwilę i słyszałam jego chrapliwy oddech. Nadal za dużo palił.
— Tyle chciałem ci powiedzieć, kiedy cię zobaczyłem w restauracji.

Zapaliłam papierosa. Zapalniczka wydała głośny trzask.

— Na pewno jesteś sama?

— Jestem sama.

— Wydawało mi się, że coś słyszę.

— To była zapalniczka.

Zaczynało mnie to irytować. Najtrudniejsze chyba dla mnie do zniesienia w naszym związku było nienasycone pragnienie Waltera, aby wiedzieć o wszystkim, co w każdej minucie robię i o czym myślę.

— Jestem zmęczona. Obudziłeś mnie. Co takiego ważnego masz mi do powiedzenia, że musiałeś zadzwonić dziś w nocy?

Wiedziałam, że jest w mieście już prawie od miesiąca.

— Chciałem cię tylko zapytać o jedną rzecz. Czy sypiasz z Johnem Stylesem?

— Nie — odparłam bez namysłu i natychmiast wpadłam w złość. — A gdyby nawet, co cię to obchodzi? To nie twoja sprawa.

— Owszem, obchodzi. Nie chcę, żeby cię wykorzystywano.

— Nikt mnie nie wykorzystuje. To, że byłam z Johnem na kolacji, jeszcze nie znaczy, że z nim sypiam.

— Na mieście mówi się co innego. Słyszałem od pewnych osób, że Styles zapłacił ci dwa razy więcej niż proponował za tę rolę innym dziewczynom.

— Kim są te „osoby”? — zapytałam ironicznie. — George Fox?

Walter milczał.

— George to kutas. Próbuje ci się przypodobać. Po prostu nie mieści mu się w głowie, że według Johna jestem warta dwa razy więcej niż inni.

— Znam Johna Stylesa. To nie w jego stylu.

— Mylisz go z jego bratem Tonym.

— Nie — zaprzeczył. — Słyszałem, że na swój cichy sposób on jest jeszcze gorszy.

— Uwierzę, kiedy to zobaczę. Zachowywał się wobec mnie jak prawdziwy dżentelmen. — Zgasiłam papierosa. — Jeżeli obudziłeś mnie tylko z tego powodu, pozwól, że wrócę do łóżka. Jestem zmęczona.

— Przepraszam — odparł.

- W porządku.
- Czy nadal możemy iść w przyszłym tygodniu na lunch?
- Tak. Zadzwoń do mnie po niedzieli.
- Do widzenia — rzucił.

Odłożyłam słuchawkę i opadłam na poduszkę. Nie było sensu próbować teraz zasnąć. Ta rozmowa całkowicie wybiła mnie ze snu. Wstałam z łóżka i poszłam do łazienki, aby poszukać w apteczce librium lub valium. Niczego nie znalazłam, ale nagle coś sobie przypomniałam.

Będąc tutaj ostatni raz, kiedy pracowaliśmy nad sztuką, Guy zostawił mi trochę trawy. Wróciłam do salonu i z szufladki stolika do kawy wyjęłam skręta. Był duży. Guy nazwał go bombowcem. Dwa sztachnięcia wystarczały, żeby człowiek odleciał.

Zabrałam skręta do sypialni i położyłam się do łóżka. Oparłszy się plecami o zagłówek, zapaliłam i wciągnęłam dym głęboko w płuca. Sztachnęłam się ponownie i wstrzymałam oddech na dobre pół godziny, jak mi się wydawało. Ogarnęło mnie uczucie odprężenia. Zaciągnęłam się jeszcze raz i starannie zgasiłam papierosa. Szkoda było go marnować. Już i tak było mi dobrze.

Popatrzyłam na pustą drugą połowę królewskich rozmiarów łóżka. Machinalnie wyciągnęłam rękę tam, gdzie leżałby Walter, i szybko ją cofnęłam. Waltera nigdy więcej tu nie będzie.

Nie mogłam jednak odpędzić wspomnień o tym, jak to było, kiedy za czasów naszego małżeństwa wypalaliśmy skręta, żeby wprowadzić się w nastrój. Seks był wtedy dużo lepszy. Walter nie był tak spięty i wytrzymywał dłużej. Bez trawy albo kończył, gdy tylko we mnie wszedł, albo nie chciał mu stanąć. Więc na ogół zaspokajał mnie oralnie, ręką, lub za pomocą małego wibratora. Nie miało to jednak znaczenia. Kochałam Waltera i niczego nie brakowało mi do szczęścia. A jeśli za bardzo się podnieciłam, obsługiwałam się sama. Na tym zawsze mogłam polegać. Robiłam to, odkąd skończyłam piętnaście lat.

Znów popatrzyłam na puste łóżko. Musiało być ze mną coś nie w porządku. Inne dziewczyny nie miały z tym problemów. A ja tak. Zaczęłam nawet brać nową pigułkę antykoncepcyjną, którą wypuszczono w ubiegłym roku, myśląc, że uwolni mnie to od zahamowań. Nic to jednak nie pomogło.

Wiedziałam, że wyglądam dobrze. Wszyscy mi mówili, że jestem sexy. Ale nikt się do mnie nie przystawiał. Coś we mnie ich odstraszało. Nawet Beau Drake, który pieprzył się z kim popadło, nigdy nie tknął mnie palcem.

Przypomniało mi się pewne popołudnie między dwoma spektaklami, kiedy Beau wdał się przy kawie w opis tego, co by ze mną zrobił, gdybyśmy byli sami. Opowiadał o tym tak obrazowo, że gdy wróciłam do garderoby, miałam mokro w majtkach. Rozładowałam się pod prysznicem, ale i tak przez całe wieczorne przedstawienie grałam w stanie podniecenia seksualnego.

Kiedy tej nocy dotarłam do domu, myślałam, że cipa mi spłonie. Kartka leżąca na nocnym stoliku mówiła, że Walter jest w Twenty One na kolacji z Georgem Foxem i producentem.

Nie mogłam czekać. Zdjęłam ubranie, wyciągnęłam się naga na łóżku i sięgnęłam do szuflady nocnego stolika po małego Zielonego Szerszenia, jak nazywaliśmy wibrator. Wsunęłam dłoń w uchwyt, tak że silniczek spoczął w jej wgłębieniu i włączyłam urządzenie do kontaktu. Gdy znajomy łagodny warkot wypełnił pokój, włożyłam rękę między nogi.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, płynąc na falach, gdy nagle zorientowałam się, że do sypialni wszedł Walter. Otworzyłam oczy. Stał patrząc na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

— Walter... ja...

— Nie przerywaj — powiedział.

— Ja... chcę... — Nie dokończyłam, bo przeszył mnie kolejny orgazm.

Walter uklęknął przy łóżku z twarzą tuż przy mojej, ale nie dotykając mnie.

— Co cię tak podnieciło? — zapytał.

— Nie wiem. Myślenie o tobie. Chciałam...

— Czego chciałaś? Dużego, twardego kutasa?

— Nie.

Zignorował moją odpowiedź.

— Dużego, twardego kutasa? Jak Beau Drake'a?

Na wzmiankę o nim znowu doszłam. Moja reakcja nie umknęła uwagi Waltera.

— Więc to tak — powiedział cicho.

— Nie, nie. Chcę ciebie. Daj mi swojego ptaka, Walterze, proszę.

Podniósł się powoli i stał patrząc na mnie z gory. Pociągnęłam za suwak jego spodni. Członek Waltera był miękki i wąty. Pocałowałam go delikatnie i wzięłam w usta. Ale żeby nie wiem co robiła, nic się nie działo.

Po chwili Walter ujął moją twarz w dłonie.

— Przepraszam — powiedział. — Jestem zmęczony i za dużo wypilem.

Milczałam.

— Czasami myślę, że jestem dla ciebie za stary — westchnął. — Nie zdziwiłbym się, gdybyś znalazła sobie innego faceta. .

— Nie, Walterze, nie! — Ukryłam twarz w jego spodniach.

— Chcę tylko ciebie!

Rozpłakałam się. Pogłaskał mnie po włosach, jakby myśląc o czymś innym.

— Już dobrze — wyszeptał. — Rozumiem.

Nie rozumiał. Wiedział jednak dość, aby grać na moim poczuciu winy. W końcu nawet ja to pojęłam. Cholera.

Popatrzyłam na puste łóżko, a potem dotknęłam się, drażniąc delikatnie zakończenia nerwów. Mój kumpel Zielony Szerszeń zawołał do mnie z nocnego stolika: ^

„Hej, kochanie. Jestem zawsze gotowy wtedy, kiedy i ty.

Odezwałam się na głos.

— Ale nie jesteś prawdziwy. Nie jesteś żywy.

Nie marudź, skarbie. Nie można mieć wszystkiego."

— Dlaczego nie? — zapytałam. — Ja chcę wszystkiego. To też nie jest ludzkie, kochanie."

Otrząsnęłam się. Musiałam chyba upaść na głowę, żeby prowadzić rozmowę z wibratorem. Nagle zostałam sama.

Pokój był pusty. Marycha mnie opuściła.

Wstałam z łóżka, zapaliłam papierosa i poszłam do salonu. Wyjrzałam przez okno, ale zobaczyłam tylko domy po przeciwnej stronie ulicy. Inaczej niż w Central Park South, skąd park i całe nocne miasto były widoczne jak na dłoni.

Spojrzałam na zegar. Druga nad ranem. Minusem bycia samemu jest to, że nie ma z kim porozmawiać.

Zastanawiałam

się, czy ciemne okna miasta nie kryją ludzi podobnych do mnie. Samotnych, nie mających do kogo otworzyć ust. Na Zachodnim Wybrzeżu była jedenasta. Guy jeszcze nie śpi. Zadzwoiłam, ale jego pokój nie odpowiadał. Guy nie wrócił z kolacji.

Usiadłam ze słuchawką w dłoni i nie namyślając się dłużej wykręciłam numer. Przy drugim dzwonku zmieniłam zdanie i już chciałam się rozłączyć

— Przepraszam — odezwałam się. — Obudziłam cię?

— Nie — odparł John. — Czytałem.

Czy twoja propozycja jest nadal aktualna?

— Tak.

— Pewnie uważasz, że zwariowałam.

— Nie.

— Nagle poczułam, że muszę się wyrwać z miasta.

— Cieszę się — odrzekł cicho.

— Kiedy wyjeżdżamy?

— Mamy lot w niedzielę w południe. Jeżeli będziesz na dole, wstąpię po ciebie o dziesiątej trzydzieści.

— Zrobisz dla mnie rezerwację w Beverly Hills Hotel? Po co? — zapytał. — Zatrzymasz się u mnie.

— Nie chcę ci sprawiać kłopotu.

— To żaden kłopot. Mam duży dom i gospodynię, która nie ma nic do roboty.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, serce biło mi tak, jakbym pokonała pięć kondygnacji schodów. Gdy jednak wróciłam do sypialni i położyłam się do łóżka, zasnęłam jak niemowlę.

ROZDZIAŁ 10

Dom był położony na wzgórzu, kilka mil na północ od ekskluzywnej kolonii w Malibu. Wąskie, wycięte w kamieniu stopnie schodziły do leżącej około stu stóp niżej zatoczki. Wciśnięta między dwie formacje skalne plaża była niemal

niedostępna dla ludzi z zewnątrz. Wśród kwiatów wiszącego nad oceanem małego ogrodu znajdował się basen. Po wejściu do niego miało się złudzenie pływania w niebie.

Samochód z wytwórni wyjechał po nas na lotnisko i zawiózł do domu. W drzwiach powitała nas gospodyni, drobna kobieta pochodzenia meksykańsko-indiańskiego. Na jej szerokiej twarzy malował się uśmiech. Nie robiła wrażenia zaskoczone, moim przyjazdem. John powiedział do niej coś po hiszpańsku. Skinęła głową i zaprowadziła mnie do mojej sypialni.

Był to narożny pokój z widokiem na ocean i dekoracją w stylu meksykańskim. Łóżko miało hollywoodzkim zwyczajem królewskie rozmiary i wyglądało tak, jakby było przeznaczone dla sześciu osób. Gospodyni postawiła moją walizkę na stoliku przy ścianie i powiedziała coś, czego nie zrozumiałam.

Gdy tylko wyszła, w drzwiach pojawił się John.

— Podoba ci się?

— Jestem zachwycona. Tu jest po prostu pięknie.

— Urządziłem się tu skromnie — odparł z wyraźnym zadowoleniem w głosie. — Ale wszystko zaprojektowałem sam. Zawsze o czymś takim marzyłem.

— Od dawna masz ten dom?

— Od dwóch lat. Odkąd przeprowadziłem separację. Moja żona i dzieci mieszkają w Bel Air.

Popatrzyłam na niego.

— Musiałem ci o tym powiedzieć. Chcę, żebyś wiedziała, jak sprawy stoją.

Doceniłam jego szczerłość.

— Dziękuję.

— Telefon, radio i pilota do telewizora znajdziesz przy łóżku. — Spojrzał na małe drzwi w bocznej ścianie. — A tutaj jest łazienka.

Było to duże pomieszczenie z podwójną umywalką, prysznicem, bidetem i wpuszczoną w podłogę wannę wyposażoną w jacuzzi¹. Zauważyłam drzwi znajdujące się naprzeciwko tych, którymi weszliśmy.

— Prowadzą do drugiego pokoju gościnnego — wyjaśnił John. - Łazienka jest jednak wyłącznie do twojej dyspozycji.

¹ Urządzenie wytwarzające prądy wodne, (przyp. tłum.)

Kazałem wbudować drzwi, ponieważ kiedy dzieciaki do mnie przyjeżdżają, korzystają z niej wspólnie.

— He masz dzieci?

— Troje. Dwóch chłopców i dziewczynkę. Bliźniacy mają po dwanaście lat, a ona czternaście. Zajmujesz jej pokój. Skinęłam głową i wróciliśmy do sypialni.

— Radzę ci się zdrzemnąć przed kolacją — odezwał się John. Zmiana czasu jest zawsze męcząca.

Nie czuję zmęczenia — odparłam.

Poczujesz. Mnie zwykle dopada wieczorem. — Podeszedł do drzwi. — Kolacja będzie o ósmej, jeśli ci to odpowiada.

— Doskonale. Uśmiechnął się.

— Więc do zobaczenia.

Kiedy otworzyłam oczy, pokój był skąpany w fioletowym świetle. Zerknęłam na zegarek. Nadal pokazywał czas nowojorski: godzinę dziesiątą. Przeszłam go i wstałam z łóżka. John miał rację. Zmęczenie dopadło i mnie.

Poszłam do łazienki, odkręciłam kran nad wanną i popatrzawszy na połyskliwą, zielonkawą wodę wrzuciłam do niej kilka pachnących cytrynowych gałek do kąpieli. Rozebrałam się i weszłam do wanny w chwili, gdy włączyło się automatyczne jacuzzi.

Poddałam się działaniu prądów. Jeden ze strumieni tryskał mi dokładnie między nogi. Było to cudowne, jeszcze lepsze niż Zielony Szerszeń.

Nagle uświadomiłam sobie, że w łazience dzwoni telefon. Wychyliłam się z wanny i odebrałam go.

— Słucham?

— Nie śpisz?

— Nie. Kapię się.

— Nie ma pośpiechu. Kolacja będzie wtedy, kiedy będziesz gotowa.

Roześmiałam się.

— Chyba zjem ją w wannie.

— Tak ci się tam podoba?

— Jacuzzi jest niesamowite. Mogę się zdecydować wyjść za nie za męża.

John wybuchnął śmiechem.

— Dobrej zabawy. Do zobaczenia niebawem. Odłożyłam słuchawkę. Przez ten czas woda wystygła, więc wyszłam z kąpieli. Wzięłam jeden z ogromnych ręczników i wytarłam się szybko. W Kalifornii wszystko było wielkich rozmiarów: łóżka, wanny, nawet ręczniki. Zastanawiałam się, czy to coś oznacza. Dałam jednak spokój rozmyśleniom i, wskoczywszy w spodnie i bluzkę, zesłam na dół.

Ustawiony obok otwartych drzwi na patio stół był już nakryty. Pośrodku znajdowała się duża drewniana misa z sałatką. Pod stojącym na zewnątrz rusztem żarzyły się węgle.

Przystanąłam na środku pokoju, pociągając nosem.

— Co tak pachnie?

— Pieczone ziemniaki. Mam nadzieję, że będą ci smakować.

— Uwielbiam je.

John uśmiechnął się, podszedł do baru i włączył mikser do koktajli.

— Mam dwie specjalności — oznajmił. — Robię najlepsze margarity i najlepsze steki na świecicie.

Z wiaderka z lodem wyjął kieliszki, szybko obtoczył ich brzegi w soli, a następnie wyłączył maszynę i nalał w nie do pełna koktajlu.

— Witaj w Kalifornii — powiedział, gdy wzięłam od niego kieliszek.

Margarita, niby płynny ogień, przeszła mnie żarem.

— Nie do wiary — przyznałam.

Skąd miał wiedzieć, że nigdy dotąd tego nie piłam.

— Zajmę się stekami. Wypijemy jeszcze po jednym i akurat będą gotowe.

Jakby na komendę, do pokoju weszła gospodyni, niosąc drewniany talerz z dwoma ogromnymi stekami. Podała go Johnowi.

— *Buenas noches* — powiedziała.

Uśmiechnęłam się i skinęłam jej głową, gdy wychodziła.

— Zwykle ma w niedzielę wolne — poinformował mnie John. — Została tylko po to, aby się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Podeszłam z nim do barbecue i przyglądałam się, jak kładzie mięso na ruszcie. Gdy tłuszcz zaczął kapać na węgle, rozległo się syczenie.

— Zamarynowałem je w oliwie i occie winnym z dodatkiem czosnku — wyjaśnił. — To nadaje im specjalny aromat. Lubisz krwiste?

Przytaknęłam.

— To świetnie. Ja też.

Kiedy steki były gotowe, czułam się już lepiej, aczkolwiek kręciło mi się w głowie. Siadając do stołu odetchnęłam z ulgą. Obserwowałam Johna uważnie, gdy zapalał świece i nalewał wino. Miałam trudności z podniesieniem kieliszka.

— Znakomite — powiedziałam, odstawiając go ostrożnie. Po tequili czerwone wino było delikatne w smaku.

— Chyba przesadziłem z margaritami — stwierdził John.

— Wcale nie.

— Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest — odparłam pospiesznie. — Trochę się tylko upiłam.

— Zrobi ci się lepiej, kiedy coś zjesz.

Miał rację. Stek, sałatka i pieczone ziemniaki były wyśmienite. Zanim przeszliśmy do deseru, wytrzeźwiałam.

— Palisz? — zapytał, gdy skończyliśmy kawę. Skinęłam głową.

— Mam rewelacyjną trawkę. Acapulco Gold. Doskonale pasuje do koniaku. — Spojrzał na mnie. — Chcesz spróbować?

— Dawaj. Widziałeś mnie już na fleku, więc równie dobrze możesz zobaczyć na haju.

Usiadłam na kanapie. John otworzył drewniane pudełko na papierosy stojące na stoliku do kawy.

— Zawsze mam parę gotowych skrętów — wyjaśnił. Przypalił jednego i oddawszy mi go poszedł po kieliszki do koniaku i butelkę. Zaciągnęłam się solidnie, powoli wypuściłam dym i skinęłam głową.

— Świetna.

— Najlepsza — powiedział, zabierając mi skręta. Sztachnął się i podał mi kieliszek. Przyglądałam się, jak spłukuje dym koniakiem.

— Spróbuj w ten sposób.

Poszłam za jego przykładem. To był dynamit. Odfrunęłam w jednej sekundzie. Nagle wszystko wydało mi się zabawne i zaczęłam się śmiać.

— QUE PASA? — zapytał.

— Ciagle nie mogę w to uwierzyć.

— W co?

— Że tu jestem. Z tobą.

Wyjął mi skręta z palców. Sztachnięcie, łyk alkoholu, z powrotem do mnie.

— Co w tym dziwnego?

— Nigdy dotąd nie wyjeżdżałam nigdzie z żadnym mężczyzną oprócz mojego męża — wyjaśniłam. — A teraz polecałam z tobą na drugi koniec Stanów.

— Żałujesz tego?

— Nie.

— Nie chcę, żebyś żałowała.

— Nie żałuję.

Podałam mu skręta i zachichotałam.

— Czuję się odlotowo. Wybuchnął śmiechem.

— Mówi się „czuję się świetnie”.

— Czuję się świetnie. Oparłam się o poduszki.

— Wiesz, jak się obchodzić z dziewczynami. Nie odpowiedział.

— Tak się odprężyłam — ciągnęłam. — Jestem rozluźniona i rozleniwiona.

— Kiedy poczujesz się zmęczona, idź do łóżka. Mną się nie przejmuj.

— Miły z ciebie facet, Johnie Styles.

— Dziękuję.

— Prawdziwy dżentelmen.

Milczał. Nagle zrobiło mi się gorąco. Popatrzyłam w stronę basenu i wstałam.

— Mogę iść popływać?

— Wszystko, co zechcesz. W tej kabinie są kostiumy kąpielowe. Powinnaś znaleźć jakiś dla siebie.

Spojrzałam mu w oczy.

— Czy muszę?

Bez słowa potrząsnął głową.

Wyszłam na zewnątrz, rozebrałam się przy basenie i skoczyłam- Woda była chłodna i działała ożywczo. Kiedy wypłynęłam, Jonn nadal siedział na kanapie. ^ — Chodź "tutaj — zawołałam. — Jest wspaniale.

Wyszedł z domu wciąż trzymając w ustach skręta, zdjął ubranie i ześlizgnął się do wody.

— Czy nie jest świetnie? — zapytałam.

Nie czekając na odpowiedź, zabrałam mu skręta i wsadziłam go sobie do ust. Potem położyłam się na plecach i wciągnęłam dym w płuca. Niebo nade mną wyglądało jak usiany brylantami aksamit.

— Hej! To dopiero jest pływanie.

W domu zadzwonił telefon. Stałam na dnies i spojrzałam na Johna. Telefon odezwał się ponownie. John dźwignął się na brzeg basenu.

— Nie odbieraj — powiedziałam.

— Czekalem na ten telefon — odparł. — To mój asystent. Ma mi podać plan na jutro.

Przyglądałam się, jak wychodzi z basenu i ociekając wodą biegnie do aparatu. Rozmawiał prawie piętnaście minut. Zanim wrócił, skończyłam skręta. Nie miało to jednak znaczenia. Mój odlot minął.

— Wezwanie na szóstą rano — oznajmił John. Utkwiłam w nim wzrok.

— Chcesz iść spać?

— Powinienem — stwierdził. — Inaczej będę jutro nieprzytomny przez cały dzień.

Wyszłam z basenu. John owinał mnie jednym z tych ogromnych kalifornijskich ręczników tak starannie, jakbym była dzieckiem. Gdy przewiązywał się ręcznikiem w pasie, podniosłam swoje ubranie i ruszyłam po schodach.

Przy drzwiach do mojej sypialni przystanąłam i odwróciłam się do niego. Pochylił się i pocałował mnie w policzek.

— Spij dobrze — powiedział. — Zostawiłem dla ciebie kluczyki w kabriolecie. Gdybyś czegoś potrzebowała, poproś Marię. Wyjeżdżam koło piątej rano, więc zobaczymy się dopiero wieczorem, kiedy wrócę do domu.

Stałam w progu, patrząc, jak idzie do swojego pokoju

i zamyka za sobą drzwi. Potem poszłam do łazienki, zrzuciłam ręcznik, zapaliłam papierosa i przejrzałam się w lustrze. Musiało być ze mną coś nie w porządku. Nic z tego nie rozumiałam. Opanowanie opanowaniem, ale nikt nie może panować nad sobą do tego stopnia. To musiała być moja wina.

— Cholera! — mruknęłam ze złością do swojego odbicia, gdy zaciągając się papierosem zauważyłam, że drży mi ręka.

Wróciłam do sypialni, wyjęłam z walizki Zielonego Szerszenia i rozejrzałam się za kontaktem. Znalazłam go w końcu za gigantycznym zagłówkiem. W żaden sposób nie mogłabym się do niego dostać. To zadecydowało.

Rzuciłam wibrator na łóżko, wybiegłam z pokoju i ruszyłam korytarzem. Bez pukania otworzyłam drzwi sypialni Johna. Wyszedł z łazienki z ręcznikiem wciąż owiniętym wokół bioder i utkwił we mnie wzrok.

W wiszącym na przeciwległej ścianie lustrze mignęło mi odbicie mojej nagiej sylwetki.

— Czy czegoś mi brakuje? — zapytałam i mówiłam dalej, nie czekając na odpowiedź. — Czy też mam uwierzyć, że przewiozłeś mnie przez całe Stany nie po to, żeby się ze mną pieprzyć w Kalifornii?

ROZDZIAŁ I I

Na zewnątrz migotało nagle światło stojącej w kącie pokoju lampy. Na zewnątrz była czerń nocy i ciche rozbijanie się fal o brzeg. Leżałam w łóżku od strony otwartego okna, a John przy ścianie, na wpół ukryty w cieniu.

— Która godzina? — zapytałam.

— Czwarta.

Czubek jego papierosa rozżarzył się w ciemności.

— Już czas, żebym wstał.

— Przepraszam.

— Za co?

— Nie dałam ci spać, a musisz iść do pracy. Milczał przez chwilę.

— Nic mi nie będzie. Prysznic i tabletki działają cuda.

— To zabawne. Wcale nie jestem śpiąca. Byłam taka zmęczona, kiedy wysiedliśmy z samolotu, a teraz ani trochę. Uśmiechnął się. — Młodość.

— Tylko to?

— Nie wiem.

— Czy zawsze tak jest?

Spojrzał na mnie, ale nie widziałam wyrazu jego oczu.

— Co masz na myśli?

— Pierwszy raz. Całą noc.

— Nie.

Zabrałam mu papierosa i zaraz oddałam go ze śmiechem.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał.

— Z siły przyzwyczajenia. Wcale nie miałam ochoty na papierosa, ale zawsze zabierałam je Walterowi, udając, że chcę sobie pociągnąć, ponieważ on nie powinien palić.

— Ach tak. — Ma rozedmę. John wstał bez słowa.

— Nie gniewasz się, że mówię o Walterze? — Nie.

Usiadłam na łóżku.

— Żałujesz, że tu z tobą przyjechałam?

— A ty żałujesz?

— Nie. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Nie żałuję.

— Czy byłam dobra? To znaczy, czy było ci ze mną dobrze?

Uśmiechnął się.

— Chyba nie słyszysz, żebym narzekał.

— Mówię poważnie. Chcę, żeby było ci tak dobrze jak mnie.

Uśmiech rozciągnął mu wargi szerzej.

— Gdyby miało być jeszcze lepiej, przed końcem tygodnia wylądowałbym w szpitalu.

- Nigdy nie przypuszczałam, że może być tak dobrze. Nie miałam ochoty przestać.
- Tak coś mi się wydawało, że musiałaś dawno tego nie robić. Ile czasu upłynęło od twojego rozwodu?
- Mija piąty miesiąc.
- Dla dziewczyny z takim temperamentem to długo. Nie miałaś nikogo od tamtej pory?
- Nie.

Nie powiedziałam mu, że również w czasie naszego małżeństwa nie było tego wiele. Walter miał swoje przyzwyczajenia, a ja nie znałam lepszych sposobów.

- Powinienem się zbierać — oznajmił John, idąc do łazienki.
- Pójdę na dół i zrobię kawę.
- Wiesz, gdzie jest kuchnia?
- Znajdę.

Wróciłam do swojej sypialni, włożyłam szlafrok i zesłam na dół. Gospodyni nie było. Kuchnia lśniła jak lustro, a ekspres do kawy był gotowy do włączenia. Otworzyłam lodówkę. Kiedy zjawił się John, na stole stały jajka na bekonie i grzanki.

- Nie musiałaś tego robić — powiedział.
- Ale chciałam.

Nie zjadł dużo, ja jednak wcinałam, aż mi się uszy trzęsły. Umierałam z głpdu.

- Co masz zamiar dzisiaj robić? — spytał.
- Nie wiem. Pośpię trochę. Może się poopalam.
- Wolisz gdzieś iść na kolację czy zjeść w domu?
- Zjedźmy w domu i pójdźmy wcześniej do łóżka. Uśmiechnął się. Poczulałam, że się rumienię.
- Musisz odpocząć. Życie na prochach to nie najlepszy pomysł.
- Dobrze. — Podniósł się. — Powinienem wrócić koło ósmej. Muszę wieczorem obejrzeć dzisiejszy materiał.
- Będę w domu. Chciałam wstać.
- Zostań. Do zobaczenia.

Odprowadziłam go wzrokiem. Potem dopiłam kawę, wstawiłam naczynia do zlewu, poszłam do sypialni i wskoczyłam do łóżka. Zasnęłam ledwie przyłożywszy głowę do poduszki.

Telefon przy łóżku brzęczał i brzęczał. Przekreśliłam się na drugi bok, otworzyłam oczy i natychmiast zasłoniłam je przed palącym słońcem. Telefon nie przestawał dzwonić. W końcu podniosłam słuchawkę.

— Tak?

— *Señorita, para usted* — powiedziała miłym głosem godpodyni.

— Dziękuję.

Przez chwilę patrzyłam na aparat. Pomyślałam, że to na pewno moja matka, która nie mogła się doczekać, aż do niej zatelefonuję. Nacisnęłam guzik.

To nie była matka. Dzwonił Harry Gregg.

— Co ty tam robisz? — zapytał obcesowo.

— Śpię, a ty mnie budzisz — odparłam z przekąsem. — Jak zdobyłeś mój numer?

— Na miłość boską! U ciebie jest trzecia po południu. Co do cholery robiłaś w nocy?

— Pieprzyłam się, jeśli cię to interesuje! — warknęłam. Zaczynałam mieć wrażenie, że wszystko, co mówi się o agentach, jest prawdą. Kiedy załatwią ci pracę, uważają cię za swoją własność.

— Jak mnie tu znalazłeś?

— Twoja gospodyni poinformowała mnie, że wyjechałaś, ale nie wiedziała dokąd, więc zadzwoniłem do twojej matki. Ona mi powiedziała. — Jego głos przeszedł w konspiracyjny szept. — Właśnie miałem telefon z biura Foxa. George chciał się dowiedzieć, gdzie jesteś. Twój eks cię szuka.

— I?

— Nie powiedziałem mu. Myślisz, że może to zrobić twoja matka?

— Nie.

Nie ona. Nigdy nie przyznałaby się do tego, że jej mała dziewczynka pojechała na drugi koniec Stanów z mężczyzną. A gdyby nawet powiedziała, co za różnica? Walter nie ma do mnie żadnych praw.

— Czy dlatego dzwonisz?

— Nie — odparł już normalnym tonem. — Znalazłem dla ciebie nową robotę. Nawet lepiej, że jesteś w Kalifornii.

— Nie rozumiem.

— Załatwiłem ci gościnny występ w „Wirginijczyku”. Dziś po południu chcą cię zobaczyć w Universalu. Trzy i pół tysiąca za tydzień.

— Jak do tego doszło?

— Widzieli fragmenty filmu, który w zeszłym tygodniu kręciłaś w Nowym Jorku.

— Jest późno — stwierdziłam. — Musiałabym się zrobić. Włosy. Makijaż. Wszystko. Nie zdążę. Może jutro?

— Upierają się, że dzisiaj. Zadzwonili do mnie rano, żebym cię wsadził w samolot. Powiedzieli, że będą czekać w wytwórni do ósmej.

Milczałam.

— To ogromna szansa. Universal kręci mnóstwo filmów. Jeśli im się spodobaś, zatrzymają cię.

— Zgoda. Z kim się mam zobaczyć?

Udzielił mi informacji, a kiedy skończył, ponownie przybrał konspiracyjny ton.

— Co mam powiedzieć Foxowi? Do rana będzie już wiedział, że poszłaś do Universalu.

— Wymyśl jakąś wymówkę. Nie obchodzi mnie, co powtórzy Walterowi.

— Lepiej, żeby cię to obchodziło. Jeśli Walter się wkurzy, będziesz miała przeprosiny z Georgem.

— Powiedz mu, że wytwórnia skontaktowała się ze mną przed tobą i byłam już w drodze.

Odłożyłam słuchawkę i nagle wpadłam w złość. Nie znoszę, kiedy próbuje się mnie zastraszyć. Postanowiłam zadzwonić do Harry'ego.

— Coś nie tak? — zapytał, odebrawszy telefon.

— Owszem. Nie lubię, jak ktoś mnie naciska. Walter. George. Ty. Czy ktokolwiek inny. I nikomu nie jestem winna żadnych wyjaśnień.

— Poczekaj! Nie wściekaj się na mnie. Jestem po twojej stronie.

— W porządku. Więc powiedz im prawdę. A jeżeli im się to nie spodoba, mogą się wypchać.

Po odłożeniu słuchawki poczułam się lepiej. Ubrałam się i o szóstej trzydzieści byłam w Universalu.

Przez następne trzy godziny rozmawiało ze mną w biurze producenta siedmiu facetów. Kiedy skończyli, nie wiedzieli już tylko jednego: że mam pieprzyk wysoko na lewym pośladku. Siedzieli wszyscy półkolem, patrząc na mnie.

W końcu odezwał się tęgi mężczyzna, w którego gabinecie byliśmy.

— Moim zdaniem ona się nadaje. A co wy o tym sądzicie, chłopcy?

Odpowiedział mu chór aprobaty.

— Co to za rola? — zapytałam.

— Bardzo dobra rola — odparł grubas. — Emocjonująca, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi. Prawdziwa rola do grania.

— Mogę przeczytać scenariusz?

— Oczywiście. Dam pani egzemplarz z samego rana.

— Podobno rano zaczynam pracę.

— Zgadza się.

— Więc jak mam się nauczyć swojego tekstu?

— Starczy pani na to czasu. Pierwszą scenę ma pani dopiero po południu. Przeczyta pani scenariusz podczas charakteryzacji.

— Dlaczego nie mogę dostać go teraz?

Przez twarz producenta przemknął wyraz zakłopotania.

— Kopie ostatecznej wersji nie wróciły chyba jeszcze z powielarni.

— Mogę przeczytać wersję poprzednią. Przynajmniej nabiorę jakiegoś pojęcia o postaci, którą mam grać.

— To dobra rola — próbował się bronić. — Nie wierzy mi pani na słowo?

— Wierzę panu.

— Grzeczna dziewczynka. — Wstał. — Proszę być w charakteryzatorni o siódmej rano.

— Nie.

Opadła mu szczeka.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— To, co powiedziałam. Nie. Uważam, że mam prawo zapoznać się z rolą, zanim ją przyjmę, aby się przekonać, czy potrafię i chcę ją zagrać.

— Oczywiście, ale sytuacja jest napięta. Jutro zaczynamy zdjęcia i wszystko trzeba ustalić dzisiaj.

— Więc dajcie mi scenariusz. Czytam szybko. Obrzucił mnie twardym spojrzeniem.

— Jest pani osobą dość niezależną.

— Wcale nie. Po prostu uważam, że należą mi się takie same prawa, jak wam. Nie dalibyście mi tej roli, gdybym tu nie przysłała i nie pozwoliła się obejrzeć ze wszystkich stron. Jestem tutaj, ponieważ to rozumiem. Moim zdaniem to kwestia prostej grzeczności.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem uśmiechnął się.

— Dobrze, Dan. Daj jej scenariusz — powiedział do siedzącego obok mężczyzny. — Chłopcy, zebranie skończone.

Gdy jeden za drugim opuszczali pokój, popatrzyłam na niego.

— Jeśli ma pan coś do roboty, mogę czytać na zewnątrz.

— Nie przeszkadza mi pani.

Szybko przejrzałam scenariusz. Przeczucie mnie nie zawiodło. Miałabym grać Indiankę i zupełnie nie pasowałam do tej postaci. Była to jedna z tych ról, które mają dużo scen, ale niewiele dialogów. Prawdę mówiąc nie rozumiałam, do czego ta dziewczyna jest im w ogóle potrzebna. Jej postać niczemu nie służyła i byłoby lepiej, gdyby z niej zrezygnowali.

— Raczej nie — stwierdziłam, podnosząc się z krzesła. Spojrzał na mnie kusicielsko.

— To niewielka rola, ale byłaby pani dużo przed kamerą.

— Nawet nie mam czarnych włosów ani czarnych oczu.

— Żaden problem — odparł. — Peruka i szkła kontaktowe to załatwią.

— Nie, dziękuję.

— Powinna się pani pokazywać. Proszę pomyśleć, że w ciągu jednego wieczoru zobaczy panią dwadzieścia milionów ludzi.

— Nie czułabym się dobrze w tej roli.

— To wielka okazja. Niech jej pani nie przegapi. Tutaj jest mnóstwo pracy. Czy zdaje sobie pani sprawę, ile dziewczyn dałoby dupy, byle tylko znaleźć się na pani miejscu?

— Domyślam się. I chętnie się założę, że wiele z nich nadawałoby się do tej roli lepiej niż ja.

— Ale my chcemy pani. Ściągając tu panią wpakowałam

się w ślepią uliczkę. Moim zdaniem mogłaby pani zrobić z tej postaci coś niezwykłego.

— Dziękuję. Szczerze to doceniam.

— Proszę posłuchać. Jest już późno. Może poszlibyśmy na kolację i jeszcze porozmawiali?

— Przykro mi, jestem umówiona.

— Więc nie chce pani tej roli?

— Nie. — Położyłam scenariusz na biurku. — Czy mogę prosić o taksówkę?

Spojrzał na mnie tak, jakby już zapomniał o mojej obecności.

— Tak. Niech pani powie mojej sekretarce. Ona ją dla pani wezwie.

— Dziękuję. Dobranoc.

Bez słowa skinął głową i wyszłam z biura. Na plażę dotarłam dopiero o dziesiątej. Do tego czasu wszystko zdążyło się popsuć.

ROZDZIAŁ 12

Drzwi otworzył mi asystent Johna, który pracował z nami na planie filmu w Nowym Jorku.

— Cześć, JeriLee — powiedział.

Zmierzyłam go wzrokiem. W Nowym Jorku zwracał się do mnie „proszę pani”.

— Cześć — odparłam, bezskutecznie usiłując sobie przypomnieć, jak ma na imię.

Weszłam do domu i ruszyłam w dół po schodach.

— Lepiej bądź dla niego miła — ostrzegł mnie. — Szef miał ciężki dzień.

Mówił takim tonem, jakby zakładał, że się nawzajem rozumiemy i jesteśmy sojusznikami.

— Wszystko się dziś posypało. Nie wiem, czy nakręciliśmy chociaż ze dwie minuty. Kiedy wrócił do domu i nie zastał cię, wpadł w szal.

— Dlaczego? Zostawiłam mu wiadomość, dokąd jadę.

— Chyba jej nie dostał.

— Wytłumaczę mu to. — Rzuciłam asystentowi spojrzenie. — Schodzisz?

— Nie. Właśnie wychodziłem.

— W porządku. Dobranoc.

John siedział na kanapie z kieliszkiem w ręce. Gdy weszłam do pokoju, podniósł na mnie wzrok. Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek.

— Cześć — powiedziałam. — Przepraszam za spóźnienie.

— Gdzie, do cholery, byłaś?

— W Uniersale Zostawiłam ci kartkę.

— Nie znalazłem żadnej kartki — warknął. — Co tam do diabła robiłaś?

— Napisałam ci. Wezwano mnie w sprawie pracy.

— Zadzwonili tutaj?

Zaczynała mnie drażnić jego bezmyślność.

— Nie. Przysłali gołębia pocztowego.

— Komu jeszcze dałaś mój numer telefonu?

— Nie dawałam twojego numeru nikomu. Mój agent sam go skądś wykombinował.

— Więc jakim cudem ma go cały cholerny świat? — zapytał. — W ciągu tych dwóch godzin, jakie minęły od mojego powrotu, odebrałem pół tuzina telefonów do ciebie. Dzwoniła twoja matka, twój były mąż, dwukrotnie twój agent i Universal również dwa razy. — Nie dawałam go nikomu — powtórzyłam.

— Więc jakim sposobem wszyscy go znają?

- Nie wiem. Przepraszam. Nie chciałam narobić ci kłopotów.

— Niech to cholera!

Wstał, podszedł do baru i nalał sobie następny kieliszek. — Tylko tego mi brakowało.

W milczeniu przyglądałam się, jak pociąga kolejny łyk. Nigdy go takim nie widziałam.

— Całe miasto już wie, że tu ze mną przyjechałaś.

— I co z tego? Nie mamy wobec nikogo zobowiązań.

— Ty może nie. Ale zapominasz, że ja jestem żonaty.

— Mówiłeś, że jesteście w separacji.

— Separacja to nie rozwód. Zawsze się pilnowałem, żeby nie dać żonie szansy przyłapania mnie.

— Przykro mi. Nie chciałam cię wpakować w taką sytuację.

— Zupełnie nie myślisz. Przecież ci wytłumaczyłem, jak stoją sprawy.

— Owszem. Kiedy już tu byłam. Dlaczego nie powiedziałeś mi tego w Nowym Jorku? — Nie czekając na wyjaśnienie, odpowiedziałam sobie sama. — Bo świetnie wiedziałeś, że nie przyjechałabym.

— Nie przypuszczałem, że będzie do ciebie wydzwaniał cały świat.

Przyglądałam mu się przez chwilę.

— Chyba powinieneś wezwać mi taksówkę — stwierdziłam. — Będzie lepiej, jeżeli przeniosę się do hotelu.

W tym momencie zadzwonił telefon. John odebrał i podał mi słuchawkę.

— Do ciebie. Był to Harry.

— Co do cholery narozrabiałaś w Universalu? Aż kipią ze złości.

— Nic nie narozrabiałam — odparłam. — Powiedziałam tylko, że nigdy nie słyszałam o niebieskookiej Indiance.

— Chcą cię mimo wszystko. Zmieniają scenariusz. Teraz jesteś adoptowaną córką wodza, wychowaną jak własna, jedyną osobą, która przeżyła napad na pociąg.

— To nadal bez sensu.

— Są na ciebie napaleni. Obiecali, że jeśli zagrasz tę rolę, dadzą ci następną.

. — Przykro mi.

— Co w ciebie do licha wstąpiło? — zawołał z irytacją w głosie. — Zaledwie parę tygodni temu zebrałaś o jakąkolwiek robotę. Mówiłaś, że potrzebujesz pieniędzy. A teraz popracowałaś dwa tygodnie i nagle jesteś bogata jak nabab.

— Nie mam zamiaru grać w filmie tylko po to, żeby zadowolić ego jakiegoś producenta. Mogą sobie znaleźć inną dziewczynę do latania z dyndającymi cyckami w podartej indiańskiej koszuli.

— Tutaj jest wpół do drugiej i lecę z nóg — odparł. — Idę spać. Zastanów się jeszcze. Zadzwonię do ciebie rano.

Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, telefon odezwał się znowu.

— Halo? — warknął John, po czym ton jego głosu raptownie się zmienił. — Jak ci leci, Chad? — Zamilkł na chwilę i zanim odpowiedział, spojrzał na mnie. — Masz całkowitą rację, Chad. To niezła dziewczyna. I nie najgorsza aktoreczka.

Zorientowałam się, że mówi o mnie i słuchałam dalszego ciągu rozmowy z osłupieniem. John wyrażał się tak, jakbym była jego własnością.

— Ani trochę ci się nie dziwię. Ona jest doskonała do tej roli... Oczywiście porozmawiam z nią, ale znasz te nowojorskie aktorki. Zawsze mają własne zdanie... Tak, jest tutaj. Dam ci ją.

Wyciągnął do mnie słuchawkę.

— Kto to? — zapytałam.

— Chad Taylor.

— Kim on jest?

— Na miłość boską, spędziłaś całe popołudnie w jego biurze w Universalu.

Podeszłam do telefonu.

— Słucham.

— Rozmawiałaś z Harrym Greggiem, JeriLee?

Kiedy wychodziłam z jego gabinetu, byłam jeszcze panną Randall. Teraz najwyraźniej byliśmy starymi znajomymi.

— Tak, proszę pana.

— Czy powiedział ci, jak rozwiązaliśmy twój problem? Nie wiedziałam, że miałam jakiś problem.

— Tak.

— To piekielnie dobry pomysł, nie sądzisz?

— Nadal uważam, że to kiepska rola.

— JeriLee, dlaczego jesteś taka trudna?

— Nie jestem trudna. Po prostu wiem, co mogę, a czego nie mogę zrobić.

— Wstrzymaj się jeszcze z decyzją — powiedział niemal błagalnym tonem. — Rano będę miał dla ciebie poprawiony scenariusz.

Nagle poczułam, że jestem zmęczona. Miałam dość kłótni jak na jeden dzień.

— Zgoda.

— Możesz tu przyjechać koło jedenastej? Przyślę po ciebie samochód.
— Proszę sobie nie robić kłopotu. Wezmę taksówkę. Odłożyłam słuchawkę.
— Powinnaś to wziąć — stwierdził John.
— Dlaczego tak uważasz? Czytałeś scenariusz?
— Nie, ale powinnaś się pokazywać. Twoje nazwisko stanie się znane. Może dzięki temu uda mi się namówić brata, żeby podniósł ci honorarium.
Kolejna lekcja. Dużo się dziś nauczyłam. Należy się pokazywać, ponieważ podnosi to wartość rynkową innych towarów, które chce się sprzedać. Nie mając nic więcej do powiedzenia, odwróciłam się do drzwi.
— Gdzie idziesz? — zapytał.
— Spakować się.
— Zaczekaj. Po co ten pośpiech.
— Nie chcę, żeby ktoś cię przyłapał — odparłam z przekąsem.
— Byłem po prostu trochę wkurzony. — Machnął ręką. — Mamy z Debbie umowę. Ona nie oczekuje, że będę żył w cnotcie.
— O cholera! — powiedziałam z niesmakiem.
— Boże, co za kurewski dzień — westchnął. — Nic nie szło tak, jak powinno.
Milczałam.
— Zrobię nam parę margarit, zdejmujemy buty i odpoczniemy. — Podszedł do baru. — Maria przygotowała *arro^eon polio* \ Nigdy w życiu nie jadłaś czegoś równie dobrego.
Nadal się nie odzywałam. Włączył mikser. W pokoju rozległo się ciche buczenie.
— Nie masz pojęcia, co ja przeszedłem.
— Niełatwo to pojąć. Nie chwycił ironii.
— Zjemy kolację i pójdziemy prosto do łóżka.
— Będę się mogła przedtem wykapać?
— Oczywiście, co za śmieszne pytanie. Dlaczego?
— Czuję się brudna — odparłam. Tego również nie zrozumiał.
' **Kurczak z ryżem, (przyp. tłum.)**

Przyszedł do mojej sypialni, kiedy już od godziny leżałam w łóżku.

— Czekałem na ciebie — powiedział.

— Znów musisz wstać wcześniej rano — odparłam. — Uważałam, że będzie lepiej, jeśli się trochę prześpisz.

— Nie mogę spać. Za bardzo mnie nosi.

— Przykro mi.

Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i usiadł na brzegu łóżka.

— Co robisz?

— Nic — odrzekłam. — Po prostu leżę i myślę.

— O czym?

— O różnych rzeczach. Nic szczególnego.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać.

Sięgnęłam po papierosa i zobaczyłam w oczach Johna odbicie płomienia zapalki.

— A ty? — zapytałam.

— Jesteś na mnie zła.

— Nie.

— Więc o co chodzi?

— Nie jest tak, jak być powinno. Nie układa się między nami tak, jak się spodziewałam.

— Nie powinnaś była wychodzić z domu. Wczoraj było nam ze sobą dobrze.

Dokładnie to samo powiedziałałby Walter. Nie odezwałam się.

— Wówczas miałbym szansę przyzwyczaić się do tej myśli. Nie byłbym taki zaskoczony.

— Nie sądziłam, że robię coś złego.

— Jesteś przecież moim gościem. Ja cię tu przywiozłem. Zaczynałam rozumieć. Wszystko nabierało sensu. Nie prawdziwego jednak, lecz obłąkanego. Miało to coś wspólnego z prawami własności. Ponieważ zapłacił za mój przelot, należałam do niego. Przypominał Waltera bardziej niż przypuszczałam.

— Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak.

— To dobrze — odparł zadowolonym tonem, podnosząc się — więc zapomnijmy o wszystkim i chodźmy do łóżka.

— Jestem w łóżku.

W głosie Johna zadźwięczała gniewna nuta.

— Nie lubię, jak się mnie wykorzystuje.

— Przed wyjściem zostawię ci czek za bilet lotniczy — odrzekłam, pomyślawszy, że mnie wykorzystano jeszcze bardziej.

— Nie rób sobie kłopotu — uciął ostro. — Zdarzało mi się dawać więcej pieniędzy dziwkom za jedną noc.

Zatrzasnęły się za nim drzwi. Usiłowałam powstrzymać łzy, zbyt zraniona, aby czuć złość. To nie było uczciwe. To po prostu nie było uczciwe. Dlaczego musiało tak być?

Nie pojechałam rano do Universalu. Jeszcze tej samej nocy złapałam samolot do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ 13

Gdy Harry Gregg zobaczył mnie przez szklane ściany swojego gabinetu, zerwał się na równe nogi i pokręcił głową.

— Zrobiłaś to. Naprawdę to zrobiłaś.

— Przemyślałam sprawę — odparłam. — Nie chciałam tej pracy bez względu na ich obietnice.

— Załatwiłaś się. Wystarczyły ci dwa dni na to, na co większość ludzi potrzebuje całego życia. — W jego głosie zadźwięczała nuta zdziwienia. — Naprawdę się załatwiłaś.

— Ja tylko odrzuciłam rolę. Zadzwoiłam nawet do wytwórni i zostawiłam wiadomość, że nie przyjdę.

— Chryste — jęknął. — Najpierw Universal informuje mnie, że nie można się z tobą dogadać, a potem odbieram wściekły telefon od Tony'ego Stylesa, że spieprzyłaś mu film.

— Od Tony'ego Stylesa? W ogóle się z nim nie widziałam.

— Powiedział, że doprowadziłaś jego brata do rozstroju nerwowego i był zmuszony na dwa dni przerwać zdjęcia, żeby John mógł zostać w łóżku. Mówi, że wytnie twoją rolę, nawet gdyby musiał dokręcić niektóre sceny z inną dziewczyną.

— Nie rozumiem.

— Co między wami zaszło?

— Po prostu nie zgadzaliśmy się ze sobą, więc wyjechałam.

— Chryste — powtórzył, biorąc do ręki jakiś papier. — To pisemko dotarło tutaj tuż przed tobą. George chce mnie widzieć w twojej sprawie.

_ Jeżeli George chce ze mną porozmawiać, niech mi to powie.

— Nic nie rozumiesz. Nie jesteś już bezpośrednio jego klientką, lecz moją. On mówi mi, co chce zrobić lub powiedzieć, a ja powtarzam tobie.

— O co tu chodzi?

— George nie lubi mącenia — wyjaśnił Harry. — Chciałby mieć dobre układy ze wszystkimi: z Universalem, Stylesem, twoim eks, nawet z samym Panem Bogiem.

— Więc?

— Więc mamy kłopoty. Do George'a musiały dotrzeć echa tej sprawy i nie chce, żeby ktokolwiek miał pretensje do agencji.

— Czy to znaczy, że zamierza się mnie pozbyć?

— Nie wiem — odrzekł Harry. — Ale jeżeli masz jakichś przyjaciół, których mógłby posłuchać, najwyższy czas się do nich zwrócić.

— Przecież mamy umowę.

— Umknął ci pewien kruczek. Agencja może ją w każdej chwili zerwać.

Milczałam.

— Twój eks. Czy on wstawiłby się za tobą?

— Nie chcę go o to prosić — odparłam. — Zbyt dużo czasu zajęło mi uniezależnienie się od niego.

— Jacyś inni znajomi? Zastanawiałam się przez chwilę.

— Guy Jackson? Harry pokręcił głową.

— George go nienawidzi. Podpisał kontrakt z inną agencją, chociaż George stawał na głowie, żeby go dostać.

— Więc nie ma nikogo. Harry podniósł się powoli.

— Nie ma sensu tego odkładać.

— Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?

— Cholernie. — Wzruszył ramionami. — Przekażę ci to jeszcze ciepłe.

Wrócił po pół godziny. Przez ten czas wykończyłam resztę swoich papierosów i dobrałam się już do jego paczki. Zamknął drzwi, podszedł do biurka i opadł na krzesło.

— Chryste — westchnął. Najwyraźniej tego dnia był to jego ulubiony zwrot.

— W porządku — powiedziałam. — Mów.

— Zrywa twój kontrakt aktorski, ale zatrzymuje pisarski, chociaż usiłowałem go przekonać, żeby z niego też zrezygnował.

— Myślałam, że jesteś moim przyjacielem — odparłam z przekąsem.

— Musisz się jeszcze dużo nauczyć. Gdyby rozwiązał również tę umowę, miałabyś wolną rękę. Znalazłabyś sobie innego agenta. Napisałaś sztukę, która mogłaby mu przynieść jakiś dochód. A w ten sposób agencja trzyma łapę na forsie, podczas gdy ty guzik z tego masz.

Utkwiłam w nim wzrok.

— To nie w porządku.

— Czy powiedziałem, że to jest w porządku?

— Idę się z nim zobaczyć.

— Nie uda ci się. Sekretarka cię nie wpuści. George podniósł umiejętność unikania niepożądanych klientów do poziomu sztuki.

— Czy jest coś, co mogę zrobić?

— Przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz, ale to ci się nie spodoba.

— Co takiego?

— Wypić piwo, którego nawarzyłaś i przeprosić za wszystko. Zadzwoń do Chada Taylora. Powiedz mu, że akurat miałaś okres albo inne babskie problemy, że przemyślałaś sprawę i zdecydowałaś się zagrać. Przypadkiem wiem, że jeszcze nie obsadzili tej roli.

— Jesteś pewien?

— Tak samo jak tego, że tutaj siedzę.

— Czy to twój pomysł, czy George ci kazał, żebyś mi to powiedział?

Widziałam, jak na jego twarz występuje rumieniec.

— George.

— I jeśli tego nie zrobię, jestem skończona? Bez słowa skinął głową.

Znalazłam się w potrzasku. Grali ze mną w jakąś grę i wszyscy byli w tej samej drużynie. W żaden sposób nie mogłam wygrać.

— Zgoda — powiedziałam w końcu. — Połącz mnie z Taylorem.

Okazałam się lepszą aktorką niż sądziłam. Wypiłam nie jedno piwo, a całą beczkę. I podczas lotu na Zachodnie Wybrzeże miałam na dowód tego kaca.

Przysłano samochód na lotnisko, aby odwiózł mnie do hotelu. Zanim jeszcze odebrałam bagaże, kierowca wręczył mi wiadomość od Taylora.

JeriLee,

Nie umawiaj się z nikim na kolację. Przyjadę ze scenariuszem o ósmej trzydzieści. Ubierz się do Chase-na.

Pozdrowienia

Chad

Krótko i węzłowato. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, kto tu rządzi. Teraz nie miało to znaczenia. Byłam tak zmęczona, że pragnęłam tylko położyć się do łóżka i zasnąć.

Kierowca zawiózł mnie do hotelu Regency, usytuowanego przy Hollywood Boulevard między ulicami Fairfax i Laurel Canyon. Dostałam mały, dwupokojowy apartament na pierwszym piętrze, z widokiem na basen.

— Lokujemy tu dużo ludzi z Nowego Jorku — wyjaśnił kierowca. — Jest stąd skrót do wytwórni przez Laurel Canyon.

Umieścił moje bagaże na stojaku i podziękowałam mu. Gdy tylko wyszedł, rozebrałam się, zasłoniłam okna i zamówiwszy budzenie na siódmą czterdzieści pięć położyłam się do ogromnego łóżka.

Właśnie zasypiałam, kiedy zadzwonił telefon. Był to Chad Taylor.

— Wszystko w porządku?

— Doskonale.

— To świetnie — odparł z zadowoleniem w głosie. — Ubierz się odpowiednio. Będzie tam paru ważnych ludzi z prasy.

— Dobrze.

— Do zobaczenia o ósmej trzydzieści.

Rozłączył się. Przekreśliłam się na drugi bok i zamknęłam oczy, gdy telefon znowu zadzwonił. Ze znużeniem podniosłam słuchawkę.

— Halo.

— JeriLee? Mówi John.

W jego głosie nie było ani śladu gniewu. Jak gdyby nic się nie stało.

— Tak.

— Cieszę się, że się opamiętałaś. Już zaczynałem się o ciebie martwić.

— Nic mi nie jest.

— Może zjedlibyśmy razem kolację? Pamiętam, że w niedzielę smakowały ci steki.

— Jestem umówiona. Pan Taylor ma mi dziś wieczorem dostarczyć scenariusz.

— A co robisz potem?

— Idę spać. Jestem nieżywa.

Latanie tam i z powrotem z jednego końca Stanów na drugi nie należało do moich ulubionych rozrywek.

— Muszę się z tobą zobaczyć chociaż na chwilę.

— Idziemy do Chasena. Taylor powiedział, że będzie tam prasa. Nie wiem, o której godzinie wrócę do hotelu.

— Musimy wyjaśnić kilka spraw.

— To może poczekać do jutra. Umrę, jeżeli nie odpocznę.

— W porządku — westchnął. — A tymczasem, czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Nie. — Nagle zmieniłam zdanie. — Tak, możesz. Powiedz swojemu bratu, żeby przestał strzepić sobie na mnie język.

Gdy odłożyłam słuchawkę, byłam zbyt rozdrażniona, aby usnąć. Połknęłam librium i czekając, aż zacznie działać, napeściłam wody do wanny i weszłam do niej. Poczułam, że znużenie wraca. Szybko się wytarłam i wskoczyłam do łóżka. Tym razem usnęłam. Nie na długo jednak. Przed upływem godziny zadzwoniono, aby mnie obudzić.

Kompletnie nieprzytomna połknęłam procha i weszłam pod lodowaty prysznic. Potem powoli zaczęłam doprowadzać się do porządku.

Dzwonek zadzwonił dokładnie o ósmej trzydzieści. Otworzyłam drzwi w szlafroku.

— Niech pan wejdzie. Za parę minut będę gotowa.

— Przywiozłem scenariusz.

— Proszę się rozgościć — powiedziałam, kierując się do sypialni.

Odprowadził mnie do drzwi.

— Moje kwiaty jeszcze tu nie dotarły?

— Nie widziałam ich.

— Powinny tutaj być, kiedy przyjechałaś. Ta cholerna sekretarka. Mogę skorzystać z telefonu?

— Proszę bardzo.

Zniknął w salonie, a ja weszłam do łazienki. Przykleiłam sobie sztuczne rzęsy, podkreśliłam oczy ołówkiem i spojrzałam w lustro. Nieźle jak na taki pośpiech.

Kiedy wróciłam do sypialni, Taylor stał w progu.

— Powiedziała, że je zamówiła.

— Niech się pan nie przejmuj. Dotrą tu. Tak czy inaczej dziękuję.

— Dzisiaj nikt już nie robi niczego tak, jak powinien. Wszystkich trzeba trzymać za mordę.

Nie ruszył się z miejsca i coś mi mówiło, że nie ma takiego zamiaru. Otworzyłam drzwi szafy i stojąc za nimi włożyłam suknię. Była długa, uszyta z czarnego jedwabiu, przylegająca do ciała. Kiedy wyszłam zza drzwi, Taylor wydał cichy, przeciągły gwizd.

— Nieźle.

— Czuję się okropnie.

— Ale tak nie wyglądasz.

— Dziękuję.

Wyciągnęłam z torby etolę z białej angory i zarzuciłam ją sobie na ramiona. — Jestem gotowa. Popatrzył na mnie krytycznie.

— Coś nie w porządku? — zapytałam.

— Nie masz futra?

— Mam, ale lubię zestawienie białej angory z czarnym jedwabiem.

— Włóż futro. Idziemy do Chasena.

Przyglądałam mu się przez chwilę, a potem zdjęłam etolę i włożyłam krótkie futerko z szynszyli.

— Tak lepiej — stwierdził. — Klasa.

Gdy szliśmy do drzwi, zauważyłam leżący na stoliku obok kanapy scenariusz.

— Nie chce go pan wziąć ze sobą? — zapytałam. — Moglibyśmy omówić wszystko przy kolacji.

Potrząsnął głową.

— Będzie tam za dużo ludzi. Przejrzymy scenariusz po powrocie. — Nie dał mi szansy odpowiedzi. — Samochód czeka przed wejściem.

Otwierając przede mną drzwiczki zapytał:

— Jak ci się podoba?

— Piękny. Uśmiechnął się.

— To prawdziwa rzadkość. Kabriolet bentley continental, rocznik pięćdziesiąty piąty. Wypuszczono tylko piętnaście takich samochodów. Zaledwie pięć jest nadal w użyciu.

— To naprawdę coś — przyznałam.

Był to wtorkowy wieczór i u Chasena szumiało jak w ulu. Dostaliśmy jednak duży stół przy drzwiach, gdzie mogli nas widzieć wszyscy wchodzący i wychodzący. Zauważyłam, że jest nakryty tylko na dwie osoby.

— Po tym, co pan powiedział, spodziewałam się towarzystwa — stwierdziłam siadając.

— Restauracja jest zatłoczona — wyjaśnił. — To nie miejsce na rozmowy o interesach. Ludzie będą się przy nas zatrzymywać. Sama zobaczysz.

Miał rację. Nie wystawiłby mnie bardziej na pokaz, nawet gdyby umieścił mnie w witrynie u Macy'ego.

— Najlepszym daniem w karcie są tu żeberka na ostro. Ponieważ zawsze szybko się kończą, zamówiłem je wcześniej, razem z chili na przystawkę. Co ty na to?

— Znakomicie — odparłam. Zjadłabym nawet obrus.

Skinął na kelnera. Najpierw podano kraba Dungeness z sosami musztardowym i pomidorowym, a potem żeberka. Kręciło mi się w głowie od wina i procha, którego połknęłam przed wyjściem. Jakimś cudem udawało mi się jednak prowadzić jako tako zrozumiąłą konwersację, chociaż Taylorowi nie zrobiłoby to prawdopodobnie żadnej różnicy, gdybym całkiem zaniemówiła. Nie przestawał mówić o swojej karierze i o tym, że Universal nic by bez niego nie osiągnął.

Na deser każde z nas wypilo po trzy *Irish coffee* i kiedy o pierwszej w nocy wstaliśmy od stołu, ledwo trzymałam się na nogach. Gdy wróciliśmy do hotelu, Taylor opadł ciężko na kanapę i wziął do ręki scenariusz.

— Teraz możemy popracować — oznajmił. Nie wierzyłam własnym uszom.

— Wprowadziliśmy poprawki — ciągnął. — Ale nie to jest ważne. Wiążę z tobą dalsze plany. Wielkie plany. Rozumiesz?

Mogłam jedynie potrząsnąć głową. Nie rozumiałam.

— Gdy tylko weszłaś do mojego biura, wiedziałem, że jesteś dziewczyną, jakiej szukałem. — Zrobił przerwę, aby mogła do mnie dotrzeć waga tego oświadczenia. — Widzisz, nie zamierzam poprzestać na telewizji. Przygotowuję długi metraż. Poważny film. Interes jest już ubity.

— Gratulacje — udało mi się wybąkać. Skinął głową.

— A ty idealnie nadajesz się do głównej roli. Dziewczyna nowoczesna. Wojownicza. Twarda. Sexy. Inteligentna. Dlatego to takie ważne, abyś wystąpiła w tym programie. Muszę im pokazać, co mogę z tobą zrobić.

Milczałam. Zaczynało mi szumieć w głowie. Otworzył scenariusz.

— A teraz przejrzyjmy to. W czaszkę waliły mi młoty.

— Chad — odezwałam się. — Proszę pana. Podniósł na mnie zdziwiony wzrok.

— Niech pan nie myśli, że nie jestem panu wdzięczna. Naprawdę jestem — ciągnęłam, starając się mówić tak wyraźnie, jak tylko mogłam. — Ale jeżeli nie pozwoli mi pan iść do łóżka, zaraz padnę.

Oprzytomniał i wstał z uśmiechem żalu.

— Oczywiście. Zapomniałem, jaki miałaś dzień. Odprowadziłam go do drzwi.

— Do zobaczenia rano — powiedział. Zaczynałam mieć zawroty głowy.

— Nie martw się o dojazd do wytwórni. Przyślę po ciebie samochód z kierowcą o siódmej rano.

Udało mi się skinąć głową. Musnął wargami mój policzek.

— Dobranoc — rzucił, a potem cofnął się o krok i popatrzył na mnie. — Kiedy następnym razem pójdziemy na kolację, nie wkładaj sukienki z takim dekoltem. Cały wieczór mi stał i przez większość czasu nie wiedziałem, co mówię.

Zamknęłam drzwi i poczułam, że ogarniają mnie mdłości. Ledwo zdążyłam do łazienki. Potem, nadal w ubraniu, rzuciłam się na łóżko i usnęłam.

ROZDZIAŁ 14

Byłam naga, a oni gapili się na mnie jak na kawałek mięsa. Próbowałam się zasłonić dłońmi, ale choćbym nie wiem jak się odwracała, nie mogłam uciec przed ich spojrzzeniami. Białe światła reflektorów szarpały mnie bezlitośnie ze wszystkich stron.

Nie wiedzieć czemu, obecność obcych mężczyzn nie przeszkadzała mi tak bardzo jak tych, którzy mnie znali. Nie dziwiłam się nawet, że wszyscy są ubrani w kostiumy piłkarskie: kaski, osłony na twarz i jaskrawoczerwone koszulki z czarnymi numerami, ani że wszyscy noszą ten sam numer — jedynkę. Najbardziej niezwykle było to, że ich wyposażone w ochraniacze spodenki nie miały przodów i ogromne członki zwisały im niemal do kolan.

Nagle zaczęli się namawiać. Usiłowałam podsłuchać, o czym szepczą, ale słowa do mnie nie docierały. Potem rozproszyli się i zajęli pozycje. Jedyнным zawodnikiem w linii ataku,

którego rozpoznałam, był środkowy napastnik, Harry Gregg. Z tyłu widziałam twarze graczy w polu: Geoge Fox jako łącznik, Chad i John w obronie, a w pewnej odległości za nimi Walter na pozycji stopera.

George wyprostował się i gwałtownym ruchem pokazał najpierw na mnie, a potem na Harry'ego. Ulegając niezrozumiałej presji, podeszłam do linii ataku, uklękłam i wpełzłam między nogi Harry'ego. Zwinęłam się w kłębek jak embrion, przyciągając kolana do piersi i wciskając głowę między uda.

Usłyszałam chrząknięcie. Harry przykucnął, wepchnął mi swoje duże dłonie pod ramiona i zacisnąwszy je mocno na moich piersiach trącił kolanami moje pośladki. Uniosłam się lekko. Chrząknął ponownie i jego długie narzędzie wbiło się we mnie od tyłu. To dziwne, ale nic nie czułam. Ani zaskoczenia, ani oburzenia, ani podniecenia. Nagle Harry eksplodował i jego nasienie spłynęło mi po nogach. Wówczas George krzyknął „Podaj!” nienaturalnym, ochrypłym głosem.

Poleciałam do tyłu między nogami Harry'ego, prosto w ręce George'a. Były szorstkie i twarde, zupełnie niepodobne do miękkich, wypielegnowanych dłoni, jakie miał w rzeczywistości. Wciąż zwinęta jak embrion, poczułam, że z całej siły wpycha mnie na swój członek. Potem zaczął biec, przy każdym kroku na przemian wchodząc we mnie i wychodząc. Chwilę później usłyszałam krzyk Waltera:

— Pozbądź się jej! Do cholery, pozbądź się jej!

Orgazm Geoge'a rozprysnął się we mnie i wystrzelił mnie w niebo jak raketę. Czułam, że wiruję w kółko, a powietrze chłodzi mi skórę.

Unosiłam się teraz nad nimi, wreszcie wolna. Wspaniale jest szybować wysoko jak ptak. Nic oprócz wiatru nie może cię dotknąć. A wiatr cię kocha. Jesteś bezpieczna. Aż nagle zaczęłam spadać.

Spojrzałam w dół. Chad i John biegli ku środkowi boiska.

Strach ścisnął mi żołądek. Słyszałam w głowie swój krzyk, ale na zewnątrz nie wydobywał się żaden dźwięk.

Pragnęłam, aby wiatr mnie podtrzymał. Nie przestawałam jednak spadać, aż zobaczyłam pod maskami zawzięte twarze.

W końcu krzyk wydarł mi się z gardła:

— Nie! Nie! To nie jest gra! Nie jestem piłką!

Wtedy się obudziłam, zlane zimnym potem i roztrzęsiona. Po policzkach płynęły mi łzy. Przez chwilę leżałam wpatrując się w ciemności. Później, wciąż jeszcze drżąc, wyciągnęłam rękę i włączyłam lampę.

Duchy z mojego snu uciekły przed światłem. Popatrzyłam na siebie. Suknię miałam kompletnie pogniecioną, a jej dół był rozerwany z jednego boku, gdyż zaczepił się o obcas, kiedy spałam.

Rzuciłam okiem na zegarek. Dochodziła piąta. Jeszcze dwie godziny i przyjedzie po mnie samochód z wytwórni. Czułam suchość w ustach. Wstałam z łóżka i poszłam do łazienki.

Najpierw umyłam zęby i wypłukałam usta. Potem spojrzałam w lustro.

Oczy miałam zapuchnięte, a twarz bladą i ściągniętą. Patrzyłam na siebie z obrzydzeniem. Potrzebowałam co najmniej dwóch godzin na doprowadzenie się do takiego stanu, w którym mogłabym pokazać się ludziom. Puściłam wodę do wanny i otworzyłam słoiczek z kremem, żeby zmyć sobie makijaż.

Zauważyłam, że nadal drżą mi ręce i automatycznie sięgnęłam po środek uspokajający. Powstrzymałam się jednak. Biorąc jednocześnie prochy i pijąc, nieźle się już urządziłam. Nie istniało inne wytłumaczenie dla tego obłąkanego koszmaru.

Włożyłam pigułkę z powrotem do fiołki. Musiał być jakiś lepszy sposób, żeby dalej funkcjonować.

Spędziłam dwie godziny w charakteryzatorni, gdzie przyciemniono moje jasne włosy i rzęsy oraz wysmarowano mi całe ciało kremem, który nadał mojej skórze kolor matowej miedzi. Potem wybrano dla mnie kostium — krótką, luźną tunikę z irchy, ozdobioną kolorowymi paciorkami. Nazywali ją Debra Paget. Aktorka ta była ostatnią osobą, która ją nosiła. Grała wówczas matkę Cochise'a w starym filmie Jeffa Chandlera. Przed dziesiątą zawieziono mnie na tyły wytwórni, gdzie kręcono zdjęcia.

Chad podszedł do mnie, gdy wysiadłam z samochodu, i pocałował mnie w policzek.

— 'Wyglądasz rewelacyjnie — zauważył. — Dobrze spałaś? Skinęłam głową.

— Świetnie — odparł.

Następnie przedstawił mi mężczyznę, który zbliżył się do nas wolnym krokiem.

— To twój reżyser, Marty Ryan. JeriLee Randall. Ryan miał na sobie wypłowiałą błękitną koszulę i kowbojskie dżinsy. Mocno uściskał moją dłoń.

— Miło mi cię poznać, JeriLee — powiedział z nosowym akcentem z Zachodu.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Gotowa do pracy? Przytaknęłam.

— To dobrze — stwierdził. — Przygotowaliśmy twoje pierwsze ujęcie.

Ogarnęła mnie panika.

— Dostałam scenariusz dopiero wczoraj wieczorem — wyjaśniłam pospiesznie. — Jeszcze go nie przeczytałam. Nie znam swojego tekstu.

— Żaden problem — odrzekł. — W tych scenach nie ma dialogów. Chodź ze mną.

Podeszliśmy do platformy ze sprzętem, która stała przed dekoracjami wyobrażającymi obóz indiański. Kilku mężczyzn ubranych w kostiumy Indian siedziało wokół drewnianej skrzyni, grając w karty. Dwaj kowboje pilnowali koni.

— Hej, Terry — zawołał reżyser. — Przyrowadź tutaj jej wierzchowca.

Niższy z kowbojów wybrał ze stada dużego, białego konia i ruszył w moją stronę. Reżyser odwrócił się do mnie.

— To proste ujęcie — wyjaśnił. — Wychodzisz z tamtego namiotu, rozglądasz się przez chwilę, a potem podbiegasz do konia, wskakujesz mu na grzbiet i odjeżdżasz.

Gapiałam się na niego, zbyt osłupiała, aby się odezwać. Wziął moje milczenie za zmieszanie.

— To tylko brzmi skomplikowanie — uspokoił mnie łagodnie.

Potrząsnęłam głową.

— Ktoś popełnił poważny błąd. Reżyser był zbity z tropu.

— Co masz na myśli?

— W scenariuszu, który czytałam, nie było żadnych scen na koniu.

— Przerobiliśmy scenariusz, żebyś miała więcej do grania — wytłumaczył. — Teraz to kluczowa rola. Jesteś praktycznie wodzem szczepu, ponieważ twój ojciec został ranny.

— Brzmi to wspaniale — odrzekłam. — Jest jednak pewien problem. Nie umiem jeździć konno.

— Co takiego?

Nie umiem jeździć konno — powtórzyłam. Utkwił we mnie tępe spojrzenie. Chad podszedł do nas, czując, że coś jest nie w porządku.

— Co się stało? — zapytał. Reżyser zwrócił się do niego.

— Ona nie potrafi jeździć konno. Chad popatrzył na mnie.

— Nie potrafisz jeździć konno? Pokręciłam głową.

— Nigdy nawet nie siedziałam na koniu.

— Cholera jasna — wybuchnął Chad. — Dlaczego do diabła nic nie mówiłaś?

Nie pytałeś o to — odparłam. — Poza tym w scenariuszu, który widziałam, nie było żadnych scen jazdy konnej.

— Co teraz zrobimy? — zapytał reżyser.

— Użyjemy dublerki — odrzekł Chad.

Nie da rady — stwierdził stanowczo reżyser. — To jest film telewizyjny. Każde ujęcie to zbliżenie. Żaden kant nie przejdzie.

Chad odwrócił się do kowboja.

Jak uważasz, ile czasu zajęłoby nauczenie jej? Mały popatrzył na mnie spod przymkniętych powiek, przesunął pod policzek prymkę tytoniu i splunął na ziemię.

— Jeżeli uczy się szybko, trzeba około tygodnia, żeby opanowała to, czego wymaga scenariusz.

Jesteśmy załatwieni! — powiedział reżyser tonem pełnym obrzydzenia i oddalił się.

— Wiedziałem — odezwał się Chad. — Wiedziałem. Od

pierwszej chwili, gdy tylko weszłaś do mojego biura, czułem, że będą z tobą kłopoty.

— Nie miej do mnie pretensji — odparłam ze złością. — Przede wszystkim nie chciałam tej pieprzonej roli. Ale ty nie przyjąłeś mojej odmowy do wiadomości.

— Skąd do cholery mogłem wiedzieć, że nie umiesz jeździć konno?

— Jedyne konie, jakie kiedykolwiek widziałam, stały przed hotelem Plaża w Nowym Jorku, zaprzężone do powozu.

— Cholerny pech — jęknął Chad.

— Co mam zrobić z Queenie? — zapytał mały kowboj. Chad rzucił mu spojrzenie, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do jego życzeń w tym względzie.

— Czy to łagodny koń? — zwróciłam się do kowboja.

— Jak dziecko — odparł. — Wszystkich kocha.

— Pomóż mi wsiąść — poprosiłam. — Zobaczymy, jak to jest.

Przykucnął obok konia i splótł dłonie w siodełko.

— Postaw tu lewą nogę — polecił. — A prawą przerzuc górami.

Postąpiłam według jego wskazówek i wszystko szło dobrze, aż do chwili, gdy przekładałam nogę nad grzbietem.

Koń ruszył, ja robiłam dalej swoje, i wylądowałam w błocie po drugiej stronie.

— Nic ci się nie stało? — zapytał Chad ze strachem. Podniosłam się na łokciu. Całą twarz i sukienkę miałam w błocie. Popatrzyłam na nich.

— Przepraszam, chłopcy — powiedziałam.

Nagle dotarła do mnie absurdalność całej tej sytuacji i wybuchnęłam śmiechem. Myśląc, że wpadłam w histerię, szybko pomogli mi wstać.

— Wezwijcie lekarza! — krzyknął Chad i zwrócił się do mnie. — Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze.

Ja jednak nie mogłam przestać się śmiać i jeszcze przed wieczorem usunięto mnie z obsady.

ROZDZIAŁ 15

Chad odwiózł mnie do hotelu. Po drodze zatrzymał się przy sklepie monopolowym i kupił szkoocką. Przez niecałą godzinę od powrotu do mojego pokoju wlał w siebie pół butelki. Była już prawie ósma, kiedy wreszcie wstał, chwiejąc się na nogach.

— Chodźmy coś zjeść.

Nie był w stanie usiąść za kierownicą.

— Może zamówimy kolację do pokoju? — podesunęłam. Tu nie ma takiej możliwości. Myślisz, że wytwórnia umieściłaby cię gdzieś, gdzie mogłabyś obciążać ich rachunek? Nie odpowiedziałam.

— Zjemy na mieście.

— Nie chcę, żebyś prowadził — zaprotestowałam.

— Możemy się przejść. Jest parę knajp przy Bulwarze.

— Zgoda — odparłam.

Poszliśmy do restauracji na północnej stronie ulicy naprzeciwko drugstore'u Schwaba. Jak większość kalifornijskich lokali, była słabo oświetlona, a w pobliżu wejścia, obok baru stało pianino. Kilka osób siedziało wokół z kieliszkami w dłoniach. Minęliśmy ich i główny kelner zaprowadził nas do stolika.

— Żeberka są dziś wyjątkowo dobre — powiedział. Chad popatrzył na mnie. Skinęłam głową.

— Niech będą dwa razy — zarządził. — Ale najpierw proszę mi podać podwójną szkoocką z lodem.

Żeberka były tak dobre, jak obiecywał kelner. Chad nie tknął jednak swojej porcji. Wolał kolację w płynie.

— Nie jesz — zauważyłam.

— Nie matkuj mi tak — odparł.

Zamilkłam. Kelner przyniósł kawę i Chad upił łyk.

— Jakie masz plany? — zapytał.

— Prawdopodobnie wrócę jutro do Nowego Jorku. Masz tam coś konkretnego do roboty?

Zacznę znowu nachodzić mojego agenta.

— Przykro mi z powodu tego, co zaszło.

— To wielka loteria — odrzekłam.

— Chcę ci podziękować za to, że spróbowałaś wsiąść na tego konia — ciągnął. — Gdybyś tego nie zrobiła, wszystko szlag by trafił.

Nic nie rozumiałam. Milczałam jednak.

— To pozwoliło nam wybrnąć z sytuacji. Lekarz uznał, że to wypadek. Ubezpieczenie pokryje straty wynikłe z przerwy w zdjęciach. Wytwórnia nie traci ani centa i w ten sposób wszyscy są zadowoleni...

Nadal się nie odzywałam. Rzucił mi spojrzenie.

— ...oprócz mnie. Czuję, że moglibyśmy wiele razem zdziałać.

— Może kiedyś nam się to uda.

— Nie. — Z żalem potrząsnął głową. — Nic już z tego nie wyjdzie. Zbyt wiele się tu dzieje. Co tydzień nowy program. Trzeba iść do przodu.

— A co z długim metrażem, o którym mi mówiłeś? — zapytałam. — Przecież nadal możemy go nakręcić.

— Właśnie dlatego chciałem, żebyś zagrała w tym filmie. Wytwórnia woli pracować z ludźmi, których zna ze swoich własnych produkcji.

— Przykro mi — odparłam.

— To nie twoja wina — pocieszył mnie. — Robiłaś, co mogłaś.

Kelner podszedł i dolał nam kawy.

— Byłaś kiedyś w Vegas? — zapytał Chad.

— Nie.

— Więc może zostaniesz? — zaproponował. — Jutro wieczorem jedziemy tam całą paczką na otwarcie tournée Sinatry. Zabawimy się trochę i polecisz do Nowego Jorku stamtąd.

— Raczej nie.

— Nie będzie żadnych baletów. Dostaniesz osobny pokój.

— Nie, dziękuję. Nie czuję się na siłach. Pojadę do domu i kilka najbliższych dni spędzę w łóżku.

Milczał przez chwilę.

— Czy między tobą a Johnem jest coś poważnego?

— Nie.

— Nie musiałaś odpowiadać — dodał szybko. — To nie moja sprawa.

— Już odpowiedziałam.

Nie chcę, żebyś wyjechała — nie rezygnował.

— Dlaczego?

— Jeżeli wyjedziesz, będę czuł, że mi się nie powiodło. A ja nie lubię przegrywać.

Zaczął mnie irytować.

Chodzi ci o to, że nie chcesz, abym wyjechała, zanim się ze mną prześpisz, tak?

Niezupełnie. Cóż, może. Naprawdę nie wiem.

Dlaczego nie powiesz wprost, co masz na myśli? — zapytałam. — A może właśnie w taki sposób faceci prowadzą tutaj grę?

Nie prowadzę żadnej gry — zaprotestował.

— Więc o co ci chodzi?

— Słuchaj — warknął — nie widzę powodu, żebyś mnie tak przesłuchiwała. Przez ciebie wpakowałem się w kłopoty.

— Masz całkowitą rację — przyznałam. — Przepraszam. Rozluźnił się i uśmiechnął.

— Nie masz za co przepraszać — stwierdził. — To ty miałaś całkowitą rację. Rzeczywiście chcę się z tobą przespać.

Kiedy nie odpowiedziałam, poprosił o rachunek. Po powrocie do hotelu poszedł za mną do pokoju i zaczął zdejmować marynarkę. Powstrzymałam go.

— Jesteśmy przyjaciółmi?

— Tak.

Czy zrozumiałbyś, gdybym ci powiedziała, że nie jestem jeszcze na ciebie gotowa? Miałam ostatnio do czynienia z takim gównem, że musi minąć trochę czasu, zanim będziemy mogli to zrobić.

— Nie nabierasz mnie? — zapytał po chwili milczenia.

— Mówię szczerze. Nie mam ci nic do zarzucenia. Podobasz mi się. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa.

Z powrotem wsunął rękę w rękaw marynarki.

— Pomyślałam, że zwariowałam, ale wierzę ci.

— Dzięki, Chad.

— Mogę do ciebie zadzwonić, kiedy będę w Nowym Jorku?

— Sprawisz mi przykrość, jeśli tego nie zrobisz. Odprowadziłam go do drzwi.

— Więc do zobaczenia — powiedział i szybko mnie pocałował.

Niemal w tej samej chwili, gdy zamykałam drzwi za Chadem, odezwał się telefon. Był to John.

— Dzwonię do ciebie przez cały wieczór — stwierdził.

— Dopiero co wróciłam z kolacji.

— Wiem, ale muszę się z tobą zobaczyć.

— Powinnam się spakować — odparłam. — Odlatuję pierwszym rannym samolotem.

— Słyszałam, co się stało w wytwórni. Zajmę ci tylko parę minut. Nie możesz wyjechać, nie dając mi szansy, żebym ci wszystko wyjaśnił.

Zastanawiałam się przez moment.

— Jak szybko możesz tu być? — zapytałam.

— Zaraz — odrzekł. — Jestem na dole w recepcji. Zjawił się ledwo odłożyłam słuchawkę.

— Wejdz — zaprosiłam go.

Wszedł za mną do pokoju. Wskazałam opróżnioną do połowy butelkę szkockiej, którą zostawił Chad.

— Napijesz się?

— Tak, chętnie.

Wyjęłam z lodówki kilka kostek lodu i nalałam mu zdrowego drinka. Wyglądał na zmęczonego. Pociągnął solidny łyk i na twarz zaczęły mu wracać rumieńce. Wskazałam mu miejsce na kanapie, a sama usiadłam na krześle naprzeciwko.

— Nie wiem, co we mnie wstąpiło — stwierdził. Nigdy się tak nie zachowuję.

Nie odezwałam się.

— Chciałbym cię przeprosić — ciągnął.

— Nie masz za co przeproszać. Ja też zawiniłam. Nie znałam reguł gry.

— To nie była gra — zaprotestował. — Zależy mi na tobie. Naprawdę.

Nie miałam nic do powiedzenia. Pociągnął kolejny łyk.

— Nie chcę, żebyś jutro wyjechała. Wróc ze mną na plażę i zacznijmy od początku. Tym razem wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

To się nie uda — odparłam łagodnie. — Teraz już to wiem.

Zaczął mnie przekonywać ze zdwojoną żarliwością.

— Uda się. Wiem, że się uda. Pamiętasz, jak pięknie było tamtej nocy? Będzie tak znowu, jeśli tylko dasz mi szansę. Patrząc na niego pomyślałam, jak mało rozumie. Pamiętał wyłącznie to, jak się wtedy czuł. Wydawało się, że wymazał z pamięci wszystko, co zdarzyło się potem.

Ja jednak nie potrafiłam. To, co między nami zaszło, wpłynęło na sposób, w jaki go oceniałam. Zmienił się mój stosunek do niego. Ale widząc go tak ponizonego, zrozumiałam, że jeśli powiem mu prawdę, upokorzę go jeszcze bardziej. Więc skłamałam.

— Muszę wracać — odrzekłam. — Fannon i Guy mają jakieś pomysły i chcą, żebym natychmiast wzięła się do pracy. Starają się wystawić sztukę miesiąc wcześniej niż planowali.

Odetchnął głęboko. Widziałam, jak z jego twarzy odpływa napięcie. Z taką odmową mógł się pogodzić. Z powodów zawodowych, a nie osobistych.

— Czy dla ciebie też było to piękne? — zapytał. Podniosłam się.

— Było piękne.

Wstał z kanapy i spróbował mnie objąć. Położyłam mu dłoń na ramieniu, aby go powstrzymać.

— Nie.

Popatrzył na mnie pytająco.

Jestem bardzo zmęczona — wyjaśniłam. — Nie miałbyś dziś ze mnie żadnego pożytku. — Przypomniał mi się mój koszmarny sen. — W ciągu ostatnich dwóch dni latałam tam i z powrotem tyle razy, że czuję się jak piłka futbolowa. Nie odezwał się.

— Rozumiesz? — zapytałam. — Nie jestem maszyną, tylko człowiekiem. I muszę wreszcie odpocząć.

Skinął głową.

— Stale zapominam, że kobiety znoszą zmiany czasu gorzej niż mężczyźni.

Utkwiłam w nim wzrok. To, co mówił, nie miało najmniejszego sensu, ale w tym momencie chciałam wyłącznie iść do łóżka, więc zgodziłam się z nim.

— A zatem pozwolę ci odpocząć.

Pocałował mnie. Nie czułam zupełnie nic, on jednak zdawał się tego nie zauważać.

— Będziemy w kontakcie — powiedział.

— Tak. Uśmiechnął się.

— Cieszę się, że mogliśmy odbyć tę rozmowę.

— Ja także.

— Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała czas. Pocałował mnie ponownie i zamknęłam za nim drzwi.

Wróciłam do pokoju. Spojrzałam na butelkę po whisky, podniosłam ją i wyrzuciłam do kosza. Potem poszłam do sypialni. Rozebrałam się, wpełzłam naga między prześcieradła i zamknęłam oczy. Pamiętam swoją ostatnią myśl przed zaśnięciem.

Cholera.

Mężczyźni.

ROZDZIAŁ 16

Kiedy wyszliśmy z pogrążonego w ciemnościach teatru, nadal padał gęsty śnieg. Max, tęgi i niski kierownik organizacyjny, pospieszył ku nam przez hall.

— Pan Fannon wrócił limuzyną do hotelu. Miał kilka ważnych spotkań. Powiedział, że ją zaraz odeśle. — Max sapał z wysiłku. — To nie potrwa długo — dodał.

Popatrzyłam na Guya.

— Miałbyś ochotę się przejść? — zapytałam.

— Śnieg sięga nam do tyłków — odparł.

— No to co. To tylko trzy ulice stąd. Poza tym spacer dobrze by mi zrobił.

— Zgoda. — Spojrzał na Maxa. — Zatrzymaj samochód dla aktorów.

— Tak jest, proszę pana.

Idąc powoli, z pochylonymi głowami, mineliśmy dwie przecznice nie odezwawszy się do siebie ani słowem. Pług śnieżny wyprzedził nas, rozpylając śnieg na boki. Zatrzymaliśmy się na rogu, aby go przepuścić.

Całe przedstawienie przelatywało mi przez głowę. Echo głosów aktorów w niemal pustej sali, śmiech, który się nie rozległ, dialogi, które wypadły blado, krytycy odwracający twarze, gdy wychodzili z teatru.

— Kompletna kłapa — stwierdziłam.

— Jesteś dla siebie niesprawiedliwa. Popatrz, co mieliśmy przeciwko sobie. To najgorsza pieprzona śnieżycyca od pięciu lat.

— W teatrze nie padało — odparłam. — Nic nie szło tak, jak powinno, a aktorzy wciąż kładli swoje kwestie. Jedną po drugiej.

— Denerwowali się — uspokajał mnie Guy. — Jutro wieczorem zagrają lepiej. Właśnie dlatego sztuki ruszają w trasę. Żeby można było wyłapać niedociągnięcia.

Doszliśmy już prawie do hotelu.

— Spektakl jest za długi — odezwałam się. — Może gdybym wycięła po pięć minut z każdego aktu, to by coś pomogło.

— Z pierwszego dziesięć — poprawił mnie. — W nim tkwi cały problem. Nie przykuwamy uwagi publiczności dostatecznie szybko.

Pchnęliśmy drzwi i uderzył nas podmuch ciepłego powietrza.

— Czujesz się na siłach, żeby popracować? — zapytał Guy, gdy odbieraliśmy z recepcji klucze.

— Przecież po to tu jestem. Wykrzywił się w uśmiechu.

— U ciebie czy u mnie?

— U ciebie — zdecydowałam. — Przyniosę maszynę. Reżyserzy i gwiazdy dostawali apartamenty. Autorzy stali nisko w hierarchii i lokowano ich w małych, jednoosobowych pokojach. Chyba że mieli szczęście być moim eks-mężem. Podeszliśmy do windy.

— Zamówię kanapki i kawę — powiedział Guy.

— Daj mi pół godziny na prysznic i przebranie się — odparłam.

— Nie ma sprawy.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam po wejściu do pokoju, był olbrzymi kosz kwiatów, stojący na toalecie.

Przeczytałam bilecik.

Z życzeniami szczęścia i sukcesów. Jesteśmy bardzo dumni z naszej dziewczynki

Mama i Tata

Spojrzałam przez okno na opadającą kurtynę śniegu, potem znów na kwiaty i rozplakałam się.

Pracowaliśmy już prawie trzy godziny, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— Przepraszam, że przeszkadzam — usprawiedliwił się Max — pan Fannon pragnie pana natychmiast widzieć w swoim apartamencie.

— Powiedz mu, że zaraz przyjdę — odparł Guy.

— Jak myślisz, czego on może chcieć o tej porze? — zapytałam.

— Nie wiem. Prawdopodobnie chce mi powiedzieć, że sztuka wymaga poprawek i co należy zmienić. — Włożył sweter. — Dokończ ten kawałek z pierwszego aktu. Według mnie to sporo pomogło. Zaraz wracam.

Wrócił jednak dopiero po półgodzinie. Przez ten czas skończyłam poprawiać pierwszy akt i zaczęłam pracować nad drugim. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Guya, abym zrozumiała, że wiadomości są złe.

— Fannon chce zdjąć sztukę — oznajmił.

— Nie może tego zrobić — zaprotestowałam. — Mamy prawo do więcej niż jednego przedstawienia.

— Jest producentem. Może robić, co mu się żywnie podoba. To on rządzi pieniędzmi.

— Dlaczego? — zapytałam. — Nie widzieliśmy jeszcze recenzji.

— On przeczytał już wszystkie — odparł Guy. — Ma wtyczki w prasie. Dostał szczotki artykułów, które ukażą się w porannych gazetach.

— Co napisali?

— To rzeź. Wszystkie co do jednej. Krwawa rzeź.

— Powiedziałeś mi, co robimy?

Owszem — mruknął. — Stwierdził, że powinniśmy byli pomyśleć o tym przed premierą. Ale udało mi się wymóc na nim przynajmniej jedno. Poprosiłem, aby nie podejmował ostatecznej decyzji, dopóki nie porozmawia z tobą. W końcu to twoja sztuka.

— Chce mnie zobaczyć teraz? — zapytałam. Guy skinął głową.

— Co mam mu powiedzieć?

Wytłumacz mu jeszcze raz, co robimy. Musisz go przekonać, że sztuka ma szansę. Wiesz, że robimy dobrą robotę. Nie pozwól, żeby nas zatrzymał w pół drogi. Musimy wystawić ten spektakl w Nowym Jorku. Wstałam.

— A jeżeli mnie nie posłucha?

Po raz pierwszy w ciągu naszej wieloletniej znajomości zobaczyłam, jak z Guya wychodzi kurestwo. Rozciągnął usta w pogardliwym uśmiechu, odsłaniając przy tym zęby i mimowolnie podniósł głos o ton wyżej.

— Na miłość boską, JeriLee! Gdyby Fannon lubił chłopców, obciągnąłbym mu fiuta, byle tylko wprowadzić to przedstawienie na Broadway. Jesteś kobietą. Chociaż raz spróbuj ruszyć dupą zamiast głową. Ta sztuka musi być dla ciebie tego warta!

Słowa Guya przelatywały mi przez głowę całą drogę do Apartamentu Prezydenckiego, w którym zatrzymał się Fannon. Nie chodziło tu tylko o pieniądze. Dla mnie była to kwestia być albo nie być w agencji. Jeśli sztuka padnie, będę skończona.

Fannon otworzył mi drzwi ubrany w czerwony, aksamitny szlafrok. Sądziłam, że coś takiego istnieje wyłącznie w starych filmach.

— Witaj, kochanie — powiedział.

Pochyliłam się lekko, aby całując mnie w policzek nie musiał wyciągać szyi.

— Dobry wieczór, Adolfie.

— Mam oziębioną butelkę szampana. Przekonałem się, że dobrze jest wypić trochę dla kurażu, kiedy trzeba stawić czoło rzeczywistości.

Bez słowa weszłam za nim do pokoju. Wino chłodziło się

w stojącym przy oknie wiaderku. Fannon uroczyście napełnił dwa kieliszki i podał mi jeden.

— Na zdrowie — rzucił. Wypiliśmy.

— Dom Perignon — dodał. — Tylko to, co najlepsze. Skinęłam głową.

— Guy powiedział ci o recenzjach?

— Tak, ale moim zdaniem nie powinieneś się nimi sugerować. Komedii nie można grać przy pustej sali. Dlatego w programach telewizyjnych puszcza się śmiech z taśmy. Szkoda, że nie możemy zrobić tego w teatrze.

Fannon ponownie nalał nam szampana.

— Nie myślisz realistycznie. Uwierz mi, skarbie. Mam za sobą lata doświadczeń w tych sprawach. Po takim początku sztuka nigdy nie osiągnie powodzenia.

— To się uda, Adolfie — upierałam się. — Wiem, że się uda. Guy i ja wprowadzamy poprawki. Rozwiązaliśmy wszystkie problemy w pierwszym akcie i możemy wyczyścić pozostałe dwa.

— Na zdrowie — powtórzył i pociągnął łyk szampana. Zastanawiałam się, czy w ogóle słyszał to, co powiedziałam.

— Musisz nam dać szansę — jęknęłam, a potem mimo woli wybuchnęłam płaczem.

Zaprowadził mnie na kanapę, wyjął z biurka chusteczkę higieniczną i wcisnął mi ją do ręki.

— No no, kochanie. Nie wolno ci brać sobie tego tak do serca. Musisz to potraktować jako doświadczenie. Przecież to twoja pierwsza sztuka. Będą następne.

Nie mogłam przestać płakać.

— To się uda — łkałam. — Wiem, że się uda. Fannon usiadł przy mnie, przyciągając sobie moją głowę do piersi i delikatnie pogłaskał mnie po włosach.

— Posłuchaj człowieka niemal tak starego, że mógłby być twoim ojcem. Wiem, co czujesz. Przecież ja czuję to samo. Nie chcę stracić osiemdziesięciu tysięcy dolarów, ale to już lepsze niż pojechać z przedstawieniem do Nowego Jorku i stracić kolejne siedemdziesiąt tysięcy. Trzeba się nauczyć, jak zapobiegać dalszym stratom. W pewnym sensie ciebie też to dotyczy. Kiedy przyjdzie czas na wystawienie twojej następnej

sztuki, nikt nie będzie pamiętał krytyk z New Haven. Gdybyś jednak zebrała złe recenzje w Nowym Jorku, ludzie nigdy tego nie zapomną.

— Nie obchodzi mnie to — zawołałam. — Wiem, że sztuka będzie miała powodzenie.

Nie przestawał głaskać mnie po włosach, podczas gdy ręka, którą obejmował mnie w talii, sunęła w górę.

Odwrociłam się i pozwoliłam, aby moja pierś wpadła mu w dłoń.

— Adolfie — zaczęłam. — Nie wiesz, jak bardzo zawsze podziwiałam twoją odwagę jako producenta. Czułam, że jesteś jedynym człowiekiem, który mnie nigdy nie zawiedzie.

— Nie zawiodłem cię. — Odchrząknął. — Po prostu staram się być praktyczny.

Tym razem pozwoliłam mu dotknąć obydwu piersi. Dziwny rumieniec oblał mu twarz. Zerwał się na równe nogi i podał mi kieliszek szampana.

— Wypij to — polecił.

W jego głosie było coś, czego nigdy dotąd u niego nie słyszałam. Nagle uświadomiłam sobie, że ta mała poczwara jest również mężczyzną. Wysączyłam wino.

— Chcę iść z tobą do łóżka — przyznał. — I wiem, że jesteś gotowa przespać się ze mną. Ale czy nadal byłabyś taka chętna, gdybym zdjął sztukę?

— Nie — odparłam, patrząc mu w oczy.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem wychylił swój kieliszek. Nieoczekiwanie uśmiechnął się i poklepał mnie po policzku.

— Lubię cię — stwierdził. — Jesteś przynajmniej szczerą.

— Dziękuję — odrzekłam. — Co z przedstawieniem?

— Zdejmę je. Coś ci jednak obiecuję. Jeżeli napiszesz nową sztukę, przyniesiesz ją do mnie. Zrobimy drugie podejście. Wstałam. Nie czułam się już jak dziwka.

— Dziękuję ci, Adolfie — powiedziałam. — Jesteś dżentelmenem.

Otworzył mi drzwi. Nadstawiłam policzek do pocałunku na dobranoc, a potem poszłam prosto do swojego pokoju.

Nie było sensu wstępować do Guya.

Sztuka zeszła z afisza w New Haven.

ROZDZIAŁ 17

- Nowoczesne meble to niechodliwy towar — stwierdził mężczyzna.

Me odpowiedziałam. Wszyscy handlarze używanymi meblami, którzy przychodzili oglądać mieszkanie, mówili mi to samo.

— Dywany należą do pani? — zapytał. Skinęłam głową. Popatrzył na nie z dezaprobatą.

— Biel i beż. Niedobre kolory. Ciężko je utrzymać w czystości.

To także już słyszałam.

Zabrzącał telefon. Odebrałam go z nadzieją, że to mój nowy agent dzwoni w sprawie spotkania z włoskim producentem, które próbował mi załatwić.

Było to towarzystwo telefoniczne. Chodziło o rachunek, z którym zalegałam od dwóch miesięcy. Uprzejmie, ale stanowczo, poinformowali mnie, że będą zmuszeni wyłączyć mi telefon, jeżeli do rana czek nie wpłynie do ich biura. Odparłam, że właśnie go wysłałam i odłożyłam słuchawkę. Skłamałam, ale nie miało to żadnego znaczenia. Jutro już mnie tu nie będzie.

Handlarz wyszedł z sypialni.

— Usunęła pani niektóre meble — powiedział z wyrzutem. — Poznałem po śladach na dywanie. Nie znalazłem też żadnych sreber, talerzy ani garnków.

— Na sprzedaż jest to, co pan widzi — odparłam. Zastanawiałam się, czy on myśli, że mam zamiar żyć na walizkach. Potrzebne mi rzeczy były już w małej kawalerce, którą wynajęłam na West Side.

— Czy ja wiem — westchnął niezdecydowanie. — Trudno będzie opchnąć ten towar.

— Meble są prawie nowe. Mają tylko rok. Poza tym kupowałam same najlepsze. Kosztowały mnie ponad dziewięć tysięcy dolarów.

— Trzeba było przyjść do nas — stwierdził. — Zaoszczędzilibyśmy pani dużo pieniędzy.

— Wtedy o was nie wiedziałam.
— Na tym polega problem z większością ludzi. O wszystkim dowiadują się za późno. — Wskazał na kanapę. — Ile pani za to chce?
— Pięć tysięcy dolarów.
— Nikt pani tyle nie da.
— Ile pan proponuje?
— Tysiąc dolarów.
— Nie mamy o czym mówić — odparłam, idąc do drzwi. — Dziękuję, że zechciał się pan pofatygować.
— Chwileczkę. Ma pani lepszą ofertę?
— Tak. Dużo lepszą.
— O ile? O sto, dwieście? Nie odpowiedziałam.
— Hammersmith nie zapłaciłby pani więcej niż tysiąc dwieście — zauważył. Znał konkurencję. Dokładnie taką sumę mi zaproponowano.
— Zaryzykuję — ciągnął. — Dam pani tysiąc trzysta. To moje ostatnie słowo.
— Nie, dziękuję — odrzekłam, patrząc na niego twardo i przytrzymując otwarte drzwi. Ponownie omiół pokój szacującym spojrzeniem.
— Jak szybko mógłbym zabrać towar?
— Jeśli o mnie chodzi, może pan wziąć go teraz ze sobą.
— Dziś po południu?
— Jak pan sobie życzy.
— Czysta hipoteka, żadnych zaległych rat? Wolne od obciążeń? Podpisze pani oświadczenie?
— Tak.
Westchnął z niechęcią.
— Mój wspólnik pomyśli, że zwariowałem, ale dam pani tysiąc pięćset. To jest bezwzględnie moja najwyższa cena. Było to o trzysta dolarów więcej niż mi dotąd proponowano. A on był już czwartym handlarzem, z którym się widziałam.
— Gotówką — zażądałam. — Nie czekiem.
Jego czek nie wpłynąłby na moje konto w porę, aby pokryć czek, który wystawiłam, płacąc czynsz za nowe mieszkanie.

— Oczywiście.

— Sprzedane — stwierdziłam, zamykając drzwi.

— Czy mogę skorzystać z telefonu? — zapytał. — Jeśli pani zaczeka, ciężarówka może tu być za godzinę.

— Zaczekam — odpowiedziałam.

Zdażyłam do banku tuż przed trzecią. Wpłaciwszy pieniądze, wyszłam na łagodne majowe popołudnie i zdecydowałam, że skoro agent nie dzwoni, pójdę się z nim zobaczyć. W autobusie zbadałam stan swoich finansów. Obliczyłam, że po zapłaceniu wszystkich rachunków zostanie mi osiemset dolarów.

Hałaśliwe biuro Lou Bradleya w Brill Building w niczym nie przypominało eleganckiej siedziby Artists Alliance. Również Lou nie był takim agentem, jakiego bym sobie życzyła, nie miałam jednak wielkiego wyboru. Zanim zwróciłam się do niego, próbowałam we wszystkich poważnych firmach — u Williama Morrisa, w AFA i CM A. Traktowano mnie uprzejmie, ale nie okazywano zainteresowania. Wyglądało to tak, jakbym nagle stała się trędowata. Staralam się patrzeć na to trzeźwo. Nikt nie chce współpracować z kimś, komu się nie powiodło, a ja miałam na koncie aż trzy porażki, nieważne, z czyjej winy. Mimo obietnic Johna, jego brat wyciął z filmu moją rolę, potem był ten epizod w Universalu, a na koniec sztuka.

Najbardziej zabolą mnie sprawa sztuki, i to nie tylko dlatego, że przedstawienie zeszło z afisza. Zaczęły mnie dochodzić słuchy, że Guy zrzuca winę na mnie, twierdząc, że okazałam złą wolę i odmówiłam wprowadzenia zmian, jakie proponował. Próbowałam się do niego dodzwonić, przekonana, że potrafię go uciszyć, nie udało mi się go jednak złapać. Po powrocie do Nowego Jorku otrzymałam z Artists Alliance zawiadomienie o zerwaniu mojego kontraktu.

Byłam oszołomiona. Harry Gregg nic mi o tym nie wspominał. Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do niego. Odezwał się czujny głos.

— Tak?

— Musiała zajść jakaś pomyłka — zaczęłam. — Właśnie

dostałam zawiadomienie, że agencja zrywa ze mną umowę, a ty nic na ten temat nie mówiłeś.

— To nie moja robota — odparł. — Tylko tych z góry.

— Ale wiedziałeś o tym? Zawahał się.

— Tak.

Więc dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Myślałam, że jesteś moim przyjacielem.

— Jestem. Ale ja tutaj pracuję. I nie wtrącam się w nie swoje sprawy.

— Rozmawialiśmy przecież o dalszych planach, o tym, co masz zamiar zrobić — ciągnęłam. — I przez cały czas wiedziałeś, że nie zrobisz nic.

— A czego się spodziewałaś? Że ci powiem „nie zawracaj mi głowy, skarbie, jesteś skończona”?

— Coś mogłeś powiedzieć.

— Dobrze. Więc powiem ci to teraz. Nie zawracaj mi głowy, skarbie, jesteś skończona.

Zostałam ze słuchawką w ręku. Byłam urażona i zła, ale nie miałam czasu na łzy. Potrzebowałam nowego agenta oraz nowej pracy, i to natychmiast.

Ani jednego ani drugiego nie znalazłam jednak tak szybko, jak bym sobie życzyła. Pieniądze z zaliczki za sztukę skończyły się, zanim się zorientowałam. Moi rodzice musieli chyba wyczuwać, że coś jest nie tak, bo na dwudzieste piąte urodziny przysłali mi czek na dwa i pół tysiąca dolarów. Wtedy się rozplakałam.

Musiałam czekać pół godziny, aż Lou skończy rozmowę telefoniczną. Pod tym względem nie różnił się od innych agentów. Wszyscy mieli fioła na punkcie telefonu. W końcu sekretarka dała mi znak, że mogę wejść do jego gabinetu.

Popatrzył na mnie swymi bladoniebieskimi, Wodnistymi oczami osadzonymi w chudej twarzy.

— Cześć, kochanie — powiedział szybko. — Myślałem o tobie. Nie udało mi się jeszcze złapać sukinsyna przez telefon.

Wrzasnął przez otwarte drzwi:

— Shirley, spróbuj znowu przekreślić do DaCosty.

Potem zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

— Myślę, że jest z chłopcami. Byłam zaintrygowana.

— Z kim?

Lou ściszył głos jeszcze bardziej.

— Wiesz, o kogo mi chodzi. Chłopcy. Duży Frank. Joe. Skąd według ciebie ci producenci-makaroniarze biorą pieniądze?

— Masz na myśli gangsterów? — zapytałam.

— Szsz! — uciszył mnie pospiesznie. — Tutaj nie używamy tego słowa. Chłopcy to porządni faceci. Przyjaciele. Rozumiesz.

Zabrzączał telefon.

— Cześć, Vincent — powiedział wesoło Lou. — Jak leci? — Słuchał przez chwilę, a potem odezwał się ponownie.

— To rzeczywiście brzmi świetnie. A propos, jest u mnie teraz ta dziewczyna, o której ci wspominałem, i pomyślałem sobie, że może mógłbyś się z nią umówić.

Podniósł na mnie wzrok i skinął głową.

— Czy źle bym ci radził? Ona naprawdę dobrze wygląda, rozumiesz, o co mi chodzi. Ma duże doświadczenie. Grała na Broadwayu, w filmie, w Hollywood, wszędzie.

Zasłonił słuchawkę dłonią.

— Mówi, że jest uwiązany przez dwa dni, a potem wraca do Włoch. Jesteś z kimś umówiona na kolację?

Zawahałam się.

— Możesz być spokojna. Ten facet to prawdziwy dżentelmen. . .

Skinęłam głową. Nawet jeśli nie dostanę tej pracy, lepiej było iść z kimś na kolację niż jeść w samotności hamburgera.

— Mówi, że jest wolna — powiedział do słuchawki, a potem znowu nakrył ją dłonią. — Pyta, czy masz jakąś przyjaciółkę.

Potrząsnęłam głową.

— Mówi, że nie ma. Nie martw się. Przyślę kogoś. W porządku, o ósmej. W twoim apartamencie w Saint Regis.

— Masz szczęście — stwierdził z powagą, odłożywszy słuchawkę. — Facet taki jak on rzadko zadaje sobie aż tyle trudu, żeby się z kimś zobaczyć. Mógłby przebierać

w najlepszych włoskich aktorkach. Loren, Lollobrigida Mag-nano. Problem polega na tym, że ich angielski jest kiepski. Co to za rola? — zapytałam. — Skąd do diabła mam wiedzieć? Nie proszę zagranicznych producentów i reżyserów o scenariusze. Pomyśleliby że oszalałam. Połowa tych facetów robi filmy w ogóle 'bez scenariusza. I zgarniają wszystkie nagrody.

— Mogę nie być w odpowiednim typie — zauważyłam

— Jesteś Amerykanką? Skinęłam głową.

— Jesteś aktorką? Ponownie skinęłam głową.

— Więc idealnie nadajesz się do tej roli. Dokładnie o kogoś takiego mnie prosił. O amerykańską aktorkę.

Wstał i ująwszy mnie pod ramię, odprowadził do drzwi. - jedź teraz do domu i weź gorącą kąpiel i zrób się na bóstwo. Włóż długą, seksowną kieckę. Tacy faceci zawsze przebierają się do kolacji w stroje wieczorowe.

Otworzył drzwi na korytarz.

— Pamiętaj. O ósmej w jego apartamencie w Saint Regis Nie spóźnij się. Oni są bardzo punktualni.

— W porządku — odparłam. — Ale zapomniałeś o czymś

— O czym?

— Nie powiedziałeś mi, jak on się nazywa.

— Och. DaCosta. Vincent DaCosta.

DaCosta. Nazwisko było mi jakby znajome. Nie mogłam sobie jednak przypomnieć, gdzie je wcześniej słyszałam.

ROZDZIAŁ 18

Gdy szłam wyłożonym dywanem korytarzem, krzyki stawały się coraz głośniejsze. W noszących jeszcze ślady minionej świetności wnętrzach Saint Regis ten hałas brzmiał ordynarnie. Zatrzymałam się przed dwuskrzydłowymi drzwiami

i zapukałam. Krzyki nie milkły. Słyszałam głos kobiety. Nie rozumiałam jednak ani słowa, ponieważ mówiła po włosku. Sądząc, że mnie nie usłyszano, zapukałam ponownie.

Niemal natychmiast otworzył mi wysoki, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w spokojny ciemny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i taki sam krawat. Nic nie wskazywało na to, że się kogoś spodziewa.

— Pan DaCosta? — zapytałam. Skinął głową.

— JeriLee Randall — przedstawiłam się. — Pan Bradley polecił mi być tutaj o ósmej.

Jego twarz rozjaśniła się.

— Luigi panią przysłał. — Uśmiechnął się, odsłaniając równe, białe zęby. — Proszę wejść. — Mówił po angielsku bez śladu obcego akcentu.

Wprowadził mnie do ogromnego salonu. Na kanapie siedziało dwóch mężczyzn. Nawet nie spojrzeli w moją stronę. Patrzyli na ubraną w krótką, cienką koszulkę kobietę, która krzyczała na jednego z nich, starszego i łysawego. Przez chwilę stałam w progu, nie wiedząc, czy mam wejść, czy nie. Nagle zorientowałam się, kim jest ta kobieta. Carla Maria Perino. Przed dwoma zaledwie laty zdobyła nagrodę Akademii za rolę w „Śladach wojny”. Potem rozpoznałam łysęgo mężczyznę, siedzącego na kanapie. Był to jej^mąż, Gino Paoluzzi, producent i reżyser tego filmu.

Wtem Paoluzzi zerwał się z błyskiem w oczach na równe nogi. Był o głowę niższy od żony, ale wyczuwało się w nim siłę i wydawał się potężniejszy od wszystkich zebranych. Zrobił szybki ruch ręką. Rozległ się ostry dźwięk uderzenia w twarz i ochryply, gardłowy głos.

— *Putana!*

Kobieta raptownie umilkła i zalała się łzami. Mąż odwrócił się do niej tyłem i ruszył przez pokój w moją stronę.

Drugi mężczyzna podniósł się z kanapy i podążył za nim.

DaCosta podszedł do nas.

— To pan Paoluzzi, ten sławny reżyser — powiedział do mme_ Nie mówi po angielsku. — Popatrzył na niego. — *Io presente JeriLee Randall.*

Paoluzzi uśmiechnął się, a ja wyciągnęłam rękę. Ukłonił się lekko i pocałował mnie w nią w taki sposób, że właściwie musnął wargami własną dłoń, która przykrywała moją.

Przyglądając mi się, DaCosta strzelił palcami.

— Ja panią znam! — zawołał podniecony. — Czy jakieś pięć lat temu nie dostała pani nagrody Tony?

Przytaknęłam.

— Widziałem tę sztukę. Była pani fantastyczna. Odwrócił się do Paoluzziego i zaczął mówić szybko po włosku. Wyłowiłam tylko kilka słów. Broadway. Tony. Walter Thornton.

Paoluzzi skinął głową, spojrział na mnie z szacunkiem i powiedział coś po włosku. DaCosta przetłumaczył.

— Maestro mówi, że słyszał o pani. Czuje się zaszczycony jej poznanie.

— Dziękuję.

DaCosta przedstawił mi drugiego mężczyznę, który był wysoki, siwowłosy i brzuchaty.

— Piero Guercio.

Znow dziwny pocałunek w dłoń.

— Jak się pani ma — powiedział z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

— Signor Guercio jest *consigliere* Maestro — wyjaśnił DaCosta. — To znaczy prawnikiem — dodał, zobaczywszy zakłopotanie na mojej twarzy.

— Gino.

Zabrzmiało to jak cichy, żalony jęk.

Wydawało się, że zapomnieli o jej obecności. Mąż zagadał do mej. Skinęła głową i zmierzyła mnie wzrokiem.

Paoluzzi odezwał się ponownie. Zorientowałam się, że tym razem mówi jej o mnie. Po chwili podeszła do nas. *Mia sposa* — oznajmił reżyser.

Podaliśmy sobie ręce. Zdumiała mnie siła uścisku jej szczupłych palców. Zwróciłam się do DaCosty.

— Proszę powiedzieć pani Perino, że jestem jej wielbicielką. Ogromnie mi się podobała w tamtym filmie.

DaCosta przetłumaczył. Uśmiechnęła się. *Grazie* — odrzekła i wyszła z pokoju.

— Była zdenerwowana, ponieważ podczas prasowania pokojówka wypaliła dziurę w jej sukience — wyjaśnił DaCosta.

Jeżeli taki drobiazg wystarczał, aby spowodować podobny wybuch, nie chciałabym być w pobliżu, kiedy stałoby się coś naprawdę złego.

— Może drinka? — zapytał DaCosta. — Mamy wszystko.

— Białe wino?

— Proszę bardzo.

Wzięłam od niego kieliszek. Wskazał mi miejsce na kanapie. Mężczyźni usiedli na krzesłach, otaczając mnie półkolem. DaCosta pełnił rolę tłumacza.

— Czy pracuje pani obecnie?

— Nie, ale mam kilka propozycji. Paoluzzi skinął głową jak gdyby zrozumiał.

— Woli pani teatr niż film?

— Trudno powiedzieć — odparłam. — Nigdy nie dostałam takiej roli filmowej, która byłaby naprawdę interesująca. Paoluzzi skinął głową i odezwał się znowu.

— Maestro uważa, że kładąc nacisk na produkcję telewizyjną, Hollywood zniszczyło amerykański przemysł filmowy. Kiedyś prym wiodli Amerykanie, ale teraz przewodnictwo objęli Europejczycy. Tylko oni robią filmy, które mają jakieś walory artystyczne.

Sączyłam wino. Przez chwilę siedzieliśmy w niezręcznym milczeniu, aż rozległo się pukanie do drzwi.

DaCosta poderwał się i pospieszył do przedpokoju. Wrócił z wysoką, rudowłosą kobietą, ubraną w zieloną wieczorową suknię z naszytymi paciorkami i długą czarną etolę z norek. Mężczyźni wstali i przy prezentacji pocałowali ją w rękę. Potem DaCosta spojrzał na mnie.

— Marge Smali. JeriLee Randall. W oczach kobiety błysnęła wrogość.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odrzekłam.

— Dotrzymasz towarzystwa *consigliere* — polecił DaCosta, wskazując na Guercia.

Niedbale skinęła głową.

— W porządku.

Prawnik uśmiechnął się do niej.

— Napije się pani czegoś?

— Tak — odparła. — Macie szampana?

Przytaknął i poszli do baru, gdzie Guercio napełnił dwa kieliszki, jeden dla niej i jeden dla siebie. Zostali tam, rozmawiając przyciszonym tonem. Byłam ciekawa, o czym mówią.

DaCosta przerwał moje rozmyślenia.

— Maestro chce wiedzieć, czy myślała pani kiedyś o pracy we Włoszech.

Nikt mi tego dotąd nie proponował — odrzekłam.

— Według niego miałyby pani duże powodzenie. Szukają tam aktorek w pani typie.

— Proszę mu powiedzieć, że jestem do dyspozycji. Paoluzzi uśmiechnął się, wstał i znikł w sąsiednim pokoju.

DaCosta podniósł słuchawkę.

Portiernia? Przekażcie szoferowi pana Paoluzziego, że za dziesięć minut będziemy na dole.

Od jak dawna Lou jest pani agentem? — zapytał, odłożywszy słuchawkę.

— Od tygodnia.

Z uśmiechem pokiwał głową.

— Nie wiem, jak ten łobuz to robi. Zawsze mu się udaje.

— Pogubiłam się trochę — wtrąciłam. — Pan Bradley powiedział mi, że jest pan producentem.

Roześmiał się.

Lou jak zwykle wszystko pokręcił. Jestem tylko przedstawicielem. Producentem jest Paoluzzi.

Rozumiem — odparłam, chociaż nic nie rozumiałam. — O czym jest ten film?

- Nie mam zielonego pojęcia. Na każdym spotkaniu, na które idziemy, Paoluzzi wymyśla inną historię. Mogę się założyć, że żadna z nich nie jest tą, którą zamierza nakręcić. Boi się, że gdyby opowiedział prawdziwą, ktoś ukradłby mu pomysł. Proszę mi wierzyć, nie ułatwia mi to życia.

— Dlaczego?

Mam tu zebrać dla niego fundusze, a nasi biznesmeni nie pracują w taki sposób. Chcą wiedzieć, w co inwestują.

— Jest pan Włochem? — zapytałam.

— Jestem Amerykaninem. Moi rodzice byli Włochami.

— Pochodzi pan z Nowego Jorku?

— Z Brooklynu. Ojciec i bracia prowadzą tam interesy.

Nagle uświadomiłam sobie, dlaczego jego nazwisko wydawało mi się znajome. Rodzina DaCosta. Prowadzili interesy, a jakże. Do nich należały tereny przybrzeżne. Byli jedną z pięciu rodzin mafijnych, które podzieliły między siebie Nowy Jork. Teraz rozumiałam, o co chodziło Bradleyowi.

DaCosta uśmiechnął się tak, jakby czytał w moich myślach.

— Jestem zakałą rodziny — ciągnął. — Nie chciałem przystąpić do jej interesów. Wszyscy uważają mnie za durnia, bo wypruwam sobie flaki w show businessie.

Nagle mi się spodobał. Była w nim jakaś rozbijająca szczerłość.

— Moim zdaniem nie mają racji — stwierdziłam. Otworzyły się drzwi sypialni i wyszedł z nich Paoluzzi z żoną. Nie mogłam się powstrzymać od patrzenia na nią. Żaden z filmów, w których ją oglądałam, nie oddawał jej w pełni sprawiedliwości. Bez wątpienia była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam.

Zauważyłam, jak obrzuca Marge Smali szybkim, taksującym spojrzeniem. Po chwili odwróciła się do mnie i wiedziałam, że przestała myśleć o dziewczynie, tak, jakby ta w ogóle nie istniała.

— Przepraszam, że to tak długo trwało — powiedziała miękko z lekkim cudzoziemskim akcentem.

— Nic nie szkodzi — zapewniłam ją.

DaCosta podszedł do samochodu pierwszy i otworzył drzwiczki. Usiadł z przodu, obok kierowcy. Prawnik i Marge zajęli boczne siedzenia, a Maestro usadowił się między żoną i mną. Pojechaliśmy do Romea Salty, restauracji oddalanej od hotelu zaledwie o parę ulic.

Podczas kolacji było zupełnie jasne, kto tu jest gwiazdą. Dostaliśmy najlepszy stolik, a Carla Maria najlepsze miejsce. Tak samo traktowano ją w El Morocco, dokąd poszliśmy później. W tajemniczy sposób wszędzie, gdzie się pokazywaliśmy, pojawiali się fotoreporterzy i, o dziwo, sprawiało mi to przyjemność, chociaż nie działało się tak z mojego powodu. Upłynęło dużo czasu, odkąd ostatni raz uczestniczyłam w tego rodzaju wydarzeniu w życiu show businessu.

— Zatańczy pani? — zapytał DaCosta.

Poszliśmy na mały, zatłoczony parkiet. Muzyka była spokojna. Dopiero po pierwszej w nocy zaczęli puszczać jakiegoś rocka. Poruszaliśmy się powoli w rytm stereofonicznego nagrania Sinatry. DaCosta obejmował mnie mocno.

— Dobrze się pani bawi? Skinęłam głową.

— Świetnie.

Naprawdę ma pani na oku jakąś pracę?

— Nie.

— Tak też sądziłem.

— Dlaczego?

Gdyby tak było, Luigi nie byłby pani agentem. On jest zwykle ostatnią deską ratunku. — Spojrzał na mnie poważnie. Ma pani talent, prawdziwy talent. Co poszło źle? Zawahałam się.

— Nie wiem. Wszystko. Jednego dnia byłam na szczycie, a drugiego na dnie.

Tak bywa — odparł. — To się czasami zdarza. Milczałam.

— Podoba się pani Carli Marii — oznajmił. Ucieszyłam się.

— Ona mnie też się podoba. To naprawdę wspaniała kobieta. Może jej pan to powtórzyć.

Również Maestro przypadła pani do gustu.

Miło mi. To musi być wielki talent. DaCosta znalazł przerwę między tańczącymi i poprowadził mnie w róg parkietu, blisko ściany.

Był ciekaw, czy zechciałaby pani zrobić małą scenkę z Carlą Marią.

— Owszem — zgodziłam się szybko.

Spojrzałam mu w oczy i zrozumiałam, że nie mówimy o tym samym. Poczułam, że się czerwienię i nie wiedziałam, co powiedzieć.

W porządku — odezwał się w końcu. — Nie musi pani.

— Jestem zaskoczona — odrzekłam. — Po prostu nie spodziewałam się czegoś takiego.

Mają swoje własne wyobrażenie o dobrej zabawie. — stwierdził. — Ja tylko przekazuję wiadomość.

— Czy to też należy do pana obowiązków?

— I to, i wiele innych rzeczy.

Kiedy wróciliśmy do stolika, Guercia i drugiej kobiety już nie było. Zauważyłam, że Paoluzzi i DaCosta dają sobie znaki, a potem producent podniósł się i powiedział coś po włosku.

DaCosta popatrzył na mnie.

— Maestro przeprasza, ale już czas na niego. Ma spotkania wcześniej rano.

Wstaliśmy wszyscy, omal nie powodując przy tym kolizji wśród kelnerów, którzy pospieszyli, aby usunąć nam z drogi stół. Carla Maria i jej mąż poszli do wyjścia przodem, a DaCosta i ja za nimi.

Gdy tylko wyszliśmy na zewnątrz, pod drzwiami podjechała limuzyna.

— Maestro pyta, czy w drodze do hotelu możemy panią odwiedzić.

— Nie, dziękuję. Mieszkam na West Side. Proszę mu powiedzieć, że złapię taksówkę i podziękować za uroczy wieczór.

DaCosta powtórzył to po włosku. Paoluzzi uklonił się z uśmiechem i znowu pocałował mnie w rękę. Potem spojrział mi w oczy i coś powiedział.

DaCosta przetłumaczył.

— Maestro żywi nadzieję, że będzie miał szczęście kiedyś z panią pracować.

— Ja również — odparłam.

Wyciągnęłam rękę do Carli Marii. Uśmiechnęła się.

— Nie tak mówimy sobie dobranoc we Włoszech. Pochyliła się i, przyciskając policzek do mojej twarzy, dwukrotnie cmoknęła.

— Ciao — powiedziała.

— Ciao.

Wsiedli do samochodu. DaCosta odprowadził mnie do taksówki i wcisnął mi w dłoń jakiś banknot.

— Na przejazd — wyjaśnił.

— Nie — sprzeciwiłam się, próbując odepchnąć jego rękę.

— Proszę wziąć. To z funduszu reprezentacyjnego. Zamknął drzwiczki, zanim zdążyłam ponownie zaprotestować.

— Dobranoc.

— Dobranoc — odrzekłam, gdy taksówka ruszyła. Dokąd, proszę pani? — zapytał kierowca.

Podaliśmy mu adres.

Czy to nie Carla Maria Perino wsiadała do tej limuzyny?

— Tak.

— Jezu — wyrwał mu się zdumiony szept. — Ona jest niesamowita, nie sądzi pani?

Owszem — odparłam i mówiłam to szczerze.

Nagle przypomniałam sobie o banknocie, który trzymałam w dłoni. Spojrzałam nań i przez chwilę nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Nigdy dotąd nie widziałam banknotu pięćsetdolarowego.

ROZDZIAŁ 19

Następnego dnia, o dziewiątej rano, zadzwoniłam do DaCosty z wewnętrznego telefonu. Sprawiał wrażenie zaspanego.

— JeriLee Randall — przedstawiłam się. — Nie chciałam pana obudzić.

— Nic się nie stało — odparł.

Chcę tylko, aby pan wiedział, że w recepcji zostawiłam na pana nazwisko kopertę z pieniędzmi, które mi pan dał — wyjaśniłam. — W każdym razie dziękuję.

Chwileczkę! — teraz wydawał się już całkowicie przytomny. — Skąd pani dzwoni?

— Z hallu.

— Proszę nie odchodzić. Zaraz będę na dole. Moglibyśmy napić się kawy albo zjeść razem śniadanie.

— Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu.

— Chcę się z panią zobaczyć.

Odłożyłam słuchawkę. Nie minęły nawet trzy minuty, gdy wyszedł z windy. Wbrew temu, co myślałam, nie spał, kiedy

zadzwoiłam. Był już ogolony i ubrany. Odezwał się dopiero, gdy usiedliśmy w restauracji i kelner przyniósł nam kawę.

— Niepotrzebnie to pani zrobiła — stwierdził.

— Pan również.

— Nie rozumie pani. Takie są zwyczaje.

— Nie moje — odparłam.

— Jest pani doprawdy staromodna.

— Przeciwnie. Nowomodna. Nie uznaję brania pieniędzy, których się nie zarobiło.

— Co pani zamierza w sprawie pracy? — zapytał.

— Szukać dalej — odrzekłam.

— Porozmawiam z Luigim. Dopilnuję, żeby nie wystawił pani do wiatru.

— Nie wracam do niego. — Zawahałam się. — Czy Paoluzzi rzeczywiście ma zamiar kręcić film, do którego potrzebuje amerykańskiej aktorki?

— Paoluzziego interesuje wyłącznie robienie filmów z własną żoną.

— Więc wcale nie chodziło o pracę?

— Nie.

— W końcu się tego domyśliłam. Chyba jestem naprawdę głupia.

— Nie. To po prostu głupi biznes. Dziewczyn są miliony, a ról bardzo mało. Nawet tym, które mają talent, rzadko się udaje.

— Mnie się uda — stwierdziłam. — Już raz mi się udało.

— Czy nie była pani żoną Waltera Thorntona? — zapytał. Wiedziałam, co chce przez to powiedzieć.

— Przyznano mi Tony za grę, a nie dlatego, że mój mąż napisał tę sztukę.

— Ale każdy potrzebuje przyjaciela — zauważył. — To otwiera wiele drzwi.

— Do czego pan zmierza?

— Paoluzzi nie dał mi spać przez pół nocy, mówiąc o pani. Uważa, że we Włoszech dostałaby pani więcej propozycji, niż byłaby pani w stanie przyjąć. Oczywiście mając odpowiedniego opiekuna.

— To znaczy jego? — zapytałam. Skinął głową.

— Nie, dziękuję — odparłam, odsuwając krzesło, by wstać.

Położył mi dłoń na ramieniu, aby mnie powstrzymać.

— Niech pani nie będzie głupia. Mógłbym wymienić pół tuzina gwiazd, które zrobiły karierę właśnie w ten sposób. Łącznie z Carlą Marią. Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy Paoluzzi znalazł ją w Neapolu.

— To nie w moim stylu. Raz byłam tego bliska i czułam się potem jak szmata.

— Niezależność nie popłaca. Większość niezależnych ludzi, których znam, nie ma ani centa.

A pan? Zdaje mi się, że nie przystąpił pan do interesu rodzinnego.

Zaczerwienił się lekko.

— To co innego.

— Dlaczego?

— Ponieważ ja jestem mężczyzną, a pani kobietą. Mogę zatroszczyć się o siebie lepiej niż pani.

— Może w~tej chwili, ale ja też się tego nauczę. A wtedy nie będzie już między nami żadnej różnicy.

— Świat się nie zmieni. Jeśli jest pani sprytna, znajdzie pani jakiegoś miłego faceta, wyjdzie za męża i będzie miała dzieci.

Czy pana zdaniem to moje jedyne wyjście? Albo to, albo tamto. A powiedziała już pani, że tamto pani nie interesuje.

— Jednym słowem, albo zostanę czyjąś żoną, albo dziwką. Nie ma innego sposobu, żeby mi się udało?

— Nikła szansa — odparł. — Jedna na milion.

To mój ulubiony stosunek liczbowy — stwierdziłam. — Dzięki za kawę. Wziął mnie za rękę.

Pani mi się podoba. Chciałbym panią jeszcze kiedyś zobaczyć.

— Ja pana również. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Żadnego pieprzenia o interesach. Uśmiechnął się szeroko.

Załatwione. W jaki sposób mogę się z panią skontaktować?

Podaliśmy mu swój numer telefonu i przeszliśmy do hallu.

— Zadzwoń do pani w przyszłym tygodniu, kiedy pozbędę się tych ludzi.

— Zgoda — odrzekłam.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszłam na ulicę. Świeciło słońce, dzień był ciepły. Nie wiedziałam dlaczego, ale nieoczekiwanie poprawił mi się humor.

Zobaczyłam go znowu po trzech miesiącach i przez ten czas wiele się u nas obydwójga zmieniło. Tego lata zmarł mój ojciec i po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, czym naprawdę jest samotność.

Nie było żadnej pracy, nawet w letnim repertuarze. Codziennie robiłam rundę po teatrach, czytałam *Casting News* i odpowiadałam na każde ogłoszenie. Bez agenta nie mogłam jednak daleko zajść. Był potrzebny nawet w wypadku reklamówek telewizyjnych, żeby załatwić wejście do agencji reklamowej.

Co wieczór wracałam do swojego małego mieszkania wyczerpana, budziłam się jednak po zaledwie kilku godzinach i nie mogłam już usnąć. Pracowałam nad nową sztuką, ale nic mi nie wychodziło. Wszystko, co napisałam, wydawało mi się wymuszone i sztuczne. Po pewnym czasie w ogóle przestałam pisać. Siadałam przy maszynie i bezmyślnie patrzyłam przez okno na pogrążone w ciemności ulice.

W jakiś sposób mój ojciec wyczuł, co się dzieje, i któregoś dnia, bez słowa, przysłał mi czek na sto dolarów. Od tej pory pieniądze przychodziły regularnie w każdy poniedziałek. Bez nich nie dałabym sobie rady.

Któregoś dnia usiłowałam z nim o tym porozmawiać. Po wiedział tylko, że obydwójga z matką robią to, ponieważ mnie kochają i wierzą we mnie. Gdy poszłam podziękować matce, spojrzała na mnie chłodno.

— To pomysł twojego ojca — wyjaśniła. — Według mnie powinnaś wrócić do domu i zamieszkać z nami. Nie pochwalam tego, że młoda dziewczyna mieszka sama w mieście.

Po tym, co usłyszałam, byłam jeszcze bardziej zdeterminowana. Chciałam jej udowodnić, że się myli. Zaatakowałam maszynę z nową zawziętością. Nic z tego nie wyszło.

Byłam zupełnie samotna. Nie miałam żadnych przyjaciół,

ani mężczyzn, ani kobiet. W środowisku, w którym się obracałam, życie towarzyskie wydawało się nie istnieć, a w każdym razie ja nie brałam w nim udziału. Nieoczekiwanie pewnego dnia brutalnie uświadomiono mi coś jeszcze — że nie jestem już młoda.

Poszukiwano statystek i odtwórczyń małych ról do sceny na plaży w filmie, który miał być kręcony na Long Island. Zgłosiłam się na przesłuchanie. Odbywało się ono w dużym lokalu nad salą balową Roseland na Broadwayu i wszystkie musiałyśmy wystąpić w bikini. Stałam prawie na końcu rzędu około trzydziestu dziewcząt, czekając, aby przemaszerować przed kierownikiem do spraw obsady i producentem. Miałam nadzieję, że wszystkie role nie zostaną obsadzone, zanim przyjdzie kolej na mnie.

Zawsze miałam dobrą figurę. Wiedziałam o tym i dbałam o nią, gimnastykując się codziennie rano przez pół godziny. Usłyszałam, że wywołano moje nazwisko i ruszyłam przez małą scenę.

Na środku przystanąłam, zrobiłam powoli obrót, jak nam polecono, a następnie oddaliłam się, kołysząc sugestywnie biodrami. Doszłam już prawie na koniec sceny, gdy dobiegł mnie szept producenta.

— Nie.

Przecież ma świetną figurę i rewelacyjną dupę — zaprotestował ten od obsady.

Producent starał się mówić cicho, ale go usłyszałam. Zabrzmiało to nieodwołalnie.

Za stara. Musi mieć co najmniej dwadzieścia pięć lat.

Poszłam za kulisy po swoje rzeczy. Pozostałe dziewczyny paplały ubierając się. Wydawało się jednak, że mnie żadna z nich nie ma nic do powiedzenia. Słowa producenta zaczęły docierać do mojej świadomości. Za stara. Wszystkie były młodsze ode mnie — siedemnasto-, osiemnastolatki — promienne, świeże i bez skazy.

Nagle zapytałam samą siebie, co ja tu robię, próbując żyć w świecie, z którego wyrosłam.

Broadway był rozprażony czerwcowym upałem. Zdecydowałam się jednak wrócić do domu pieszo.

Gdy dotarłam na swoją ulicę, byłam złana potem i wykoń-

czona. Wstąpiłam do sklepu monopolowego i kupiłam butelkę schłodzonego białego kalifornijskiego wina. Potem weszłam na górę do mieszkania i zaczęłam pić. Wstawiłam się, zanim minęła godzina. Alkohol działa szybciej na pusty żołądek, a ja nic rano nie jadłam, nie chcąc, żeby brzuch mi sterczał, kiedy włożę bikini.

Usiadłam przy oknie i spojrzałam na rozpalone słońcem ulice. Cholera. Co się ze mną dzieje?

Odezwał się telefon. Ponieważ nie spodziewałam się żadnych wiadomości, postanowiłam nie odbierać. Nie przestawał jednak dzwonić, więc w końcu podniosłam słuchawkę.

Była to moja matka. Z napięcia w jej głosie wywnioskowałam, że stało się coś złego.

— JeriLee? Gdzie się podziewałaś przez cały dzień? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

Byłam zła, ale jednocześnie dziwnie przestraszona.

— Na miłość boską, mamó! Szukałam pracy. Co według ciebie robiłam?

Jej ton nie uległ zmianie.

— Twój ojciec miał dziś rano atak serca. Umarł, zanim zdążyli go zabrać do szpitala.

Ból ścisnął mi serce. Po chwili odzyskałam głos.

— Zaraz jadę do domu, mamó.

ROZDZIAŁ 20

Miało się wrażenie, że na pogrzeb przyszło całe miasto. Rano wiele sklepów było zamkniętych, a z kościoła tłum wylewał się na ulicę. Głośniki przekazywały słowa pastora.

— John Randall był porządnym człowiekiem. Przez całe życie nie szczędził sił i czasu dla dobra swoich bliźnich. Wielu z nas, zebranych tu dzisiaj, wzbogaciło się dzięki jego pomocy i uprzejmym radom. Będzie go nam brakowało. I nigdy o nim nie zapomnimy.

Potem tonącą w kwiatkach trumnę umieszczono na karawanie i przewieziono na cmentarz, gdzie złożono ojca w miejscu wiecznego spoczynku. Później, kiedy wszyscy sąsiedzi poszli do domu, zostałyśmy z matką same.

Zrobię ci herbaty — zaproponowałam. Skinęła głową.

— Tamtego ranka, przed pójściem do banku, nie czuł się dobrze — opowiadała, pijąc herbatę. — Chciałam, żeby został w domu i odpoczął. Odparł, że ma dużo pracy. Sekretarka powiedziała, że dyktował list, gdy nagle osunął się na biurko. Natychmiast wezwała pogotowie, ale już nic nie dało się zrobić.

Spróbuj o tym nie myśleć — odrzekłam. Spojrzała mi w oczy.

— Czasami wydaje mi się, że za mało mu dałam. Może chciał mieć własnego syna

Nigdy jednak o tym nie wspominał. Widział, jaka jestem zajęta przy was dwojgu.

— Ojciec cię kochał — odparłam. — Był szczęśliwy.

— Mam nadzieję — westchnęła. — Nie zniosłabym uczucia, że pozbawiłam go czegoś, czego pragnął.

— Pragnął tylko ciebie, mamo. Milczałyśmy przez dłuższy czas.

— Rozumiesz chyba, że wiele się teraz zmieni — odezwała się w końcu. — Bez dochodów ojca będziemy musiały oszczędzać.

Nie odpowiedziałam.

— Pomyślałam, że byłoby lepiej, gdybyś wróciła na stałe do domu.

— Co ja bym tu robiła, mamo? — zapytałam. — Tutaj nie ma dla mnie pracy.

— Nie będę ci już mogła posyłać co tydzień tych stu dolarów.

Rozumiem, mamo. Poradzę sobie. W jaki sposób? — spytała wprost.

— Wkrótce coś znajdę — odrzekłam. — Poza tym prawie skończyłam moją nową sztukę. Fannon obiecał mi, że ją wystawi.

— A jeżeli zrobi klapę jak poprzednia?

— Wówczas spróbuję znowu. Matka podniosła się z krzesła.

— Chyba pójdę na górę się położyć — stwierdziła.

Wychodząc z pokoju odwróciła się. — Wiesz, że jeśli coś ci nie wyjdzie, zawsze jest tu dla ciebie miejsce. — Tak, mamo. Dziękuję.

Przyglądałam się, jak idzie powoli po schodach do swojej sypialni. Nadal była przystojną kobietą. Miała proste plecy i trzymała głowę wysoko. Nagle ogarnął mnie podziw. Chciałabym być taka jak ona. Sprawiała wrażenie osoby, która zawsze dokładnie wie, co ma robić.

W mieszkaniu było gorąco i pachniało stęchlizną. Otworzyłam okna. Hałas uliczny był już lepszy niż wilgotny, zastarzały zapach pozamykanych pokoi.

Wzięłam pocztę, która zebrała się podczas mojej tygodniowej nieobecności. Były to głównie rachunki.

Leniwie otworzyłam najnowszy numer *Castig News*. Przejrzałam ogłoszenia i zawiadomienia o otwartych przesłuchaniach. Nie widziałam nic odpowiedniego dla siebie. Nagle jeden z anonsów przyciągnął mój wzrok.

POSZUKIWANE AKTORKI, MODELKI, TANCERKI! PRACA W WOLNYM CZASIE. SPOTKANIA Z WAŻNYMI LUDŹMI.

Jeśli szukasz zajęcia, skończyłaś dwadzieścia jeden lat, masz nie mniej niż pięć stóp i pięć cali wzrostu, dobrą figurę i umiejętność prowadzenia rozmowy, oraz możesz nam poświęcić co najmniej cztery wieczory w tygodniu, proponujemy ci interesującą pracę.

POCZĄTKOWE WYNAGRODZENIE 165 dolarów tygodniowo, w tym ubezpieczenie, plus kostium i napiwki.

Podwyżka po trzech miesiącach. Czterdziestogodzinny tydzień pracy jako podstawa. ZGŁOSZENIA:

TORCHLIGHT CLUB,

WSCHODNIA PIĘĆDZIESIĄTA CZWARTA ULICA,

PRZY PARK AVENUE,

OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU W GODZINACH 14—17.

UWAGA — TYLKO POWAŻNE OFERTY. OD KANDYDATEK WYMAGANE BĘDĄ POZWO-

LENIA I ZAŚWIADCZENIA Z DEPARTAMENTU POLICJI I KOMISJI MONOPOLU ALKOHOLEWEGO STANU NOWY JORK.

Jeszcze raz powoli przeczytałam ogłoszenie i doszłam do wniosku że musi chodzić o jakiś nowy klub. Znałam tylko dwa playboya i Gaslight. W mojej sytuacji finansowej sto sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo brzmiało nieźle, a poza tym interes musiał być legalny, skoro żądali zezwoleń z policji i komisji alkoholowej. Również godziny wydawały się odpowiednie. Zostałby mi czas na pisanie i śledzenie innych ofert, jakie mogą się pojawić.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziło południe. I był już czwartek. Ogłoszenie ukazało się na początku tygodnia. Jeżeli chciałam spróbować szczęścia, musiałam się pospieszyć. Powziąwszy decyzję, poszłam do łazienki, wrzuciłam do wanny całą butelkę soli kąpielowych i puściłam wodę. Gdy wanna się napełniła, ustawiłam wszystkie przybory do makijażu, łącznie ze sztucznymi rzęsami, na półce nad umywalką. Postanowiłam wyglądać jak najlepiej.

Był to szeroki, szary kamienny budynek z pomalowanymi na czarno dwuskrzydłowymi drzwiami. Ciężkie mosiężne latarnie, wiszące po obu stronach wejścia, harmonizowały z tabliczką na drzwiach, na której wyryto w mosiadzu nazwę „Torchlight”.

Nacisnęłam klamkę, ale drzwi były zamknięte. Spojrzałam na zegarek. Druga już minęła. Dopiero po chwili zobaczyłam mały guzik niemal ukryty pod tabliczką.

Gdy go przycisnęłam, drzwi otworzyły się automatycznie i weszłam do środka. Pachniało świeżą farbą, a w niektórych salach po obu stronach korytarza widziałam robotników wbijających gwoździe i wieszających kotary na ścianach i w oknach.

Jeden z nich mnie zauważył.

— Na piętrze — powiedział, wskazując mi schody — rokoj na wprost.

Siedząca za biurkiem dziewczyna popatrzyła na mnie ze znudzoną miną.

— Przychodzę w związku z ogłoszeniem — wyjaśniłam. Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie.

— Wszystko jest już zajęte.

— W ogłoszeniu była mowa, że przyjmujecie przez cały tydzień. .

— Nic na to nie poradzę. W ciągu dwóch pierwszych dni zgłosiło się ponad czterysta dziewcząt. To był dom wariatów. — Sięgnęła po kartkę. — Może pani zostawić swoje nazwisko i numer, jeśli pani chce. Skontaktujemy się z panią, jeżeli coś się zwolni.

Zabrzączał stojący na biurku telefon.

— Pan DaCosta. Już się robi — zaszczębiotała sekretarka i, odłożywszy słuchawkę, spojrzała na mnie. — Chce pani zostawić swoje nazwisko czy nie? — zapytała zniecierpliwiona.

Zdałam się na intuicję.

— Proszę zawiadomić pana DaCostę, że przyszła JeriLee Randall.

Wyraz twarzy dziewczyny raptownie się zmienił.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu? Słyszałam, jak o pani wspominał — odparła, podnosząc słuchawkę. JeriLee Randall chce się z panem zobaczyć. — Słuchała przez chwilę, a potem popatrzyła na mnie. — Piętro wyżej, pierwsze drzwi po prawej stronie.

Czekał na mnie z uśmiechem, stojąc w progu.

— Skąd pani wiedziała, że tu jestem.

— Nie wiedziałam — odrzekłam. — Usłyszałam, jak dziewczyna na dole wymienia nazwisko DaCosta i zaryzykowałam.

— Wiele razy myślałam o tym, żeby do pani zadzwonić. Zawsze jednak coś mi stawało na przeszkodzie.

— Nie ma sprawy — zapewniłam.

— Jak się pani wie?

— Nie najlepiej. Przyszłam w związku z ogłoszeniem, ale dziewczyna mówi, że wszystko jest już zajęte.

Nagle spoważniał.

— Domyśla się pani, co to za praca?

— Wiem tylko tyle, ile przeczytałam w ogłoszeniu. Stanał za biurkiem.

— To ekskluzywny klub typu Playboya, wyposażony

w saunę, basen i gabinet masażu. Będzie tu także bar i restauracja, a w podziemiach dyskoteka.

Wygląda to na spore przedsięwzięcie.

— Zgadza się — odparł. — Ośmiuset ludzi wpłaciło już po sześćset dolarów od osoby za członkostwo. Szukamy dziewczyn z klasą do roli hostess. Muszą być naprawdę wyjątkowe, ponieważ to one stworzą klimat tego miejsca. Tak jak Króliczki w Playboyu.

— Czym pana hostessy będą się od nich różnić? — zapytałam.

— Po pierwsze nie będą nosić tych śmiesznych kostiumów. Każda otrzyma strój zaprojektowany specjalnie do sali, w której będzie pracować. Po drugie muszą umieć bawić gości rozmową i być miłe, ale nie natrętne. Dzięki nim członkowie mają się tu czuć dobrze, jak u siebie w domu.

Wygląda to na dobry pomysł — przyznałam.

— To jest dobry pomysł — odrzekł. — Chciałaby pani zobaczyć niektóre suknie?

Skinęłam głową.

Podszedł do stojącej w kącie pokoju szafy i wyjął dwie sukienki. Pierwsza była w stylu greckim, miękka, powiewna i bardzo wydekoltowana. Druga — staroświecka, uszyta z kwiecistego szyfonu, z głębokim, kwadratowym wycięciem przy szyi. Przytrzymał je na tle okna. Były niemal przezroczyste. Dziewczęta noszą to — oznajmił. — I nic więcej.

Milczałam.

— Żadnych staników, majteczek. Nic z wyjątkiem butów na wysokim obcasie.

Odwiesił suknie do szafy i wrócił za biurko.

— Co pani o tym sądzi?

— Wiedziałam, że nie ubiegam się o pracę w przedszkolu — odparłam.

Coś w moim wyrazie twarzy sprawiło, że podszedł do mnie. Położył mi ręce na ramionach i spojrzał w oczy.

— Co się stało? — zapytał.

— Umarł mój ojciec — odrzekłam. Łzy ścisnęły mnie za gardło i ukryłam twarz na jego piersi. — I po raz pierwszy w życiu naprawdę się boję.

ROZDZIAŁ 21

Spojrzałam na zegar ścienny. Było po jedenastej. Nowa zmiana powinna już zastąpić poprzednią. Czas zacząć kontrolę. Przystanąłam przed odbijającym całą postać lustrem, które wisiało na drzwiach mojego małego gabinetu. Przejrzysta, sięgająca do ziemi suknia układała się miękko. Byłam zadowolona. Przez pierwsze dni czułam się w niej skrepowana, ale gdy się przekonałam, że nikt nie zwraca na mój strój uwagi, przestałam o tym myśleć.

Zjechałam windą siedem pięter, do dyskoteki w podziemiach. Do moich obowiązków należało sprawdzanie, czy wszystkie stanowiska są obsadzone, dbanie o to, aby zawsze było kim zastąpić nieobecnych pracowników oraz układanie harmonogramu. Klub był pomysłem Vincenta, a sukces przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Obecnie, sześć miesięcy po otwarciu, abonamenty były wyprzedane na dwa lata naprzód i przestano przyjmować nowych członków. Nie było to coś, co Vincent naprawdę chciał robić, ale rodzina siedziała mu na karku. Przez dwa lata pozwalali, aby uganiał się za projektami filmowymi, które zawsze się rozwiewały. Kiedy upadł interes z Paoluzzim, ojciec Vincenta postanowił w końcu położyć temu kres. Dał synowi do wyboru dwie możliwości: albo zajmie się czymś, co rodzina uważa za odpowiednie, albo będzie musiał pracować dla nich. Vincent wybrał mniejsze zło. Otwarcie klubu kosztowało rodzinę ponad dwa miliony dolarów, wydawało się jednak, że nie ma to dla nich znaczenia. Pieniądze się nie liczyły. Ważne było to, że ich syn zaczyna być kimś. Głośna muzyka rozbrzmiewała echem w pustawej dyskotecie. Było jeszcze trochę za wcześnie na to, żeby coś się tu działo.

Podszedł do mnie Dino, krępy i niski szef sali.

— Na razie spokojnie — oznajmił. — Przyjdź później. Wypróbujemy nowego disc jockeya. Podobno jest fantastyczny.

— Postaram się — obiecałam.

Odebrawszy od Dina listę dziewcząt, które pracowały tego dnia, poszłam do mieszczącego się na parterze baru. Angelo siedział w kącie za biurkiem.

— Wszystko w porządku — powiedział.

Wzięłam jego listę i weszłam po schodach na pierwsze piętro, do restauracji. Sala właśnie zaczynała się wypełniać. Podbiegł do mnie Carmine.

Będę potrzebował paru dodatkowych dziewczyn na sobotni wieczór — stwierdził. — Już teraz ledwo sobie radzę. — Powiem Vincentowi.

Zrób to dla mnie, kochanie. Musimy trzymać poziom. Nie możemy sobie pozwolić na spieprzenie czegoś.

Wszystkie piętra powyżej trzeciego były zarezerwowane wyłącznie dla członków. Postanowiłam zajrzeć do klubu odnowy fizycznej. Kilku mężczyzn chlapało się w basenie, a dziewczyny siedziały na brzegu ze znudzonymi minami. Zupełnie nie zwracały uwagi na fakt, że mężczyźni są nadzy.

Z małego biura wyszedł Tony.

— Cisza i spokój — oznajmił. — W saunie nie ma nikogo. Sala gimnastyczna i gabinet masażu piętro wyżej również świeciły pustkami. Tylko jedna z niewielkich kabin miała zaciągniętą zasłonę.

— Żywego ducha — stwierdził Rocco, instruktor. — Nikomu dziś nie stoi. Siedzą w domach z żonami.

Roześmiałam się. On zachował jednak poważny wyraz twarzy.

To wcale nie jest zabawne. Dziewczęta zaczynają trenować na sobie. Przyłapałam Joan, jak robiła masaż Sandy.

— Nie możesz do tego dopuścić — odparłam z udawaną powagą. — Musisz się poświęcić i pozwolić, aby trenowały na tobie.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Żona by mnie zabiła.

Wybuchnęłam śmiechem i poszłam wyżej. Na szóstym piętrze, gdzie znajdowały się pokoje dla gości, którzy chcieli zostać na noc, nie działo się zupełnie nic. Gianni i jego dwie dziewczyny grali w karty. Pomachałam im i poszłam na górę do biura.

Odłożyłam do segregatora listy obecności dla księgowych, zapaliłam papierosa i zajrzałam do gabinetu Vincenta. Jeszcze nie przyszedł. Trochę mnie to zdziwiło. Kiedy tuż przed ósmą wychodziłam z jego mieszkania, powiedział, że będzie w klubie przed dziesiątą. Nie miałam w tej chwili nic do roboty, pomyślałam więc, że mogłabym zejść do dyskoteki i obejrzeć sobie nowego disc jockeya. Oblatany jockey był bardzo ważny. Właściwa muzyka dla właściwych ludzi i sala szaleje.

Nie ruszyłam się jednak z miejsca. Naprawdę nie byłam w nastroju. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Nie jest łatwo bez przerwy się uśmiechać, udając zainteresowanie tym, co mówią goście.

Zgasiłam papierosa. Jedno, czego chciałam, to zaprawić się, ale tego nie mogłam zrobić. Przepisy były bardzo surowe. Żadnej trawy, koki czy prochów na terenie klubu.

— Nie będziemy ryzykować — stwierdził Vincent. — Wszyscy tylko czekają na to, żeby nas zamknąć.

Dopilnujemy, żeby nie dać im do tego powodu.

W jego mieszkaniu było inaczej. Miał wszystko, od trawy i środków pobudzających po azotan amylu, który uwielbiał zażywać, kiedy się kochaliśmy. Nigdy jednak nie nosił niczego przy sobie. Zastanawiałam się czasami, skąd towar się tam bierze, ale nigdy o to nie pytałam. O pewnych rzeczach po prostu z nim nie rozmawiałam. Na przykład o jego rodzinie.

Raz tylko widziałam jego ojca i dwóch starszych braci. Zjawili się w klubie któregoś wieczoru wkrótce po otwarciu. Było z nimi jeszcze dwóch mężczyzn. Vincent zabrał ich prosto do biura, a gdy wyszli stamtąd jakieś pół godziny później, oprowadził ich po lokalu.

Przypadkiem znalazłam się przy drzwiach, kiedy wychodzili. Vincent zauważył mnie, ale nie zrobił żadnego gestu, aby mnie przedstawić. Jego ojciec był szczupłym, niskim mężczyzną o miłej powierzchowności. Miał stalowosiwe włosy i czarne oczy o niezgłębionym wyrazie. Vincent pochylił się i ucałował go w oba policzki.

Starszy pan uśmiechnął się, delikatnie dotknął jego twarzy i skinął głową.

— Dobrze się spisałeś, synu — powiedział. — Jesteśmy z ciebie dumni.

Potem odwrócił się i wyszedł, a pozostali podążyli za nim. Vincent rzucił na mnie okiem i bez słowa wszedł do windy. Po kilku minutach przyszedł do jego gabinetu.

Na biurku stała butelka szkockiej. Gdy weszłam, nalewał sobie drugą szklanę. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby pił w pracy.

— Wszystko w porządku — rzucił pośpiesznie. — Wszystko w porządku.

Kiedy podnosił szklanę do ust, zauważyłam jednak, że drży mu ręka. Pociągnął łyk.

Chcę się z tobą pieprzyć — oznajmił.

Miał dziwny wyraz oczu. Wyczuwałam, że boi się, jaka będzie moja odpowiedź.

— Dobrze — odparłam.

— Natychmiast.

— Mam zamknąć drzwi?

— Nie tutaj. U mnie. Przebierz się.

Parę minut później byliśmy w drodze. Nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, dopóki nie weszliśmy do jego mieszkania z widokiem na rzekę, oddalonego od klubu tylko o kilka ulic.

Włączył światło i przeszedł przez pokój do baru.

— Palisz? — zapytał. Skinęłam głową.

Zapalił skręty dla siebie i dla mnie. Towar był słodki i bardzo słaby. Zwykle żeby się zaprawić, wystarczały mi dwa sztachnięcia, tym razem jednak w ogóle to na mnie nie działało.

— Chodź — powiedział Vincent.

Ruszyłam za nim do sypialni. Ściągając marynarkę odwrócił się do mnie.

— Rozbierz się.

Odłożyłam skręt do popielniczki i zaczęłam zdejmować ubranie. Schyliłam się, aby rozpiąć paski u butów. Kiedy się wyprostowałam, był już nagi. Przyglądał mi się przez chwilę, a następnie otworzył szufladę stojącego przy łóżku nocnego stolika. Wyjął żółte pudełko, niewielką fiolkę białego proszku i maleńką łyżeczkę.

Podszedł do mnie, odkorkował fiolkę i nabrał na łyżeczkę trochę proszku. Podniósł ją do nosa i wciągnął proszek jedną

dziurką. Potem odetchnął głęboko i zrobił to samo drugą. Zaświeciły mu się oczy.

— Bang — powiedział, wyciągając do mnie łyżeczkę z proszkiem.

— Co to jest? — zapytałam.

— Koka — odparł. —; Pociągnij. To nie boli. Podstawił mi łyżeczkę pod nos. Wciągnęłam proszek i kichnęłam. Vincent wybuchnął śmiechem i podsunął mi łyżeczkę pod drugą dziurkę. Tym razem tylko trochę zakłuło.

— No i jak?

— Nic nie czuję.

— Poczujesz. — Roześmiał się. — To musi chwilę potrwać. Miał rację. Już drętwiały mi nozdrza i zasychało w ustach.

Nagle odleciałam. Obserwował mnie.

— Dobrze?

— Odjazdowe.

Odłożył fiolkę i przyciągnął mnie do siebie. Brutalnie rozgniół mi usta wargami, a dłońmi chwycił mnie mocno za ramiona. Potknęliśmy się i upadliśmy na łóżko. Poczułam, że wbija mi zęby w piersi, raniąc sutki. Jęknęłam z bólu. Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

— Szaleję za tobą. Wiesz o tym? — zapytał niemal ze złością.

Potrząsnęłam głową. Mój ból wydawał się być niczym w porównaniu z jego bólem. Świat jego bólu mnie przerastał. Sięgnął do żółtego pudełka i wyjął kapsułkę azotanu amylu. Trzymając ją w dłoni, zgiął moje nogi w kolanach, przycisnął mi je do piersi i, ukłękawszy, pochylił się nade mną. Jego ciało przypominało napiętą stalową sprężynę. Jego oczy przybrały dziwny, nieobecny, szklany wyraz. Nagle, zanim zdążyłam się przestraszyć, runął na mnie. Poczułam, że się we mnie wbija. Jednocześnie przegryzł kapsułkę.

Miałam wrażenie, że głowa mi się rozprysnie od uderzenia krwi i gorąca do mózgu. W tym samym momencie zaczął się jego orgazm. Uniósł się nade mną, wbijając dłonie w materac. Oczy miał zamknięte, a twarz wykrzywioną.

— Nie! Och, Chryste! Nie! — prawie krzyczał, usiłując zapanować nad spazmem rozkoszy. — Nie, nie, nie!

Przyciągnęłam go do siebie.

— Nie walcz z tym, nie powstrzymuj się. Pozwól, żeby przyszło.

Drżał jeszcze przez chwilę i zaraz było po wszystkim. Leżał bardzo spokojnie. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Nagle wybuchnął płaczem. Zanosił się głośnym, rozdzierającym łkaniem.

Przytuliłam jego głowę do piersi i zaczęłam głaskać po włosach.

— Już dobrze — szepnęłam. — Już dobrze. Podniósł na mnie mokre od łez oczy.

— Nic nie rozumiesz — powiedział. — Niech ich cholera! Czekałam, żeby mówił dalej.

— W końcu dostali to, czego chcieli — ciągnął. — Życzyli sobie, żebym przystąpił do interesów rodziny i, czy mi się to podoba czy nie, wszedłem w to.

— Nie mów o tym — odrzekłam. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie będzie. Klub miał należeć do mnie. Pożyczyli mi pieniądze. Teraz jednak nie chcą zwrotu długu. Zostaliśmy współnikami. Ostatecznie, czy nie jesteśmy rodziną? — zapytał z goryczą.

— Czy dlatego byli dziś w klubie? Skinął głową.

— Dla mnie byłoby lepiej, gdyby to nie wypaliło. Wówczas przynajmniej cała sprawa poszłaby w zapomnienie.

Byłby to tylko kolejny szalony pomysł Vincenta.

— Nie wiedziałam, że są tacy. Z tego, co słyszałam, we włoskich rodzinach zawsze dotrzymuje się słowa. Bez względu na okoliczności.

— Nie wtedy, gdy w grę wchodzi pieniądze i władza. *Cosa nostra* istnieje tylko w gazetach. Aby zostać głową rodziny mój ojciec pozbył się swojego brata. Kiedy on umrze, moi bracia pozabijają się nawzajem, żeby zająć jego miejsce.

Milczałam przez chwilę.

— Co teraz będzie?

— Nic — odparł. — Będę nadal prowadził klub. Tylko że teraz dzielimy zyski na cztery części.

— A co z pieniędzmi, które ci pożyczili? Te dwa miliony dolarów? Musisz je zwrócić?
— Oczywiście, że nie. W tej chwili to interes rodzinny. Odbiorą je sobie z zysków.
— Więc jesteś do przodu — stwierdziłam, patrząc na niego. — Mój ojciec był bankierem i pamiętam, jak mi kiedyś powiedział, że każda pożyczka, której nie trzeba spłacać, to czysty zysk. Właśnie zarobiłeś pół miliona dolarów. W końcu się uśmiechnął.
— Dziwna z ciebie dziewczyna — zauważył, zsuwając nogi z łóżka. — Napijesz się?
— Nie, ale jeśli masz jeszcze trawę, chętnie zapalę. Wrócił do sypialni z pudełkiem pełnym skrętów. Zapaliłam jednego i oparłszy się o poduszki, zaciągnęłam się delikatnie. Tym razem działało. Zaczynałam się czuć odlatowo. Stał przy łóżku, patrząc na mnie z góry. Podałam mu skręta. Sztachnął się kilkakrotnie. Wyciągnęłam do niego ręce.
— Chodź tutaj — powiedziałam. — Jesteś mi coś winien. Osunął się w moje ramiona i tym razem naprawdę się kochaliśmy. Następnego dnia przeniosłam do niego wszystkie swoje rzeczy, oprócz maszyny do pisania i papierów. Nie zrezygnowałam z własnego mieszkania, bo chciałam mieć jakieś miejsce do pracy.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy ponownie zesłam na dół, w dyskotecce panował już ścisk. Miejsca na parkiecie starczało tylko na to, aby podrygiwać w takt muzyki. Resztę sali wypełniały małe stoliczki. Ludzie siedzieli przy nich tak ciasno, że nie było gdzie szpilki wetknąć.

Dino podszedł do mnie z szerokim uśmiechem na okrągłej twarzy.

— Ten nowy chłopak jest dobry — stwierdził. — Daje im popalić.

Przeniosłam wzrok na koniec ciemnej sali, gdzie stojący na niewielkim podwyższeniu disc jockey obsługiwał dwa gramofony. Był to wysoki, szczupły czarny chłopak, ubrany w dziwaczny strój: kapelusz safari z szerokim rondem, irchową koszulę ręcznie szytą i chinos¹ z nogawkami w kształcie dzwonu. Trzymając przy uchu słuchawki, założył na gramofon nową płytę i puścił ją. Potem odłożył słuchawki, spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

W jego uśmiechu było coś dziwnie znajomego. Skinęłam głową i przepchnęłam się przez tłum do konsoly. Kiedy stanęłam przed nim, uśmiechnął się ponownie.

— Cześć, JeriLee — powiedział nieśmiało. Nie mogłam opanować zaskoczenia.

— Fred! Fred Lafayette! Rozpromienił się.

— Nie zapomniałaś.

Podaliśmy mu rękę. ;

— Nie mogę w to uwierzyć — stwierdziłam.

Tak. Oto jesteśmy. Z powrotem tam, gdzie zaczynaliśmy. Ja na estradzie, ty na sali. Pracujemy.

— Ale już nie śpiewasz. — zauważyłam. — Co się stało?

— No wiesz, dziewczyno. Ckliwi piosenkarze jak Nat King Cole nie są dziś w modzie. Świat szaleje za rockiem. — Puścił moją dłoń. — Ile to czasu? Dziesięć lat?

— Coś koło tego.

— Czytywałem o tobie w gazetach — ciągnął. — Potem straciłem cię z oczu. Rozwiodłaś się z tym facetem, prawda?

Skinęłam głową.

— Wyglądasz naprawdę świetnie — dodał. — Wyrosłaś na piękną kobietę.

— Czuję się staro.

— Nie mów tak. Wciąż jesteś dzieckiem.

— Chciałabym, żeby tak było — westchnęłam. — Umarł mój ojciec.

— Przykro mi to słyszeć. Był miłym człowiekiem.

— Tak.

¹ Spodnie z tkaniny bawełnianej wzorowane na spodniach od letniego munduru armii amerykańskiej, (przyp. tłum.)

— Zobaczyłem cię, gdy przyszedłem do pracy i wydawało mi się, że cię poznaję.

— Dlaczego się do mnie nie odezwałeś?

— Kiedy zapytałem o ciebie, żeby sprawdzić, czy się nie mylę, kazano mi się trzymać od ciebie z daleka, bo jesteś dziewczyną szefa.

Spojrzał mi badawczo w oczy.

— To prawda. Ale mimo to powinieneś być do mnie podejść. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi.

Zanim Fred zdążył odpowiedzieć, wyrósł przy mnie Dino.

— Właśnie przyszedł Vincenzo. Chce się z tobą natychmiast widzieć.

— Dobrze — odparłam. Popatrzyłam na Freda. — Mam nadzieję, że ci się tutaj spodoba. Może wypilibyśmy kiedyś razem kawę.

— Koniecznie — odrzekł. Podniósł słuchawki i zaczął zakładać następną płytę. — Daj mi znać kiedy.

Przepchnęłam się do drzwi i wjechałam na górę do biura. Vincent był czymś naszprycowany. Oczy za bardzo mu się błyszczały.

— Co ty do diabła wyprawiasz? Trzymasz się za ręce z tym czarnuchem? — odezwał się ze złością.

— Podalam mu rękę na przywitanie — wyjaśniłam. — To mój stary przyjaciel. Uratował mi kiedyś życie.

— Mam w dupie to, co zrobił. Wyrzucę skurwiela!

— Więc wyrzuc mnie razem z nim.

Mówiąc, że jesteśmy z powrotem tam, gdzie zaczynaliśmy, Fred miał więcej racji niż przypuszczałem. Wyglądało na to, że znowu straci przeze mnie pracę.

Vincent niespodziewanie uspokoił się.

— Naprawdę uratował ci życie?

— Tak — odparłam. — Paru gówniarzy mnie biło i próbowało zgwałcić. Fred wyciągnął mnie stamtąd w samą porę.

Vincent milczał przez chwilę.

— Ile miałaś wtedy lat?

— Szesnaście.

— Więc chyba wszystko w porządku. Rzeczywiście jesteście starymi przyjaciółmi.

Nie odpowiedziałam.

— Przebierz się — polecił. — Wychodzimy.

— Dokąd?

— Do El Mo. Nagrywam interes. Mamy się tam spotkać z pewnymi ludźmi.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie filmu — warknął. — Jak długo według ciebie mogę znosić tę śmierdzącą budę, zanim zwariuję?

— Czy twoja rodzina o tym wie?

Nie. I mam to gdzieś! A teraz przestań zadawać tyle pytań i zmień tę cholerną kieckę.

Weszliśmy do El Morocco. Wyglądało to jak powtórka naszego pierwszego spotkania. Przy najlepszym stoliku siedzieli Paoluzzi. Była tylko jedna różnica. Miejsce włoskiego prawnika zajął dobrze zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w ciemny garnitur. Przedstawiono mi go samym imieniem, jako Franka.

Paoluzzi pocałował mnie w rękę w ten swój dziwny sposób, a Carla Maria przycisnęła policzek do mojej twarzy.

— Wszystko ustalone? — zapytał Vincent, gdy usiedliśmy. Frank skinął głową.

— Rano dostaniesz ode mnie czek na milion dolarów. Vincent uśmiechnął się.

— Trzeba to oblać. Jeszcze jedna butelka szampana — zawołał do kelnera.

Frank podniósł się.

— Dawno powinienem być w łóżku. Lepiej już pójdę. Wymienił oficjalnie uściski dłoni z producentem i Carłą Marią, a potem powiedział po włosku coś, na co tamci zareagowali uśmiechami i kiwaniem głowy.

— Dobranoc, młoda damo — zwrócił się do mnie. — Miło mi było panią poznać.

— Mnie również — odparłam.

— Dobranoc, Vincent. Nie zapomnij pozdrowić ode mnie swojego ojca.

Vincent wstał.

— Nie zapomnę, wuju. Dobranoc.

Przyglądałam mu się, gdy szedł do drzwi. Z tego człowieka zdawała się emanować władza. Nawet kelnerzy kłaniali mu się z większym szacunkiem niż innym. Kiedy pokonał kilka stopni prowadzących do wyjścia na ulicę, zobaczyłam, że z małego baru wychodzą dwaj mężczyźni i dołączają do mego. Opuścili lokal razem.

— Za film — powiedział Vincent, podnosząc kieliszek szampana. — I ty w nim zagrasz — zwrócił się do mnie. — Drugą główną rolę obok Carli Marii.

— Chyba żartujesz.

— Nie żartuję. To jeden z warunków umowy.

— Jak ci się udało to załatwić? Roześmiał się.

— Zwyczajnie. Nie mogłem znikąd zdobyć pieniędzy, więc sam je wyłożyłem.

— Skąd je wzięłeś? — Nagle zaświtało mi w głowie. — Czy to te pieniądze, o których mówił wuj Frank?

— Poręczyłem swoim udziałem w klubie. — Twój ojciec o tym wie?

— Co za różnica? Mam prawo robić z moim udziałem co mi się podoba.

Milczałam. Nalał mi drugi kieliszek.

— Przestań o tym myśleć i wypij. Będziesz gwiazdą, kochanie.

Wyszliśmy z El Morocco trochę po trzeciej. Vincent popchnął mnie w stronę limuzyny Paoluzzich.

— Jedź z nimi do hotelu — polecił. — Wpadnę do klubu, sprawdzę, czy wszystko gra i dołączę do was.

— Jestem zmęczona — odparłam. — Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym pojechać do domu i pójść spać.

Uśmiechnął się, ale po jego oczach poznałam, że jest zły.

— Mam coś przeciwko temu. Pojedziesz z mmi. Muszę omówić z Dinem kilka spraw i muszę to załatwić dziś wieczorem.

Wiedziałam, że kiedy jest w takim humorze, lepiej się z nim nie spierać. Wsiadłam do samochodu. Pomachał nam ręką i gdy limuzyna ruszyła First Avenue, odwrócił się i poszedł w stronę klubu.

Carla Maria uśmiechnęła się do mnie.

Kręcić film z wami dwojgiem. To jakby sen się ziścił — stwierdziłam.

Wyciągnęła rękę i poklepała mnie po dłoni.

— Wy, Amerykanie, jesteście tacy zabawni. — Wybuchnęła śmiechem. — Na przykład dziś wieczorem. —

Wyczytała z mojej twarzy zdumienie. — Czy Vincent nie powiedział ci że mamy spędzić razem noc?

Potrząsnęłam głową.

Powiedział, że dołączy do nas później. Zwróciła się najpierw do męża, mówiąc coś po włosku a potem do mnie.

— Zadzwonimy do Vincenta z hotelu i wyjaśnimy to.

Wychyliłam się do przodu i stuknęłam kierowcę w ramię. Czy mógłby się pan tutaj zatrzymać?

Samochód zahamował przy krawężniku. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, gdy wysiadałam. Złapałam taksówkę i pojechałam do domu.

Właśnie skończyłam się rozbierać, kiedy do mieszkania wpadł Vincent. Stał w drzwiach sypialni, krzycząc na mnie

— Ty cholerna głupia cipo! Po tym wszystkim, przez co przeszedłem, żeby tylko zgodzili się dać ci tę rolę!

— Powinieneś był mi powiedzieć, o co ci chodzi.

— Teraz już wiesz, więc ubieraj się i rusz dupę!

— Nie Mówiłam ci kiedyś, że nie bawię się w takie rzeczy.

— Wolisz biegać po mieście, żebrząc o robotę, i głodować? Nie odezwałam się.

— Pamiętasz, jak to wyglądało, kiedy przyszedłeś do klubu? Byłaś na dnie. Wziąłem cię z ulicy. A teraz myślisz, że możesz na mnie srać!

— Wcale tak nie myślę.

— Owszem, myślisz - wrzasnął. - Cały interes może traric szlag tylko dlatego, że ty stwarzasz problemy.

— Nic się nie stanie — odparłam. — Liczy się ten milion dolarów, który mu załatwiłeś, a nie ja.

Ty też jesteś częścią umowy! — krzyknął.

— Nie miałeś prawa tak postąpić, nie pytając mnie o zgodę.

— Nie miałem również prawa angażować pieniędzy

odrzekł. — Ale zrobiłem to. A teraz nie spieprz sprawy, bo skończę w jakimś kanale ściekowym.

Utkwiłam w nim wzrok. Nagle osunął się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili spojrzał na mnie. Miał łzy w oczach.

_ Do mojej rodziny przemawia wyłącznie sukces. Jeśli ten film mi wyjdzie, wszystko będzie dobrze. Nie odezwałam się.

_ Proszę — błagał. — Ten jeden raz. Potem możesz robić, co będziesz chciała. To jedyna szansa, żebym się od nich uniezależnił. Nie poruszyłam się.

— Jeżeli ten interes nie wypali, oni mnie wykończą. Mój ojciec i wuj Frank nie rozmawiają ze sobą od lat. Nie mogę pozwolić na to, żeby wuj dostał udział w klubie.

— Już mu go dałeś — zauważyłam.

— Nie, jeżeli film powstanie. Wuj Frank obiecał, że jeśli zwrócę mu pieniądze, zachowa wszystko w tajemnicy. Znów ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem. Stałam przez długą chwilę, patrząc na niego, a potem zaczęłam się powoli ubierać. Gdy go mijałam idąc do drzwi, zatrzymał mnie.

Podszedł do nocnego stolika, wyjął kilka skrętów, fiolkę koki i pudełko prochów. Włożył mi to wszystko do torebki.

— To ci pomoże — powiedział.

Milczałam. Pochylił się i pocałował moje suche wargi.

— Dzięki. Kocham cię.

Odwróciłam się i wyszłam. Już wtedy wiedziałam, że nigdy nie wrócę.

Dziesięć minut później znalazłam się w ich apartamencie hotelowym. Carla Maria z uśmiechem otworzyła mi drzwi.

— Tak się cieszę, że przyszedłaś — powiedziała. Nieoczekiwanie roześmiałam się. Nie tylko z powodu jej angielszczyzny. Cała ta historia zaczęła mi się po prostu wydawać absurdalna. Natychmiast zapaliłam skręta, sztachnęłam się koką i splukałam ją dwoma kieliszkami szampana.

Zanim poszłyśmy do sypialni, tak się zaprawiłam, że było mi już wszystko jedno. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu zaczęło mi się to nawet podobać. Nigdy mi się nie śniło, że

dotknięcie kobiety może być tak delikatne i podniecające. Przy sztuczkach, jakie Carla Maria potrafiła robić językiem, Zielony Szerszeń wyglądał jak dziecinna zabawka. Otwierał się przede mną zupełnie nowy świat. Kiedy obudziłam się rano u jej boku i zobaczyłam, jaka jest piękna, zdałam sobie sprawę, że rozkoszowałam się każdą chwilą.

ROZDZIAŁ 23

Wrociałam po swoje rzeczy dopiero po południu. Myślałam, że Vincent będzie wtedy w klubie. Weszłam do mieszkania i skierowałam się do sypialni. Pomyliłam się. Jeszcze spał.

Zaczęłam się po cichu wycofywać, ale on obudził się i usiadł na łóżku, przecierając oczy.

— Dzień dobry — powitał mnie z uśmiechem. Nie odpowiedziałam.

— Nie wyglupiaj się — ciągnął. — Nie było chyba aż tak źle.

— Nie.

Oprzytomniał już zupełnie.

— Wylizała ci dziurkę?

— Tak.

— A ty jej?

— Tak.

Wyczułam, że się podniecił.

Co robił Gino, kiedy byliście ze sobą?

— W pewnym momencie wszedł do pokoju i przyglądał się nam.

— Przeleciał ją?

— Nie wiem.

— A ciebie?

— Nie wiem — powtórzyłam. — Przypominam sobie, że przeleciał jedną z nas, ale nie pamiętam którą.

— Co zrobił potem?

— Wrócił do swojej sypialni.

— A co wyście robiły?

— Wciągnęłyśmy resztę koki, łyknęłyśmy jeszcze parę amylków i zabawiałyśmy się dalej.

— Jezu! — zawołał, wstając z łóżka. Miałam rację. Podniecił się. — Żałuję, że mnie tam nie było. Musiało być na co popatrzeć.

Nie odezwałam się.

— Zabawmy się.

— Nie — odparłam i po chwili dodałam: — Jestem wyjebana.

— Zmieści ci się jeszcze jeden.

— Nie.

Podeszłam do szafy i wyjęłam swoje walizki.

— Co robisz? — zapytał.

— Pakuję się.

— Dlaczego?

Patrzył na mnie z niekłamanym zdziwieniem.

— Ponieważ się wyprowadzam. A po co, do diabła, bym się pakowała?

— Na miłość boską, nie musisz się tak wkurwiać. Sama przecież powiedziałaś, że się dobrze bawiłaś.

— To nie ma nic do rzeczy — odparłam. — Nie znoszę kłamstwa, a ty mnie okłamałeś.

— Do cholery, kochanie — zaprotestował. — To jest ważny interes. A ty mogłaś go nam spieprzyć.

— Chyba tobie. Ja nic z tego nie mam. Gapił się na mnie bez słowa.

— Wszystko, co opowiadałeś o moim udziale w filmie, to bzdury. Wciskałeś mi kit. Carla Maria przyznała mi się, że nie rozumiała, o czym mówiłeś wczoraj wieczorem. Nie ma dla mnie roli w tym filmie. Dlaczego nie powiedziałeś prawdy?

— W kwestii rodziny nie kłamałem. Mój ojciec... — Zamilkł, zobaczywszy mój wyraz twarzy.

— Kłamałeś — stwierdziłam. — Carla Maria powiedziała, że Frank i twój ojciec są w tym interesie współnikami.

Wykładają pieniądze po połowie.

— Chryste, kochanie — westchnął, podchodząc do mnie. — Już po wszystkim. Udało się. Wiesz, że cię kocham.
— Masz rację. Już po wszystkim. Możesz przestać kłamać. Zaczęłam wyjmować ubrania z szafy i układać je w walizkach.
— Pozwól mi się spakować.
— Dokąd pójdziesz? — zapytał. Do mojego mieszkania.
— Jezu, chyba nie wrócisz do tej nory?
— Czy uznałbyś za bardziej sensowne, gdybym ci powiedziała, że jadę z Carlą Marią do Włoch?
— Nie uwierzyłbym ci.
Otworzyłam torebkę i podałam mu bilet lotniczy.
— Czy to cię przekonuje?
— Ale ze mnie idiota.
— Wreszcie mówisz prawdę — odparłam, chowając bilet. Potrząsnął głową.
— I pomyśleć, że wyszła z ciebie pieprzona lesbija. Wybuchnęłam śmiechem.
— Mali chłopcy nie powinni igrać z ogniem. Mogą sobie sparzyć palce. Ale nie przejmuj się. Już jej powiedziałam, że nie pojedę. Nie mam zamiaru się kurwić z żadnym z was.
Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.
— Miałaś ciężką noc — stwierdził. — Wskakuj do łóżka i odpocznij. Możesz nawet dostać wolny wieczór.
— Zrobię to. Kiedy tylko wrócę do domu. I nie musisz mi dawać wolnego wieczoru. Właśnie ci wymówiłam.
— Nie bądź głupia — powiedział. — Nadal możemy być przyjaciółmi.
— Może ty. Ja nie.
— Z czego będziesz żyła? — zapytał po kilku, minutach.
— Odłożyłam trochę pieniędzy — wyjaśniłam. — A poza tym skończę sztukę. Ostatnio nie miałam zbyt wiele czasu, żeby nad nią pracować.
— Nie masz aż tyle forsy.
— Kiedy mi się skończy, znajdę jakąś robotę. Ale nie przestanę pisać. Nigdy więcej.

Dwa wieczory później w moim mieszkaniu odezwał się dzwonek. Wstałam od maszyny do pisania i otworzyłam drzwi.

— Cześć — powiedział Fred. — Byłem przypadkiem w okolicy, więc pomyślałem sobie, że zaryzykuję, i zobaczę, czy jesteś w domu.

— Skąd masz mój adres?

— Od dziewczyny w biurze.

— Nie powinieneś być teraz w pracy? Uśmiechnął się.

— Wyrzucili mnie. Mam nadzieję, że ty nie wyleciałaś z mojego powodu.

— Mnie nie wyrzucili. Sama odeszłam. — Zorientowawszy się, że nadal stoi w progu, dodałam: — Wejdz.

Zauważyłam, że wodzi wzrokiem po pokoju.

— Wybacz ten bałagan — usprawiedliwiłam się pośpiesznie. — Pracowałam.

— Nie chciałem ci przeszkodzić.

— Nic się nie stało. Cieszę się, że przyszedłeś. Przyda mi się chwila przerwy, a w lodówce mam białe wino.

Chciałam wziąć od niego kurtkę, ale nie zrobił żadnego ruchu, aby ją zdjąć.

— Pomyślałem, że jeśli nie jadłaś jeszcze kolacji, moglibyśmy pójść do jakiejś chińskiej knajpy.

Uśmiechnęłam się.

— Świetny pomysł. Daj mi minutę, żebym wskoczyła w inne ciuchy.

— Nie wystrój się za bardzo — ostrzegł mnie. — Mam upodobania bogacza, ale kieszeń biedaka.

— Mogą być dzinsy?

— Znakomicie — odparł.

Przebrałam się za drzwiami szafy w dzinsy i czystą bluzkę.

— Jak wyglądam? — zapytałam.

— Doskonale.

— Daj mi jeszcze chwilę na uczesanie się i zrobienie twarzy.

Kiedy po dziesięciu minutach wyszłam z łazienki, nadal stał tam, gdzie go zostawiłam.

— Dlaczego nie usiadłeś?

— Nie przyszło mi to do głowy. Było mi tu dobrze.

Chłodne nocne powietrze świetnie mi zrobiło. Cały dzień przesiedziałam w domu.

— Znasz w okolicy jakąś dobrą chińską restaurację?

— Jest jedna na Siedemdziesiątej Drugiej, niedaleko Broadwayu. Możemy się przejść.

Gawędziliśmy podczas całej kolacji, na którą złożyły się rolki z jajek, żeberka wieprzowe, zupa won-ton i homar po kantońsku ze smażonym ryżem. Gdy wróciliśmy pod mój dom, Fred zatrzymał się przy wejściu.

— Nadal mam wino w lodówce — zauważyłam.

— Nie chcę ci robić kłopotu.

— Nie wygłupiaj się — powiedziałam. Była druga w nocy, kiedy Fred się podniósł.

— Lepiej pozwolę ci iść spać — stwierdził. — Mam wyrzuty sumienia, że nie dałem ci pracować.

— Było mi miło — odparłam, otwierając drzwi. — Dziękuję.

Wspięłam się na palce, aby go pocałować na dobranoc. Jego usta delikatnie dotknęły moich i nagle coś się stało.

Przebiegł między nami jakiś prąd i padłam mu w ramiona. Wciągnęłam go do mieszkania i kopnięciem zamknęłam drzwi.

Później, dużo później, kiedy leżeliśmy spokojnie, przytuleni do siebie, szepnął mi cicho do ucha:

— Wiesz, JeriLee, zawsze cię kochałem. Nawet już wtedy.

— Nie musisz mi tego mówić, jeśli to nieprawda. Wystarczy mi to, że ze mną jesteś.

— To jest prawda.

— Nie chcę, żebyś mnie okłamywał. Mam dość ludzi, którzy mówią coś, czego nie myślą.

— Nie kłamię, JeriLee — przekonywał mnie cierpliwie. — Kochałem cię wówczas. Kocham cię teraz. I chyba zawsze będę cię kochał.

Rozpłakałam się, ponieważ czułam, że mówi prawdę. Dwa dni później wprowadził się do mnie.

CZEŚĆ III

MIASTA

ROZDZIAŁ I

Obraz tam był. Jak zawsze. Mała dziewczynka na szczycie schodów. Zniknął jednak w ułamku chwili na granicy między snem i jawą. Przez zamknięte drzwi sypialni JeriLee usłyszała ciche nucenie i leniwie przewróciła się na drugi bok. Ostry ból, przypominający migrenę po przepiciu, przeszył jej skronie. Był to, jak uprzedził ją lekarz, skutek narkozy.

Po chwili ból zelżał i wstała z łóżka. Poszła do łazienki, szybko połknęła dwie bufferiny i usiadła na sedesie. Czuła ciężar na żołądku i miała wzdęty brzuch, tak jakby powinna się wypróżnić. Kiedy jednak przez kilka minut nie udało jej się tego zrobić, dała spokój i postanowiła tylko zmienić tampon.

Zanim go wyrzuciła, przyjrzała mu się z ciekawością. Nie był aż tak zakrwawiony, jak się spodziewała. Nie bardziej niż podczas miesiączki. Jak dotąd lekarz miał rację.

Zza zamkniętych drzwi łazienki dobiegł ją czuły głos Angeli.

— Dobrze się czujesz, JeriLee?

— Tak.

— Zrobiłam kawę — oznajmiła dziewczyna. — Kiedy wyjdiesz, śniadanie będzie gotowe.

— Dziękuję. Ale to trochę potrwa. Chcę się wykapać.

— W porządku. Nie spiesz się.

Wchodząc pod prysznic, JeriLee uświadomiła sobie, że od ostatniej wizyty Angeli minął już ponad miesiąc, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego przyjaciółka postanowiła przyjść akurat dzisiaj.

Kiedy wyszła z łazienki, na nocnym stoliku czekała kawa i sok pomarańczowy. Pościel była chłodna w dotyku i świeża. Angela musiała ją zmienić podczas jej kąpieli. Oparła się o poduszki, wypila szklanekę soku i właśnie naląła sobie filiżankę kawy, kiedy do pokoju weszła Angela, niosąc tacę z jajecznicą na bekonie i grzankami.

— Nie przypuszczałam, że będę głodna — stwierdziła JeriLee.

Łagodne oczy Angeli uśmiechały się.

— Więc jedz. Jeżeli będziesz chciała, zrobię ci więcej. Usiadła na krześle przy łóżku i sięgnęła po filiżankę.

— Nie jesz? — zdziwiła się JeriLee. Angela potrząsnęła głową.

— Napiję się tylko kawy.

— Dlaczego przyszedł dzisiaj? — spytała JeriLee po chwili. Angela nie odwróciła oczu.

— Pomyślałam, że możesz potrzebować pomocy.

— Wiedziałaś? Skinęła głową.

— Wszyscy wiedzą. George nie potrafi trzymać języka za zębami, a twój agent jest niewiele lepszy.

Niczego nie można zachować w tajemnicy, pomyślała JeriLee, biorąc do ust kolejny kęs.

— Nie pracujesz dziś?

— Nie. Nakręciliśmy już wszystkie odcinki na ten tydzień. Mam być w wytwórni dopiero w poniedziałek.

Angela grała pierwszą naiwną w codziennym serialu „Gwiazdy nie spadają”. Każdego popołudnia o godzinie drugiej gospodynie domowe w całym kraju zasiadały przed telewizorem, aby go oglądać. Był to chyba najpopularniejszy serial w historii. W ciągu tych pięciu lat, kiedy Angela w nim występowała, zawsze był to numer jeden w tym czasie nadawania.

JeriLee wytarła talerz kawałkiem grzanki.

—r Dobrze było — przyznała.

— Jedzenie zawsze pomaga. JeriLee uśmiechnęła się.

— Moja matka stale to powtarzała. Angela wzięła tacę i ruszyła do drzwi.

— Gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, będę tutaj.

— Angela — zawołała JeriLee. Dziewczyna obejrzała się.

— Dziękuję.

Oczy Angeli napełniły się łzami. Odwróciła się, zamykając drzwi nogą.

JeriLee utkwiała w nich wzrok. Angeli na niej zależało. Zawsze o tym wiedziała. Jej też zależało na Angeli. Różnica

między nimi polegała jednak na tym, że ona kochała Angelę, natomiast Angela była w niej zakochana. Angela — wysoka, szczupła, piękna — taka opanowana na zewnątrz, a w środku przestraszona i pokrecona. Dlaczego tak się stało? Wszystko powinno być dla niej łatwe. Ale nic nie sprawiało jej prawdziwej satysfakcji. Nie ustawała w swym nieodwzajemnionym poszukiwaniu miłości.

A przecież gdzieś musiało się to dla Angeli zacząć, tak samo jak musiało się gdzieś zacząć dla niej. Trudno było jednak dokładnie określić gdzie. Jesteśmy sumą naszych doświadczeń. A suma ta wciąż się powiększa.

Dla JeriLee zaczęło się to gdzieś między Port Clare, Nowym Jorkiem i Los Angeles a wszystkimi przystankami na drodze i miastami pośrodku. Pittsburgh, Gary, Chicago, Des Moines, Phoenix, Las Vegas. Była w nich wszystkich i wszystkie były w niej — zaprowadziły ją do szpitala dla obłąkanych.

To dziwne, że teraz o tym myśli. Przeszył ją zimny dreszcz. Czy to znaczy, że znów się osuwa, wraca do świata lęku, w którym wszyscy są obcy?

Nie! — powiedziała sobie. Nie wróci tam. Już nigdy tak nie będzie. Nigdy więcej nie pozwoli się wykorzystywać. Nikomu, z żadnego powodu, nawet z miłości.

Będzie dawała tylko tyle, ile może dać. Zbyt wiele razy próbowała być kimś, kim inni chcieli, aby była. I to się nie udało. Nie mogła spełnić wszystkich oczekiwań wszystkich ludzi. Nie mogła spełnić wszystkich oczekiwań jednej nawet osoby. Dopiero, gdy to sobie uświadomiła i poznała swoje ograniczenia, zaczęła akceptować siebie i pozbyła się poczucia winy.

Wiedziała, że nie potrafi przebiec mili w cztery minuty ani poszybować jak mewa na porannym wietrze. I były takie ranki, które zapowiadały, że dzień obróci się w katastrofę. Zawsze jednak będą takie chwile i takie dni, i jeśli tylko nie będzie ich traktować jako oznak przegranej i słabości, lecz jako coś, co adarza się każdemu człowiekowi, i jeśli uzna swoje prawo do niedoskonałości, już nigdy więcej nie będzie musiała się bać.

Tego jednego się nauczyła i to jej pomogło. Przynajmniej potrafiła teraz radzić sobie sama, nie potrzebowała się nikogo kurczowo trzymać, ani szukać w nikim oparcia. A jednak

dobrze byłoby, gdyby ktoś taki był. Samotność nie jest niczym zabawnym.

Zapaliła papierosa i oparła się o poduszki. To było sedno sprawy. Samotność. Wszyscy: mężczyźni, kobiety. Gdy coś się kończy, odchodzą, i zostaje się samemu. A przecież tuż za oknem jest świat pełen ludzi.

Co takiego powiedziała jej pewnego ranka Angela, kiedy leżały razem na łóżku, obłożone niedzielną prasą?

— Robisz wrażenie, JeriLee, jakbyś nigdy niczego nie potrzebowała. Nigdy nikogo o nic nie prosisz. Nawet o to, żeby ci podać filiżankę kawy. Chciałabym, żebyś chociaż raz mnie o coś poprosiła. Przynajmniej czułabym się wtedy potrzebna.

— Czy tego właśnie chcesz? Być potrzebną? Angela skinęła głową.

— Jak inaczej mogę się przekonać, że coś dla ciebie znaczę?

— Nie wystarczy ci, że jesteśmy razem, że kochałyśmy się całą noc? Czy to się nie liczy?

— To tylko seks. Wiem, że nie jestem jedyną osobą, z którą sypiasz i że nie robisz ze mną nic, czego nie robiłabyś z innymi. Ja chcę czegoś więcej. Chcę być dla ciebie kimś ważnym.

— Człubysz się lepiej, gdybym nie mogła bez ciebie żyć? — zapytała JeriLee.

Angela nie odpowiedziała. Nagle JeriLee rozgniewała się, bardziej zresztą na siebie niż na przyjaciółkę.

— Nie okłamałam cię przecież. Dokładnie ci wyjaśniłam, jaki to będzie układ.

Angela z cierpieniem w oczach skinęła głową.

— Tak — odparła cicho.

— Więc czego jeszcze ode mnie chcesz?

— Chcę, żebyś mnie kochała.

— Nie potrafię cię kochać tak, jak tego pragniesz. Mogę cię kochać tylko tak, jak umiem.

— Nie złość się na mnie, JeriLee.

JeriLee podeszła do okna i popatrzyła w jasne kalifornijskie słońce. Ruch uliczny w dole zaczynał się ożywiać.

— Tam jest cały świat, Angelo — powiedziała. — I gdzieś jest ktoś, kto będzie cię kochał tak, jak chcesz być kochana. Musisz tylko dać temu światu szansę.

Angela stanęła obok niej.

— Czy dla ciebie też ktoś tam jest, JeriLee? — zapytała. Nagły smutek ogarnął JeriLee, świadomość własnego bólu i bólu Angeli. Tak, jakby były siostrami, a nawet więcej niż siostrami. Przypadły do siebie i ich łzy się zmieszały.

— Mam nadzieję — odparła JeriLee miękko. — Wolę nie myśleć, że mogłoby być inaczej.

Potem wróciły do łóżka, kochały się i w słodkiej męce seksu ponownie odkryły swą jedność i swą odrębność. Zanim jednak niedziela minęła, wiedziały, że ich romans jest skończony, choć miłość nie w pełni wygasła.

Wychodząc następnego ranka do pracy, Angela zabrała swoją małą walizkę, ale nie zostawiła kluczy. JeriLee uświadomiła sobie nagle, w jaki sposób przyjaciółka dostała się dziś do mieszkania. W tej chwili była jednak zmęczona. Jej miednica pulsowała bólem, przypominając o wczorajszym dniu.

Zadzwonił telefon i podniosła słuchawkę.

— Jak się czujesz? — zapytał lekarz.

— Dobrze - odparła. — Właśnie znowu zaczęło mnie boleć, ale nie krwawię aż tak, jak się spodziewałam.

Przybrał rzeczowy ton.

— Będziesz trochę krwawić, nie bój się jednak i nadal bierz aspirynę, by uśmierzyć ból. Zostań w łóżku, jeśli możesz. Jeżeli potrzebujesz kogoś, żeby się tobą zajął, przyślę ci wykwalifikowaną pielęgniarkę.

— Nie trzeba. Jest tutaj moja przyjaciółka.

— To dobrze. Zajrzę do ciebie po południu wracając ze N/pitala.

— Dziękuję.

Po chwili otworzyły się drzwi.

— Wszystko w porządku? — zapytała Angela.

— Tak. Dzwonił mój lekarz. Wpadnie tu po południu.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Nie, dzięki. Kazał mi leżeć w łóżku i odpoczywać. — ()parła się o poduszki. — Chyba spróbuję zasnąć.

Utkwiła wzrok w zamkniętych drzwiach. Zastanawiała się, które uczucie jest silniejsze — potrzeba kogoś czy pragnienie bycia potrzebnym. Nie знаła odpowiedzi. Prawdopodobnie nigdy jej nie pozna.

Nagle przypomniała sobie, co przed wielu laty powiedział jej Fred.

— Jesteśmy dla siebie dobrzy, kochanie, bo potrzebujemy się nawzajem.

Zgodziła się z nim. Żadne z nich nie wiedziało jednak, jakie naprawdę są te potrzeby. I w końcu się okazało, że swoje musi zaspokajać sama.

ROZDZIAŁ 2

Stukanie w klawisze ustało. Siedziała przy małym stoliku, patrząc na słowa na papierze, wciąż rozbrzmiewające w jej głowie.

„Kocham cię. Nie kocham cię. Skąd do diabła mam wiedzieć, co czuję?”

Wstała z krzesła i podeszła do okna. Ulica była ciemna i pusta, nie licząc ciężarówki, która zabierała śmieci z restauracji naprzeciwko. Zegar pokazywał wpół do trzeciej rano. Wróciła do stolika i zaciągnawszy się głęboko papierosem zgasiła go w popielniczce pełnej połamanych niedopałków. Na stojąco uderzając w klawisze, napisała ostatnie słowo: KURTYNA.

Niemal ze złością wyszarpnęła kartkę z maszyny i położyła ją na innych starannie przepisanych stronicach. Sztuka była skończona.

Chwilowy gniew minął, czuła teraz wyczerpanie i pustkę. Jutro, z problemami, których rozwiązanie odkładała z dnia na dzień, zajęta pisaniem, zamajaczyło przed nią groźnie. Jutro będzie musiała pomyśleć o pieniądzach, o zapłaceniu rachunków. Jutro będzie musiała wyjść z czterech ścian, wrócić do świata ludzi, na targowisko, na którym osądzą jej dzieło.

Czuła, że wzbiera w niej lęk i zaczyna drżeć. Czego się boisz, JeriLee? — zapytała samą siebie. Nie zrobiłaś nic złego. Pracowałaś. Miałaś powód, żeby nie opuszczać kokonu.

Drżenie rąk było jednak tak silne, że nie mogła go

opanować. Poszła do łazienki, wyjęła z apteczki fiolkę valium i połknęła dziesięciomiligramową niebieską kapsułkę, popijając ją wodą.

Spojrzała na zegar. Druga trzydzieści pięć. Fred wróci dopiero za półtorej godziny. W barze przy Zachodniej Czterdziestej Dziewiątej Ulicy miał występ, który potrwa do trzeciej. Przestało ją ścisnąć w dołku. Zaczynała czuć się lepiej. Odzyskała pewność siebie.

Zrobiła to. Skończyła sztukę. Od jutra będzie mogła żyć dalej. Nie ma się czego bać. Z wyjątkiem tego, co jest w niej samej.

Po pierwsze musi zanieść sztukę Fannonowi. Obiecał, że ją wystawi. Po drugie — iść do salonu piękności. Nie, najpierw pójdzie do salonu piękności, a potem do Fannona. Chciała wyglądać jak najlepiej, gdy się pojawi w jego biurze.

Zaczęła rozdzielać oryginał i kopie. Po kilku minutach wszystko było starannie ułożone, każdy egzemplarz w osobnej teczce. Nieźle jej to wyszło. Zawodowa maszynistka nie spisałaby się lepiej, a za pięć kopii brały ponad sto dolarów. Szybko wepchnęła teczki na półkę i przykrywszy maszynę, schowała ją do szafy. Pokój wydał jej się dziwnie pusty. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy maszyna do pisania nie stanowiła głównego elementu jego wyposażenia.

Ogarnęło ją podniecenie. Była to ważna chwila. Czas, aby świętować. Noc na szampana i kawior. Otworzyła barek: chablis Galio i orzeszki ziemne. To też nie było takie najgorsze.

Włożywszy butelkę wina do zamrażalnika, nakryła obrusem niewielki stolik, postawiła na nim dwie świece i wsypała orzeszki do szklanej miseczki. Pospiesznie doprowadziła pokój do porządku, opróżniając nawet kosz na papiery z wyrzuconych stron. Po całej pracy nie zostało ani śladu. Zapaliła świece, wyłączyła światło i cofnęła się, aby ocenić efekt. Wnętrze pogrążyło się w ciepłej, żółtej, migotliwej poświacie.

Zadowolona, poszła do łazienki i zdjęła dzinsy i koszulę. Miała jeszcze czas, aby wziąć prysznic i ułożyć włosy, zanim Fred wróci do domu. Była to przecież wyjątkowa noc i chciała wyglądać wyjątkowo.

Pomimo wysiłków urządzeń klimatyzacyjnych powietrze było przesiąknięte zapachem papierosów, piwa i potu. Fred spojrzął na zegarek. Za kwadrans trzecia. Jeszcze tylko piętnaście minut. Spuścił wzrok na klawisze pianina. Nie był w nastroju do grania i śpiewania. Nikt go nie słuchał, a zresztą w tym hałasie i tak nic nie mogli usłyszeć. Ze swojego podwyższenia w głębi sali popatrzył w stronę baru. Barmanki krzątały się pospiesznie. Była to dobra noc. Mniej więcej połowa mężczyzn nosiła mundury. Teraz rozumiał, dlaczego właściciele lokali rozrywkowych tak uparcie walczyli przeciwko wprowadzeniu przepisów zabraniających wstępu żołnierzom. Bez nich interes nie szedł. — Fred.

Odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim Licia. Była to postawna dziewczyna o skórze koloru miodu, w lśniącej peruce a la Nancy Wilson, nieoficjalnie główna barmanka. Jej łagodny wygląd skrywał wewnętrzną twardość. Nikt się z nią nie spoufalał, ani dziewczęta, ani klienci. Rozmawiała z nimi i piła, ale gdy lokal zamykano, wychodziła sama.

— Masz zapotrzebowanie na pianistę? — zapytał, biorąc pierwszy akord.

Tak. Szef chce, żebyś został do czwartej.

— Cholera — odparł, nie przerywając piosenki. — Jestem wykończony. Siedzę tu bitych pięć godzin.

— Za tę dodatkową zapłaci ci podwójnie — odrzekła. Było to dziesięć dolarów. Za pięć godzin pracy dostawał dwadzieścia pięć.

— Dlaczego nagle zrobił się taki hojny?

— Spójrz na ten tłum — wyjaśniła Licia. — Szef wie, że kiedy zobaczą, jak wstajesz od pianina, pomyślą, że zamykamy i zaczną wychodzić.

Fred zastanawiał się, czy JeriLee na niego czeka. Najprawdopodobniej poszła już spać.

— Zgoda — powiedział.

Dziesięć dolarów ekstra brzmiało nieźle. Był to jego pierwszy występ od ponad trzech tygodni.

JeriLee spojrzała na zegar. Wpół do czwartej. Fred powinien już być w domu. Znow ogarnęło ją napięcie.

To głupie. Będzie musiała wziąć się w garść. Nie ma się czym denerwować. Skończyła sztukę.

Skreć dobrze by jej zrobił. Z szuflady nocnego stolika w sypialni wyjęła plastikową torebkę z trawą. Lubili sobie zapalić, zanim zaczęli się kochać. Po kilku machach wszystko było łatwe.

Siedząc na kanapie, skupiła całą uwagę na skręceniu papierosa. Przynajmniej miała jakieś zajęcie. Starannie polizała bibułkę i popatrzyła na swoje dzieło. Skreć był równy i zgrabny, ze ściśniętymi końcami. Potarła zapalnik i zapaliła go.

Zaciągnęła się głęboko i zatrzymała dym w płucach. W jego piekającej słodyczy było coś uspokajającego. Zaciągnęła się ponownie i napięcie zaczęło ustępować. Tak już lepiej. Znow spojrzała na zegar. Za piętnaście czwarta. Nie tak źle.

Nagle poczuła pragnienie i suchość w ustach. Trawa zawsze tak na nią działała. Wyjęła wino z lodówki i nalala sobie kieliszek. Zaczynała mieć lekki odjazd. Fred się zdziwi, kiedy przyjdzie i zobaczy ją w takim stanie.

Zwykle albo spała niespokojnym snem, albo garbiła się nad maszyną. Nie mogło mu się to podobać, ale poskarżył się tylko raz.

— Kochanie, wygląda na to, że nie umiesz się już bawić. Nie możesz stale żyć w takim napięciu.

Był to zły dzień.

— Co ty możesz o tym do cholery wiedzieć? — krzyknęła. — Masz występ albo nie masz występu, nie musisz wydobywać z siebie czegoś, o czym nawet nie wiesz, czy jest coś warte, czy jest dobre czy złe. Jeśli masz pracę, wychodzisz. Jeśli nie masz, siedzisz tutaj, pijesz piwo, palisz trawę i gapisz się na mnie dzień i noc. Pieprzę to. Nic cię nie obchodzi.

Przyglądał się jej przez moment, a potem poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Po chwili usłyszała szum prysznic. Zanim wyszedł, złość jej minęła i zdjęła ją skrucha.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie chciałam na ciebie krzyknąć.

Skinął głową, bez słowa zniknął w sypialni i wrócił z gotowym skrećtem. Zapalił go i podał jej.

— Poczujesz się lepiej — stwierdził. — Kiedy skończysz sztukę.

Więc skończyła sztukę i czuła się lepiej. Zaciągnęła się i splukała dym winem. Po raz pierwszy od długiego czasu czuła się dobrze i swobodnie. Wzbierało w niej gorąco i dotknęła się, podniecona. Była mokra. Nie zdarzyło się to od dawna. Boże, ależ ma chciwę. Z niecierpliwością wyglądała powrotu Freda. Nie wiedział, że czeka go najbardziej szaleńczy seks, jaki kiedykolwiek przeżywał.

ROZDZIAŁ 3

czwartej lokal zamknięto. Nie minęło dziesięć minut i wyszli już wszyscy goście oraz większość personelu. Barmani nie bawili się w uprzejmości. Jeżeli jakiś klient marudził nad swoim drinkiem, jego kieliszek znikał nagle z baru. Fred ze znużeniem zebrał nuty, włożył je do skórzanej teczki i podszedł do kasy, aby odebrać wypłatę. Barman stał do mego tyłem, licząc utarg. Fred czekał cierpliwie, aż skończy. Dobrze wiedział, że nie należy mu przerywać. Nagle wyrosła przy nim Licia.

Szef chce ci postawić drinka — oznajmiła.

— Bourbon z wodą — odparł Fred z wdzięcznością.

— Jack Daniel's z wodą — zawołała. — Whisky w barze to szczytny. Rozcieńczają ją pół na pół.

— Dzięki.

Barman postawił przed nim szklaneczkę i wrócił do kasy. Zdrówko — powiedział Fred, pociągając łyk. Podobasz się szefowi — stwierdziła Licia. — Mówi, że znasz się na rzeczy.

— Podziękuj mu ode mnie — odparł.

Upłynęło wiele czasu odkąd ktoś powiedział mu coś miłego o jego muzyce.

Jakie masz plany? — zapytała nieoczekiwanie.

— O co ci chodzi?

— O pracę — wyjaśniła.
— Znaleźć następną chałturę.
— Nie pracujesz w ciągu dnia?
— Nie. Mam tylko moją muzykę. Nic innego nie umiem.
— Jak spędzasz czas?
— Szukając chałtur — odrzekł. — Pracuję też nad paroma kawałkami.
— Piszesz piosenki? Skinął głową.
— Jest tylko jeden kłopot. Nikt ich nie chce słuchać. Wytwórnice płytowe są zapchane wielkimi nazwiskami i interesuje je wyłącznie rock. Wetknij gitarę jakiemuś brodatemu szczeniakowi ubranemu w hipisowskie ciuchy, a będą się zabijać o to, żeby podpisać z nim kontrakt.
— Może szef mógłby ci pomóc — powiedziała. — Ma kontakty w paru firmach muzycznych.
— Byłbym mu bardzo zobowiązany.
— Pozwól, że z nim porozmawiam.
Przyglądał się, jak idzie na zaplecze i znika w biurze usytuowanym między męską i damską toaletą. Był pewien, że nic z tego nie wyjdzie, czuł jednak wdzięczność za okazane zainteresowanie. Z JeriLee nigdy nie poruszali tematu jego pisania. Zbyt pochłaniała ją własna praca. Nie miała głowy do niczego innego.
Po powrocie Licia oznajmiła:
— Kazał mi powiedzieć, że ma u siebie pianino. Jeśli chcesz do niego wpaść, posłucha twoich piosenek.
— O tej porze? — zdziwił się. — Już po czwartej.
— Szef to nocny marek — wyjaśniła. — Dla niego jest teraz popołudnie. Wstaje z łóżka dopiero o siódmej wieczorem.
Fred namyślał się chwilę. JeriLee na pewno już śpi. Nie spodziewał się niczego, ale zawsze była to jakaś szansa.
— Zgoda — odparł.
— Daj Fredowi trzydzieści pięć dolarów — poleciała Licia. Barman szybko odliczył pieniądze. Fred wsunął je do kieszeni.
— Dzięki — mruknął.
— Więc chodźmy — ponagliła go. — Szef powiedział, żebym cię do niego zawiozła. Zaparkowałam samochód w garażu Radio City.

Był to srebrny Cadillac kabriolet, z czarną skórzaną tapicerką i czarnym dachem. Fred opadł na siedzenie obok Licii i głęboko wciągnął powietrze. Zawsze podniecały go dwie rzeczy: nowy samochód i nowa cipka. Nie wiedzieć czemu, kojarzyły mu się ze sobą, a ten samochód pachniał nowością.

Gdy wjechali w Czterdziestą Dziewiątą ulicę, Licia włączyła magnetofon. Nat King Cole śpiewał „Too young”, jeden ze swoich największych przebojów.

— Już nigdy nie będzie drugiego takiego jak King — zauważył Fred.

— King nie żyje — odparła spokojnie Licia. Wprawnie skręciła w Avenue of the Americas, zmierzając w stronę centrum. Miała szczęście na światłach i, nim Fred się obejrzał, byli w Central Parku.

— Ładny wóz — pochwalił.

Lubię go — odrzekła bezbarwnym głosem. Wyjechali z Parku przy skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Drugiej z Piątą i dotarli do York Avenue. Skręciła przy jednym z nowych narożnych budynków i zjechała rampą do garażu.

Zatrzymawszy samochód wysiadła, nie czekając na parkingowego.

— Winda jest tutaj — oznajmiła.

Windziarz najwyraźniej znał Licię. Pozdrowił ją, podnosząc rękę do czoła.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — odparła.

Wiedział, dokąd jada. Zatrzymał windę na siedemnastym piętrze, chociaż Licia nie odezwała się ani słowem. Fred poszedł za nią wyłożonym dywanem korytarzem. Musiała być blisko z szefem. Nie zaanonsowano jej, co zwykle robiono w tego typu domach. Przyglądał się, jak przystaje pod drzwiami i wyjmuje z torebki klucze. Pokiwał głową. Tak. Była blisko z szefem. Naprawdę blisko. Miała nawet własny klucz.

W mieszkaniu paliły się światła. Wprowadziła go przez duży przedpokój do jeszcze większego salonu. Z okien rozpościerał się widok na East River, Triborough Bridge oraz Queenboro Bridge przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. W narożnej wnęce stał mały, biały fortepian. Fred zastygł w niemym zachwycie. Coś takiego widział dotąd tylko w kinie.

— Szef ma niezłe mieszkanie — powiedział. Zerknęła na niego, ale nie zareagowała na tę uwagę.

— Jack Daniel's z wodą? — zapytała.

Skinął głową. Nalała mu drinka i czekała, aż spróbuje.

— W porządku?

— Tak — odrzekł i odwrócił się, usłyszawszy kroki. Do pokoju weszła biała dziewczyna z długimi, brązowymi włosami i niebieskimi oczyma, ubrana w biały szlafrok.

— Spałam — powiedziała do Licii. — Ale usłyszałam głosy.

— Przykro mi, że cię obudziliśmy, kochanie, Fred przyszedł, żeby dla nas zagrać. — Zwróciła się do chłopaka. Fred, to jest Sam. Zdrobnienie od Samanty. Sam, to Fred... — spojrzała na niego pytająco.

— Lafayette — podpowiedział pospiesznie.

— Fred Lafayette — powtórzyła. Dziewczyna wyciągnęła rękę.

— Miło mi cię poznać.

— Mnie również — odparł. Jej dłoń była chłodna w dotyku. Odwrócił się do Licii. — Gdzie szef? Mogę zacząć, kiedy tylko będzie gotowy.

Licia patrzyła na niego spokojnie.

— Możesz zaczynać.

Utkwił w niej wzrok. Nagle wszystko stało się jasne. Grał w tym barze co najmniej cztery razy i nigdy nie widział szefa.

— To ty?

W jego głosie zadźwięczała nuta zdziwienia. Licia skinęła głową. Odstawił szklanę na stoliczek do kawy.

— Chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdę — stwierdził. — Nie lubię, jak się mnie nabiera.

— Nikt cię nie nabiera — odparła spokojnie. — Powiedziałeś, że ludzie nie chcą słuchać twojej muzyki. Więc ja posłucham. Jeśli dojdę do wniosku, że jest tego warta.

Spojrzał jej w oczy.

— Często to robisz?

— Pierwszy raz.

— Dlaczego wybrałaś mnie?

— Uczyłam się muzyki w college'u — wyjaśniła. Niestety nie mam talentu. Mogę pozorować, że go mam, ale

to nieprawda. Kiedy jednak coś jest naprawdę dobre, potrafię się na tym poznać. Słyszałam cię w barze. Masz własny styl. Piosenki, które śpiewasz, brzmią tak, jakbyś je sam napisał. Milczał przez chwilę.

— Prowadzisz Green Bar?

— Jestem właścicielką — odparła z prostotą. — A gdyby ci się przypadkiem wydawało, że interesuje mnie twój gruby, czarny kutas, wybij to sobie z głowy. Jestem, jaka jestem i dobrze mi z tym. Po prostu podoba mi się twoja muzyka, i jeżeli masz w sobie to, co myślę, możemy na tym zarobić parę dolarów.

Popatrzył najpierw na nią, potem na dziewczynę i uświadomił sobie, że tego wieczoru wszystko dociera do niego bardzo powoli.

— Co byś chciała usłyszeć? — zapytał. — Szybkie, wolne, balladę, pop, country czy bluesa?

— Zagraj to, co ci przychodzi do głowy.

— Wracam do łóżka — odezwała się nagle Sam.

— W porządku, kochanie — odpowiedziała Licia. Dziewczyna wyszła z pokoju nie mówiąc im dobranoc.

— Może wolisz, żebym przyszedł jutro? — zapytał Fred.

— Nie ma powodu. Przywiozłam cię tutaj, żebyś grał. Więc graj.

Podeszła z nim do fortepianu. Uśmiechnął się, dając wyraz wezbranym uczuciom. Od tak dawna nie grał własnej muzyki.

Zaśpiewał nie więcej niż osiem taktów, kiedy Licia zorientowała się, że przeczucie jej nie zawiodło. To była magia. Czysta magia.

ROZDZIAŁ 4

JeriLee usnęła na kanapie, ale zgrzyt klucza w zamku obudził ją natychmiast. Zalany słońcem pokój wirował, a w skroniach jej szumiało.

Spojrzała na pustą butelkę, stojącą między dwiema wypalonymi świecami. Nie mogła uwierzyć, że sama całą wypila.

Fred zatrzymał się w otwartych drzwiach, zdziwiony widokiem JeriLee na kanapie.

— Myślałem, że się położyłaś — odezwał się.

— Staralam się doczekać twojego powrotu, ale usnęłam. Która godzina?

— Prawie dziewiąta — odparł. Zauważył butelkę po winie i świece. — Świętowałaś. Co to za okazja?

— Skończyłam sztukę.

Milczał przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

— Gratulacje, kochanie. Rzeczywiście warto to uczcić. — Nie uprzedziłeś mnie, że nie wrócisz na noc.

Nie chciała, żeby brzmiało to jak wyrzut, ale tak właśnie wyszło.

— Sam się tego nie spodziewałem.

— Mogłeś zadzwonić.

— Myślałem, że już śpisz. Pochylił się i pocałował ją.

— Ja też mam dobrą wiadomość. Poczula w jego oddechu zapach whisky.

— Piłeś.

— Trochę — przyznał.

— Co to za wiadomość?

— Przesłuchała mnie kobieta, która jest właścicielką Green Baru. Pomoże mi znaleźć firmę płytową i wydawcę dla moich piosenek.

— Jakich piosenek?

— Mam parę kawałków, które gryzmołę od lat — wyjaśnił.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— Nigdy nie pytałaś. Poza tym zawsze miałaś tyle na głowie, a i tak nic się nie działo. W każdym razie do wczoraj. Poczula ukłucie zazdrości.

— Kobieta jest właścicielką Green Baru? Skinął głową.

— Zostałaś tam i grałaś dla niej?

— Nie. Zabrała mnie do siebie. Ma w mieszkaniu fortepian.

— Ach tak.

Podniosła się. Czuła kwaśny smak w ustach. Nieoczekiwanie

ogarnęło ją przygnębienie. Wywołane skończeniem sztuki podniecenie zniknęło.

— Umyję zęby i położę się do łóżka. Odprowadził ją do drzwi łazienki.

— To nie to, co myślisz. Popatrzyła na jego odbicie w lustrze.

— Skąd wiesz, co myślę?

— Nic między nami nie zaszło.

— Jasne — odparła ironicznie. — Spędziłeś w jej mieszkaniu sześć godzin po prostu grając na fortepianie.

Starannie wycisnęła pastę z tuby.

— Nie musisz kłamać. Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

— Nie kłamię.

— Nie mam ochoty o tym rozmawiać — ucięła i zaczęła czyścić sobie zęby.

— Co teraz zrobisz? — zapytał, gdy wróciła do sypialni.

— Zaniosę sztukę Fannonowi.

Weszła do łóżka, sięgnęła po budzik i nastawiła go na południe.

— Ale najpierw chcę wpaść do salonu piękności, żeby zrobić coś z włosami.

— Mnie się podobają.

— A mnie nie. Nie obcinałam ich od miesiący. — Oparła się o poduszki. — Muszę się trochę przespać.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. W sypialni o szczelnie zaciągniętych zasłonach nagle zrobiło się ciemno. Leżała w łóżku, wbiwszy wzrok w ścianę. Nie podobało jej się własne zachowanie, ale nic nie mogła na to poradzić. Fred nie zdawał sobie sprawy, w jakim żyje napięciu, jak ważne jest dla niej pisanie. Nigdy nie zainteresował się nim na tyle, żeby chociaż coś przeczytać. Miała wrażenie, że dla Freda jej praca jest wyłącznie jej sprawą. Łączył ich tylko seks.

Budzik wyrwał JeriLee z głębokiego snu, wstrząsając każdym jej nerwem. Wyłączyła go po omacku i zaświeciła nocną lampkę. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się kilka razy. Była już spokojniejsza, kiedy zadzwonił telefon.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

— Czy mogę mówić z Fredem?

— Chwileczkę.

Fred spał na kanapie. Dotknęła jego ramienia.

— Telefon do ciebie — powiedziała.

— Kto to?

— Nie pytałam.

Podniósł słuchawkę aparatu stojącego obok kanapy. Wróciła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i odłożyła słuchawkę drugiego telefonu. Przejrzała się w wiszącym w łazience lustrze i nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Miała bladą twarz, a wokół ust i oczu zmarszczki, których dotąd nie zauważyła.

Pomyślała o brzmieniu głosu kobiety. Kimkolwiek jest, bez wątpienia potrafi nad sobą panować. Była ciekawa, jak ona wygląda i ile ma lat, ale zwalczyła odruch, żeby podsłuchać rozmowę.

Co się z nią dzieje? Nigdy przedtem nie myślała w ten sposób, nigdy się tak nie zachowywała. Nie mieli z Fredem wobec siebie zobowiązań, nie była jego własnością, ani on nie był jej własnością. Byli ze sobą, ponieważ tego chcieli. Gdyby któreś z nich zapragnęło odejść, mogło to zrobić w każdej chwili. Gnieździli się jednak razem w tym mieszkaniu od sześciu miesięcy i taka bliskość wyprawia czasem z człowiekiem dziwne rzeczy.

Żałowała, że odebrała telefon. Ale Fred nie podniósłby słuchawki. Nigdy tego nie robił — ze względu na jej matkę. Gdy matka odkryła, że mieszkają razem, bardzo się rozgniewała. Nigdy nie pochwalała stylu życia córki, a związek z czarnym oznaczał dla niej przekroczenie wszelkich granic i bynajmniej nie kryła się ze swoim zdaniem. Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że Fred zrujnował JeriLee życie.

Groziła nawet w pewnym momencie, że ubezwłasnowolni córkę, dopóki ta nie zwróciła jej uwagi, że nie ma już nad nią władzy. Wówczas ich kontakty się urwały. Minęły cztery miesiące, odkąd JeriLee widziała matkę i całe tygodnie, odkąd rozmawiały ze sobą przez telefon.

Może powinna iść do psychoanalityka, ale gdyby go nawet znalazła, nie miałyby czym mu zapłacić.

Przeszukała apteczkę. Prochy były tańsze od psychiatry. Wyjęła fiolkę quaalude. Tego właśnie potrzebowała. Librium ją rozluźniało, valium pomagało spać, a quaalude miało działanie podwójne. Jednocześnie uspokajało ją i poprawiało samopoczucie. Połknęła pigułkę i weszła pod prysznic, odkręcając kurek od zimnej wody do samego końca.

Owinąwszy się ręcznikiem kąpielowym usiadła na brzegu łóżka i wykręciła numer biura Fannona.

Adolf Fannon Productions — oznajmiła jakaś kobieta.

— Proszę z panem Fannonem. Mówi JeriLee Randall.

— Chwileczkę.

Nagle serce zaczęło jej bić jak młotem. Minał ponad rok. Zastanawiała się, czy będzie pamiętał ją i swoją obietnicę. Najpierw usłyszała trzask, a potem jego głos.

— JeriLee. Jak miło, że się odezwałaś. Przybrała lekki, niedbały ton.

— To mnie jest miło cię słyszeć, Adolfie.

— Zbyt długo z tym zwlekałaś — zauważył serdecznie, po czym zapytał rzeczowo: — Skończyłaś sztukę?

— ^{Tak} — odparła, oddychając z ulgą. Pamiętał.

— Kiedy ją dostanę?

— Mogę ci podrzucić egzemplarz do biura, kiedy tylko sobie życzysz.

Starzy przyjaciele nie załatwiają interesów w taki sposób. Pójdziemy na kolację. Najpierw porozmawiamy o sztuce, a potem zabiorę ją do domu i przeczytam.

Uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że zanim Fannon spojrzy na sztukę, przeczyta ją cały personel, ale i tak ten sposób załatwienia sprawy był przyjemniejszy niż zostawienie egzemplarza w biurze.

— To mi odpowiada — stwierdziła. — Kiedy się spotkamy?

— Może dziś wieczorem? — zaproponował. — Jesteś wolna?

— Mogę być.

— Świetnie. O ósmej trzydzieści u Sardiego. Spektakle już się pozaczynają, więc nie powinno być tłoku i będziemy mogli porozmawiać swobodnie.

— O ósmej trzydzieści — powtórzyła. — Przyjdę na pewno.

Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo była zdenerwowana. Znowu trzęsły jej się ręce. Przed pójściem na kolację będzie potrzebowała jeszcze jednego quaalude. To bardzo ważne, żeby się trzymała.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy po kolacji dotarła do domu, mieszkanie było puste. Dochodziła jedenasta. Leżąca na stole kartka zawierała krótką i zwięzłą wiadomość: „Poszedłem na spotkanie. Wrócę koło północy.”

Poczuła przypływ rozdrażnienia. Wyszła dopiero o ósmej i Fred nie wspominał o żadnym spotkaniu. Zgniotła kartkę i wyrzuciła ją do kosza. Zniecierpliwiona poszła do sypialni i przebrała się w dzinsy i bluzkę. Teraz, kiedy skończyła sztukę, czuła się w mieszkaniu jak w klatce.

Powędrowała bez celu do salonu, potem weszła do kuchni i nalała sobie kieliszek białego wina. Powinna zacząć myśleć o znalezieniu jakiegoś zajęcia.

— Będę chyba musiała wrócić do pracy — powiedziała Fannonowi, gdy zapytał o jej plany. — Miałbyś coś dla mnie w swoich przedstawieniach?

— Raczej nie. To niedobry sezon. Tego lata nie mam żadnych sztuk w trasie.

— Więc muszę się sama rozejrzeć — stwierdziła.

— Kto jest teraz twoim agentem?

— Nie mam agenta — wyjaśniła pospiesznie. — Kiedy pracowałam nad sztuką, trochę zaniedbałam wszystko inne.

Popatrzył na nią bez słowa. Zdawała sobie sprawę, że wie, co się stało.

— Teraz, gdy skończyłam, pomyślałam, że mogłabym pójść do Williama Morrisa.

— Jeśli to coś da, możesz powiedzieć, że jestem zainteresowany twoją sztuką.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Dziękuję, Adolfie — odrzekła.

— Jeżeli tylko będę ci mógł w czymś pomóc — ciągnął, przesuwając dłoń po jej udzie — po prostu zadzwoń.

— Dobrze — odparła.

Pod restauracją wsadził ją do taksówki. Kiedy samochód skręcił w Broadway, poprosiła kierowcę, aby zatrzymał się przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Dalej pojechała metrem. Taksówki były teraz dla niej zbyt drogie.

To dziwne, jak wszystko się zmieniło. Przez długi czas poruszała się po mieście wyłącznie taksówkami. Teraz wydawało się jej, że było to tak dawno. Również u Sardiego było inaczej.

Kiedy wchodziła do restauracji przed rokiem, miała wrażenie, że wszyscy ją znają. Tym razem szef sali patrzył na nią obojętnie, mimo że poprosiła o wskazanie stolika Fannona. Zastanawiała się, czy aż tak bardzo się zmieniła.

— Pani Thornton, oczywiście — odparł z zawodowym uśmiechem, gdy Fannon zapytał go, czy pamięta pannę Randall. — Wydawało mi się, że to pani, ale zmieniła pani uczesanie, więc nie byłem pewien. Witamy po powrocie.

Po powrocie? A gdzie niby była? Za kręgiem polarnym?

— Miło jest wrócić — odrzekła, choć na dźwięk tych słów ogarnął ją niesmak.

Podobnie było z ludźmi, którzy zatrzymywali się przy ich stoliku, aby porozmawiać z Fannonem. Wszystkim musiała zostać przedstawiona, a wyraz ich twarzy wskazywał, że jej nazwisko nic im nie mówi. Broadway ma krótką pamięć, to jedno było pewne.

Prawie skończyła wino, kiedy zadzwonił telefon. Fred sprawiał wrażenie rozradowanego.

— Jak się udała kolacja? — zapytał.

— Świetnie — odparła. Poznała, że pił.

— Wystawi sztukę?

— Jeszcze nie wiem. Musi ją najpierw przeczytać.

— Mamy tu uroczystość — ciągnął. — Właśnie podpisaliśmy umowę i Licia otworzyła butelkę prawdziwego szampana. Wskocz w taksówkę i przyjedź.

— Chyba nie powinnam — odrzekła z wahaniem. — Już późno.

— Daj spokój — nalegał. — Jest tu tylko Licia, jej adwokat i ja. — Usłyszała w tle inny głos. — Zmiana planów, kochanie. — Roześmiał się. — Zaczekaj, przyjedziemy po ciebie. Pójdziemy się gdzieś zabawić.

Może i dobrze, pomyślała, gdy się rozłączył. Bez pracy mieszkanie było przygnębiające.

U Arthura panował tłok. Muzyka dudniła w głośnikach nad ich głowami i musieli niemal krzyczeć, żeby się nawzajem słyszeć. Kiedy przyjechali, pod klubem stała długa kolejka, ale Licia bez wahania wysiadła z samochodu, zostawiając jego zaparkowanie portierowi. Jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzwi się otworzyły i znalazł się dla nich dobry stolik. Wydawało się, że dziewczyna zna w dyskotecce wszystkich.

Dopiero gdy wysiedli, JeriLee zorientowała się, jaka Licia jest wysoka — ma co najmniej pięć stóp i dziesięć cali, zgadywała. Było w niej coś posągowego, opanowanie i siła, objawiające się w ruchach i sposobie chodzenia. W porównaniu z nią druga dziewczyna, Sam, ze swoją samolubną, nadąsaną miną, sprawiała wrażenie osoby słabej. Marc, adwokat, był młodym mężczyzną o przebiegłej żydowskiej twarzy, która od pierwszej chwili budziła nieufność.

Gdy tylko dotarli do stolika i kelnerka przyjęła zamówienie, adwokat i Sam poszli tańczyć. Po chwili zniknęli w tłumie na parkiecie.

Siedzący między Licią i JeriLee Fred uśmiechnął się.

— Na pewno się polubicie — stwierdził. — Obie jesteście bardzo niezależne.

Napotkawszy wzrok Licii, JeriLee miała wrażenie, że już Mię znają. Nawiązało się między nimi porozumienie, które nie wymaga słów. Poczwała, że się rumieni.

Licia uśmiechnęła się.

— Jestem o tym przekonana — odrzekła lekkim tonem.

— Tak — zgodziła się JeriLee.

Kiedy kelnerka przyniosła im drinki, Licia podniosła (twoją szklanekę soku pomarańczowego. Za naszego muzyka.

Gdy się stuknęli, Fred wybuchnął śmiechem.

— Mam nadzieję, że żadna z was się nie rozczaruje — powiedział.

— Nie sądzę — odparła Licia, patrząc na JeriLee. Ta znów poczuła, że się rumieni.

— Na pewno nie — dodała.

— Może zatańczycie — podsunęła Licia. — Mną się nie przejmujcie. Dobrze mi tutaj.

Fred spojrzął na JeriLee.

— Co ty na to, kochanie?

Skinęła głową i wstała. Parkiet był zatłoczony. Po chwili poddała się pulsującemu rytmowi. Uwielbiała tańczyć, zwłaszcza rocka. Był w nim jakiś ekshibicjonizm, który ją pociągał. Ten rodzaj tańca wydawał się być stworzony specjalnie dla niej.

Fred pochylił się jej do ucha.

— Co sądzisz o Licii?

— To wyjątkowa osoba.

Kiwnął głową, poruszając się w takt muzyki.

— I sprytna. Ma udziały w wielu interesach oprócz Green Baru. Sklepy płytowe, firmy muzyczne, kilka klubów w innych miastach.

— Brzmi to nieźle — przyznała JeriLee.

— Naprawdę nieźle — ciągnął. — Przynajmniej nie będziemy już musieli się martwić o forszę. Gwarantuje mi sto pięćdziesiąt dolców tygodniowo co najmniej przez następny rok.

— A co ona z tego ma?

— Podzielimy się zyskami po połowie. Sprzedajemy wszystkie moje piosenki pewnemu wydawnictwu i oni załatwią resztę, łącznie z płytami i występami w klubach.

— Co Licia wnosi oprócz pieniędzy? — zapytała JeriLee.

— Kontakty. Zna w tym biznesie wszystkich, a w firmach, których jest współwłaścicielką, ma wiele do powiedzenia. Ludzie będą się starali, żeby była zadowolona.

— Brzmi to nieźle.

— I tak też jest.

Bez słowa spojrzała mu w oczy.

— Łączą nas tylko interesy. Sam jest jej przyjaciółką. Nagle wszystko zaczęło układać się w całość. JeriLee od

razu zauważyła, że Licia jej kogoś przypomina. Teraz już wiedziała kogo. Nie było to podobieństwo fizyczne, ale sposób, w jaki dziewczyna popatrzyła na nią, gdy się poznały. Takie same delikatne wibracje wyczuwało się w Carli Marii. Być może tamto doświadczenie obudziło w niej nową świadomość. Przez lukę w tłumie zobaczyła, że Licia zerka na nią znacząco i poczuła, że oblewa się rumieńcem.

Licia wiedziała, tak samo, jak musiała wiedzieć Carla Maria. Czy to możliwe, że wysyła jakieś sygnały, nie zdając sobie z tego sprawy? Czy to możliwe, że gdzieś w głębi niej czai się lesbijka, która tylko czeka na to, aby się wydostać na wolność?

Była tak głęboko zatopiona w myślach, że nie usłyszała, co powiedział Fred. Skierowała uwagę na niego.

— Co mówiłeś? — zapytała. — Taki tu hałas, że nic nie słyhać.

— Licia chce, żebym sobie kupił trochę nowych ciuchów. Da mi część forsy awansem. Mam wyglądać jak Sam Cooke.

JeriLee w milczeniu skinęła głową.

— Nagramy kilka taśm, a potem pojedę z Markiem do Detroit, żeby zobaczyć się z paroma grubymi rybami z Motown. Licia uważa, że możemy tam kogoś zainteresować.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jaki jest młody. Nie wiekiem — był od niej starszy — ale przez swoją naiwność. Takie marzenia, jak on teraz, ona miała wiele lat temu.

Nagle poczuła, że jest stara, że ogarnia ją przygnębienie i musi się napić. Dotknęła ramienia Freda i zeszli z parkietu.

Gdy wrócili do stolika, pojawiła się Sam.

— Marc mnie zostawił. — Odeła wargi. — Chciał z kimś porozmawiać, a ja mam ochotę dalej tańczyć.

— Cały Marc, tylko interesy mu w głowie. — Uśmiechnęła się Licia. — Może z nią zatańczysz, Fred?

— Jasne.

JeriLee usiadła, zostawiając miejsce dla Freda między Licią i sobą.

— Zebrały się tu dziś niezłe typy — zauważyła Licia. —

¹ **Tamla Motown — znana wytwórnia płytowa specjalizująca się w muzyce murzyńskiej, (przyp. tłum.)**

Polowa jest naćpana, a reszta to cwaniacy i szpanerzy, którzy są tutaj, ponieważ wypada tu bywać.

— Do której grupy należysz?

— Do żadnej. Po pierwsze lubię się przyglądać ludziom z boku. Po drugie — pracuję.

— Masz tu udziały?

— Mam pomysł na otwarcie takiego lokalu, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

— To znaczy?

— Za rok lub dwa. Kiedy ta buda zniknie. Nie ma miejsca na dwa lokale tego rodzaju naraz.

JeriLee milczała.

— Czy Fred powiedział ci o naszych planach?

— Tak.

— Co o tym sądzisz?

Cieszę się ze względu na niego. Zasluguje na tę szansę.

— Nie kochasz go, prawda?

— Nie.

— On cię kocha. Chce się z tobą ożenić.

— Powiedział ci o tym? Licia skinęła głową.

— Cholera.

JeriLee podniosła kieliszek. Fred nie powinien był się posuwać tak daleko.

Siostro — odezwała się Licia, jak gdyby czytała w jej myślach. — Dlaczego kobieta taka jak ty zawraca sobie głowę takim chłopakiem?

— To lepsze niż samotność. Poza tym w okolicy nie ma prawdziwych mężczyzn.

Licia wyciągnęła rękę nad stołem i ścisnęła dłoń JeriLee. Ta przemówiła tym samym tonem, nie cofając ręki.

— Siostro, dlaczego kobieta taka jak ty zawraca sobie głowę taką dziewczyną?

Licia ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, a potem roześmiała się, zabierając dłoń.

— Lepsze to niż samotność. Poza tym w okolicy nie ma prawdziwych kobiet.

Nagle obydwie poczuły się swobodniej. JeriLee wybuchnęła śmiechem.

- Podobasz mi się — stwierdziła. — Przynajmniej jesteś szczerą.
- Ty też mi się podobasz.
- Jest jednak coś, czego nie rozumiem. Dlaczego to wszystko dla niego robisz?
- Częściowo dla pieniędzy, ale nie tylko... Licia zawahała się.
- Dlaczego jeszcze?
- Nie rozumiałabyś.
- Zobaczymy.

Głos Licii był łagodny, ale dźwięczała w nim twarda nuta.

- Ten świat należy do mężczyzn i zaszłam już w nim tak wysoko, jak tylko może zająć samotna kobieta. Na więcej by mi nie pozwolono. Mężczyźni nie tolerują kobiet, które chcą się wdrapać na sam szczyt bez ich pomocy.
- Nadal nie rozumiem, co Fred ma z tym wspólnego.
- Zamierzam mu pomóc osiągnąć sukces, ponieważ obydwoje tego potrzebujemy, chociaż każde z innych powodów. Kiedy zasłonę się nim, nikt mnie nie powstrzyma. Wdrapię się na sam szczyt.
- Dalej nie rozumiem. Co to znaczy „zasłonę się”? Licia ponownie ujęła dłoń JeriLee.
- Przepraszam. Nie chciałam być tajemnicza — odparła spokojnie. — Widzisz, mam zamiar za niego wyjść.

ROZDZIAŁ 6

JeriLee złożyła ostatnią koszulę i zapakowała ją starannie. Nowa i droga walizka, prezent od Licii, nie pasowała do tego miejsca.

- To chyba wszystko — stwierdziła.
- Tak.
- Skończ się ubierać. Marc może tu być lada chwila.
- Dobrze.

Fred zapiął kołnierzyk i podszedł do lustra, aby zawiązać krawat. Potem włożył marynarkę i z uśmiechem odwrócił się do JeriLee.

— Jak wyglądam?

— Wspaniale.

Zbliżył się do niej i pocałował ją.

— To dopiero początek. Licia chce, żebyśmy po moim powrocie przeprowadzili się do większego mieszkania.

Takiego, w którym zmieści się pianino.

JeriLee bez słowa zapięła ostatnią torbę.

— Hej, nie bądź smutna — powiedział. — Nie wyjeżdżam na długo. Detroit, Nashville, Los Angeles. Tylko po tygodniu w każdym miejscu.

Nic nie rozumiał.

— Zaczynaj szukać mieszkania, kiedy mnie nie będzie. Dzięki temu, gdy wrócę...

— Nie — przerwała mu.

Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

— O co chodzi, kochanie?

— Ja się nie przeprowadzę.

— Daj spokój. Najwyższy czas, żebyśmy się wynieśli z tej nory.

Nie przeprowadzę się — powtórzyła.

— Stać nas na to, skarbie.

— Ciebie na to stać.

— Co za różnica? Nigdy nie robiliśmy problemu z tego kto płaci rachunki. — Otoczył ją ramionami. — Poza tym, kochanie, już pora, żebyśmy się pobrali.

Ukryła twarz na jego piersi. Marynarka stłumiła jej głos.

Nie — powiedziała ledwo słyszalnie. Odsunął ją od siebie.

Dlaczego? — zapytał, autentycznie zaskoczony. Powstrzymała łzy.

- Bo to nie byłoby w porządku.

— Dlatego, że jestem czarny?

— Przecież wiesz, że nie. W jego głosie zabrzmiał ostrzejszy ton.

— Nie wiem. Są dziewczyny, które robią to z czarnymi facetami, ale nie chcą brać z nimi ślubu.

- Wiesz, że nie o to chodzi.
- Więc o co? Nie miałaś nic przeciwko temu, żebym się tu wprowadził. Odpowiadaliśmy sobie.
- Owszem. Wtedy. Nic nie trwa jednak wiecznie. Teraz jest inaczej.
- Cała różnica polega na tym, że teraz ja będę zarabiał na chleb i wreszcie o ciebie zadbam jak należy. Starannie dobierała słowa. Był jej zbyt bliski, aby chciała go zranić.
- Cieszę się, że ci się powiodło. Zaslugujesz na to wszystko. Ale widzisz, mnie też musi się udać. Muszę robić swoje.
- Nie będę ci przeszkadzał. Przeciwnie, chcę ci to ułatwić. Nie będzie już kłopotów z forszą. Oczy miała znowu suche, a głos spokojny.
- Gdyby mi o to chodziło, nie rozwiodłabym się z Walterem.
- Nie rozumiem cię.
- Czasami sama siebie nie rozumiem. Wiem tylko, że chcę być wolna.
- Nie myślałabyś tak, gdybyś mnie kochała.
- Może masz rację. Kocham cię, ale inaczej niż ty mnie. Jesteśmy sobie bardzo bliscy, jesteśmy przyjaciółmi i wszystko układa się między nami dobrze: uczucia, seks. Wszystko. Jeśli o to chodzi, jest naprawdę wspaniale. Mnie to jednak nie wystarcza. Czegoś mi nadal brakuje. Może to coś jest we mnie, może nigdy tego nie odnajdę, ale dopóki mi się to nie uda, nie będę gotowa do tego, aby się z kimś związać. Nie będę mogła tego zrobić, dopóki nie poczuję się wolna, dopóki nie poczuję pełni.
- Kiedy się pobierzemy, możemy mieć dziecko — wtrącił. — Wtedy się pozbierasz. Wybuchnęła śmiechem. Typowa męska odpowiedź. Dziecko jest lekarstwem na wszystko. Może. Dla nich. Ona jednak nie tego pragnęła.
- Nie tak rozumiem wolność. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciała założyć rodzinę.
- To nie jest normalne. Każda kobieta chce mieć dziecko.
- Ja nie. Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Zabrzączał domofon. Fred podszedł do okna.

— Marc zablokował komuś samochód.

— Lepiej się zbieraj.

Nie przyjmuję twojej odmowy do wiadomości.

— Nie sprzeciwiaj się. Masz swoje własne życie i swoją karierę. Pozwól mi się zająć moją.

Dzwonek odezwał się ponownie.

— Więc nie chcesz, żebym wrócił?

Na chwilę spuściła oczy, a potem podniosła wzrok i skinęła głową.

— Tak będzie chyba najlepiej dla nas obojga.

Kiedy dzwonek zadzwonił natarczywie po raz trzeci, Fred wybuchnął ze złością i rozpaczą:

— Idę! Do jasnej cholery! Idę!

Stanął w drzwiach. Ból zmienił mu głos.

— JeriLee.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Powodzenia, Fred. Śpiewaj ludziom ładnie. Postawił bagaże i zrobił krok w jej stronę. Cofnęła się.

— Niech cię szlag trafi, JeriLee — powiedział głosem nabrzmiałym cierpieniem. — Ciebie, i twoją pieprzoną uczciwość, czy jak tam to nazywasz. To tylko wymówka. Tak naprawdę masz w dupie wszystkich z wyjątkiem samej siebie.

Wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Gwałtownie ukryła twarz w dłoniach. Powiedział prawdę. Gdy ktoś miał rację, potrafiła to przyznać. Zresztą matka mówiła jej to samo.

Musi z nią być coś nie w porządku. Dlaczego nie umie się zadowolić tym co inni? Dlaczego zawsze chce czegoś więcej, dlaczego zawsze czuje się niepełna?

Kiedy zabrzączał dzwonek, zakłęła i spojrzała na zegarek. Do spotkania w biurze Fannona została jej tylko godzina.

— Kto tam? — zawołała.

— Hardy, administrator.

Cholera, jeszcze tego brakowało. Przybrała na twarz wyraz oczekiwania i otworzyła drzwi.

Miałam do pana zadzwonić — powiedziała z uśmiechem. — Proszę wejść.

— Przychodzę po czynsz — wyjaśnił swoim piskliwym głosem.

— Właśnie w tej sprawie zamierzałam dzwonić — odparła pospiesznie.

— Ma pani pieniądze?

— Właśnie chciałam to wytłumaczyć. Widzi pan...

— Jest już dwudziesty — przerwał jej. — Zarząd siedzi mi na karku.

— Wiem, ale spodziewam się czeku. Za chwilę wychodzę na spotkanie z człowiekiem, który wystawia moją sztukę. To Adolf Fannon, ten sławny producent. Na pewno pan o nim słyszał.

— Nie słyszałem. Zarząd chce, żebym dał pani nakaz eksmisji.

— Ależ, proszę pana, czym oni się martwią? Mają miesięczną kaucję.

— Kaucja pokryje czynsz, jeśli się pani wyprowadzi.

— Zawsze płaciłam. Przecież pan wie.

— Ja wiem, panno Randall, ale to nie ja ustalam przepisy. Jeśli czynsz nie zostaje zapłacony do dwudziestego, zarząd każe wręczać nakaz. Dzięki temu lokator wynosi się przed końcem miesiąca i nikt nie jest stratny.

— Zapłacę panu do piątku.

— To jeszcze trzy dni. Dobiorą mi się do dupy.

— Odwdzięczę się panu. Niech pan będzie miły. Rozejrzał się po mieszkaniu.

— Od paru tygodni nie widuję pani chłopaka. Pokłóciliście się?

— Nie — odrzekła. — Wyjechał.

— Cieszę się, panno Randall. Nie zgłosiłem w zarządzie, że ma pani kogoś u siebie. Rozumie pani, w umowie najmu jest mowa tylko o jednej osobie, a poza tym wściekliby się, gdyby odkryli, że mieszka pani z czarnym. Nie życzą sobie w tym domu żadnych czarnuchów ani portorykańców. Nie chcą, żeby to miejsce się popsuło. Tego było już JeriLee za wiele.

— Panie Hardy — odparła lodowatym tonem. — Niech pan powie swojemu zarządowi, żeby się odpieprzyli! Utkwił w niej zgorszone spojrzenie.

— Panno Randall, jak taka miła dziewczyna może się w ten sposób wyrażać?

— Niech pan posłucha, budynek jest własnością zarządu, ale lokatorzy nie są. Nikt nie ma prawa mi mówić, jak powinnam żyć i z kim. Mają prawo wyłącznie do czynszu i powiedziałam już, że zapłacę panu w piątek.

— Dobrze, skoro tak pani do tego podchodzi... Wzdychając wyjął z tylnej kieszeni spodni wyglądający urzędowo papier i wcisnął go jej do ręki.

Popatrzyła na wydrukowane wyraźnie w poprzek złożonej kartki słowa: NAKAZ EKSMISJI.

— Dlaczego mi pan to daje? — zapytała. — Przecież powiedziałam, że zapłacę w piątek.

Podszedł do drzwi.

— Zawsze może mi pani zwrócić nakaz przy płaceniu czynszu — odrzekł. — To na wypadek, gdyby pani nie zapłaciła.

ROZDZIAŁ 7

Gdy tylko zobaczyła Fannona, zorientowała się, że nie będzie to dobra wiadomość.

— Chciałem się z tobą skontaktować wcześniej — powiedział, pocałowawszy ją w policzek. — Ale miałem gorący okres.

— W porządku. Rozumiem.

— Papierosa?

— Nie, dziękuję.

— Wyglądasz na zmęczoną.

— Nie śpiam zbyt dobrze. Noce są parne, a klimatyzacja się zepsuła.

— Powinnaś wyjechać z miasta. Przydałoby ci się trochę świeżego powietrza.

Spojrzała na niego bez słowa. Nie było sensu tłumaczyć, że nie ma na to pieniędzy.

Wyciągnął maszynopis sztuki i utkwiał wzrok w okładce.

— Podobasz mi się — stwierdził niespodziewanie. Usiłowała nadać swemu głosowi lekki ton.

— Ale nie podoba ci się moja sztuka? Świdrował ją oczami.

— Lubisz, żeby ci obtaczać gorzkie pigułki w cukrze?

— Połknę ją bez tego.

— Nie podoba mi się twoja sztuka. — Odchrząknął. — Chciałem, żeby mi się podobała, wierz mi. Uważam, że potrafisz pisać. Ale tym razem ci się nie udało. To uczuciowa wprawka, ciąg nie powiązanych ze sobą scen, historia, z której nic nie wynika. Nie tracę jednak nadziei, że pewnego dnia napiszesz sztukę, która rzuci to miasto na kolana.

— Ale nie tym razem — powiedziała zdławionym głosem.

— Nie tym razem.

— Nawet jeśli wprowadzę poprawki?

— To nic nie pomoże. Nie ma tu żadnej akcji, żadnej treści. Wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Za każdym razem, kiedy nim potrząsas, obraz ginie. Gdy skończyłem, byłem tak zdezorientowany, że nie rozumiałem, co przeczytałem.

— Więc co mi radzisz?

— Odłożyłbym to na bok. Może za jakiś czas wszystko ci się ułoży w głowie. Wtedy będziesz mogła wrócić do tej sztuki. Teraz nic z tego nie wyjdzie. Według mnie powinnaś zacząć coś nowego.

Milczała. Łatwo jest mówić komuś, co ma robić, jeżeli nie musi się tego robić samemu.

— Nie zniechęcaj się — dodał. — Każdemu dobremu dramaturgowi zdarzają się też nieudane sztuki. Najważniejsze, żebyś nie przestała pisać.

— Wiem — odparła z przekonaniem.

— Przykro mi — powiedział wstając.

Popatrzyła na niego, uświadamiając sobie, że spotkanie dobiegło końca. Udało jej się zapanować nad głosem.

— W każdym razie dziękuję.

Wyszedł zza biurka, podał jej maszynopis i znów pocałował ją w policzek.

— Nie zachowuj się tak, jakbyśmy się nie znali. Odezwij się czasem.

— Dobrze.

— Zadzwoń w przyszłym tygodniu, pójdziemy na lunch.

— Zgoda.

Pospiesznie przemknęła przez sekretariat. Nie chciała, aby ktokolwiek ją zobaczył. Jadąc windą na dół, walczyła ze łzami.

Wyszędłszy na ulicę, zauważyła przy krawężniku kosz na śmieci. W odruchu wściekłości i rozżalenia cisnęła do niego maszynopis.

Doszła już prawie do rogu, po czym odwróciła się, pobiegła z powrotem i wyciągnęła sztukę z dna kosza.

Chyba jeszcze nad nią pracując, podświadomie czuła, że powinna zrezygnować. W żaden sposób nie mogła się jednak powstrzymać. Za bardzo była w to wciągnięta. Musiała to napisać.

Teraz jest już po wszystkim i trzeba zacząć od nowa. Ale gdzie? I jak? Najpierw powinna się zająć innymi sprawami. Jak czynsz i rachunki. Będzie musiała zdobyć trochę pieniędzy, żeby mieć z czego żyć, zanim znajdzie pracę. Może wtedy wszystko jakoś się ułoży.

— Słucham? — odezwała się matka.

Nie było sensu tracić czasu na wstępy. Gdy tylko matka usłyszy jej głos, zorientuje się, co jest powodem tego telefonu.

— Mamo, potrzebuję pomocy.

— O co chodzi tym razem? JeriLee zachowała spokój.

— Potrzeba mi dwustu pięćdziesięciu dolarów na zapłacenie rachunków z tego miesiąca. Zwrócę ci je, kiedy dostanę pracę.

— Dlaczego nie poprosisz swojego przyjaciela? Na pewno może ci coś dać.

— Wyjechał, mamo — wyjaśniła, starając się panować nad głosem. — Zerwaliśmy ze sobą prawie miesiąc temu. Matka milczała przez chwilę.

— Był już najwyższy czas, żebyś się opamiętała — stwierdziła w końcu.

JeriLee nie odpowiedziała.

— Co z twoją sztuką? — zapytała matka. — Skończyłaś ją?

— Tak — odrzekła JeriLee. — Jest niedobra. Zniosłam ją Fannonowi. Nie chce jej wystawić.

— Są inni producenci.

— Jest niedobra, mamó — powtórzyła cierpliwie. — Przeczytałam ją na nowo. Fannon miał rację.

— Nie rozumiem. Nie wiedziałaś o tym, kiedy nad nią pracowałaś?

— Nie.

— Nie wiem, JeriLee — westchnęła matka z dezaprobatą. — Dlaczego nie możesz być taka jak inne dziewczęta? Znaleźć pracę, wyjść za męża, urodzić dziecko.

— Przykro mi, mamó. Chciałabym być taka. Wszystko byłoby wtedy dużo łatwiejsze. Ale jestem inna.

— Mogę ci pożyczyć sto dolarów — zaproponowała w końcu matka. — Rynek niżkuje i mam niewiele pieniędzy.

— To za mało. Sam czynsz wynosi sto siedemdziesiąt pięć dolarów.

— To wszystko, na co mogę sobie pozwolić w tym miesiącu. Jeżeli sytuacja się poprawi, spróbuję ci przysłać trochę więcej w następnym.

— Daj mi przynajmniej pieniądze na czynsz. Dostałam dziś nakaz eksmisji.

JeriLee była zła na siebie za ten błagalny ton, czuła jednak, że nie na wyboru.

— Zawsze możesz wrócić do odmu.

— Co bym tam robiła? W Port Clare nie ma dla mnie pracy.

— Przecież i tak nie pracujesz. JeriLee straciła cierpliwość.

— Mamó, albo dajesz mi te pieniądze, albo nie. Nie ma sensu wałkować tego tematu.

— Wyślę ci pocztą czek na sto dolarów — odrzekła chłodno matka.

— Nie fatyguj się! — krzyknęła JeriLee, rzucając słuchawkę.

Tak było za każdym razem, kiedy ze sobą rozmawiały. W żaden sposób nie mogły się porozumieć.

Wróciła na kanapę i zaczęła kartkować *Casting News*. Nic. Był martwy sezon, a te niewielkie możliwości, jakie zostały, obstawili agenci.

Na ostatniej stronie zobaczyła kolejne ogłoszenie Torchlight Club. Znajdowało się teraz w gazecie bez przerwy. Rotacja dziewczyn musiała być olbrzymia. Pod wpływem impulsu podniosła słuchawkę i wykręciła numer klubu.

— Torchlight Club — odezwał się kobiecy głos.

— Proszę z panem DaCostą.

— Kto mówi?

— JeriLee Randall.

— Chwileczkę.

Kobieta najwyraźniej jej nie poznała. JeriLee usłyszała trzask, a potem włączył się Vincent.

— Słucham? — powiedział ostrożnym głosem.

— Vincent, tu JeriLee.

— Jak się masz, kochanie?

— Dobrze — odparła. — A ty?

— Nigdy nie miałem się lepiej — stwierdził. — Dlaczego dzwonicz?

— Potrzebuję pracy. Milczał przez chwilę.

— Nadal żyjesz z tym czarnuchem?

Pytanie ją zaskoczyło. Nie miała pojęcia, że wie o Fredzie.

— Nie.

— Był już najwyższy czas, żebyś się opamiętała — zawyrokował. — Taki facet przynosi tylko pecha.

Nie odezwała się.

— Co ze sztuką, którą pisałaś?

— Nie udała się. Oddam ją na makulaturę.

— Szkoda — odrzekł, ale w jego głosie nie było ani śladu współczucia. — Jakiej pracy szukasz?

— Jakiegokolwiek. Mam nóż na gardle.

— Twoja dawna posada jest zajęta. Przyjeliśmy faceta.

— Powiedziałam, że może być cokolwiek — odparła. — Znam cały system. Nadaję się wszędzie.

— Dobrze. Wpadnij, to porozmawiamy.

— Kiedy?

— Chwileczkę, sprawdzę w terminarzu. Jestem uwiązany przez całe popołudnie — stwierdził. — Może o siódmej u mnie? Tam przynajmniej nikt nie będzie nastawiał uszu. Napijemy się i pogadamy w spokoju.

— Zgoda — odrzekła. — Przyjdę na pewno.

Wstała i poszła do łazienki. W fioletce zostało tylko jedno valium. Połknęła je i spojrzała w lustro.

Miała zmęczone i zaczerwienione oczy, ale kilka kropel visine je rozjaśni. Może jednak sprawy nie stoją aż tak źle.

Była pewna, że jeśli dostanie pracę, Vincent nie będzie miał nic przeciwko daniu jej zaliczki.

RODZIAŁ 8

Do mieszkania wpuściła ją jakaś kobieta.

— Vincent bierze prysznic — wyjaśniła, nie przedstawiając się. — Za chwilę wyjdzie.

— Nic nie szkodzi — odparła JeriLee.

— Napije się pani czegoś?

— Chętnie. Proszę wódkę z tonikiem.

Kobieta skinęła głową i weszła za bar. JeriLee przyglądała się jej z zainteresowaniem. Była bardzo ładna, urodą dziewczyny z rewii: mocno umalowane oczy, sterczące na metr sztuczne rzęsy i starannie uczesane, opadające na ramiona, lśniące czarne włosy.

— W porządku? — zapytała, gdy JeriLee spróbowała drinka.

— Znakomity.

Kobieta wróciła do baru i wzięła swoją szklanekę.

— Na zdrowie — powiedziała, podnosząc ją do ust.

— Na zdrowie — odrzekła JeriLee.

— Proszę siadać — zachęciła kobieta, wskazując kanapę. Sama wspięła się na stołek barowy i usiadła przodem do gościa.

Odezwał się telefon. Kobieta odruchowo sięgnęła po słuchawkę, ale natychmiast cofnęła rękę. Telefon odezwał się ponownie i sygnał nagle się urwał.

— Vincent nie życzy sobie, żeby ktoś odbierał jego prywatne telefony — wyjaśniła.

JeriLee skinęła głową.

— To wariat. Chyba pani o tym wie? Cała rodzina to wariaci.

JeriLee nie odpowiedziała.

— Jego bracia są jeszcze gorsi.

— Nie znam ich — odparła JeriLee.

— Więc może się pani uważać za szczęściarę. Wzięła z baru butelkę i naląła sobie szkockiej.

— Chryste, co to za rodzina.

Zamilkły. Kobieta wpatrywała się posepnie w swoją szklankę. Z sypialni dobiegały odgłosy rozmowy telefonicznej.

Potem drzwi otworzyły się gwałtownie.

Vincent miał na sobie biały aksamitny szlafrok, który JeriLee pamiętała.

— Jesteś — stwierdził.

— Tak.

— Chyba ci mówiłem, żebyś mi powiedziała, kiedy przyjdzie — zwrócił się szorstko do kobiety.

— Brałeś prysznic — usprawiedliwiła się. — A potem rozmawiałeś przez telefon.

— Głupia cipa — warknął. — Zrób mi drinka. Kobieta bez słowa wstała ze stolka i naląła mu whisky z lodem. Wziął szklankę i podszedł do JeriLee.

— Nie wyglądasz najlepiej — zauważył raptownie.

— Jestem zmęczona.

— Twój czarnuch cię wyjebał? Nie odpowiedziała.

— Oni są z tego znani — ciągnął. — Cały rozum mają w fiutach.

Odstawiła kieliszek i podniosła się z kanapy.

— Nie muszę słuchać tych świństw. Ścisnął ją mocno ta ramię.

— Chcesz dostać pracę, więc posłuchasz, czy ci się to podoba, czy nie.

Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo błyszczą mu oczy, i zorientowała się, że jest naszprycowany kokainą po uszy.

Prawdopodobnie sztachnął się kilka razy, zanim wyszedł z sypialni.

— Co z pracą? — zapytała.

Puścią jej ramię.

— Mówiłem, że wrócisz na kolanach. Nie odezwała się.

— Dlaczego uważasz, że dam ci pracę? Co potrafisz robić lepiej niż inne?

Nadal milczała.

— Może twój czarnuch nauczył cię jakichś nowych sztuczek.

Gwałtownie pociągnął za pasek i poły szlafroka rozsunęły się.

— Pokaż mi — rozkazał. — Postaw go. W gabinecie masażu mam miejsce dla dobrej mineciary.

— Chyba lepiej sobie pójdę — stwierdziła.

— O co ci chodzi? Nie jest już dla ciebie wystarczająco duży? — Roześmiał się ochryple. — Wszyscy wiedzą, że czarnym wiszą jak u konia.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Złapał ją za rękę.

— A może się pomyliłem? Może wolałabyś zrobić to z nią zamiast ze mną? — Zawołał przez ramię do kobiety: — Chodź tutaj.

— Chryste, Vincent — jęknęła ta z niesmakiem.

— Chodź tutaj, ty dziwko! — krzyknął ze złością. Kobieta powoli podniosła się ze stołka i zbliżyła się do niego. Odwrócił się do JeriLee.

— Położysz się z nią? — zapytał.

— Mówiłam pani, że to wariat — powiedziała kobieta. Vincent utkwiał w niej dzikie spojrzenie i przez chwilę JeriLee obawiała się, że zaraz ją uderzy. Potem raptownie puścił ramię JeriLee, podszedł do baru i nalał sobie drugą szklanekę.

— Jazda, wynoście się stąd. Obydwie! — wrzasnął. — Wy, pizdy, wszystkie jesteście takie same.

JeriLee w milczeniu otworzyła drzwi i wyszły na korytarz.

— Musiał odlecieć wyżej niż Empire State Building — stwierdziła kobieta, gdy czekały na windę. — Brał kokę od powrotu do domu.

Kiedy znalazły się na ulicy, skinęła na taksówkę.

— Podwieźć panią? — zapytała.

— Nie, dziękuję. Chyba się przejdę.

Kobieta sięgnęła do torebki, a potem wyciągnęła rękę do JeriLee.

— Tu jest mój numer telefonu — powiedziała. — Proszę do mnie kiedyś zadzwonić.

JeriLee machinalnie zacisnęła palce na zwitku papieru. Drzwi się zamknęły i taksówka ruszyła. JeriLee spuściła wzrok. W jej dłoni spoczywał banknot dwudziestodolarowy.

— Och, nie!

Rzuciła się za taksówką, ale ta już skręciła za róg. Przez chwilę stała powstrzymując łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

— Taksówkę, panienko? — zapytał portier.

— Nie, dziękuję.

Gdy wsiadała do autobusu na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, znad rzeki zaczynała napływać wieczorna bryza.

Kierowca popatrzył na podany banknot.

— Na miłość boską, proszę pani — powiedział z niesmakiem. — Czy do bogatych damulek z East Side nie dociera, że na świecie są też ludzie biedni?

— Przepraszam — odparła, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu ćwierćdolarówki. Wyjrzała przez okno autobusu i zamruwała powiekami. To mogłoby być naprawdę zabawne, gdyby nie było takie smutne.

Jedyny przejaw życzliwości, z jakim się spotkała przez cały ten przygnębiający dzień, pochodził od obcej osoby, o której imię nawet nie przyszło jej do głowy zapytać. Z drugiej jednak strony, obydwie były kobietami w obcym świecie. Tylko kobieta, która sama przez to przeszła, może współczuć tej, która przechodzi to teraz. Żałowała, że nie pojechała z nią taksówką. Dobrze byłoby mieć z kim porozmawiać.

Nagle pomyślała o Licii. Była w niej jakaś siła i stałość. Fred mówił, że prowadzi rozległe interesy. Może będzie mogła jej pomóc w znalezieniu pracy. Postanowiła zadzwonić do niej po powrocie do domu.

Zabrzączał domofon. Naciskając guzik, który otwierał bramę, po raz ostatni omiotła wzrokiem mieszkanie.

Wyglądało na tyle dobrze, na ile było to możliwe. Uchyliła drzwi i czekała.

Z podestu piętro niżej dobiegł ją odgłos kroków.

— Do góry — zawołała. — Jeszcze jedna kondygnacja. Zza poręczy schodów wyłoniła się głowa Licii.

— Zapomniałam cię uprzedzić, że tu nie ma windy powiedziała JeriLee.

Licia uśmiechnęła się lekko.

— Nie szkodzi — odparła beztrąsko. — Do czternastego roku życia nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

JeriLee zamknęła za nią drzwi.

— Nie chciałam przeszkodzić ci w pracy.

— Nie przeszkodziłaś — odrzekła Licia. — We wtorki robię sobie zwykle wolny wieczór.

— Napijesz się czegoś? — zapytała JeriLee.

— Masz jakiś sok owocowy? JeriLee potrząsnęła głową.

— Może białego wina? Licia zawahała się.

— Dobrze.

JeriLee szybko napełniła dwa kieliszki i podała jej jeden. Licia usiadła na małej kanapie i postawiła kieliszek na stoliku. JeriLee zajęła miejsce naprzeciwko. Nagle ogarnęło ją skrepowanie i zażenowanie. Upiła łyk wina.

— Nie powinnam była do ciebie dzwonić — stwierdziła.

— Przepraszam.

We wzroku czarnej dziewczyny trudno było coś wyczytać.

— Zadzwońska jednak. JeriLee spuściła oczy.

— Tak. Wszystko mi się zaczęło walić. Czułam, że muszę z kimś porozmawiać. Tylko ty mi przysłaś do głowy.

— Co się stało ze sztuką? Fred mówił, że Fannon ma ją wystawić.

— Była niedobra. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale teraz już wiem. Spieprzyłam ją.

— Takie rzeczy się zdarzają — odparła spokojnie Licia.

— Włożyłam trochę pieniędzy w kilka produkcji i nic z tego nie wyszło.

— Muszę znaleźć pracę. Nie mogę się już dłużej tak objąć.

— Fred mi powiedział, że nie chcesz nic od niego przyjąć. JeriLee skinęła głową.

— Dlaczego?

— Fred miał swoje plany, a ja swoje. Nie chciały się zgrać. Byłoby nie w porządku, gdybym brała od niego pieniądze.

Licia milczała przez chwilę.

— Jakiej pracy szukasz?

— Nie wiem — odparła JeriLee. — Jestem bezrobotną aktorką i nieudaną pisarką. Wiem tylko tyle, że chcę zarabiać dość pieniędzy, aby móc dalej pisać.

— To znaczy ile? — zapytała Licia. JeriLee roześmiała się z zakłopotaniem.

Prawdopodobnie znacznie więcej niż jestem warta na rynku pracy. Co najmniej sto pięćdziesiąt, dwieście tygodniowo.

— To dużo forsy — stwierdziła Licia.

— Wiem — odrzekła JeriLee. — Ale to mieszkanie, łącznie z rachunkami za światło i gaz, kosztuje mnie ponad dwieście dolarów miesięcznie.

— Potrzebujesz mężczyzny, który by cię utrzymywał — zawyrokowała Licia.

— Czy ty właśnie w ten sposób się urządziłaś?

— Tak — odparła tamta gładko. — Mam ośmioletniego syna. Kiedy się urodził, jego ojciec dał mi dwadzieścia pięć patyków, żebym zniknęła. Nie chciał, żeby rozpieprzył się jego ładny biały świat.

— Przepraszam — powiedziała pośpiesznie JeriLee. — Nie miałam prawa mówić czegoś takiego.

— Wszystko się jakoś ułożyło — ciągnęła spokojnie Licia.

— Chłopak mieszka na wsi z moją matką. A ludzie, których poznałam, kiedy byłam z jego ojcem, pomogli mi wystartować.

JeriLee wysączyła wino i naląła sobie drugi kieliszek.

— Nie pijesz? — zapytała, zauważywszy, że Licia nie tknęła swojego.

— Nigdy nie lubiłam alkoholu — wyjaśniła.

— Co u Freda?

— Pracuje. Jest teraz w Los Angeles. Nagrywa album dla jednej z wytwórni. Kiedy płyta się ukáže, zamierzają go wysłać w trasę koncertową po kraju. Ich zdaniem ma naprawdę duże szanse.

— Cieszę się ze względu na niego — stwierdziła JeriLee.

— To dobry człowiek.

- Nie zmieniałaś zdania? — zapytała Licia. — On nadal chce się z tobą ożenić.
- Nie. — JeriLee potrząsnęła głową. — Nic by z tego nie wyszło. Dobrze nam ze sobą w łóżku i jesteśmy przyjaciółmi, ale to wszystko. Gdybyśmy się pobrali, skończyłoby się to szarpaniną. W życiu Freda jest miejsce tylko na jedną karierę.
- Nigdy nie brałaś pod uwagę tego, że mogłabyś zrezygnować ze swojej?
- Gdybym potrafiła to zrobić, nie rozwiodłabym się z mężem.
- Licia milczała przez chwilę.
- Jadłaś już kolację?
- Nie.
- Co powiesz na to, żebyśmy coś zjadły? Przy pełnym żołądku problemy nie wydają się takie straszne.

ROZDZIAŁ 9

Sawmill River Parkway była zupełnie pusta. Nie zważając na ograniczenie prędkości, Licia spokojnie rozpędziła samochód do siedemdziesięciu mil na godzinę. JeriLee spojrzała na wbudowany w deskę rozdzielczą zegar. Dochodziło wpół do dziesiątej.

- Czy twoja matka na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, że o tej porze przywozisz kogoś na kolację?
- Matka jest do tego przyzwyczajona. Cała nasza rodzina to nocne marki. — Zaczęła zwalniać. — Zresztą jesteśmy już prawie na miejscu. Skręcamy na następnym zjeździe.
- Lubisz prowadzić? — zapytała JeriLee. Licia skinęła głową.
- Zwłaszcza ten samochód. — Roześmiała się. — Należał kiedyś do pewnego alfonsa. Kobieta, kiedy go kupił, był u szczytu i srał na wszystkich. Potem zaczął brać heroinę i zupełnie stracił kontrolę. Jego dziewczynki kantowały go

i musiał sprzedać samochód, żeby mieć na towar. Kupiłam go praktycznie za bezcen, bo nie został do końca spłacony. Nie miałam jednak nic przeciwko temu, żeby faceta wycyckać. To był największy kutas na świecie. Zjechały z szosy w wąską drogę, która wijąc się między drzewami dochodziła na szczyt niewielkiego wzgórza. Stało tam kilka domów.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła Licia, skręcając w pierwszy podjazd po lewej stronie.

Gdy wysiadły z samochodu, otworzyły się frontowe drzwi. Jakiś chłopiec zbiegł po schodkach i popędził przez trawnik.

— Mamo! Mamo!

Licia pochyliła się, malec wpadł w jej objęcia i zarzucił jej ręce na szyję.

Przyjechałaś w odpowiednim momencie — stwierdził. — W telewizji są same reklamówki. Licia roześmiała się i pocałowała go.

Jak będziesz się tak gapił w telewizor, oczy zrobią ci się kwadratowe. JeriLee, to jest mój syn, Bonny — powiedziała, stawiając go na ziemi. — Bonny, to JeriLee. Chłopiec podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

Cześć — odezwał się. — Lubisz oglądać telewizję? JeriLee wybuchnęła śmiechem.

— Tak.

To dobrze — ucieszył się Bonny. — Możemy popatrzeć razem. Zaraz zaczyna się świetny program.

Marsz do łóżka, młody człowieku — dobiegł ich z otwartych drzwi kobiecy głos. — Jutro masz szkołę. Bonny odwrócił się do Licii.

— Mamusiu?

Licia wzięła go za rękę i ruszyła w stronę domu.

— Słyszałeś, co powiedziała babcia.

— Przecież dopiero przyjechałaś. Nawet z tobą nie posiedzę. Roześmiała się.

I tak nie siedziałbyś ze mną, tylko przed telewizorem. Pani Wallace była wysoką kobietą i gdyby nie to, że jej włosy przyprószyła siwizna, mogłaby uchodzić za starszą siostrę Licii. Miała ciepły uśmiech i mocny uścisk dłoni.

— Miło mi panią poznać — powiedziała.

Dom był urządzony przytulnie. Bonny ruszył prosto do kolorowego telewizora.

— Jeszcze tylko dziesięć minut — poprosił.

— Dobrze — zgodziła się matka Licii. — Ale potem natychmiast idziesz na górę.

Weszły do kuchni. Na werandzie JeriLee zobaczyła nakryty do kolacji stół. Pod stojącym w kącie rusztem żarzyły się węgle.

— Mam steki i sałatę — oznajmiła pani Wallace. — Nie spodziewałam się gości.

— Mnie to odpowiada — odrzekła JeriLee.

— Robię świetnego pieczonego kurczaka i żeberka z rusztu z warzywami, ale Licia nie lubi jedzenia czarnych.

Mówi, że jest za tłuste i bez przerwy się odchudza.

— Mamo! — roześmiała się Licia.

— W porządku — odparła matka. — Spróbuj położyć swojego syna do łóżka, a ja zacznę smażyć steki. Jakie pani lubi? — zapytała.

— Krwiste.

— Jak Licia. — Starsza pani pociągnęła nosem. — Ja wolę dobrze wysmażone. Nie uznaję jedzenia surowego mięsa. JeriLee uśmiechnęła się.

— Czy mogę pani w czymś pomóc?

— Nie. Zwykłam radzić sobie sama. Może chce się pani napić czegoś zimnego? Mamy różne soki owocowe. W tym domu nie uznajemy alkoholu ani napojów gazowanych.

— Może być cokolwiek.

— Licia lubi sok pomarańczowy, ale ja wolę Hawaiian Punch.

— Niech będzie.

Gospodyni z uśmiechem kiwnęła głową.

— Włożę do niego trochę lodu. Nie jest wtedy taki słodki. Kiedy Licia wróciła do kuchni, mięso już skwierczało.

— Nieźle pachną te steki — zauważyła.

— Rzeźnik z A&P odrąbał je specjalnie dla mnie — powiedziała pani Wallace. — I wcale mi za to nie policzył.

— Moja matka trzyma całe A&P pod pantoflem — szepnęła Licia do JeriLee i podeszła do rusztu. — Moim zdaniem mięso jest prawie gotowe.

Pani Wallace wstała z krzesła.

— Wracaj mi tu zaraz i siadaj — rozkazała. — W tym domu ja gotuję.

— Tak, mam — odparła Licia potulnie.

Spojrzała na JeriLee i uśmiechnęła się. Ta bez słowa odwzajemniła uśmiech.

Zanim skończyły kolację, minęła jedenasta. Podczas posiłku matka Licii ani na chwilę nie przestała mówić.

Widoczne było, że na ten jeden wieczór zgromadziła w sobie kłopoty z całego tygodnia. Licia słuchała cierpliwie: szkoła Bonny'ego, zakupy, hydraulik. Potok zwykłych codziennych spraw. W opowieściach o nich wyczuwało się dumę. Poradziła sobie. Pochwała Licii była najwyraźniej dla jej matki bardzo ważna i zyskawszy ją, kobieta rozpromieniła się.

— Musimy się zbierać — oznajmiła w końcu Licia. Pani Wallace była zaskoczona.

— Nie zostaniecie? Przygotowałam dla was pokój.

— Może JeriLee ma coś do zrobienia rano — zauważyła Licia.

— Ma pani? — zapytała bez ogródek matka.

— Nie chcę sprawiać kłopotu — odparła JeriLee.

— To żaden kłopot — zaprotestowała pani Wallace. — W sypialni Licii są dwa łóżka.

Licia popatrzyła na nią z uśmiechem.

Moja matka zawsze musi postawić na swoim. JeriLee skinęła głową, podniosła się i wzięła swój talerz.

— Proszę mi pozwolić pomóc w zmywaniu.

Nie trzeba nic robić, dziewczyno — powstrzymała ją pani Wallace. — W tym domu mamy automatyczną zmywarę do naczyń.

Na piętrze były trzy sypialnie. Licia zajmowała największą, położoną w rogu domu i oddzieloną od pozostałych pokoi dużą łazienką. Przystanąła w korytarzu i pocałowała matkę.

— Dobranoc, mam.

— Dobranoc pani. Dziękuję — dodała JeriLee. Starsza pani skinęła głową i poszła do swojej sypialni.

JeriLee podążyła za Licią. Pomiedzy łózkami paliła się mała lampka. Licia weszła do łazienki.

— Dam ci nową szczoteczkę do zębów. W szafie mam zapasowe koszule nocne. Znajdę jakąś dla ciebie.

— Dzięki.

JeriLee stanęła w otwartym oknie i głęboko odetchnęła nocnym powietrzem. Pachniało świeżością i zielenią. Z tyłu dobiegł ją głos Licii.

— Zupełnie inaczej niż w mieście.

— Już prawie zapomniałam, jak pachnie świeże powietrze. Licia wyjęła starannie uprasowaną koszulę nocną i pokazała

ją JeriLee.

— Może być?

— Jasne.

— Możesz iść się myć pierwsza — powiedziała Licia, podając jej koszulę.

JeriLee wzięła ją i weszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Rozebrała się szybko i porządnie powiesiła swoje rzeczy na wieszaku. Wyjęła szczoteczkę i umyła zęby, a następnie twarz. Do tej pory czuła się dobrze, teraz jednak niespodziewanie ogarnął ją niepokój. Przetrzęsnęła torebkę. Jeśli dobrze pamiętała, miała w pudełeczku z lekarami dziesięciomiligramową tabletkę valium. Znalazła ją i szybko połknęła. Poczowała się pewniej. Valium zawsze ją usypiało.

Gdy stanęła w drzwiach, Licia uśmiechnęła się.

— Jest trochę na ciebie za duża.

JeriLee spuściła wzrok. Dół koszuli ciągnął się po podłodze.

— Chyba tak — odparła.

Licia wskazała łóżko stojące bliżej okna.

— To jest twoje.

JeriLee skinęła głową. Podeszła do łóżka, usiadła na nim, machinalnie sięgnęła po papierosa i zapaliła. Licia zauważyła jej zdenerwowanie.

— Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest. Po prostu miałam ciężki dzień.

— Nie musisz się niczego bać — powiedziała Licia cicho. — Nie przywiozłam cię tutaj po to, żeby się do ciebie przystawiać. Nawet nie przypuszczałam, że zostaniemy na noc.

— Wszystko w porządku. Cieszę się, że tu przyjechałyśmy. To jedyna miła rzecz, jaka mi się zdarzyła przez cały dzień.

— To dobrze — stwierdziła Licia, podchodząc do szafy. Szybko ściągnęła bluzkę przez głowę, zdjęła spódnice i wykręciła ręce do tyłu, aby rozpiąć sobie stanik.

JeriLee zgasła papierosa. Kiedy podniosła wzrok, Licia miała już na sobie peniuar, prawie takiego samego koloru jak jej skóra. JeriLee wślizgnęła się pod kołdrę. Licia usiadła na drugim łóżku.

— Co sądzisz o mojej rodzinie? — zapytała.

— Jest w niej dużo miłości. Licia uśmiechnęła się.

— Właśnie dlatego trzymam ich tutaj. W mieście w żaden sposób nie można znaleźć tego uczucia.

— Postępujesz słusznie.

— Bonny szybko jednak rośnie — westchnęła Licia. — Chłopak w jego wieku potrzebuje ojca.

— Myślisz, że mógłby odstraszyć Freda? — zapytała po chwili.

— Fred uwielbia dzieci — odrzekła JeriLee.

— A co ze mną — indagowała Licia. — Czy kiedykolwiek mówił coś na mój temat?

— Tylko tyle, że cię lubi i szanuje.

— Ale wie o mnie. Widział mnie z Sam. To nie jest tak, że nie lubię mężczyzn. Po prostu przestali mnie interesować. Z nimi wszystko przypomina bitwę. Nie uprawiają miłości, tylko wojnę.

— Fred taki nie jest. To bardzo łagodny człowiek. Licia wstała.

— Nie wiem — odparła z wahaniem. — Muszę to jeszcze przemyśleć. Nie chcę popełnić błędu.

— Nie popełnisz — zapewniła ją JeriLee. — Postąpisz właściwie.

— Naprawdę tak uważasz?

— Naprawdę.

Niespodziewanie Licia się uśmiechnęła.

— Dość już gadania o moich problemach. Śpij. — Zgasła światło. — Dobranoc.

— Dobranoc.

JeriLee obserwowała, jak Licia znika w łazience i zamyka za sobą drzwi. Potem spojrzała w ciemność. Po kilku chwilach dobiegł ją szum płynącej wody i opuściła powieki. Nie słyszała, jak Licia wychodzi z łazienki. Nie poczuła na policzku lekkiego pocałunku, ani nie usłyszała łagodnego szeptu:

— Biedne maleństwo.

Spała głęboko.

ROZDZIAŁ 10

Cholerne kalifornijskie słońce, pomyślała, otworzywszy oczy. Chryste. Ile by dała za chociaż jeden deszczowy dzień.

Rozbudziła się i przypomniała jej się Licia. Przez moment niemal czuła w nozdrzach ciepłą słodycz jej zapachu, a pod palcami gładkość skóry koloru miodu. Nagle usłyszała jakieś głosy za zamkniętymi drzwiami sypialni i myśl pierzchła.

Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Głosy, męski i kobiecy, były przytłumione. Potem głos męczyzny stał się bardziej natarczywy. Chwilę później drzwi się uchylily i do pokoju zajrzała Angela.

— Nie śpisz już?

— Nie.

— Spałaś, kiedy tu zaglądałam dosłownie przed minutą. Nie chciałam cię budzić.

— W porządku. Kto tam jest?

— George.

— Cholera! — jęknęła JeriLee. — Czego on chce?

— Nie wiem. Mówi tylko, że musi się z tobą koniecznie zobaczyć. Powiem mu, żeby sobie poszedł, że nie czujesz się wystarczająco dobrze.

— Nie.

JeriLee zsunęła nogi z łóżka. George był zbyt wielkim egoistą, aby składać wizyty kurtuazyjne. Musiało chodzić o coś innego.

— Zobaczę się z nim. Poproś go tylko, żeby zaczekał, bo jestem w łazience.

— Dobrze. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa. Przyślę ci go.

— Nie. Wyjdę do niego.

— Nie uważasz, że powinnaś zostać w łóżku? — zapytała Angela z dezaprobatą.

— Po co? Nie jestem chora. Miałam tylko małą, parszywą skrobankę.

Gdy za Angelą zamknęły się drzwi, JeriLee poszła do łazienki. Usiadła na sedesie i zmieniła tampon. Krwawiła bardziej niż rano i nadal była obolała. Połknęła dwie aspiryny i percodan. Umywszy twarz zimną wodą poczuła się lepiej. Przeciągnęła szminką po wargach, położyła trochę różu na policzki i szybko wyszczotkowała włosy.

Kiedy weszła do pokoju, George wstał.

— Cześć — powiedział. — Wcale nie wyglądasz na chorą.

— Makijaż.

Uśmiechnęła się i usiadła naprzeciwko niego w fotelu.

— O co chodzi?

— Chciałem z tobą porozmawiać — wyjaśnił. — Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

Popatrzyła na niego bez słowa.

— Niepotrzebnie się tak pospieszyliśmy — ciągnął. — Nie powinniśmy byli pozbywać się dziecka.

Nie potrafiła opanować zaskoczenia.

— Chyba żartujesz!

— Nie żartuję — odparł z przejęciem. — Mówię poważnie.

— A co z twoją żoną?

— Nie miałyby nic przeciwko temu — powiedział. Spojrzenie jego niebieskich oczu było jasne i niezmacone. — Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem. Moglibyśmy zaadoptować dziecko i nie byłoby problemu.

— Chryste!

— Margaret uwielbia dzieci. Bardzo by chciała mieć dziecko.

— Więc dlaczego go nie macie?

— Przez ten cholerny serial, w którym występuje —

wyjaśnił. — Jest związana trzyletnim kontraktem. Za duże pieniądze. Gdyby zaszła w ciążę, wszystko by spieprzyła.

— A z czego ja bym żyła, kiedy chodziłabym z brzuchem?

— zapytała JeriLee.

Nie wyczuł sarkazmu w jej głosie.

— O tym także rozmawialiśmy. Zamieszkałabyś z nami. Dzięki temu wszyscy mielibyśmy w tym swój udział.

— Niewiarygodne — odparła, potrząsając głową.

— To by zdało egzamin — upierał się. — Byliśmy wczoraj na przyjęciu u mojego psychoanalityka. Wszyscy przyznali, że to dobry pomysł.

— Wszyscy? Skinął głową.

— Wszyscy. Znasz go. Jego pacjentami są najważniejsi ludzie w mieście. Raz w miesiącu spotykamy się u niego na czymś w rodzaju terapii grupowej. To dlatego cała sprawa tam wypłynęła.

JeriLee rzeczywiście знаła jego psychoanalityka. Jeśli nawet nie potrzebowało się go idąc do niego, stawał się niezbędny, zanim pierwsza wizyta dobiegła końca. Pod warunkiem oczywiście, że było się wystarczająco sławnym i można sobie było pozwolić na płacenie stu dolarów za godzinę.

— Załatwiłeś mnie — stwierdziła z niesmakiem. — Potrzebowałam dwóch lat, żeby to miasto zaczęło mnie traktować poważnie, a ty w ciągu jednego wieczoru z powrotem przykleiłeś mi etykietkę dziwki.

— To nie było tak, JeriLee — zapewnił ją z przekonaniem.

— Jesteśmy ze sobą bardzo otwarci i szczerzy. Wszyscy cię szanują.

— Jasne.

— Naprawdę. Weź na przykład Toma Castela. Ma być producentem twojego filmu.

— Co z nim? — zapytała, szukając potwierdzenia informacji uzyskanych od agenta.

— Powiedział, że prowadzi rozmowy z twoim agentem w sprawie scenariusza na podstawie twojej książki. Jest przekonany, że ty jedna możesz go napisać. Zwłaszcza teraz, kiedy scenariusz Warrena okazał się taką katastrofą.

Więc na co czeka? Dlaczego nie podpisze ze mną umowy?

— Mówi, że wytwórnia nie pozwoli mu ruszyć bez jakiejś gwiazdy.

Cholera — jęknęła z niesmakiem. — Nic się nigdy nie zmieni. Co było pierwsze, kura czy jajko?

— Powiedział, że wytwórnia chce, żebym zagrał w tym filmie. Jeśli się zgodzę, dadzą mu zielone światło.

Nie mogła nad sobą zapanować.

Na miłość boską, więc co cię powstrzymuje?

Właśnie dlatego musiałem się z tobą zobaczyć — tłumaczył cierpliwie. — Przeczytałem książkę i nie wiem, czy się nadaje. Do głównej roli męskiej trzeba by starszego aktora.

— Nie martw się, dasz sobie radę — stwierdziła stanowczo.

— Ale wiek? — zaprotestował.

— Pamiętasz Jimmy'ego Deana w „Olbrzymie”? Grał czterdziestolatka, mając niewiele ponad dwadzieścia lat.

Jesteś równie dobrym aktorem jak on. Masz taką samą klasę i nerw.

Widziała, jak bierze w nim górę jego aktorska próżność.

— Naprawdę tak uważasz? — zapytał. — Jimmy Dean? Skinęła głową.

A dlaczego twoim zdaniem zwróciłam na ciebie uwagę?

— Niech cię diabli — odparł zdziwionym tonem. — Nigdy o tym nie pomyślałem.

Zauważyła jednak, że jest zadowolony.

Jeśli zgodzisz się zagrać, napiszę cholernie dobry scenariusz — dodała. — Wspólnie dopilnujemy, żeby wszystko wyszło bezbłędnie.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

— To rzeczywiście wielka rola.

— Rola życia. Marzenie każdego aktora. Postawi cię wysoko, obok McQueena i Redforda. — Roześmiała się. — George Ballantine-Supergwiazda.

Parsknął śmiechem, ale natychmiast spoważniał.

— Co z reżyserem? — zapytał. — Jimmy Dean miał Kazana i George'a Stevensa. Będziemy potrzebować najlepszego. Kogoś takiego jak Coppola czy Schlesinger.

— Zaangażujemy kogo zechcesz.

— Muszę się nad tym zastanowić — stwierdził. — Porozmawiam ze swoim agentem.

— Powtórz mu, co ci powiedziałam. Najważniejsze jest to, żebyśmy pracowali razem.

— Jasne — odrzekł, ale myślał już o czymś innym. — Jak uważasz, czy Margaret mogłaby zagrać dziewczynę?

— Mówiłeś przecież, że jest uwięziona w serialu.

— Mogłaby się wyrwać, żeby wystąpić w długim metrażu — wyjaśnił. — Będzie lepiej wyglądało, jeżeli wszyscy weźmiemy w tym udział. Zwłaszcza po tym, co zaszło.

— Czemu nie? — Skinęła głową. — To mogłoby zrobić niezłą kasę.

— Mam pomysł. Może wpaďabyś do nas jutro na kolację? Zaproszę mojego agenta i wszystko omówimy.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

— Może najpierw wybadasz sprawę — podsunęła. — Moglibyśmy się spotkać pod koniec tygodnia, kiedy już dojdę do siebie.

— Świetnie — powiedział, wstając. Przez twarz przemknął mu żaloszny grymas. — Cholera — mruknął, wkładając ręce do kieszeni.

— Co się stało?

— Nie wiem, co takiego jest w tobie, JeriLee — odparł, uśmiechając się z zakłopotaniem — ale staję mi za każdym razem, kiedy cię widzę.

— Naprawdę potrafisz mówić miłe rzeczy. Roześmiała się, wstała i pocałowała go w policzek.

— To też musimy jednak odłożyć do czasu, kiedy dojdę do siebie.

— Poszedł? — zapytała Angela, wyglądając z kuchni. JeriLee skinęła głową.

— Nie lubię go — oznajmiła dziewczyna stanowczym tonem. — To przez niego musiałś przejść przez to wszystko, ale ani trochę go nie obchodziło, jak się czujesz. Gdybym go nie powstrzymała, wpakowałby ci się do sypialni. Samolubny, szowinistyczny skurwysyn.

JeriLee podniosła na nią wzrok i wybuchnęła śmiechem.

— A na dodatek jest aktorem, co jeszcze pogarsza sprawę.

— Nie widzę tu nic zabawnego — odrzekła Angela. —

Nie odezwałabym się słowem do człowieka, który by mnie wpakował w coś takiego.

JeriLee potrząsnęła głową.

— To nie była tylko jego wina — zauważyła. — Przecież wiesz, że do tego trzeba dwojga. Gdyby mi się wtedy tak nie spieszyło, założyłabym sobie kapturek.

Lekarz wyprostował się.

— Wszystko w porządku — stwierdził. — Jutro możesz zacząć wychodzić, ale nie wolno ci się nadwyręzać. Jeżeli się zmęczysz, musisz wrócić do domu i położyć się do łóżka.

— Dobrze, Jim.

— Po niedzieli przyjdź do kliniki na ostatnią kontrolę.

— Zaczynam się czuć jak rozklekotany samochód. Lekarz wybuchnął śmiechem.

— Nie martw się. Możesz jeszcze przejechać dobre pięćdziesiąt tysięcy mil. Poza tym podsunęto mi pomysł nowej części, dzięki której silnik będzie pracował bez takich problemów, jakie dopiero co miałas.

— Co to takiego?

— Właśnie dostałem raport kliniczny, dotyczący nowej wkładki domacicznej, którą testowano. To mała miedziana spirala. Moim zdaniem będziesz ją dobrze znosić.

— Zamów mi ją. Spróbuję wszystkiego.

— Już to zrobiłem — odrzekł. — Do widzenia.

— Do widzenia, Jim — zawołała za nim, jednocześnie odbierając dzwoniący telefon.

— Halo?

W słuchawce odezwał się jej agent.

— Kto to był?

— Mój lekarz — odparła ze znużeniem.

Wszyscy agenci są tacy sami. Muszą o wszystkim wiedzieć.

— Co powiedział?

— Jeszcze trochę pożyję. Jutro mogę zacząć wychodzić.

— To dobrze — stwierdził. — Musimy się spotkać. — Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. — Mam wielką nowinę, ale nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

To także było typowe dla agentów. Wszystko należało

według nich zachowywać w najgłębszej tajemnicy. Żaden nie zaufałby telefonowi, nawet gdyby miał przeczytać nagłówki z gazety codziennej.

— Chodzi ci o udział George'a w moim filmie? W jego głosie słycać było zaskoczenie.

— Myślałem, że leżysz w łóżku. Jak się o tym dowiedziałeś? Wybuchnęła śmiechem.

— Na miłość boską, Mike. Chyba wiesz o George'u i o mnie.

— Nie, nie wiem — odrzekł. — Co z George'em i z tobą?

— To jego dziecko usunęłam.

— Skurwysyn! — wybuchnął. Po chwili ciągnął już spokojnym tonem. — To powinno nam jednak wiele ułatwić. Posłucha cię. Możesz go zmusić do przyjęcia tej roli.

— Nie mogę go do niczego zmusić — zaprzeczyła JeriLee. — Mogę co najwyżej spróbować go do tego namówić.

— Jest ci coś winien — zauważył Mike.

— Nic mi nie jest winien — odparła stanowczo. — To nie w moim stylu. Jestem dorosła. Wiedziałam, co robię.

— Możesz przyjść jutro do biura? — zapytał. — Muszę cię przekonać, jakie to ważne.

— Odpowiada ci jedenasta?

— Świetnie. Cieszę się, że czujesz się lepiej.

— Ja również.

Telefon zamilkł i odłożyła słuchawkę. Mike był dobrym agentem, ale trochę staroświeckim człowiekiem.

Angela siedziała na kanapie, czytając notowania giełdowe. Podniosła wzrok.

— Co powiedział lekarz?

— Jest już lepiej. Mogę jutro wyjść.

— To dobrze — odparła. — Myślałaś o kolacji? JeriLee potrząsnęła głową.

— Steki czy kurczak? — zapytała Angela. — Rozmroziłam jedno i drugie.

— Stek — zdecydowała natychmiast JeriLee. — Potrzebuję dużo siły.

Angela podniosła się.

— Więc biorę się do dzieła — odrzekła. — Przygotuję sałatę i frytki.

— Do kolacji napijemy się czerwonego wina — oznajmiła JeriLee. — Dobrego wina. Chambertina, którego mi dałaś. Trzymałam go właśnie na taki wieczór.

Angela uśmiechnęła się.

— Nie zapomniałaś?

— Nie zapomniałam — potwierdziła JeriLee.

— Świece? — zapytała Angela.

— Wszystko — odpowiedziała JeriLee. — Zrobię parę skrętów. Wypalimy jednego przed kolacją, a drugiego przed pójściem do łóżka.

Angela znów się uśmiechnęła. W jej głosie dźwięczała radosna nuta.

— Jak za dawnych czasów.

JeriLee odprowadziła ją wzrokiem do kuchni. Angela wzruszyła ją. Jak za dawnych czasów.

Tylko bardzo młodzi ludzie mogą myśleć w ten sposób. Albo bardzo starzy. Nie ma czegoś takiego jak dawne czasy.

Są tylko dobre i złe chwile. Raz dobre przychodzą po złych, kiedy indziej złe po dobrych. Zależy, jak na to patrzeć.

Jak wtedy, gdy JeriLee Randall stała się Jane Randolph. Albo wtedy, gdy Jane Randolph z powrotem zmieniła się w JeriLee Randall. Nie wiedziała, czy to były dobre, czy złe czasy. I nawet nie były dawne.

Nie zdarzyło się to aż tak dawno.

ROZDZIAŁ I I

Bursztynowe światło reflektora zawieszzonego nad niewielką sceną, na której tańczyła, zamazywało wszystko, co miała przed sobą, a hałaśliwy acid rock zagłuszał inne dźwięki zatłoczonego klubu. Jej twarz i całe ciało pokrywała gruba warstwa pudru, a pot spływał strumyczkiem między nagimi piersiami. Z trudem chwytiała powietrze rozchylonymi w uśmiechu wargami. Wyczerpanie zaczynało jej się dawać we znaki.

Bolał ją krzyż i ramiona, nawet piersi były obolałe od wirowania w tańcu. Nagle muzyka umilkła, zaskakując ją w gwałtownym ruchu. Przez chwilę stała z ramionami uniesionymi nad głową, w typowym ukłonie tancerki go-go, pozwalając gościom na ostatnie spojrzenie, i reflektor zgasł.

Gdy popatrzyła wyzywająco na mężczyzn, gapiących się na nią z zatłoczonego baru, spuścili pod jej wzrokiem oczy. Nie było żadnych oklasków, tylko wzmagający się szum rozmów. Opuściła ręce, zeszła ze sceny i wsunęła się za wiszącą z tyłu kotarę.

W głośnikach usłyszała głos kierownika klubu.

— Panie i panowie, World a Gogo ma prawdziwy zaszczyt przedstawić gwiazdę naszego programu, prosto z San Francisco. Dziewczyne, o której wszyscy czytaliście, którą wszyscy chcecie zobaczyć, niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju Blond Bombę: oto panna Dzika Billy Hickock i jej bliźniacze czterdziestki-ósemki!

Billy czekała za kotarą, jej olbrzymie piersi wypychały cienki jedwab kimona. W jednej ręce trzymała fiolkę, a w drugiej słomkę.

— Jaka dziś publiczność, Jane? — zapytała.

— W porządku, Billy — odparła JeriLee, sięgając po aksamitny szlafrok. — Ale to ciebie przyszli zobaczyć. Ja mogłam ich co najwyżej trochę rozgrzać.

— Idioci, wszyscy co do jednego — stwierdziła Billy z zawziętością w głosie.

Włożyła słomkę do fiolki i, przytknąwszy ją do nosa, zaciągnęła się dwukrotnie. Potem podsunęła fiolkę JeriLee.

— Sztachniesz się, Jane? JeriLee potrząsnęła głową.

— Nie, dzięki. Nie mogłabym usnąć do rana, a chcę się trochę przespać.

Billy włożyła fiolkę z kokainą i słomkę do kieszeni kimona.

— Najlepsza przyjaciółka tancerki — mruknęła. JeriLee zgadzała się z Billy. Koka i prochy. Bez nich dziewczyny nie przetrwałyby swoich czterech do sześciu występów w ciągu wieczoru, siedem nocy w tygodniu. Billy wyslizgnęła się z kimona i odwróciła się do niej.

— Dobrze wyglądam? JeriLee skinęła głową.

Fantastycznie. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Billy uśmiechnęła się. Oczy zaczynały jej się błyszczeć od kokainy.

— Radzę ci, uwierz — odparła, dotykając z dumą swoich piersi. — Carol twierdzi, że ma większe od moich, ale ja wiem lepiej. Chodziłyśmy do tego samego lekarza i powiedział mi, że ona zatrzymała się na 46 C, a ja mam prawdziwe 48 D.

JeriLee zorientowała się, że dziewczyna mówi o Carol Doda, najsłynniejszej tancerce w San Francisco. Billy nienawidziła jej, ponieważ Carol zyskała większą popularność.

— Powodzenia, Billy — powiedziała. — Idź tam i rzuć ich na kolana.

Billy wybuchnęła śmiechem.

— Wiem, jak to zrobić — odrzekła. — Jeżeli nie będą klaskać, po prostu spuszcze im je na te cholerne łby.

Billy zniknęła za kotarą i muzyka umilkła. JeriLee wiedziała, że gdy dziewczyna weszła na scenę, w klubie zgasły wszystkie światła. Kiedy po chwili włączył się bursztynowy reflektor przez tłum przebiegł szmer. Potem ryknęła muzyka i rozległy się oklaski i gwizdy.

Wchodząc do garderoby, JeriLee uśmiechnęła się do siebie Przyszli tu, żeby oglądać cycki. Teraz byli zadowoleni. W garderobie, którą dzieliła z dwiema innymi dziewczynami, nie było nikogo. Zamknawszy za sobą drzwi, podeszła prosto do małej lodówki. Dzbanek z mrożoną herbatą napełniony był do połowy. Szybko otworzyła pojemnik z lodem i wrzuciła jego zawartość do dzbanka. Potem nalała herbaty do wysokiej szklanki, zakropiła ją solidnie wódką i pociągnęła długi łyk.

Poczuła, jak zimny płyn spływa jej do gardła i wydała lekkie westchnienie ulgi. Mrożona herbata z wódką dobrze jej robiła. Poprawiała humor, a jednocześnie uzupełniała to, co wypociła podczas występu.

Powoli zdjęła krótką perukę i strząsnęła na ramiona własne, długie brązowe loki. Tancerki go-go nie nosiły długich włosów, ponieważ nie podobało się to gościom — mogły zasłaniać piersi. Odkręciła słoik kremu i zaczęła zmywać z twarzy grubą warstwę makijażu.

Otworzyły się drzwi i do garderoby wszedł kierownik. Popatrzyła na niego w lustrze. Wyjął chusteczkę i otarł sobie pot z twarzy.

— Na sali jest prawdziwe piekło — powiedział. — Nie ma czym oddychać.

— Nie narzekaj — odparła. — W zeszłym tygodniu marudziłeś, że mógłbyś tam strzelać do gołębi.

— Nie narzekam.

Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął kopertę i rzucił ją na toaletkę.

— To za ostatni tydzień — oznajmił. — Lepiej przelicz. Otworzyła kopertę z wypłatą.

— Dwieście czterdzieści dolarów — stwierdziła. — Wszystko się zgadza.

Zerknęła na pasek z wyliczeniem. Całkowity dochód wynosił trzysta sześćdziesiąt pięć dolarów, ale po potrąceniu podatku, prowizji i kosztów zostawało tylko dwieście czterdzieści.

— Mogłabyś zarabiać dwa razy więcej, gdybyś mnie posłuchała.

— Ja się w to nie bawię, Danny.

— Dziwna z ciebie dziewczyna, Jane. W co w takim razie się bawisz?

— Powiedziałam ci, Danny. Jestem pisarką.

— Tak. Pamiętam, co mi powiedziałaś — odparł bez przekonania. — Dokąd teraz jedziesz?

— We wtorek zaczynam w Gary.

— Topless World?

— Tak.

— Dobre miejsce — stwierdził. — Znam ten lokal. Jest tam duży ruch. Kierownik ma na imię Mel. Pozdrów go ode mnie.

— Dobrze, Danny — odrzekła. — Dzięki za wszystko. Gdy otworzył drzwi, z sali doleciał odgłos oklasków.

— Dzika Billy naprawdę ich rajcuje — zauważyła JeriLee. Uśmiechnął się.

— Billy ciągnie cały program. Szkoda, że nie ma więcej takich jak ona. Dziesięć podobnych dziewczyn i za rok mógłbym przejść na emeryturę.

Wybuchnęła śmiechem.

— Nie bądź pazerny, Dan. Powodzi ci się nieźle.

— Nigdy nie myślałaś o tym, żeby dać sobie tak zrobić swoje?

— Podobają mi się takie, jakie są.

— Billy wyciąga patyka tygodniowo za jeden występ na wieczór.

— Życzę jej powodzenia — odparła JeriLee. Upiła łyk mrożonej herbaty. — Nie potrafiłabym chodzić z takimi piersiami. Cały czas bym się przewracała.

Roześmiał się.

— Do widzenia, Jane. Złam kark.

— Cześć, Danny.

Odwróciła się do lustra i skończyła zmywać makijaż z twarzy i szyi, a potem podeszła do umywalki i ochlapała się zimną wodą. Zapaliwszy papierosa, dopiła herbatę. Zaczynała się czuć lepiej. Może da radę trochę popracować po powrocie do motelu. Jutro jest niedziela, więc będzie mogła dłużej pospać. Leci do Chicago dopiero w poniedziałek rano.

Kiedy wysiadła z taksówki, zobaczyła pod motelem samochód — błyszczący srebrny lakier i czarny dach.

Nocny portier podniósł wzrok znad centralki telefonicznej w recepcji.

Kilka godzin temu przyjechała pani znajoma. Dałem jej klucz do pani pokoju. JeriLee skinęła głową.

— Wyjeżdża pani jutro?

— Nie, w poniedziałek.

— W porządku. Chciałem się tylko upewnić.

Wyszła na zewnątrz i ruszyła chodnikiem do swojego pokoju. Przez zasłony sączyło się słabe światło. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte.

Licia siedziała na łóżku oparta o poduszki i czytała. Gdy JeriLee weszła, odłożyła gazetę i uśmiechnęła się.

— Pittsburgh to nie Nowy Jork — zauważyła. — Wieczne występy kończą się o drugiej.

JeriLee odwzajemniła uśmiech i rzuciła okiem na stół.

Przenośna elektryczna maszyna do pisania, którą podarowała jej Licia, stała dokładnie tak, jak ją zostawiła, z kartką papieru nadal wkręconą w wałek.

— Masz rację — przyznała. — To nie Nowy Jork. — Odłożyła przyniesioną z klubu walizeczkę. — Napijesz się czegoś? — zapytała, otwierając lodówkę.

— Soku pomarańczowego, jeśli masz — odparła Licia.

— Mam.

Postawiła Tropicaneę na stoliku. Z wyższej półki wzięła dzbanek z mrożoną herbatą i butelkę wódki.

— Przyniosę trochę lodu — oznajmiła, wychodząc na korytarz do maszyny.

Kiedy wróciła do pokoju, Licia zwijała skręty. JeriLee przygotowała drinki — mrożoną herbatę z wódką dla siebie i sok pomarańczowy z lodem dla przyjaciółki.

— Na zdrowie — powiedziała, osuwając się na fotel. Licia podała jej skręta.

— Pomyślałam sobie, że będziesz się chciała sztachnąć.

— Miałaś rację.

— Jak ci idzie? — zapytała Licia, wskazując ruchem głowy maszynę do pisania.

— Wcale mi nie idzie — odparła JeriLee zrezygnowanym tonem. — Wydaje mi się, że w ogóle się nie posuwam.

— Potrzebujesz wakacji — stwierdziła Licia. — Jesteś w trasie od czterech miesięcy. Nie możesz pracować i w dzień, i w nocy.

— Nie w tym rzecz — zaprzeczyła JeriLee. — Mam wrażenie, że nagle zapomniałam, jak się składa słowa. Nie potrafię przelać na papier tego, o co mi chodzi.

— Jesteś przemęczona. Musisz przestać być dla siebie taka ostra, bo w końcu się zarzniesz.

— Nic mi nie jest.

Licia popatrzyła na szklanekę, którą JeriLee trzymała w dłoni.

— Ile tego dziennie w siebie wlewasz?

— Nie tak dużo — odrzekła JeriLee, wiedząc, że to nieprawda. Ostatnio prawie za każdym razem, kiedy chciała się napić, okazywało się, że butelka jest pusta. — To tańsze niż koka czy prochy, a działa równie dobrze.

Alkohol szkodzi na kiszki — powiedziała Licia. — A tamten towar przynajmniej nie zostawia śladów, kiedy już się go pozbędziesz z organizmu.

— Nieprawda — broniła się JeriLee. — Za dużo pigułek może człowiekowi zrobić z mózgu jajecznicę.

— Nie mówię o prochach. JeriLee zamilkła.

— Posłuchaj, kochanie — ciągnęła Licia pospiesznie. — Nie prawię ci kazania. Po prostu martwię się o ciebie.

— Nic mi nie jest — odparła JeriLee i szybko zmieniła temat. — Nie spodziewałam się ciebie w ten weekend. Gdzie Fred?

— Zatrzymano go w Farmoncie w San Francisco — wyjaśniła Licia. — W przyszłym tygodniu przechodzi do Waldorfa.

— Wydawało mi się, że to ten tydzień — westchnęła JeriLee. Trawa i wódka uderzyły jej do głowy. Zachichotała. — Jak mu się podoba małżeństwo?

Nie narzeka. — Licia również się roześmiała. — Ale nie można powiedzieć, żeby miał dużo okazji. W ciągu tych czterech miesięcy, jakie minęły od naszego ślubu, nie spędziliśmy chyba ze sobą więcej niż dziesięć dni. On naprawdę robi karierę.

— Cieszę się — powiedziała JeriLee. — Zaczynają go coraz częściej puszczać na antenie. Ciągłe go słyszę.

— Głównie w stacjach lokalnych — odrzekła Licia. — Przepychamy się jednak na stacje o większym zasięgu.

Dopiero to się opłaca.

— Uda skę wam — stwierdziła JeriLee z przekonaniem. Zaciągnęła się skrętem, oparła głowę o poduszkę i zmrużyła powieki.

— Zmęczona, kochanie?

JeriLee otworzyła oczy. Licia stała za jej krzesłem i pochylała się nad nią. Bez słowa skinęła głową.

Licia zaczęła delikatnie gładzić jej czoło, a potem przesunęła powoli palce na kark, aby wymasować napięte mięśnie.

— I jak? — zapytała. JeriLee zamknęła oczy.

— Wspaniale.

— Co byś powiedziała na to, żebym ci zrobiła przyjemną, gorącą kąpiel? Przywiozłam nowy olejek kąpielowy.
— Brzmi to cudownie — odparła JeriLee, nie otwierając oczu.
Słyszała, jak Licia puszcza wodę do wanny. Po kilku chwilach raczej wyczuła niż usłyszała, że przyjaciółka wróciła do pokoju. Otworzyła oczy.
Licia klęcząc zdejmowała jej buty. Potem zaczęła masować jej stopy.
— Biedne, zmęczone stopki — wyszeptała i podniosła na nią wzrok. — Jesteś piękna, wiesz o tym?
— To ty jesteś piękna — powiedziała JeriLee, patrząc uporczywie na Licię.
Ta zwilżyła wargi językiem.
— Czuję stąd zapach twoich perfum.
— Jest taki mocny? — zapytała z niepokojem JeriLee. — Nie miałam czasu, żeby wziąć prysznic po występie.
— Jest fantastyczny. — Licia uśmiechnęła się. — Naprawdę mnie bierze. Już jestem mokra.
JeriLee spojrzała jej w oczy.
— Ja także — odrzekła.

ROZDZIAŁ 12

Gdy się obudziła, w pokoju było ciemno, nie licząc nieśmiałych promieni słońca, wpadających przez szpary w zasłonach. Przewróciła się na drugi bok i spojrzała na Licię, która leżała z twarzą na wpół ukrytą w poduszce, zasłaniając oczy ramieniem.

W tym półmroku nagie ciało czarnej dziewczyny wyglądało jak posąg wyrzeźbiony z nocy. Pełne piersi i długie sutki, sterczące jak anteny na bliźniaczych szczytach, które opadały w dolinę płaskiego, twardego brzucha, podnosząc się raptownie w obficie porośnięty futerkiem wzgórek łonowy. JeriLee

walczyła z nagłą pokusą, aby jej dotknąć, znów poczuć gorącą wilgoć, zakosztować słonawego smaku jej skóry. Licia spała jednak głęboko i nie chciała jej budzić. Bezszelestnie wyślizgnęła się spod kołdry i poszła do łazienki. Kiedy wróciła, Licia siedziała na łóżku.

— Która godzina? — zapytała.

— Prawie pierwsza.

— Nie do wiary! — W jej głosie słychać było zaskoczenie. JeriLee roześmiała się.

— Poszliśmy spać dopiero o siódmej rano.

— Nigdy tak nie przeżywałam seksu — stwierdziła Licia. — W ogóle nie chciałam przestać. Bez przerwy dochodziłam, dochodziłam i dochodziłam.

— Ja czułam to samo — wtrąciła JeriLee.

— Nigdy nie próbowałam takiej cipki jak twoja — ciągnęła tamta. — Jest jak płynny czysty miód. Nawet oblizywałam potem palce.

— Lepiej przestań w ten sposób mówić — przerwała JeriLee ze śmiechem. — Znowu mnie podniecasz.

— Tak trzymaj — powiedziała Licia, idąc do łazienki. — Zaraz wracam.

W tym momencie odezwał się telefon.

— Ktoś miał dzwonić? — zapytała Licia.

— Nie.

Telefon brzęczał dalej. JeriLee odebrała.

— Halo?

Podła słuchawkę Licii.

— Do ciebie. Fred. Dzwoni z Nowego Jorku.

— Słucham. Tak, tu Licia Lafayette. — Zamilkła, zasłaniając mikrofon dłonią. — Telefonistka go łączy — wyjaśniła zaniepokojonym tonem. — Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

W słuchawce rozległy się trzaski.

— Fred, kochanie, czy wszystko w porządku? Myślałam, że zostajesz w San Francisco. — Słuchała przez chwilę, a potem odezwała się z ulgą w głosie. — To fantastycznie! Oczywiście, że przyjadę. Jeżeli wyruszę zaraz, mogę być w Nowym Jorku przed dziewiątą, na całej trasie mam autostradę. Nie, wszystko gra. Miałam tu coś do załatwienia

w klubie, a ponieważ spodziewałam się ciebie dopiero w przyszłym tygodniu, pomyślałam sobie, że zostanę dłużej i spędzę trochę czasu z JeriLee, zobaczę, jak się jej powodzi... Tak, ma się dobrze. Jutro jedzie do Gary... Jasne, powtórzę. Cześć, skarbie. Kocham cię.

JeriLee spojrzała na nią bez słowa.

— Wszystko w porządku — powiedziała Licia pospiesznie. — Nie gniewa się.

— Jesteś pewna? Licia skinęła głową.

— Jest za bardzo podniecony, żeby o czymkolwiek myśleć. Lou Rawls zachorował na zapalenie krtani i zaproponowano Fredowi, żeby go zastąpił w programie Pearl Bailey, który dziś nagrywają. To okazja, na jaką czekaliśmy.

JeriLee milczała.

— Biorę prysznic i ruszam — ciągnęła Licia. — Nie chcę utknąć w korku, wszyscy wracają po weekendzie do miasta.

— Zamówię przez ten czas jakieś śniadanie.

— Dla mnie tylko sok pomarańczowy i kawa, skarbie. — Zobaczyła wyraz twarzy JeriLee. — Nie denerwuj się — dodała szybko. — Powiedziałam ci, że wszystko w porządku.

— Nic mi nie jest.

Licia wybuchnęła śmiechem.

— Nie ma powodu do niepokoju. Fred jest taki sam, jak wszyscy mężczyźni. Nie potrafi sobie wyobrazić, że cokolwiek na świecie może być lepsze od jego fiuta.

JeriLee patrzyła przez okno, jak srebrny samochód wyjeżdża spod motelu na szosę prowadzącą do wjazdu na autostradę. Opuściła zasłonę i z roztargnieniem zaczęła sprzątać pokój. Nad nieposłanym łóżkiem wisiał zapach trawy i nocnego seksu. Nacisnęła przycisk klimatyzacji i cichy szum kompresora wypełnił wnętrze.

Podeszła do stołu i utkwiała wzrok we wkręconej w maszynę stronie. Nagle ogarnęło ją przygnębienie. Ze złością wyciągnęła papier, zgmiotła go i cisnęła na podłogę.

— Pieprzę to! — powiedziała głośno.

Otworzyła lodówkę. W wiaderku było jeszcze parę kostek lodu. Wrzuciła je do szklanki i naląła sobie herbaty z wódką. Sącząc drinka przeszła przez pokój i zapaliła jednego ze

skrętów, które Licia zostawiła na nocnym stoliku. Trawa przywołała z powrotem wieczorny haj i niemal natychmiast miała odlot.

Zrzuciła aksamitny szlafrok i położyła się do łóżka. Powoli zaciągnęła się skrętem i zaczęła się delikatnie pieścić wolną ręką. Ogarnęło ją łagodne znużenie. Zamknęła oczy.

Między jej nogami znalazła się głowa Licii, język Licii lizał jej łechtaczkę, usta Licii wysysały z niej soki.

Nagle poczuła, że podniecenie uchodzi z niej jak powietrze z przekłutego balonu. Otworzyła oczy. Pusty pokój był więzieniem, a ściany napierały na nią.

Szybko sięgnęła po drinka i wypila go do dna. Potem otworzyła szufladę nocnego stolika i wyjęła wibrator.

Był to nowoczesny Zielony Szerszeń, japońskiej produkcji i skutecznych rozmiarów, jak to określono. Działał na baterie zamiast na prąd i miał dwie prędkości.

Nastawiła wibrator na niższy bieg. Zamykając oczy, powiodła nim delikatnie w kroku i lekko pogładziła łechtaczkę. Zacisnęła powieki i wprowadziła falliczny przyrząd do pochwy.

Teraz widziała, jak Licia zatrzymuje samochód i wbiega do mieszkania. Siedzący przy pianinie Fred wstaje. Jest nagi i ma fiuta twardego jak skała. Licia też jest naga. Klęka przed nim i, odsuwając cienką czarną skórę, odsłania błyszczącą żołądź, która znika w jej chciwych ustach. Fred gwałtownie popycha Licię na biały dywan i jej nogi unoszą się w powietrze, aby go objąć. Jej szpara rozwiera się i Fred wwierca się w nią.

— Nie! — krzyknęła JeriLee. — To moje!

Wyrwana ze swej fantazji, otworzyła oczy i spuściła wzrok na drgający w jej dłoniach wibrator. To nie było to.

Wyłączyła go i rzuciła na łóżko, a potem przewróciła się na bok, powstrzymując łzy.

Nie rozumiała, dlaczego jest taka przygnębiona. Licia obiecała, że znajdzie dla niej pracę i dotrzymała słowa.

Zarabiała na sobie i pisała, więc powinna być szczęśliwa. A jednak nie była.

— Nie jestem zazdrosna — powtarzała sobie raz po raz. — Nie jestem zazdrosna.

Ale przy każdym mrugnięciu powiekami widziała Licię i Freda pieprzących się na miękkim białym dywanie.

Popatrzyła na swoje ręce. Znowu drżały. Poszła do łazienki i połknęła tabletkę quaalude. W lustrze zobaczyła, że ma zapuchnięte, podsinione oczy. Wyglądała okropnie. Ochlapała sobie twarz zimną wodą.

Jeżeli jest zazdrosna, to czy o Freda, ponieważ Licia się z nim pieprzy, czy o Licię, ponieważ Fred pieprzy się z nią? Nie wiedziała.

Minęło dziewięć miesięcy, odkąd zaczął się jej romans z Licią, i prawie rok, odkąd ostatni raz była z mężczyzną. Dotąd o tym nie pomyślała.

Kiedy weszła do klubu, dochodziła północ. Z głośników ryczała muzyka i jakaś dziewczyna wiła się w bursztynowym świetle reflektora na małej scenie za barem. Przemknęła przez ciemną salę na zaplecze, do biura kierownika.

Gdy weszła do środka, Danny podniósł wzrok znad biurka.

— Nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę — odezwał się zdziwionym tonem.

— Nie miałam co robić — wyjaśniła. — Nudziłam się. Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

— Myślałem, że przyjechała do ciebie przyjaciółka. Wiedział, ale skąd? Jak to się dzieje, że oni zawsze wiedzą wszystko o wszystkich?

— Wróciła do domu, do męża.

— Czego szukasz? — zapytał.

— Fiuta — odparła zdecydowanym tonem. — Największego i najtwardszego fiuta w mieście.

— Czy ja wiem? — westchnął. — Wpadłaś w oko Dzikiej Billy.

— To miałam ostatniej nocy. Teraz chcę fiuta.

— Tam jest pół tuzina facetów, z których każdy szarpnąłby się na pięć dych albo stówę. Połowa dla mnie.

— Możesz zatrzymać całą forszę — odrzekła.

— Dobrze. Chcesz sobie kogoś wybrać?

Roześmiała się. Dopiero teraz zobaczył jej zwężone źrenice i zrozumiał, że jest naszprycowana kokainą po uszy.

— Szkoda fatygi — odparła. — Po prostu zainkasuj pieniądze. Biorę wszystkich.

ROZDZIAŁ 13

Na tyłach klubu znajdowała się stara rozklekotana drewniana weranda wychodząca na ocean. Po prawej stronie JeriLee widziała moło w Santa Monica, a w górze światła pozycyjne odrzutowców, które zakręcały nad wodą i kierowały się na lotnisko. Nocne powietrze stawało się coraz chłodniejsze i szczelniej otuliła się aksamitnym szlafrokiem. Z roztargnieniem słuchała dolatujących z klubu stłumionych dźwięków muzyki.

Jeszcze jeden występ i koniec na dzisiaj. Właściciele klubu nienawidzili kalifornijskich przepisów, które nakazywały zamykać lokale o drugiej w nocy, ale ona przyjmowała je z wdzięcznością. W innych stanach pracowała do czwartej rano, a w niektórych nawet do świtu. Zastanawiała się, czy Mike po nią przyjedzie. Z nim nigdy nie wiadomo. Żył w swoim własnym świecie.

Poznała go w dniu przyjazdu do Kalifornii, prawie przed miesiącem. Była niedziela i pracował w biurze pośrednictwa nieruchomości, do którego poszła, gdy zdecydowała, że chce wynająć mieszkanie zamiast zatrzymywać się w motelu. Było to tańsze, a poza tym sądziła, że będzie jej tam łatwiej pisać. Miałyby więcej spokoju, a podpisała umowę na osiem tygodni występów w okolicach Los Angeles.

Wysoki, opalony, z włosami spłowiałymi od słońca niemal do białości, wcale nie wyglądał na agenta handlu nieruchomościami. W dzinsach i z bosymi stopami zupełnie nie pasował za biurko.

— Co pani robi? — zapytał, zaczynając wypełniać formularz.

— Jestem pisarką — odparła.

— Pisarką?

— Coś w tym złego?

— Z pani figurą i nogami, wziąłbym panią za aktorkę lub tancerkę.

— Tym też się zajmuję.

— Mam trzymiesięczny podnajem, który według mnie byłby dla pani idealny.

— Potrzebuję mieszkania tylko na dwa miesiące.

— Chyba mógłbym przekonać właściciela, żeby się zgodził. Zamknął biuro i zaprowadził ją do samochodu. Był to wykonany na zamówienie volkswagen z ogromnymi oponami balonowymi. Dach całkowicie odcięto i tylko metalowy drążek biegł z jednej strony na drugą w połowie długości wozu.

— To wspaniałe miejsce — powiedział, wyjeżdżając z parkingu. — Cisza. Dwie minuty do plaży. Wielka łazienka. Jest nawet bidet.

— Bidet? — powtórzyła. — Musi być drogie.

— Tylko trzysta miesięcznie. Spodoba się pani — odparł z przekonaniem. — Wszystko urządziła pewna Francuzka.

— To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Dlaczego wyjechała?

— Skończył się jej romans. Wróciła do Francji. Sypialnia była mała, podobnie jak salon, a kuchnia niewiele większa niż szafa w ścianie. Miał jednak rację co do łazienki. Było to bez wątpienia największe pomieszczenie w mieszkaniu, wyposażone w kabinę z prysznicem, wpuszczoną w podłogę wannę, dwie umywalki i bidet.

— Co pani o tym sądzi? — zapytał.

— Małe — odrzekła.

— W sam raz dla pisarki. Jest pani sama?

— Tak.

— Więc nie potrzebuje pani większego.

— Ale chcę je wynająć tylko na dwa miesiące.

— Nie ma problemu. Zapłaci mi pani czekiem dwumiesięczny czynsz plus siedemdziesiąt pięć dolarów za sprzątanie i może się pani wprowadzić dziś po południu.

— Zgoda — odparła, wyjmując z torebki książeczkę czekową. — Na kogo mam wystawić czek?

— Na mnie — wyjaśnił. — To moje mieszkanie. Włożył dłoń do kieszeni i wyjął mały płócienny kapciuch związany sznurkiem. Drugą rękę wyciągnął paczkę bibulek papierosowych.

— Pali pani? — zapytał.

Bez słowa skinęła głową, przyglądając się, jak wprawnie zwija skręta o bok dzinsów. Ostrożnie przypaliwszy papierosa, podał go jej.

— Dwa machy i odleci pani — powiedział. — Towar prosto z Meksyku.

Zaciągnęła się głęboko. Miał rację.

— Proszę usiąść — zachęcał. — Zebranie manatków i zapakowanie ich do samochodu zajmie mi dosłownie dziesięć minut. Potem pojedziemy po pani rzeczy.

— A co z biurem? Nie musi pan tam wrócić?

— Pracuję w agencji tylko w niedziele, ponieważ właściciel lubi chodzić na ryby. Poza tym na dzisiaj załatwiłem już wszystko.

— Gdzie pan pracuje przez resztę tygodnia?

— Nigdzie. Przestałem po wyjściu z wojska. Praca rujnuje życie seksualne i przyprawia o wrzody żołądka.

— Więc z czego pan żyje?

— Z tego mieszkania. To dość, żeby się utrzymać.

— Gdzie pan mieszka, kiedy je pan wynajmuje?

— U znajomych — wyjaśnił. — Nigdy nie miałem problemu z wepchnięciem się gdzieś. To zadziwiające, ilu ludzi szuka towarzystwa, kogoś, z kim mogliby porozmawiać.

Gdy poszedł do sypialni po swoje rzeczy, wzięła od niego skręta i zaciągnęła się ponownie. Prawdopodobnie miał rację. Kontestacja jest jakimś sposobem na życie i nie wyglądało na to, żeby było mu z tym źle.

Wrócił po kilku minutach z zielonym wojskowym workiem napełnionym tylko do połowy.

— Gotowa? — zapytał.

— Po dobrej trawie zawsze chce mi się pić — odrzekła.

— Zaproponowałbym pani kieliszek wina, ale nic nie mam. Nie odezwała się.

— Niedaleko stąd jest sklep monopolowy — dodał. — Mogę tam podskoczyć i przynieść jakąś butelkę.

— To dobry pomysł.

— Ale nie mam gotówki — powiedział bez skrępowania. Otworzyła torebkę i wyjęła dwa dolary.

— Wystarczy? Uśmiechnął się.

— Jesteśmy w Kalifornii. Kupię dwie butelki.

Palili, pili i zabawiali się w łóżku przez całe popołudnie,

a kiedy zapadł wieczór, pojechali do motelu po jej rzeczy, aby mogła się wprowadzić. On się jednak nie wprowadził.

Następnego ranka obudziły ją wpadające do pokoju promienie słońca. Łóżko obok niej było puste. Nie słyszała, jak wychodził.

W kuchni znalazła mały czajnik, napełniła go wodą i postawiła na ogniu. Otworzyła szafkę, ale odkryła w niej tylko dwie samotne torebki herbaty. Włożyła jedną do filiżanki. Będzie musiała się tym zadowolić.

Wróciła do sypialni i zaczęła się rozpakowywać. Stawiała przenośną maszynę do pisania na stoliku przy oknie, kiedy się zjawił.

Wszedł do pokoju, trzymając w rękach torbę z zakupami.

— Wstałaś już — zauważył ze zdziwieniem w głosie.

— Tak.

— Pomyślałem, że przyda ci się trochę jedzenia — powiedział, idąc do kuchni i kładąc torbę na stole.

— Przyniosłeś kawę? — zapytała. — Nie mogłam jej znaleźć.

Zaczął wypakowywać zakupy. Jajka, masło, bekon, chleb, sok pomarańczowy, mleko. W końcu wyjął jakiś słoiczek.

— Może być rozpuszczalna?

— Doskonale.

— Ja tego nie piję. Kofeina jest szkodliwa.

— Bez kawy nie mogę się rano pozbierać — odparła.

— Skończ, co tam robisz — zaproponował. — Ja przygotuję śniadanie.

Niezdecydowanie stała w miejscu.

— Jestem dobrym kucharzem — dodał pośpiesznie. Uśmiechnęła się.

— Zgoda.

— Jesteś głodna?

— Umieram z głodu.

Woda w czajniku się zagotowała. Szybko zrobił kawę i podał jej filiżankę.

— To cię postawi na nogi — powiedział. — Zaraz będzie śniadanie.

Zawołał ją, zanim skończyła układać papiery.

Popatrzyła na stół z aprobatą. Nakrył do śniadania bardzo ładnie, używając zielonych podkładek i białych talerzy. Wskazał jej miejsce pod oknem.

— Usiądź tam.

Włożył na obydwie talerze po trzy jajka i sześć plastrów bekonu. Potem otworzył piekarnik i wyjął gorące grzanki.

— W porządku? — zapytał.

— Pięknie — odparła, podnosząc do ust szklanekę soku pomarańczowego.

— Kawy? Skinęła głową.

— A propos, jak za to zapłaciłeś? — spytała. — Myślałam, że nie masz pieniędzy.

— Nie mam, ale kiedy przyjmuję lokatora, zawsze dają mi na kredyt.

Milczała przez chwilę.

— Często to robisz?

— To zależy od tego, kto chce wynająć mieszkanie — wyjaśnił. — Pedalów nie biorę.

— Tylko dziewczyny? Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

— Najchętniej. Raz czy dwa wynajęłam parom. Ale pary zwykle nie zatrzymują się tu długo. Dla nich mieszkanie jest naprawdę za małe.

Skończywszy jeść, dopiła kawę. Poderwał się, by zrobić następną. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście zapewniasz dobrą obsługę. Odwzajemnił uśmiech.

— Zawsze się staram. A kiedy znajdę dobrego lokatora, staram się jeszcze bardziej.

— Jakie usługi świadczysz poza tym?

— Wszystkie. Pranie, sprząatanie, szoferowanie. Mając mnie nie musisz wynajmować samochodu. Jestem stale do dyspozycji.

— Co robisz, kiedy do twoich lokatorów przychodzą goście?

— Jestem bardzo dyskretny — odrzekł. — Znikam.

— Pracuję w domu w ciągu dnia.

— Nie przeszkadza mi to.

— I poza domem w nocy.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś prostytutką?

— Nie.

Wybuchnęła śmiechem.

— Nic nie rozumiem — stwierdził.

— Dziś wieczorem zaczynam pracę w Rosebud przy Airport Boulevard. Mam umowę na osiem tygodni występów w okolicach Los Angeles.

— Przecież to knajpa z toplesem — powiedział z niejakim zgorszeniem.

Znów się roześmiała.

— Powiedziała ci, że jestem tancerką.

— A maszyna?

Wyglądał na zdezorientowanego.

— Powiedziała ci, że jestem również pisarką.

— Co jeszcze robisz?

— Kiedyś grałam — wyjaśniła. — Prawdę mówiąc przyszło mi do głowy, że skoro już tu jestem, mogłabym sprawdzić, co się tutaj dzieje.

— W interesie kiepsko — odparł. — Mam znajomych, którzy w tym siedzą. Jest tylko robota w pornosach.

— Nigdy nie wiadomo — zaproponowała. — I tak tu jestem, więc nic mnie to nie będzie kosztować.

— Znam jednego agenta. Może mógłby ci pomóc. Chciałabyś się z nim spotkać?

— Mogę spróbować.

— Załatwię to. Wysaczyła kawę.

— Potrzebny mi samochód. Znasz jakieś miejsce, gdzie mogłabym go wynająć za przyzwoitą cenę?

— Mówiłem ci, że zapewniam też usługi szoferskie — przypomniał. — Płacisz tylko za benzynę.

Popatrzyła na niego bez słowa. Nieoczekiwanie uśmiechnął się.

— W porządku. Kapuję.

— Nie mam nic przeciwko tobie — usprawiedliwiła się. — Po prostu przyzwyczaiałam się do samotności.

— Rozumiem — odrzekł. — Spójrz na to jednak z innej strony. Po co masz się męczyć i robić wszystko sama? Z tego,

co słyszę, jesteś bardzo zajęta. Pracujesz w dzień i w nocy, nie licząc innych spraw, którymi chcesz się zająć. Wypróbuj moje usługi przez tydzień. Jeśli to nie zda egzaminu, możesz zrezygnować. Nie będę miał pretensji. Zastanawiała się przez chwilę. Propozycja brzmiała dość rozsądnie.

— Zgoda — powiedziała w końcu. — Ile będę musiała za to dopłacić?

W jego głosie zadźwięczała uraza.

— Mówiłem ci, że nic za to nie liczę. Pokrywasz tylko wydatki, a jeśli o mnie chodzi, najdroższą rzeczą jest sok pomarańczowy. Wypijam trzy litry dziennie.

Roześmiała się.

— Sądzę, że na to mnie stać. — Podniosła się od stołu. — Skończę układać swoje rzeczy, a potem wracam do łóżka. Chcę być w dobrej formie pierwszego wieczoru w nowej pracy.

— Co sobie życzysz na obiad?

— Nie będę jadła obiadu.

— Więc na kolację.

— Musi być wcześniej — odparła. — O szóstej. O ósmej zaczynam pracę.

— Dobrze. Co chcesz zjeść?

— Niech będzie stek. Gruby, miękki i krwisty.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Zasłoniła okna, aby w pokoju było ciemno, połknęła dziesięciomiligramową tabletkę valium i wyciągnęła się na łóżku.

Czuła, że środek uspokajający zaczyna działać. Może ten układ zda egzamin. Zawsze była tak pochłonięta bieganiem tu i tam, że prawie nie miała czasu na prawdziwy odpoczynek. Walter powiedział kiedyś, że jeśli chodzi o opiekę, nikt nie jest w tym lepszy od służącego. Niewykluczone, że miał rację.

Poczuła, że zapada w sen. Przez głowę przemknęła jej kolejna myśl. Licia. Obiecała, że do niej zadzwoni, gdy tylko znajdzie mieszkanie. Spróbowała się podnieść, ale działanie pigułki było już zbyt silne. Oddała się wypoczynkowi. Będzie miała czas na telefon do Licii w przerwie między występami w klubie.

ROZDZIAŁ 14

Mgła zaczynała przyćmiewać światła mola w Santa Monica. Za jakiś czas zupełnie znikną. Otworzyły się za nią drzwi.

— Pięć minut, Jane — powiedział kierownik. Wyrzuciła papierosa za balustradę i wróciła do klubu.

— Mike jeszcze się nie pokazał? — zapytała wchodząc do garderoby.

— Nie widziałem go.

Przyglądał się jej, gdy poprawiała sobie makijaż. Szybko pociągnęła sutki różem i uszczypnęła lekko, aby stały się bardziej wydatne.

— Trochę koki naprawdę by je postawiło — zauważył. Uśmiechnęła się do niego w lustrze.

— Jest zbyt droga, żeby ją tak marnować. Za mało mi płacisz.

Roześmiał się.

— Mam trochę w zapasie. Chętnie zaaplikuję ci ją za darmo.

Zawtórowała mu śmiechem.

— Wyobrażam sobie. — Odwróciła się do niego. — Jak wyglądam?

Skinął głową bez słowa.

— Coś nie w porządku? — zapytała.

— Nie.

— Więc o co chodzi?

— Właśnie dostałem wiadomość od właścicieli. Od przyszłego tygodnia pokazujemy tyłki.

— Całkiem?

— Nie. Dziewczyny będą nosić przepaski biodrowe.

— Cholera — powiedziała z niesmakiem. — Kiedy zaczniemy urządzać pokazy pieprzenia?

— Nie mów tak, Jane — odrzekł. — Wiesz, że interes nie idzie. Już prawie wszystkie kluby w okolicy pokazują tyłki. Trzymaliśmy się tak długo, jak się dało.

— Powodzenia — stwierdziła. — W przyszłym tygodniu przenoszę się do Zingera w Dolinie.

— To samo kierownictwo, taka sama polityka — ostudził

— Mam wiążącą umowę. Milczał przez chwilę.

— Nic z tego, jeśli nie pokażesz dupy.

— Niech porozmawiają z agentem.

— Już to zrobili — odparł. — Zgodził się na dodatkowe czterdzieści doliczów tygodniowo.

Nie odezwała się.

— Nie bądź głupia, Jane — ciągnął. — Czterdzieści doliczów piechotą nie chodzi. Podobasz się kierownictwu i podobasz się gościom. Co to jest kawałek ciała więcej? Nie psuj dobrego układu.

Nagle poczuła, że ogarnia ją znużenie.

— Potrzebuję kopa — powiedziała.

Z zamykanej na klucz szuflady toaletki wyjęła torebkę i, przetrząsnawszy ją, znalazła żółtą ampułkę. Trzymając ją pod nosem, zgmiotła szyjkę między kciukiem i palcem wskazującym.

Zaciągnęła się głęboko i krew gwałtownie uderzyła jej do głowy. Ponownie pociągnęła nosem i wyrzuciła pękniętą ampułkę do kosza na śmieci. Pierwsza fala ciepła minęła. Poczowała przyływ energii i dobrego samopoczucia.

— Daję niezły pokaz z wibratorem skutecznych rozmiarów — oznajmiła.

Uśmiechnął się.

— Nie możemy się posunąć aż tak daleko, ale z przyjemnością urządzę ci prywatne przesłuchanie.

Parsknęła śmiechem.

— Wyobrażam sobie. — Potem spoważniała. — Przypuszczam, że nie mam wyboru?

— Nie, jeśli chcesz dla nas pracować.

Zastanawiała się przez chwilę. Kierownictwo klubu zarządzało również pozostałymi lokalami, w których miała umówione występy. Jeśli się nie zgodzi, przepadnie jej osiem tygodni pracy. Zanim znajdzie coś w zamian, miną dwa miesiące, i przez ten czas wyda wszystko, co udało jej się zaoszczędzić w ciągu pół roku. Poza tym straci możliwość

dalszych kontaktów, które próbowała nawiązać, korzystając z pobytu na Wybrzeżu. Agent, któremu przedstawił ją Mike, uważał, że da radę coś jej załatwić. W końcu skinęła głową.

— Zgoda. Uśmiechnął się.

— Mądra dziewczyna. Zawiadomię chłopaków. Nie byłbym zdziwiony, gdyby zatrzymali cię tutaj na cały kontrakt. Odprowadziła go wzrokiem do drzwi garderoby, a potem odwróciła się do lustra. Nadal wyglądała dobrze. Nikt nie dałby jej dwudziestu ośmiu lat, ale z drugiej strony nie dano by jej też dwudziestu trzech. Ciało miała wciąż jędrne, tylko na twarzy zaczynały się rysować linie. Tak naprawdę jednak czuła swój wiek w swym wnętrzu.

Muzyka dudniła w czterech głośnikach. Tańczyła na maleńkiej scenie za barem — tam, gdzie skupiała się uwaga gości. Inna dziewczyna występowała na tyłach sali, ale prawdziwy pokaz odbywał się tutaj.

Poruszając się w tańcu, przebiegła oczami bar. Mike przepychał się do przodu, a za nim sunął jakiś mężczyzna.

Chociaż nie pamiętała jego nazwiska, rozpoznała w nim producenta, którego spotkała w agencji. Kręcił filmy motocyklowe — tanie filmy akcji, jak je nazywano w biznesie. Była ciekawa, po co tu przyszedł.

Mike podniósł swoją zwyczajową szklankę soku pomarańczowego na znak, że ją zauważył. Skinęła mu ręką i uśmiechnęła się. Zegar w jej głowie mówił jej, że do końca występu zostało około pięciu minut. Dość czasu, aby dać producentowi pokaz. Zgrała się z muzyką i wystartowała.

Kiedy weszli do garderoby, sączyła mrożoną herbatę z wódką.

— To pan Ansbach — powiedział Mike. Producent wyciągnął rękę.

— Spotkaliśmy się w biurze Grossa.

— Pamiętam — odparła, ściskając mu dłoń.

— Naprawdę potrafi pani tańczyć.

— Dziękuję.

— Mówię poważnie. Tańczyć, a nie tylko potrząsać cyckami i dupą.

— Dziękuję — powtórzyła.

— Pan Ansbach wpadł do mieszkania — wyjaśnił Mike. — Powiedział, że musi się z tobą natychmiast zobaczyć. Pomyślałem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, abym go tu przyprowadził.

— Oczywiście, że nie.

— Cieszę się, że przyszedłem — wtrącił Ansbach. — Gross dał mi do przeczytania kilka pani nowel filmowych. Jedna z nich mnie zainteresowała.

— Która?

— Ta o tancerce z podłego klubu w Gary, którą gwałci gang motocyklistów. Skinęła głową.

— Takie rzeczy się zdarzają. Znałam dziewczynę, której się to przytrafiło. Nieprzyjemna historia. Wylądowała na sześć tygodni w szpitalu.

— Wiem, że się zdarzają, ale w filmie musimy dać szczęśliwe zakończenie.

— Nie odpowiedziała.

— Teraz, kiedy zobaczyłem, jak pani tańczy, mam nowy pomysł. Może mogłaby pani zagrać tę dziewczynę. Mike mówił mi, że jest pani również aktorką. Jeśli gra pani choć w połowie tak dobrze, jak pisze i tańczy, mamy sukces w kieszeni.

— Jestem związana kontraktem przez najbliższe osiem tygodni.

— Nic nie szkodzi. Właśnie tyle nam trzeba na przygotowanie scenariusza.

— Napisanie scenariusza zajmie mi więcej czasu. To była tylko nowela filmowa.

— Nie musi go pani pisać. Mam scenarzystów, którzy wiedzą, jak pracuję, i potrafią go złożyć do kupy błyskawicznie.

— Rozmawiał pan o tym z Grossem? Skinął głową.

— Usiłował się do pani dodzwonić, ale nikt nie odbierał telefonu, więc wziąłem od niego adres i postanowiłem sam spróbować.

— O jakiej sumie mówimy? — zapytała.

— O niewielkiej. Nie mamy dużo pieniędzy. Dziesięć dni

zdjęciowych. Ekipa spoza związku, same plenery, żadnych dekoracji.

— Rozumiem.

— Dwieście pięćdziesiąt dolarów i nazwisko w czołówce jako autorki pomysłu. Jeżeli zdecydujemy, że jest pani odpowiednia do tej roli, a nie widzę powodu, dlaczego miałyby tak nie być, trzysta siedemdziesiąt pięć tygodniowo, dwa tygodnie gwarancji.

Milczała.

— Pieniądze nie są duże — dorzucił szybko. — Ale to dopiero początek. Od czegoś musi pani zacząć.

— Czy mogę się porozumieć z Grossem?

— Oczywiście. Proszę jednak dać mi jutro znać. Jestem zobowiązany do ruszenia z nowym filmem przed końcem przyszłego miesiąca i jeśli nie będzie to pani film, muszę znaleźć coś innego.

— Skontaktuję się z panem — odrzekła. Wyciągnął rękę.

— Było mi bardzo miło panią poznać. Jest pani wyjątkowo utalentowaną młodą damą i mam nadzieję, że będziemy razem pracować.

— Dziękuję panu.

Patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi, a potem zwróciła się do Mike'a.

— Co o tym sądzisz?

— Może.

— Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie.

— To szczwany lis. Cokolwiek robisz, bierz pieniądze z góry.

— Polegam na Grossie. On się tym zajmie. — Odwróciła się do lustra i zaczęła smarować twarz kremem. — Zaraz będę gotowa.

Spojrzał na jej odbicie w lustrze.

— Na plaży mówią, że w przyszłym tygodniu klub idzie na całość.

— Wiadomości szybko się rozchodzą.

— Pójdiesz na to?

— Czy mam jakiś wybór? Milczał przez chwilę.

— Dziwna jesteś. Naprawdę cię nie rozumiem. Dlaczego to takie ważne, żebyś zarabiała całą tę forszę?

— Spróbuj żyć bez niej.

— Ja nie potrzebuję aż tyle.

— Nie jesteś kobietą. Możesz zdobyć pieniądze, kiedy tylko zechcesz. Mnie nie jest tak łatwo. Byłam już bez forsy i wiem, jakie to uczucie.

— Masz zamiar to robić, nawet jeśli ten film wypali? Skinęła głową. Podniósł się.

— Spróbuję namówić barmana, żeby dał mi jeszcze jeden sok pomarańczowy.

— Dobrze.

Ścierając z twarzy resztki kremu pomyślała, że Mike zachowuje się jakoś dziwnie, inaczej niż zwykle. Dopiero gdy zatrzymał samochód pod domem, dowiedziała się dlaczego. Kiedy nie zrobił żadnego gestu, aby wysiąść, spojrzała na niego.

— Nie wchodzisz?

— Prześpię się dziś gdzie indziej.

— Coś się stało?

— Masz gościa.

Wrzucił bieg w volkswagenie i odjechał, zanim zdążyła mu zadać następne pytanie. Odwróciła się i ruszyła w stronę domu. W salonie czekała na nią Licia.

ROZDZIAŁ 15

Głos Licii był łagodny i zaniepokojony.

— Wszystko w porządku, kochanie?

JeriLee zamknęła drzwi i spojrzała przyjaciółce w oczy.

— Wszystko w porządku.

Licia pocałowała ją w policzek. Poczuła na twarzy jej miękkie wargi.

— Martwiłam się o ciebie. Jesteś tu od dwóch tygodni, a nie dałaś jeszcze znaku życia.

— Pracowałam.

Przeszły do kuchni. JeriLee wyjęła karton soku pomarańczowego.

— Napijesz się?

Licia wskazała cztery podobne kartony.

— Był już najwyższy czas, żebyś zmańdrzała. To lepsze niż świństwo, które dotąd piłaś.

JeriLee napełniła szklanke.

— To nie moje, tylko Mike'a. Jest zwariowany na punkcie soku tak samo jak ty.

Wzięła dzbanek mrożonej herbaty i zrobiła sobie drinka.

— Ten ogier mieszka tu z tobą? — zapytała Licia.

— Tak — odparła JeriLee bezbarwnym tonem. — Coś poważnego?

— Nie.

— Więc co on tu robi?

— Jest właścicielem mieszkania. — JeriLee wróciła do salonu, zrzuciła buty i opadła na kanapę. — Ułatwia mi życie.

Wozi mnie samochodem, gotuje, sprząta.

Licia usiadła naprzeciwko niej na krześle.

— Pieprzy też?

JeriLee nie odpowiedziała.

Licia sięgnęła po papierosa, zawahała się jednak i popatrzyła na nią. — Masz skręta?

Kiedy JeriLee zaczęła go zwijać, zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Nie ma powodu do zdenerwowania. Żadna z nich się nie zmieniła. Są nadal tymi samymi osobami, co podczas ostatniego spotkania. Trawa dobrze im robi. Rozładuje napięcie. Skręciła bombowca wystarczająco dużego, aby obydwie odjechały. Starannie polizała bibułkę, zakleiła papierosa i wróciła do salonu.

Walizka Licii leżała otwarta na kanapie. Dziewczyna podała JeriLee czerwone aksamitne pudełko od Cartiera.

— Przywiozłam ci prezent — oznajmiła. — Otwórz. W środku leżał długi sznur owalnych nefrytów.

— Podoba ci się? — zapytała Licia z niepokojem.

— Jest piękny. Ale nie powinnaś. Licia uśmiechnęła się.

— Pozwól go sobie włożyć.

Wzięła naszyjnik, zawiesiła go JeriLee na szyi i skinęła głową.

— Przejrzyj się w lustrze.

Poszły do sypialni. JeriLee czuła na skórze ciepło nefrytów. W lustrze napotkała wzrok przyjaciółki.

— Dlaczego, Licio?

Tamta przysunęła się bliżej, przytuliła policzek do twarzy JeriLee i musnęła wargami jej włosy.

— Ponieważ cię kocham i tęskniłam za tobą.

JeriLee milczała. Licia delikatnie obróciła ją i pocałowała w usta.

— Tak mi ciebie brakowało, kochanie — wyszeptała. — Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam cię obejmować, całować i kochać się z tobą.

Nagle JeriLee poczuła, że łyzy napływają jej do oczu i po chwili szlochała niemal histerycznie. Licia czule przytuliła jej głowę do piersi.

— Już dobrze, kochanie, już dobrze — powiedziała uspokajająco. — Rozumiem.

Zaprowadziła JeriLee do salonu i zapaliła skręta. Zaciągnęła się głęboko i podała go jej.

— Sztachnij się porządnie — poradziła. — Poczujesz się lepiej.

JeriLee wciągnęła dym w płuca. Trawa była dobra. Mike miał rację. Brał tylko to, co najlepsze. Zaciągnęła się jeszcze raz i nagle poczuła, że uchodzi z niej napięcie. Wytarła oczy chusteczką higieniczną.

— Mam taką huśtawkę nastrojów — powiedziała z zakłopotaniem.

Licia wzięła od niej skręta i, zaciągając się, obserwowała ją uważnie.

— Ciężko pracujesz, kochanie. Nie można bezkarnie harować w dzień i w nocy.

— Muszę to robić, Licio, jeśli nie chcę zostać w tym interesie, aż wytrzęsę sobie cycki do kolan.

— Daleko ci jeszcze do tego — odrzekła Licia.

— O trzeciej nad ranem, po sześciu występach, ma się zupełnie inne wrażenie.

— Robota nie jest najgorsza, a pieniądze niezłe — zawy-

rokowała Licia. — Kim jest ten facet, który tu był z twoim ogierem, kiedy przyjechałam?

— To producent. Jest zainteresowany kupnem jednej z moich nowel filmowych. Może nawet w tym zagram.

— Można na nim polegać?

— Tak twierdzi mój agent. Licia była zaskoczona.

— Masz agenta? Nie traciłaś czasu. Jak się do niego dostałaś?

— Przez Mike'a. On zna wszystkich.

— Co robi Mike?

— Nic. — Uśmiechnęła się. — Żyje z tego mieszkania. W głosie Licii pojawiła się nuta oburzenia.

— Alfons.

— Jak możesz tak mówić? Nawet go nie znasz.

— Być może, ale tam, skąd pochodzę, jeśli facet nie pracuje, to jest alfonsiem.

JeriLee milczała. Licia zabrała jej skręta i odłożyła go do popielniczki.

— Nie potępiam cię, kochanie — powiedziała, przyciągając ją do siebie. — I nie próbuję nastawić cię źle do Mike'a. Wiem, czego potrzebują dziewczyny. Nawet ja nie mam nic przeciwko dobremu, twardemu fiutowi od czasu do czasu. Ale nigdy nie zapominam, czego naprawdę chcą mężczyźni. Nie ma na świecie takiego faceta, który cię nie poniży, jeśli będzie miał okazję.

Nagle JeriLee ogarnęło znużenie. Poczowała, że odpływa z niej cała energia.

— Mike taki nie jest — zaprotestowała.

— Nie będziemy już o tym rozmawiać — odrzekła Licia uspokajająco. — Jesteś wykończona. Idź do łóżka i wyśpij się porządnie. Mamy jeszcze parę dni na to, żeby się nagadać.

— Jak długo możesz zostać?

— Tydzień. Fred pracuje w Seattle. Obiecałam, że spotkam się z nim we Frisco.

JeriLee nie odezwała się.

— Pomyślałam, że byłoby przyjemnie, gdyby udało ci się dostać trochę wolnego. Mogłybyśmy gdzieś pojechać i odpocząć. Ja też nieźle zasuwałam.

JeriLee potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Nie sędzę.

— Zobaczmy. A teraz idź do łóżka, zanim padniesz na twarz.

— A ty?

— Najpierw skończę się rozpakowywać. To nie potrwa długo.

Patrząc, jak drzwi się zamykają, Licia czuła, że ogarnia ją złość na samą siebie. Nie powinna była dopuścić do tego, żeby JeriLee wyjechała aż tak daleko. Zwłaszcza tutaj, gdzie to, czego tamta naprawdę pragnie, jest w zasięgu ręki. Rozejrzała się po małym mieszkaniu i po chwili była już zdecydowana. Jutro poszuka dla JeriLee czegoś wygodniejszego, gdzie będzie dość miejsca dla nich obu.

Im szybciej wyciągnie stąd JeriLee, tym lepiej. Nie może dłużej zostawiać jej samej. Bez względu na to, jak bardzo skomplikuje to jej własne życie, musi znaleźć jakiś sposób, żeby zabrać JeriLee z powrotem do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ 16

Licia i JeriLee wyszły z zakurzonej aluminiowej przyczepy na jasne światło słoneczne. Twarz JeriLee pokrywał starannie rozmazany brud i krew.

Asystent reżysera spojrział na nią z niepokojem i zawołał charakteryzatora.

— Można chyba użyć więcej czerwonej farby. I poszarp jej trochę kombinezon.

— Gdzie teraz kręca? — zapytała JeriLee.

— Na szosie. Powinni tu być za jakieś piętnaście minut. Lepiej niech się pospieszą — mruknął, patrząc badawczo na niebo. — Inaczej stracimy światło.

JeriLee poszła za charakteryzatorem do ustawionego pod drzewem stolika. Drewniana skrzynia służyła za siedzenie. Charakteryzator przystąpił do pracy nad jej twarzą, a potem zrobił żyłką kilka nacięć w kombinezonie motocyklowym.

Gdy tylko skończył, usłyszeli ryk motorów. Po chwili duży czarny harley davidson przemknął z piskiem opon przed kamerą. Z ciągnącej się na nim chmury kurzu wyłonił się ścigający go gazik z podrasowanym silnikiem. Kiedy przejeżdżał przed kamerą, rozległ się przenikliwy gwizd asystenta i krzyk reżysera: „Cięcie!”

Motory umilkły i ekipa natychmiast zaczęła przestawiać kamery. Słońce powoli chyliło się już ku oceanowi i pracowali gorączkowo, aby wygrać z gasnącym światłem.

Motocyklista podniósł przyłbicę kasku. Wziął puszkę piwa z wyciągniętej ręki jednego z członków personelu i stanął na brzegu wiszącej nad oceanem platformy.

— Czy on naprawdę z niej skoczy? — zapytała Licia. JeriLee skinęła głową.

— Przecież tam jest siedemdziesiąt stóp.

— To jego zawód.

— To zawód nie dla mnie — stwierdziła tamta. Reżyser podszedł do nich z kierowcą gazika, mającym na sobie długą blond perukę i czarny winylowy kombinezon, taki sam jak ten, w który była ubrana JeriLee.

— Wiesz, co masz robić? — zapytał kaskadera reżyser.

— Tak. Kiedy Tom skoczy z tej skały, wysiadam z samochodu, a Jane wsiada.

— To musi się dziać szybko — wyjaśnił reżyser. — Pracujemy tu tylko jedną kamerą. Zrobi najazd na Toma, a potem wróci do samochodu. Druga kamera złapie jego upadek. Masz ze trzydzieści sekund, nie więcej.

Kaskader kiwnął głową.

— W porządku.

Reżyser zwrócił się do JeriLee.

— Kiedy już się znajdziesz w samochodzie, czekaj na mój znak, zanim wysiądziesz. Potem podejdź do przepaści i popatrz w dół. Postój tam chwilę, po czym odwróć się i idź powoli brzegiem klifu w stronę policjantów, którzy będą się do ciebie zbliżać. Spróbuję uchwycić twoją sylwetkę na tle zachodzącego słońca.

JeriLee skinęła głową.

— Będziemy gotowi za pięć minut — powiedział reżyser. — Kręcą teraz wjazd samochodu policyjnego na rampę.

— Trzymasz się, kochanie? — zapytała Licia.

— Tak.

— Robisz wrażenie zmęczonej. To był długi dzień. — Wyjęła z torebki tabletkę. — Lepiej to zażyj. Będziesz mogła dalej funkcjonować.

— Ale nie będę mogła zasnąć przez pół nocy.

— O to się nie martw — odparła Licia. — Uśpimy cię. To ostatnia scena w filmie i nie chcę, żebyś wyglądała na zmarnowaną.

JeriLee wzięła pigułkę i połknęła ją, popijając wodą z manierki. Natychmiast poczuła przyływ energii. Oczy zaczęły jej błyszczeć.

— Lepiej, kochanie? — zapytała Licia.

— Dużo lepiej. — JeriLee roześmiała się piskliwie. — Mogę zasnąć jeszcze dziesięć godzin.

Kiedy się obudziła, było ciemno. Przez zamknięte drzwi salonu dolatywał cichy szum głosów. Miała opuchnięty język i czuła suchość w ustach. Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Łapczywie wypła szklanek wody, a potem energicznie wyszorowała zęby, aby pozbyć się mdłego smaku. Włożyła wiszący na drzwiach aksamitny szlafrok i weszła do salonu.

Głosy pochodziły z telewizora. Siedząca na krześle Licia podniosła wzrok.

— Która godzina? — zapytała JeriLee.

— Jedenasta.

— Prosiłam cię, żebyś mnie obudziła o ósmej. O dziewiątej miałam być w klubie.

— Nic się nie stało. Kiedy zobaczyłam, jak głęboko śpisz, zadzwoniłam do klubu i powiedziałam, że jesteś chora.

— Właśnie że się stało. Wiedzą, że kręcę film. Pomyślą, że nie chciałam przyjść.

— Pieprz ich. Miejsc, gdzie możesz pokazywać dupę, jest mnóstwo.

— Doskonale wiesz, że nie. To dobry klub, a większość tych lokali to speluny z prostytutkami.

— Uspokój się, kochanie — odparła Licia łagodnie. — Zrobię ci herbaty. Nie możesz tego ciągnąć, bo padniesz.

— Muszę to ciągnąć. Nie mogę przestać pracować.

— Naprawdę? Masz stałą pracę mniej więcej od ośmiu miesięcy. Na pewno coś odłożyłaś.

JeriLee spuściła wzrok.

— Życie kosztuje.

— Wiem, że kosztuje, skarbie, ale weszłaś w ten biznes tylko po to, żeby zdobyć pieniądze na pisanie. Musiałaś już zebrać dość, aby móc się utrzymać, kiedy wrócisz do pracy nad sztuką, którą chcesz napisać.

JeriLee milczała.

— Spójrz prawdzie w oczy, kochanie — ciągnęła Licia. — Nie zaczęłaś robić tego wszystkiego po to, żeby pisać scenariusze do filmów motocyklowych. Tego zresztą nawet nie napisałaś. Kupili tylko twój pomysł i przerobili go tak, jak im pasowało. U ciebie nie było żadnego seksu ani sadyzmu, a właśnie to im z tego wyszło.

JeriLee nadal nie odpowiadała.

— To nie jest twoje miejsce — stwierdziła Licia. — Skończy się na tym, że wpakujesz się w to bagno po uszy i nigdy nie napiszesz tego, co naprawdę chcesz.

— Przynajmniej zapłacili mi za to, co napisałam — broniła się JeriLee. — I rozmawiają ze mną. To więcej niż mogłabym się spodziewać na Wschodzie. Może to jakiś początek.

— Owszem, początek — odparła Licia. — Początek końca. Nikomu się jeszcze nie udało wypłynąć na takich filmach. Stąd jest tylko jedna droga — w dół, w czyste porno.

— Od kiedy jesteś taką specjalistką?

— Gdy kręciłaś ten film, nie siedziałam z założonymi rękami. Sprawdziłam parę rzeczy. To drugo- albo trzeciorzędny obraz do kin dla zmotoryzowanych, którego i tak nikt nie będzie oglądał. Ludzie zaglądają do takich kin tylko po to, żeby się pieprzyć i jeść hamburgery czy hot dogi.

— Gross mówi, że może mi załatwić kilka następnych ról. Ansbach jest ze mnie zadowolony.

— Ale to będą takie same filmy.

— Skąd wiesz?

— Zobaczysz. Będzie tak jak w klubach. Za każdym razem każą ci zdjąć z siebie trochę więcej. A na koniec — pokaz pieprzenia.

JeriLee milczała. Zdawała sobie sprawę, że w tym, co mówi Licia, jest dużo racji.

— Do niczego cię nie zmuszam, kochanie — powiedziała Licia z przejęciem. — Ale pewnego dnia JeriLee Randall zechce powrócić, a wtedy może już być za późno. Okaże się, że Jane Randolph zajęła jej miejsce na stałe.

— Muszę się napić — stwierdziła JeriLee.

— Nie pij. Weź librium.

— Wzięłam dwa, zanim poszłam spać.

— Weź jeszcze jedno. Alkohol cię tylko pobudzi, a potrzebujesz więcej snu. — Podniosła się z kanapy. — Przyniosę ci.

Gdy JeriLee połknęła pigułkę, popijając ją wodą, Licia pchnęła ją delikatnie na kanapę.

— Posiedź tutaj i odpręż się, a ja przygotuję ci kąpiel. Potem wrócisz do łóżka i nie chcę cię tu widzieć do rana.

JeriLee ujęła dłoń Licii i uściśnęła ją.

— Nie wiem, jak bym bez ciebie przeżyła ostatnie tygodnie — szepnęła z wdzięcznością.

— Kocham cię, skarbie. Chcę się tobą opiekować.

Środek nasenny nie działał. JeriLee usiadła na łóżku i zapaliła światło.

Otworzyły się drzwi sypialni.

— Co ci jest? — zapytała Licia.

— Nie mogę usnąć.

Licia przysiadła na brzegu łóżka.

— Potrzebujesz wakacji. Zmiany otoczenia. JeriLee parsknęła śmiechem.

— Z czego się śmiejesz, kochanie?

— I kto to mówi? Kiedy ty ostatni raz miałaś wakacje? Nawet podczas pobytu tutaj bez przerwy wisisz na telefonie, załatwiając interesy.

— To co innego. Ja robię to, co chcę robić. A ty łapiesz tyle srok za ogon, że już przestałaś wiedzieć, czego chcesz.

— Wiem, czego chcę. Chcę pisać.

— Więc pisz. — Licia milczała przez chwilę. — Nie przejmuj się pieniędzmi. Mam dosyć forsy, żeby ci to umożliwić.

— Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Dość już dla mnie zrobiłaś.
— Jesteś dziecinna.
— Nie jestem — odparła JeriLee z uporem. — Muszę sobie radzić sama. To dla mnie ważne.
— Nie myślałabyś tak, gdybym była mężczyzną. Nagły chłód Licii zaskoczył JeriLee.
— Dlaczego tak mówisz?
— Bo tak jest, może nie? Zgodziłabyś się, żeby cię utrzymywał mężczyzna, ale nie umiesz przyjąć pomocy od kobiety.
— Nieprawda.
— Czy tak samo odmówiłabyś temu ogierowi, gdyby ci to zaproponował? — zapytała Licia. — Założę się, że nie. Padłabyś na kolana i z wdzięczności obciągnęła mu fiuta.
— Nie mów tak, Licio. Dobrze wiesz, że tak nie jest. Gdybym chciała czegoś takiego, mogłabym to mieć już dawno. Żadna różnica, czy w grę wchodzi kobieta czy mężczyzna. Muszę sobie radzić sama.
Licia roześmiała się ochryple.
— Dużo mówisz o prawdzie, ale nie potrafisz jej spojrzeć w oczy. Dlaczego zadzwoniłaś do mnie, kiedy nie miałaś dokąd pójść? Bo w głębi serduszka wiedziałaś, że chcę się z tobą zabawić. I wszystko było w porządku, dopóki rzeczywiście była to zabawa. Teraz jednak sprawa jest poważna i to ci się nie podoba. Przestań ukrywać swoje skłonności i przyznaj się, kim jesteś. Nie ma między nami żadnej różnicy. Wolisz szparę tak samo jak ja.
JeriLee patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Drżącymi dłońmi sięgnęła po papierosa. Licia zabrała go jej i odłożyła do popielniczki.
— Skończy się na tym, że zrobisz pożar w łóżku — stwierdziła.
Zdjęła szlafrok i jej skóra koloru miodu zaśniła w blasku lampy. Delikatnie przyciągnęła twarz JeriLee do piersi. Kiedy się odezwała, jej głos był ochrypły.
— Chodź, kochanie — powiedziała łagodnie. — Mama wie, czego pragniesz. Mama wie, czego ci trzeba. Pozwól mamie zająć się tobą.

JeriLee zamknęła oczy i chłonęła ciepły, piżmowy zapach Licii. Pragnęła bezpiecznie zatonać w jej ramionach, nagle zrozumiała jednak, że nie potrafi.

Licia nie miała jej do zaofiarowania nic innego niż to, co dawali mężczyźni. Nadal walutą, w której się płaciło, był seks. Fakt, że jest kobietą, niczego tu nie zmieniał. Wolność to prawo do bycia sobą. Nie można jej kupić. Zdobywa się ją szczerością wobec siebie, niezależnie od tego, czy to, co widzimy, podoba się nam czy nie.

Odsunęła się od Licii i spojrzała jej w oczy.

— Miałaś rację — stwierdziła. — Nie byłam szczerą. Ani ze sobą, ani z tobą. Przepraszam.

Licia milczała.

— Jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłaś — ciągnęła JeriLee. — Chcę być twoją przyjaciółką. Chcę się z tobą kochać i chcę, żebyś kochała się ze mną, bo sprawia mi to przyjemność. Może większą niż inne sposoby, jakie znam. Ale nie kocham cię. Nie kocham nikogo. Może nie potrafię kochać tak jak inni ludzie. Wiem tylko tyle, że nie chcę, aby ktokolwiek był moją własnością ani żebym ja była czyjąś własnością. Muszę być wolna.

Ból zdławił głos Licii.

— Nawet jeśli to oznacza samotność?

JeriLee patrzyła na nią przez długą chwilę, a potem powoli skinęła głową.

Oczy Licii napęły się łzami. Tym razem to JeriLee przyciągnęła głowę przyjaciółki do swoich piersi i zaczęła ją pocieszać.

ROZDZIAŁ 17

Biuro Marc Gross Associates składało się z jednej załatanej sekretarki i automatu zgłoszeniowego. Zanim Gross założył własną firmę, pracował dla kilku dużych agencji. Jeździł lincolnem, za którego stale zalegał z ratami, i miał

skłonność do familarnego wyrażania się o znanych ludziach oraz mówienia o dużych interesach będących w trakcie załatwiania. Mimo to był sympatycznym młodym człowiekiem i robił co mógł dla klientów, których przypadek do niego sprowadził. Jedyne szkopuły polegały na tym, że najbardziej obiecujące talenty były zawsze wychwytywane przez renomowane agencje i musiał się zadowalać tymi, którzy zaledwie rokowali jakieś nadzieje.

Gdy JeriLee weszła do jego gabinetu, podniósł się z za biurka ze szczerym uśmiechem na twarzy. Należała do jego nielicznych pracujących klientów.

— Żadnych telefonów, kiedy będę rozmawiał z panną Randolph — polecił sekretarce. — Przed nami wiele pracy — zwrócił się z powagą do JeriLee.

Skinęła głową bez słowa.

— Ansbach powiedział, że film z pani udziałem jest rewelacyjny. Wymogłem na nim obietnicę, że przyśle mi parę klipów, byśmy mieli co pokazywać, zanim film wejdzie na ekrany. Teraz chodzi o to, żeby załatwić pani nowe role, zapewnić ciągłość. — Nagle zamilkł, utkwivszy w niej wzrok. — Czy w filmie występowała pani w blond peruce? Ponownie skinęła głową.

— Widziałem trochę fotosów. Powinna ją pani nosić stale. To pomaga budować image.

— Peruka pasowała do tej roli — odparła JeriLee. — Nie pasuje jednak do mnie.

— To nie ma znaczenia. Tego właśnie chcą producenci. Wygląda w niej pani seksownie.

— Chce pan powiedzieć — jak dziwka.

— Zależy od punktu widzenia. Ja to nazywam wyglądem GP.

— Co to znaczy?

— Gotowa do Pieprzenia. To rzuca się w oczy.

— Jestem trochę za stara, żeby robić karierę jako seksowna blondynka.

— Nieprawda. Jest pani w odpowiednim wieku. W dzisiejszych czasach mężczyźni szukają czegoś więcej niż głupiej blondynki. Pragną kobiety doświadczonej, która robi wrażenie, że wie, czego chcą, i potrafi im to dać.

Załatwiam

pani teraz kilka przesłuchań i chciałbym, aby poszła pani na nie w peruce.

— Zgoda.

— Kiedy wraca pani do pracy w klubie?

— Dziś wieczorem.

— Dobrze. Musimy to wykorzystać do reklamy. Ma pani coś przeciwko temu, żebym przyprowadził paru producentów?

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Nie uważa pan, że to niektórych odstraszy? Nie wydaje mi się, aby wytwórnice zachwyciły się takim powiązaniem.

— Pieprzę wytwórnice. Tam się nic nie dzieje. To niezależni producenci wprowadzają wszystkie mody. Wytwórnice starają się tylko za nimi nadażyć.

— Nie sądzę, żeby można było zrobić karierę na filmach motocyklowych.

Co ma im pani do zarzucenia? Jack Nicholson nie wyszedł na nich źle. Nakręcił ze cztery przed „East Rider”, a proszę popatrzeć, kim jest teraz. Jednym z największych gwiazdorów. Milczała.

— Wiem, że pieniądze nie są duże, ale na tym rynku jest mnóstwo pracy.

— Tak pan uważa?

Ansbach chce znowu panią zaangażować — odparł agent. — I tym razem nie chodzi o film motocyklowy.

— A o jaki?

Akcja rozgrywa się w więzieniu kobiecym. Jest tam kilka dobrych ról, a pani otrzyma główną, jeśli pani zechce.

— Ma pan scenariusz?

— Wie pani, jak pracuje Ansbach. Scenariusz będzie gotowy dopiero, gdy zacznie kręcić. Mam jednak kopię konspektu — powiedział, podając jej kilka kartek. — Kiedy będzie pani czytać, załatwię parę telefonów.

— Chce pan, żebym to przeczytała teraz?

— To jedyny egzemplarz, jakim dysponuję, i jest mi potrzebny. Ansbach chce, żebym mu znalazł również inne dziewczyny. Nie zajmie to pani dużo czasu, ma tylko kilkanaście stron.

Skończyła czytać, zanim przeprowadził drugą rozmowę.

— Co pani o tym sądzi? — zapytał.

— Sądzę, że to nie dla mnie.

— To duża rola.

— To czysty sadomasochizm.

— Publiczności to się podoba.

— Ale mnie się nie podoba. Nie ma tu nawet pozorów jakiejś fabuły. Scena za sceną dziewczyny albo się ze sobą kładą, albo biją.

— Takie są te więzienia. Poza tym to tylko konspekt. Scenariusz będzie lepszy.

— Nie wydaje mi się, żeby z udziału w takim filmie wynikło dla mnie coś dobrego. Skończę jako największa lesbijka wszechczasów.

— Jest pani aktorką. Wejście w tę rolę nie powinno być dla pani zbyt trudne.

Wyczuła w jego głosie subtelną zmianę tonu.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Niech pani da spokój, Jane — odparł, uśmiechając się czarująco. — Obydwoje jesteśmy dorośli. Wiem, co pani robi. Nie jestem ślepy.

Milczała.

— Poznałem pani przyjaciółkę ze Wschodu. Poczula, że się rumieni.

— To, co robię, to moja sprawa — odrzekła krótko. — Uważam, że pomysł jest fatalny i nie chcę grać w tym filmie.

— Chwileczkę — wtrącił pojednawczo. — Dobrze, już dobrze. Ansbach i ja myśleliśmy, że może pójdzie pani na to, ale będą też inne role.

— Co z nowelami filmowymi, które panu dałam?

— Puściłem je w obieg. Będę panią informował na bieżąco.

— Dobrze. W ciągu dnia może mnie pan złapać w domu. W nocy jestem w klubie.

— Wkrótce się z panią skontaktuję. Załatwiam pani spotkania w Warnerze i Paramountie. — Odprowadził ją do drzwi. — Co ze scenariuszem, nad którym pani pracuje?

— Pokażę go panu, kiedy tylko skończę.

— Proszę nie zapomnieć. Mam przeczucie, że z nim naprawdę uda się nam przebić. — Pocałował ją w policzek. — Będziemy w kontakcie.

— Nie spodziewałam się, że wrócisz tak szybko — stwierdziła Licia, gdy JeriLee weszła do mieszkania. JeriLee spojrzała na stojące przy drzwiach walizki.

— Nie zamierzałaś chyba wyjechać bez pożegnania?

— Nie lubię pożegnań tak samo jak ty. JeriLee milczała przez chwilę.

— Dokąd jedziesz?

— Do Chicago — odparła Licia. — Rozmawiałam z Fredem. Powiedziałam mu, że już wszystko tutaj załatwiłam. Był bardzo miły. Nie skarżył się, że spędzam z tobą za dużo czasu. Zadzwonił dzwonek i JeriLee otworzyła drzwi. Jakiś mężczyzna podniósł rękę do czapki.

— Zamawiała pani taksówkę?

Wskazała walizki. Gdy kierowca wyszedł, popatrzyły na siebie. Licia przerwała ciszę.

— Chyba lepiej już pójdę.

JeriLee poczuła, że łzy cisną się jej do oczu.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżała w taki sposób. Nie chcę, żebyś się na mnie gniewała.

Licia odezwała się spokojnym tonem.

— Nie gniewam się, kochanie. Po prostu ostatniej nocy dokładnie mi wyjaśniłaś, na czym stoję. Na niczym.

— Przecież nadal możemy być przyjaciółkami. Licii wyrwało się głębokie westchnienie.

— Oczywiście, kochanie. Ale to, jak ja chciałabym widzieć naszą przyjaźń, i jak ty ją widzisz, to dwie różne rzeczy.

— Zmusiła się do uśmiechu. — Powinnam się pospieszyć. Samolot nie będzie czekał.

Podeszły do siebie i ich usta spotkały się w delikatnym pocałunku.

— Do widzenia, kochanie — szepnęła Licia. Usłyszały za sobą jakiś dźwięk i odwróciwszy się zobaczyły stojącego w progu Mike'a.

— Wyjeżdżasz? — zapytał.

Licia minęła go bez słowa, a potem się obejrzała.

— Opiekuj się dobrze moją małą dziewczynką. Słyszysz? Mike skinął głową.

— Coś się stało? — zapytał, gdy za Licią zamknęły się drzwi.

JeriLee potrząsnęła głową, łzy zamglily jej oczy.

— Dlaczego przyjechałeś akurat teraz?

— Ona do mnie zadzwoniła. Powiedziała, że chcesz się ze mną widzieć.

To było podobne do Licii.

— Muszę się napić — stwierdziła JeriLee.

— Mrożona herbata z wódką, już się robi — odparł pośpiesznie.

Po chwili wrócił ze szklanką w ręku i z uśmiechem podał ją dziewczynie.

— Przyjmiesz z powrotem moje usługi? Powoli skinęła głową.

— Świetnie. Pojadę po swoje kłamoty. Obrócę w godzinę. Mam kupić parę steków na kolację?

Ponownie skinęła głową.

— Hej, będzie fantastycznie. Teraz, kiedy już wiem, czego szukasz, zabawimy się jeszcze lepiej. Mam kilka miłych przyjaciółek, które naprawdę ci się spodobają.

Wyszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć. Zaczęła zwijać skręta. To złagodzi ból wywołany poczuciem, że nie potrafi się z nikim porozumieć.

ROZDZIAŁ 18

JeriLee zerknęła najpierw na zegarek, potem na Mike'a, stojącego przy barze na drugim końcu elegancko urządzonego pokoju. Minęła siódma, a o ósmej miała być w klubie. Mike rozmawiał z gospodarzem. Odstawiła swoją wódkę z tonikiem i podeszła do nich. Gdy się zbliżała, zamilkli.

— Przepraszam, że przerywam — usprawiedliwiła się — ale muszę iść do pracy.

Jasmin, wysoki, siwowłosy mężczyzna o mocno opalonej twarzy uśmiechnął się do niej.

— Wszystko w porządku. Teraz, kiedy już się poznaliśmy, Mike musi tu panią częściej przywozić.

— Dziękuję. — Odwzajemniła uśmiech i zwróciła się do chłopaka: — Jeśli chcesz zostać, wezmę taksówkę.

— Nie — odparł pospiesznie. — Ja też się już zbierałem do wyjścia. Podrzucę cię do klubu.

— Więc każe ci zapakować do samochodu bagaż Ricka — oznajmił gospodarz.

Zamieniwszy kilka słów z jednym z barmanów, Jasmin wrócił do nich.

— Odprowadzę was — powiedział.

Gdy wyszli na taras, Jasmin wskazał basen.

— Co niedziela urządzam tu małe przyjęcie przed południem — stwierdził. — Przychodzi mnóstwo błyskotliwych i zabawnych ludzi. Wpadnijcie, jeżeli będziecie mieli ochotę.

— Dziękuję — odrzekła JeriLee, pomyślawszy, że jeśli okażą się choć trochę podobni do osób, które właśnie poznała, nie będą zbyt zabawni. Wszyscy mężczyźni zachowywali się jak powściągliwi biznesmeni, a nieliczne kobiety nie miały sobie nic do powiedzenia.

W otoczeniu cadillaców, mercedesów i continentali, volkswagen Mike'a wyglądał jak ubogi krewny. Kiedy wsiedli do samochodu, z tylnych drzwi domu wyszło dwóch mężczyzn. Każdy z nich niośł dużą, czarną walizkę.

— Połóżcie je na tylnym siedzeniu — polecił Mike. — Dziękuję za drinki — dodał, zwracając się do gospodarza.

— Ja również dziękuję — dorzuciła JeriLee. Jasmin uśmiechnął się do niej.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę się postarać wpaść w niedzielę. — Uśmiech nie schodził mu z twarzy, ale gdy odezwał się do Mike'a, w jego głosie zadźwięczał ostry ton. — Rick chce, żebyś się dobrze zatroszczył o jego rzeczy.

— Tak jest — odparł szybko. — Proszę mu przekazać, że nie ma się o co martwić.

Kiedy wyjeżdżali z podjazdu, JeriLee popatrzyła na Mike'a.

— To było dziwne przyjęcie. Nikt nie chciał z nikim rozmawiać.

— Wiesz, jacy są biznesmeni. Ponure typy.

— Co robi Jaśmin?

— Jest jakimś finansistą — wyjaśnił Mike. — Zwykle przyjęcia u niego są trochę lepsze. Dzisiejsze było naprawdę beznadziejne. Przepraszam, że cię tu zaciągnąłem.

— Nic nie szkodzi. Dość się już nasiedziałam przy maszynie. Dobrze było się na trochę oderwać. — Zerknęła na czarne walizki, leżące na tylnym siedzeniu. — Co to za rzeczy?

— Mój znajomy wyjeżdża na jakiś czas i obiecałem, że przechowam walizki do jego powrotu. Zostawił je do odebrania u Jasmina.

— Był tam? Nie przypominam go sobie.

— Wyszedł, zanim przyjechaliśmy.

— Dlaczego Jaśmin ich nie przechowaw? Na pewno ma więcej miejsca niż ty.

— Człowieka takiego jak Jaśmin nie wypada prosić o tego typu przysługi. Zresztą to żaden kłopot. Po prostu upchnę je w szafie. Nie będą ci przeszkadzać.

Milczeli, dopóki nie wjechali na parking przed klubem.

— Może pójdziemy na to niedzielne przyjęcie, o którym wspominał Jaśmin? Wydaje mi się, że cię polubił. Nie należy do ludzi zapraszających każdego.

— Zobaczymy — odparła niezobowiązująco.

— Dobrze ci zrobi, jeśli będziesz częściej wychodzić. Nie ruszyłaś się z domu od dwóch tygodni.

— Chcę najpierw skończyć ten scenariusz. — Spojrzała na niego. — Przyjedziesz po mnie?

— Przyjadę. — zerknął przez ramię na samochód, który wjechał za nimi na parking. — Muszę się pospieszyć — rzucił z niepokojem. — Tamuję ruch.

JeriLee obserwowała, jak Mike wycofuje się z podjazdu. Zachowywał się jakoś dziwnie. Nie potrafiła określić, na czym to dokładnie polega, ale od momentu przyścia do Jasmina wyczuwała w nim napięcie.

Podbiegł do niej kierownik klubu.

— Musisz wyjść pierwsza — powiedział. — Anna właśnie zadzwoniła, że jest chora.

JeriLee uśmiechnęła się.

— Nie panikuj, Jack. Za dziesięć minut będę gotowa.

Mike otworzył przed nią drzwi i weszła do mieszkania pierwsza.

— Napijesz się? — zapytał.

Ze znużeniem potrząsnęła głową.

— Jestem naprawdę połamana. Jedna z dziewczyn nie przyszła i musiałam wystąpić dziewięć razy.

— To za dużo.

— Wszystko mnie boli. Chyba wezmę nembutal i walnę się do łóżka.

— Słusznie. Powinnaś się porządnie wyspać. Ja wypalę jeszcze skręta i poczytam gazety.

— W porządku — odparła.

Gończy prysznic złagodził nieco ból mięśni. Wytarłszy się, włożyła aksamitny szlafrok, połknęła dwa proszki i wróciła do salonu.

Mike siedział na krześle pod oknem. W powietrzu unosił się delikatny, słodki zapach trawy.

— Daj się sztachnąć — poprosiła, zabierając mu skręta. Zaciągnęła się i oddała mu go. — Wydawało mi się, że miałeś czytać gazetę.

— Znudziło mnie to — odrzekł. — Na okrągło te same bzdury.

— Na pewno nic ci nie jest? — zapytała.

— Mnie? Oczywiście, że nie. Czuję się świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej.

Skinęła głowę, udając że wierzy w te zapewnienia. Cokolwiek się stało, nie była to jej sprawa, zwłaszcza jeśli nie chciał o tym mówić.

— Dobranoc — powiedziała.

— Dobranoc.

Weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Ledwo zdążyła zgasić światło przed zaśnięciem.

Gwar głosów wdarł się w mrok i wyrwał ją ze snu. Przeciągnęła się leniwie, usiłując oprzytomnieć. Głosy były teraz donośniej sze. Nagle drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie.

Jakiś mężczyzna sięgnął do kontaktu i zapalił światło.

— Dobra, siostrze, wstań z łóżka — polecił szorstkim tonem.

Przez chwilę wydawało jej się, że śni. Była nadal odurzona środkami nasennymi.

— Czego pan chce? Kim pan jest? — Wyciągnęła rękę do telefonu. — Niech się pan lepiej stąd wynosi, zanim wezwę policję.

— My jesteśmy z policji, kobieto. Chcemy z tobą porozmawiać.

Podciągnęła kołdrę pod brodę.

— O czym?

— O dwóch walizkach, które twój chłopak odebrał dziś po południu. Gdzie one są?

Za plecami policjanta pojawił się Mike.

— Nie musisz odpowiadać! — krzyknął. — Powiedz mu, że chcesz się skontaktować ze swoim adwokatem!

Umundurowany policjant podszedł od tyłu i odciągnął go od drzwi.

— Trzymaj te pieprzone łapska z daleka ode mnie! — wrzasnął Mike.

JeriLee utkwiała wzrok w policjancie ubranym po cywilnemu.

— O co tu chodzi?

— Twój chłopak handluje narkotykami. Tym razem go mamy. Widzieliśmy, jak przywiózł tu te walizki, ale nie widzieliśmy, żeby je wywoził.

— Tym razem? — zapytała oszołomiona.

— To trzeci raz. I ostatni. Przymknęliśmy go już dwukrotnie, nie mogliśmy mu jednak nic udowodnić. Tym razem, jeśli będzie trzeba, wyrócimy mieszkanie do góry nogami.

— Nie możecie tego zrobić bez nakazu rewizji! — krzyknął Mike.

Policjant w cywilu wyjął z kieszeni jakiś papier.

— Mamy nakaz. Bylibyśmy tu wcześniej, ale sędzia podpisał go dopiero pół godziny temu. — Zwrócił się do JeriLee. — Narzuć coś na siebie i wyjdź stąd.

Opuścili sypialnię, zostawiając drzwi otwarte. JeriLee włożyła szlafrok i weszła do salonu. Mike, otoczony trzema ludźmi w cywilu i dwoma umundurowanymi policjantami, siedział z posępną miną na kanapie.

Mężczyzna, który rozmawiał z JeriLee w sypialni, wskazał dwóch ludzi stojących z tyłu.

— Jestem detektyw Collins z policji okręgowej. To detektyw Millstein i agent specjalny Cochran z FBI. A teraz, co z tymi dwiema walizkami?

— Nie musisz odpowiadać — warknął Mike. — Macie obowiązek poinformować ją o jej prawach.

— Kiepski z ciebie prawnik, Mike — odparł detektyw Collins bez cienia uśmiechu. — Tak jest tylko w przypadku aresztowania. Nie aresztowałem jej. Jeszcze nie.

JeriLee poczuła, że ogarnia ją panika.

— Za co chcecie mnie aresztować? Nic nie zrobiłam.

— Czy powiedziałem, że coś zrobiłaś, siostrze? — zapytał Collins.

— Nie słuchaj go, Jane — wtrącił się Mike. — Próbuje cię podejść.

Po raz pierwszy odezwał się agent FBI.

— Nie pogarszaj swojej sytuacji, Mike, i powiedz nam, gdzie są te walizki. Szkoda by było robić bałagan w takim ładnym mieszkaniu. — Nie otrzymawszy odpowiedzi, dodał: — Mów śmiało, Mike. Tym razem i tak się nie wywiniesz. Obserwowaliśmy Ricka na lotnisku. Miał przy sobie dwie walizki. Obserwowaliśmy też wczesnym wieczorem dom Jasmina i widzieliśmy, jak je tu przywiozłeś.

Mike w milczeniu wpatrywał się w podłogę. Agent zwrócił się do JeriLee.

— No i jak, panienko? Wie pani, gdzie są te walizki?

— Nie.

Popatrzyła na Mike'a, który starannie unikał jej wzroku. Ogarnął ją gniew. Jaka była głupia, wierząc w te bzdury, że nie pracuje i że wystarczają mu pieniądze z wynajmu mieszkania. Owszem, wystarczały. Bo na boku załatwiał ciemne interesy. Spojrzała na agenta.

— Ale chyba wiem, gdzie mogą być. W przedpokoju, po drodze do łazienki, jest zamknięta szafa, w której trzyma swoje rzeczy.

— Ma pani klucz?

— Nie. On go ma.

Agent wyciągnął rękę do Mike'a. Ten z ponurą miną wyjął

z kieszeni klucz i podał mu go. Agent wręczył klucz drugiemu funkcjonariuszowi.

— Chodźmy.

Detektyw Collins wziął JeriLee pod ramię, a jeden z umundurowanych policjantów skinął na Mike'a. Przeszli przez sypialnię na wąski korytarz.

Walizki stały tuż za drzwiami szafy. Detektywi wyjęli je i położyli na łóżku. Collins spróbował otworzyć jedną, po czym się wyprostował.

— To zamek szyfrowy. Znasz kombinację, Mike?

— Nie. Dlaczego miałbym ją znać? Tylko przechowuję te walizki znajomemu. Nawet nie wiem, co w nich jest. Collins roześmiał się.

— A jakże.

Wyciągnął z kieszeni jakiś mały przyrząd i przez chwilę manipulował przy zamkach. Potem nacisnął przyciski i walizki się otworzyły.

JeriLee utkwiała wzrok w starannie opakowanych kostkach o kształcie cegieł. W każdej walizce było ich dwadzieścia. Collins wziął jedną, rozdarł papier na rogu i powąchał. Skinął głową, podsuwając paczkę agentowi federalnemu.

— Informacja była prawdziwa. Możemy ich teraz przymknąć i wnieść oskarżenie.

Collins odwrócił się do Mike'a i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął niewielką zadrukowaną kartkę.

— Trochę formalności, Mike. Muszę cię poinformować o twoich prawach. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie w sądzie. Masz prawo odmówić zeznań i skontaktować się z adwokatem oraz żądać, aby był obecny przy przesłuchaniu teraz i w przyszłości.

Wyrecytował to wszystko monotonnym głosem, a skończywszy przemowę, zwrócił się do JeriLee.

— Ciebie też zabieram, siostrze.

— Za co ją do cholery aresztujecie? — zapytał Mike. — Słyszeliście, co powiedziała. Ona nic nie wie.

— O tym zdecyduje sędzia — odparł Collins. — Ja wykonuję swoją robotę. Jesteś aresztowana. Muszę cię poinformować o twoich prawach — oznajmił, znów czytając z kartki.

— To pomyłka — zaprotestowała JeriLee. — Nie miałam z tym nic wspólnego. Po prostu wynajmuję od niego mieszkanie.

— Zabawny sposób wynajmowania — zadrwił Collins.

— Mieszkasz tu z nim od dwóch miesięcy. Chciałbym sobie znaleźć taką lokatorkę.

— Ale to prawda — upierała się JeriLee.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu i starała się je powstrzymać.

— Wyjaśnisz to sędziemu — odrzekł Collins. — Masz pięć minut na to, żeby się ubrać, albo zabiorę cię w tym stroju.

— Odwrócił się do umundurowanych policjantów. — Odprowadźcie Mike'a do samochodu, a potem niech jeden tu wróci i pomoże Millsteinowi nieść dowody rzeczowe.

Gdy policjanci opuścili pokój, Collins popatrzył na JeriLee.

— Nie ubierasz się, siostró — zauważył.

— Chyba nie spodziewa się pan, że zrobię to przy was. Collins roześmiał się.

— Nastawię jakąś płytę i przy okazji dasz nam pokaz. A może publiczność nie jest wystarczająco liczna?

Bez słowa przeszła go wzrokiem.

— Parę razy widziałem twój występ. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Trzęsiesz nimi naprawdę nieźle. Nie miałbym nic przeciwko prywatnemu pokazowi.

Po raz pierwszy odezwał się detektyw Millstein.

— Może się pani ubrać w łazience — powiedział. — Zaczekamy tutaj.

JeriLee z wdzięcznością skinęła głową, wciąż tłumiąc łzy. Wyjęła z szafy dzinsy i bluzkę, a z szuflady bieliznę, weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Obmyła sobie twarz zimną wodą, ale nadal była odurzona nembutalem.

Musiła się obudzić.

Przetrzaśnęła apteczkę, gorączkowo szukając dexamyli. W fiolce zostały dwie tabletki. One to załatwią.

Szybko skończyła się ubierać i przejechała grzebieniem po włosach. Gdy wyszła z łazienki, czekał na nią tylko detektyw Millstein.

— Gdzie reszta? — zapytała.

— W drodze — odparł. — Jest pani gotowa?

— Tylko wezmę torebkę. — Zdjęła ją z toaletki. — Wygląda pan na porządnego gościa. Czy muszę iść za kratki?

Skinął głową.

— Co ze mną zrobią?

— Prawdopodobnie wypuszczą panią — odrzekł. — Ale tak czy inaczej musi pani pójść do aresztu. Pani chłopak jest zamieszany w działalność sporego gangu. W tych walizkach było osiemdziesiąt kilogramów trawy.

— Cholera, ja po prostu wynajęłam mieszkanie. Czy ktoś kiedyś słyszał o tym, żeby prosić właściciela o referencje? Millstein roześmiał się.

— Przykro mi, proszę pani.

Wyszli na zewnątrz. Na schodach zatrzymał ją.

— Czy nie powinna pani zamknąć drzwi na klucz? Chyba nie chciałyby pani odkryć po powrocie, że ją okradziono.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy zajechali pod komisariat policji, zaczynało świtać.

— Cholera! — zaklął Millstein, zobaczywszy tłum dziennikarzy i zaparkowaną pod budynkiem furgonetkę telewizji.

— Ten dupek Collins nie mógł się doczekać swojego zdjęcia w gazetach.

Minął komisariat i skręcił w najbliższą przecznicę.

— Lubi pani reklamę? — zapytał.

— Nie tego rodzaju.

— Spróbuję panią wprowadzić tylnym wejściem. Może go nie obstawili. Ma pani w tej torebce ciemne okulary?

— Tak.

— Niech je pani włoży. Przynajmniej nie zrobią wyraźnego zdjęcia pani twarzy.

Wyjęła okulary z torebki i włożyła je.

— Jak to wygląda? Rzucił na nią okiem.

— Dobrze. Na tylnym siedzeniu leży gazeta. Proszę ją wziąć. Może się pani nią zasłonić, kiedy będziemy wchodzili.

— Porządny z pana człowiek, Charlie Brown¹ — stwierdziła.

— Millstein — poprawił ją bez cienia uśmiechu. Skręcił na parking na tyłach komisariatu. Nie było tam aż tylu dziennikarzy, co od frontu, ale wszyscy otoczyli samochód, zanim się jeszcze zatrzymał.

— Proszę nie wysiadać, dopóki nie przejdę na pani stronę i nie wypuszczę pani — polecił Millstein.

Zaczęły błyskać flesze, reporterzy próbowali robić zdjęcia przez zasunięte szyby. Trzymała gazetę przy twarzy, dopóki nie usłyszała trzasku otwieranych drzwi i głosu detektywa.

— Teraz, proszę pani.

Gdy szybkim krokiem prowadził ją do drzwi komisariatu, zasłaniała się gazetą. Gonili ją krzyki dziennikarzy.

— Nie wygłupiaj się, Jane. Daj nam zrobić dobre zdjęcie.

— Reklama napędzi ci widzów.

— Pokaż, że masz coś oprócz cyczków i dupy! Usłyszała głos Milsteina.

— Proszę uważać. Tu jest stopień.

Potknęła się i upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał. Po chwili znaleźli się wewnątrz.

— W porządku? — zapytał. Skinęła głową.

— Musimy wejść na drugie piętro — oznajmił. — O tej porze winda nie działa.

— Nie szkodzi. I dziękuję panu — odparła, gdy zaczęli wchodzić po schodach.

Uśmiechnął się nieśmiało.

— Nie ma za co. — Zatrzymał się na podeście. — Muszę panią zarejestrować, rozumie pani. Nie będzie tam fotografów, tylko sami dziennikarze. Nie musi pani z nimi rozmawiać. Spróbuję panią przeprowadzić możliwie szybko.

Weszli przez tylne drzwi do dużego pokoju i prawie dotarli do biurka sierżanta, zanim reporterzy ich zauważyli.

Rzucili się ku JeriLee, zasypując ją pytaniami. Byli dobrze przygotowani. Wszyscy znali jej nazwisko i wiedzieli, gdzie pracuje. Trzymała głowę opuszczoną, nie patrząc na nich.

Postać z popularnego komiksu „Peanuts” („Fistaszki”). (przyp. tłum.)

Millstein dotrzymał słowa. Szepnął coś sierżantowi, a ten skinął głową i wskazał mu boczne drzwi. Detektyw wprowadził JeriLee do małego pokoiku.

— Sierżant jest moim znajomym — wyjaśnił. — Wypełni formularze tutaj, z dala od tego tłumu.

— Co mu pan powiedział? Millstein wykrzywił się w uśmiechu.

— Spytałem, czy naprawdę chce pomóc Collinsowi w awansie na porucznika.

Roześmiała się, ale śmiech natychmiast uwiązał jej w gardle. Już wariuje od tych pigułek. Nie ma tu nic zabawnego.

W oknach, na które patrzy, są kraty. To nie jest ani film, ani teatr. To się dzieje naprawdę.

Otworzyła torebkę i zaczęła szukać papierosów. Była pewna, że je miała. W końcu spojrzała na Millsteina. Głos jej drżał.

— Ma pan papierosy?

Bez słowa sięgnął do kieszeni i podsunął jej paczkę.

— Czy przechodziła pani przez to już kiedyś? Potrząsnęła głową.

— Nie — odparła, zaciągając się dymem. — To straszne. Naprawdę straszne.

Nie odezwał się.

— Co teraz?

— Kiedy sierżant skończy rejestrację, odda pani wartościowe przedmioty do depozytu. Potem zdejmujemy pani odciski palców, zrobimy zdjęcia i zaprowadzimy panią do aresztu dla kobiet. Tam strażniczka przeszuka panią i wyznaczy celę, w której zostanie pani do rana, do otwarcia sądu.

— Czy muszę do tego czasu siedzieć w celi? Skinął głową.

— Na filmach widzi się, jak ludzie wychodzą za kaucją.

— Tak, ale musi o tym zdecydować sędzia.

Sierżant wszedł do pokoju, niosąc dużą, szarozieloną księgę.

— Nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania? — zapytał szybko, usiadłszy przy stole.

Zawahała się i popatrzyła na Millsteina. Detektyw skinął głową.

— Jane Randolph, lat dwadzieścia osiem, 11119 Montecito Way, Santa Monica.

— W porządku. Collins wypełnił już rubrykę zarzutów — poinformował Millsteina sierżant.

— Co napisał?

— Przewóz i posiadanie osiemdziesięciu kilogramów marihuany z zamiarem sprzedaży — odczytał sierżant.

— To nieprawda — zaprotestowała JeriLee. — Nie miałam z tym nic wspólnego.

Sierżant wstał, nie zważając na ten wybuch.

— Zaprowadzisz ją do depozytu, czy mam zawołać strażniczkę?

— Zaprowadzę ją — odparł Millstein. — Pójdziemy tędy — wyjaśnił wskazując drzwi z drugiej strony pokoju.

JeriLee wyszła za nim na korytarz. Zatrzymali się przy okienku usytuowanym naprzeciwko drzwi. Millstein nacisnął dzwonek, aby wezwać urzędnika.

— To nie w porządku — odezwała się JeriLee. — Collins w ogóle nie wziął pod uwagę tego, co powiedziałam.

W okienku pojawił się policjant w samej koszuli.

— Proszę opróżnić torebkę, zdjąć zegarek, pierścionki i pozostałą biżuterię — wyrecytował monotonnym głosem.

— Nazwisko i numer?

— Jane Randolph — odrzekła. — Jaki numer? Nawet nie podniósł wzroku znad papierów.

— Każdy więzień ma numer ewidencyjny.

— Jest tutaj. — Millstein podał mu pasek papieru. — To normalna procedura — uspokoił JeriLee.

Otworzyła torebkę i wysypała jej zawartość na kontuar. Zsunęła zegarek z nadgarstka i położyła go obok. Urzędnik zaczął spisywać wszystkie przedmioty. Zaciągnęła się papierosem i Millstein zauważył, że drżą jej palce.

— Spokojnie — powiedział. — Zostanę z panią i spróbuję to złagodzić jak tylko się da.

Skinęła głową, ale w jej oczach zobaczył błysk zwierzęcego strachu. Podpisała inwentarz i jak w transie przeszła przez zdejmowanie odcisków palców, robienie zdjęć i rewizję osobistą. Dopiero gdy szli za strażniczką do celi, zeszywniała. Kobieta otworzyła zakratowane drzwi.

JeriLee odwróciła się do Millsteina. W jej głosie zadźwięczała histeria.

— Czy ja muszę tam wejść?

Przyglądał się jej przez chwilę. Coś w niej go poruszyło, przypuszczalnie dlatego, że był przekonany o jej prawdomówności. Zajmowali się tą sprawą od dwóch miesięcy, a przesłanki wskazujące na to, że dziewczyna może być w nią zamieszana, pojawiły się dopiero teraz. Collins miał to jednak gdzieś. Chciał się dochrapać stopnia porucznika, a prokurator okręgowy popierał go na całej linii. Obydwaj liczyli na wielki sukces i nie obchodziło ich, że mogą komuś wyrządzić krzywdę. Spojrzał na zegarek. Zbliżało się wpół do ósmej. Otwarcie sądu nastąpi za półtorej godziny.

— W porządku — powiedział do strażniczki. — Zabiorę aresztowaną do rozmównicy i zostanę z nią.

Strażniczka była osobą cyniczną i uważała, że policjanci nie różnią się od innych mężczyzn, zwłaszcza gdy chodzi o atrakcyjną kobietę.

— Jak pan chce, panie oficerze — odparła bezbarwnym tonem. — To pana zmartwienie.

JeriLee odeszła spod celi na miękkich nogach.

Rozmównica była mała. Stało tam kilka stołów i krzeseł, a przy jednej ze ścian długa kanapa. Detektyw podprowadził do niej JeriLee, usiadł naprzeciwko i poczęstował dziewczynę papierosem.

— Nie mogłam tam wejść. Nie wiem, co bym zrobiła — powiedziała, gdy podawał jej ogień.

— Prędzej czy później będzie pani musiała tam wejść. — W jego głosie nie było współczucia, to było stwierdzenie faktu.

— Może sędzia mnie zwolni.

Zamilkł na chwilę. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swojego położenia. Procedury prawne wymyślono tak, aby wszystko opóźnić, a nie przyspieszać.

— Ma pani adwokata? — zapytał. Potrząsnęła głową.

— Zna pani jakiegoś? Ponownie potrząsnęła głową.

— Więc sędzia wyznaczy pani obrońcę z urzędu.

— Czy to dobrze?

— To lepsze niż nic. — Zawahał się. — Jeśli jednak ma pani pieniądze, radziłbym wziąć własnego adwokata. Prokurator okręgowy zgniecie obrońcę z urzędu na miazgę. Zależy mu na dużym sukcesie i nie pójdzie na żadne układy. Potrzebuje pani prawnika z wpływami. Kogoś, kogo prokurator i sąd posłuchają.

— Nie znam nikogo takiego.

— Ja znam. Ale jest drogi — odezwał się Millstein po chwili milczenia.

— Jak drogi?

— Nie wiem.

— Mam trochę pieniędzy. Myśli pan, że zechce ze mną porozmawiać?

— Może.

— Zadzwoń pan do niego?

— Nie wolno mi tego zrobić. Mogę jednak dać pani jego numer. Zastanie go pani teraz w domu. Ma pani prawo do jednego telefonu.

Strażniczka weszła do celi, niosąc tacę z jedzeniem. Siedząca na pryczy JeriLee podniosła wzrok.

— Która godzina?

— Dwunasta — odparła strażniczka, stawiając tacę na stoliku przy ścianie.

JeriLee popatrzyła na nieapetyczne kanapki.

— Nie jestem głodna — stwierdziła.

— Lepiej jednak coś zjeść. Sąd wznowi sesję dopiero o drugiej. Do tego czasu niczego się pani nie dowie.

Strażniczka opuściła celę, zamykając za sobą zakratowane drzwi.

Od wyjścia adwokata minęły już ponad dwie godziny. Był to wysoki, siwowłosy mężczyzna o rumianej twarzy, ubrany w spokojny, ciemny garnitur. Nazywał się Coldwell. W milczeniu wysłuchał jej opowiadania, a gdy skończyła, zadał tylko jedno pytanie.

— Czy mówi pani prawdę? Skinęła głową.

— To ważne. Nie chcę, żeby prokurator wyskoczył z jakąś niespodzianką.

— Przysięgam, że mówię prawdę. Przyglądał jej się przez chwilę.

— Pięć tysięcy dolarów — oznajmił.

— Co?

— Pięć tysięcy dolarów. To moje honorarium.

— Nie mam aż tyle. Podniósł się z krzesła.

— Przykro mi.

— To dużo pieniędzy — zaprotestowała, patrząc na niego.

— A pani ma duże kłopoty — odparł, odwzajemniając jej spojrzenie. — Znalazła się pani w samym środku kalifornijskiej antynarkotykowej obławy roku. Nie będzie łatwo zmusić prokuratora i sędziego, żeby nas wysłuchali.

— Mam w banku około trzech i pół tysiąca dolarów — odrzekła po chwili milczenia. — Resztę będę mogła spłacać, kiedy wrócę do pracy.

Adwokat ponownie usiadł.

— Musimy doprowadzić do zwolnienia pani z aresztu i wycofania oskarżenia. Jeśli wytoczą pani proces i będzie pani musiała stanąć przed ławą przysięgłych, to koniec.

— Nie rozumiem. Przecież powiem im prawdę. To samo, co powiedziałam panu.

— To nie będzie miało żadnego znaczenia. Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, jakie wsioki zasiadają tutaj w ławie przysięgłych. Gdy tylko usłyszą, gdzie pani pracuje, uznają, że jest pani winna. Zgodnie z ich sposobem myślenia wyłącznie niemoralna kobieta może publicznie tańczyć nago.

— Cholera — mruknęła. — Czym się różnią sędziowie przysięgli od mężczyzn, którzy przychodzą mnie oglądać w klubie?

— Ci sami ludzie, którzy przychodzili do klubu, na sali sądowej wystąpią przeciwko pani.

— Więc co zrobimy?

— Muszę się zastanowić — odparł. — Ma pani przy sobie książeczkę czekową?

— Zostawiłam ją w depozycie.

Kiedy po kilku minutach wyszedł, miał jej czek na trzy i pół tysiąca dolarów i weksel na następne półtora tysiąca.

— Proszę spróbować odprężyć się. Wkrótce się z panią skontaktuję.

Wrócił dopiero późnym popołudniem.

— I co? — zapytała JeriLee, gdy zamknięto za nimi drzwi rozmównicy.

— Uzgodniłem sprawę z prokuratorem okręgowym — odrzekł adwokat. — Zgodził się rozpatrzyć pani przypadek oddzielnie i oddalił zarzuty, pod warunkiem, że wystąpi pani jako świadek oskarżenia.

— Co to oznacza?

— To oznacza, że jest pani wolna. Musi pani tylko stawić się na rozprawę i opowiedzieć im to samo co mnie.

— Mogę stąd teraz wyjść?

— Za kilka minut. Najpierw stanie pani przed sędzią, który wyda niezbędny nakaz.

— Więc na co czekamy?

— W porządku — powiedział. — Proszę tylko pamiętać o jednym. Cokolwiek sędzia każe pani zrobić, zgodzi się pani.

Skinęła głową. Adwokat zastukał w drzwi.

— Czy panna Randolph może tu poczekać, kiedy pójde do biura prokuratora, aby go zawiadomić, że jesteśmy gotowi do wystąpienia w sądzie? — zapytał strażniczkę.

Popatrzyła niezdecydowanie na JeriLee.

— To potrwa tylko minutę, obiecuję — dodał szybko. — Oskarżenie przeciwko niej zostało wycofane i chyba spędziła już dość czasu w celi.

— Zgoda. Ale niech się pan pośpieszy. To wbrew przepisom.

— Jestem bardzo wdzięczny. — Zerknął na swoją klientkę. — Zaraz wracam.

JeriLee uśmiechnęła się. Uczucie przerażenia, dręczące ją od dwunastu godzin, wreszcie minęło.

ROZDZIAŁ 20

Coldwell wyprowadził JeriLee tylnym wyjściem i wsadził ją do taksówki.

— Za dzień lub dwa dziennikarze będą znali pani adres — powiedział. — Jeśli nie chce pani, żeby panią niepokoili, radzę się stamtąd jak najszybciej wynieść.

— I tak nie mogę tam dalej mieszkać — odparła. — Właścicielem jest Mike. Co się z nim teraz stanie?

— Sędzia ustalił wysokość kaucji za każdego z nich na sto tysięcy dolarów. Przypuszczam, że do wieczora zostaną zwolnieni.

— Mike nie ma takich pieniędzy.

— Ale ma powiązania z paroma grubymi rybami. Oni troszczą się o swoich ludzi.

Milczała. Wciąż jeszcze trudno jej było w to wszystko uwierzyć.

— Niech pani będzie ze mną w kontakcie — ciągnął Coldwell. — Gdy się pani przeprowadzi, proszę dać mi znać, gdzie mogę panią znaleźć.

Kiedy wróciła do domu, było po piątej. Wchodząc po schodach zauważyła, że drzwi są otwarte. Wydało jej się to dziwne. Dokładnie pamiętała, że je zamknęła, gdy Millstein przypomniał jej o tym. Wolno weszła do środka.

Salon wyglądał jak pobojuwisko: maszyna do pisania roztrzaskana, po całym pokoju rozrzucone zmięte papiery, a w kominku kupka popiołu.

Podniosła z podłogi jedną kartkę. Była nie zapisana. Ogarnęła ją fala przerażenia. Dopadła do kominka i wyciągnęła to, czego ogień nie strawił całkowicie.

Nie myliła się. Cała praca kilku ostatnich tygodni poszła na marne. Scenariusz, który prawie skończyła, spalono.

Podniosła się otepiała i zajrzała do sypialni. Również tam wszystko przewrócono do góry nogami. Zawartość szuflad i szaf leżała w strzępach na podłodze. Było jej to jednak niemal

obojętne. Naprawdę liczyły się tylko słowa, które straciła. Słowa, których już nie odtworzy.

Łzy płynęły jej po policzkach, gdy weszła do łazienki. Wszystkie proszki z apteczki wsypano do umywalki i wanny, a potem zalano je wodą, tak że straciły swoje właściwości. W tym momencie zadzwonił telefon.

Odebrała go w sypialni.

— Halo — powiedziała załamującym się głosem.

— Jane Randolph?

— Tak.

— Tu mówi życzliwy. Dzwonię, żeby ci udzielić małej, przyjacielskiej rady. Wynieś się z miasta. Wyjedź najdalej, jak możesz. Inaczej następną połamaną rzeczą, jaką znajdziesz w swoim mieszkaniu, będziesz ty sama.

— Ale...

Usłyszała sygnał. Ktokolwiek to był, już się rozłączył. Odłożyła słuchawkę i powoli zaczęła robić porządek w pokoju.

Zbliżała się ósma, kiedy przyszła do klubu. Była już prawie przy drzwiach garderoby, gdy dogonił ją kierownik.

— Chwileczkę — powiedział. — Chodź do biura. Poszła za nim korytarzem do klitki, która służyła mu jako gabinet. Starannie zamknął drzwi i zniżył głos do szeptu.

— Nie spodziewałem się ciebie dziś wieczorem. Kiedy cię wypuścili?

— Po południu.

— Mam inną dziewczynę — oznajmił.

— Nie szkodzi. Przyda mi się noc odpoczynku. Przyjdę jutro.

— Nie.

— Co to znaczy, Charlie?

— Dostałem polecenie z góry. Muszę cię zwolnić.

— Żartujesz.

— Nie żartuję. Wyrazili się jasno. Jesteś zwolniona.

— Chyba oszaleli. Wszystkie te bzdury w gazetach tylko przysporzą nam klientów.

— Myślisz, że o tym nie wiem? — jęknął. — Ale to oni tu rządzą. Jeśli nie zrobię tego, co mi każą, fru! Tracę licencję.

— W porządku — stwierdziła. — Są inne miejsca, w których mogę pracować. Tam nie przegapią takiej okazji.

— Janey — odezwał się poważnym tonem. — Jestem dużo starszy od ciebie i powiem ci coś jak ojciec, jak wuj. Miła z ciebie dziewczyna, ale zaplątałaś się w towarzystwo bardzo złych ludzi. Żaden lokal w tym mieście cię nie zatrudni. Radzę ci stąd wyjechać. I to daleko.

— Widzę, że ciebie też postraszyli — odrzekła chłodno.

— Nie mogę się sprzeciwić. Mam rodzinę na utrzymaniu. Zrób, co mówię. Jeżeli będziesz się tu kręcić, może ci się coś przytrafić. Znam tych facetów i wiem, co spotkało parę dziewczyn, które ich nie posłuchały. Nie było to nic przyjemnego.

— Siedziałam w mieszkaniu sama — zaproponowała. — Nie zbliżyli się do mnie.

— Sprawa jest jeszcze świeża — odparł z powagą. — Wierz mi, oni poczekają. Pewnego dnia, kiedy gazety już zupełnie o tobie zapomną, złożą ci wizytę.

— Nie wierzę.

— Uwierz — przekonywał ją szczerze. — Własnej córce nie doradziłbym lepiej. — Otworzył małą szufladę biurka i wyjął z niej kopertę. — Jestem ci winien za jeden dzień — stwierdził. — Miałaś kilka dodatkowych występów, więc daję ci okrągłą stówę. W porządku?

Bez słowa wzięła kopertę.

— Kup sobie za te pieniądze bilet lotniczy dokądkolwiek.

— Dobrze.

Ta setka, plus trzydzieści dolarów w torebce i dwadzieścia, które zostały w banku po opłaceniu adwokata, to było wszystko, co miała. Otworzyła drzwi.

— Dzięki, Charlie.

— Powodzenia, Janey.

Co za interes, pomyślał. Dziewczyny zawsze pakują się w jakieś kłopoty, jak nie takie, to inne.

— Wszystko spieprzyłaś, Jane. — Głos Marca Grossa był szorstki i pełen wyrzutu, jakby to, co się jej przytrafiło, mogło się odbić na nim i jego interesach. — Załatwiłem ci przesłuchania w Warnerze, Twentieth i Paramountie, ale gdy tylko przeczytali wczorajsze gazety, odwołali je.

— Dzisiejsza prasa pisze, że zarzuty przeciwko mnie zostały wycofane.
— To bez znaczenia. Oni nie lubią tego rodzaju reklamy.
— Co z nowelami filmowymi, które porzuciłaś?
— Zaczynają wracać. I to nawet nie pocztą. Tak bardzo chcą się ich pozbyć, że odsyłają je przez specjalnych gońców.
— A ten więzienny film Ansbacha? Mogę w nim jeszcze zagrać?
— Jest już obsadzony. Nie myślałaś chyba, że Ansbach będzie na ciebie czekał bez końca. Było to tylko kilka tygodni, nie spierała się jednak.
— W porządku — odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.
— Ciebie też postraszyli? Oblał się rumieńcem.
— Nie wiem, o czym mówisz.
— Wydaje mi się, że wiesz — odparła spokojnie. — Nikt do ciebie nie zadzwonił i nie powiedział, że byłoby lepiej, gdybyś nie miał ze mną nic wspólnego?
— Bez przerwy dzwonią jacyś dowcipnisie. Nie zwracam na nich uwagi. Milczała przez chwilę, obserwując agenta.
— Jutro odbieram od maszynistki scenariusz — skłamała.
— Przyślę ci go.
Zawahał się i odchrząknął.
— Zastanawiałem się nad tym scenariuszem. Boję się, że nie jest to coś, co mógłbym sprzedać.
— Może go przeczytasz, zanim zdecydujesz?
— Tylko niepotrzebnie zabierałbym ci czas. Uśmiechnęła się ponuro.
— Jesteś parszywym tchórzem, Marc. A co gorsza, jesteś tchórzem, który kłamie. — Podniosła się. — Dam ci znać, gdzie możesz przesłać moje nowele, kiedy do ciebie wrócę.
JeriLee stała przez chwilę na chodniku, nie wiedząc, co ma zrobić. Nagle zobaczyła barek na rogu. Minęła już pora lunchu, więc bez trudu znalazła wolny stolik i usiadła.
— Tylko kawa — powiedziała, gdy podeszła do niej kelnerka.

Była tak pogrążona w myślach, że nie od razu zauważyła mężczyznę, który zajął miejsce naprzeciwko. Kiedy w końcu podniosła wzrok, wyrwał jej się okrzyk zdumienia.

— Detektyw Millstein! Uśmiechnął się nieśmiało.

— Kawa — poprosił kelnerkę.

— Siedzi mnie pan?

— Nieoficjalnie.

— To znaczy?

— Dostałem trochę wolnego, więc pomyślałem sobie, że zobaczę, jak się pani powodzi.

Nie wspomniał o tym, że według pogłosek, jakie do niego dotarły, może być w poważnych tarapatach.

^j— Nie powodzi mi się najlepiej — przyznała. — Straciłam pracę, a teraz jeszcze dowiedziałam się, że mój agent nie chce mnie dłużej reprezentować. Kiedy wczoraj wróciłam do domu, zastałam mieszkanie w ruinie: ubrania podarte, rękopisy spalone. Poza tym miałam telefon. Polecono mi wyjechać z miasta.

— Czy rozpoznała pani głos?

— Nigdy przedtem go nie słyszałam.

— Dlaczego nie zawiadomiła pani policji?

— Czy to by coś dało?

Milczał przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

— Co pani zamierza zrobić?

— Nie wiem — odparła. — Od przytułku dzieli mnie dokładnie sto trzydzieści sześć dolarów. Usiłuję się zdecydować, czy zostać tutaj, opłacić nimi miesięczny czynsz, wynająć jakieś niedrogie mieszkanie i próbować znaleźć pracę, czy za osiemdziesiąt siedem dolarów kupić bilet na samolot do Nowego Jorku.

— Dostanie tam pani pracę? Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Ale przynajmniej nikt nie będzie chciał mi tego uniemożliwić. Co według pana powinnam zrobić?

— Oficjalnie muszę pani polecić tu pozostać. Zobowiązała się pani stawić w sądzie jako świadek.

— Nie śledzi mnie pan służbowo, więc może mi pan powiedzieć, co pan sądzi nieoficjalnie.

- Jeśli powoła się pani na mnie, wszystkiego się wyprę.
- Nie powołam się na pana. Zaczerpnął głęboki oddech.
- Na pani miejscu kupiłbym ten bilet.
- Myśli pan, że ci faceci rzeczywiście zrobią to, co mówią?
- Nie wiem. Ale to naprawdę brutalni ludzie. Wolałbym, żeby pani nie ryzykowała. W żaden sposób nie moglibyśmy pani chronić, chyba że zamknęlibyśmy panią w więzieniu.
- Gdybym chociaż miała trochę pieniędzy, czułabym się lepiej. To okropne wracać tak bez grosza.
- Mogę pani pożyczyć parę dolarów. Pięćdziesiąt, może nawet sto. Żałuję, ale nie stać mnie na więcej. Gliniarz wcale tak dużo nie zarabia.
- Dziękuję, nie — odparła. — Dość już pan dla mnie zrobił. Cholera — podjęła po chwili milczenia. — Akurat kiedy myślałam, że wszystko zaczyna się układać.
- Przykro mi.
- To nie pana wina. Skoro nie jest pan na służbie, czy byłoby to sprzeczne z przepisami, gdyby pomógł pan pewnej znajomej w pakowaniu, a potem może odwiózł ją na lotnisko?
- Nie.
- Zrobi to pan?
- Tak.
- Millstein przyglądał się, jak bagażowy przyczepia do jej walizki etykietkę z nazwiskiem i kładzie ją na stojaku.
- Wyjście dwudzieste trzecie, proszę pani — powiedział bagażowy, biorąc dolara napiwku. — Trzeba już wsiadać. Wyciągnęła rękę do detektywa.
- Dziękuję. Miły z pana człowiek.
- Powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.
- W takim razie jest nas już dwoje.
- Gdyby pani zahaczyła kiedyś o Kalifornię, proszę do mnie zadzwonić.
- Nie odpowiedziała.
- Jest pani jeszcze młoda. Dlaczego nie znajdzie sobie pani jakiegoś miłego młodego człowieka i nie wyjdzie za mąż?
- I usatkuje się, i ma dzieci?
- A co w tym złego? — bronił się Millstein.

— Przypuszczam, że nic. Ale to nie dla mnie.

— Czy sposób, w jaki pani żyje, jest lepszy? Z dnia na dzień, jak zwierzę?

— Dziwny z pana policjant.

— Nic na to nie poradzę. Jestem ojcem. Mam córkę prawie w pani wieku i wciąż myślę o tym, że to samo mogłoby się jej przytrafić.

Niespodziewanie uśmiech rozjaśnił twarz JeriLee i pocałowała Millsteina w policzek.

— Niech pan będzie spokojny. Jej się to nie przytrafi, bo ma takiego ojca.

Położył jej dłoń na ramieniu.

— Proszę, niech pani przyjmie ode mnie trochę pieniędzy.

— Dam sobie radę. Mam przyjaciół. Wszystko będzie dobrze.

— Na pewno?

— Na pewno.

Ze łzami w oczach ruszyła do wyjścia. Przy drzwiach odwróciła się i pomachała mu.

Skinął ręką w odpowiedzi i czekał, dopóki nie zniknęła w tłumie. Zanim włączył silnik w samochodzie, długi czas siedział za kierownicą. Było mu smutno i zupełnie nie rozumiał dlaczego.

Co sprawia, że takie dziewczyny marnują sobie życie? Był ciekaw, co się z nią teraz stanie. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie. Zniknie mu z oczu i więcej o niej nie usłyszy. Jeszcze jedna przegrana w świecie pełnym przegranych.

Mylił się jednak. Usłyszał o niej. Zdarzyło się to rok później, kiedy prawie już zapomniał o jej istnieniu. List przyszedł ze Szpitala Państwowego Creedmore i napisany był ołówkiem, starannym, niemal szkolnym charakterem pisma.

Drogi detektywie Millstein,

Może mnie pan nie pamiętać. Nazywam się Jane Randolph i jestem tą dziewczyną, którą w zeszłym roku odwiózł pan na lotnisko. Był pan bardzo miły i nie zapominałam o tym. Powiedział pan, żebym do pana zadzwoniła, przypomina pan sobie? Nie wróciłam do Kalifornii, ponieważ miałam załamanie nerwowe.

Od sześciu miesięcy przebywam w szpitalu. Czuję się już dużo lepiej i uważam, że jestem w stanie sama zatroszczyć się o siebie. Lekarze zastanawiają się, czy mnie stąd nie wypuścić i bardzo by mi pan pomógł, gdyby zechciał pan napisać do nich o mnie i powiedzieć, że pana zdaniem nic mi nie jest i nie będę więcej sprawiać kłopotów. Jeśli pan nie napisze, zrozumiem, i nadal będę panu wdzięczna za życzliwość, jaką mi pan okazał, kiedy się ostatni raz spotkaliśmy. Pańska przyjaciółka,

Jane Randolph.

Millstein pomyślał o swojej żonie, która umarła przed piętnastu laty, zostawiając go z pięcioletnią córeczką, i o córce, będącej teraz na trzecim roku Kalifornijskiego Uniwersytetu Stanowego. W jakiś sposób ta dziewczyna, Jane Randolph, przypominała mu ją, i może właśnie dlatego tak głęboko go wówczas wzruszyła.

Zaczął pisać list, o który prosiła, ale nagle zawahał się. Co takiego mógłby powiedzieć? Przecież zupełnie jej nie zna. Zmiał papier i wyrzucił go do kosza. Po długiej chwili walki ze sobą sięgnął po słuchawkę.

— Porucznik Collins — odezwał się szorstki głos.

— Dan, czy mógłbym wziąć teraz tydzień urlopu? Mój znajomy leży w szpitalu w Nowym Jorku...

ROZDZIAŁ 21

- Pacjentów można odwiedzać codziennie od siedemnastej do dziewiętnastej — wyjaśniła recepcjonistka bezosobowym tonem.

— Przepraszam — odparł. — Zaledwie wczoraj wieczorem przyjechałem z Kalifornii. Nie wiedziałem.

— Z kim chciał się pan widzieć?

— Z Jane Randolph.

— Jane Randolph — powtórzyła, zerkając na jakiś papier, leżący przed nią na biurku. — Jeśli zechce pan zaczekać, skontaktuję się z jej lekarzem i zobaczę, co się da zrobić.

— Dziękuję — powiedział, siadając na krześle przy oknie, skąd widział ośnieżone drzewa. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni oglądał śnieg. ,

Wciąż się zdumiewał, że naprawdę tu jest. Pamiętał, co powiedziała jego córka, gdy wytłumaczył jej, dlaczego jedzie na Wschód. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i łzy napłynęły jej do oczu.

— Jesteś wspaniały, tato. Po prostu wspaniały.

— Prawdopodobnie jestem tylko starym głupcem. Ta dziewczyna na pewno powysyłała takie listy do wszystkich znajomych.

— To nie ma znaczenia, tato — odparła Susan. — Ona woła o pomoc, a ty odpowiadasz na jej wołanie. Tylko to się liczy.

— Coś w jej liście mnie ujęło. Pamiętam, jaka była przerażona, kiedy ją poznałem.

— Czy była ładna?

— Chyba byłaby, gdyby nie cały ten makijaż.

— Podobała ci się?

— Co masz na myśli?

— Wiesz, co mam na myśli.

— Czy zawsze musi chodzić o coś takiego? — obruszył się. — Przestań się zachowywać jak romantyczny dzieciak. Roześmiała się głośno i pocałowała go w policzek.

— To nie ja jestem romantykiem w tej rodzinie, tato, tylko ty.

Patrzył na mróz na szybach. Może jednak miała rację. Przecież tu przyjechał.

Stała przed nim pielęgniarka w białym mundurku.

— Czy to pan przyszedł w odwiedziny do Jane Randolph? Skinął głową, wstając.

— Proszę za mną. Doktor Sloan chciałby się z panem zobaczyć.

Młody rudobrody mężczyzna w białym kitlu podniósł się z za biurka i mocno uściśnął mu dłoń.

— Doktor Sloan. Jestem lekarzem Jane.

— Al Millstein.

Lekarz bawił się nie zapaloną fajką.

— Recepcjonistka wspomniała, że przyjechał pan z Kalifornii.

Millstein skinął głową.

— Mam nadzieję, że pozwoli mi pan zobaczyć się z Jane. Przykro mi, ale nie znałem godzin wizyt.

— Nie szkodzi. Prawdę mówiąc cieszę się, że przyszedł pan właśnie teraz. Inaczej mógłbym pana nie spotkać. Jest pan krewnym Jane?

— Nie. Tylko znajomym.

— Aha. Długo ją pan znał?

— Właściwie nie. Zaledwie kilka dni.

— Nie rozumiem. Znaliście się tylko kilka dni, a jednak jest pan jedyną osobą, do której napisała, jedyną osobą, z którą próbowała się skontaktować przez cały pobyt tutaj.

— Wiedział pan o liście?

— Zachęcaliśmy ją do pisania. Myśleliśmy, że w ten sposób uda nam się dotrzeć do jej rodziny.

— Chce pan powiedzieć, że nikt jej nie odwiedza, ani przyjaciele, ani krewni?

— Właśnie. O ile nam wiadomo, jest zupełnie samotna. Dopóki nie napisała do pana, nie mieliśmy kontaktu z nikim, kogo zna.

— Chryste.

— Ponieważ pan tu jest, zakładam, że chce pan jej pomóc. Po pierwsze muszę dokładnie wiedzieć, co was ze sobą łączyło.

— Obawiam się, że pana zadziwię, doktorze.

— Pan chyba nie rozumie. W moim zawodzie człowiek uczy się nigdy się niczemu nie dziwić. Przyjąłem już, że byliście kochankami.

Millstein roześmiał się głośno.

— Przykro mi, ale myli się pan, doktorze. Widziałem ją tylko dwa razy i nic takiego między nami nie zaszło. — Zobaczywszy na twarzy lekarza zdumienie, mówił dalej. — Jestem detektywem policji w Santa Monica i miałem z Jane kontakt wyłącznie jako aresztujący ją funkcjonariusz.

— Jeśli to wszystko, dlaczego pan przyjechał?

— Było mi jej żal. Kiedy ją poznałem, wyglądało na to, że wsadzą ją do więzienia za coś, czego nie zrobiła. Nie mogłem stać z założonymi rękami i pozwolić, aby do tego doszło. Gdy dostałem jej list, poczułem się tak samo. Znowu dzieje się z nią coś, na co nie ma żadnego wpływu. Musiałem sprawdzić, czy nie mogę jej w czymś pomóc. Lekarz w milczeniu nabił i zapalił fajkę.

— Napisała w liście, że zastanawiacie się, czy jej nie zwolnić.

— Tak. Odkąd tu jest, nastąpiła naprawdę duża poprawa. Kilka rzeczy nadal nas jednak intryguje. Dlatego się wahamy.

— Co to za rzeczy?

— Zanim do tego dojdziemy, powinien się pan dowiedzieć, dlaczego Jane jest tutaj.

Millstein bez słowa skinął głową.

— We wrześniu zeszłego roku skierowano ją do nas na odtrucie ze Szpitala Ogólnego w East Elmwood. Był to ciężki przypadek nadużywania środków farmakologicznych.

— Jak ciężki?

— Cierpiała na paranoję i halucynacje na skutek jednoczesnego zażywania różnych narkotyków, jak LSD i amfetaminy, oraz środków uspokajających, barbituranów i marihuany. Kiedy ją tu przysłano, miała już na koncie trzy aresztowania, dwa za prostytutkę, jedno za czynną napaść na mężczyznę, który — jak twierdziła — śledził ją i niepokoił, co oczywiście nie było prawdą, lecz typowym objawem wywołanej narkotykami psychozy. Poza tym dwukrotnie usiłowała popełnić samobójstwo. Za pierwszym razem próbowała rzucić się pod wagon metra, ale uratowała ją czujność strażnika. Za drugim przedawkowała barbiturany. Oddział ratowniczy straży pożarnej zrobił jej płukanie żołądka. Znalazła się u nas po ostatnim aresztowaniu. Człowiek, którego zaatakowała, wycofał oskarżenie, nadal miała jednak halucynacje, więc komisja lekarska z East Elmwood skierowała ją do Creedmore. Millstein nie odezwał się.

— Czy kiedy ją pan poznał, coś wskazywało na tego typu problemy? — zapytał Sloan.

- Nie wiem, nie jestem przecież lekarzem. Zauważyłem tylko, że jest nerwowa, ale wtedy bardzo się bała.
- Czy brała wówczas narkotyki?
- Właściwie nie. W Kalifornii zakładamy jednak, że wszyscy młodzi ludzie coś biorą. Jak nie palą trawy, to są na prochach. Jeżeli tylko nie przesadzają, patrzymy na to przez palce. Nie starczyłoby nam miejsca w więzieniach, żeby ich wszystkich pozamykać.
- Cóż, tak czy inaczej problem narkotyków mamy moim zdaniem z głowy, przynajmniej na jakiś czas. Nie wiemy jednak, co się może zdarzyć, kiedy stąd wyjdzie.
- Więc zamierzacie ją zwolnić?
- Będziemy musieli. Za dwa tygodnie ponownie staję przed komisją lekarską. Jestem pewien, że bez trudu uzyska pozytywną opinię.
- Pan jednak nadal nie jest zadowolony?
- Szczerze mówiąc nie. Wydaje mi się, że nie dotarliśmy do rzeczywistego problemu. Wciąż nie wiemy, co ją do tego wszystkiego pchnęło. Dlatego próbowaliśmy się skontaktować z jej przyjaciółmi lub rodziną. Byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że ma dokąd pójść i że ktoś się nią zaopiekuje. Chciałbym, aby poddała się terapii psychoanalitycznej.
- A jeśli tego nie zrobi?
- Będzie żyła pod taką samą presją jak poprzednio. Może się znowu stoczyć.
- Millstein pomyślał, jakim był głupcem sądząc, że potrafi jej pomóc. Powinien był wysłać list i o wszystkim zapomnieć. Nie jest Panem Bogiem. Nie może nikogo powstrzymać od pójścia własną drogą do piekła.
- Czy kiedykolwiek wspominała panu o JeriLee? — zapytał lekarz.
- Nie. Kto to jest?
- Była siostrą Jane. Czymś w rodzaju bożyszczka, tak przypuszczam. Oczkiem w głowie całej rodziny. Jane jednocześnie kochała ją i nienawidziła jej. Typowy przypadek ambiwalencji uczuć. Problemy Jane wynikały częściowo stąd, że chciała być JeriLee i nie mogła. Zanim zdała sobie sprawę, że właśnie tego pragnie, zaszła już zbyt daleko w innym kierunku i nie potrafiła wrócić.

— Czy próbowaliście odnaleźć jej siostrę?

— Moglibyśmy to zrobić tylko za pośrednictwem Jane, a ona twierdzi, że JeriLee nie żyje. — Popatrzył na detektywa.

— Nie mamy tu możliwości przeprowadzenia dochodzenia na temat każdego pacjenta.

— Chce pan powiedzieć, że nie wierzy pan w tę historię?

— Ani wierzę, ani nie wierzę. Po prostu nie wiem.

— Rozumiem. — Millstein powoli pokiwał głową. — Czy mogę się z nią teraz zobaczyć?

— Oczywiście. — Lekarz nacisnął przycisk na biurku. Dziękuję, że pan przyszedł i porozmawiał ze mną.

— To ja dziękuję, panie doktorze. Mam nadzieję, że się na coś przydałem.

— W moim zawodzie wszystko się przydaje — odparł lekarz, gdy do gabinetu weszła pielęgniarka. — Proszę zabrać pana Millsteina do pokoju odwiedzin i przyprowadzić tam Jane — polecił. — Jeszcze jedno — zwrócił się do detektywa.

— Niech się pan postara nie okazywać zdziwienia, kiedy ją pan zobaczy. Proszę nie zapominać, że właśnie przeszła leczenie farmakologiczne i elektryczną terapię wstrząsową, co zwalnia reakcje i powoduje czasową amnezję. Kuracji zaprzestano, ale jej skutki utrzymają się jeszcze przez kilka dni.

— Będę o tym pamiętał, panie doktorze.

Pokój odwiedzin był mały, ale wygodnie urządzone. W oknach wisiały zasłony w wesołe wzory. Weszła niepewnie, na wpół chowając się za pielęgniarkę.

— Jane, to ten miły pan Millstein przyszedł się z tobą zobaczyć — oznajmiła pielęgniarka zawodowo pogodnym tonem.

— Cześć, Jane — powiedział, zmuszając się do uśmiechu. Była szczupła, dużo szczuplejsza niż pamiętał. Miała długie, ale starannie uczesane włosy, a z wymizerowanej twarzy patrzyły na niego ogromne oczy.

— Miło cię znowu widzieć — dodał.

Przez chwilę przyglądała mu się, najwyraźniej go nie poznając. Potem w jej źrenicach zapaliło się światło i uśmiechnęła się niepewnie.

— Detektyw Millstein.

— Tak.

— Mój przyjaciel, detektyw Millstein. Mój przyjaciel. Zrobiła krok w jego stronę i łzy napłynęły jej do oczu.

— Mój przyjaciel, detektyw Millstein.

— Tak Jane. Jak się masz?

Ujęła go za rękę i przycisnęła ją do twarzy.

— Przyszedł pan, żeby mnie stąd zabrać? Jak ostatnim razem?

Coś ścisnęło go za gardło.

— Tak, Jane. Rozumiesz jednak, że to musi trochę potrwać.

— Czuję się już lepiej. Widzi to pan, prawda? Nigdy więcej nie będę robić takich głupstw. Jestem zupełnie wyleczona.

— Wiem o tym, Jane — odrzekł uspokajającym tonem. — Wkrótce cię wypuszczą.

Oparła głowę na jego piersi.

— Mam nadzieję. Nie podoba mi się tutaj. Oni czasem sprawiają ból.

Pogładził ją po włosach.

— To dla twojego dobra. Byłaś bardzo chora.

— Wiem, że byłam chora. Ale nie leczy się ludzi zadając im jeszcze większy ból.

— Już po wszystkim — zapewnił ją. — Doktor Sloan mówił mi, że skończyli kurację.

— Dostał pan mój list?

— Właśnie dlatego przyjechałem.

— Jest pan moim jedynym przyjacielem. Oprócz pana nie miałam do kogo napisać.

— A JeriLee?

W jej oczach pojawił się przestach.

— Wie pan o JeriLee? — wyszeptwała.

— Tak. Doktor Sloan mi powiedział. Dlaczego nie napisałaś do niej?

— Doktor nie powiedział panu, że ona nie żyje?

— Naprawdę nie żyje? Skinęła głową.

— Czy była ładna?

Podniosła ku niemu wzrok. Oczy jej błyszczały.

— Była piękna. Wszyscy ją kochali. Wszyscy troszczyli się o nią. I była taka zdolna, że mogła osiągnąć wszystko, czego pragnęła. Jeśli ona była w pobliżu, nie zauważało się innych ludzi. Kiedyś byliśmy ze sobą bardzo blisko, ale potem odsunęliśmy się od siebie i gdy zaczęłam jej szukać, było już za późno. Odeszła.

— Jak to się stało?

— Co?

— Dlaczego umarła?

— Popelniła samobójstwo — wyszeptała dziewczyna.

— W jaki sposób?

Na jej twarzy odmalowała się udręka.

— Wzięła proszki, rzuciła się pod pociąg albo skoczyła z mostu — krzyknęła pełnym bólu głosem. — Co za różnica, jak umarła? Liczy się tylko to, że już jej nie ma i nie mogę jej odzyskać.

Przytulił ją do siebie. Szlochała mu konwulsyjnie na piersi. Przez bawełnianą sukienkę czuł jej drobne, sterczące kości.

— Nie chcę o niej więcej rozmawiać.

— W porządku. Nie będziemy o niej mówić.

— Muszę się stąd wydostać — powiedziała. — Inaczej naprawdę zwariuję. Nie ma pan pojęcia, jak tutaj jest. Na nic nam nie pozwalają. Traktują nas gorzej niż zwierzęta.

— Wkrótce cię wypuszczą.

— Chcę wrócić do pracy. Znam agenta, który załatwi mi posadę tancerki, kiedy stąd wyjdę.

Przypomniawszy sobie o maszynie do pisania, którą widział w jej mieszkaniu i o scenariuszach, odsyłanych — jak mówiła — przez agenta.

— Co z twoim pisaniem? — zapytał.

— Z jakim pisaniem? — zdziwiła się. — Musiało się panu coś pokręcić. To nie ja byłam pisarką, tylko JeriLee.

ROZDZIAŁ 22

Policjanci często spędzają czas na cofaniu się w przeszłość innych ludzi, na odtwarzaniu ich kroków od grobu do kołyski. Był to zwyczaj, jakiego Millstein nabrał z biegiem lat.

Po rozmowie z Jane wrócił do gabinetu Sloana.

— Nie spodziewałem się pana — stwierdził lekarz ze zdziwieniem w głosie.

— Powiedział pan, doktorze, że nie jesteście w stanie przeprowadzać szczegółowego dochodzenia na temat każdego z pacjentów, i że pana zdaniem czasami byłoby to bardzo pomocne.

— Tak, powiedziałem coś takiego.

— Myśli pan, że gdyby wiedział pan o Jane więcej, być może byłby pan w stanie więcej dla niej zrobić?

— Tak sędzę.

— Dostałem tydzień urlopu. Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym panu pomógł?

— Byłbym panu bardzo wdzięczny. Wiemy o Jane tak mało, że wszystko, co pan odkryje, będzie krokiem naprzód.

Ma pan jakieś sugestie?

— Tak. Wolałbym jednak poczekać, aż dowiem się czegoś pewnego, zanim się nimi z panem podzielę.

— Rozumiem. Co ja mogę zrobić?

— Może mi pan pokazać jej skierowanie.

— Proszę bardzo.

Millstein szybko przeczytał dokument. Nie zawierał on zbyt wielu informacji. Popatrzył na lekarza.

— Gdzie znajdę szczegóły tej sprawy?

— Musiałby się pan cofnąć do źródła. W tym przypadku — do Szpitala Ogólnego w East Elmwood. Przedtem są sądy i policja, ale te dane może pan uzyskać tylko z kartotek East Elmwood.

Opuściwszy szpital, Millstein pojechał do hotelu i wyciągnął się na łóżku. Skutki zmiany strefy czasowej w końcu dały o sobie znać. Kiedy się obudził, zbliżała się pora kolacji.

Spojrzał na zegarek. W Kalifornii minęła czwarta. Jego córka powinna już była wrócić z uczelni.

Usłyszał w słuchawce jej radosny głos.

— Widziałeś ją, tato? — zapytała.

— Tak.

— Jak się czuje?

Zamknął wszystko w jednym słowie.

— Jest smutna.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

— Nie wiem, czy uda mi się wyrazić to jasno, ale ona tak jakby podzieliła się na dwie osoby i jedna z tych osób umarła.

— Biedactwo. Możesz jej jakoś pomóc? Ucieszyła się, że cię widzi?

— Nie wiem, czy mogę jej pomóc. Tak, myślę, że się ucieszyła. Wiesz, Susan, co mi powiedziała? Że jestem jej jedynym przyjacielem. Wyobrażasz sobie? A przecież ledwo się znamy.

— Nie mieści mi się w głowie, że ktoś może być aż tak samotny. Mam nadzieję, że uda ci się jej pomóc, tato.

Spróbujesz, prawda?

— Tak.

— Jestem z ciebie bardzo dumna.

Szpital stał w oddaleniu od okolicznych budynków. Po drugiej stronie ulicy znajdował się mały park, a na rogu, naprzeciw dużej jadłodajni, wisiał szyld reklamujący śniadania za sześćdziesiąt pięć centów. Millstein zatrzymał się na betonowych schodach, przysłuchując się rozmowom ludzi wchodzących do szpitala i wychodzących stamtąd. Większość z nich mówiła po hiszpańsku. Nie z miękkim meksykańskim akcentem, do którego był przyzwyczajony, niemniej jednak językiem biedaków.

Kilka minut później siedział przed biurkiem dyrektor Poole w małym gabinecie na dziewiątym piętrze. Aby się tam dostać, musiał przejść przez zakratowane drzwi, które oddzielały areszt dla psychicznie chorych kobiet od reszty oddziału.

Pani Poole była przystojną Murzynką w średnim wieku,

miała ciepły uśmiech i życzliwe, wyraziste oczy. Popatrzyła na kopię skierowania Jane, którą dał Millsteinowi doktor Sloan.

— Jane Randolph? — zapytała z zakłopotaniem w głosie. — Mamy tu tyle dziewcząt.

Skinął głową.

Podniosła słuchawkę telefonu. Po chwili młoda umundurowana policjantka przyniosła teczkę z aktami.

— Myślę, że właśnie tego pan szuka — stwierdziła pani Poole.

W rogu teczki wpisano na maszynie imię i nazwisko. Jane Randolph. Poniżej widniały numer i data. Akta pochodziły sprzed pięciu miesięcy.

— Czy mogę zrobić notatki?

— Oczywiście. Jeśli nie będzie pan rozumiał jakiś skrótów, z przyjemnością je panu wyjaśnię.

Rozłożył teczkę na biurku i wyjął mały notes. Większość informacji nie była skomplikowana. Opis aresztowania, nazwisko policjanta, który go dokonał, zarzuty. Wynotował najważniejsze dane. Dopiero gdy dotarł do ostatniej strony, zbiły go z tropu nieczytelne skróty.

— Proszę pani? — odezwał się pytającym tonem, podając kartkę dyrektorze.

— To jest raport dotyczący pacjentki i przebiegu leczenia w naszym zakładzie. Krótko mówiąc, została przyjęta w stanie silnego pobudzenia i wzburzenia spowodowanego nadużywaniem środków farmakologicznych, które wywoływały halucynacje. Miała „złą podróż” — wyrażając się prościej. Trzymaliśmy ją w kaftanie bezpieczeństwa i podawaliśmy leki uspokajające przez cały pobyt tutaj, ponieważ miała nawroty halucynacji i mogłaby zrobić krzywdę sobie albo komuś innemu. Drugiego dnia powiadomiono nas, że oskarżenie przeciwko niej zostało wycofane. Przestała więc nam podlegać i wystąpiliśmy do sądu o nakaz przeniesienia. Następnego ranka zabrano ją do Creedmore na dalsze leczenie.

— Rozumiem. Czy może mi pani powiedzieć o niej coś więcej?

— Przykro mi. To tylko jedna z wielu osób, jakie się tutaj przewijają i nie była u nas na tyle długo, abyśmy mogli wydać jakąkolwiek opinię.

— Dziękuję pani za pomoc.

— Żałuję, że nie potrafię udzielić panu bardziej szczegółowych informacji. — Podała mu rękę na pożegnanie.

Wracając do miasta, przestudiował w taksówce notatki. Może dowie się czegoś więcej w Komisariacie Midtown North. Tamtejsza policja powinna ją przynajmniej pamiętać. Wszystkich jej aresztowań dokonano w tej dzielnicy.

— Niech pan przyjdzie o jedenastej wieczorem i porozmawia z sierżantem Riordanem, szefem naszej sekcji cipek — poradził mu oficer dyżurny. — On panu o niej opowie. Zna każdą dupę w okolicach Broadwayu.

Kiedy po jedenastej wrócił do komisariatu, znalazł sierżanta Riordana na korytarzu pod celami kobiecymi z kartonowym kubkiem kawy w ręku. Był to wysoki mężczyzna zbliżający się do czterdziestki.

— Co pana tu sprowadza? — zapytał, gdy Millstein powiedział mu, że szuka informacji o Jane Randolph. — Zabiła kogoś?

— Dlaczego pan tak mówi? Pamięta ją pan?

— Oczywiście, kurwa, że ją pamiętam. Praktycznie za każdym razem, kiedy ją zamykaliśmy, urządziła rozróbę. Zawsze była czymś naszprycowana i miała odjazdy. Wszystkich to wkurzało, więc powiedziałem moim chłopakom, żeby udawali, że jej nie widzą, jeżeli się gdzieś na nią natkną. Mamy tu dość kłopotów bez takich wariatek.

— Czy kiedykolwiek mówiła o sobie albo o swojej rodzinie?

— A kto by tam z nią gadał. Powiedziałem panu, że była świrnięta. To, co mówiła, nie miało żadnego sensu. Zawsze ją ktoś ścigał. Ktoś, kto chciał ją zabić. Ostatnim razem kiedy ją wsadziliśmy, pobiła jakiegoś Bogu ducha winnego turystę i roztrzaskała mu aparat fotograficzny. Wrzeszczała, że to płatny morderca, który przyjechał z Los Angeles, żeby ją sprzątnąć. Biedny sukinsyn był z Peorii i dokumentnie zgłupiał ze strachu. Myślę, że złapał najbliższy autobus do domu. Nie pokazał się, żeby złożyć skargę.

— A kiedy indziej? Mówiła coś wtedy?

— Gdy pierwszy raz ją przymknęliśmy, zgarnął ją jeden z moich chłopców przebrany za turystę. Zaczepiła go na

Pięćdziesiątej Czwartej Wschodniej, między Madison i Piątą Aleją. Zapytała, czy ma ochotę na masaż za dwadzieścia dolców w swoim pokoju hotelowym. Nie zatrzymał się. Żadne prawo nie zabrania robienia masażu. Poszła za nim i zaproponowała, że za dychę ekstra może mu tak obciągnąć, że mu uszy odpadną. Powiedziała, że masaż robi kiepsko, ale jest za to najlepszą mineciarą na świecie. Wydawało mu się to zabawne i nawet nie miał zamiaru jej zwijać, bo według niego wcale nie wyglądała na prostytutkę. Pomyślał, że po prostu mała jest akurat bez forsy. Podpuścił ją. A może darujmy sobie masaż i od razu przejdziemy do obciągania za dziesięć dolców? — zapytał i zaczął się oddalać. Pobieгла za nim. Ty tani gnoju — mówi i wali go w zęby. Więc nie pozostało mu nic innego jak ją zgarnąć.

Wypełniamy formularz i zabieramy ją do celi, w której trzymamy wszystkie kurwy, dopóki nie wyprawimy ich do miasta. Jeden rzut oka i wpada w szal. Nie wsadzicie mnie do klatki jak małpę — wrzeszczy, kiedy pchamy ją w drzwi. Za minutę w celi jest kotłowanina. W końcu udaje się nam ją wyciągnąć spod kupy najtwardszych babsztyli, jakie pan kiedykolwiek widział, pakujemy ją w kaftan i wrzucamy do izolatki. Byliśmy szczęśliwi, gdy odesłaliśmy ją nocnym transportem do miasta.

— Co się z nią wtedy stało?

— Nie mam pojęcia. Słyszałem, że wyszła za kaucją, ale nie jestem pewien. Kiedy już trafią do miasta, tracimy je z oczu.

— Przez „miasto” rozumie pan sąd doraźny?

— Tak.

— A następne aresztowanie?

— To zabawna historia. Zgarnęliśmy ją z salonu masażu o nazwie Wyjście, razem z trzema innymi dziewczynami i siedmioma facetami.

— Nie wiedziałem, że robicie naloty na salony masażu.

— Nie robimy. To było coś innego. Kręcili film porno. W środku nagrzało się od reflektorów, więc otworzyli okna. Wezwał nas ktoś z sąsiadów.

— W jakim była wtedy stanie?

— Naćpana, zupełnie nie kontaktowała. Darła się tylko do policjantów, żeby przyszli ją zerznąć i nie przestawała się zabawiać dużym wibratorem.

— Co się z nią stało tym razem?

— Jakiś sprytny adwokat wyciągnął ich wszystkich. Przyczepił się do tego, że nakaz rewizji wystawiony był nieprawidłowo. — Riordan potrząsnął głową. — Siedzę w tej robocie od sześciu lat i co z tego mam? Gówno. Żadnego uznania. Każdy chce tylko wiedzieć, czy często dają mi dupy.

— Zastanawiałem się nad tym. Często dają? Riordan nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

— Wy, małomiasteczkowi gliniarze, wszyscy jesteście tacy sami. Tyle, ile można bez ryzyka, co nie zmienia faktu, że to parszywa robota.

— Lepsza niż szlifowanie bruków na patrolach ulicznych — stwierdził Millstein, podając mu rękę. — Dziękuję, sierżancie.

— Zawsze do usług. Dokąd pan teraz pójdzie? Do sądu? Millstein skinął głową. Riordan napisał na kartce jakieś nazwisko.

— Pracuje tam mój szwagier. Nazywa się Jimmy Loughan. Niech mu pan powie, że rozmawiał pan ze mną. Załatwi panu wszystko, co pan chce.

ROZDZIAŁ 23

- Na prawo. Apartament numer 17 B — powiedział mu windziarz.

Doszedł do końca wyłożonego zielonym dywanem korytarza i nacisnął dzwonek. Ze środka dobiegło go przytłumione brzęczenie.

Drzwi otworzyła szczupła blondynka.

— Chciałbym się widzieć z panią Lafayette. Nazywam się Millstein.

— Pani oczekuje pana. Proszę wejść.

Wszedł za dziewczyną do eleganckiego, urządzonego całkowicie na biało mieszkania.

— Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję.

— Powiem pani Lafayette, że pan przyszedł. Widywał takie wnętrza tylko na filmach. Rozległy taras za oknami, pełen roślin doniczkowych i karłowatych drzewek, wyglądał jak miniaturowy ogród na niebie. Na białym fortepianie stały dwie fotografie w srebrnych ramkach. Z jednej patrzyła twarz przystojnego młodego Murzyna o ustach rozchylonych w ciepłym uśmiechu. Było w nim coś znajomego i detektyw uświadomił sobie, że już go gdzieś widział, nie miał jednak pojęcia gdzie. Drugie zdjęcie przedstawiało małego, mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, stojącego obok siwowłosej kobiety przed białym drewnianym domkiem. Miękki biały dywan stłumił odgłos kroków.

— Pan Millstein?

Starał się nie okazywać zaskoczenia, gdy odwróciwszy się zobaczył, że jest Murzynką. Była wysoka i od razu wyczuł w niej siłę. Nagle skojarzył jej nazwisko. Już wiedział, kim jest młody mężczyzna z fotografii.

— Pani Lafayette. — Wskazał ramkę. — Czy to pani mąż?

— Tak. Na drugim zdjęciu jest mój syn i moja matka.

— Córka ma kilka płyt pani męża. Nawet mnie się podoba, jak on śpiewa. Nie doprowadza mnie do szału jak niektórzy.

— Fred śpiewa ładnie, ale chyba nie dlatego chciał się pan ze mną spotkać. Powiedział pan, że ma pan dla mnie wiadomości o Jane Randolph. — Należała do ludzi, którzy od razu przystępują do rzeczy. — Jest pan przyjacielem Jane? — zapytała.

Skinął głową, a zobaczywszy wyraz jej twarzy, dodał:

— Wątpi w to pani?

— Trudno mi uwierzyć, że policjant może być jej przyjacielem. Zwłaszcza taki, który przyjeżdża aż z Kalifornii, żeby się czegoś o niej dowiedzieć.

Wyjął z kieszeni list Jane i bez słowa wręczył go kobiecie. Przeczytała szybko i podniosła wzrok.

— Co się stało?

— Właśnie usiłuję to wyjaśnić.

Pokrótce opowiedział jej, co wie, i wytłumaczył, że

urzędnik w nocnym sądzie podał mu jej nazwisko jako osoby, która wpłaciła kaucję, gdy aresztowano Jane po raz pierwszy. Spojrzenie Murzynki dziwnie złagodniało.

— Co z nią teraz będzie?

— Nie wiem. Lekarz powiedział mi, że za dwa tygodnie Jane ponownie stanie przed komisją lekarską. Zastanawiają się, czy jej nie wypisać, ale niepokoi go, jak ona sobie poradzi po wyjściu ze szpitala.

— Cholera, biedna JeriLee.

— JeriLee?

— To jej prawdziwe imię. Nie wiedział pan o tym?

— Jedyne JeriLee, o której wspominała, była — jak twierdziła — jej siostrą.

— Ona nigdy nie miała siostry. Nazywa się JeriLee Randall. To ja wymyśliłam dla niej pseudonim Jane Randolph, gdy została tancerką. Nie chciała, żeby ludzie w biznesie wiedzieli, że tańczy topless. Bała się, że jeśli wyjdzie na jaw, co robi, już nigdy nie potraktują jej poważnie jako pisarki i aktorki.

— Czy była dobra?

— Nie znam się na tym — odparła pani Lafayette. Wiem jednak, że za swoje aktorstwo zdobyła kiedyś nagrodę Tony, a innym razem wystawiono jej sztukę. Spektakl nie dotarł wprawdzie na Broadway, ale musiała coś w sobie mieć. Pisała bez przerwy. Dlatego pracowała jako tancerka — żeby mieć w dzień czas na pisanie.

— Czy kiedykolwiek rozmawiała z panią o jakiejś rodzinie?

— Ma matkę, ale są ze sobą skłócone. Nigdy się w niczym nie zgadzały.

— Gdzie mieszka jej matka?

— W jakimś miasteczku na Long Island. Mój mąż zna adres. Mogę się dowiedzieć.

— Bardzo by mi pani pomogła.

— Więc wieczorem będę go dla pana miała. Mąż jest teraz w drodze do Miami na jakieś spotkanie.

— Czy widziała pani Jane po zapłaceniu za nią kaucji?

— Tego samego dnia zabrałam ją na lunch. Zapropono wałam, że jej pomogę, ale nie zgodziła się. Stwierdziła, że zwróci mi kaucję, którą wyłożyłam, gdy tylko zdobędzie

pieniądze. Powiedziałam, że moim zdaniem robi głupio, żyjąc w taki sposób, i że dam jej pieniądze, aby mogła pisać, bez żadnych zobowiązań. Odmówiła jednak zdecydowanie.

— Dlaczego według pani tak postąpiła?

— Ponieważ byliśmy kiedyś kochankami. I pewnie mi nie uwierzyła, kiedy powiedziałam „bez zobowiązań”.

— Jane jest lesbijką?

— Nie. Ja owszem. Ona nie. Byłoby prościej, gdyby nią była. Ona jest biseksualistką. Długo to trwało, zanim zrozumiałam, że reaguje na nasz seks czysto fizycznie. Ze mną nigdy tak nie było. Naprawdę ją kochałam.

— Czy nadal byłaby pani skłonna jej pomóc, gdyby Jane tego chciała?

Tak, ale ona nie przyjmie mojej pomocy.

— Skąd ta pewność?

Bo ją znam. Jest zwariowana na punkcie wolności i niezależności. Nie przyjmuje nic od nikogo, ani od mężczyzny, ani od kobiety. Z tego samego powodu opuściła bogatego męża. Do wszystkiego chce dojść samodzielnie i zdobyć za to uznanie.

Millstein nie odezwał się.

— Proszę posłuchać. Wiedziała, gdzie mnie szukać. Wystarczyłby telefon, żebym przyjechała o każdej porze dnia i nocy. I niech pan patrzy, jaką drogę wybrała, zamiast do mnie zadzwonić.

Już raz do pani zadzwoniła. Może zrobi to znowu.

— Dwa razy — sprostowała kobieta. Jej duże czarne oczy patrzyły gdzieś w dal. — Trzeciego nie będzie.

Po raz pierwszy od przyjazdu na Wschód miał dobre samopoczucie. Może z powodu jazdy autostradą wynajętym samochodem. Gdyby nie ośnieżone pola ciągnące się po obu stronach, Long Island Expressway mogłaby być kalifornijską szosą przelotową. Skreślił przy drogowskazie na Port Clare.

Piętnaście minut później zatrzymał się pod domem Randallów.

Wyglądał na wygodny, a sąsiedztwo na przyzwoite. Musieli tu mieszkać dobrze sytuowani ludzie należący do klasy średniej.

Różnił się od pozostałych domów tylko tym, że zasłony w oknach były zaciągnięte, a podjazd i chodnik od frontu pokryte śniegiem. Robił wrażenie pustego.

Millstein wysiadł i brnąc w śniegu podszedł do frontowych drzwi. Nacisnął dzwonek. Dźwięk rozległ się echem w domu, ale nikt nie otworzył. Odwrócił się, słysząc za sobą jakiś samochód.

Przy krawężniku zaparkował wóz policyjny. Młody funkcjonariusz wystawił głowę przez okno.

— Co pan tu robi?

— Szukam pani Randall.

— Nie ma jej w domu.

Millstein zawrócił przez śnieg na chodnik.

— Widzę. Wiecie, gdzie ją mogę znaleźć?

— Nie.

— Pojawiliście się tutaj dwie minuty po mnie. Musicie mieć niezły system.

— To małe miasto. Ktoś z sąsiadów zawiadomił nas, gdy tylko zatrzymał pan samochód.

— Może moglibyście mi pomóc.

Wyjął z kieszeni portfel i pokazał policjantowi swoją odznakę.

— Tak jest, sir — odparł tamten z szacunkiem.

— Muszę odnaleźć panią Randall. To bardzo ważne.

— Obawiam się, że nie ma pan szczęścia. Dwa miesiące temu wyszła ponownie za mąż i popłynęła w jeden z tych długich rejsów. Wrócą dopiero latem.

— Och.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie, dziękuję.

Detektyw Millstein zamknął mały czarny notes i schował go z powrotem do kieszeni.

— Więc tak to wygląda, panie doktorze. To wszystko.

— Nigdy nie wierzyłem w tę historię o siostrze.

— Ani ja.

— Ona próbowała popełnić nie samobójstwo, lecz morderstwo. Chciała zabić swoje marzenia. Zaczęła czuć, le ulem, jaki ma, uniemożliwia jej życie w tym samym świecie co inni

ludzie. Społeczeństwo starało się na siłę wtłoczyć ją w szablon, do którego nie pasowała. Pozostało jej tylko zabić JeriLee. Potem wszystko by się ułożyło.

— Bije mnie pan na głowę, doktorze — stwierdził Millstein. — Co z nią teraz będzie?

— Opuści szpital — odparł ponuro lekarz. — Nie mamy powodu, aby ją tu dłużej trzymać. Nie jest dla nikogo niebezpieczna. Wyszła z narkotyków, a właśnie po to ją tu skierowano. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Nie jesteśmy w stanie dać jej tego, czego potrzebuje teraz.

— A jeśli znowu wpadnie w nałóg?

— Wówczas znowu trafi do nas.

— Tym razem jednak może się naprawdę zabić.

— Owszem. Ale, jak powiedziałem, nie możemy nic na to poradzić. Szkoda, że nie ma nikogo, komu zależałoby na niej na tyle, że nie spuszczałby jej z oka. Ona potrzebuje przyjaciół bardziej niż czegokolwiek innego. Odcięła się jednak od wszystkich. — Milczał przez chwilę, patrząc na detektywa. — Oprócz pana.

Millstein poczuł, że się rumieni.

— Czego pan w związku z tym ode mnie oczekuje? — zapytał niemal wojowniczym tonem. — Ledwo tę dziewczynę znam.

— Tak było w zeszłym tygodniu. Teraz prawdopodobnie wie pan o niej więcej niż ona sama.

— Nadal jednak nie wiem, co mógłbym dla niej zrobić.

— Mógłby pan uratować jej życie. Millstein nie odpowiedział.

— Nie będzie to wymagało wielkiego wysiłku. Zapewni jej pan tylko bezpieczeństwo, a wówczas sama się odnajdzie.

— To szaleństwo.

— Nie takie znowu szaleństwo. Musi coś być między, wami. Napisała do pana i pan przyjechał. Nie musiał pan. Mógł pan wysłać list albo w ogóle nic nie robić. W tej chwili jest pan prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, której ona całkowicie ufa.

— Panie doktorze, myślę że jednego z nas powinno się zamknąć w zakładzie. — Milczał przez moment, potrząsając głową. — Albo może obu.

ROZDZIAŁ 24

Millstein wrócił do domu z popołudniowego obchodu. Zatrzymał się w przedpokoju, nasłuchując znajomego stukotu maszyny do pisania. Nie usłyszawszy go, wszedł do salonu, gdzie jego córka czytała książkę.

— Gdzie JeriLee? — zapytał.

— U psychoanalityczki.

— Myślałem, że chodzi tam we wtorki i piątki — zdziwił się.

— To wyjątkowa sprawa.

— Stało się coś złego?

— Nie, tato. Coś dobrego. Dostała wiadomość od adwokata z Nowego Jorku, któremu za radą lekarki posłała swoją powieść. Książką zainteresował się jakiś wydawca i chcą jej przesłać pieniądze na bilet, żeby przyjechała z nimi porozmawiać.

— Hmm — mruknął ojciec. — Znam tych nowojorskich adwokatów. Lepiej sprawdzę, co to za jeden. Jak się nazywa?

Susan wybuchnęła śmiechem.

— Paul Gitlin. Przestań być taki nadopiekuńczy, tato. Powiedziała mi, że on reprezentuje takie sławy jak Irving Wallace i Guy Talese.

— Nie jestem nadopiekuńczy. Od jej wyjścia ze szpitala minęło dopiero pół roku.

— I popatrz, czego przez te pół roku dokonała. Miesiąc po przyjeździe podjęła pracę jako telefonistka na nocnej zmianie, żeby w ciągu dnia móc pisać i chodzić do psychoanalityka. Napisała dwa oryginalne scenariusze, z których jeden kupił Universal, a teraz prawie skończyła powieść. Nie możesz tego nie doceniać, tato.

— Ależ doceniam. Po prostu nie chcę, żeby się wykończyła.

— Nic jej nie będzie, tato. To nie ta sama kobieta, którą przywiozłeś do domu. Jest piękna. Zewnętrznie i w środku.

— Naprawdę ją lubisz?

Susan skinęła głową.

— Cieszę się. Niepokoilem się, jak na to zareagujesz.

— Muszę przyznać, że początkowo byłam zazdrosna. Zrozumiałam jednak, jak bardzo ona nas potrzebuje. Jak dziecko aprobaty. A potem patrzyłam, jak rośnie na moich oczach, jak wykluwa się z niej kobieta. To mnie zbiło z nóg. Jakbym oglądała jeden z tych filmów nakręconych kamerą do zdjęć przyspieszonych, w których róża wypuszcza pączki i rozkwita w ciągu kilku sekund. To wyjątkowa kobieta, tato. A ty jesteś wyjątkowym człowiekiem, bo to zauważyłeś.

— Napiłbym się czegoś.

— Zrobię ci drinka.

Po chwili wróciła ze szklanką whisky z lodem.

— To mi dobrze zrobi — stwierdził.

— Ciężki dzień?

— Zwyczajny. Po prostu długi.

Przyglądała się, jak opada na swój ulubiony fotel.

— Wiesz, że wkrótce nas opuści, prawda, tato? — zapytała cicho.

Bez słowa skinął głową.

— Zrobiłeś to, co powiedziałeś. Pomogłeś jej odnaleźć siebie. Jest już silna. Nauczyła się chodzić. Teraz chce latać. Można podtrzymać dziecko, stawiające pierwsze kroki, ale latania każdy uczy się sam. Będziesz się musiał przyzwyczaić do tej myśli, tato. Któregoś dnia przyjdzie kolej na mnie.

— Wiem o tym — odparł ochrypłym głosem.

— Kochasz ją, prawda?

— Chyba tak.

— Dziwne, przeczuwałam to już wtedy, gdy mi powiedziałeś, że lecisz na Wschód, żeby się z nią zobaczyć. Wiesz, że ona też cię kocha. Ale nie w ten sam sposób.

— Wiem.

— Przykro mi, tato. — W kącikach jej oczu błysnęły łzy. — Nie wiem, czy to cokolwiek pomoże, ale moim zdaniem jest coś, co powinieneś zrozumieć. JeriLee nie jest taka jak reszta ludzi. Jest zupełnie inna. Nigdy nie będzie w stanie kochać w taki sposób jak my. Chce od życia czegoś innego i myśli, że znajdzie to w sobie, podczas gdy my wszyscy szukamy tego w drugim człowieku.

Kłęcząca na podłodze przy jego fotelu. Przycisnął wargi do jej czoła.

— Jesteś bardzo mądra, córeczko — szepnął.

— Wcale nie jestem mądra, tato. Po prostu jestem kobietą.

Łagodna poświata sączącego się przez żaluzje słońca ogrzewała żółcienie, pomarańcze i brązy gabinetu. Przy oknie, w wygodnych fotelach, przedzielone trójkątnym stolikiem, siedziały dwie kobiety. Fotel lekarki miał mały pulpit do pisania, podobny do tych, w jakie bywały dawniej wyposażone krzeselka w szkołach.

— Cieszysz się? — zapytała doktor Martinez. — Tak. Bardzo. Ale jednocześnie się boję. Lekarka milczała.

— Kiedy ostatnim razem pojechałam na Wschód, nie poszło mi najlepiej — wyjaśniła JeriLee.

— Wówczas okoliczności były inne.

— Tak. Chyba tak. Ale co ze mną? Czy ja też byłam inna?

— I tak, i nie. Musisz pamiętać, że byłaś wtedy pod presją. Pod tym względem jesteś inna.

— Nadal jednak jestem sobą.

— Jesteś teraz sobą bardziej niż byłaś wtedy. To dobrze. Ucząc się akceptować siebie, stajesz się silniejsza.

— Dzwoniłam do matki. Zaproponowała, żebym przyjechała i na czas pracy nad książką zamieszkała u niej. Chce, żebym poznała jej nowego męża. Nigdy go nie widziałam.

— Co ty na to?

— Zna pani mój stosunek do matki. W małych dawkach mogę ją znieść, ale po jakimś czasie zaczynamy drzeć ze sobą koty.

— I sądzisz, że tym razem też tak będzie?

— Nie wiem. Matka jest zwykle w porządku, jeśli nie zwracam się do niej ze swoimi problemami.

— Może obie jesteście teraz dojrzałe. Ona mogła się czegoś nauczyć tak samo jak ty.

— Więc uważa pani, że powinnam u niej zamieszkać?

— Uważam, że powinnaś się nad tym zastanowić. To mogłoby ci pomóc dojść do ładu z samą sobą.

- Pomyślę o tym.
- Ile czasu zajmie ci skończenie książki?
- Co najmniej trzy miesiące. Może więcej. To jeszcze jedna sprawa, która mnie martwi. Nie będę mogła przychodzić do pani na rozmowy.
- Mogę ci polecić paru dobrych lekarzy.
- Czy to mężczyźni?
- Ma to dla ciebie jakieś znaczenie?
- Wiem, że nie powinno, ale ma. Obydwoj lekarze, do których chodziłam przed pójściem do pani, traktowali mnie jak dziecko, które można przymilnością nakłonić do rozsądku i grzecznego zachowania. Mogę się mylić, ale według mnie była to w dużej mierze kwestia płci.
- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.
- Gdybym była kura domową z problemami, do których wysłuchiwanie są przyzwyczajeni, prawdopodobnie daliby sobie ze mną radę. Ale ja taka nie jestem. Kiedy im mówię, że nie chcę wyjść za mąż ani mieć dzieci i że naprawdę zależy mi wyłącznie na tym, żeby móc sobie radzić sama i nie być od nikogo zależna, po prostu mnie nie rozumieją. Nie zgodzę się żyć na drugim planie. Chcę sama wybierać.
- Nie ma w tym nic złego. Teoretycznie wszyscy mamy do tego prawo.
- Teoretycznie. Ale dobrze pani wie, jak to wygląda w praktyce, i ja również. Jeden z tych lekarzy powiedział mi, niby żartem, że dobre rżnięcie postawiłoby mnie na nogi. Miałam jednak wrażenie, że wcale nie żartuje. Myślę, że gdybym go trochę zachęciła, zaofiarowałby się ze swoimi usługami. Drugi usiłował mnie przekonać, że najlepsze jest to, co nazywał staroświeckimi wartościami: małżeństwo, dom i rodzina. Według niego kobiety zostały stworzone właśnie do tego.
- Znajdziesz wiele kobiet, które się zgodzą z tą opinią.
- W porządku. Ich sprawa. I ich wybór. Ja chcę dokonać swojego. Nie sądzę, żebym powiedziała coś, czego pani jeszcze nie słyszała.
- Słyszałam już podobne rzeczy.
- Nawet w biznesie jest tak samo. Sprzedałabym mój

drugi scenariusz, gdyby nie producent. Coś mu się pomieszało w głowie i myślał, że kupując scenariusz, kupuje również mnie. Kiedy mu wyjaśniłam, że transakcja nie obejmuje pieprzenia się, zerwał pertraktacje. Nigdy by się to nie zdarzyło, gdybym była mężczyzną.

— Znam jedną kobietę, która by ci się spodobała — odparła lekarka. — Wszystko zależy od tego, czy nie jest zbyt zajęta. To aktywna feministka i myślę, że ty też przypadłabyś jej do gustu.

— Chciałabym ją poznać, jeśli to możliwe.

— Gdy będziesz wiedziała, kiedy wyjeżdżasz, daj mi znać. Spróbuję to załatwić.

— Dziękuję. Jest jeszcze coś, o czym chcę z panią porozmawiać.

— Tak?

— Chodzi o Ala. O detektywa Millsteina. Wiele mu zawdzięczam. Mój dług wobec niego to coś więcej niż pieniądze. Nie wiem, jak mam mu powiedzieć, że odchodzę.

— Nie sądzisz, że on wie?

— Myślę, że zdawał sobie sprawę, że kiedyś to nastąpi. Nie przypuszczał chyba jednak, że tak szybko. Nie chcę go zranić.

— Jest w tobie zakochany?

— Tak, ale nigdy mi tego nie powiedział. Nigdy nie próbował się do mnie zbliżyć.

— Co ty do niego czujesz?

— Wdzięczność. Miłość. Tak, jakby był moim ojcem albo bratem.

— Czy on o tym wie?

— Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

— Więc mu powiedz. Jestem pewna, że będzie wolał usłyszeć, co naprawdę czujesz, niż znosić uprzejme uniki. Przynajmniej dzięki temu dowie się, że rzeczywiście ci na nim zależy.

Millstein usłyszał, jak wjeżdża samochodem na podjazd, a potem zatrzymuje się na ganku, szukając kluczy. Gdy drzwi się otworzyły, podniósł wzrok.

Złote włosy opadły jej na ramiona. Uśmiechnęła się, a jej twarz była zarumieniona pod opalenizną.

— Wcześniej wróciłeś — stwierdziła.

— Miałem dzisiaj dyżur od ósmej do czwartej. Wyczuwał jej podniecenie. Trudno mu było uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, którą, bladą i przerażoną, przywiózł z Nowego Jorku.

— Słyszałem wielką nowinę.

— Czy to nie cudownie?

— Jestem szczęśliwy ze względu na ciebie.

— Nie mogę w to uwierzyć. To tak, jakby ziścił się sen.

— Uwierz. Ciężko pracowałaś. Zasługujesz na to.

— To stało się możliwe wyłącznie dzięki tobie. Gdyby nie ty, nic by z tego nie wyszło.

— Wyszłoby. Może tylko trwałoby to trochę dłużej.

— Nie. Staczałam się do rynsztoka i dobrze o tym wiesz.

— Nigdy mnie nie przekonasz, żebym w to uwierzył. Gdybym tak kiedykolwiek myślał, nie przywiózłbym cię tutaj. Jest w tobie coś wyjątkowego. Zauważyłem to już podczas naszego pierwszego spotkania.

— Nigdy nie zrozumiem, jak mogłeś cokolwiek zauważyć pod całym tym gównem, którym się ubabrałam.

— Na kiedy planujesz wyjazd?

— Nie wiem. Powiedzieli, że w przyszłym tygodniu dadzą mi znać, kiedy mam przyjechać. Chyba zatrzymam się u matki.

Nie odezwał się.

— Rozmawiałam o tym z lekarką. Uważa, że jeśli sobie z tym poradzę, może to na mnie dobrze wpłynąć.

— Co masz zamiar robić, gdy skończysz książkę?

— Nie wiem.

— Wrócisz tutaj?

— Prawdopodobnie. Lubię mieszkać w Kalifornii. Poza tym tu mam wszystko na miejscu. Scenariusze, telewizję, pracę.

Jego głos stał się nagle ochrypły.

— Nasz dom jest zawsze twoim, jeśli tylko będziesz tego chciała.

Opadła przed nim na kolana i wzięła jego ręce w swoje.

— Dość już dla mnie zrobiliście, Al. Nie mogę was dłużej obarczać swoimi problemami.

— Niczym nas nie obarczasz. Kochamy cię.

— Ja też was obydwójce kocham. Jesteście dla mnie jak rodzina. Nawet więcej niż rodzina. Jediną znaną mi osobą, która zrobiłaby to co wy, był mój ojciec. Ty jesteś równie wielkoduszny jak on. Wszystko mi się wtedy mieszało, ale o tym wiedziałam. Może właśnie dlatego napisałam do ciebie.

Rozumiał, co chciała przez to wszystko powiedzieć. I pomimo zawiedzionych nadziei, świadomość, że musi jej na nim zależeć, skoro wyznała, co czuje, sprawiła mu wielką satysfakcję. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Będzie nam ciebie brakowało.

Otoczyła mu szyję ramieniem i przytuliła policzek do jego twarzy.

— Nie dam wam okazji. Zawsze będziemy blisko siebie. Jakiś czas siedział bez ruchu, a potem odchylił się do tyłu.

— Hej! Dasz mi przeczytać tę książkę, wokół której wszyscy robią tyle szumu? — spytał z uśmiechem.

Roześmiała się.

— Oczywiście. Już myślałam, że nigdy o to nie poprosisz. Po chwili położyła mu na kolana teczkę z maszynopisem.

— Obiecuj, że otworzysz dopiero w łóżku. Nie mogłabym patrzeć, jak ją czytasz.

— Zgoda — odparł.

Naprawdę jednak zrozumiał, dlaczego chciała, aby zaczekał, dopiero wtedy, gdy wziął maszynopis do ręki:

„Porządne dziewczyny idą do piekła. Napisała JeriLee Randall.”

Poniżej widniało jedno zdanie.

„Dedykuję tę książkę Ałowi Millsteinowi w dowód przywiązania i wdzięczności za to, że jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie.”

Łzy zaćmiły mu oczy i minęło kilka minut, zanim spojrzał na pierwszą stronę.

„Urodziłam się ze szparą i bez jaj. Byłam dziewczynką. Prosto z łona matki miałam się dostać w niewolę mojej płci. Nie podobało mi się to już wtedy. Obsikałam lekarza, który klepnął mnie po tyłku.”

ROZDZIAŁ 25

JeriLee brała prysznic, kiedy Angela otworzyła drzwi łazienki.

— Dzwoni twój agent — krzyknęła. — Mówi, że musi natychmiast z tobą porozmawiać. To bardzo ważne.

— Już idę.

Wyszła spod prysznic i owineła się dużym ręcznikiem.

— O co chodzi? — powiedziała do słuchawki.

— Czy możesz teraz wpaść do wytwórni? Tom Castel chce się z tobą widzieć.

— A co z naszym spotkaniem? Za godzinę miałam być u ciebie w biurze.

— Ja mogę poczekać. Myślę, że to nasza wielka szansa. Mam go na drugiej linii, żeby mu przekazać, kiedy tam będziesz.

— Mogę być za godzinę?

— Za trzy kwadranse. To lepiej wygląda.

— Zgoda.

Roześmiała się. Agent jest agentem. Pertraktuje nawet o czas spotkania.

Lekarz miał rację. Powiedział, że dzisiaj będzie się już czuła lepiej i rzeczywiście — ból minął. Tylko coś nieznacznie ciążyło jej w kroczu.

Wróciła do łazienki, skończyła się wycierać i, ściągawszy czepek kąpielowy, potrząsnęła włosami. Wystarczy trzydzieści sekund suszenia suszarką elektryczną. Makijaż zrobi sobie bardzo lekki. Jedynie muśnięcie rzęs tuszem i trochę jasnej szminki. Wszyscy wiedzą, przez co przeszła.

Gdy się ubierała, do sypialni weszła Angela.

— Czego chciał?

— Za dwadzieścia minut mam być w biurze Castela.

— Zawieźć cię?

— Powinnam dać sobie radę.

— Na pewno? Jestem dziś wolna. Nie mam nic do roboty.

— Zgoda — skinęła głową.

— Jak się czujesz, kochanie? — zapytał Tom Castel całując ją w policzek.

— Dobrze.

— Paskudna historia. George nie powinien był wpakować cię w taki kłopot.

— To była moja własna wina — odparła, podchodząc do stojącego przed biurkiem krzesła.

— Nie, usiądź tutaj — powiedział z troską w głosie. Ujął ją pod ramię i zaprowadził do usytuowanej przy ścianie kanapy. — Tu ci będzie wygodniej. Napijesz się kawy?

Skinęła głową. Nacisnął guzik na poręczy swojego krzesła. Po chwili weszła sekretarka z dwiema filiżankami.

— Stary kazał mi przyjechać natychmiast. Mówił, że to ważne.

— Strasznie chcesz zrobić ten film? Nie mogła się powstrzymać.

— Nie chcę go zrobić strasznie. Chcę go zrobić dobrze.

— Nie baw się słowami, JeriLee. Wiem, że jesteś pisarką. Chcesz, żeby film powstał czy nie?

— Chcę, żeby film powstał.

— W porządku — odparł. — Więc powiem ci, jak do tego doprowadzić. Przekonałem wytwórnię i dadzą mi zielone światło, ale pod warunkiem, że w filmie wystąpi George. Teraz ty przekonaj George'a.

— Dlaczego ja? To ty jesteś producentem. Czy to nie twoja działka? A poza tym, czy George nie jest związany umową?

— Owszem, ale ma prawo wybierać filmy, w których zagra, więc nie mogę go przycisnąć. Ciebie powinien jednak posłuchać. Przecież zrobił ci dziecko, a ty załatwiłaś sprawę bez hałasu. Jest ci chyba coś winien.

— A jeśli się nie zgodzi?

— Przejdzie ci koło nosa pięćdziesiąt patyków i pięć punktów.

— Co ty tracisz?

— Nic. Ja mam kontrakt. Nie zrobię tego filmu, zrobię inny. Chciałbym jednak, żeby udało mi się zrobić właśnie ten. Moim zdaniem wszyscy nieźle byśmy na tym zarobili. Poza tym chcę pracować z tobą. Myślę, że razem naprawdę

doszlibyśmy do czegoś. Twoja książka ogromnie mi się podobała.

— Dzięki.

— Jeszcze mnie nie znasz. Kiedy się rozkręcę, jestem jak dynamit. Pracuję dzień i noc. Mam domek na plaży, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał.

Skinęła głową. Słyszała o tym domku od znajomych. Jediną osobą, która wierzyła, że Castel jeździ tam, aby pracować, była jego żona.

Dobrze — odparła. — Zobaczę, co się da zrobić.

— Świetnie. Umówiłem się z Georgem na lunch w bufecie. Powiedziałem mu, że przyłączysz się do nas. —

Uśmiechnęła się. — Jestem pewien, że go urobisz, kochanie. Daj mu tylko jeszcze raz powąchać tę wspaniałą cipkę.

— Chryste, Tom — odrzekła z niesmakiem. — Aby go przekonać, trzeba będzie czegoś więcej.

— Nie doceniasz swoich możliwości, skarbie. George mówi, że masz supercipę wszechczasów i że gdy jest przy tobie, zawsze mu staje.

— Kiedy to powiedział?

— Parę dni temu. Mieliśmy terapię grupową u naszego psychoanalityka. To właściwie...

— Samo wypłynęło — dokończyła, przerywając mu. — Wiem. Słyszałam o tym.

— Muszę przynąć, że George zrobił ci niezłą reklamę. Rzeczywiście jesteś taka dobra?

— Jasne — odparła wstając. — Prawdziwa maszyna w łóżku. — Podeszła do drzwi. — Gdzie jest ubikacja?

Niedobrze mi.

— Pierwsze drzwi po lewej stronie — odpowiedział pospiesznie. — Przepraszam, zapomniałem, że jeszcze nie czujesz się dobrze.

— Nie przejmuj się. To taki babski problem. Od pewnych rzeczy po prostu zbiera mi się na wymioty.

— Sprawa jest naprawdę bardzo prosta — wyjaśniła agentowi. — Castel da mi tę robotę, jeśli namówię George'a, żeby zagrał. Poza tym już mi zapowiedział, że będziemy

pracować razem w jego domku na plaży i nie omieszkał dodać, że pracuje w dzień i w nocy. George mówi, że cały pomysł bardzo mu się podoba. Wierzy w moje zdolności pisarskie i podziwia Castela jako producenta. Dla niego najważniejszy jest jednak reżyser i przypadkiem wie, że Dean Ciarke jest wolny, ponieważ jego żona zaważyła sprawę filmu, który miał kręcić dla Warnera.

— Dean Ciarke byłby odpowiednim reżyserem. Muszę to przyznać, chociaż nie należy do moich klientów.

— Ale wiesz, jaki jest problem z Deanem. Jeśli jego żona się nie zgodzi, on niczego nie nakręci. A to oznacza dodatkowy kłopot dla mnie. Ona chce ode mnie tego samego, co George i Castel. Chowam się przed nią, odkąd się poznałyśmy na zebraniu Ligi Kobiet.

— Filmy powstawały mimo gorszych problemów.

— Wiem, że aby dostać pracę w tym biznesie, trzeba się z kimś przespać. Czy kiedykolwiek słyszałeś jednak, żeby ktoś musiał się pieprzyć z całą ekipą filmową? Zanim skończymy, każą mi się położyć ze wszystkimi oprócz fryzjera, a to tylko dlatego, że on jest pedałem.

— Nie denerwuj się. Obgadajmy to dokładnie.

— Dobrze.

— Gdyby udało mi się przekonać Castela, żeby zgodził się na siedemdziesiąt pięć tysięcy i siedem i pół punktu, zrobiłabyś to?

— Nie słuchasz mnie. Nie mówiłam o pieniądzach. Po prostu nie wydaje mi się, żebym musiała się pieprzyć po to, by podpisali ze mną umowę.

— Masz rację. Ale przecież i tak się pieprzysz, więc nie rozumiem o co tyle szumu.

— Nie musiałam iść z nikim do łóżka, żeby kupili książkę, więc dlaczego miałabym to robić, żeby nakręcili film?

— Jakoś go jeszcze nie nakręcili, prawda? — zauważył trafnie stary. Zaczęła coś mówić, ale powstrzymał ją ruchem ręki. — Najpierw mnie posłuchaj. Od zakupienia praw do ekranizacji minęły trzy lata. Powstały dwa scenariusze. Obydwa były niedobre i filmu nie zrobiono. Nie mów mi, że sprzedano czterdzieści tysięcy egzemplarzy książki w twardej oprawie, milion w wydaniu kieszonkowym i sto tysięcy wysyłkowo

w klubach czytelniczych, ani że wystąpiłaś w pięćdziesięciu programach radiowych i telewizyjnych, a *Time* dał na okładkę twoje zdjęcie jako pisarki roku Ruchu Wyzwolenia Kobiet. Ja o tym wiem, ty o tym wiesz i wytwórnia o tym wie. Wytwórnia wie jednak również, że działo się to trzy lata temu. Od tamtej pory wyszły inne książki. I, wierz mi, dużo bardziej woleliby zacząć coś od nowa niż pakować więcej pieniędzy w przedsięwzięcie, które już dwukrotnie się nie powiodło. Mówisz o tym, co zrobić, żeby ten film powstał? Pozwól, że ci powiem, co ja musiałem robić. Przez cały zeszły rok, kiedy ty dawałaś dupy za darmo, ja zapraszałem na kolacyjki wszystkie szychy z wytwórni, które moim zdaniem mogłyby pchnąć film do realizacji, i lizałem im buty.

W końcu udało mi się wprowadzić go z powrotem na listę bieżących zamierzeń. Przekonałem ich też, by powierzyli produkcję Castelowi, bo wiem, że jest obrotny i znajdzie sposób, żeby zmusić wytwórnię do zrobienia filmu. Znalazł ten sposób, a ty narzekasz.

Jestem starym człowiekiem. Nie muszę tak ciężko pracować. Wkrótce przekażę agencję moim młodszym wspólnikom. Nie chcesz robić tego filmu? Proszę bardzo. To twoja książka, twoje życie i twoje pieniądze. Ja jestem bogaty. Nie potrzebuję ich. Zresztą i tak dostaję tylko parszywe dziesięć procent. — Pokręcił głową ze smutkiem. — Więc idź do domu. Pozostaniemy przyjaciółmi. Napiszesz inne scenariusze, inne książki. Ja będę załatwiał inne kontrakty. Ale naprawdę szkoda. To mógłby być bardzo ważny film. — Podniósł dłoń. — Teraz możesz mówić. Zaczęła się histerycznie śmiać.

— Uważasz, że to, co powiedziałem, jest zabawne?

— Nie. Tylko nagle wszystko stało się takie nierzeczywiste.

— Więc pozwól, że cię przywołam do rzeczywistości. — Jego głos ciał jak ostry nóż. — W tym biznesie liczy się wyłącznie jedno. Zawsze tak było i zawsze będzie. Zrobić film. Właśnie to. Ni mniej ni więcej. Zrobić film. Mam gdzieś, jak to załatwisz,

i z kim się prześpisz. Zmieniaj świat, jeśli chcesz, ale najpierw musisz zrozumieć, co się naprawdę liczy. Zrób ten film. Jedynie dzięki temu możesz stać się kimś. Jeżeli tego nie dokonasz, będziesz tylko kolejną dziwką, której się w tym mieście nie udało.

— I nie obchodzi cię, z kim będę musiała iść do łóżka, żeby film powstał.

— Nie obeszloby mnie nawet, gdybyś wspięła się na krzyż i zerznęła Jezusa Chrystusa. Musisz zrobić ten film.

— Już mi aż tak na tym nie zależy — odparła zmęczonym głosem.

— Nie wierzę ci. Gdyby ci nie zależało, nie przyjechałabyś tutaj trzy lata temu. Zostałabyś na Wschodzie i napisała następną książkę.

— Powinnam była tak zrobić. Teraz to wiem.

— Jeszcze nie jest za późno. Samoloty nie przestały latać. Zauważył, że łzy napływają jej do oczu, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zerwała się z krzesła i wybiegła z biura. Podniósł słuchawkę i po chwili miał na linii Toma Castela.

— Właśnie skończyłem z nią rozmawiać, Tom — oznajmił poufnym tonem. — Wierz mi, w żaden sposób nie zdołam jej namówić, żeby poszła na mniej niż sto patyków. Przekonam ją, aby zgodziła się na siedem i pół punktu, ale będziesz musiał skombinować gotówkę. W tej chwili ona ma dość tego miasta. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie wsiadła w pierwszy samolot na Wschód. Chce już tylko napisać następną książkę.

JeriLee wyjęła chusteczkę higieniczną ze schowka w desce rozdzielczej i wytarła sobie oczy.

— Możemy wracać do domu — powiedziała.

Angela ruszyła bez słowa i wyjechały z parkingu. JeriLee zapaliła papierosa i wyjrzała przez okno.

— Cholera — mruknęła.

— Co się stało?

— Właśnie odkryłam w sobie coś, co mi się nie podoba — wyjaśniła. — Nie tylko układy robią z ludzi szmaty, lecz także ich marzenia.

— Nie kapuję.

— Wszyscy się kurwimy — ciągnęła JeriLee. — Tylko każdy sprzedaje się za inną walutę. Kiedy wejdziemy do domu, stary zadzwoni z wiadomością, że załatwił mi sto patyków za napisanie scenariusza. A ja się zgodzę.

— To dużo pieniędzy.

— Nie chodzi o pieniądze. Tu stary jest sprytny. Wie o tym i wykorzystuje to. Wie, że zależy mi na tym filmie bardziej niż na własnym życiu. Ani na chwilę nie dał się nabrać.

— Nie widzę w tym nic złego. Nieoczekiwanie JeriLee roześmiała się.

— Właśnie to jest w tobie takie piękne. Jesteś ostatnią niewinną istotą na świecie.

— To był ciężki dzień — odparła Angela. — Zaprawmy się, kiedy wrócimy do domu.

JeriLee pochyliła się i pocałowała Angelę w policzek.

— To pierwsza rozsądna rzecz, jaką dzisiaj usłyszałam.

EPILOG
MIASTO Blichtru

Na scenie śpiewak wyciągnął ostatnią bolesną nutę piosenki. W małej, zatłoczonej reżyserce znajdującej się na tyłach ogromnej sali widowiskowej, szumiało ciche szaleństwo. Nie był to zwykły program telewizyjny. Nadawano bezpośrednią transmisję najwspanialszej godziny filmu — wręczenia nagród Akademii.

Gdy piosenkarz skończył, zerwały się oklaski. Ukłonił się z gracją, maskując gniew przylepionym uśmiechem.

Orkiestra pomyliła się w akompaniamencie i zagłuszyła mu najlepsze nuty.

Z głośników w reżyserce rozległ się głos.

— Dwie minuty przerwy na reklamy i dla stacji lokalnych.

— Która to była piosenka? — zapytał reżyser.

— Druga — odrzekł ktoś. — Nie, trzecia.

— Coś tu się nie zgadza — mruknął reżyser. — Co mamy dalej?

— Nagrodę za najlepszy scenariusz. Wyłapujemy teraz kandydatów.

Reżyser popatrzył na monitory. Każdy z pięciu środkowych ekranów pokazywał inną osobę. Czterech mężczyzn i jedna kobieta. Mężczyźni, ubrani w eleganckie wieczorowe garnitury, byli wyraźnie zdenerwowani. Kobieta robiła wrażenie obojętnej na wszystko, co się wokół niej dzieje. Miała na wpół przymknięte oczy, lekko rozchylone usta i nieznacznie kiwała głową, jakby słuchała jakiejś wewnętrznej muzyki.

— Ta dziewczyna jest naćpana — stwierdził reżyser.

— Ale jest piękna — odpowiedział mu czyjś głos. Zaczęło się odliczanie do wejścia na antenę po reklamówce.

Gdy tylko się skończyło, po ekranie przesunął się reflektor, wyławiający powracającego na scenę mistrza ceremonii.

Reżyser zrobił na niego najazd, a potem pokazał w półzbliżeniu dwie gwiazdy, młodego mężczyznę i kobietę, którzy wśród oklasków publiczności podchodzili do podium. Kiedy zaczęli wyczytywać listę nominowanych, brawa umilkły.

Gdy padały ich nazwiska, mężczyźni bez powodzenia

starali się przybrać wyraz obojętności. Kobieta nadal wyglądała tak, jakby przebywała w innym świecie.

Z charakterystyczną pompą poproszono o kopertę i otwarto ją ceremonialnie.

— Nagrodę za najlepszy scenariusz otrzymuje... Młody aktor zrobił dramatyczną pauzę i popatrzył na swoją towarzyszkę. Ta dokończyła zapowiedź drżącym z emocji głosem.

— JeriLee Randall za „Porządne dziewczyny idą do piekła”!

Reżyser zrobił najazd na kobietę. W pierwszej chwili wydawało się, że nie usłyszała. Potem otworzyła oczy, rozciągnęła wargi w uśmiechu i zaczęła wstawać ze swojego miejsca. Gdy szła przejściem między rzędami w kierunku sceny, przechwyciła ją druga kamera. Dopiero kiedy wspięła się po kilku stopniach i stanęła twarzą do publiczności, wyraźnie zobaczyli na monitorze całą jej sylwetkę.

— Jezu Chryste! — jakiś głos przerwał ciszę, która zapadła nagle w reżyserce. — Ona ma pod tą sukienką tylko cucky i cipkę.

— Chcesz zbliżenie? — zapytał asystent.

— W żadnym razie — odparł reżyser. — Dajmy się kmiotkom nacieszyć.

Kobieta przycisnęła do siebie Oskara i podeszła do mikrofonu. Przez moment mrugała oczami, jakby powstrzymywała łzy, ale gdy je otworzyła, były jasne i błyszczące.

— Panie i panowie z Akademii — zaczęła cicho, lecz wyraźnie. — Gdybym wam powiedziała, że nie jestem w tej chwili wzruszona i szczęśliwa, skłamałabym. Coś takiego zdarza się tylko w najśmielszych marzeniach pisarza. — Zamilkła na moment, czekając, aż ucichną oklaski. — A jednak, nie mogę się uwolnić od uczucia smutku i wątpliwości. Czy zdobyłam tę nagrodę jako pisarz, czy jako kobieta? Wiem, że taka wątpliwość nie powstałaby w głowie żadnego z czterech nominowanych panów, gdyby któryś z nich zwyciężył. Z drugiej jednak strony, im wystarczyło napisać scenariusze. Nie musieli pieprzyć się z całą ekipą, wyłączając tylko rekwizytora, aby doprowadzić do powstania filmu.

Wśród publiczności wybuchła wrzawa, a w reżyserce zapanowała panika.

— Przejdź na taśmę — polecił reżyser. — Zrób pięć

sekund opóźnienia. — Na wpół podniósł się zza konsoly i przez małe okienko wyjrzał na salę. — Dajcie mi reakcje widowni! — krzyknął. — Tam się rozpętało piekło.

Na ekranach monitorów pojawiły się obrazy publiczności. Widać było kobiety wstające z miejsc, klaszczące i wykrzykujące słowa zachęty.

— Dalej, JeriLee! Powiedz, jak to jest!

Kamera zrobiła zbliżenie mężczyźnie w wieczorowym garniturze, który szarpał się z towarzyszącą mu kobietą, próbując ją zmusić, by usiadła. Reżyser wrócił do JeriLee, gdy ponownie rozległ się jej głos.

— Nie zamierzam lekceważyć zwyczaju dziękowania wszystkim osobom, którym zawdzięcza się zdobycie nagrody. Więc po pierwsze dziękuję mojemu agentowi. To on mi powiedział, że liczy się wyłącznie powstanie filmu. Może sprawi mu ulgę wiadomość, że nie musiałam wspinać się na krzyż. Wystarczyło wspiać się na kutasa producenta, wylizać dupę gwiazdorowi i wyssać cipę żonie reżysera. Dziękuję im wszystkim. Może rzeczywiście im to zawdzięczam.

— A niech to! — wyszeptał reżyser. Krzyki z sali zaczynały zagłuszać słowa JeriLee. — Wyłączcie mikrofony publiczności — polecił.

Jej głos uniósł się nad tłumem.

— Na koniec pragnę wyrazić wdzięczność kolegom z Akademii za to, że raczyli przyjąć do swego grona pisarza — kobietę, i aby uczcić to wydarzenie, chcę odsłonić malowidło, które zrobiłam specjalnie dla nich.

Uśmiechnęła się lekko i sięgnęła ręką do karku. Nagle opadła z niej suknia. Stała bez ruchu na scenie. Na jej nagim ciele namalowany był do góry nogami ogromny, złoty Oskar. Farba pokrywała jej piersi i brzuch, a głowa statuetki znikwała we włosach łona.

Na sali rozpętało się piekło. Publiczność zaczęła wstawać z miejsc, wiwatując i gwizdząc, podczas gdy zza kulis wypadli ludzie z personelu. Otoczyli JeriLee i ktoś zarzucił jej na ramiona płaszcz. Odrzuciła go z pogardą i zeszła ze sceny w dostojeństwie swej nagości.

Gdy na ekranie pojawiła się plansza zapowiadająca reklamówki, twarz reżysera rozjaśniło radosne oszołomienie.

— Po tym, co widzieliśmy, wręczanie nagród Akademii już nigdy nie będzie tym samym.

— Myślisz, że wszystko poszło na wizję? — zapytał ktoś.

— Mam nadzieję — odparł reżyser. — Byłby to skandal, gdyby prawda nie mogła docierać do ludzi na równi z bzdurą.

Samochód wjechał na wzgórze i zatrzymał się pod domem. JeriLee pochyliła się i pocałowała kierowcę w policzek.

— Mój przyjaciel, detektyw Millstein. Detektywie Mill-stein, mój przyjacielu. Masz talent do pojawiania się wtedy, gdy jesteś najbardziej potrzebny.

Uśmiechnął się.

— Byłem w pobliżu amfiteatru. Kiedy wyszłaś na scenę, oglądałem transmisję w barze.

— Cieszę się. — Wysiadła z samochodu. — Jestem wykończona. Idę prosto do łóżka.

— Dasz sobie radę?

— Nie martw się, nic mi nie jest. Możesz wracać do pracy.

— Dobrze.

— Ucałuj ode mnie Susan i małego.

Skinął głową. Poczekał, aż wejdzie do domu, a potem wykręcił i zjechał ze wzgórza.

Kiedy stanęła w progu, zadzwonił telefon. Była to jej matka.

— Tym razem naprawdę się popisałaś, JeriLee — powiedziała. — Już nigdy nie będę mogła spojrzeć w oczy ludziom w tym mieście.

— Och, mamó.

Usłyszała trzask. Matka rozłączyła się. Gdy tylko JeriLee odłożyła słuchawkę, telefon odezwał się ponownie. Tym razem dzwonił agent.

— To był znakomity chwyt reklamowy — zarechotał. — Przez te wszystkie lata, które spędziłem w biznesie, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś został gwiazdą w ciągu jednej nocy.

— To nie był chwyt reklamowy.

— Co za różnica? — zapytał stary. — Przyjdź jutro do biura. Mam co najmniej pięć poważnych propozycji. Możesz dyktować warunki.

— Odpieprz się — mruknęła i odłożyła słuchawkę.

Telefon znowu się rozdzwonił, ale nie odebrała. Podniosła słuchawkę, przycisnęła widelki, aby przerwać połączenie, i odłożyła ją na bok.

Weszła do sypialni, znalazła skręta, zapaliła go i wróciła do frontowych drzwi. Noc była ciepła i pogodna. Usiadła na schodach ganku i popatrzyła na miasto. Nagle mgła zasnęła jej oczy.

Siedzi na szczycie schodów i płacze. A w dole widzi przez łązy migoczące, różnokolorowe światła Los Angeles.